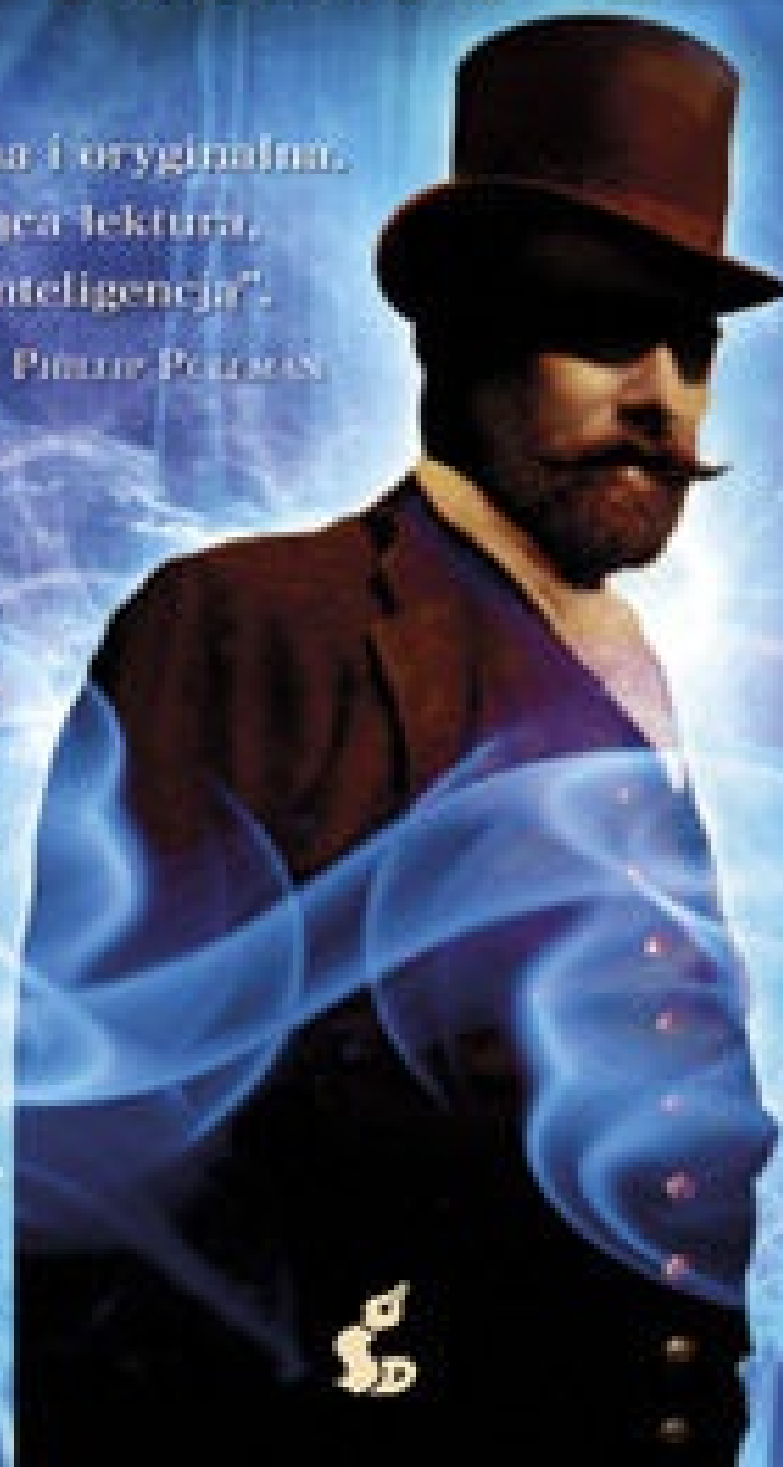


SCARLETT THOMAS

KONIEC PANA Y

„Przemysłana i oryginalna.
Porywająca lektura,
tętniąca inteligencją”.

Philip Pearson





SCARLETT THOMAS

KONIEC

PANA

Y

Tytuł oryginału: THE END OF MR Y

Z języka angielskiego przełożyła

Magdalena Jędrzejak

„Legra” Sp. z o. o.; Kraków

Zachód z pełnym przekonaniem i w dobrej wierze postawił w owym zakładzie na przedstawienie: niech znakowi przysługuje moc odsyłania do głębi sensu, niech znak da się wymienić na sens i niech coś służy za rękojmię tej wymiany - Bóg oczywiście. Lecz co w przypadku, jeśli sam Bóg może być symulowany, to znaczy sprowadzony do znaków, które poświadczają jego istnienie? Wówczas cały system przechodzi w stan nieważkości, stając się już jedynie gigantycznym symulakrem - nie jest nierzeczywisty, lecz jest symulakrem, to znaczy, nie może już zostać wymieniony na to co rzeczywiste, lecz wymienia się sam na siebie w nieprzerwanym obiegu pozbawionym referencji i granic.

J. Baudrillard, *Symulakry i symulacja*,

przeł. S. Królak

Byt może się ukazać sam z siebie na różne sposoby. Jest nawet możliwe, by ukazał się jako coś, czym sam w sobie nie jest.

Martin Heidegger, *Bycie i czas*,

przeł. B. Baran

CZEŚĆ 1

Nic nie jest dobre ani złe. Takie staje się w naszych myślach.

Samuel Butler

ROZDZIAŁ 1

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... Wiszę wychylona za okno gabinetu, ukradkiem paląc papierosa i usiłując czytać *Marginesy* w mdłym zimowym świetle, gdy rozlega się dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam. No dobrze, sam dźwięk - huk, łomotanie i tak dalej -

prawdopodobnie musiałam słyszeć, lecz tym razem hałas dobiega spode mnie, a nie ma prawa. Pode mną nie powinno niczego być: jestem na parterze. Ziemia jednak wciąż się trzęsie, jak gdyby coś

usiłowało się wydostać z jej czeluści, a ja myślę o cudzych matkach strzepujących kołdry albo nawet o Bogu strzepującym materię czasoprzestrzeni; potem myślę, o kurwa, to trzęsienie ziemi, i rzucam papierosa, i wybiegam z gabinetu z grubsza w tym samym momencie, kiedy rozlega się alarm.

Nie zawsze, kiedy zaczyna wyc alarm, uciekam na złamanie karku. Zresztą kto by tak robił? Zwykle alarm niczego nie zapowiada: jest tylko ćwiczeniem, próbą. Jestem w drodze do bocznego wyjścia z budynku, kiedy alarm się wyłącza. Jest za głośny; zawodzi człowiekowi w mózgu. Wychodząc z budynku, mijam tablicę ogłoszeniową BHP, z której straszą zdjęcia rannych ludzi. Przechodzę tak szybko, że fotografie się zlewają: człowiek cierpiący na bóle pleców doznaje równocześnie zawału serca, a różne holograficzne postaci usiłują go reanimować. W zeszłym roku miałam zaliczyć kurs BHP, ale jakoś się nie złożyło.

Otwieram boczne drzwi i widzę, jak ludzie opuszczają Gmach Russella i przechodzą albo przebiegają przez naszą przecnicę, a potem po szarych betonowych schodach w kierunku Gmachu Newtona i biblioteki. Obchodzę budynek z prawej strony i pędzę po betonowych schodach, przeskakując po dwa stopnie. Niebo jest szare, przesłonięte drobną, przypominającą kaszę na ekranie telewizora mżawka, która wisi w powietrzu nieruchomo jak na stop-klatce. Czasami w takie styczniowe popołudnia słońce przykuca nisko na niebie niczym odziany w pomarańczowe szaty Budda w programie dokumentalnym o sensie życia.

Dzisiaj nie ma słońca. Docieram do skraju potężnego tłumu, który zdążył się zebrać, i przestaję biec. Wszyscy patrzą na to samo, wydając zdławione okrzyki, posapywania i westchnienia jak na pokazie sztucznych ogni.

Patrzą na Gmach Newtona.

Budynek się wali.

Na myśl przychodzi mi pewna zabawka - czyżbym ją ostatnio widziała na czyimś biurku? - a mianowicie mały konik osadzony na okrągłej drewnianej podstawie. Kiedy się ją naciśnie od spodu, konik opada na kolana. Właśnie tak wygląda w tej chwili Gmach Newtona.

Zapada się pod ziemię, lecz koślawo, bokiem; już zniknął jeden róg, teraz już dwa, teraz...

Teraz trwa w bezruchu. Trzeszczy, ale trwa. Jedno z okien na drugim piętrze otwiera się na oścież, wypada przez nie monitor komputerowy i roztrzaskuje się na tym, co pozostało z betonowego podwórka na dole. Do zdemolowanego podwórka zbliżają się czterej mężczyźni w kaskach; potem pojawia się następny, mówi coś do nich, po czym wszyscy zgodnie odchodzą.

Tuż przy mnie stoi dwóch facetów w szarych garniturach.

- *Déjà vu* - odzywa się jeden do drugiego.

Rozglądam się za kimś, kogo bym znała. Jest Mary Robinson, szefowa wydziału, rozmawia właśnie z Lisą Hobbes. Poza tym nie widać zbyt wielu osób z wydziału anglistyki.

Widzę za to Maxa Trumana stojącego na uboczu i palącego własnoręcznie skręconego papierosa.

Max na pewno wie, co się tu dzieje.

- Cześć, Ariel - odzywa się półgłosem, kiedy podchodzę i stoję tuż przy nim.

Max zawsze mówi półgębkiem; nie jest nieśmiały, raczej zachowuje się tak, jakby mówił, ile będzie cię kosztowało pozbycie się najgorszego wroga albo ile musisz zabulić za szprycę dla konia wyścigowego. Czy mnie lubi? Raczej mi nie ufa. Z drugiej strony czemu miałby mi ufać? Jestem względnie młoda, względnie nowa na wydziale i prawdopodobnie robię wrażenie ambitnej, chociaż wcale taka nie jestem (może to kwestia fryzury? Albo czegoś innego?). Ci, którzy nie twierdzą, że mój wygląd wzbudza respekt, przebąkują czasem, że wyglądam „niechlujnie” albo „dziwnie”. Jeden z moich byłych współlokatorów z akademika powiedział, że nie chciałby wylądować ze mną na bezludnej wyspie, lecz nie wyjaśnił dlaczego.

- Cześć, Max - odpowiadam. I dodaję: - Ale numer.

- Prawdopodobnie nic nie wiesz o tym tunelu, zgadza się? - upewnia się. Przytakuję. -

Tu, pod spodem, biegnie tunel kolejowy - wyjaśnia, wzrokiem wskazując kierunek. Zaciąga się papierosem, papieros jednak chyba zgasł, więc Max wyjmuje go z ust i używa do wskazywania części kampusu. - Pod Russellem, o tam, i tam, pod Newtonem. Biegnie, to jest biegł od wybrzeża do wybrzeża. Jest nieczynny od jakichś stu lat. Już drugi raz się zawalił i pociągnął za sobą Newtona. Po ostatnim razie mieli go zalać betonem.

Patrzę w kierunku wskazanym przez Maxa i zaczynam w myśli rysować linie proste łączące Newtona z Russellem, wyobrażając sobie tunel pod nimi. Bez względu na to, jak je narysować, budynek anglistyki i amerykańistyki zawsze na nich stoi.

- Przynajmniej nikomu nic się nie stało - mówi Max. - Rano konserwator zauważył pęknięcie w ścianie i wszyscy się ewakuowali.

Lisa się wzdryga.

- Nie wierzę, że to się naprawdę dzieje - mówi, popatrując na Gmach Newtona. Szare niebo pociemniało, z deszczyku zrobił się deszcz. Budynek dziwnie wygląda bez światła: zupełnie jak gdyby ktoś zgasił go niczym papierosa.

- Ja też - mówię.

Przez następne trzy czy cztery minuty wszyscy stoimy i w milczeniu wpatrujemy się w budynek; potem pojawia się człowiek z megafonem i każe nam wszystkim iść prosto do domu bez zaglądania do gabinetów. Chce mi się płakać. W popękany beton jest coś rozdzierająco smutnego.

Nie wiem, jak reszcie, ale mnie niełatwo wrócić do domu. Mam tylko jeden komplet kluczy, który został w moim gabinecie razem z płaszczem, szalikiem, rękawiczkami, czapką i torbą.

Ochroniarz usiłuje powstrzymać ludzi przed wychodzeniem głównymi drzwiami, więc idę po

schodach i bocznym korytarzem. Na drzwiach gabinetu nie ma mojego nazwiska.

Widnieją na nich tylko tytuł, imię i nazwisko oficjalnego użytkownika tego pomieszczenia: mojego promotora, profesora Saula Burlema. Spotkałam się z Burlemem dwa razy, zanim się tu przeniosłam: raz na konferencji w Greenwich i raz podczas mojej rozmowy kwalifikacyjnej. Zniknął raptem tydzień po moim przybyciu. Pamiętam, jak w czwartek rano przyszedłam do pracy i zauważyłam, że coś się zmieniło. Po pierwsze, rolety były opuszczone, a zasłony zaciągnięte. Burlem zawsze opuszczał rolety przed wyjściem, ale żadne z nas przenigdy nie dotykało koszmarnych cienkich szarych zasłon. Poza tym w pomieszczeniu wisiał dym papierosowy. Spodziewałam się Burlema około dziesiątej rano, nie pokazał się jednak. W następny piątek zaczęłam pytać, gdzie jest, ale wszyscy mówili, że nie wiedzą. Po pewnym czasie ktoś załatwił zastępstwo na jego zajęcia. Nie wiem, czy na wydziale plotkuje się na ten temat - ze mną nikt nie plotkuje - lecz mam wrażenie, że wszyscy zakładają, że będę w dalszym ciągu prowadzić badania i że mi wisi i powiewa, czy Burlem jest czy go nie ma. Rzecz jasna, właśnie ze względu na niego w ogóle wybrałam ten wydział: jest jedynym człowiekiem na świecie, który przeprowadził poważne badania nad jednym z moich głównych przedmiotów dociekań, dziewiętnastowiecznym pisarzem Thomasem E. Lumasem.

Bez Burlema naprawdę nie mam pojęcia, co tu właściwie robię. A jego zniknięcie budzi we mnie jakieś uczucia: może nie do końca rozpaczy, ale niewątpliwie jakieś.

Moje auto stoi na parkingu za Gmachem Newtona. Kiedy tam docieram, nie jestem zbyt zaskoczona widokiem mężczyzn w kaskach powtarzających wszystkim, żeby zapomnieli o samochodach i wrócili do domów pieszo albo autobusem. Próbuję się wyklócać - oznajmiam, że z radością zaryzykuję twierdzenie, że Gmach Newtona nie poderwie się nagle niczym na puszczonej od tyłu zwolnionej filmie, by zacząć przewracać się w zupełnie innym kierunku

- ale ci goście odpowiadają mi cierpko, żebym spadała i wróciła autobusem albo na piechotę jak wszyscy inni, więc ostatecznie odpływam w kierunku przystanku autobusowego. Jest dopiero początek stycznia, lecz pierwsze żonkile i przebiśniegi przebiły się przez warstewkę ziemi i stoją mokre w małych rzędkach przy ścieżce. Przystanek sprawia przygnębiające wrażenie: kolejka ludzi wyglądających na równie zziębniętych i kruchych jak rząd kwiatów, więc ostatecznie decyduję się na spacer.

Myślę, że jest jakiś skrót do miasta przez las, ale nie wiem gdzie dokładnie, więc po prostu trzymam się drogi, którą jechałabym samochodem, dopóki nie opuszczę kampusu, raz po raz odtwarzając w głowie scenę zawalenia się budynku, przyłapuję się na tym, że

„przypominam sobie” rzeczy, które w ogóle nie miały miejsca, i daję sobie z tym spokój.

Potem myślę o tunelu kolejowym. Doskonale rozumiem, czemu znajduje się akurat tutaj: w końcu kampus mieści się na szczycie stromego wzgórza i puszczenie drogi dołem, a nie górą, ma sens. Max wspomniał, że od około stu lat tunel jest nieczynny. Ciekawe, co było na tym wzgórzu sto lat temu. Oczywiście nie uniwersytet, bo ten zbudowano w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Ależ ziąb. Może powinnam była poczekać na autobus.

Żaden mnie jednak nie mija. Kiedy docieram do głównej drogi do miasta, palce mam już zdrętwiałe z

zimna w rękawiczkach i zaczynam się przyglądać drogom w prawo, szukając skrótów. Pierwsza, jak informuje znak częściowo zasłonięty gówienkami mew, jest drogą bez przejazdu, druga za to, ze zbudowanymi z czerwonej cegły domkami w zabudowie tarasowej, kulącymi się po lewej stronie, wygląda bardziej obiecująco, więc w nią skręcam.

Sądziłam, że to droga osiedlowa, wkrótce jednak kończą się domki z czerwonej cegły i widzę niewielki park z dwiema huśtawkami i zjeżdżalnią rdzewiejącą pod ciemną czaszą splecionych, bezlistnych dębowych gałęzi. Za parkiem mijam pub, a potem rząd sklepów.

Jest smętnie wyglądający komis, już zamknięty, oraz salon fryzjerski z tych, w których robi się niebieskie płukania, a w poniedziałki obsługuje klientki za pół ceny. Jest kiosk ruchu, salon bukmacherski, a potem - aha - antykwariat. Wciąż otwarty. Marznę na kość. Wchodzę.

W środku jest ciepło, czuć lekki zapach środka do polerowania mebli. Na drzwiach zamocowano mały dzwoneczek, który dźwięczy przez dobre trzy sekundy już po tym, jak je zamknęłam, i niebawem zza dużego regału z półkami wyłania się młoda kobieta trzymająca preparat do czyszczenia mebli i żółtą miotłkę do kurzu. Kobieta uśmiecha się powściągliwie i informuje mnie, że za jakieś dziesięć minut będzie zamykać sklep, ale mogę się jeszcze rozejrzeć. Potem siada i zaczyna stukać w klawiaturę podłączoną do komputera na frontowym biurku.

- Macie komputerowy katalog wszystkich dostępnych książek? - zwracam się do niej.

Przestaje pisać i podnosi wzrok.

- Tak. Ale nie umiem się nim posługiwać. Ja tylko zastępuję koleżankę. Przykro mi.

- Och. Nie szkodzi.

- A co chciała pani sprawdzić?

- Nieważne.

- Nie, proszę powiedzieć. Może będę pamiętała, czy ją odkurzałam.

- Mhm... No dobrze. Cóż, jest taki pisarz, nazywa się Thomas E. Lumas... Macie cokolwiek z jego książek? - Zawsze pytam o to w antykwariatach. Rzadko mają coś z jego dzieł, poza tym większość zdążyłam już kupić, mimo to pytam. Wciąż mam nadzieję na egzemplarz w lepszym stanie albo starszy. Z inną przedmową lub w czystszej oprawie.

- Eee... - Marszczy czoło. - Nazwisko brzmi znajomo.

- Może natknęła się pani na książkę pod tytułem *Jabłko w ogrodzie*. To jego słynna powieść. Pozostałych nie widuje się w formie drukowanej. Pisywał od połowy do końca dziewiętnastego wieku, ale nigdy nie zyskał należnej sławy...

- *Jabłko w ogrodzie*. Nie, to nie tę widziałam - odpowiada kobieta. - Proszę poczekać.

- Podchodzi do wielkiego regału w głębi sklepiu. - L, Lu, Lumas... Nie. Nic tu nie ma -

mruczy. - Przepraszam, nie wiem, w jakim dziale powinien się znaleźć. Beletrystyka?

- Część w beletrystyce - odpowiadam. - Ale napisał też książkę o eksperymentach myślowych, trochę poezji, traktat o rządzie, kilka książek naukowych i coś zatytułowanego *Koniec pana Y*. To jedna z najrzadziej spotykanych powieści...

- *Koniec pana Y*. To ją widziałam! - wykrzykuje przejęta. - Proszę poczekać.

Wchodzi po schodach na zapleczu, zanim zdąży jej powiedzieć, że musiała się pomylić. Nie sposób wyobrazić sobie, że naprawdę mogłaby tu mieć egzemplarz tej książki.

Najpewniej oddałabym wszystko, co posiadam, by zdobyć egzemplarz *Końca pana Y*, ostatnie i najbardziej tajemnicze dzieło Lumasa. Nie wiem, z czym je pomyliła, ale absurdem jest myśleć, że ta kobieta je ma. Nikt go nie ma. Jeden egzemplarz, o którym wiadomo, spoczywa w niemieckim sejfie bankowym, lecz żadna biblioteka nie ma tej pozycji w spisie.

Mam przeczucie, że Saul Burlem mógł ją kiedyś widzieć, choć pewności nie mam. *Koniec pana Y* ma być rzekomo książką przekłętą i chociaż oczywiście sama w takie bajdy nie wierzę, niektórzy są zdania, że kto ją przeczyta, ginie.

- Aha, tutaj jest - mówi dziewczyna, schodząc po schodach z niewielkim tekturowym pudełkiem. - O to pani chodziło?

Kładzie pudełko na kontuarze.

Zaglądam do środka. I - nagle nie mogę oddychać - oto i ona: niewielka książka w twardej oprawie obciążonej kremowym płótnem, z brązowymi literami na okładce i na grzbiecie, bez koszulki chroniącej przed kurzem, ale poza tym w stanie bliskim doskonałości.

Przecież to niemożliwe. Unoszę okładkę i odczytuję treść strony tytułowej i dane wydawnicze. O kurde. To rzeczywiście *Koniec pana Y*. Co teraz, do cholery?

- Ile kosztuje? - pytam ostrożnie głosem cieniutkim jak czubek szpilki.

- No właśnie, w tym cały problem - odpowiada dziewczyna, obracając pudełko. -

Właścicielka przywozi takie pudła z aukcji w miasteczku i jeśli są na górze, to najprawdopodobniej nie zostały jeszcze wycenione. - Uśmiecha się. - Pewnie nie powinnam była pani tego pokazywać. Może pani wrócić jutro, kiedy będzie szefowa?

- Nie za bardzo - zaczynam.

Myśli przemykają mi przez głowę niczym kosmiczne promienie. Powiedzieć jej, że jestem nietutejsza i poprosić, żeby zadzwoniła po szefową? Nie. Właścicielka ewidentnie nie wie, że ta książka się tu znalazła. Nie chcę ryzykować, że się dowie i odmówi sprzedania jej mnie - albo zażyczy sobie

tysiące funtów. Jak przekonać tę dziewczynę, żeby oddała mi powieść? Mijają sekundy. Dziewczyna sięga po słuchawkę telefonu stojącego na biurku.

- Tylko zadzwonię do koleżanki - mówi. - Już ona będzie wiedziała, co zrobić.

Kiedy czeka na połączenie, zaglądam do pudełka. Nie do wiary, ale są w nim również inne książki Lumasa, parę przekładów Derridy, którymi nie dysponuję, jak również, jeśli oczy mnie nie mylą, pierwsze wydanie *Eureki* Edgara Allana Poe'go. Jak te teksty tu trafiły wszystkie razem? Nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł je połączyć, chyba że myślał o projekcie zbliżonym do mojej pracy doktorskiej. Czy to możliwe, że ktoś pracuje nad tym samym co ja? Mało prawdopodobne, tym bardziej że pozbył się tych książek. Tylko kto oddałby takie perełki? Czuję się, jakbym patrzyła na zegar Paleya. Jakby ktoś zestawiał

zawartość tego pudełka specjalnie z myślą o mnie.

- Tak - mówi dziewczyna do słuchawki. - To takie, no wiesz, małe pudełko. Na górze.

Aha, na tej stercie w kibelku. Hm... trochę nowych i trochę starych. Niektóre z tych starych trochę zawilgły i tak dalej. Tanie wydania, chyba... - Zagląda do pudełka i wyciąga parę dzieł

Derridy. Zachęcam ją skinieniem. - Aha, taki groch z kapustą. Och, serio? Aha. Pięćdziesiąt funtów? Serio? To dużo. Dobrze, spytam ją. Tak. Przepraszam. Okej. Do zobaczyska.

Odkłada słuchawkę i uśmiecha się do mnie.

- Więc tak - wzdycha. - Wiadomości są i dobre, i złe. Dobra jest taka, że może pani kupić całe pudełko, jeśli pani chce, za to zła jest taka, że nie mogę tych książek sprzedawać pojedynczo, więc albo bierze pani wszystko, albo nic. Koleżanka mówi, że to ona kupiła całe pudełko na aukcji, więc właścicielka jeszcze go nie widziała. Ale najwyraźniej zdążyła wspomnieć, że nie ma miejsca na więcej szpargałów... A druga zła wiadomość jest taka, że całe pudełko kosztuje pięćdziesiąt funtów. Więc...

- Biorę - wtrącam.

- Poważnie? Wyda pani tyle na pudło książek? - Uśmiecha się i wzrusza ramionami. -

No dobrze. W takim razie należy się pięćdziesiąt funtów.

Drżącymi rękami wydobywam z torebki portmonetkę, następnie wydobywam trzy zmięte banknoty dziesięciofuntowe oraz dwudziestkę i podaję je kobiecie. Nie roztrząsam faktu, że to niemal całe moje oszczędności na tym świecie i że przez najbliższe trzy tygodnie nie będę miała co do garnka włożyć. Prawdę mówiąc, nie dbam o nic oprócz tego, że zaraz będę mogła wyjść z antykwariatu z *Końcem pana Y* i nikt się nie połapie, niczego sobie nie przypomni i nie spróbuje mnie zatrzymać. Moje serce wyczynia niewiarygodne harce. Czy zasłabnę i umrę z szoku, zanim jeszcze będę miała okazję przeczytać pierwszą linijkę książki? Kurczę, kurczę, kurczę.

- Fantastycznie, dzięki. Przykro mi, że to aż tyle - zwraca się do mnie dziewczyna.

- Nie ma sprawy - odpowiadam cudem. - I tak większości z nich potrzebuję do doktoratu.

Umieszczam *Koniec pana Y* w torbie, nareszcie bezpiecznie, potem podnoszę pudełko z resztą książek i opuszczam antykwariat, po czym tuląc je do piersi, wracam do domu w ciemnościach, ignorując łzawiące z zimna oczy i kompletnie nie mogąc uwierzyć w to, co się właśnie stało.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy docieram do mieszkania, jest już prawie wpół do piątej. Większość sklepów przy ulicy zaczyna się zamykać, ale kiosk naprzeciwko jaśnieje od postaci zatrzymujących się, by po drodze z pracy do domu kupić gazetę czy paczkę papierosów. W oknach pizzerii pod moim mieszkaniem wciąż jest ciemno, wiem jednak, że właściciel, Luigi, już się za nimi krząta, robiąc to, co ma do zrobienia, żeby o siódmej otworzyć lokal. Tuż obok, w butik z kostiumami i przebraniami, światła są już zgaszone, za to na piętrze miękka poświata bije od Café Paradis, która zamyka się dopiero o szóstej. Za sklepami po starych kruchych torach stukocze pociąg z powracającymi z pracy, na przejeździe na końcu drogi migają światła.

Betonowy korytarz, którym podchodzi się do schodów przed frontowymi drzwiami mojego mieszkania, jest zimny jak zawsze i mroczny. Nie widać roweru, co oznacza, że Wolfganga, mojego sąsiada, nie ma w domu. Nie wiem, czym on się tam u siebie dogrzewa (niemniej podejrzewam, że olbrzymie ilości śliwowicy, które wpompowuje w siebie, mają w tym znaczny udział), ale ogrzanie mojego to prawdziwa walka. Nie mam pojęcia, kiedy zbudowano nasze mieszkania, obydwa są za duże, z wysokimi sufitami i długimi korytarzami, aż się echo niesie. Cudownie byłoby mieć centralne ogrzewanie, lecz właściciel mieszkania nawet nie chce o tym słyszeć. Zanim jeszcze zdejmę płaszcz, odkładam pudło z książkami i torbę na duży dębowy kuchenny stół, zapalam lampy, po czym ciągnę przez cały hol grzejnik elektryczny aż z sypialni i podłączam go do kontaktu, obserwując, jak dwa metalowe pręty rumienią się lekko (i jakby przepraszająco). Następnie uruchamiam piecyk gazowy, włączam też wszystkie fajerki na płycie. Zamykam kuchenne drzwi i dopiero wtedy zdejmuję okrycie wierzchnie.

Trzęsę się cała, ale nie tylko z zimna. Ostrożnie wyjmuję *Koniec pana Y* z torby i kładę na stole. Z jakichś powodów wygląda dziwnie nie na miejscu przy pudełku z resztą książek i obok kubka z niedopitą rano kawą, więc przenoszę pudełko, a kubek odstawiam do zlewu. Teraz książka jest na stole sama. Podnoszę ją i przesuwam po niej dłonią, czując chłód kremowej płóciennej oprawy. Obracam ją w ręce, dotykam sztywnej okładki z tyłu, jak gdyby mogła się okazać w dotyku zupełnie inna niż ta z przodu; potem znowu odkładam książkę, a puls mi goni niczym taśma telegraficzna. Napełniam małą kawiarkę i stawiam ją na jednej z płonących fajerek, po czym nalewam sobie pół kieliszka śliwowicy od Wolfganga i połykam ją dwoma haustami.

Czekając, aż podgrzeje się kawa, sprawdzam pułapki na myszy. Oboje z Wolfgangiem mamy myszy. On mówi o przyniesieniu kota; ja postawiłam na pułapki. Myszy w nich nie giną; czekają zamknięte w małych obłych pojemniczkach, dopóki ich nie znajdę i nie wypuszczę. Nie sądzę, żeby ten system się sprawdzał: wynoszę myszy na dwór, a one galopem wracają do domu, ale nie umiałabym ich zabijać. Dzisiaj są aż trzy myszy, wyglądają na znudzone i wkurzone w małych przezroczystych więzieniach, więc znoszę je na dół i wypuszczam na podwórku. Nigdy nie sądziłam, że myszy w domu będą mi przeszkadzać, lecz te cholery są naprawdę wszystkożerne, a jednej zdarzyło się przebiec mi po

twarży, kiedy leżałam w łóżku.

Wracam na górę, wydaję cztery duże ziemniaki z pudła na warzywa, myję je szybko, solę i wsadzam do piekarnika ustawionego na niską temperaturę. I na tę chwilę starczy gotowania, zresztą nawet nie jestem głodna. Sofa stoi w kuchni, bo bez sensu byłoby trzymać sofę w pustej bawialni, w której nie ma ogrzewania. Kiedy zatem pomieszczenie zaczyna się zapełniać parą i zapachem pieczonych ziemniaków, w końcu ściągam sportowe buty i siadam, podwijając nogi, na sofie z paczką żeńszeniowych fajek i *Końcem pana Y*, a potem czytam pierwszą linijkę przedmowy, najpierw po cichu, później na głos, gdy za oknami z turkotem przetacza się następny pociąg. „Wywód, który tu nastąpi, może się wydać Czytelnikowi byle fantazją bądź snem spisany rychło po przebudzeniu, w owych chwilach rozgorączkowania umysłu, gdy człek wciąż jest zahipnotyzowany czarodziejskimi sztuczkami rodzącymi się w umyśle, gdy ma się zamknięte oczy”.

Jakoś nie umieram. Z drugiej strony, prawdę mówiąc, wcale się tego nie spodziewałam. Jak w ogóle jakaś książka może być przeklęta? Same słowa - które w pierwszej chwili jeszcze do mnie nie docierają jak należy - wydają mi się czymś w rodzaju cudu. Samo to, że w ogóle są, że wciąż istnieją, wydrukowane czarną czcionką na nie całkiem równych stronicach, które zbrązowiały z wiekiem; właśnie to mnie zdumiewa. Nie potrafię sobie wyobrazić, ile rąk przed moją dotykało tej stronicy ani ile par oczu ją oglądało. Wydano ją w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim, a co potem? Ktoś ją czytał? Kiedy Lumas pisał *Koniec pana Y*, nikt już o nim nie pamiętał. Przez jakiś czas w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku owiany był złą sławą i jego nazwisko powszechniej znano, lecz później wszyscy przestali się nim interesować, uznawszy go za szaleńca lub przynajmniej za ekscentryka. Któregoś razu pojawił się w Yorkshire w miejscowości, w której Karol Darwin zażywał, jak to sam określał, „kuracji wodnej”; palnął coś nieuprzejmego o pąklach, po czym uderzył Darwina w twarz. Był to rok tysiąc osiemset pięćdziesiąty dziewiąty. Po tym incydencie oddawał się, jak się zdaje, coraz bardziej ezoterycznym zajęciom, odwiedzał

media, badał zjawiska paranormalne i udzielał się w Królewskim Szpitalu Homeopatycznym w Londynie. Jakoś po roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym zaprzestał publikacji. Napisał

Koniec pana Y i zmarł w dniu, w którym powieść się ukazała, po tym jak wszystkie inne osoby, które odegrały większą rolę w tym przedsięwzięciu (wydawca, redaktor, korektor) zesłi już z tego świata. Stąd plotka o „kłątwie”.

Pogłoski dotyczące plotki mogły się jednak wziąć z innych powodów. Lumas był

społecznym banitą. Opowiadał się za biologiem ewolucjonistą Lamarckiem (który twierdził, że organizmy przekazują potomstwu cechy nabyte) i przeciwko Darwinowi (który twierdził, że jest wręcz przeciwnie), nawet tacy myśliciele jak Samuel Butler - opisany kiedyś jako

„największy zafajdany mąciwoda dziewiętnastego wieku” - zaczęli godzić się z myślą, iż wszyscy jesteśmy, jeśli chodzi o ścisłość, Darwinowskimi mutantami. W listach na łamach *The Timesa* krytykował nie tylko współczesnych, lecz każdą znaczącą postać w historii myśli, łącznie z Arystotelesem i Baconem. Lumasa szalenie interesowała możliwość istnienia czwartego wymiaru i snuł w związku z tym nadprzyrodzone opowieści, skutecznie działając na nerwy tym, którzy w istnienie innego wymiaru nie wierzyli. Powtarzał tylko: „Ależ to zwykłe opowieści!”, jednak

wszyscy wiedzieli, że posługiwał się prozą głównie dla dopracowania swych koncepcji filozoficznych. Większość z nich dotyczyła rozwoju i natury myśli, w szczególności myśli naukowej, często też opisywał swoje utwory prozą jako

„eksperymenty myślowe”.

Jedno, z jego szczególnie interesujących opowiadań, *Niebieski pokój*, mówi o dwóch filozofach zaproszonych na przyjęcie do rezydencji. Zmierzając na partyjkę bilardu z gospodarzem, jakimś cudem gubią się po drodze i trafiają do niebieskiego pokoju w (rzekomo) nawiedzonym skrzydle domu. W pokoju znajduje się dwoje drzwi, na północnej i południowej ścianie, na środku zaś czekają spiralne schody. Jeden z filozofów uważa, że powinni wejść po schodach na górę, ale drugi jest zdania, że powinni opuścić pokój którymiś drzwiami. Nie mogą dojść do porozumienia i od słowa do słowa zaczynają dyskutować o istnieniu duchów. Pierwszy argumentuje, że duchy nie istnieją, nie ma więc czego się obawiać. Drugi przyznaje, że nie ma się czego bać: osobiście nigdy nie widział ducha, z czego wyciągnął wniosek, że duchy nie istnieją. Usatysfakcjonowani tym wnioskiem i pełni entuzjazmu wobec zgodności swoich poglądów filozofowie wychodzą z pokoju tymi samymi drzwiami, przez które weszli, i usiłują wrócić do pozostałych gości. Jednakże niebieskie skrzydło rezydencji wydaje się osobliwie urządzone. Zaledwie filozofowie opuszczają pokój, trafiają do korytarza prowadzącego do spiralnych schodów. Gdy po nich schodzą, wracają do niebieskiego pokoju. Gdy próbują użyć drugich drzwi, dzieje się to samo. A kiedy wchodzą schodami na górę, docierają do drzwi. Bez względu na to, którądy pójdą, nieodmiennie wracają do niebieskiego pokoju.

Było kilka dysertacji naukowych poświęconych Lumasowi jako postaci historycznej i może około dziesięciu na temat jego powieści *Jabłko w ogrodzie*. O biografii nikt się nie pokusił. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku paru kalifornijskich zwolenników teorii odmienności zainteresowało się nim, w każdym razie jego dziennikami, w których można znaleźć między innymi niedokończone homoerotyczne sonety o jednym z bohaterów Szekspira. Nie wiem, co się z tymi teoretykami odmienności stało. Może stracili zainteresowanie Lumasem. Jak większość osób. O ile mi wiadomo, niewiele napisano na temat *Końca pana Y*. A autorem wszystkiego, co o tej powieści powstało, był Saul Burlem.

„Klątwa pana Y” była tematem eseju, który półtora roku wcześniej Burlem odczytał

na konferencji w Greenwich przed czteroosobowym, jeśli i mnie liczyć, audytorium. Wtedy Burlem jeszcze nie czytał *Końca pana Y*, ale skoncentrował się na prawdopodobnych początkach powieści o „klątwie”. Miał głos szorstki jak papier ścierny i leciuteńko się garbił

w sposób, który o dziwo wcale nie był nieatrakcyjny. Mówił o idei klątwy jak o wirusie i omawiał twórczość Lumasa tak, jakby była organizmem zaatakowanym przez tego wirusa i skazanym być może na zagładę. Mówił o tym, jak informacje zostały skażone przez brak popularności, a na koniec podsumował, że książka Lumasa rzeczywiście jest przeklęta, nie w sensie nadnaturalnym, lecz przez opinie ludzi, którzy chcieli go zdyskredytować.

Później było przyjęcie w Malowanej Auli. Przyciągnęło tłumy: w tym samym czasie co Burlem wykład wygłaszał pewien słynny popularyzator nauki. Występował w dużej Dolnej Auli, pod wizerunkiem Kopernika, i zastanawiałam się, czy nie wybrać się na jego wykład, ale cieszę się, że

ostatecznie zdecydowałam się na Burlema. Reszta publiczności z wykładu Burlema - dwaj faceci, którzy gdyby nie słomiane, niemal białe włosy wyglądałoby trochę jak inspektorzy podatkowi, i babka po sześćdziesiątce, której myszowate włosy rozświetlały gdzieś różowe pasemka - ulotniła się zaraz po wykładzie, więc Burlem i ja zajęliśmy się czerwonym winem, oboje piliśmy za szybko i ukrywaliśmy się w dalszym rogu Górnej Auli. Burlem miał na sobie długi szary wełniany trencz narzucony na czarną koszulę i spodnie. Nie pamiętam, w co ja byłam ubrana.

- Więc pan by ją przeczytał? - zagadnęłam, mając na myśli *Koniec pana Y*, rzecz jasna.

- Oczywiście - odparł z tym swoim dziwnym uśmiechem. - A pani?

- Bezwzględnie tak. Zwłaszcza po tym co tu usłyszałam.

- To dobrze - powiedział.

Nie wyglądało na to, by Burlem znał kogokolwiek w Dolnej Auli, podobnie zresztą jak ja. Żadne z nas nie próbowało wymknąć się z naszego kącika i poudzielać towarzysko: nie jestem w tym specjalnie dobra i często nieumyślnie obrażam rozmówców; nie wiem, jakie powody miał Burlem - może po prostu jego nie zdążyłam jeszcze urazić. Przez cały czas w Malowanej Auli czułam się trochę jak jedna z wielu czekoladek w gigantycznej bombonierce, odcienie brązów, kremu, złota i czerwieni z wielkich malowideł wokół mnie stapiały się w jeden kolor. Może Burlem i ja byliśmy takimi czekoladkami z twardym nadzieniem, za którymi nikt nie przepada. Przez cały czas kiedy byliśmy w Górnej Auli, nie zajął do niej nikt inny.

- Nie mogę uwierzyć, że więcej osób nie przyszło, żeby pana posłuchać -

westchnęłam.

- Nikt nie wie, że istniał ktoś taki jak Lumas - odparł. - Już się do tego przyzwyczaiłem.

- No i musiał pan rywalizować z Panem Sławnym - dodałam.

Burlem się uśmiechnął.

- Jim Lahiri. Prawdopodobnie też nigdy nie słyszał o Lumasie.

- Raczej nie - przyznałam. Czytałam bestseller Lahiriego, popularnonaukową książkę o końcu czasu, i wiedziałam, że nie popierałby Lumasa, nawet gdyby o nim słyszał. Pisarzom popularnonaukowym uchodzą naprawdę szalone teorie, ale siły nadprzyrodzone, podobnie jak cały Lamarck, wciąż są na czarnej liście. Można postulować istnienie tylu wymiarów, ilu tylko się chce, pod warunkiem że w żadnym z nich nie ma miejsca na duchy, telepatię ani na nic, co można by uznać za robienie sobie jaj z Karola Darwina albo co lubiłby Hitler (z wyjątkiem Karola Darwina).

Burlem sięgnął po butelkę wina, na nowo napełnił nasze kieliszki, a potem spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

- Po co tu pani przyszła? Jest pani studentką? Jeśli pracuje pani nad Lumasem, powinienem panią

kojarzyć.

- Nie pracuję nad Lumasem - odparłam. - Pisuję artykułiki do czasopisma o nazwie *Smoke*. Pewnie nawet pan o nim nie słyszał. Teraz chyba napiszę coś o Lumasie, choć nie sądzę, żeby można to nazwać „rozpracowywaniem” w takim sensie, jaki pan miał na myśli. -

Zrobiłam pauzę, lecz Burlem nie odezwał się słowem. - Ale trudno o lepszy temat, nawet jeśli chodzi o pisaninę na taką małą skalę. Nie sposób się od niego oderwać. To znaczy, przy wszystkich kontrowersjach i przy tej całej kłątwie jego twórczość wciąż jest niesamowita.

- Jest - przytaknął Burlem. - Dlatego pracuję nad jego biografią. - Kiedy wypowiedział

słowo „biografia”, spojrzał najpierw na posadzkę, później na malowany sufit wysoko nad naszymi głowami. Musiałam mieć dziwną minę albo coś w tym rodzaju, bo kiedy znowu na mnie popatrzył, posłał mi krzywy, przepaszający uśmiech. - Nie cierpię biografii - wyznał.

Roześmiałam się.

- To czemu postanowił pan czyjaś napisać?

Wzruszył ramionami.

- Lumas mnie zaintrygował. A biografia wydaje się jedynym sposobem, żebym mógł

pisać o jego tekstach. To się może sprzedać. Chwilowo mamy modę na odgrzebywanie dziewiętnastowiecznych ekscentryków i może uda mi się na tym zarobić. Cholera, wydziałowi też przydałoby się jakieś finansowanie.

- Wydziałowi?

- Anglistyki i amerykanistyki. - Wymienił nazwę uniwersytetu.

- Zaczął pan nad nią pracować? - spytałam.

Kiwnął głową.

- Jasne. Niestety, w biografii Lumasa jest jeden szczegółik, który kompletnie mnie rozwała.

- Ten cios? - zasugerowałam, myśląc o Darwinie, z jakiejś przyczyny wyobrażając sobie gromkie plaśnięcie w chwili, gdy obalił się uderzony przez Lumasa.

- Nie. - Znowu podniósł wzrok na sufit. - Czytała pani coś Samuela Butlera?

- O, tak. - Pokiwałam głową. - Tak. Prawdę mówiąc, dzięki niemu dowiedziałam się o Lumasie. Była o nim wzmianka w *Notatnikach* Butlera.

- Czytała pani *Notatniki* Butlera?

- Aha. Podobał mi się zwłaszcza ten kawałek o cukrowych Hamletach.

Prawdę mówiąc, w Butlerze podoba mi się to samo co w Lumasie: status społecznego wyrzutka i błyskotliwość. Butler miał zajoba na punkcie świadomości; uważał, że odkąd wyewoluowaliśmy z organicznej materii roślinnej, nasza świadomość musiała na pewnym etapie wyłonić się z nicości. A skoro my rozwinęliśmy się niejako znikąd, czemu tego samego nie miałyby uczynić maszyny? Czytałam o tym zaledwie parę tygodni wcześniej.

- O cukrowych Hamletach?

- Aha. O takich słodyczach sprzedawanych wtedy w Londynie. Małych cukierkach w kształcie Hamleta trzymającego czaszkę, zanurzanych w cukrze. Czy to nie była bomba?

Burlem zaśmiał się.

- Założę się, że Butler uważał je za przezabawne.

- Jasne. Dlatego go lubię. Doceniam jego upodobanie do absurdu.

- Więc przypuszczalnie zna pani plotki na temat jego i Lumasa?

- Nie. Jakie plotki?

- Że byli kochankami; w każdym razie że Lumas durzył się w Butlerze.

- Nie miałam pojęcia - odparłam. A potem się uśmiechnęłam. - Czy to ważne?

- Pewnie nie. Ale tak dochodzimy do biograficznego szczegółu, który najbardziej mnie interesuje.

- A mianowicie?

- Czytała pani *Autorkę Odysei*?

- Nie. - Pokręciłam głową. - *Autorkę*... ?

- Musi pani to przeczytać. To argumentacja Butlera, że *Odyseję* napisała kobieta.

Niewiarygodna rzecz, po prostu genialna. - Butler przegarnął palcami włosy i mówił dalej: -

Razem z nią Butler opublikował własny przekład *Odysei*, z czarno-białymi ilustracjami przedstawiającymi zrobione przez niego zdjęcia starych monet i krajobrazów wymienianych w *Odysei*. Na tle jednego z nich, rzekomo wąskiej zatoczki, do której wpłynął Odyseusz, widać w oddali mężczyznę z psem. We wstępie do książki Butler bardzo wylewnie za to przeprosza i tłumaczy, że postać pojawiła się dopiero na wywołanym negatywie; że ani człowieka, ani psa nie powinno tam być.

- No proszę - rzekłam niepewna, do czego ten wywód zmierza. - Więc...

- Ten człowiek na zdjęciu to Lumas. Jestem tego pewny.

- Skąd pan wie?

- Nie wiem. Nie wiem nawet, czy razem podróżowali. Ale to, jak ten człowiek pojawia się na wywołanej fotografii, wcześniej niezauważony... Postać nie jest na tyle wyraźna, żeby można rozpoznać, kto to jest, ale... A jeśli to był Lumas? Albo nawet jego duch, tylko zanim jeszcze Lumas pożegnał się z życiem? Możliwe, że jestem trochę pijany. Przepraszam. Ale on naprawdę miał psa, nazwał go Erazm.

W tym samym momencie Burlem zrobił dziwny, gwałtowny ruch głową, jakby usiłował wytrząsnąć wodę z ucha. Zmarszczył czoło, jak gdyby się zastanawiał nad nader trudnym pytaniem, a potem zrobił inny grymas, jak gdyby chciał dać mi do zrozumienia, że to pytanie też jest zupełnie nieistotne. Następnie uniósł jedną brew, uśmiechnął się, podszedł do stołu i ujął kolejną butelkę wina. Kiedy po nią sięgał, ja przyglądałam się wielkiemu malowidłu ściennemu za jego plecami. Była to scena przedstawiająca, jak mi się zdawało, króla zstępującego z niebios na czerwonawe, wyłożone dywanem schody. Schody te wyglądały raczej na część sali niż samego malowidła, a przedstawione na nim postaci tak, jakby mogły po tych schodach wkroczyć do rzeczywistości, do chwili teraźniejszej.

- Lumas może panią doprowadzić na skraj szaleństwa - powiedział Burlem, wracając.

- Ale pomysł z fotografią mi się podoba - stwierdziłam. - Kojarzy mi się z jednym z jego opowiadań zatytułowanym *Dagerotyp*.

- Czytała je pani?

Przytaknęłam skinieniem.

- Jasne. To chyba moje ulubione.

- Jakim cudem wpadło pani w ręce?

- Kupiłam na eBayu. Było w zbiorze opowiadań. Mam prawie wszystkie dzieła Lumasa oprócz *Końca pana Y*. Wiele znalazłam w antykwariatach internetowych.

- I wszystko po to, żeby napisać artykuł do gazety?

- Aha. Zawsze pracuję na cały gwizdek. Przez miesiąc żyję i oddycham, dajmy na to, Samuelem Butlerem. Potem znajduję u niego odniesienie do innego utworu. Moja rubryka nosi nazwę „Wolne skojarzenia”. Zaczęłam od Wielkiego Wybuchu trzy lata temu.

Burlem się zaśmiał.

- A on jakie pani nasunął skojarzenia?

- Z właściwościami wodoru, z prędkością światła, względnością, mechaniką kwantową, teorią

prawdopodobieństwa, kotem Schrödingera, funkcją falową, światłem, doświadczeniem ze światłonośnym eterem - to akurat mój osobisty faworyt - z paradoksem...

- Jest pani naukowcem? Naprawdę rozumie pani to wszystko?

Zaśmiałam się.

- Boże, a skąd. Skąd znowu. Chociaż bardzo bym chciała. Pewnie nie powinnam była zaczynać od Wielkiego Wybuchu, ale jak już się od niego zacznie, to dalej samo leci. W

pewnym momencie przeszłam od sztucznej inteligencji do Butlera, a teraz utknęłam na Lumasie. Popracuję nad nim i w tym czasie postanowię, w jakim kierunku podążę potem, żebym zdążyła zamówić wszystkie potrzebne książki. Może się przerwę na historię fotografii, rozwijając myśl zaczerpniętą z *Dagerotypu*. A może pójdę w stronę czwartego wymiaru i tej książki Zollnera, chociaż wtedy automatycznie wróciłabym do tematyki naukowej.

W *Dagerotypie* pewien człowiek się budzi i widzi w parku po drugiej stronie ulicy kopię swojego domu otoczoną dużą grupą gapiów. Skąd wziął się ów dom? Sąsiedzi natychmiast oskarżają mężczyznę, że popadł w szaleństwo i zapłacił za to, by przez noc zbudowano kopię jego domu. On przekonuje, że nie byłoby to możliwe. Kto by zdołał

zbudować dom w ciągu jednej nocy? Poza tym dom w parku wcale nie robi wrażenia nowego.

W istocie rzeczy stanowi wierną kopię „prawdziwego” domu, aż po rysy na drzwiach i ślad patyny na mosiężnej kołatce. Jedyne różnice są takie, że w kopii klucz nie wchodzi do zamka, bo dziurka wydaje się czymś zapchana bądź zablokowana. Mężczyzna początkowo usiłuje ignorować kopię domu, lecz jej pojawienie się wkrótce zaczyna mu spędzać sen z powiek, aż czuje się zmuszony dowiedzieć, skąd się wzięła. Z powodu domu w parku traci posadę nauczyciela, a jego narzeczona ucieka z innym. W sprawę angażuje się także policja i oskarża mężczyznę o najróżniejsze przestępstwa. Sam dom również obdarzony jest osobliwymi właściwościami, z których główna jest taka, że nikt nie może do niego wejść.

Można zerkać przez okna na to, co znajduje się w środku - stół, wazon z kwiatami, sekretarzyk, pianino - ale nikt nie potrafi wybić szyby ani wyważyć drzwi. Dom zachowuje się jak lita bryła, jakby w środku nie było przestrzeni.

Któregoś dnia, kiedy bohater opowiadania odchodzi od zmysłów ze zgrozy, w domu (prawdziwym) odwiedza go tajemniczy starzec ze skrzynią pełną przedmiotów. Oznajmia gospodarzowi, że słyszał o jego przejściach i chyba wie, co go spotkało. Wyciąga wyściełany aksamitem składany futerał i wyjaśnia, czym jest dagerotypia i jak działa. Mężczyzna z początku się niecierpliwi. Przecież każdy wie, jak powstają dagerotypy! Wtedy jednak gość wygłasza niezwykle stwierdzenie. Jeśli ludzie, istoty trójwymiarowe, potrafią tworzyć dwuwymiarowe kopie rzeczy ze swojego otoczenia, to czy nie słuszne byłoby założenie, że czterowymiarowe istoty także umiałyby stworzyć coś na kształt maszyny do robienia dagerotypów, lecz takiej, która zamiast płaskich, dwuwymiarowych kopii przedmiotów daje kopie trójwymiarowe?

Mężczyzna wybuchł gniewem i wyrzucił fotografa z domu przekonany, że musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie. Ale nie udało mu się go znaleźć i z czasem dochodzi do wniosku, że gość musiał mieć rację. Odszukuje jego kartę wizytową i postanawia bezzwłocznie go odwiedzić. Kiedy jednak pokojówka wpuszcza go do domu owego starca, mężczyzna widzi coś bardzo dziwnego. Wydawałoby się, że fotograf stoi w bawialni, trzymając dagerotyp. Tyle że nie jest to prawdziwy fotograf: to jego naturalnej wielkości kopia.

- Wie pani, co mnie najbardziej urzekło w *Dagerotypie*? - spytał mnie Burlem.

- Co?

- Nierozstrzygnięte zakończenie. Podoba mi się, że ten człowiek nie doczekał się odpowiedzi na swoje pytania.

Aż do tamtego momentu w Malowanej Auli nie rozbrzmiewała muzyka, a echo w wielkich salach mogło podchwytować tylko szmer głosów i śmiechy. Najwyraźniej jednak ktoś przypomniał sobie w końcu, że miała być muzyka, i do auli napłynęły pierwsze ciężkie nuty *Dixit Dominus* Händla, a za nimi pierwsze słowa odśpiewane bezładnym chórem: *Dixit Dominus Domino meo, sede a dextris meis*.

- A więc - odezwał się Burlem, przekrzykując muzykę - pracuje pani dla tego czasopisma na cały etat?

- Nie. Piszę jeden artykuł na miesiąc.

- I nigdzie indziej pani nie pracuje?

- Chwilowo nie.

- Da się z tego wyżyć?

- Ledwo, ledwo. Pismo świetnie się sprzedaje. Starcza na czynsz i kilka torebek soczewicy. No i na trochę książek, rzecz jasna.

Czasopismo zaczynało bardzo skromnie, redagowane przez pewną babkę, którą poznałam na uniwersytecie. Teraz doczekało się umowy dystrybucyjnej i jest rozdawane w każdym dużym sklepie z płytami w kraju. Dorobiło się reklam z prawdziwego zdarzenia i projektanta, który robi makietę, nie posługując się klejem.

- Czym się pani zajmowała na uniwersytecie? Zakładam, że nie naukami ścisłymi.

- Nie. Literaturą angielską i filozofią. Ale poważnie zastanawiam się nad powrotem do nauk ścisłych. Chyba spróbuję podejść do fizyki teoretycznej.

Wyjaśniłam, że chcę się nauczyć dość, by w pełni zrozumieć takie sprawy, jak teoria względności i kot Schrödingera, i że chcę spróbować ożywić koncepcję ukochanego starego eteru. Chyba się trochę ubzdryngoliłam, bo przez jakiś czas paplałam o światłonośnym eterze.

Burlem znał to pojęcie - okazało się, że prowadzi na uniwerku kursy podyplomowe z literatury i nauki dziewiętnastego wieku - lecz dalej się rozwodziłam nad tym, jakie to fascynujące, że przez wieki ludzie nie mogli dojść do tego, jakim cudem światło może wędrować w próżni, zważywszy, że dźwięk nie może (dzwon umieszczony w próżni widać, ale nie słychać jego dzwonienia). W dziewiętnastym wieku uważano, że światło wędruje w czymś niewidzialnym - w światłonośnym eterze. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym roku Albert Michelson i Edward Morley postawili sobie za cel udowodnienie, że eter istnieje, ostatecznie jednak doszli do wniosku, że nie istnieje. Rozmawiając z Burlemem, nie mogłam, rzecz jasna, przypomnieć sobie daty tego eksperymentu czy nazwisk naukowców, za to pamiętałam, że Michelson pisał o utraconym przedmiocie eksperymentu jako o „ukochanym starym eterze, który niniejszym zostaje zarzucony, choć osobiście wciąż trudno mi się z nim rozstać”. Trochę się podekscytowałam, kiedy doszłam do tego, jak wiele z poezji ma w sobie fizyka teoretyczna, a potem trochę poperorowałam o tym, jak bardzo cenię instytucje: zwłaszcza takie z dużymi bibliotekami.

Później Burlem przerwał mi, mówiąc:

- Nie rób tego. Pieprzyć fizykę teoretyczną. Przyjdź pisać u mnie doktorat. Bo zakładam, że jeszcze go nie zrobiłaś?

Rozwaliło mnie, jak to powiedział. Pieprzyć fizykę teoretyczną.

- Co miałabym robić w ramach tego doktoratu? - spytałam.

- A czym się interesujesz?

Zaśmiałam się.

- Wszystkim. - Wzruszyłam ramionami. - To chyba mój największy problem.

Chciałabym wiedzieć wszystko. - Musiałam być pijana, skoro się do tego przyznałam. Dobrze chociaż, że nie posunęłam się dalej i nie wywaliłam, że chcę wszystko wiedzieć, bo istnieje duże prawdopodobieństwo, że jeśli wie się wszystko, znajdzie się też coś, w co będzie można naprawdę uwierzyć.

- No śmiało - zachęcał Burlem. - Co cię kręci?

- Kręci?

Upił duży łyk wina.

- Aha.

- Chyba jeszcze nie wiem, co mnie kręci. Dlatego pisuję do tej gazety. Tu chodzi o swobodne skojarzenia. Jestem w tym dobra.

- Więc zaczynasz od Wielkiego Wybuchu i przedzieras się przez meandry nauki, dopóki nie zatrzymasz się na Lumasie. Musi istnieć jakiś związek między wszystkimi rzeczami, o których

pisałaś.

Upiłam więcej wina.

- Poglądy Lumasa na temat czwartego wymiaru są szczególnie interesujące. To znaczy, może nie wpadł pierwszy na teorię strun, ale...

- A co to jest ta teoria strun?

Wzruszyłam ramionami.

- Mnie niech pan nie pyta. Właśnie dlatego chcę studiować fizykę teoretyczną. W

każdym razie tak mi się zdaje.

Burlem parsknął śmiechem.

- Ja pierdolę. No dalej, znajdź jakiś związek.

Zastanawiałam się przez chwilę.

- Przypuszczam, że prawie wszystko, o czym pisałam, ma jakiś związek z eksperymentami myślowymi albo „eksperymentami umysłu”, jak nazywał je Lumas.

- Dobrze. I?

- Mmm... sama nie wiem. Ale nawet mi się podoba, że można mówić o nauce, niekoniecznie odwołując się do matematyki, używając natomiast metafor. Dokładnie tak podchodziłam do moich artykułów. Za każdą ideą i teorią kryje się historyjka, której można się doszukać.

- Interesujące. Podaj przykład.

- No kot Schrödingera, rzecz jasna. Każdy rozumie, że kot nie może być równocześnie żywy i martwy, ale mało kto by zrozumiał tę zasadę wyrażoną matematycznie. I jeszcze pociągi Einsteina. Wszystkie jego przemyślenia na temat szczególnej teorii względności są wyrażone metaforami nawiązującymi do pociągów. Uwielbiam to. A kiedy w naszych czasach ludzie chcą zrozumieć czwarty wymiar, wciąż wracają do *Flatlandii* napisanej w tysiąc osiemset osiemdziesiątym którymś. Przypuszczam, że na Butlera też można patrzeć w ten sposób. *Erewhon* to w gruncie rzeczy eksperyment myślowy, który ma w zamierzeniu obnażyć prawdy o społeczeństwie i maszynach.

- Więc bierz się za konspekt. Zrób doktorat z eksperymentów myślowych: byłbym bardzo zainteresowany wystąpieniem w roli promotora. Popracuj nad innymi powieściami i poezją. Thomasem Hardym i Tennysonem też radziłbym ci się zainteresować. Tylko uważaj, żeby cię nie poniosło. Wyznacz sobie ramy czasowe albo jakiegokolwiek inne ograniczenia. Nie próbuj pisać historii eksperymentów myślowych od zarania dziejów. Skup się, powiedzmy, na przedziale od tysiąc osiemset pięćdziesiątego dziewiątego do tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego albo coś w tych okolicach. Zacznij od Darwina, a skończ... czy ja wiem... na bombie atomowej.

- Albo na kocie Schrödingera. To chyba było jakoś w latach trzydziestych. Bomba jest zbyt rzeczywista... właściwie jest punktem, w którym eksperyment myślowy zbiega się z rzeczywistością, to miałam na myśli.

- Być może. - Burlem potarł dłonią zarost na twarzy. - I co o tym myślisz? Myślę sobie, że bez problemu moglibyśmy cię zapisać. Masz magistra?

- Jasne.

- Wyśmienicie. Więc zrobmy to. Praktyki też mogą ci załatwić, jeśli chcesz.

- Serio?

- Serio. - Burlem wręczył mi swoją wizytówkę. Pod jego imieniem i nazwiskiem wydrukowanymi tłustą czcionką widniał dopisek: profesor literatury angielskiej.

Napisałam zatem konspekt i zakochałam się w swoim pomysłe, ale potem... Sama nie wiem. Kiedy zaczęłam pracować z Burlem, miałam wrażenie, że pomysł z Lumasem nagle mu się odpodobał. Konspekt oczywiście zatwierdził - planowałam przyrzeć się językowi i formie eksperymentów myślowych od *Zoonomii* do kota Schrödingera - i wszystko się Burlemowi podobało, dopóki nie napomknęłam o Lumasie. Kiedy o nim wspomniałam, zaczął unikać mojego wzroku. Wyglądał przez okno - teraz moje okno - i milczał. Rzuciłam jakiś żarcik, który nawiązywał do naszej rozmowy na konferencji, coś w stylu: „To jak, są nowe ofiary naszej klątwy?”, a on spojrzał na mnie i powiedział: „Zapomnij o tamtym referacie, okej? Zostaw Lumasa na później”. Radził, żebym na początek skoncentrowała się na konkretnych eksperymentach myślowych: kocie Schrödingera, *Względności* Einsteina i *Flatlandii* Edwina A. Abbota. Namówił mnie też, żebym pominęła *Zoonomię*, książkę dziadka Karola Darwina o ewolucji, i zaczęła później, od tysiąc osiemset pięćdziesiątego dziewiątego roku, kiedy ukazało się dzieło *O powstawaniu gatunków*. Przypomniął mi również, żebym nie zaniedbała poezji. Nie miałam pojęcia, co w niego wstąpiło, ale godziłam się potulnie. Aż tu nagle, zaledwie tydzień później, zniknął.

I oto jestem pozbawiona promotora, jestem niczym eksperyment bez obserwatora -

może Flemingowa płytka z pleśnią albo niezalamująca się funkcja falowa - i cóż robię?

Czytam Lumasa. Czytam *Koniec pana Y*. Pieprz się, Burlem.

ROZDZIAŁ 3

KONIEC PANA Y

THOMASA E. LUMASA

PRZEDMOWA

Wywód, który tu nastąpi, może się wydać Czytelnikowi byle fantazją bądź snem spisany rychło po przebudzeniu, w owych chwilach rozgorączkowania umysłu, gdy człek wciąż jest zahipnotyzowany czarodziejskimi sztuczkami rodzącymi się w umyśle, gdy ma się zamknięte oczy. Czytelnik nie powinien porzucać sceptycyzmu, jest bowiem ich wolą zerknąć za zasłonę Iluzjonisty, tak jak wolą człowieka jest zadawać szczególne pytania - co? gdzie? jak? - dotyczące życia.

Życia, ale i snów. Obrazów, słowa. Tak myśli, jak i mowy.

Kiedy patrzy się na iluzje świata, widzi się jeno świat. Gdzie bowiem kończy się iluzja? W rzeczy samej czego w życiu nie można nazwać sztuczką magika? Od skamielin znajdujących na wybrzeżu po rurkę Geisslera niedawno demonstrowaną w Towarzystwie Królewskim, wszystko wokół nas wydaje się wypełnione fantazjami i cudami. Robert Houdin skonstruował swoje automaty, by tworzyć iluzje, ja zaś proponuję niniejszym stworzenie automatu w umyśle, poprzez który można dostrzec iluzje i rzeczywistości poza nami; z którego ktoś, kto wie, jak to uczynić, może przeskoczyć do automatów wszystkich umysłów i ich elektryczności. Możemy zapytywać, czym jest iluzja i jaką może przybrać formę, kiedy tak łatwo zanurzyć się w jej głębi niczym ryba w stawie i kiedy zmarszczki, które rozchodzą się na jej tafli, nie są zmarszczkami iluzji ni rzeczywistości, lecz zaiste zmarszczkami powstałymi w wyniku zderzenia obu światów: świata Iluzjonisty oraz świata Jego widowni.

Może być, iż wprowadzam Czytelnika w błąd, mówiąc o Iluzjoniście w ten sposób. Niechaj kreator stanie się kuratorem! A my, stworzenia, które żyją snami o świecie zrodzonym z naszej myśli; które nadają miano zwierzętom lądowym i wodnym chodzącym i pełzającym po tej najcenniejszej tajemniczej ziemi; które kolekcjonują je w swoich muzeach - my uważajmy się za kuratorów. Jakaż siła niesie światło przez eter do każdego oka z każdego horyzontu? A dalej czeka nie prawda, lecz to, co myśmy prawdą uczynili; jednakże jest to prawda, której nie umiemy dostrzec.

Jestże możliwe, by owo miejsce - miejsce, gdzie sny i automaty są jednością, gdzie sama kwintesencja bytu wyczarowana jest ze wspomnień nie bardziej realnych czy nierealnych niż sen, w którym możemy je obserwować, gdzie ryby z nosami, szczękami i skórą z myśli jedynie powstałymi igrają na powierzchni zbiornika kaprysów naszego stwórcy - jestże możliwe, by owo miejsce było realne, stworzone niczym w metaforach Arystotelesa? Zaiste, jedynie w *logos metaphora* dane jest nam odnaleźć Protasie przeszłości, ową splendoru pełną iluzję, którą zwiemy pamięcią, tę zasłonę przeznaczenia szczelnie zaciągniętą wokół świadomego umysłu, lecz obecną w każdej cząsteczce każdego bytu, od morskich stworów po człowieka, od otoczków po ocean, jak utrzymywali Lamarck i E. Darwin. Czy miejsce to może być realne? Być może nie. Z tej oto przyczyny moim życzeniem jest, aby w tym utworze fikcji i tylko fikcji się dopatrywano.

T. E. Lumas, lipiec 1892.

PROLOG

Przede mną wybrzeże w czasie wykute,

Łódź rybacka na fali kołysana;

Dno piaszczyste nietknięte stopą ni butem;

A w dali - jaskinia nieznana.

A może - las ciemny od dębów i cisów,

Klacz kara, co czyta z mych ócz,

I niesie mnie tam, gdzie bezruch i prawda,

Gdzie odrzwia tej chaty i ten tu - klucz!

Może mnie wonczas znęci cisza niezmacona,

Tam gdzie maków pąs plami zieleń traw:

A myśl ukryta, przez człeka raz wyśniona

już się nie odeśni i po wieczność trwa.

Uciekam, a gdziekolwiek znajdę schronienie

Ciemności najgłębsze w światło przemienię.

Kończę czytać przedmowę około dziewiątej wieczorem: „Moim życzeniem jest, aby w tym utworze fikcji i tylko fikcji się dopatrywano”. Tak się kończy przedmowa, lecz co to znaczy?

Przecież każdy wie, że powieść to fikcja?

Główny wątek zaczyna się od wizyty pewnego przedsiębiorcy, pana Y, w wesołym miasteczku w deszcz. Ale jeszcze nie czytam uważnie. Pobieżnie przebiegam wzrokiem kilka pierwszych rozdziałów, to tu, to tam czytając przypadkowo wybrane zdanie. Podoba mi się pierwsza linijka: „Skończyłem jako nikt, lecz na początku znano mnie jako pana Y”. W

dalszym ciągu kartkuję książkę, dopóki nie docieram do samego końca (którego rzecz jasna nie czytam), głównie dlatego, że lubię dotyk kartek, po czym wracam do pierwszego rozdziału. I właśnie przerzucając książkę w przeciwnym kierunku, zauważam, że brakuje jednej kartki. Między verso strony sto trzydziestej a recto strony sto trzydziestej trzeciej jest tylko postrzępiony pasek papieru. Strony sto trzydziesta pierwsza i sto trzydziesta druga, dwie strony jednej kartki, przepadły!

Z początku sama nie mogę w to uwierzyć. Kto chciałby ot tak, wrywać kartkę z *Końca pana Y*? Jakiś

wandal? Uważnie sprawdzam resztę książki. Nie ma innych wyrwanych kartek ani żadnych innych oczywistych oznak, że ktoś chciał ją zniszczyć. Po co więc miałby wydzierać kartkę? Nie spodobała się komuś? A może ktoś ją ukradł? Z drugiej strony, jeśli chce się ukraść kartkę z książki, to czy nie lepiej ukraść całą książkę? Mam mętlik w głowie.

Wzdrygam się, żałując, że ziąb wciąż tak mocno trzyma.

Słyszę, jak na dole z piskiem otwierają się główne drzwi, co dowodzi, że Wolfgang raczył wrócić. Kilka sekund później ktoś cichutko stuka do moich.

- Otwarte! - wołam, chowając powieść.

Wolfgang jest niskim blondynem urodzonym w Berlinie Wschodnim. Nie sędzę, żeby zdarzało mu się umyć włosy. Dzisiaj jest ubrany jak zawsze, kiedy ma występ w hotelu: w bladoniebieskie dżinsy, białą koszulę i ciemnoniebieską marynarkę. Kiedy poznałam Wolfganga w dniu, gdy wprowadzał się do mieszkania, oznajmił mi, że ma takiego doła, że nie jest w stanie zdobyć się na dostatecznie dużo entuzjazmu, żeby się zabić. Zmartwiłam się i zaczęłam robić drobne, uprzyjemniające życie gesty w jego stronę, takie jak gotowanie mu zupy i proponowanie, że przyniosę dla niego książki z uniwersyteckiej biblioteki. Przez iks czasu zupę chciał, a za książki dziękował, ale ostatnio prosił mnie o poezję: przeważnie o Ginsberga i Bukowskiego.

Gdy Wolfgang wchodzi do mieszkania, rozpamiętuję słowa Lumasa o pytaniach dotyczących życia. „Życia, ale i snów”. Opowiedzieć Wolfgangowi o książce? Może później.

Uśmiecha się do mnie smutno.

- No cóż. W jakimś wszechświecie jestem bogaczem. Dla mnie robisz te pieczone kartofelki?

O tym byciu „bogaczem w jakimś wszechświecie” usłyszał ode mnie. Słowa te wypowiedział amerykański fizyk rosyjskiego pochodzenia George Gamow, kiedy przegrał

wszystkie swoje pieniądze w kasynie. Innymi słowy Wolfgang jak zwykle przerznął w hotelowym kasynie napiwki za wszystkie występy. Być może w jednym ze wszechświatów równoległych inna wersja Wolfganga wygrała tysiące funtów.

- Yhm - odpowiadam. - Kartofelki z... - Rozglądam się po kuchni. - Oliwą z oliwek. I z solą. Hm... Chyba jeszcze znajdzie się jakaś cebula.

- Super - ucieszył się, siadając przy kuchennym stole i nalewając sobie śliwowicy. -

Delikates. - To taki nasz prywatny żarcik. „Delikates prima sort” jest jeszcze gorszy i oznacza posiłek za grosze. Ja czasami robię „delikates prima sort” z soczewicy, u Wolfganga

„delikates prima sort” oznacza najczęściej smażoną kapustę.

Otwieram piekarnik i wyjmuję ziemniaki.

- Chyba można by powiedzieć, że ja też jestem bogata w jakimś wszechświecie -

mówię przez gorącą parę. Stawiam blachę na blacie i uśmiecham się do Wolfganga.

Odpowiada uniesieniem jasnej brwi.

- Ty też obstawiałaś?

- Nie. - Śmieję się. - Kupiłam książkę. Zostało mi koło pięciu funtów do czasu, kiedy dostanę wypłatę z czasopisma, czyli jakoś pod koniec miesiąca. To była... to była dość kosztowna książka.

- Chociaż dobra?

- Tak. O, tak... - Wciąż nie mam zbytnej ochoty, żeby mu o niej opowiadać.

Zaczynam kroić cebulę na plasterki. - Och... Uniwersytet się dzisiaj zawalił.

- Zawalił się? - Śmieje się. - Czy ty go wysadziłaś? Nie? To co się stało?

- Okej, no nie cały się zawalił, ale jeden budynek owszem.

- Bomba?

- Nie. Tunel kolejowy. Pod kampusem. Ziemia się zapadła, a potem...

Wolfgang dopija lufkę i nalewa następną.

- Tak, rozumiem. Zbudowaliście coś na niczym i wszystko się zawaliło. Ha. - Śmieje się. - Ile trupów?

- Ani jednego. Rano ewakuowali wszystkich z budynku.

- Ha, czyli uniwersytet jest zamknięty?

- Nie wiem. Chyba musieli go zamknąć, przynajmniej na weekend.

Rozgniatam pokropione oliwą ziemniaki i stawiam je na stole z oliwkami, kaparami i musztardą. Siadamy do kolacji.

- A w ogóle co u ciebie słychać? Jak życie? - pytam.

- Do dupy. Zero kasy. Za dużo myszy. Ale odzyskałem popołudniową zmianę.

- Fantastycznie - odpowiadam. - A co się stało z tą... jak jej tam było?

Kilka miesięcy wcześniej pojawiła się utalentowana małolata i wygryzła Wolfganga z części zmian. Z jej punktu widzenia opowieść musiała brzmieć podniecająco: nastoletnia dziewczyna dostaje życiową szansę i propozycję zabawiania gości grą na pianinie. Oznaczało to jednak, że Wolfgangowi

nie starczy na czynsz i rachunki, więc przestał je płacić.

- Wypadek z kucem.

Uśmiecham się, kiedy uzupełnia szczegóły, ale wcale nie słucham. Myślę o książce.

- Wolf?... - odzywam się, kiedy skończyliśmy kolację.

- Co?

- Wierzysz w klątwy?

Patrzy na mnie, nieznacznie przechylając głowę na bok.

- W klątwy? Jakiego rodzaju?

- W przeklęte przedmioty na przykład. Czy rzecz może być przeklęta?

- A, to interesujący temat - stwierdza. - Można by argumentować, że wszystko jest przeklęte.

Miałam przecucie, że tak podejdziesz do sprawy.

- Tak, ale...

Dolewa sobie śliwownicy, a ja wstaję, by zorganizować jakąś kawę.

- Można też zadać sobie pytanie, czemu klątwy w ogóle istnieją. Jaki jest ich cel?

Zastanawiam się nad tym od dawna, odkąd byłem na Wagnerze z Catherine.

Wolf ma pannę, która usiłuje go „uszlachetnić”, zabierając do opery.

- Myślę, że chyba powinniśmy zacząć od definicji „klątwy” - proponuję. - To słowo czy rzecz?

Wolfgang jęczy. Zaliczył już ze mną dostatecznie dużo konwersacji, które zaczynały się podobnie. Zwykle kończyły się kłótnią o Derridę i *différance*.

- Przestań, proszę. Nie zaczynaj mnie katować tym swoim francuskim dekonstrukcjonizmem. Po prostu poudawaj przez chwilę, że jest coś takiego jak klątwa, że istnieje i że jest rzeczą. Skąd się bierze? Właśnie to pytanie powinniśmy sobie zadać.

- Doprawdy?

- Owszem. Czy to coś magicznego? A może to przepowiednia, która się sprawdza, ponieważ my ją urzeczywistniamy? A może nie jest ani tym, ani tym, a sposobem, w jaki tłumaczymy sobie złe rzeczy, które się nam przydarzają, a które w rzeczywistości są przypadkowe? Mogę zadać sobie pytanie: skąd w moim mieszkaniu wzięło się tyle myszy?

Czy ktoś mnie przeklął? A może po prostu któregoś dnia zostawiłam na wierzchu za dużo jedzenia i sama je skusiłam? A może życie jest takie proste jak stwierdzenie: „Mam myszy, bo myszy istnieją”?

- Zapalam papierosa. - Dzisiaj znalazłam trzy.

- Trzy co? Klątwy?

Śmieję się.

- Nie. To dopiero byłby pech. Nie. Trzy myszy.

- I gdzie je wypuściłaś? Oby nie znowu na korytarzu.

- Nie. Na dworze. Na podwórku za Luigim.

Wolf znowu zaczyna gadkę o sprawieniu sobie kota. Po kilku minutach dzbanek z kawą zaczyna gwizdać i nalewam kawy dla siebie i dla Wolfa.

- Zresztą - dodaje, robiąc powolny wydech, kiedy stawiam przed nim kubek - jedno mnie zastanawia, jeśli chodzi o klątwy: czy mogą istnieć, jeśli nie wierzymy w nie?

Znowu się śmieję.

- Czym to się różni od tego, co ja mówiłam?

- Tak jest prościej.

- Nie, jeśli się dobrze nad tym zastanowić.

Kiedy Wolf zaczyna mówić o klątwach wudu i o tym, że działają tylko na ludzi, którzy w wudu wierzą, wyobrażam sobie coś w rodzaju wstęgi Möbiusa, kształtu, który można uzyskać, jeśli sklepi się końce długiego paska papieru tak, żeby jeden był obrócony o sto osiemdziesiąt stopni w stosunku do drugiego. Można by radośnie w nieskończoność spacerować po jednej stronie tego paska, nie zdając sobie sprawy, że w przedziwny sposób co rusz przechodzi się ze „strony” na „stronę”. Tak jak niegdyś świat wydawał się płaski, tak płaski teraz wydawałby się świat spacerującego. Moglibyście tak iść bez końca i nie zdawać sobie sprawy, że w nieskończoność wracacie do początku i zaczynacie od nowa. Nie wiedzielibyście o tym nawet pomimo obróconej końcówki paska. Wasza rzeczywistość zmieniałaby się, ale jeżeli chodzi o wasz odbiór sytuacji, to w dalszym ciągu byście szli po płaskiej ścieżce. Gdyby wstęga Möbiusa była wymiarem przestrzennym, całe wasze ciała gwałtownie by się przeorientowały w chwili, kiedy byście przekraczali miejsce obrotu, i serca mielibyście po prawej stronie, dopóki ponownie nie zrobilibyście pełnej pętli.

Dowiedziałam się o tym z jednego z wykładów z fizyki, które ściągnęłam na swojego iPoda.

Na Gwiazdkę zrobiłam sobie trochę papierowych łańcuchów ze wstęg Möbiusa. Byłam przygotowana na to, że cały dzień spędzę sama, czytając i popijając wino; potem wpadł

Wolf z olbrzymim koślawym puddingiem śliwkowym i resztę wieczoru przesiedzieliśmy razem.

- A jeśli klątwy nie są dziełem ludzi? - zagadnęłam.

- Ha! - mruknął Wolf. - Twoim zdaniem rzucają je bogowie.

- Nie. Oczywiście, że nie. To tylko hipotetyczne pytanie. Czy można stworzyć coś za pośrednictwem języka niezależnie od ludzi, którzy się nim posługują? Czy język może się stać samoreplikującym się systemem albo...

Nagle zdaję sobie sprawę, że jestem pijana, i natychmiast zamykam dziób. Mimo to przez chwilę rozważam pomysł, że coś mogłoby się wyłonić z języka - przypadkowo albo może przez pomyłkę - a użytkownicy tego języka musieliby później stawić czoło konsekwencjom wciągnięcia nowego słowa do swojego systemu znaczeń. Mętnie przypominam sobie radiową audycję dokumentalną o Świętym Graalu dowodzącą, że całe zamieszanie było wynikiem pomyłki: źle zapisanego słowa w starofrancuskim tekście.

Przez pewien czas siedzimy w milczeniu, a za oknem przetacza się pociąg. Później zaczynam zbierać nakrycia ze stołu, podczas gdy Wolfgang dopija kawę.

- Tak czy inaczej - zwracam się do niego - w końcu mi nie odpowiedziałeś. Tak czy nie?

- Tak czy nie co?

- Czy wierzysz w klątwy, w przeklęte przedmioty.

- To czy coś jest przeklęte czy nie, jest akurat najmniej ważne - stwierdza. - Trzeba się dowiedzieć, dlaczego coś jest przeklęte i co to za klątwa. Daj, ja pozmywam.

- Okej.

Wolf wstaje, podchodzi do zlewu i wyciska na talerze mniej więcej połowę zawartości płynu do zmywania. Następnie puszcza ciepłą wodę, klnie pod nosem, bo woda nigdy nie jest aż tak gorąca, jak on lubi, i ostatecznie gotuje wodę w czajniku i polewa nią naczynia.

Zastanawiam się, czy pokazać mu *Koniec pana Y*. Postanawiam wreszcie, że nie. Przed wyjściem Wolf rzuca mi takie spojrzenie, jakby jego oczy były źródłem elektryczności, i mówi:

- Ty coś takiego masz, zgadza się? Coś, co twoim zdaniem jest przeklęte.

- Nie wiem - odpowiadam. - Pewnie nie. Prawdopodobnie jest mi tylko trochę dziwnie po dzisiejszym dniu, no bo i ten uniwersytet się zawalił, i zimno tu jak w psiarni, wypiałam za dużo tej twojej cholernej śliwownicy i...

- Będziesz chciała, to mi pokażesz - przerywa. - Moje życie już nie może być gorsze.

Nie martw się, że musisz mnie chronić.

- Dzięki - mruczę. Cholera. Co się ze mną stało? Chronienie Wolfganga było ostatnią rzeczą, o jakiej

myślałam. Najzwyczajniej chciałam mieć tę książkę tylko dla siebie i jeśli mam być szczerą, zapobiec ewentualnej próbie jej podwędzenia. Kiedy kładę się spać z uczuciem suchości w ustach i z *Końcem pana Y* pod drugą, pustą poduszką, zastanawiam się, czy klątwy w ogóle istnieją.

ROZDZIAŁ 4

Czasem budzę się z takim przytłaczającym uczuciem zawodu, że aż trudno mi oddychać.

Zwykle dzieje się to bez oczywistej przyczyny i kładę ten fakt na karb nieszczęśliwego dzieciństwa i złych snów (te dwie rzeczy świetnie do siebie pasują). I najczęściej udaje mi się dosyć szybko otrząsnąć. W końcu nie mam zbyt wielu powodów do tego, żeby czuć się rozczarowana. Nie dochrapałam się wydawniczej posadki, o której marzyłam po uniwerku, lecz cóż z tego? To było dziesięć lat temu, poza tym jestem bardzo zadowolona ze swojej rubryki w magazynie. I nie za bardzo mnie obchodzi, że moja matka uciekła z bandą dziwadła, ojciec mieszka w hotelu na północy kraju, a siostra już nawet nie przysyła mi kartek na święta. Nie obchodzi mnie, że większość moich byłych współlokatorek wyszła za mąż i zostawiła mnie na lodzie. Lubię być sama - to akurat nie problem - ale nie było mnie stać na mieszkanie w pojedynkę w wielkim domu w Hackney, gdzie puste pokoje mnożyły się niczym wszechświaty niemowlęce. Przyjazd tutaj oznaczał, że jestem w stanie dalej zajmować się sobą i czytaniem książek, więc niekoniecznie mam powody do smutku czy rozczarowania.

Czasami myślę sobie, że żyję wśród duchów. Nie z własnej przeszłości - bo w takiego rodzaju duchy nie wierzę - lecz wśród ulotnych strzępów idei i ksiąg zawieszonych w powietrzu niczym jedwabne marionetki. Wydaje mi się niekiedy, że widzę, jak gdzieś obok przepływają moje idee, ale zwykle są bardzo ulotne. Przypominają jętki jednodniówki: rodzą się duże i połyskliwe, a potem latają dookoła, brzęcząc jak szalone, i około dwudziestu czterech godzin później opadają na ziemię martwe. Zresztą wcale nie jestem pewna, czy kiedykolwiek wymyśliłam coś oryginalnego, więc nawet mi to nie przeszkadza. Cokolwiek to jest, zwykle stwierdzam, że Derrida zdążył wcześniej o tym pomyśleć, co może brzmieć okropnie pompatycznie, Derrida jednak wcale nie jest taki trudny, naprawdę; tylko jego teksty są takie napakowane. A teraz i on jest duchem. A może zawsze nim był - nigdy go nie poznałam, skąd więc mam mieć pewność, że naprawdę istniał? Do najsympatyczniejszych duchów, z którymi mieszkam, należą moi ulubieni dziewiętnastowieczni pisarze naukowcy.

Większość z nich się myliła, rzecz jasna, tylko kogo to obchodzi? Przecież na nas historia się nie kończy. Mylimy się wszyscy.

Czasami przeprowadzam własny eksperyment myślowy, który wygląda następująco: a jeśli prawda jest taka, że wszyscy mają rację? Arystoteles i Platon; Dawid i Goliat; Hobbes i Locke; Hitler i Gandhi; Tom i Jerry. Czy to kiedykolwiek mogłoby mieć sens? A potem myślę o mojej matce i poprawiam się w duchu: nie, nie każdy ma rację. Parafrazując fizyka Wolfganga Pauliego, ona nawet nie była w błędzie. Może na tym etapie utknęła obecnie społeczność ludzka: nawet nie będąc w błędzie. Dziewiętnastowieczne towarzystwo myliło się, ogólnie rzecz biorąc, ale jakoś z nami jest jeszcze gorzej. Żyjemy obecnie z teorematem niezupełności Gödla i zasadą nieoznaczoności oraz z filozofami, którzy twierdzą, że świat stał

się symulakrem - kopią bez oryginału. Żyjemy w świecie, w którym wszystko może nie być realne; w

świecie nieskończonych systemów zamkniętych i części, które mogłyby robić co tylko dusza zapragnie (choć prawdopodobnie nie robią).

Może wszyscy jesteśmy jak moja matka. Nie lubię myśleć o niej ani o swoim dzieciństwie, w każdym razie nie za długo, lecz dość szybko można je streścić. Mieszkaliśmy na osiedlu bloków komunalnych, gdzie czytanie książek uważano za szczególnie obrzydliwe połączenie lenistwa i zarozumiałstwa i tylko moja matka i ja - o ile mi wiadomo - miałyśmy wyrobione karty biblioteczne. Podczas gdy reszta dzieciaków zajmowała się uprawianiem seksu między sobą (od około ósmego roku życia w górę), a reszta dorosłych chlała, uprawiała hazard, hodowała agresywne psy i rachityczne koty i obmyślała metody wzbogacenia się i zdobycia sławy, moja matka okazjonalnie zabierała mnie do biblioteki i zostawiała w poczekalni dla dzieci, podczas gdy sama dochodziła sensu życia za pośrednictwem książek o astrologii, leczeniu wiarą i telepatii. Gdyby nie ona prawdopodobnie nie wiedziałabym nawet o istnieniu bibliotek. To jedyna dobra rzecz, jaką kiedykolwiek dla mnie zrobiła. Wieczorami zwykła przesiadywać na dole w różowym szlafroku, czekając na kosmitów, a ojciec zabierał

mnie do parku i fotografował podnosząc aluminiowe ławki i bazgrząc napisy na ścianach metra, żeby później móc wysłać te zdjęcia do lokalnej gazety jako dowód, że samorząd przegrywa wojnę z chuliganami. Mój ojciec, który umiał się pokazać z najlepszej strony, gdy był w pięćdziesięciu procentach trzeźwy i kupował mi autka i naklejki z piłkarzami, we wszystkim widział rządowy spisek. Matka była zdania, że ów spisek sięga głębiej. Nauczyli mnie, że wszystko, co ktokolwiek nam mówi, jest kłamstwem. A potem się okazało, że sami też kłamali.

To nie tak, że nie lubiłam przebywać z innymi dzieciakami, przebiegać przez główną drogę, żeby wszystkim pokazać, że nie mam stracha, podkradać bogatym dzieciom rowery, podpalać różne rzeczy i pozwalać starszym chłopakom, żeby mnie obmacywali za pięćdziesiąt pensów od łebka. Co więcej, wkrótce nieźle się na tym obłowiłam i z czasem mogłam sobie pozwolić na rower, którego nie musiałam oddawać albo wrzucać do rzeki.

Później dałam sobie spokój z seksem i zaczęłam codziennie jeździć rowerem do biblioteki.

Właśnie wtedy zaczęło się u mnie czytanie napadowe. Łatwo się uzależnić, kiedy codziennie spędza się długie godziny w otoczeniu większej liczby książek, niż zdołałoby się przeczytać w ciągu całego życia. Człowiek zaczyna jedną, ale rozprasza go myśl, że równie dobrze mógłby zacząć od innej. Pod koniec dnia masz przejrzone dwie, rozgrzebane cztery, a z siedmiu zdążyłeś przeczytać same zakończenia. Można w ten sposób przekopać się przez cały księgozbiór, porządnie nie przeczytawszy ani jednego tomu. Za to powieści czytałam od deski do deski. Niemniej nie należałam do małałatów, które zaczytują się w Tołstoj. Mnie fascynowały powieści dla dorosłych, takie, których nie pozwalano nam wypożyczać.

W gimnazjum zaczęto się nade mną litować przez ten mój używany mundurek i dziwaczną fryzurę. Mimo to (dzięki, mamó; dzięki, tato) nie odpuszczano mi godziny wychowawczej i nigdy nie wierzyłam w nic, czego mnie uczono, przez co wyróżniałam się jako jedna z „trudnych” uczennic. Musiałam też sama prac swoje rzeczy, odkąd skończyłam mniej więcej trzynaście lat, a zwykle mi się nie chciało. Innym dzieciakom nie podobało się, że kołnierzyk zawsze mam brudny albo że moja za krótka spódniczka od tygodni nie oglądała żelazka. Nauczyciele natomiast okazjonalnie brali mnie na

bok i rzucali banały w stylu:

„Może mogłabyś przypomnieć swojej mamie, że szkolny mundurki powinien być...”. Mojej mamie? Można się było z nią porozumieć, przynajmniej teoretycznie, pod warunkiem że miało się CB radio i potrafiło się przekonująco sfingować wiadomość z kosmosu.

Więc zrobiłam to, czego można się było spodziewać, i jak tylko mogłam, uciekłam na uniwersytet. Ale nawet tego nie umiałam zrobić jak trzeba. Podejrzewam, że ktoś w mojej sytuacji powinien siedzieć w pociągu, po cichu czytając *Jane Eyre* oraz okazjonalnie łkając w chusteczkę na samą myśl o czarnych plamach w swoim życiorysie. Ja pojechałam do Oksfordu drogą M4 samochodem bez winiety, zatrzymując się po drodze, żeby wdać się w gorący weekendowy romans z motocyklistą, strzelić sobie tatuaż i zastąpić złamany ząb srebrną koroną.

Usiadłam na łóżku, pomalutku, czując, jak gorycz rozczarowania uchodzi ze mnie strumykami i znika niczym kałuże po ulewnym deszczu w upalny dzień. Mam stary kawiarko-budzik, który kupiłam na wyprzedży gratów, więc wiem, ile czasu mogę jeszcze poświęcić na wylegiwanie się w łóżku, sączenie gęstej czarnej kawy i czekanie, aż mgiełka snu i kac po śliwownicy w końcu znikną. Myślę, że można uczciwie powiedzieć, że nienawidzę poranków. Nienawidzę szczerości godzin rannych; czasu, zanim świadomość wreszcie włączy światło i przegoni wszystkie paskudne cienie. Fuj. Ale kawa jest w porządku.

Koniec pana Y. Wyjmuję książkę spod poduszki i powoli zaczynam czytać fabułę od początku. Pierwszą linijkę odczytuję kilka razy: „Skończyłem jako nikt, lecz na początku znano mnie jako pana Y”. Potem czytam dalej. Historia zaczyna się w momencie, kiedy główny bohater, szacowny kupiec bławatny, jedzie do Nottingham pociągiem. Rano ma tam załatwić jakieś sprawy. Po dotarciu na miejsce chcąc nie chcąc zauważa, że miastem zawładnął doroczny Gęsi Jarmark, będący wbrew nazwie obwoźnym lunaparkiem, i nazajutrz, pomyślnie załatwiwszy swoje sprawy, przypadkiem trafia w jego pobliże.

Nad miastem wisiała uporczywa mżawka zdająca się dławić je niespostrzeżenie swym wilgotnym welonem. Nigdy nie widziałem z bliska czegoś w rodzaju Gęsiego Jarmarku, nakazałem sobie wszelako unikać tej, jak byłem pewien, najbardziej diabolicznej ze wszystkich rodzajów rozrywki, postanawiając w zamian udać się do jakiego szacownego przybytku i wzmocnić herbatą. Wkrótce jednak poczułem, że ciągnie mnie do owego jarmarku niczym za sprawą mesmeryzmu.

Składały się nań pokazy dziwów natury oraz budki z mechanicznymi atrakcjami, tak że obstawiony rozchwierutanymi pojazdami licznej grupy treserów zwierząt, magików i artystów różnej maści, zajmował całutki Market Square. Znalazłszy się na jego terenie, poczułem się trochę jak w innym świecie, zauważalnie cieplejszym i pod osłoną rozmaitych namiotów i bud z pewnością bardziej suchym od tego, który opuściłem przed chwilą. Ciekawość przyzywała mnie dalej swym zakrzywionym palcem. Afisz gwoździem przybity do słupa i szeleszczący na lekkim wietrze informował o występie na jarmarku słynnej Menażerii Wombwella, zapewniając mnie zarazem, iż to ulubiona trupa Królowej.

Inne krzykliwe plakaty powiadały o takich widowiskach, jak Osobliwe Dziewczę, Hinduski Zaklinacz Węży, Niesamowity Gadający Koń, Piękna Wężowa Tancerka Balansująca na Toczącej się

Kuli w Światłach Rampy oraz Pchli Cyrk Profesora Englanda, w tym

„całkowicie nowa i oryginalna nowość”: Pchli Pogrzeb.

Wietrzyk osłabł, gdy wchodziłem coraz głębiej między jarmarczne budy, jednakowoż powietrze zdawało się ciemnieć i gęstnieć pomimo świeżo zapalonych lamp naftowych, podwieszonych u wejść do namiotów i zdobiących fronty rozmaitych bud. Spojrzenie ku niebu potwierdziło pojawienie się najciemniejszej burzowej chmury, jaką dane mi było kiedykolwiek oglądać. Pragnąc umknąć przed ulewą, rozejrzałem się za rozrywkami pod dachem. Wkrótce natknąłem się na wystawę prac woskowych, afiszowaną przez figury o najbardziej niezdrowej aparycji, jakie w życiu widziałem. Całość czyniła wrażenie wybitnie niezachęcające, podobnie jak obietnica spotkania z „żywymi szkieletami” tuż za brezentową zasłoną, toteż podążyłem dalej przed siebie w kierunku namiotu, gdzie właśnie się odbywały, jak zachęciła mnie młoda kobieta, gdy ją mijałem, najwyższej wyobraźalnej jakości pokazy marionetkowe. Kobieta grała na organach; starym, poobijanym gruchocie, z którego emanowały wyjątkowo dręczące brzęczenia i szmery. Poinformowano mnie, że zaraz zacznie się kolejny pokaz, toteż głównie z litości dla tej dziewczyny zapłaciłem pensa i wszedłem do środka.

Pokaz, jak się okazało, był trywialnym moralizatorskim spektaklem o dwóch wioskowych idiotach sterczących na wiejskiej drodze z osłem, który nie chce się ruszyć. W pewnym momencie pojawia się diabeł i proponuje idiotom pomoc. Nie trzeba chyba dodawać, że historia dobrze się nie skończyła. Namiot, w którym odbywało się przedstawienie, uszyty był z płótna żaglowego; mieściło się w nim małe proscenium o nieco zapleśniałym wyglądzie, zrobione, jak miałem wrażenie, ze zwykłych pudeł nakrytych dwoma brytami poprzecieranego czarnego aksamitu. Zamknięta przestrzeń niebawem przytłoczyła mnie osobliwą olfaktoryczną mieszaniną starej tabaki, tytoniu, melasy, zsiadłego mleka i pomady, toteż szczerze się ucieszyłem, kiedy pokaz dobiegł końca.

Opuściłem namiot z marionetkami, aby się przekonać, że zgodnie z moimi obawami deszczowa chmura w najlepsze wylewa swą zawartość z alarmującą zajadłością. Próbując uchronić się przed przemoknięciem, zanim się obejrzałem, byłem już częścią tłumu, który zgromadził się pod brudnym białym baldachimem na lewo od teatru marionetkowego. Jakiś człowiek zachęcał do rozrywki polegającej na losowaniu słomek. Otóż miał w swoim posiadaniu, jak twierdził, koperty zawierające tajemnicę tak wielką, że władze nie zezwoliły mu na jej sprzedaż. Zamiast tego sprzedaje - całkowicie legalnie, jak nas zapewnił - różnej długości słomki. Osoba, która wyciągnie długą słomkę, wygra jedną z kopert. Ten kto będzie miał nieszczęście wybrać słomkę krótszą, odejdzie z niczym. Słomka kosztuje pensa.

Przyglądałem się kilku dżentelmenom i damie, którzy zbliżyli się do niego. Dama i dwaj panowie wylosowali długie słomki i każde otrzymało po kopercie. Wszyscy wlepili w nich oczy, gdy szczęśliwcy wyjmowali z kopert kartkę, zapoznawali się z jej treścią, po czym wydawali zdławione okrzyki. Nie zamierzałem dać się nabrać na taką starą sztuczkę i zrobiło mi się przyjemnie, gdy podejrzenia me potwierdziły dokładniejsze oględziny rzeczonyj damy. Błoto na jej buciakach, w połączeniu z zaczerwienioną skórą i siłą jej rąk, świadczyły o tym, iż albo wynajęto ją do owego występu, albo też stale pracuje na jarmarku.

Perskie oko, jakie puścił jej współnik, potwierdziło tę drugą wersję.

Kiedy się odwróciłem zniechęcony owym spektaklem, moje oczy wkrótce przyciągnął znacznie bardziej intrygujący szyld przed dużą markizą. Zapowiadał pokazy Widmowej Opery, Ducha Peppera oraz Spektroskopu Gompertza w ramach głównych atrakcji i obwieszczał, że szczytą się one królewskim patronatem. Jak się domyślałem, chodziło o seans wywoływania duchów, rozrywkę, o której wielokrotnie rozmawiali przy mnie panowie z mojego klubu, lecz której ja nigdy nie miałem okazji podziwiać na własne oczy. Chyląc głowę przed bezlitosnym deszczem, wymknąłem się spod baldachimu i podbiegłem do namiotu, do którego, pokonawszy kilka schodków, wszedłem.

Prowizoryczny teatr był do połowy wypełniony, światła przygaszono, zaledwie spocząłem na twardej drewnianej ławie.

Niewiele później rozpoczęcie przedstawienia obwieściła najbardziej upiorna kakofonia, jaką kiedykolwiek słyszałem. Kojarzyła mi się z pozytywką zapamiętaną z dzieciństwa, z niewielkim srebrnym urządzeniem, na którym jedna z moich sióstr grywała niby na organach, urządzając ekstrawaganckie pogrzeby dla popsutych lalek i zdechłych myszy. Wkrótce, wciąż skąpany w muzyce rodem z zaświatów, mogłem podziwiać zaiste intrygujący spektakl, gdy za sprawą przemysłnej naukowej sztuczki na scenie istotnie pojawiły się przezroczyste fantomy. Trzy, każdy wysokości i szerokości żywego człowieka, lecz o ciele bladym i zwiewnym jak puch dmuchawca. Z początku na poły wierzyłem, że to aktorzy w osobliwie perłowych kostiumach; mieli ludzką postać i nie poruszali się gwałtownie na wzór marionetek.

Przeciwnie, zdawali się płynąć tuż nad sceną, stopami ni razu nie dotykając desek pod sobą. Następnie, dość nieoczekiwanie, na scenę Wmaszerował aktor z krwi i kości i przebił najbliższą zjawę mieczem, nie wywołując żadnego oporu ani nie upuszczając jej krwi. Przyznaję się, że i ja, wspólnie z innymi członkami publiczności, wydałem okrzyk zgrozy, gdy miecz przeszył kruche żałosne ciało ducha. I właśnie w owej chwili musiał mnie opuścić zdrowy rozsądek. Po zakończeniu spektaklu - sam przyznaję - zwlekałem z odejściem, licząc na jakąś wskazówkę, która pozwoli mi rozszyfrować to skomplikowane oszustwo. Wtedy nie wierzyłem w duchy ani nie miałem wątpliwości co do tego, że nauka i rozum kryły się za owym pokazem fantasmagorii, wkrótce jednak ogarnęła mnie frustracja, nie mogłem bowiem sam odkryć użytej metody.

Nader szybko zostałem w namiocie sam z drobnej postury jegomościem. Podszedł do mnie nieśpiesznie i wskazał w kierunku sceny.

- Spektakl bez wątpienia był intrygujący - zauważył.
- W rzeczy samej - przytaknąłem.
- I zgaduję, że usiłuje pan znaleźć jego wytłumaczenie.
- Owszem - przyznałem.

Mężczyzna milczał przez chwilę, jak gdyby coś kalkulował w myśli.

- Za dwa szylingi wszystko panu pokażę.

Zanim zdążyłem zaprotestować przeciwko tej cenie, podążyłem już za nim w kierunku sceny. Z początku byłem przekonany, że mężczyzna pokaże mi mechanikę owej iluzji i w ten sposób ją wyjaśni, podejmując się prostej demonstracji. Miał tego poprowadził mnie pod połą namiotu do mniejszej płóciennej konstrukcji, gdzie na niewielkim stole stała apteczka obok dużej lampy, od której wulgarniejszej zaiste nie widziałem. Ceramiczna podstawa zdawała się łączyć najróżniejsze głębokie odcienie czerwieni typowe dla starej rany, na tym zaś tle namalowano jakoweś wymęczone żółtawe kwiaty nieznane, jak jestem pewien, naturze. U rantu ceramicznego klosza kołysało się kilka szklanych paciorków, mających rzecz jasna rozpraszać światło na podobieństwo kryształowego żyrandola, lecz w efekcie rzucających upiorną konstelację cieni na tylną ścianę namiotu. Za stołem stało coś przypominającego zamkniętą trumnę, aczkolwiek, jak zakładałem, pełnić musiało rolę prowizorycznego łóżka.

- Zdaje się, że umknęła mi pańska godność - powiedziałem.

- Może pan o mnie myśleć jako o jarmarcznym medyku - odparł.

- A pańskie miano?

Jego odpowiedź nie napełniła mnie szczególną chęcią przedstawienia się, więc tylko zaproponowałem, żeby tytułował mnie panem Igrekiem.

Nagle ogarnęło mnie owo dziwne przecucie, że wszyscy inni wrócili do domów i że jestem jedynym człowiekiem, który został na jarmarku. Słyszałem, jak deszcz bije wściekle o dach namiotu, lecz wyobrażałem sobie, że żadnych innych dźwięków z dworu nie słyszę: ni śmiechu, ni nawet szmeru głosów. Ucieszyłoby mnie choćby i piekielne zawrodożenie organów. Nagle poczułem się rozdrażniony i nie miałem ni krzty zaufania do owego doktoraka. Kiedy wszakże poprosił milcząco, bym usiadł na owej drewnianej skrzyni, uczyniłem to bez wahania.

- Życzy pan sobie poznać naturę iluzji, której był pan przed chwilą świadkiem - odezwał się. - Mogę to panu pokazać, to i o wiele więcej. Ale... - Zawahał się. - Być może nie ma pan odpowiedniej konstytucji, by docenić objawienie, które ma za chwilę stać się pańskim udziałem. Może...

- Mam dwa szylingi - przerwałem mu cierpko i pokazałem pieniądze. - Teraz rób pan, coś obiecał.

Doktor otworzył apteczkę i wydobyl z niej fiołkę przezroczystego płynu. Z owej fiołki nalał niewielką ilość do szklanki, którą następnie podał mnie. Drugą rękę uniósł na znak, żebym czekał. Następnie wyjął

z apteczki kolejny przedmiot: biały bilecik z małym czarnym kółkiem na środku. Potem polecił mi wypić miksturę i położyć się na skrzyni, trzymając bilecik tuż nad twarzą, i koncentrować się najmocniej, jak potrafię, na owym czarnym kółeczku. Zrobiłem, o co prosił, zastanawiając się, na jakie szelmostwa dobrowolnie się narażam.

Podejrzewałem mesmeryzm w jego najprymitywniejszym wydaniu. Ani przez sekundę nie wierzyłem, że mikstura wpłynie na mnie w jakikolwiek sposób, podobnie jak nawet mi się nie śniło, że wypicie jej na zawsze odmieni resztę mojego życia.

Do jedenastej skończyłam pierwszy rozdział *Końca pana Y*. Zimowe słońce niemrawo zagląda przez cienkie zasłony i postanawiam wstać z łóżka. Jest zimno jak w psiarni.

Zgarniam dzinsy z podłogi i szybko wymieniam je na spodnie od piżamy, po czym wkładam pierwszy lepszy sweter. Kiedy truchcikiem zbiegam po schodach, żeby wybrać pocztę, nagle ogarnia mnie uczucie, że o czymś zapomniałam. Znowu będę sterczała pod drzwiami, nie mając kluczy? Nie, nie w tym rzecz. Klucze mam w garści. Przeglądam ulotki restauracji z żarciem na wynos i wizytówki korporacji taksówkowych, nie biorąc ich nawet do ręki, po czym wracam na górę. Co mogło mi wylecieć z głowy?

Owsianka. Kawa. Przede mną cały dzień czytania. Zawsze mogłoby być gorzej. Już czuję się trochę śpiąca, jak zawsze kiedy czytam dobrą książkę: jakbym chciała tylko skulić się z nią na łóżku i zapomnieć o niefikcyjnym świecie. Wcześniej czy później będę też musiała się zastanowić, jak przeżyć najbliższe trzy tygodnie za jedyne pięć funtów, choć to może się nawet okazać zabawne. Po śniadaniu odkopuję paczkę żeńszeniowych fajek i zapalam jedną. W gruncie rzeczy czuję się całkiem zrelaksowana, gdy nagle z torby napływa brzęczący dźwięk. To moja komórka, która jest zepsuta, tak że nie może normalnie dzwonić.

Najpierw uznaję brzęczenie za dowód, że ktoś do mnie telefonuje, i usiłuję ten fakt zignorować. Ale komórka wibruje przez zaledwie kilka sekund i zdaję sobie sprawę, że to esemes, więc podchodzę do torby i wyciągam z niej telefon. Na wyświetlaczu widać symbol koperty, więc naciskam przycisk, który metaforycznie ją otwiera.

nie odklepałas sie na dzisiaj gdzie sie spotykamy

Cholera. No to już wiem, o czym zapomniałam. Patrick. Zastanawiam się szybko i odpisuję: *Krypta katedralna 17*. Nie mogę się z nim nie spotkać. Odwołałam się ostatnim razem, poza tym prawdopodobnie postawi mi kolację. Wiadomości od niego nie są szczególnie elokwentne, jeśli wziąć pod uwagę, że jest profesorem lingwistyki, z drugiej strony to taki facet, który pisuje e-maile małymi literami, bo uważa, że teraz jest taki trend.

Spotykam się z Patrickiem od około trzech miesięcy i w tym czasie uprawialiśmy seks mniej niż dwanaście razy. Ale sam seks był bardzo w porządku, intensywny, taki, jaki można uprawiać wyłącznie ze starszym mężczyzną, który nie martwi się, czy kiedyś się pobierzecie czy nie; taki seks uprawiany dla samego seksu, a nie jako coś w guście depozytu pod coś, co jedna strona w przyszłości będzie chciała uzyskać od drugiej. Patrick już jest żonaty, rzecz jasna, aczkolwiek jego żona też wdaje się w romanse, dzięki czemu nie muszę czuć się winna z powodu naszego układu. Czasami się zastanawiam, jaka jest w tym wszystkim logika, i dochodzę do wniosku, że przecież są i młodzi mężczyźni - podobni do mnie - którym zależy na okazjonalnym seksie i towarzystwie bez komplikacji, jakie niesie miłość i wyłączność.

Czy przespałabym się z jednym z takich facetów, gdybym zdołała go znaleźć?

Najprawdopodobniej nie. W młodych mężczyznach jest coś aż za gładkiego. Poza tym starsi naprawdę umieją się pieprzyć. Może to brutalne, ale prawdziwe.

Nie sędzę, żeby Saul Burlem był żonaty, więc może to dobrze, że zaginął: mimo wszystko troszeczkę się w nim durzyłam. Pewnie, że sypianie z własnym promotorem jest złym pomysłem, poza tym istniała duża szansa, że naprawdę bym go polubiła, jeśli można wyciągać takie wnioski na podstawie jego książek i wykładów online. Za to na bank poszłabym z nim do domu tamtego wieczoru, kiedy go poznałam, bo nawet nie miałam kiedy się nad tym wszystkim zastanowić. Czy on o tym wiedział? Może on też uważał, że to zły pomysł. Po tej rozmowie o moim doktoracie przeprosiłam na chwilę i poszłam szukać kibelka. Byłam porządnie wstawiona i trochę błądziłam, ale nie zniknęłam na długo.

Pamiętam za to jeden niesamowity korytarz, białą przestrzeń pod niskim sufitem, która kojarzyła mi się z wnętrzem starego teleskopu, gładkim i zimnym. Przeszłam nim w tę i z powrotem może trzy czy cztery razy, żałując, że nie mam aparatu fotograficznego albo lepszej pamięci. Kiedy wróciłam do Górnej Auli, Burlema już nie było.

Do wpół do piątej zdążyłam się wykapać, ubrać - tym razem w bardziej przemyślany sposób -

i przeprowadzić krótką inwentaryzację wszystkich artykułów spożywczych, jakie posiadałam w domu. Lista nie jest zbyt inspirująca. Wynika z niej, że jeśli nie będę miała nic przeciwko odżywianiu się wyłącznie owsianką, zupami z puszek i kluchami, to wystarczy mi z grubsza na jakiś tydzień. Czy przy oszczędnej gospodarce zdołam przeżyć następne dwa za marne pięć funtów? Mogłabym kupić na rynku dużą butlę sosu sojowego za jakieś pięćdziesiąt pensów i powiedzmy czternaście torebek lekko przeterminowanego makaronu po dwadzieścia pensów sztuka. Dzięki temu zostałyby mi trochę drobnych, za które mogłabym kupić dużą tabliczkę gorzkiej czekolady. Tylko co z papierosami i benzyną? Co z kawą? Nie mogę kupić złej kawy, a na dobrą na pewno mnie nie stać. Przypuszczam, że mogłabym przez ten czas pić tylko wodę z kranu i śliwownicę. Po jakim czasie dostanę szkorbutu? Myśl o chorowaniu na szkorbut i odstawieniu zarówno nikotyny, jak i kofeiny, nie wprawia mnie w zbyt radosny nastrój. Czy książka okaże się tego warta? Prawdopodobnie. Tak czy inaczej drugi raz postąpiłabym dokładnie tak samo.

„Pan Y - myślę i uśmiecham się. - Pan Y”.

Po kuchennej podłodze przebiega mysz, więc instynktownie podciągam stopy i obejmuję kolana. Tak mało czytałam o *Końcu pana Y*. W gruncie rzeczy wiem tylko o tej klątwie. To dziwne uczucie, sięgać po taką starą książkę, nie mając zaplecza w postaci tysiąca telewizyjnych adaptacji, planu omawiania lektury i dyskusji w kółkach czytelniczych. O czym ona jest? Który z myślowych eksperymentów Lumasa reprezentuje? No i co z tym zastrzeżeniem dotyczącym jej fikcyjności? „Moim życzeniem jest, aby w tym utworze fikcji i tylko fikcji się dopatrywano”. Chyba będę musiała doczytać ją do końca, zanim się dowiem, co to oznacza.

Już jednak fikcja zaczyna się lekko zacierać. Czy jestem panem Y? Czy muszę nim być, żeby zrozumieć tę powieść jak należy? Kiedy byłam mała, zawsze umawiałam się sama ze sobą, że nigdy nie będę się identyfikować z głównymi bohaterami, ponieważ zwykle to im przydarzają się złe rzeczy albo, co bardziej niepokojące, rzeczy wielkie, a ja nie mogłam sobie poradzić z uczuciem, że te same rzeczy przydarzały się także mnie, temu „ja”, które przez projekcję przenosimy do czytanej właśnie fikcyjnej opowieści. Więc zwykle decydowałam się na jedną z postaci drugoplanowych, którą miałam „być” do końca fabuły.

Czasami umierałam; czasami okazywałam się zła. Ale nigdy nie musiałam stawać w świetle jupiterów. Teraz jestem starsza i czytam w bardziej konwencjonalny sposób. W tej chwili boję się o pana Y/o siebie i czuję się tak, jakby na dworze lało, mimo że wcale nie pada. Jak jego/moje/nasze życie zmieni się w wyniku wypicia tego eliksiru? Przypominam sobie o wydartej kartce i nagle teraz, kiedy porwał mnie nurt opowieści, jej znaczenie wzrasta. Mam nadzieję, że dojdę do tego, co było w utraconym fragmencie. Mam też nadzieję, że koniec pana Y nie będzie nazbyt bolesny, chociaż podejrzewam, że niestety będzie. Książki i opowiadania Lumasa nigdy nie mają czegoś, co bodaj odlegle przypominałoby happy end.

Wychodzę z domu może za dwadzieścia piąta i ruszam Castle Street w kierunku katedry. W tym mieście widać ją praktycznie z każdego miejsca. Kiedy byłam tu nowa, traktowałam ją jako punkt orientacyjny. Słońce już niemal zdażyło zająć, a niebo za bladymi złotymi iglicami wydaje się umazane zimnym woskowym różem. Jak w każde inne sobotnie popołudnie zimą, mijam sklepy reklamujące wyniki meczów piłkarskich, spotykam młodych naukowców kupujących gazetę albo coś na kolację. Oddech zamarza mi w powietrzu przed ustami i zastanawiam się, kiedy znowu otworzą uniwersytet. Myślę o darmowym ciepłym w moim gabinecie i o darmowej kawie w kuchni dla personelu. No dobra - tak naprawdę to kawa nie jest darmowa: powinno się płacić około pięciu pensów za filiżankę, w każdym razie tak mi się zdaje, ale większość z nas po prostu wrzuca funta czy dwa, jak akurat sobie o tym przypomni. Czy Patrick postawi mi kolację? Nie widzę, czemu miałby tego nie zrobić.

Zwykle upieram się przy płaceniu po połowie, lecz dzisiaj sobie odpuszczę.

Zaledwie parę tygodni temu dziedziniec przed katedrą był pełny kolędników i par na świątecznych sprawunkach; teraz jest tam praktycznie pusto. W świetle zachodzącego słońca kostki brukowe nabrały ciemnego, różowawego odcienia; pośpiesznie stąпам po nich i przebiegam przez wejście na teren kościoła pod wezwaniem Chrystusa. Następnie przemierzam przylegające do niego ogrody i wchodzę do katedry. Idę lewą stroną nawy w kierunku krypty, po czym schodami idę w dół do jej bladego kamiennego wnętrza. Uwielbiam katedralną kryptę pomimo tego (a może właśnie z powodu tego), co się tu wydarzyło, a co teraz wydaje mi się raczej legendą niż historią z życia wziętą. Uwielbiam miękki, pusto brzmiący odgłos kroków nielicznych, którzy się tu zapuszczają, i widok samotnej świecy płonącej w podziemi kaplicy Najświętszej Marii Panny. Człowiek miał wrażenie, że cały Londyn wyleciał w powietrze i że cały modlitewnik oblepiony jest żółtymi karteczkami samoprzylepnymi z prośbami o pokój na świecie. Przychodziłam tu tylko po to, żeby posiedzieć w ciszy, ale zawsze najpierw odczytywałam modlitwy. Pamiętam, jak kiedyś wyobraziłam sobie, że bomba wybucha w samej katedrze. Jednak budowla jest tak rozległa, a ściany tak solidne, że szkód wyrządziłaby tyle co fajerwerk.

Patrick stoi przy Krypcie Wschodniej, więc podchodzę do niego.

- Cześć - mówi cicho, całując mnie w oba policzki.

- Hej - szepczę w odpowiedzi.

- To dosyć ponure miejsce schadzek - stwierdza, unosząc brew.

Uśmiecham się.

- Wiem. Przepraszam. Tylko zapalę świecę i pójdziemy.

Podchodzę do niewielkiego ołtarza i z pudła pod nim wyciągam małą świeczkę do podgrzewaczy. Wrzucam czterdzieści pensów do skrzynki na datki. Sama nie jestem pewna, czemu właściwie zapalam świeczkę: na pewno nie z nawyku. Wiatr tu nie wieje, lecz i tak obserwuję, jak płomyk świecy migocze niepewnie przez jakieś pół minuty, zanim postanowi jednak nie gasnąć i zaczyna świecić, już równo, razem z innymi. Przez chwilę patrzę, jak się pali, później odchodzę, zastanawiając się, co się dzieje z całą energią wygenerowaną w miejscach takich jak to. Zupełnie jak gdybyśmy sami stwarzali Boga z całej tej energii. Czy Bóg powstał z ludzkich myśli czy to ludzie powstał z myśli Boga? Jestem przekonana, że natknęłam się na tę ideę w jakiejś książce, ale nie pamiętam w której.

ROZDZIAŁ 5

Patrick zarezerwował hotel gdzieś przy obwodnicy. Idziemy przez miasto do przejścia podziemnego, a potem, wyłoniwszy się po drugiej stronie, dalej główną ulicą w kierunku hotelu. Otacza nas nocna przestrzeń, z neonami wiszącymi nad wejściem do knajp z żarciem na wynos, wypożyczalni wideo, całonocnych marketów i nocnych klubów. Zgłaszamy się w recepcji i idziemy po szerokich drewnianych schodach do naszego pokoju, który jest przestronny i czysty, nawet jeśli nie pierwszej nowości. Patrick się przebiera, a ja stoję w łazience i kontempluję swoje odbicie w lustrze. Jestem przeklęta? Nie wyglądam na taką.

Wyglądam, jakbym przyłapała samą siebie kompletnie zaskoczoną, wypraną i skołowaną we fluorescencyjnym świetle.

Przeczytalibyście przeklętą książkę, gdybyście taką mieli? Gdybyście usłyszeli o powieści, na której ciąży klątwa, i natknęli się na nią w antykwariacie, wydalibyście na nią ostatnie pieniądze? Gdybyście się dowiedzieli o przeklętej książce, czy szukalibyście jej, nawet gdyby wszyscy uważali, że na rynku nie ma już ani jednego egzemplarza? Myślę o swojej wieczornej rozmowie z Wolfem i zastanawiam się, czy życie jest tak proste jak

„książka istnieje”. Ale potem myślę o opowieściach i ich logice i zastanawiam się, czy mogłoby istnieć cokolwiek tak prostego jak „książka istnieje”. Dawno, dawno temu była sobie książka. To już jest bardziej sensowne. Jest sobie książka. I co dalej? Jest sobie książka, ciąży na niej klątwa, a jak się książkę przeczyta, to się umiera. I to już jakaś opowieść.

Wychodzę z łazienki i zastaję Patricka w wyglądających na drogie niebieskich dzinsach i bladuróżowej koszuli. W dzinsach mu wcale nieźle, lecz wolę styl Burlema: czarną koszulę, ciemne spodnie i trenz. Tylko że Burlema tu nie ma, a Patrick jest. Flirtujemy sobie trochę, później idziemy na kolację i odbywamy dziwną rozmowę o dziewiętnastowiecznej poezji, podczas której bez końca rozwodzę się nad Thomasem Hardym i nad tym, że najlepsze w jego wierszu *Traf* jest sformułowanie „nie wschodzą kwiatem posiane nadzieje”.

Cały wiersz jest tęsknotą za dowodem na istnienie mściwego boga - jako że z pewnością nie ma

dowodów na istnienie jakiegoś dobrotliwego - ponieważ wyższa moc, nawet okrutna, nadaje naszemu życiu sens w sposób, w jaki my sami przydać mu go nie jesteśmy w stanie.

Kończy się to dyskusją na temat strukturalizmu i językoznawstwa (specjalności Patricka), no i oczywiście Derridy (to już mój konik).

- Jak możesz czytać Derridę? - pyta mnie w pewnej chwili Patrick.

- Jak ty możesz nie czytać? - odparowuję.

Skończyliśmy kolację i przyłapuję się na tym, że prowadzę rozmowę tak, jakbym była robotem biorącym udział w teście Turinga. Prawdopodobnie zdołam przekonać Patricka, że jestem istotą ludzką i że go słucham, ale tak naprawdę myślę o panu Y.

- Wszystko w porządku? - pyta.

- Aha - odpowiadam. Może powinnam bardziej się starać. - Czy kiedykolwiek słuchałeś wykładów Derridy?

- Nie.

- A powinieneś. Mam jeden na iPodzie. Mówi w nim, że modlitwa nie jest „jak zamawianie pizzy”. Uwielbiam ten tekst. Uwielbiam obrazek, który natychmiast wyświetla się w mojej głowie: Derrida przez cały wieczór modlący się i zamawiający pizzę, żeby udowodnić, że to jednak nie to samo. Nie żeby faktycznie miał robić coś takiego. Mam na myśli to, że nie wyobrażam go sobie modlącego się albo usiłującego cokolwiek udowodnić eksperymentalnie. Ale założę się, że pizzę zamawiał.

Patrick znowu uśmiecha się szeroko.

- Nie do wiary - mówi.

- Co? Że Derrida miałby się modlić?

- Nie. Fakt, że zaraz prześpię się z kimś, kto ma iPoda.

Nasze łóżkowe role przedstawiają się dość prosto. Ja jestem ochoczą młodą studentką, on nieco sadystycznym profesorem. Nie przesadzamy w trzymaniu się naszych ról, a jego lekki sadyzm ogranicza się do okazjonalnego wiązania mnie jedwabnymi szalikami, lecz lubię, kiedy mówi mi, co mam robić.

Zanim obudziłam się następnego rana, Patrick zdążył zjeść śniadanie i wyjść. Na stoliku przy łóżku leży karta z podziękowaniami za cudowną noc i z wyjaśnieniem, że ma w domu jakiś „kryzys”, którym musi natychmiast się zająć. Żałuję, że nie zabrałam ze sobą książki. Zamawiam obfite śniadanie do pokoju i czytam gratisową gazetę, zanim wreszcie wstanę i do oporu się pomoczę w gorącej wodzie. Woda w moim mieszkaniu jakoś nigdy nie chce być bardziej niż „dość” gorąca, a ja lubię taką, którą autentycznie można się oparzyć.

Kiedy już jestem wykąpana i ubrana, wracam do centrum i wzdłuż kruszejących murów miejskich zmierzam w kierunku mojego mieszkania. Obwodnica przebiega tuż obok niego, po lewej stronie, a krajobraz, który mogę podziwiać z okna, to chaotyczne skupisko samochodów, sklepów, znaków drogowych i metalowych słupków, stacja benzynowa, kilka żurawi w oddali, pub, rondo i wiadukt dla pieszych. W pewnym momencie mija mnie pociąg wyłaniający się zza billboardu reklamującego lśniące auta i znikający ponownie za nocnym klubem. W tej przestrzeni zdają się współistnieć wszystkie rodzaje miejskości, od samych murów miejskich po pozostałości normańskiego zamku i szpetne czerwone bloczyska, które wyrosły tuż przy nim. Za zamkiem pod obwodnicą jest metro i jeśli przejdzie się na drugą stronę, można iść wzdłuż rzeki spacerem aż do autostrady, mijając zbiornik gazu i obozowisko bezdomnych, którzy koczują w namiotach. Raz się tamtędy przeszłam, ciekawa okolicznych widoków. Przez całą drogę czułam zapach gazu.

Kiedy docieram do domu, nigdzie nie widać Wolfgangowego roweru, więc wygląda na to, że zostanę sama z myszami. Kiedy sprawdzam, okazuje się, że mam dwie pełne pułapki, więc znoszę je na dół i wypuszczam myszy za domem przy kubłach ze śmieciami. Po powrocie do kuchni na nowo uzbrajam pułapki w kawałki zwietrzałych ciastek i odstawiam je na miejsce pod zlewem; później nastawiam kawę i układam przed sofą wszystkie swoje rzeczy: *Koniec pana Y*, papierosy, notatnik, pióro. Kiedy kawa jest gotowa, siadam skulona na sofie i zaczynam lekturę w miejscu, w którym ją przerwałam wczoraj rano.

W momencie gdy płyn spłynął mi na język, zdałem sobie sprawę z szeregu nowych doznań, między innymi z nagłej awersji do ciemności oraz z uczucia ociężałości, ucisku w piersi. W pierwszej chwili byłem pewny, że to tylko złudzenia wynikające z dość melodramatycznych okoliczności, w jakich mi ową miksturę podano, i że najzwyczajniej padłem ofiarą własnej wyobraźni. Jednakże po pewnym czasie zacząłem odczuwać coraz większy niepokój i doświadczyłem czegoś w rodzaju zawrotów głowy. Mimo to zgodnie z instrukcjami uwagę w dalszym ciągu skupiałem na czarnym kółku, znowu przyzywany przez ciekawość zagiętym szponem. Wciąż byłem przekonany, że skoro jarmarczny doktor jest, jak podejrzewałem, oszustem, to nie może mnie w żaden sposób skrzywdzić.

Przez kilka chwil leżałem na twardym drewnie, wpatrując się w czarne kółko, gdy nagle zauważyłem zdumiony, że zaczyna się ono rozpadać na moich oczach. Zastąpiły je dwa większe koła, jedno różowe i jedno niebieskie, później zaś owe koła zdawały się rozszerzać i kurczyć, nabierając miękkiej półprzezroczystości meduzy. Naraz ogarnęło mnie uczucie towarzyszące zjeżdżaniu kolejką górską albo w snach o spadaniu, które każdemu z nas czasem się śni. Spadało wszakże nie moje fizyczne jestestwo, lecz raczej mój umysł. Jakby myśląca, zdolna do rozumowania część mojego bytu zamykała się ostatecznie niczym zamknięte na klucz ciężkie drzwi. W jej miejsce pojawił się niewielki otwór rosnący z każdą chwilą, aż wreszcie przesłonił czarne kółko na bilecie, w dalszym ciągu rósł i powiększał

się, dopóki nie osiągnął rozmiarów kolejowego tunelu. Z niepokojem stwierdziłem, że odtąd poruszam się owym tunelem z zawrotną prędkością.

Jego ściany były początkowo czarne niczym węgiel, szybko jednak zacząłem zauważać na nich różnorakie napisy, które pojawiały się po bokach niczym przyciągane ku światłu. Najpierw były to zaledwie kropki, podobne do gwiazdek na firmamencie, i wyobraziłem sobie, że gdyby dało się je połączyć, być może ułożyłyby się w jakiś obraz.

Pojawiły się również oscylujące linie, jakich można by się spodziewać na prymitywnym wizerunku morskiej fali. Przez jedną chwilę zdawało mi się, iż widzę przed sobą rysunki ludzkich genitaliów. Następnie zaczęły się pojawiać rozmaite kształty i pomimo olbrzymiej prędkości, z jaką je mijałem, wypatrzyłem kilka okręgów, kół, trójkątów, piramid, kwadratów, sześciątów oraz prostopadłościanów, dopóki nie zbladły, ściany zaś wówczas zaczęły zdobić starożytne jakoweś hieroglify, których, przyznaję, nie umiałem odczytać. Kiedy je mijałem, obrazki owe migotały niczym zjawy: widziałem kształty, które przypominały ptaki, stopy ludzkie i oczy. Wszystkie te kształty pojawiały się przede mną jak przyciągane do światła.

Uświadomiłem sobie, że mój niepokój maleje, w miarę jak kontynuuję swą podróż tunelem. Intrygowały mnie niewielkie symbole, które przepływały obok jak w fenakistiskopie. Widziałem wiele okręgów przeciętych krzyżykiem bądź linią oraz obfitość innych kształtów, w tym przypominające małe flagi, łodygi, pudła i odwrócone rzymskie litery g, E, r oraz P. Widziałem też rzymskie litery nakreślone, jak mniemam, dziecięcą ręką. Jednakże było jasne, że nie cały alfabet łaciński się pojawił, a litery, które mi się ukazywały, zdawały się różnić w zależności od tego, czy były małe czy wielkie. Jestem tylko pewny, że widziałem litery y, I oraz z nakreślone na modłę francuską, jak również I, o, w, x.

Później pojawiły się także wielkie litery A, B, H, K, M, N, P, D, T, V, Y i X. Następnie litery greckiego alfabetu pojawiły się w sekwencji, od alfy, bety, gammy po phi, chi, psi i omegę. Potem zauważyłem alfabet łaciński już we właściwym porządku, od A do Z. Wciąż to tu, to tam pojawiały się pojedyncze hieroglify. Im dalej podróżowałem długim tunelem, tym więcej symboli zauważałem na czerni ścian, aż wreszcie światła zrobiło się więcej niż cieni, a przed moimi oczami zderzyły się tysiące nowych symboli. Wypatrzyłem cyfry rzymskie i arabskie oraz inne kształty, których nie rozpoznawałem, przepływały bowiem koło mnie z przerażającą prędkością. Dostrzegłem też matematyczne równania. Rozpoznałem newtonowskie $F=ma$, ale pozostałych już nie.

Wkrótce zacząłem wyczuwać, że moja podróż niemalże dobiega końca. Światło na ścianach tunelu z czasem się nasiliło, tak że i ja sam czułem się w nim skąpany. Zaiste, przez jedną osobliwą sekundę uważałem się niemal za cząstkę owego światła. Nie byłem już w stanie dojrzeć czegokolwiek wokół siebie prócz tego jaskrawego białego lśnienia. Wyraźnie pamiętam, jak w pewnym momencie pomyślałem:

„Więc to tak! Jarmarczny magik mnie zamordował. Teraz przekonam się, jak jest w Niebie”. o tym drugim miejscu nie myślałem. I po krótkim czasie istotnie wydawać się mogło, iż obudziłem się w niebiańskiej scenerii. Jednakże nie stanąłem twarzą w twarz ze świętym Piotrem. W

rzeczywistości nie było widać żadnych innych istot, śmiertelnych czy nieśmiertelnych, na łagodnie falującej łące, którą przed sobą ujrzałem.

Pod jaskrawym błękitem nieba, na którym wszakże - rzecz dziwna - nie było słońca, przyglądałem się trawie, kwiatom i drzewom należącym do gatunków

powszechnych

niemal

każdym

zakątku

dziewiętnastowiecznej angielskiej wsi. Przyznaję, że w owej chwili doświadczyłem szczególnie dojmującego uczucia spokoju, który był

wielką ulgą po potwornym niepokoju towarzyszącym początkom mej podróży.

Jak długo podróżowałem? Nie mam pojęcia. W głębi mojego umysłu coś jakby kąsało mnie ostrymi ząbkami, natrętnie dopominając się uwagi. Czyżbym miał tu do wypełnienia jakąś misję? Zaledwie pomyślałem o jarmarcznym medyku i jego dziwnym eliksirze, powód mej podróży na powrót stał się dla mnie jasny. Przybyłem tu, aby się przekonać, jak działa iluzja zwana „duchem Peppera”, chociaż nie miałem pojęcia, jak się ją wywołuje, aulem ponadto, iż moje pragnienie rozwikłania tej tajemnicy przypomina zaledwie leciuteńkie ukłucie głodu w porównaniu z wilczą żarłocznością, jaką aulem teraz, wobec znacznie większej tajemnicy, o którą się otarłem: gdzie jestem i jak się tu znalazłem?

W tej samej chwili gdy w moim umyśle na nowo zmateriałizował

się cel mej wizyty, na łące na prawo od miejsca, gdzie się znajdowałem, pojawił się mały łaciaty koń. Po chwili koń podszedł do mnie i szturchnął

pyskiem moją dłoń. Zauważyłem, że jest w pełnej upręży, i zrozumiałem, że mam go dosiąść. Mam pewne doświadczenie jako jeździec, poza tym nie widziałem innego wyjścia, jak tylko wsunąć stopę w strzemię, wsiąść na zwierzę i ująć wodze. Ponaglony najlżejszym ze szturchnięć, koń z wdziękiem ruszył przed siebie. I znowu ogarnęło mnie wrażenie, iż wiem coś, czego wiedzieć nie mogłem, i zdało mi się, że koń zawiezie mnie dokładnie tam, dokąd powinienem się udać.

Wrażenie to było bardzo silne, więc pozwoliłem zwierzęciu truchtać dalej, ku podnóżu niewielkiego wzgórza. Wokół mnie panowała cisza i spokój i czułem, że mógłbym tu zostać na zawsze i nigdy za niczym nie tęsknić. Mimo to aulem się zobligowany do zakończenia mej misji.

Niebawem zauważyłem przed sobą szereg ludzkich siedzib.

Kiedy koń zbliżył się do nich, dostrzegłem, że jest to w istocie niewielkie skupisko domów tłoczących się jeden przy drugim przed potężnym splątany lasem. Zrozumiałem, że powinienem zbadać owe chaty, więc zsiadłem z konia i uwiązałem go przed pierwszym z domków, małym i ciemnym, z ogrodem zarosłym jeżynami i gęstymi poskręcany drzewami. Jeszcze zanim zobaczyłem nazwisko na bramie, wiedziałem, że to dom jarmarcznego doktora. Następny budynek wyglądał już bardziej zwyczajnie, pobielony z zewnątrz i z furtką, na której widniało nieznane mi nazwisko. Coś kazało mi przez nią wejść i nie inaczej uczyniłem. I znowu to coś, co zdawało się przemawiać z wnętrza mojego umysłu, podszepnęło mi, że drzwi nie będą zamknięte na klucz, i tak wszedłem do środka bez pukania, wiedząc, że w myśl tutejszych zwyczajów czynność ta byłaby najzupełniej zbędna.

I doświadczyłem najbardziej osobliwego wrażenia ze wszystkich.

Słowa niemal mnie zawodzą, gdy próbuję w nie ubrać owo doznanie.

Możliwie najtrafniejsze wydają mi się te: wyobraź sobie, że wchodzisz nie w skórę innego człowieka, lecz raczej w jego duszę. Nawet gdy to piszę, ten skromny opis wydaje się miałki w porównaniu z przedziwnym, choć wcale nie takim niemiłym uczuciem ekspansji, jakie poczułem, gdy

„ja”, czymkolwiek jest, zaczęło kiełkować niczym z nasiona i urastać w

„niego” i nasza dwójka stała się jednością. Intuicja od razu podsunęła mi wyjaśnienie. Choć może się to wydawać niepojęte i niemożliwe, znalazłem się w umyśle innego człowieka. Wszedłem w umysł

iluzjonisty, pana Williama Hardy'ego, właściciela Iluzji i Teatru Duchów Hardy'ego.

Mogę zapewnić Czytelnika, iż telepatyczny stosunek, w jaki wchodzi się z kimś innym, pod żadnym względem nie jest czymś cząstkowym, mglistym czy nienamacalnym. Chociaż bowiem wciąż zdawałem się nosić ze sobą bagaż własnego jestestwa, zaledwie znalazłem się w umyśle tego człowieka, ogarnęło mnie namacalne poczucie, że istnieję nie tutaj, lecz tam gdzie on. Wielce mi przykro pisać te słowa, jestem bowiem człowiekiem, który nie wierzy w duchy, fantomy i tak zwany czwarty wymiar Zollnera i innych, jestem wszak pewny, że dzieliłem umysł z tym człowiekiem. Myślałem to, co on myślał, wiedziałem, co on wiedział, i dopóki pozostawałem gościem w jego cielesnej powłoce, doświadczałem tego, czego on doświadczał.

On (choć zdawało mi się, że to „ja” robiłem wszystko, co dalej opisane, nie będę tutaj męczył Czytelnika opisami w pierwszej osobie liczby pojedynczej lub - co gorsza - mnogiej) był głodny; było to pierwsze

doznanie,

które

sobie

uświadomiłem.

Oczywiście

doświadczałem takiego samego głodu teraz, gdy zamieszkiwałem tę istotę, i nie zastanawiając się nad tym, co robię, wróciłem myślami do poprzedniej wieczery. Szybko ujrzałem coś na podobieństwo dwóch przezroczywych obrazów nałożonych jeden na drugi. Oczywiście nie jest to adekwatny opis owego wrażenia, słowa wszakże nie pozwalają na dokładniejszy. Ujrzałem - a może poczułem - siebie podczas oficjalnego lunchu w Regency Hotel, lecz równocześnie doświadczałem tego co William Hardy (który, jak rozumiałem, lubi się nazywać w myślach „Willem” lub nawet „Willusiem”, czułym zdrobnieniem nadanym mu przez matkę), gdy zasiadał do posiłku składającego się z gotowanego na parze mięsnego puddingu owiniętego w gazetę. Z

pewnym trudem sam dając wiarę własnym wspomnieniom, pisząc te słowa, lecz bez wątplenia doświadczyłem złudzenia, iż czuję smak ciężkiego gęstego puddingu na baranym łożu i zawieszistej zasmażki rozprowadzonej bulionem, słodkiej jak mięso w środku. Mimo to ja, czyli on, czyli my, wciąż czuliśmy głód. Pudding z mięsem był tylko wspomnieniem i Willuś w dalszym ciągu czekał na kolację.

Przed kolacją musiał spakować sprzęt do wywoływania iluzji z duchami. Rano jarmark miał ruszyć dalej, wszystko zatem należało ostrożnie zdemontować i ułożyć na dużym wozie. Myśl o takim zadaniu wydała się Willowi przytłaczająca, podobnie jak mnie, i doskonale rozumiałem jego zniecierpliwienie i irytację, gdy wywarkiwał rozkazy pod adresem niemrawych pomagierów, w jednej chwili chcąc tylko, żeby się pośpieszyli, w następnej żądając, aby byli bardziej ostrożni.

Pojmowałem, czemu czuł się zdradzony przez asystenta Dana Ropera, i natychmiast zrozumiałem, iż Peter, chłopak do pomocy, był zbyt niezdarny, żeby podołać temu zadaniu. Nie sądzę, bym wiernie podzielał myśli Williama Hardy'ego w czasie, gdy trwało pakowanie sprzętu; nie „czytałem w myślach” w najprymitywniejszym sensie.

Raczej mogłem dotrzeć do jego wspomnień w taki sam sposób jak do własnych. Obrazy pojawiały się przede mną szybko jak żywe srebro.

Ujrzałem na przykład, jak ów nieszczęsny chłopiec imieniem Peter tłucze dużą tafłę szkła, i zdawałem sobie sprawę, że zdarzenie to miało miejsce w nieodległej przeszłości. Widziałem, jak Dan Roper zakrada się za brudny jarmarczny namiot z jakąś kobietą. Potem zobaczyłem z tą samą kobietą Willusia. Oczywiście nie widziałem go z góry niczym wszechmocny obserwator. Byłem jego oczami, uszami, nosem i ciałem, kiedy spółkował z tą kobietą, a właściwie jeszcze dziewczyną, która jak już wiedziałem, miała na imię Róża.

Wyznać muszę, iż niemal się zatraciłem w tym nowym świecie, któż bowiem uzyskawszy dostęp do myśli innego człowieka, nie błądziłby wśród nich bez końca? Antropologia to czy biologia sprawiły, że byłem w stanie odczytywać cudze myśli, jakbym czytał tekst sztuki?

Byłem szczerze przekonany, że wszystkie dzieła Szekspira bledną w porównaniu z tragediami, komediami, zdradami i żądzami tego jednego jarmarcznego artysty. Wciąż wszakże pamiętałem o swoim zadaniu.

Znalazłem się tu, w umyśle Williama Hardy'ego, aby zrozumieć iluzję z wywoływaniem duchów, którą kupczył po wiejskich jarmarkach.

W okamgnieniu wszystko stało się dla mnie jasne. Ujrzałem przemyślnie ustawioną dużą kosztowną tafłę szkła, polerowaną pięć razy dziennie przez samego Willusia. Ujrzałem ją ustawioną na scenie, opartą o ścianę lub jakąś konstrukcję za nią. Ujrzałem i zrozumiałem, czemu jest przechylona o dokładnie czterdzieści pięć stopni.

Dysponowałem dogłębną wiedzą na temat mechanizmu działania iluzji, od przechylonej tafli szkła po aktorów pod spodem, tańczących w świetle projektora i tak oto tworzących obrazy niby odwrócone cienie, które odbijały się od szkła i padały na scenę. Rozumiałem zadziwienie Willusia, gdy sam

odkrył, jak powstają owe świetlne istoty, i przypomniałem sobie, tak wyraźnie, jakbym myślał o zdarzeniu z własnej przeszłości, wieczór, gdy Willuś otworzył księgę, która zawierała tajniki iluzji. Muszę wszelako powiedzieć, że wrażenie czytania książki we wspomnieniach innego człowieka było dość dziwaczne, i chociaż wiele fragmentów poszło w zapomnienie i z tej przyczyny były dla mnie niedostępne, najważniejsze mogłem przeczytać z taką łatwością, jakbym książkę miał tuż przed oczami.

Części mej przygody wciąż nie opisałem z obawy przed pogłębieniem wrażenia, że tamtego dnia w jarmarcznym namiocie do reszty pożegnałem się z rozumem. Teraz jednak muszę opowiedzieć o owym kuriozum, błagam więc Czytelnika o większą wyrozumiałość.

Otóż chciałbym opisać, w jaki sposób zmieniło się moje pole widzenia, dopóki przebywałem w tym „świecie duchów” zawartych w cudzych umysłach. Przyznaję, że na początku nie miałem pojęcia, jak daleko rozciąga się ów „świat wszystkich umysłowym jak daleko będzie mi dane się w niego zapuścić. Podczas tej pierwszej wizyty wszakże uświadomiłem sobie kilka istotnych czynników, które spróbuję zaraz opisać. Kiedy ogląda się świat podczas zwykłych społecznych działań lub rozlicznych wydarzeń typowego dnia, postrzega się go tak, jak gdyby zamknięty był w ramach. Świat zewnętrzny jest więc jednym obrazem na ścianie; a może wieloma obrazami. Gdybym popatrzył w lewo, ujrzałbym jeden obraz. Gdybym zerknął w prawo, ujrzałbym następny. Filozof mógłby spytać, czy za mną jest kolejny, taki, którego zobaczyć nie mogę, lecz w tej chwili nie podążę tym tropem.

Jeśli przyjąć ten sposób patrzenia na świat, jako na ramę o dostrzegalnych, choć zacierających się krawędziach, łatwiej zrozumieć odmienną ramę, przez którą spoglądałem na świat Willusia.

Willusiowa rama bowiem zawierała równocześnie i moją, nałożoną na wierzch. W efekcie owego nałożenia wszystko, co oglądałem, nabierało mlecznego odcienia, jakbym patrzył przez grube szkło albo przez cienki woal. Osobliwości tej nowej ramy na tym się jednak nie kończyły.

Obrzeża postrzeganego przeze mnie Willusiowego pola widzenia zdawały się rozmywać tak samo, jak rozmyte są obrzeża zwykłego widzenia. Owo zatarcie wszakże konturów Willusiowej ramy postrzegania było znacznie widoczniesze, gdyż towarzyszyło mu nakładanie się na siebie rozlicznych warstw małych obrazów, niczym kart rozłożonych do pasjansa: jedna po prawej i jedna po lewej.

Niemniej inny aspekt owego nowego sposobu widzenia był dla mnie jeszcze bardziej osobliwy. Kiedy Willuś zbliżał się do innego człowieka i patrzył nań, za powleczonym mleczną mgiełką obrazem, który widziałem, pojawiał się słaby zarys domostwa. Zrozumiałem, choć mówię tu raczej o rozumieniu intuicyjnym, że w tych momentach mógłbym, gdybym tylko sobie tego życzył, przejść do tego drugiego domu, opuszczając ten, w którym właśnie się znajdowałem; innymi słowy mógłbym wtargnąć w umysł jeszcze innej osoby. W każdym razie taką teorię ukułem na podstawie dowodów, które miałem przed oczami, lecz kiedy usiłowałem ją wypróbować w praktyce na chłopcu imieniem Peter, poczułem się tak, jak gdybym się odbił od niewidzialnej ściany i wylądował na wąskiej ścieżce łączącej domy.

I znowu ogarnęło mnie dojmujące uczucie spokoju i sytości.

Głód, który czułem, gdy byłem zestrojony z Willusiem, ustąpił

natychmiast, ja zaś zdałem sobie sprawę, iż przebywanie w duszy innego człowieka jest straszliwie wyczerpujące. Na otwartej przestrzeni nie czułem niedogodności, ale wciąż pamiętałem poczucie niedostatku i desperacji, które dzieliłem z Willusiem. Uznałem, że z dalszymi przygodami, do których już rwało mi się serce, lepiej będzie poczekać do następnej wizyty, poszedłem więc po konia i pozwoliłem, by odwiózł

mnie tam, skąd wkroczyłem do tego świata.

Podróż powrotna tunelem trwała, jak mi się zdaje, znacznie krócej, i niebawem przybyłem (o ile to właściwe słowo, dla obserwatora bowiem nawet nie ruszyłem się z miejsca) na drewnianą skrzynię w jarmarcznym namiocie. Gdy znowu usłyszałem deszcz bębniący o grube płótno, desperacko starałem się otworzyć oczy, by spojrzeć na swojski świat, który na czas pewien opuściłem. Z oczami wciąż półprzymkniętymi i głową pełną obrazów zadałem sobie pytanie, czy przyśnił mi się niezwykle realistyczny sen czy też telepatycznie przeniosłem się do umysłu innego człowieka, i postanowiłem wypytać o wszystko jarmarcznego medyka, zaledwie w pełni odzyskam zmysły.

Wszelako kiedy otworzyłem oczy, stwierdziłem, że jestem sam w ciemnościach. Szkaradna lampa, która wówczas tak jasno świeciła, teraz była zgaszona. Doktora nie było nigdzie widać. Wyjąłem z kieszeni zegarek oraz pudełko zapalek i zapaliwszy jedną, przysunąłem ją do cyferblatu, by stwierdzić, że już niebawem północ. Zaskoczony zerwałem się na nogi i po omacku wyszedłem z namiotu, dla pewności pomagając sobie kolejną zapalką. Jak to możliwe, bym przez tak długi czas pozostawał bez przytomności? Przyznaję, że byłem przerażony, gdy potykając się, wybiegłem z wielkiego namiotu na ciemny, opustoszały teren lunaparku. Zamierzałem odszukać doktora i zbesztać go za pozostawienie mnie samego i bezbronego na tak długo. Doktora jednak nie było nigdzie widać. Zmęczony i rozpaczliwie głodny wróciłem do Regency Hotel z mocnym postanowieniem, że odnajdę doktora następnego dnia.

ROZDZIAŁ 6

W porze lunchu jestem głodna, zmarznięta i chce mi się siku. Z okna łazienki świat, cały przykryty dachami i wyposażony w tylne drzwi i wyjścia ewakuacyjne na zawiasach, wygląda jak jeden wielki, niechlujnie pozbijany domek dla lalek. Widzę dach zaplecza Luigiiego oraz ciemne metalowe schody, którymi można by uciekać, gdyby wybuchł pożar. Pod szarym betonowym dachem widać tylne wyjście indyjskiej restauracji. Stoi przy nim jakiś facet, chciwie zaciągający się papierosem i nieustannie rozglądający się dookoła, jak gdyby się bał, że ktoś go zaraz przyłapie. Widzę zaułki i małe koślawe podwórka; ale najwięcej widzę dachów i kominów, z czerwonych cegieł albo z betonu, i nagle widok zaczyna mi się bardziej kojarzyć z trójwymiarowymi puzzlami. Jakim cudem można pomieścić tyle budynków na takim niewielkim terenie? Nie po raz pierwszy myślę o tym, jak wiele ludzi musi przez cały czas być wokół mnie, nawet jeśli mam poczucie, że jestem zupełnie sama. Ciekawe, jak by to było, móc porozumiewać się telepatycznie. Czy człowiek czułby się mniej samotny czy też samotność w jakiś sposób stałaby się jeszcze nieznośniejsza?

Gotuję trochę soczewicy; potem wracam na sofę i opieram miseczkę na podolku, wracając do lektury o panu Y i jego poszukiwaniach doktora z jarmarku. Kiedy pan Y dociera na miejsce następnego dnia, okazuje się, że jarmark zniknął, a wraz z nim doktor i jego dziwny eliksir. Biedny pan Y. Był święcie przekonany, że zdoła wrócić do „świata wszystkich umysłów”, więc nie chciało mu się

wszystkiego sprawdzać podczas pierwszej wizyty. Zasięga języka i dowiaduje się, że jarmarczni artyści rozbili się tuż pod lasem Sherwood. Kiedy jednak dociera na miejsce, nie może nigdzie odnaleźć doktora. Co więcej, kiedy pyta o „jarmarcznego doktora”, większość pytanych jest zdziwiona i zapewnia, że nikogo takiego nie zna.

Po powrocie do Londynu pan Y obsesyjnie wraca do pytań nasuwających się w związku z jego przygodą. Czy rzeczywiście otrzymał dar czytania w myślach (lub, jak to nazywa, „telepatyzowania”), choć tylko na krótko? A może doktor najzwyczajniej podał mu silny środek nasenny? Nie wie, jak było, i nie ma jak się tego dowiedzieć. Z czasem jednak coraz bardziej skłania się ku przekonaniu, że istotnie czytał w umyśle Williama Hardy'ego. I rzeczywiście udaje mu się odszukać i przeczytać tę samą książkę, z której Hardy uczył się o duchu Peppera, dzięki czemu zyskuje pewność, że jego „wspomnienia” z lektury (dokonanej za pośrednictwem Willusia) idealnie zgadzają się z rzeczywistością. Świadomy, że człowiek nie może mieć wspomnień książki, której nigdy nie czytał, dochodzi do wniosku, że tamtego wieczoru na Gęsim Jarmarku w istocie przydarzyło mu się coś nadprzyrodzonego. Wciąż jednak nie wie co. Nie znajdując przekonującego wyjaśnienia, w prawdziwie wiktoriańskim stylu bierze się za nadawanie nazw i klasyfikowanie części nowego świata, z którym się zetknął. Temu innemu światu nadaje miano Troposfery, od słowa „atmosfera” - połączenie greckich słów oznaczających „opary” i „kulę” - i zastępując nieznaną opary czymś znacznie solidniejszym: greckim słowem *tropos* oznaczającym „charakter”. Wymyślenie nazwy dla samej podróży zabiera panu Y więcej czasu, ostatecznie jednak określa ją mianem telemancji: tele od *telos*, „daleki”, oraz mancja od *manteia*, czyli wieszczanie. W jego umyśle owa podróż była rodzajem wieszczania na odległość i rozpaczliwie pragnął doświadczyć go ponownie.

W tym momencie fabuły zaczynamy się dowiadywać czegoś o interesach prowadzonych przez pana Y. Należący do niego sklep z materiałami w londyńskim East Endzie przynosił niegdyś krocie, teraz jednak jakby podupadał. Wkrótce pan Y zmuszony jest zwolnić kilku ekspedientów. Tuż za rogiem inny przedsiębiorca otwiera konkurencyjny sklep i wieździe mu się znakomicie. Właściciel owego przybytku, pan Clemency, z grubsza przedstawiony jest w powieści jako szczywany złośliwy jegomość, który zdaje się czerpać przyjemność z nieszczęść, jakie przy jego udziale spadają na pana Y, i jest przekonany, że jego metoda szycia ubrań - przez robotnice zamknięte w małym dusznym pomieszczeniu i nędźnie opłacane - przewyższa staroświeckie metody pana Y. Pan Y ma wkrótce dwie obsesje: telemancję i zemstę. Wierzy, że gdyby tylko wiedział, z czego składał się eliksir podany mu przez doktora, mógłby sam sporządzić identyczny i ponownie odwiedzić pejzaże Troposfery. Wtedy zaś, rzecz jasna, odwiedziłby umysł pana Clemency'ego. I przyznaje nie bez zawstyżenia, że zamierza zaszantażować rywala, jeśli tylko będzie miał czym.

Tymczasem jego firma podupada coraz bardziej. Na domiar złego ojciec zapada na zdrowiu, a łagodna zwykle żona staje się nerwowa i niespokojna. Pan Y nie daje sobie z tym wszystkim rady, zaniedbuje chorego ojca i krzyczy na żonę. Bez wątpienia pędzi na złamanie karku ku własnej zgubie, ale sam tego nie widzi. Każdego wieczora siedzi długo przy lampie i studiuje dzieło *Materia Medica* oraz zielniki, poszukując jakichś wskazówek co do składu tajemniczej mikstury. Żadnej jednak nie znajduje. Świat Troposfery, w szczególności spokojny krajobraz, przez który jechał konno, przyzywa go niczym narkotyk.

Za kuchennym oknem robi się szarówka, więc patrzę na zegarek. Przed chwilą minęła czwarta. W

sypialni mam lampkę do czytania; przynoszę ją i włączam do kontaktu za sofą, a następnie stawiam na parapecie. Od razu lepiej. Mogę ją skierować bezpośrednio na stronicę książki. W końcu ile prądu może zżreć jedna lampka?

Około wpół do szóstej słyszę szcęknięcie drzwi na dole, a potem zgrzytliwy dźwięk dzwonka przy rowerze Wolfganga, kiedy ustawia go pod ścianą. Chociaż naprawdę chcę przeczytać książkę do końca, bolą mnie oczy, a poza tym od wielu godzin nie rozmawiałam z nikim. Kiedy więc kilka minut później rozlega się ciche stukanie do drzwi, wołam, że są otwarte, i wstaję, by zaparzyć kawę.

Wolfgang wchodzi do kuchni i ciężko siada przy stole.

- Udany dzień? - pytam, chociaż jego postawa mówi sama za siebie.

- Ha! - mówi tylko, ukrywając twarz w dłoniach.

- Wolf?

- Z czym ci się kojarzy niedziela? - pyta. - Powiedz mi.

- Ehem... Z kościołem? - zgaduję. - Rodziną? Sportem?

Kawa zaczyna syczeć, więc zestawiam ją z fajerki. Nalewam po filiżance dla siebie i dla Wolfa, po czym siadam naprzeciwko niego przy stole. Częstuję go papierosem i sama też zapalam. Wolf milczy, staram się zatem wymyślić inne możliwości. Niezamierzenie i bez wysiłku przenoszę się z powrotem do świata pana Y, do świata lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, i wywołuję do połowy wypełnione kolorowania przedstawiające kobiety spacerujące po parku w obcisłych długich sukniach, dzieci bawiące się obręczami oraz jak przez mgłę rysunki z cyklu „wycieczka nad morze: połącz kropki”, z parasolami i lunetami na monety, chociaż nie sądzę, żeby wynaleziono je przed przełomem wieków. To pokościółowy, popołudniowy świat, którego kompletnie nie rozumiem. Usiłuję wyrwać się myślami z lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku.

- Seks? - sugeruję. - Czytanie gazet? Zakupy?

- Ha - mruczy Wolf, sącząc kawę.

- Co się stało?

- Weekend z rodziną Catherine - oznajmia z pewnym obrzydzeniem.

- Na pewno nie było aż tak źle - mówię. - Gdzie byliście?

- W Sussex. Wiejska posiadłość. I było fatalnie.

- Czemu?

Wzdycha.

- Od czego tu zacząć?

Myślę o *Odysei*.

- Może od środka? - proponuję.

- Ach, od środka. Okej. Środek był taki, że przejechałem psa.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu, chociaż nie powiedział nic śmiesznego.

- Ale przeżył? Już wszystko dobrze? - pytam.

Wolfgang ma smutną minę.

- Już zawsze będzie kulawy.

Popijam kawę.

- Jakim cudem przejechałeś psa?

Wolfgang nie prowadzi samochodu; woli jeździć rowerem.

- Tym, no... Jak to się mówi...? Brakuje mi słowa...

U Wolfa to coś w rodzaju afektacji. Mówi po angielsku lepiej niż większość studentów literatury na wydziale, czasami jednak szuka odpowiedniego słowa jak teraz, pogrywając na swojej cudzoziemskości dla dodatkowego efektu dramatycznego albo dorzucenia nuty melancholii do historii, którą właśnie opowiada. Ta jego afektacja mi nie przeszkadza: przeciwnie, nawet mnie bawi. Co nie oznacza, że nie znam jej mechanizmu.

A ten wciąż swoje.

- No... taki mały traktorek.

- Przejechałeś psa rodziców swojej dziewczyny „małym traktorkiem”?

- Nie. To znaczy: tak. Ale chodzi mi o to, jak się nazywa taki traktorek. Jakie to słowo.

- Nie wydaje mi się, żeby było jakieś konkretne słowo. A co się nim robi?

- Strzyże trawę.

- A! Kosiarka.

Wolf patrzy na mnie jak na upośledzoną.

- Wiem, jak wygląda kosiarka - oznajmia. - Kosiarkę się pcha. Na tym drugim się siada.

- Och - kojarzę. - Jasne, taka kosiarka, na której się siada... O Boże. Jak się toto nazywa? - Zastanawiam się przez chwilę. - Chyba to po prostu kosiarki, na których się siada.

A rodzina Catherine jak ją nazywała?

- Chyba po prostu „kosiarka”. Ale byłem pewny, że jest inne określenie.

- Wcale nie jestem o tym przekonana. Zresztą nieważne, po coś ruszał kosiarkę?

- Ojciec Catherine, pan Dickerson, ją utknął i chciał, żeby „duży silny chłop” ją wyprowadził.

Śmieję się na samą myśl, że ktokolwiek miałby nazwać Wolfganga „dużym, silnym chłopem”. Ani on duży, ani silny, ani chłop.

- Tak - mówi. - Ha, ha.

- Przepraszam. No a jacy oni są, jej rodzina?

- Bogaci - odpowiada Wolf. - Od dywanów.

- Jest jakaś przyszłość dla Catherine? - pytam.

- I dla mnie? - Wzrusza ramionami. - Kto wie? - Wstaje i przynosi butelkę śliwownicy z półki. Nalewa sobie duży kieliszek, ale kiedy proponuje drugi mnie, przecząco kręcąc głową. -

No nic - mówi, siadając przy stole - a jak tam twoja klątwa?

- Hm - mówię. - Umiesz dochować tajemnicy?

- Jakbyś nie wiedziała. I już mówiłem, że nie obchodzi mnie, nawet gdybym był

jeszcze bardziej przeklęty.

- Nie wydaje mi się, żeby można było stać się przeklętym od samego słuchania o klątwie - przekonuję.

- Więc co to jest? Jakiś przedmiot?

- Książka.

- Aha, przekleństwo wiedzy - mówi natychmiast.

- Nie jestem pewna, czy nie chodzi o coś innego - stwierdzam ostrożnie. - To powieść.

Myślę, że ta klątwa to jakiś przesąd. Ale tę książkę bardzo trudno dostać i potencjalnie jest bardzo cenna. Chociaż mnie się trafił uszkodzony egzemplarz i pewnie nie jest wart złamanego grosza.

- Kupiłaś ją w piątek?

- Aha. Za praktycznie całą moją forszę.

- Jak trudno ją kupić?

- Bardzo trudno. - Wyjaśniam mu, że na całym świecie nie ma innych egzemplarzy, o których wiadomo, oczywiście oprócz tego w niemieckim sejfie bankowym. - Cudownie ją mieć, choćby i uszkodzoną. Autorstwa pisarza, którego teraz studiuję: Thomasa Lumasa.

Możliwe, że jestem jedyną osobą na świecie, która pisze esej o samej książce, a nie o tajemniczych okolicznościach, jakie się z nią wiązały. Muszę być jedną z garstki osób, które czytały ją w ciągu ostatniego stulecia. - Zaledwie zaczynam się podniecać tym faktem, Wolf mi przerywa.

- A co to za klątwa?

Spoglądam na stół.

- Klątwa jest taka, że jak przeczytasz tę powieść, to umierasz.

Książka wciąż leży na sofie, tam gdzie ją zostawiłam. Widzę, jak Wolf wzrokiem wędruje po pomieszczeniu i zatrzymuje go na okładce. Wstaje i podchodzi do sofy. Ale zamiast wziąć książkę do ręki, po prostu patrzy na nią jak na eksponat w muzeum. Przez moment wyobrażam sobie, że znacznie bardziej boi się klątw, niż się przyznaje, i że właśnie dlatego jej nie dotyka. Ostatecznie dochodzę do wniosku, że nie robi tego z szacunku dla rak wiekowego i rzadko spotykanego przedmiotu. Wolf nie boi się klątw: sam tak powiedział.

Wraca do stołu.

- O czym jest?

- O takim jednym facecie, panu Y, który idzie na wiktoriański jarmark - zaczynam.

Opowiadam Wolfowi historię do miejsca, do którego sama ją znam, kończąc na ostatniej przeczytanej scenie, kiedy żona pana Y błaga, by przestał całymi nocami ślęczeć nad podręcznikami medycznymi. Pan Y każe jej pilnować własnego nosa i kładzie się do łóżka.

Ona bierze sobie tę radę do serca, a on wraca do lektury.

- Co jego zdaniem mogło być w tej miksturze? - pyta mnie Wolf.

- Na razie nie ma zielonego pojęcia - odpowiadam. - Podejrzewa, że to mogło być coś na bazie laudanum, czyli opium z alkoholem, ale nie jest pewny. Wie, że to coś działa w stanie płynnym, więc wykluczył tlenek azotu, gaz rozweselający, i chloroform, które trzeba przyjmować wziewnie. Inne możliwości to eter, substancja uzyskiwana przez połączenie kwasu siarkowego z alkoholem, oraz chlor. Usiłuje również zdobyć bardziej egzotyczne zielniki z zagranicy i ukuwa dziwną teoryjkę, jak to jakiś cudzoziemski szaman mógł

przekazać formułę mikstury doktorowi z jarmarku. Ale jeśli to prawda, to mikstury nie dałoby się

sporządzić ze składników do kupienia w każdej wiktoriańskiej aptece. Ta myśl wpędza go w skrajne przygnębienie. Po pewnym czasie dochodzi do wniosku, że to nie mógł być żaden egzotyczny wywar. Za dwa szylingi raczej by nie zawierał kory drzewa chinowego, jadu afrykańskiego węża, krwi jednorożca czy innych takich składników. Dochodzi do wniosku, że mikstura za dwa szylingi musiała się składać z relatywnie tanich ingrediencji. Tylko jakich? -

Wzruszam ramionami. - Nawet jeśli wyłącznie krajowych, to i tak jest ich od groma.

- I ty też się na razie nie domyślasz? - pyta Wolf.

Potrząsam głową.

- Nie. Ale nie mogę się doczekać, kiedy się tego dowiem; to znaczy, o ile z książki w ogóle można się tego dowiedzieć.

Wolf zapala papierosa i popada w głębokie zamyślenie nad kieliszkiem śliwownicy.

Zastanawiam się, czy nie powiedzieć o przedmowie do książki i o wskazówce, że można się w niej doszukać czegoś „prawdziwego”, lecz w końcu tego nie robię. Idę natomiast opłukać kubki po kawie, Wolf tymczasem dopija zawartość kieliszka i wstaje.

- Mogę przygotować na wieczór jakiś delikates, jeśli chcesz - proponuje.

Kusi mnie. To co mam w domu, kwalifikuje się co najwyżej jako „delikates prima sort”, chcę jednak dokończyć książkę.

- Dzięki, Wolf - mówię. - Ale chyba dalej sobie poczytam.

- I dopełnisz klątwy? - uzupełnia, unosząc brwi.

- Naprawdę nie sądzę, żeby ta książka była przeklęta - odpowiadam.

Koło ósmej robi się zimno jak w psiarni i muszę włączyć wszystkie fajerki. Książkę doczytałam już prawie do samego końca i wydaje się całkiem jasne, że pan Y jest na najlepszej drodze do bankructwa i skrajnej nędzy wskutek swojej obsesji na punkcie Troposfery i szukania sposobu, by do niej powrócić. Zaczął eksperymentować z różnymi narkotykami i eliksirami, całymi dniami leżał na łóżku wpatrzony w czarny punkt, jednak żaden z narkotyków, które wypróbował, nie zadziałał. Na każdym kroku osaczają go ogłoszenia reklamujące panacea na wszelkie choroby: „Opłatki płucne doktora Lococka”,

„Ulepszone opatentowane galwaniczne bransolety, paski, baterie i akcesoria Pulvermachera”.

Co właściwie było w tych opłatkach i czy w należącej do jarmarcznego doktora fiołce płynu mogła się znajdować ta sama substancja? Może doktor zdołał jakoś naelektryzować płyn, który uprzednio sporządził? Pan Y zdaje sobie sprawę, że nie odkryje receptury, licząc na przypadek. Jedyne rozwiązanie, by ponownie odwiedzić Troposferę, to odnaleźć doktora i nakłonić go, by zdradził mu swoją tajemnicę.

Na początku dwunastego rozdziału pan Y odkrywa, że wielu ludzi, którzy latem jeżdżą po kraju z jarmarkami, zimą kończy w Londynie, dając pokazy osobliwości i strachów w zrujnowanych sklepach i opuszczonych domach w najciemniejszych zaułkach miasta. W

przyływie desperacji zaczyna spędzać wieczory - nie oszczędzając czasu ni funduszy - w tego rodzaju przybytkach, szukając wskazówki, która doprowadziłaby go do jarmarcznego doktora.

Poszukiwania przeciągnęły się na listopad. Pogoda zmieniła się w nieubłagane zimną, lecz każdego wieczora podejmowałem nowe wysiłki, nawet wówczas, gdy zacząłem powątpiewać, czy kiedykolwiek odnajdę tego, którego szukam. Zdawało mi się, że Londyn stał się swego rodzaju targowiskiem próżności, tyle spośród odwiedzanych przeze mnie lokali w zaułkach West Endu - i dalej - stroiło się w kiczowate szkarłatne draperie i równie kiczowate afisze, epatowało ogromnymi malowidłami i podobiznami, kusiło tak niepokojącymi atrakcjami, jak Kobieta z Brodą, Cętkowany Chłopiec, Olbrzymka z Peru i najróżniejszymi innymi mutantami, dzikusami i wybrykami natury.

Mimo że większość owych lokali pozostawała otwarta przez cały dzień, odkryłem, iż jedynie wieczorem i w godzinach nocnych oczekiwać można najszerszego wachlarza rozrywek. I tak oto doszło do tego, że każdego wieczora wychodziłem tuż po kolacji i płaciłem za wejście do lokali - i tandetnych, i ponurych, pękających w szwach i pustych. W każdym zadawałem to samo pytanie i w każdym uzyskiwałem tę samą odpowiedź. Nikt nawet nie słyszał o jarmarcznym doktorze.

Listopad postarzał się i zszarzał, każdej nocy przybywało odrobinę śniegu. Postanowiłem ograniczyć swoje śledztwo do okolic najbliższych memu domowi, dopóki pogoda się nie poprawi, choć wyznać muszę, że w owym momencie trudno by znaleźć w Londynie woskową figurę czy „żywy szkielet”, którego bym jeszcze nie widział.

Wszelako doniesiono mi o nowym lokalu przy Whitechapel Road, naprzeciwko London Hospital, w dawnym zakładzie pogrzebowym, a jeszcze wcześniej zakładzie sukienniczym, który był mi uprzednio znany. Zatem po skromnej kolacji składającej się z chleba ze smalcem wyruszyłem pieszo w kierunku Whitechapel Road. Droga prowadziła wzdłuż cmentarza żydowskiego, tyłami składu węglowego, a następnie wzdłuż południowej ściany przytułku za Baker's Row. Nie po raz pierwszy doświadczałem najgorszych przeczuć, że jeśli nie osiągnę mego celu, moja rodzina zmuszona będzie żyć i pracować w takim zakładzie. Gorszego losu sobie nie wyobrażałem, bo go po prostu nie znałem.

Podążałem wzdłuż torów kolejowych w kierunku szpitala, co chwila oglądając się za siebie w obawie przed złodziejami, którzy mieszkali w tego rodzaju miejscach. Nie miałem przy sobie za dużo gotówki, ale oczywiście czytałem okropne historie o nowej odmianie eastendowych rabusiów, którzy jeśli znajdą przy tobie zaledwie kilka pensów, bez skrupułów wykolą ci oko - albo zrobią i co gorszego - w ramach podziękii za datek. Śnieg prószył na mnie miękko, gdy szedłem, wdychając ciężkie od dymu powietrze, w którym pył węglowy ze składu mieszał się z gęstniejącym wokół mnie smogiem. Kasłałem i rozcierałem dłonie, żeby nie zmarzły. Pomyślałem wówczas, że gdybym w pełni pozostawał przy zdrowych zmysłach, z pewnością nie byłbym poza domem w wieczór taki jak ten. Mimo to szedłem dalej.

Kiedy skręciłem w Whitechapel Road, wzrok mój niemal natychmiast zatrzymał się na lokalu, o którym mi opowiadano. Górną część domu zdobił wielki kawał płótna, na którym przedstawiono

rozmaite atrakcje i spektakle: kolejna Grubaska, Najsilniejsza Kobieta Świata i różne inne osobliwości. To niepokojące, jak szybko zaczynają człowieka nużyć tego rodzaju widowiska, zwłaszcza kiedy podobne lokale odwiedza się z taką regularnością, z jaką ja to czyniłem w ostatnich miesiącach, i jeśli ma się okazję, tak jak ja miałem, podejrzeć szarą rzeczywistość kryjącą się za straszliwą i krwawą teratologią prezentowaną przez artystów. Któregoś razu, wczesnie rano w sobotę, mijałem przypadkiem lokal, który odwiedziłem zaledwie dwa czy trzy wieczory wcześniej. Tam w zarośniętym ogrodzie dostrzegłem

„zadziwiająca” kobietę z brodą, która wieczorami, podświetlona od tyłu, zdawała się posępnym pół człowiekiem, pół zjawą, teraz zaś rozwieszała pranie i wyklócała się z afrykańskim „dzikusiem” - jego po zachodzie słońca można było ujrzeć w spódniczce z trawy, złotej tunice i z kólkami w uszach, odzywał się jedynie mrukliwym „ug, ug”, w tej chwili zaś miał na sobie znacznie mniej egzotyczny strój w postaci niechlujnych pończoch, sztruksowych bryczesów i szarej płóciennej czapki, demonstrował ponadto nie tylko zaawansowaną znajomość angielskiego, ale i całą gamę tutejszych słówek i wyrażań. Przypadkiem natknąłem się też na Chłopca o Gigantycznej Głowie, dziecko może dwunasto-, trzynastoletnie - poza zaciemnionym pokojem, w którym występowało, ujrzałem je odarte z kostiumu, już nie było budzącym odrazę dziwadłem, lecz chorym dzieckiem, którym winien zająć się lekarz.

Dość przygnębiony zapłaciłem pensa za wejście do przybytku przy Whitechapel. Na parterze bez dodatkowej opłaty można było obejrzeć zwykłe trywialne eksponaty: statki w butelkach, skurczone głowy i tym podobne. Ustawiono również rozmaite woskowe figury przedstawiające prominentne osobistości ze świata polityki, obok można było podziwiać scenę ilustrującą splendor Imperium. Nie brakowało również usadowionych za karcianymi stolikami najróżniejszej maści łotrów obeznanych z mroczną sztuką ukrywania „damy” przed dżentelmenami, którzy mieli odnaleźć ją za szylinga, oraz innych podobnych odmian drobnego hochsztaplerstwa. Kiedy wyszedłem z tej sali i zmierzałem ku schodom, młoda dziewczyna usiłowała mnie namówić, abym się udał na zaplecze i pozwolił sobie powróżyć Madame Pompadour. Zapewniłem owo dziewczę, że wszystkie możliwości, jakie roztacza przede mną fortuna, są mi doskonale znane, i wszedłem po schodach. Czekał na mnie zaiste niepokojący pokaz: jedenaście figur woskowych, a każda przedstawiająca jedną z ofiar morderstw w Whitechapel. Wyznaję, że musiałem odwrócić wzrok, zaledwie spojrzałem na okaleczoną podobiznę Mary Kelly leżącą na łóżku w koszuli, z gęstą woskową krwią tryskającą z szyi. Coś wszakże w tej krwawej scenie - coś wykraczającego poza oczywiste okrucieństwo owego spektaklu - nie przestawało mnie dręczyć, gdy przeszedłem do następnego pokoju i ujrzałem młodą rudowłosą kobietę podnoszącą ciężary na swych długich warkoczach. Szybko wróciłem do wystawy figur woskowych i raz jeszcze przyjrzałem się scenie śmierci Mary Kelly. I wówczas ją zauważyłem. Szkaradna czerwona lampa, którą ostatnio widziałem w namiocie lekarza z jarmarku, służyła teraz jako rekwizyt przy tym makabrycznym *tableau*.

Bezwzględnie podszedłem do kobiety siedzącej w starym fotelu w przeciwnym kącie pomieszczenia. Zakładałem, że jej rolą jest pilnowanie figur woskowych. Stałem przed nią przez kilka sekund, zanim podniosła wzrok znad kostiumu, który obszywała cekinami w miejscach, gdzie materiał był postrzępiony i wyblakły.

- W czym mogę panu pomóc? - zwróciła się do mnie.

- Chciałbym spytać o osobę, do której należy tamta lampa -

odparłem.

- Masz pan na myśli tę nieszczęsną Mary Kelly?

- Nie - odparłem, szybko poddając się irytacji. - Nie, pewnego dżentelmena. Jarmarcznego doktora. Może jest tu zatrudniony?

Kobieta opuściła wzrok na haftowany kostium.

- Przykro mi, sir - powiedziała. - Chyba nikogo takiego tu nie ma.

Potem strzeliła w moim kierunku swoimi paciorkowatymi oczami, a ja natychmiast pojąłem, czego chce. Wyjąłem szylinga i pokazałem jej.

- Na pewno go pani nie zna? - spytałem.

Zmierzyła szylinga chciwym wzrokiem, po czym wyjęła mi go z ręki.

- Niech pan spyta wróżkę na parterze - powiedziała szybko głosem niewiele donośniejszym od szeptu. - Człowiek, do którego należy ta lampa, jest jej mężem.

Bez dalszej zwłoki zszedłem po schodach i pełen niecierpliwości wpadłem do salonu wróżki. Siedziała w nim koścista blada kobiecina w kolorowym szalu na głowie. Zanim zdążyła się odezwać, zwróciłem się do niej pierwszy:

- Szukam pani męża.

Zaczęła się zarzekać, że takowego nie posiada i że swobodnie mogę u niej zostawić należność za jej usługi, a są to usługi niemające sobie równych, gdy do pokoju wpadł powiew zimnego powietrza, chwilę później zaś pojawił się jarmarczny medyk.

- Pan Y - odezwał się. - Jakże mi miło.

- Dobry wieczór, doktorze - odparłem.

- Mniemam, że szukał pan mnie - mówił dalej.

- Skąd... - zacząłem i zaraz urwałem. Obaj znaleźliśmy efekty działania jego eliksiru. Szybko się zastanowiłem, jak działa numer z wróżką. Przypuszczalnie doktor czytał w umysłach wszystkich gości wchodzących do lokalu i podsuwał żonie ich biografie, aby mogła je wykorzystać. Musiał więc, jak rozumowałem, czytać i w moim umyśle, wiedział zatem, co mnie tu sprowadza. Domyślałem się, że istnieje szansa, bym wyszedł stąd zadowolony - za odpowiednią cenę.

- Pan chce tę recepturę - zwrócił się do mnie.

- Owszem - odparłem, lecz zawahałem się, czy mówić mu, jak bardzo jej pragnę.

- Znakomicie. Może ją pan mieć - on mi na to - za trzydzieści funtów i ani pensa mniej.

Przekląłem własny umysł. Ten typ, ten podrzędny kuglarz doskonale wiedział, że oddam wszystko, co mam, by jeszcze raz spróbować owej osobliwej mikstury, i rzecz jasna dokładnie tyle postanowił mi zabrać - i ani pensa mniej.

- Proszę - powiedziałem. - Niech mi pan nie odbiera wszystkich pieniędzy. Muszę kupić materiał do sklepu i zapłacić subiektowi. Muszę też kupić lek dla umierającego ojca...

- Trzydzieści funtów - powtórzył. - Jutro przyjdzie pan tutaj z pieniędzmi, a ja przekażę panu recepturę. Jeśli pan nie przyjdzie, uznam nasze sprawy za zamknięte. Żegnaj.

Pokazał mi drzwi.

Następnego wieczora wyjąłem ze schowka pieniądze i

pieczołowicie ukryłem je w bucie, żeby nie odebrały mi ich opryszki z East Endu. Z ciężkim sercem i z dojmującym uczuciem niepokoju wróciłem do lokalu naprzeciwko London Hospital. Dzień wcześniej widziałem przed nim tylko młodzieńca grającego na fletni; dzisiaj towarzyszyła mu dziewczyna, która wydobywała z organów takie same zawrota i buczenia jak na Gęsim Jarmarku. Minąłem tę dwójkę, potem chłopców sprzedających śliwkowy pudding, kieszonkowców i włóczągów i wszedłem do Domu Duchów, płacąc za ten przywilej kolejnego pensa.

Lękałem się, że tak zwany doktor mógł ponownie zniknąć, lecz obietnica uzyskania trzydziestu funtów musiała dlań być dostatecznie kusząca, bowiem powitał mnie, zaledwie wszedłem do...

Tutaj właśnie brakuje kartki. Mój wzrok ciągle pada na jedyne zdanie na stronie sto trzydziestej trzeciej, następnej po wyrwanej.

I tak oto w lodowatym zimnie późnego listopadowego wieczoru odszedłem stamtąd, a każdy odcisk buta na śniegu był śladem kolejnego kroku na drodze ku upadkowi i zapomnieniu, jakie miało się stać moim udziałem.

I co ja mam teraz zrobić? Został jeden rozdział zaczynający się na sto trzydziestej piątej.

Przeczytać go i zignorować fakt, że zabrakło akurat kluczowej sceny między panem Y a jarmarcznym doktorem? A może... co? Jakie są inne możliwości? Przecież nie polecę jutro do księgarni po inny egzemplarz albo chociaż po to, żeby przeczytać brakujące strony. Ta powieść nie figuruje w katalogach żadnej biblioteki: nie pojawia się nawet w zbiorach rzadkich manuskryptów. Czy ta kartka przepadła na wieki? I czemu, na Boga, ktoś ją wyrwał?

ROZDZIAŁ 7

Jest poniedziałkowy ranek, niebo ma kolor jak na smutnych ślubach. Idę na uniwersytet, chociaż praktycznie mam pewność, że wciąż jest zamknięty. Ale może i bez tego włączyli ogrzewanie. No i

dopóki nasz budynek wciąż stoi, można się załapać na darmową herbatę i kawę. Czy nasz budynek nie ucierpi? Lepiej żeby był cały, bo muszę się włamać do komputera Burlema. On jest jedyną znaną mi osobą, która miała okazję zobaczyć wydanie *Końca pana Y* i może w jego komputerze będzie coś, co podpowie mi, skąd wytrzasnął swój egzemplarz albo z kim mogłabym się skontaktować, żeby zdobyć brakującą kartkę. Koniec końców wczorajszego wieczora tego ostatniego rozdziału nie przeczytałam. Bez brakującej kartki to nie byłoby w porządku. Odsłuchałam natomiast Dziewiątą Symfonię Beethovena na iPodzie i spisałam wszystkie przemyślenia na temat tej części powieści, którą już przeczytałam. Do łóżka położyłam się około trzeciej rano, więc dzisiaj nie jestem najprzytomniejsza.

Nigdy nie szłam na uniwersytet pieszo; nawet nie wiem, którędy się powinno iść. Wiem tylko, że czeka mnie strome podejście i nie chcę drałować pod górę, z której schodziłam w piątek, bo jestem przekonana, że ci co chodzą pieszo, znają jakiś skrót. Robię więc jedyną rzecz, jaka przychodzi mi do głowy: udaję się do informacji turystycznej nieopodal katedry.

Nie zastaję tam nikogo oprócz siwowłosej kobiety z trwałą i w okularach z cienką drucianą oprawką. Krząta się przy konstrukcji z kubków ze zdjęciem katedry i muszę czekać ładnych kilka sekund, zanim babka raczy mnie zauważyć. Okazuje się, że ma bezpłatne mapki tras spacerowych po mieście, więc wręcza mi jedną, a ja natychmiast wybieram trasę i podążam nią wokół murów katedry, wypatrując tablicy, która doprowadzi mnie do Bramy Północnej.

Idę we wskazanym kierunku, mijając szeregowce i hałaśliwą młynówkę naprzeciwko pubu, przy którym mapa nakazuje mi skręcić w lewo, potem w prawo. Następnie przechodzę przez most i minawszy las pokrzyw na wzgórzu, docieram do pieszego ścieżki, która prowadzi przez tunel pod torami kolejowymi: dziwną cylindryczną przestrzeń o gładkich, upstrzonych graffiti ścianach i okrągłych pomarańczowych lampkach włączających się, kiedy się pod nimi przechodzi (w każdym razie tak przypuszczam; może to robota znudzonego poltergeista albo najzwyczajniej lampy są popsute). Idę skrajem niechlujnego podmiejskiego parku, takiego, gdzie w sobotnie popołudnie chłopaki kopią piłkę, a psy gryzą się między sobą, potem wąską alejką, na drugą stronę głównej drogi, mijam salon fryzjerski i docieram na jakieś osiedle.

Myślę, że mieszkają tu studenci, chociaż to miejsce ma w sobie coś takiego, że chyba można by się tu osiedlić dopiero na emeryturze albo kiedy z jakiegoś powodu ma się dosyć życia.

Wchodząc na wzgórze, widzę tylko kremowe bungalowy z ogródkami od frontu: żadnego graffiti, placów zabaw, sklepów, pubów. Całe to miejsce tchnie bezruchem, którego oczekiwaloby się tuż przed końcem świata.

W dni takie jak ten nie czuję lęku przed śmiercią czy bólem. Nie wiem dlaczego, może przez to zmęczenie, książkę, a może przez klątwę, ale dzisiaj, gdy przechodzę przez wymarłe osiedle, czuję się tak, jak gdyby każdy atom w moim ciele szykował się do potencjalnej fuzji jądrowej: wyzwalającej energię reakcji łańcuchowej, która doniosłaby mnie do granic wszystkiego. I kiedy tak idę, niemal tęsknię za jakąś przemocą: przeżyć lub umrzeć, tylko po to, by jej doświadczyć. Nagle jestem taka nakręcona, że chcę pieprzyć świat albo dać się pieprzyć światu. Tak, chcę, by wniknął we mnie szrapnel miliona eksplozji. Chcę zobaczyć własną krew. Chcę umrzeć z wszystkimi: poznać szczytowe doświadczenie budowania więzi; zobaczyć rozbłysk końca świata. Czuć, jak staję się

tobą; ty nami; my jednością po wieki.

Załamanie falowej funkcji przemocy. W dni takie jak ten myślę, że mogłabym być przeklęta, a w mózgu rozbrzmiewa mi tylko: „Teraz, teraz, teraz”. Chcę odzyskać brakującą kartkę.

Niebawem odnajduję początek dróżki na kampus. Bramy noszące widoczne ślady kaprysów pogody powstrzymują rowerzystów od rozwijania zabójczych prędkości, chociaż tutaj raczej nikt zabójczej prędkości nie rozwinie; droga pnie się pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Przy całym swoim zmęczeniu mam ochotę trochę się przebiec tylko po to, żeby się wyzbyć tego uczucia nakręcenia z organizmu. Jednak nie biegnę. Przechodzę przez dwie bramy, a potem mijam połać lasu tuż po mojej lewej, ukryta przed bladym niebem pod chudymi palcami zimowych drzew. Kiedy zbliżam się do szczytu wzgórza, zaczyna mżyć, w oddali widzę już żółte pojazdy budowlane turlające się wokół przewróconego Gmachu Newtona niczym zabawki w przedszkolu. Docieram do „mojego” budynku i uczucie szaleństwa powoli zaczyna mnie opuszczać. Uświadamiam sobie, że spacer zabrał mi ponad pół godziny. Szkoda, że wracając, nie będę mogła wziąć samochodu, ale w piątek miałam po drodze zatankować, a teraz mnie na to najzwyczajniej nie stać.

Budynek anglistyki i amerykańistyki stoi, jak stał i wcale nie jest zamknięty na cztery spusty. To zaś oznacza, że ktoś musi być w środku. Zresztą jak zazwyczaj. Nawet w soboty rzadko kiedy muszę sama otwierać drzwi kluczem, chociaż raz musiałam, jak wpadłam tutaj w pierwszy dzień świąt. Mimo że ktoś musi tu być, nie wyczuwam niczyjej obecności, idąc długim korytarzem. Nie chodzi tylko o to, że nie słyszę brzęczenia elektryczności ani monotonnego dźwięku zmęczonych palców uderzających w tanie klawiatury. Po prostu nie wyczuwam w pobliżu niczyjej obecności. Wchodzę do swojego gabinetu i czuję, że ogrzewanie jest włączone, chociaż i bez tego jestem zgrzana po wspinaczce na wzgórze.

Podchodzę, by otworzyć okno, i widzę, że deszcz rozbryzgujący się na szybie nakreślił na niej wzory: przerywane ukośne linie, które niemal nie wyglądają na przypadkowe i kojarzą mi się z ilustrowanymi książkami, w których były zdjęcia przyspieszenia cząstek. Włączam komputer i idę na górę, żeby sprawdzić pocztę.

Zastaję tam Mary, która rozmawia z sekretarką, Yvonne.

- Pewnie większość ludzi nie sprawdza maili w domu - mówi właśnie Yvonne. -

Znaczy, w piątek mówili, że zamykają kampus na tydzień. Zdziwiłabym się, gdybyśmy kogoś tu zobaczyły przed następnym poniedziałkiem. Może w piątek ktoś zajrzy z ciekawości. Ale są ferie, więc i tak nie wszyscy wykładowcy się pojawiają.

Niegdyś wydziałem kierowali starsi wykładowcy, na zmianę przekazując sobie nawzajem tę rolę. Teraz, podobnie jak większością pozostałych wydziałów uniwersyteckich, zarządza nim menadżer ściągnięty specjalnie po to, żeby zająć się budżetem. Mary zachowywała się w sposób typowy dla ciała pedagogicznego być może w nadziei, że dzięki temu będziemy jej ufać. Ale tak naprawdę niewiele wie o życiu wykładowców akademickich i często miałam okazję podsłuchać, jak Yvonne referuje jej, czym się tradycyjnie zajmuje pracownik naukowy.

Mary wygląda na wkurzoną.

- No to kto przyszedł?

- Max jest. Och, cześć, Ariel. I Ariel jest.

I Mary, i ja doskonale wiemy, że moja obecność nie ma dla nikogo większego znaczenia. W tym semestrze mam zajęcia tylko z jedną grupą studentów wieczorowych i na tym koniec. Nie sprawuję żadnej funkcji administracyjnej ani nie należę do żadnego komitetu.

Jestem zwykłą doktorantką, i to bez promotora. Z zaskoczeniem więc stwierdzam, że Mary patrzy na mnie jak na kogoś, kogo miała nadzieję zobaczyć.

- Ach, Ariel - mówi. - Zapraszam do mojego gabinetu, jeśli masz chwilę.

Czekam, aż mnie wyminie w korytarzu, i dopiero wtedy podążam za nią do gabinetu za rogiem. Otwiera drzwi kluczem i przytrzymuje je, aż wejść do środka. Chyba jeszcze nigdy nie byłam w gabinecie Mary. Ma dwa fotele ustawione przodem do niskiej jasnej ławy, siadam na jednym, a ona na drugim. Cieszę się, że dni, kiedy trzeba było siedzieć z szefową twarzą w twarz po dwóch stronach biurka, już minęły. Teraz tak się nie da, bo komputery przeszkadzają. Teraz w biurach wszyscy siedzą przodem do ściany albo chociaż przepierzenia.

Mary nie odzywa się słowem.

- Miło spędziłaś weekend? - pytam.

- Co? Och, tak, dzięki. No więc... - Znowu milknie, ale zakładam, że zaraz powie, co jej leży na wątrobie, toteż nie próbuję się bawić w luźne gadki. - No więc... - powtarza. -

Masz duży gabinet, a zostałaś w nim sama, prawda?

Cholera. Wiedziałam, że kiedyś to usłyszę.

- To gabinet Saula Burlema - odpowiadam. - Właściwie mój jest tylko kącik.

To kłamstwo. Po paru miesiącach od zniknięcia Burlema zgarnęłam z biurka jego rzeczy, przeniosłam komputer na ławę i zestawiałam swoje biurko z jego biurkiem w jedno wielkie, mające kształt litery L. Półki zastawiłam swoimi książkami, na wypadek gdybym kiedyś musiała nawiać z mieszkanką w śródmieściu, nie płacąc czynszu, i mówiąc ogólnikowo, zastawiłam gabinet pokrytymi pleśnią kubkami po kawie i notatkami. Mam całą szufladę szpargałów, które pewnego pięknego dnia mogą się jeszcze przydać. Są w niej trzy małe tabliczki gorzkiej czekolady, śrubokręt Philipsa, śrubokręt płaski, komplet nasadek, klucz, lornetka, kilka bliżej nieokreślonych metalowych części, kilka torebek plastikowych i co najbardziej mnie martwiło, wibrator, który Patrick podesłał mi za pośrednictwem zakładowej poczty w ramach ryzykownego prezentu.

- Cóż, jest dość jasne, że Saul nie wróci do nas w przewidywalnej przyszłości, a to oznacza, że marnuje się dużo wolnego miejsca.

Mogę tylko przyznać jej rację, przynajmniej teoretycznie.

- Właśnie - mówi Mary. - Słuchaj. Szefostwo wydziału zgodziło się użyczyć tymczasowo powierzchni biurowej pracownikom, którzy musieli opuścić Gmach Newtona.

Dla większości z nas oznacza to ciasnotę, ale jak trzeba, to trzeba. Zgodziliśmy się przygarnąć cztery osoby. Dwie trafią do Sali Naboru i dwie do ciebie, dobrze?

- Dobrze - odpowiadam, choć chyba wyglądam na przerażoną. Uwielbiam swój gabinet. To jedyne naprawdę ciepłe i wygodne miejsce, jakie mam na tym świecie.

- Bez przesady, Ariel. Przecież nie proszę cię, żebyś zwolniła gabinet ani o nic w tym rodzaju. Po prostu podziel się nim przez jakiś czas. I tak musiałabyś się nim dzielić, gdyby Saul przychodził do pracy.

- Wiem. Nie martw się. Nie narzekam ani nie...

- Poza tym odpowiadamy za naszych uchodźców.

- Tak, wiem. Jak już mówiłam, nie ma sprawy. - Przygryzam wargę. - Więc... kogo mi dokooptujecie? Już wiadomo? To znaczy, czy dowiem się, z kim będę dzielić gabinet?

- Hm... - Mary się podnosi i sięga po kartkę leżącą na biurku. - Możesz sama wybrać, jeśli chcesz. W grę wchodzi... niech zobaczą... wykładowca teologii, świeżo upieczony doktor biologii ewolucyjnej, bakteriolog i asystent do spraw administracyjnych.

Cóż, nie zniosę bakteriologa w gabinecie, mimo że pewnie znalazłby u mnie pod dostatkiem materiału badawczego. Obawiam się też, że asystent do spraw administracyjnych mógłby być bardzo podobnego zdania o moim gabinecie jak bakteriolog.

- No tak... - bąkam. - Może niech będzie ta teologia i biologia ewolucyjna.

Mary zapisuje coś na kartce i uśmiecha się do mnie.

- Już. To nie było takie straszne, co?

Wychodzę z gabinetu Mary, zastanawiając się, czy do wszystkich przemawia jak do dzieci. Bardzo się staram ją polubić, ale sama to utrudnia. Podejrzewam, że była na jakimś szkoleniu dla menadżerów, gdzie wbija się ludziom do głów, jak „uwłasnowolnić” pracowników i dać im odczuć, że sami podjęli koszmarną decyzję, z którą ostatecznie będą musieli potem żyć. Mówi się trudno. Wciąż jeszcze nie sprawdziłam poczty, idę to zatem nadrobić.

Yvonne już wie o moich biurowych współlokatorach.

- Przyjdę później i pomogę ustawiać biurka - mówi na mój widok. - Roger doniesie dodatkowe biurko i jakieś półki. Komputer profesora Burlema i różne szpargały z jego biurka umieścimy w przechowalni, więc gdybyś mogła oddzielić je od swoich rzeczy...

Ostatecznie okazuje się, że nie ma dla mnie poczty.

Kiedy jest „później”? Tak czy inaczej zostaje mi znacznie mniej czasu na włamanie się do Burlemowego komputera, niż myślałam, zwłaszcza teraz, kiedy chcą go wynieść do przechowalni. Przenoszę go z powrotem na biurko, podłączam do prądu i uruchamiam. Nie po raz pierwszy próbuję się do niego dostać, ale za pierwszym razem robiłam to bez przekonania, licząc tylko, że a nuż uda mi się znaleźć jakąś wskazówkę co do miejsca jego pobytu. Wtedy, tak jak i teraz, pojawiło się okienko logowania, w którym trzeba wpisać nazwę użytkownika i hasło. Hasło użytkownika znam: sabu2. Ale hasła nie mam skąd wziąć.

Poprzednim razem udawałam postać z filmu i z wielką pewnością siebie wpisałam na chybił

trafił kilka możliwych haseł, zanim zdałam sobie sprawę, jaki to durnowaty pomysł. Tym razem posłużę się bardziej wyrafinowaną techniką hakerską. W zeszłym roku wyczytałam w jakiejś książce, że najbardziej wyrafinowana technika hakerską nie wymaga zgadywania, algorytmów, logarytmów, plików słownikowych ani programów do anagramowania.

Najlepszą techniką hakerską jest nakłonienie kogoś, żeby podał ci hasło.

Kto zna nasze hasła? Administrator sieci na pewno, a Yvonne? Zastanawiam się minutę. Niemożliwe, żeby Yvonne знаła nasze hasła. A gdyby z jakiegoś powodu któregoś z nich potrzebowała? Przypuszczalnie skontaktowałaby się z kimś z Computing Services.

Przecież to nie może być taka wielka sprawa: wszystko tutaj oficjalnie jest własnością uniwersytetu, z plikami w komputerach łącznie. A Burllem zaginął, więc... Może mogłabym po prostu zadzwonić do Computing Services i udawać Yvonne? Prawdopodobnie nie. Pewnie ciągle do nich wydzwania. Znają jej głos. Hm. Zastanawiam się jeszcze przez chwilę, potem parokrotnie przegarniam palcami potargane włosy, nastawiam wyraz twarzy na „bardzo zmartwiony” i wracam na górę.

- Ach - mówię od progu. - Yvonne?

Popija herbatę.

- Tak, Ariel? W czym mogę ci pomóc?

- Hm, mam mały problem. Prawdę mówiąc, nie taki mały, a po prostu wielki i kompletnie nie wiem, co robić.

- Och. Mogę jakoś pomóc?

- Nie wiem. - Marszczę czoło i wlepiam wzrok w brązową wykładzinę. - Boję się, że to przegrana sprawa, ale... - Wzdycham i znowu przegarniam włosy. - Cóż, wiesz, że komputer Saula ma dzisiaj trafić do przechowalni?

- Tak.

- Właśnie, a jest w nim dokumentacja, której potrzebuję, i nie wiem, jak się do niej dostać. Chyba po

prostu się nie da. Saula nie ma, a ja nie pamiętam hasła. Kiedyś je znałam, rzecz jasna, ale wyleciało mi z głowy i... Och... Jak to wytłumaczyć? Z grubsza biorąc, ktoś z Warwick pracuje nad nową antologią, a Saul prosił mnie o dokończenie tej... no, bibliografii i przesłanie jej do tego kogoś mailem. Miałam to zrobić dopiero za miesiąc, więc zbytnio się tą sprawą nie przejmowałam. Ale jak zaczęłam odkładać rzeczy do przechowalni, jak prosiłaś, nagle mi się przypomniało. - wruszam ramionami. - Chyba już tylko cud mnie uratuje. Bo pewnie nie znasz jakiegoś sposobu, żeby odzyskać dokument z komputera, chociaż nie zna się hasła? Przecież w wolnych chwilach nie bawisz się we włamywanie do cudzych komputerów? - śmieję się. - Jakby ktokolwiek z nas umiał się włamać do komputera...

Yvonne popija herbatkę.

- No to faktycznie masz problem, co?

- A mam... Odkładałam to do czasu, kiedy będę się mogła skontaktować z Saulem.

Pomyślałam, że może sam się odezwie jakoś bliżej terminu, ale oczywiście on nie wie, że komputer trafi do przechowalni i... Boże. Przepraszam, że ci zawracam głowę, ale uznałam, że chyba tylko ty będziesz wiedziała, co by tu zrobić.

Bardzo uważam, żeby zbyt często nie wypowiadać słowa „hasło”. Mam przeczucie, że jeśli z braku hasła zrobię główny problem, zabrzmiałoby to znacznie bardziej podejrzanie niż proste „potrzebuję pewnego dokumentu i nie wiem, jak się do niego dostać. Uważam też, że żarcik o włamywaniu się do komputera może pomóc, chociaż zawsze to jakieś ryzyko.

- Telefonowałaś do Computing Services? - pyta Yvonne.

- Jeszcze nie. Po prostu zakładałam, że każą mi spadać. To znaczy, dla nich jestem zupełnie anonimowa. No i to trochę dziwna prośba. Ty mnie oczywiście rozumiesz, ale nie jestem pewna, czy oni by zrozumieli.

- Chcesz, żebym do nich przedzwoniła?

- Och, mogłabyś? Bardzo ci będę wdzięczna, Yvonne.

- Dam autoryzację na zmianę hasła i poproszę, żeby kogoś podesłali, niech zrobi z tym wszystkim porządek. Kiedy profesor Burlem wróci, będzie musiał zmienić hasło, chociaż stare i tak do tego czasu zdążyłoby stracić ważność. Nie wiem, kiedy to załatwią, ale po wszystkim daj mi znać, że już byli, to zajmiemy się tymi biurkami, dobrze?

Informatyk się nie zjawiał, choć już dochodziła dwunasta i zaczynało mi burczeć w brzuchu. Gdybym miała chociaż jakąś bułkę, mogłabym sobie zrobić kanapkę z czekoladą (z pewnością nie byłby to najgorszy lunch w moim życiu), ale nie wiem, czy kantyna jest czynna. Próbuję otworzyć stronę uniwersytetu, żeby się zalogować w wewnętrznej sieci i sprawdzić, które z rozlicznych restauracji i kafeterii są otwarte, lecz zamiast strony głównej ciągle tylko wyświetla mi się komunikat Error 404. Nic dziwnego, że uniwersytet świeci pustkami. Każdy kto się zalogował i próbował wejść na tę stronę,

żeby sprawdzić, czy normalnie iść do pracy, od razu na pewno założył najgorsze. Wzdycham. Nawet sama czekolada nie byłaby najgorszym lunchem w moim życiu - w gruncie rzeczy to prawie

„delikates” - ale byłoby super, gdybym mogła ją popchnąć kawałkiem pieczywa, a bułki w kantynie kosztują jedynie dziesięć pensów sztuka. Piszę krótką wiadomość na kartce i przypinam ją do drzwi. Będę za pięć minut. Oby tylko informatyk, jeśli akurat przyjdzie, raczył chwilę poczekać.

Gmach Russella, podobnie jak Gmach Stevensona w zachodniej części kampusu, ma kształt cyberkwiatu o czterech płatkach z niewielkim kompletem krużganków w środku. Nie spędziłam w Gmachu Stevensona zbyt wiele czasu, ale studenci mówią, że jest taki sam jak Gmach Russella „tylko na odwrót”, co jawi mi się jako lekki koszmarek, zwłaszcza że już w Gmachu Russella dostatecznie łatwo jest się pogubić. Ja w Gmachu Russella błąkam się tylko na początku roku akademickiego, kiedy wszędzie jest mnóstwo świeżych studentów i wszyscy wyglądają na zagubionych, zupełnie jakby to poczucie zagubienia wyciekało z ich umysłów i zarażało wszystkich wokół.

Teraz opuszczam gmach anglistyki bocznym wyjściem i przemykam pod przejściem, które prowadzi do jednego z bocznych wejść Gmachu Russella. Idę po betonowych schodkach, po następnych zbiegam w dół i tak docieram do początku długiego białego korytarza o podłodze wyłożonej podniszczoną terakotą i o bielonych ścianach. Kiedy kręcą się tu studenci, korytarz wygląda niemal normalnie, ale teraz czuję się w nim jak w skrzydle medycznym porzuconej stacji kosmicznej z lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku - albo jak w którymś wyobrażeniu takiej stacji. Jest przy nim pomieszczenie, które służy jako magazyn popsutych mebli. Słyszę odgłos własnych kroków i po raz pierwszy w życiu doznaję uczucia, że w całym budynku może nie być nikogo oprócz mnie.

Stoły w jadalni ustawione są w geometryczny wzór, który wydaje się przypadkowy, dopóki nie pójdziesz się na górę do świetlicy dla pracowników i nie spojrzysz na dół. Stamtąd już widać, że wszystkie ławy stoją przodem w kierunku katedry, którą niczym obraz w ramach widać w dużych oknach na ścianie w głębi sali. Oglądane z góry wszystko to ma sens i człowiek sam czuje się jak część obrazu, jak gdyby nic, co się znajduje na idealnie prostej linii łączącej go z katedrą, naprawdę nie istniało.

Stoi się w ciemności, a katedra ma prostokątną ramę ze światła. Kiedyś musiałam wejść do mrocznej salki przy recepcji, żeby sprawdzić, czy w rzutniku nie zostawiłam przezrocza, które wyświetlałam na seminarium, bo wiedziałam, że bibliotekarka osobiście postrzeli mnie w nogę, jeśli go nie odniosę. Oprócz mojego slajdu (*Uciekinier* Vittoria Corony) znalazłam w pudełku inny: przedstawiał okładkę *Iluzji końca* Baudrillarda. Idąc na dół do kantyny, uniosłam go ku jedyjnemu dostępnemu źródłu światła: ku oknu w głębi sali, i dopiero wtedy mogłam zobaczyć, co na nim widać. Chociaż slajd był mocno nadpalony, obraz nie ucierpiał. Ale kiedy usiłowałam wyodrębnić jakiś detal, zdałam sobie sprawę, że przez przezrocze patrzę na katedrę i że te dwa obrazy zlały się w jeden. Przezrocze spodobało mi się tak bardzo, że zabrałam je do gabinetu i usiłowałam wykoncypować, jak wyświetlić je na ścianie. Nic nie wymyśliłam i nie wiem, co się z nim stało. Częściej też czytam Baudrillarda.

Dzisiaj ławy stoją w zwyczajowej formacji, lecz brakuje dzbanków z wodą i ludzi i całość jest, jak się obawiałam, zamknięta. Mogłabym pójść do któregoś z pozostałych budynków, tyle że głupio tak się nachodzić za marną bułką, więc wracam do gabinetu i zjadam dwie tabliczki czekolady. Potem

biore kawę i papierosa i rozsiadam się, żeby dalej czekać na informatyka. Staram się nie smucić na myśl, że najpewniej ostatni dzień mam gabinet tylko dla siebie, marnie mi to jednak wychodzi. Podejrzewam, że już nie będę mogła gadać do siebie ani palić wychylona za okno, ani zasypiać pod drugim biurkiem. Czy ci nowi będą chcieli ustawić rolety pod innym kątem? Przynieść rośliny doniczkowe? Wolę o tym nie myśleć.

Dla zabicia czasu uruchamiam przeglądarkę internetową we własnym komputerze i szukam słowa „troposfera”. Nie spodziewam się, że cokolwiek znajdę, tymczasem okazuje się, że ona istnieje. Jest częścią atmosfery Ziemi: warstwą, w której powstaje większość zjawisk pogodowych. Czy Lumas mógł to przeoczyć? Ja założyłam, że to wymyślone słowo.

Wchodzę na stronę słownika oxfordzkiego i po krótkich poszukiwaniach ustaliam, że najwcześniejsze użycie tego słowa datowane jest na rok tysiąc dziewięćset czternasty. A więc Lumas rzeczywiście był jego autorem, lecz to jakoś przeszło bez echa. Z drugiej strony, czemu miałoby być inaczej? W końcu to tylko powieść. Kiedy już przeczytałam cały wpis, wstukałam do wyszukiwarki *Koniec pana Y* ot tak, żeby sprawdzić, czy w Sieci nie ma jakichś informacji, które przeoczyłam.

Kiedy szuka się czegoś o *Końcu pana Y* w Internecie, zwykle wyświetlają się trzy linki. Pierwszy to urywek starego referatu, który Burlem wygłosił na konferencji w Greenwich. Drugi to wątek z forum dyskusyjnego poświęconego księgarskim białym krukami, gdzie ktoś prosi o udostępnienie tej książki, ale bez odpowiedzi. Trzeci jest już bardziej tajemniczy. Właściwie to strona jakiegoś fanklubu, z czarnym tłem i gotyckimi ozdobnikami, i o ile mi wiadomo, z mnóstwem informacji na temat tej powieści. Jedną stronę poświęcono kłątwie, na innej spekulowano, dlaczego jest praktycznie nie do kupienia na całym świecie.

Autor strony najwyraźniej ukuł spiskową teorię, jakoby rząd amerykański tropił i niszczył

wszystkie znane egzemplarze, łącznie z tym w niemieckiej skrytce bankowej (która według tego kolesia należała niegdyś do Hitlera). Nie napisał dlaczego, lecz sugerował, że kryje się za tym jakaś potężna tajemnica. Moim zdaniem prawda jest prosta: nie wydano tej powieści w zbyt wielu egzemplarzach, a kiedy książka ma ponad sto lat na popadnięcie w zapomnienie, z łatwością może po prostu zniknąć. Tak czy inaczej jakieś pół roku temu, a może i nieco wcześniej, strona została zamknięta. Kiedy dzisiaj na nią zaglądam, prezentuje się dokładnie tak samo jak wtedy, gdy ostatnio ją oglądałam. Nie wyświetla się komunikat o błędzie ani nic innego, za to na stronie głównej pojawia się napis: „Uciszyli mnie i wyjechałem”.

Dzisiaj zauważam zaintrygowana, że pojawił się czwarty link do strony zawierającej wzmiankę o *Końcu pana Y*. To blog o nazwie „Są takie dni w moim życiu”, a kiedy klikam na link, zostaję przeniesiona na różowo-biały ekran z wpisami jak w dzienniku. Przewijam stronę w górę i w dół, lecz nie mogę wypatrzeć tytułu. Używam funkcji „Znajdź” i dopiero wtedy go widzę. Jest we wpisie z ostatniego piątku.

Znowu musiałam dzisiaj pracować w antykwariacie (wielkie dzięki, Sam) pomimo kaca giganta. Cały dzień odkurzałam książki, co jest zajęciem dziwnie terapeutycznym. Z klientów była tylko jedna taka studentka, która wybuliła pięćdziesiąt funtów za książkę pt. *Koniec pana Y*, o której nigdy nie słyszałam, ale musi być trudna do kupienia. Może zajmę się sprzedażą używanych książek. I co ty na

to, Sam?

Mogłybyśmy zostać współniczkami i rzucić zasrane college, i zarabiać fortunę na ludziach, którzy są skłonni zapłacić od groma funtów za stare książki. Przecież to nic trudnego, nie?

Ktoś puka do drzwi, więc natychmiast wyłączam przeglądarkę. Wreszcie informatyk.

- Ariel Manto? - pyta, zerkając na jakiś świstek.

- Tak - odpowiadam.

- Przyszedłem ustawić nowe hasło - mówi.

- A, tak. Super - odpowiadam. - To ten komputer.

Usiłuję zająć się czymś innym, podczas gdy on majstruje przy systemie, bo uważam, że im mniej zamieszania będę robiła, tym mniej podejrzana wyda mu się cała sprawa. Nie próbuję zatem niczego wyjaśniać ani usprawiedliwiać się, podając powody, dla których potrzebuję nowego hasła; po prostu daję mu pracować, a sama zaczynam przepisywać własne notatki na temat *Końca pana Y* na drugim komputerze. Idealnie byłoby, gdybym mogła poświęcić cały rozdział pracy doktorskiej *Końcowi pana Y*. Łatwo by się pisało, biorąc pod uwagę moją obsesję na punkcie tej książki, ale też byłby z tego świetny artykuł albo referat na konferencję. Jedyne problem w tym, że nie jestem pewna, w jaki sposób mogłabym uzasadnić tezę, że to też był eksperyment myślowy.

Eksperymenty myślowe, lub po niemiecku *gedankenexperimente*, to takie, których z jakichś przyczyn nie można przeprowadzić fizycznie, a jedynie teoretycznie - poprzez logikę i rozumowanie, w umyśle. Etyczne i filozoficzne eksperymenty myślowe przeprowadzano od setek, jeśli nie od tysięcy lat, ale dopiero gdy zaczęto je przeprowadzać w naukowym kontekście, oficjalnie nadano im nazwę „eksperymentu myślowego”, co jest dosłownym tłumaczeniem *gedankenexperiment*, niemniej Lumas zawsze nazywał je „eksperymentami umysłu”. Światłonośny eter jest efektem swego rodzaju eksperymentu myślowego, w którego ramach postulowano, że skoro światło jest falą, to musi być falą w czymś. Nie ma fali na wodzie bez wody - gdzie zatem jest „ciecz” światła? I tak ludzie wymyślili światłonośny eter, by ponownie go odrzucić, kiedy eksperyment Michelsona i Morleya dowiódł, że niestety, eter jednak nie istnieje.

Edgar Allan Poe użył zasad eksperymentu myślowego, by rozwiązać paradoks Olbersa i jak uważają niektórzy, z grubsza wynaleźć teorię Wielkiego Wybuchu na dobre sto lat przed naukowcami.

„Poemat prozą” *Eureka* jest zapisem jego rozmaitych poglądów naukowych i kosmologicznych, ale Poe nie zajmował się nauką eksperymentalną, więc jego teorie przybierały postać eksperymentów myślowych albo też czegoś zbliżonego do nich, takich

„myśli o myśli”, sądząc po tym, jak opisał nieskończoność. Jego rozwiązanie paradoksu Olbersa należy do najelegantszych eksperymentów myślowych w historii. W tysiąc osiemset dwudziestym trzecim roku Wilhelm Olbers zastanawiał się, dlaczego widzimy gwiazdy na nocnym niebie tak, jak je widzimy. W tamtych czasach większość uważała wszechświat za nieskończony i wieczny. Jeśli zatem niebo jest nieskończone, to przecież musi zawierać nieskończoną liczbę gwiazd? A jeśli

gwiazd jest nieskończenie wiele, to nasze niebo powinno być białe, a nie czarne. Olbers uważał, że to wina chmur pyłu, i pisał: „Jakże to fortunnie się składa, iż do Ziemi nie dociera światło gwiazd z każdego punktu sklepienia niebieskiego!”.

Edgar Allan Poe przemyślał gruntownie tę kwestię i doszedł do wniosku, że istnieje prostsze i bardziej wiarygodne wytłumaczenie „pustek, które w niezliczonych kierunkach odnajdują nasze teleskopy”, a mianowicie takie, że część gwiazd jest po prostu tak daleko, że ich światło jeszcze nie zdążyło do nas dotrzeć.

Być może najsłynniejszy eksperyment myślowy w historii zawdzięczamy Einsteinowi, kiedy się zastanawiał, co by się stało, gdyby zdołał dogonić promień światła. Doszedł do wniosku, że gdyby mógł podróżować z prędkością światła, logika mówi, że widziałby sam promień tak, jakby był on nieruchomy, podobnie jak nieruchomy nam się wydaje pociąg jadący z tą samą prędkością co nasz. Jak by zatem wyglądało światło, gdyby uległo pozornemu zatrzymaniu? Przypominałoby zamrożoną żółtą falę? Cząstki przypominające rozbryzniętą farbę? A gdyby można się przejrzeć w lustrze, podróżując z prędkością światła?

Człowiek wydawałby się niewidzialny. Może nawet byłby taki naprawdę. Einstein zdawał

sobie sprawę, że nie może istnieć coś takiego jak nieruchome pole magnetyczne. Równania Maxwella, które dowodzą, że można by teoretycznie dogonić promień światła, dowodzą zarazem, że światło nie może być statyczne. Tak więc albo pierwszy punkt, albo drugi musi być błędny. Interesujące byłoby przyjąć, że niezgodny z prawdą jest ten drugi i że jednak można dogonić promień światła i zobaczyć je niejako zamrożone, lecz z rozmaitych powodów, których nie zrozumieć bez dodatkowych kursów z fizyki, tak nie jest. Szczególna teoria względności Einsteina głosi, że bez względu na to, jak szybko byśmy podróżowali, światło zawsze będzie podróżowało względem nas z prędkością c , prędkością światła. Nie ma znaczenia, czy podróżujemy z prędkością mili na godzinę czy tysiąca mil. Światło, które widzimy wokół, zawsze podróżuje szybciej niż my i zawsze z prędkością c . Gdybyśmy poruszali się z prędkością równą połowie prędkości światła, wcale nie wydawałoby się nam, że światło podróżuje z prędkością o połowę mniejszą. W dalszym ciągu zdawałoby się podróżować z prędkością c względem nas.

„Przyjmijmy, że nasz stary znajomy, pociąg, jedzie po torach ze stałą prędkością v ” pisze Einstein w wykładzie *O szczególnej i ogólnej teorii względności*. Tłumaczy następnie, że gdyby ktoś szedł wagonem w kierunku, w którym wagon jedzie, nie poruszałby się z taką samą prędkością jak pociąg ani z prędkością, z jaką idzie, lecz z prędkością będącą sumą tych dwóch prędkości. Gdyby pociąg jechał z prędkością stu mil na godzinę, a ktoś szedłby wagonem z prędkością mili na godzinę, w rzeczywistości poruszałby się do przodu z prędkością stu jeden mil na godzinę względem mijanego krajobrazu. Podobnie gdybym jechała autostradą wzdłuż torów kolejowych z prędkością, powiedzmy, osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę, i ten właśnie pociąg by mnie mijał, zdawałoby się jechać z prędkością piętnastu mil na godzinę względem mnie; a podróżny idący wagonem zdawałoby się iść z prędkością szesnastu mil na godzinę. Gdyby wyrzwał z pociągu i spojrział na mnie jadącą wzdłuż torów, pomyślałby, że jadę do tyłu. Wszystko to jest Newtonowską prędkością względną i światła nie dotyczy.

Twierdzenia Einsteina, efekt końcowy jego oryginalnych eksperymentów myślowych, dowodzą, że

materia i energia są różnymi manifestacjami tego samego i że gdyby ktoś próbował się zbliżyć do prędkości światła, stawałby się coraz cięższy, w miarę jak jego energia zmieniałaby się w masę. Einstein wykazał również, że przestrzeń i czas są w istocie tym samym. Dla Lumasa czwartym wymiarem była przestrzeń mieszcząca byty albo przynajmniej myśli. Dla H. G. Wellea był to zielonkawy inny świat zaludniony przez duchy.

Dla Zollnera było to miejsce pełne zjaw, które jak się wydawało, nie miały lepszych zajęć od pomagania magikom. Dla Einsteina natomiast to wcale nie było miejsce. Ale też nie był to po prostu czas. Czwartym wymiarem była czasoprzestrzeń: nie sam zegar, lecz zegar tykający na twojej ścianie względem ciebie.

Informatyk chrząka.

- Już prawie zrobione - mówi.

- Super. Dzięki - odpowiadam.

Czasami się zastanawiam, jak by to było być Einsteinem siedzącym w dusznym urzędzie patentowym i wyglądającym przez okno na pociągi i tory kolejowe. Jest w tym coś romantycznego, aczkolwiek tylko jeśli się odnosi do cudzego życia. Podnoszę wzrok znad notatek i spoglądam na duże okno w metalowej framudze. Coś mi zaczyna świtać, nagle rodzi się we mnie dziwaczne skojarzenie z Lumasem i patrzę na swoje notatki. A napisałam: Metafora (w przedmowie Lumasa)... Trop... (Troposfera! - dziwne).

Sposoby myślenia o świecie. Nie można używać metafor pociągów, jeśli pociągi nie istnieją. Por. *différance*. Czy myśl może istnieć bez języka, w którym można ją wyrazić? Jak język (albo metafora) wpływają na samą myśl? Por. *Poetyka*. Gdyby nie było wieczorów, nikt by nie uważał, że są jak starość.

- Już - odzywa się informatyk. - Wszystko gotowe. Gdyby mogła pani podejść i wpisać nowe hasło...

Wstaje i przechodzi do innej części pokoju, podczas gdy ja siadam i usiłuję coś wymyślić. Powinam użyć własnego hasła; to byłoby proste. Przez myśl przemyka mi kilka potencjalnych haseł. Jednak coś każe mi spokojnie wpisać słowo „haker” w okienku. Słowo wyświetla się jako sześć małych gwiazdek, klikam OK i mówię informatykowi, że skończyłam. Facet podchodzi, chwilę jeszcze majstruje przy sprzęcie i restartuje komputer.

- Gotowe - mówi i wychodzi.

Zdażyłam przesunąć mysz o jakiś milimetr po blacie biurka, gdy dzwoni telefon. To Yvonne.

- Był ten informatyk? - pyta.

- Aha - przytakuję. - Właśnie wyszedł.

- Czyli już masz ten swój dokument?

- Ee... nie. Jeszcze nie. Dopiero co się zalogowałam.

- No dobrze, cóż, zajmij się tym, a ja przyjdę za jakieś dziesięć minut zrobić porządek z biurkami. Roger już jest, ale dam mu herbaty i chwilę tu poczekamy. Poczekasz te dziesięć minut, co, Roger? - W tle słyszę zdławione: „Jasne, jeśli się załapię na ciastko do tej herbaty”.

- To do zobaczenia niebawem, Ariel.

Dziesięć minut. Psiakrew. W dziesięć minut w życiu nie zdążę zbadać zawartości Burlemowego komputera. Okej: plan B. Wyciągam z torebki iPoda i podłączam go do komputera. Modlę się (do czego? do kogo?), żeby nie odrzucił połączenia, i parę sekund później iPod wyświetla się jako dysk F. Fantastycznie. Teraz muszę tylko przenieść zawartość Burlemowych „Moich dokumentów” i... już. Zajęło mi to raptem dwadzieścia sekund. Gdzie jeszcze mógłby ukryć jakieś informacje? Szperam chwilę, mówiąc metaforycznie, lecz po kilku kliknięciach na ikony folderów mam pewność, że Burlem nie zapisuje plików nigdzie poza „Moimi dokumentami”. Nie jestem w pełni usatysfakcjonowana, ale mówi się trudno.

Jeszcze raz się upewniam, że wszystkie pliki poprawnie się skopiowały; potem wypinam iPod'a i wyłączam komputer na chwilę przed tym, nim pukanie do drzwi obwieści nadejście Yvonne.

ROZDZIAŁ 8

Yvonne jest zmartwiona liczbą książek w gabinecie.

- Co sądzisz, Roger? - pyta.

- Ha! - odpowiada Roger. - Więcej półek to tu nie wciśniesz. Podczas gdy prowadzą tę rozmowę, ja wygarniam zawartość szuflad Burlemowego biurka, co powinnam była zrobić o wiele wcześniej. Zdążyłam posegregować kilka luźnych dokumentów związanych z jego kursem „Literatura i nauka”, a teraz zajmuję się ogólnym bałaganem. Widzę łyżeczkę, przypuszczalnie podwędzoną z kuchni, i chowam ją, zanim Yvonne zauważy. Jest też torba kawy mielonej, nieotwarta, którą także ukrywam w myśl zasady, że uczciwemu znalazcy należy się znaleźne, ale też w przekonaniu, że Burlem najprawdopodobniej nie miałby nic przeciwko temu, żebym w ostateczności poczęstowała się jego kawą. Poza tym w szufladach nie ma nic interesującego: dużo ołówków i mazaków do tablic. Och! I jeszcze elektryczna temperówka. Ją też sobie pożyczę.

- A ty co o tym sądzisz, Ariel? - mówi Yvonne.

- Słucham...? - odpowiadam. Szabrowanie Burlemowych szuflad tak mnie pochłonęło, że przestałam słyszeć tych dwoje.

- Właśnie rozmawialiśmy o tym, że książki profesora Burlema też można by umieścić w przechowalni. Jeśli przyniosę kilka kartonów, będziesz tak miła i spakujesz je? Resztę dokończymy jutro rano.

Do czwartej spakowałam większość książek. A przynajmniej większość tych, do których raczej nie będę chciała nigdy zajrzeć (głównie klasyków literatury, które się dublowały z moimi, też znajdującymi się w gabinecie), i zauważam zaniepokojona, że zapełniły ledwie dwa z pięciu pudeł przyniesionych przez Yvonne. Miejsca na półkach przybyło w najlepszym razie malutko. Rozglądam się jeszcze raz. Nie ma mowy, żebym odesłała wszystkie książki teoretyczne Burlema do przechowalni. Są mi potrzebne, wszystkie.

Podręczniki do kursu „Literatura i nauka” też muszą zostać, bo za parę tygodni sama mam go prowadzić. A co z dziewiętnastowiecznymi dziełami naukowymi? Pewnie sporo takich mam w domu. Cholera. Co ja mam teraz zrobić?

Kiedy w dalszym ciągu dumam nad sytuacją, dzwoni telefon.

- No więc... - To Patrick.

- No więc... - powtarzam, dostosowując się do jego tonu.

- Zgadnij, co takiego mam.

- Co takiego masz?

- Klucze.

- Do?

- Sypialni studenckich w Russellu. No więc pomyślałem sobie...

Śmieje się. On chce się bzykać w kampusie. A to coś nowego. W jego głosie jest coś, czego wcześniej nie słyszałam.

- Patrick - mówię, jakbym tłumaczyła dziecku, że nie powinno się bawić zapalkami. -

A jeśli...

- Nikogo nie ma w pobliżu - odpowiada. - Może byś zabrała to, co ci przysłałem?

Czy mogę mu powiedzieć, że muszę pakować książki do pudeł? Prawdopodobnie nie.

No i co ze spenetrowaniem zawartości plików z Burlemowego komputera? Wysuwam szufladę biurka i patrzę na przesyłkę, którą kazał mi zabrać. To przesądza sprawę. Pożądanie wgrzyza się we mnie mocno i czuję, jak jego ciepły jad rozplywa się po moim ciele. Ignoruję fakt, że głos Patricka brzmi jakoś dziwnie i że jego pomysł jest głupi, i zgodziwszy się na spotkanie w najciemniejszym kącie Gmachu Russella, łapię torebkę i idę do niego, parę razy oglądając się za siebie, na wypadek gdyby ktoś mnie śledził. Później zajmę się tymi pudłami.

Zresztą ileż to potrwa? Szybki numererek może się okazać idealnym sposobem spędzenia popołudniowej przerwy. Poza tym inni też robią sobie przerwę na herbatę, prawda?

Po wszystkim, o szóstej, wciąż siedząc w małym, trochę zapuszczonym pokoju, kiedy Patrick już wyszedł, zastanawiam się, czy na wszystko się zgadzam dlatego, że wierzę głęboko, iż wszystko przeżyję, czy też dlatego, że wciąż szukam ostatecznego dowodu.

Okazało się, że Patrick miał dziwny głos, bo żona od niego odchodzi - nie dlatego, że dowiedziała się o mnie, lecz dlatego, że zakochała się w jednym ze swoich młodziutkich kochasiów. Patrick był wściekły; to było jasne. I wcale nie zadzwonił po mnie, żeby mieć się na kim wyładować - zwykle miły z niego facet. Ale kiedy znaleźliśmy się w tym pokoju, świat jego fantazji jakoś zderzył się z gwałtownością i gniewem, które nagromadziły się w nim w realnym świecie, i przez to wszystko było bardziej intensywne, bardziej desperackie i znacznie mroczniejsze niż zwykle. Czy wiedział, że sprawy przybiorą taki obrót? Bądź co bądź prosił, żebym wzięła wibrator, który mi przysłał. A sam zabrał sznur (zamiast jak zwykle jedwabnych szalików). Przecież to niemożliwe, żeby zamierzał się posunąć tak daleko, jak się posunął? Chciał, żebym kazała mu przestać? Nie wiem, czemu tego nie zrobiłam. Tyle że... nie kazałam mu przestać, bo nie chciałam, żeby przestawał, bo... cóż, może mnie też podobała się ta mroczność i gwałtowność? Może potrzebuję mroku i przemocy jak jedzenia, jak papierosów? Może... może powinnam przestać o tym myśleć.

Po paru minutach wychodzę z pokoju i przemierzywszy budynek korytarz obwieszony plakatami

przypominającymi studentom, żeby nie zostawiali okien otwartych, bo wlatują przez nie gołębie i składają jaja, idę po stromych schodach do głównej części budynku.

Przechodzę białym korytarzem pod białymi światłami tylko po to, żeby stwierdzić, że boczne drzwi nie chcą się otworzyć. Zwykle tak wcześniej nie zamykają. Cholera. Sprzedaję im kilka kopniaków, lecz drzwi z całą pewnością są zamknięte na klucz, więc znowu muszę iść dookoła, strzelając oczami niczym złodziej, wiedząc, że jeśli teraz na kogoś wpadnę, dziwnie to będzie wyglądało, a nie mogę nawet zełgać, że przyszłam po coś z automatów, bo nie mam przy sobie żadnych słodyczy ani czipsów. Czy chodzę jakoś dziwnie? Po tym co przed chwilą zrobiłam, nie byłoby w tym nic zaskakującego. Jednak portier tylko żegna mnie skinieniem, kiedy uciekam głównym wyjściem, oglądając się na niego bez wyrazu. Po powrocie do gmachu anglistyki robię sobie w pustej kuchence kawę, po czym zabieram ją do gabinetu, najpierw ignorując fakt, że teraz jestem już bardzo głodna, a potem postanawiając zjeść ostatnią tabliczkę czekolady.

Przez pewien czas siedzę na podłodze po turecku, patrząc na pudła, pijąc kawę i gryząc czekoladę. Następnie z uwagą przyglądam się niewielkim otarciom od sznura na nadgarstkach i kostkach. W plackach odartego z naskórka ciała jest coś interesującego; coś przyjemnie symetrycznego. Mimo to prawdopodobnie przestanę się spotykać z Patrickiem.

Raz wszystkiego spróbuję, żeby mieć doświadczenie, ale to niekoniecznie oznacza, że muszę to zrobić jeszcze raz - nawet jeśli mi się podobało w trakcie. Przez moment myślę o Yvonne, która pewnie jest teraz w domu i robi podwieczorek dla dzieci w jasnej kuchni z mnóstwem żółtych światełek, ze zmywarką i wielkim telewizorem gotowym wypompowywać z siebie światłość przez resztę wieczoru; zastanawiam się, w jakim momencie moje życie wykonało gwałtowny skręt, by uniknąć tego wszystkiego, i czy takie życie byłoby miłsze od tego, które mam teraz.

Za oknem jest ciemno, kiedy zaczynam układać w pudłach kolejne książki. Zakurzyły się od tego stania na półkach, tak że niebawem ręce mam niemal czarne od brudu. Udając, że tego nie zauważam, wypełniam pierwszy karton tyłoma należącymi do Saula Burlema dziewiętnastowiecznymi książkami naukowymi, z iloma jestem na siłach się rozstać, niemniej długo to trwa, bo co chwila robię przerwę, żeby dotknąć stronic i przeczytać przypadkowe zdanie to tu, to tam. Wyjątkowo długo zatrzymuję się przy *Fizyce transcendentальной* profesora Zollnera. Egzemplarz Burlema to brązowy tomik w twardej oprawie z tysiąc dziewięćset pierwszego roku. Otwieram go na chybił trafił i czytam krótki podrozdział o Kancie, Bogu i czwartym wymiarze, który sąsiaduje ze zdjęciem jakichś węzłów. Nieco dalej inna ilustracja przedstawia niewielki stolik z szerokim litym blatem i podstawą, z dwiema solidnymi drewnianymi obręczami opasującymi cienką nogę. Jest jasne, że skoro i stół, i obręcze wykonano z litego drewna, to obręcze musiały być tam od zawsze; ale nie były. Jakimś cudem je tam wyczarowano. Przewracam kartkę i czytam o dziwnych światłach i zapachu kwasu siarkowego, które poprzedzały moment umieszczenia obręczy na nodze przez niewidzialne siły, przypuszczalnie z wyższego wymiaru. Jakimś sposobem udaje mi się opróżnić cały segment regału tą metodą, wybierając książkę, czytając fragment, potem z lekkim smutkiem odkładając ją do pudła. Później usiłuję ustawić wszystkie własne książki plus te „pożyczone” na jednym regale, lecz nie chcą się zmieścić. Ponownie zerkam na książki Burlema. Gdybym spakowała cztery tomy książki Erazma Darwina, *Zoonomii* w wydaniu z tysiąc osiemset pierwszego roku, zrobiłoby się trochę więcej miejsca, zwłaszcza gdybym odłożyła też Arystotelesa. Tyle że *Zoonomia* to jedna z moich ulubionych

książek ze zbiorów Burlema i definitywnie zamierzać z niej korzystać, pisząc doktorat. Wróc. Prawdę mówiąc, nie będzie mi potrzebna, bo Burlem namówił mnie, żebym jej nie uwzględniała.

Pamiętam jego słowa. „Zapomnij o *Panu Y*. I o *Zoonomii* lepiej też”. Mówił, że rok tysiąc osiemset pierwszy to za wcześnie i że powinnam się trzymać wytyczonych ram czasowych. A co tam, przypuszczam, że gdybym zmieniła zdanie, w bibliotece znajdzie się jakiś egzemplarz. Więc kolejne tomy wylądowały w pudle. Muszę stanąć na krześle, żeby ich dosięgnąć. Staram się zbytnio nie skupiać na dotykaniu szerokich zielonych grzbietów i kartek z mięsistego papieru celulozowego, w którym widnieją drobinki drewna. Być może dlatego, że to koniec dziwnego dnia, albo dlatego, że mięśnie rąk mam zmęczone, zdejmując książki, jestem znacznie mniej ostrożna niż zwykle i słyszę szelest grubych kart, ilekroć biorę tom z półki. Co więcej, nie wygląda na to, żeby były w najlepszym stanie, kiedy bowiem chwytam tom IV, ze środka wypada kartka i z furkotem opada na dywan niby liść.

Kiedy schodzę z krzesła i podnoszę ją z ziemi, widzę, że ani rozmiarem, ani grubością nie pasuje do innych kartek *Zoonomii*. Nie przypomina w dotyku bibuły do osuszania atramentu, tekst nie jest drukowany grubą czarną czcionką z długimi literami „s”, które wyglądają jak „f”. W gruncie rzeczy, jak zdaję sobie sprawę, to wcale nie jest kartka z *Zoonomii*. Mimo to ta drobna, wąska czcionka wydaje mi się znajoma, podobnie jak podświadomie poznaję kontur postrzępionej krawędzi. Ma również leciutkie ślady zagięcia, efekt złożenia na czworo. To nie jest jakaś tam kartka, która wypadła z *Zoonomii*. To brakująca kartka z *Końca pana Y*.

Chyba z pięć minut stałam tylko i gapiłam się na nią, nie czytając słów, dotykając papieru i czekając, aż trybiki w moim mózgu zaskoczą na właściwe miejsce. To książka Burlema. Cały karton książek z antykwariatu należał do Burlema. I właśnie Burlem z jakiejś przyczyny wyrwał i schował tę kartkę. To musiał być on. Musiał ją tu zostawić. Nikt oprócz mnie nie ma klucza do tego pokoju, poza tym gdyby kartkę z powieści wyrwał ktoś inny, na pewno schowałby ją w swoich rzeczach, a nie Burlema. A prawdę mówiąc, nawet nie znam nikogo oprócz Burlema, kto bodaj słyszałby o *Końcu pana Y*. No i jak, na Boga, książka bez tej kartki trafiła do antykwariatu? Nie potrafię rozgryźć, jak przypasować do siebie elementy tej układanki. Pomijając wszystko inne, powieść w całości była tak cenna, że coś musiało mu zrobić niezłą wodę z mózgu, skoro zdecydował się usunąć jedną kartkę. Czemu po prostu nie odstawił całej książki na półkę?

„Zapomnij o *Panu Y*”. Sorry, Burlem. Teraz to już nie będzie możliwe.

Zaczynam się też zastanawiać, czy naprawdę chciał, żebym zapomniała. Odradzał mi akurat te dwie książki, *Pana Y* i *Zoonomię*, ponieważ wiedział, że kartę z pierwszej ukrył w drugiej. Powiązał je ze sobą w umyśle na długo przed tym, zanim ja powiązałam je w realnym świecie.

Nie mogę tutaj przeczytać tej kartki, chociaż ciężko mi się powstrzymać. Ostatecznie ostrożnie wsuwam ją w książkę Zollnera, którą postanowiłam zabrać ze sobą do domu, po czym jak najszybciej kończę pakować pudła i wychodzę.

Godzinę później, w zimnie i ciemnościach wróciwszy ze wzgórze, siadam na sofie w kuchni z dużym kubkiem kawy. Już prawie zrobił się z tego rytuał, ale może to powinno być rytuałem.

Nigdy nie sądziłam, że będę mogła przeczytać *Koniec pana Y*, a potem znalazłam jeden egzemplarz w

naprawdę niesamowitych okolicznościach. Nie sądziłam, że kiedykolwiek odnajdę brakującą kartkę, lecz oto i ona. A wszystkie te wydarzenia są ze sobą powiązane.

Nie szczęściem: czystą zależnością przyczynowo-skutkową. Szczęście potrzebne mi było tylko wtedy, kiedy uniwersytet zaczął się walić, powodując chaos, z którego wszystkie te rzeczy mogły wynikać. Oczywiście wciąż nie mam pojęcia, co się stało z Burlemem, ale wiem, że cokolwiek go spotkało, stało się prawdziwą przyczyną tego, co teraz spotyka mnie.

Dlaczego zniknął? Musiała to być jakaś wyjątkowo paskudna sprawa, jeśli przez nią najcenniejsza z jego książek wylądowała w kartonie przeznaczonym na sprzedaż. A książki z kartonu niewątpliwie były jego własnością: przekartkowałam je zaraz po powrocie i znalazłam na marginesach notatki robione jego pismem, spiczastymi literami o zmiennej wielkości. Upijam duży łyk kawy i gdy pociąg z turkotem przejeżdża pod moim oknem, czytam pierwszą linijkę na stronie sto trzydziestej pierwszej, dokończenie urwanej linijki ze strony sto trzydziestej.

...mrocznego pomieszczenia z tą jedną lampą. Powitałem go powściągliwie.

- Dobry wieczór, panie Y - odparł, a zimny uśmiech zagościł na jego obliczu. - Od razu przejdziemy do interesów? Ufam, że masz pan pieniądze.

Schyliłem się i wyciągnąłem pieniądze z buta, niemal tracąc przy tym równowagę. Uśmiech doktora stał się jeszcze chłodniejszy.

- Muszę powiedzieć, że osobliwą masz pan sakiewkę, panie Y.

- To wszystko, co mam - powiedziałem. - Nie mogłem pozwolić, by padło łupem złodziei.

- Zaiste, lepiej, aby tak się nie stało - odrzekł.

Następnie skinieniem poprosił, abym usiadł przy stole, a sam zajął miejsce naprzeciwko mnie, jak gdybym przyszedł na badanie.

Podąłem mu pieniądze i poczułem, jak uczucie dojmującej pustki wwierca się w mą duszę. Czy ten człek w ogóle da mi to, czego tak pragnę? Muszę przyznać, że w tamtej chwili na poły wierzyłem, że doktor zniknie w chmurze dymu i sztuczka dobiegnie końca. Jednakże dym się nie pojawił, a doktor w dalszym ciągu spoglądał na mnie nad blatem stołu.

- Przygotowałem dla pana kopię receptury - rzekł w końcu. - Jest całkiem prosta i nie wymaga szczególnych przygotowań. Ingrediencje są powszechnie spotykane, jak się pan przekona.

Zdałem sobie sprawę, że w lewej ręce trzyma arkusz postrzępionego niebieskiego papieru listowego. Oto miałem przed sobą informacje, których szukałem od tak dawna! Nie pojmowałem, dlaczego ten człowiek wciąż siedzi niczym słup soli, ściskając w ręku tę najcenniejszą z formuł, której tak mocno pragnąłem. Czemu po prostu nie da mi tego, za co zapłaciłem? Nagle poczułem się tak, jakby wstąpił

we mnie demon, i zapragnąłem wyrwać mu kartę z ręki. Wyznać też muszę, że potem wyobraziłem sobie, jak przygniatał go do ziemi i odbieram mu pieniądze. Jednakże wszystko to działo się tylko w

mym umyśle, w rzeczywistości zaś siedziałem, potulnie czekając na wydanie receptury.

- Czy ta mikstura - rzekłem - zadziała tak samo jak...

- Chce pan wiedzieć, czy mikstura pozwoli panu na telepatyzowanie?

- Tak - przyznałem - jeśli istotnie to mi się zdarzyło w Nottingham. Powściągliwy uśmiech wrócił na twarz doktora.

- Mikstura z całą pewnością pozwoli panu na telepatyzowanie, jeśli tylko tego od niej pan oczekujesz.

- Jeśli tylko tego oczekuję? Co, u licha, ma pan na myśli?

- Mikstura zabierze pana w wiele osobliwych podróży, panie Y, zapewniam. - Przez sekundę czy dwie doktor sprawiał wrażenie, jakby zamierzał kontynuować w tym pompatycznym duchu, nagle jednak stało się z nim coś przedziwnego. Zdało mi się, że jego ciało naraz zwiotczało niczym korpus marionetki odłożonej po spektaklu do szafy, i przez pełną minutę ani się nie poruszył; ani nie odezwał słowem. W

końcu drgnął lekko, jak gdyby ktoś ponownie ujął porzucone sznurki, i powrócił do życia. Spojrzał na kartkę w swojej dłoni, jakby zdziwiony jej widokiem, potem zaś bez słowa podał ją mnie.

Miałem zaledwie chwilkę, by obejrzeć mój skarb, gdy nagle mężczyzna dwukrotnie zastukał o blat knykciami i dał znak, abym powstał.

- No cóż, żegnam, panie Y. Dostał pan to, po co tu przyszedł.

Zawahałem się świadom, że to zapewne ostatnia okazja, by zadać pytanie, które aż paliło mnie usta.

- Zanim wyjdę - powiedziałem - mam do pana pytanie.

W odpowiedzi doktor uniósł jedną brew, ale wciąż milczał.

- Chcę wiedzieć, ile osób wie o tej recepturze - powiedziałem.

- Chcesz pan wiedzieć, jak cenna jest wiedza, którą trzymasz pan w dłoni - poprawił doktor. - Chcesz wiedzieć, ile władzy znalazło się w twym posiadaniu i w jakim stopniu potencjalnie rozmyła się w reszcie populacji. Cóż, z łatwością mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Wyłącznie panu sprzedałem tę recepturę. Nie każdy gotów jest kłaść się w namiocie i dać się poić nieznanemu leczniczą miksturą dla samej wiedzy. Dla ulgi w bólu zdarza się to często. Także dla przyjemności. Ale może pan być spokojny, sir, jest pan do dziś jedynym moim klientem.

Miałem więcej pytań, lecz doktor dał mi jasno do zrozumienia, że nasze sprawy uważa za załatwione, więc wyszedłem do zimnego ciemnego holu. W bawialni po prawej ujrzałem dziecko próbujące rozpalić ogień w kominku. Efektem było tylko niskie uporczywe syczenie i dostateczna ilość dymu,

żeby oczy zaczęły mnie piec. Kiedy się upewniłem, że nikt mnie nie śledzi, otarłem załzawione oczy i przebiegłem wzrokiem dokument, który ścisnąłem w ręce. Jego treść zawierała

się

w

zaledwie

czterech

linijkach

nakreślonych

zniekształconą, niewprawną dłonią bladofioletowym tuszem.

Roztwór sporządza się w sposób następujący:

Należy połączyć jedną część Carbo vegetabilis, czyli węgla drzewnego, w tysięcznej potencji homeopatycznej setnej, z 99 częściami wody święconej w szklanej retorcie bądź kolbie i wytrząsnąć roztwór dziesięciokrotnie.

FD 1893

Wsunąłem niebieską kartkę do buta i ruszyłem do drzwi.

Kiedy kończę czytać brakującą kartkę *Końca pana Y*, mam sucho w ustach, a serce tłucze mi się w piersi, jakby chciało z niej wyskoczyć. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Natychmiast czytam ją ponownie, usiłując odtworzyć emocje, które ogarnęły mnie, gdy dochodziłam do receptury, dość zbliżone do tych, jakie się odczuwa w wesołym miasteczku, czekając na powtórkę z przejażdżki, która zarazem nas przeraziła i zachwyciła. Jednak to tak nie działa.

To już nie jest jazda kolejką, którą można powtórzyć, lecz taka, jak podejrzewam, z której po prostu nie można wysiąść. A potem czuję, że nie usiedzę spokojnie ani chwili dłużej. Zrywam się i krążę po kuchni z poczuciem, że powinnam zrobić coś bardziej spektakularnego, znacznie bardziej spektakularnego, by wyrazić uczucie, które mnie ogarnęło, choć nie mam pojęcia, co by to miało być. Śmiech? Łzy? Mój mózg wpadł w histerię, ale koniec końców nie robię nic, żeby to okazać; tylko krążę po kuchni, palę i myślę. Myślę o dziwnej przedmowie i o wszystkich sugestjach, że w *Końcu pana Y* jest coś realnego. Myślę o tym, jak wiele fatygi ktoś, prawdopodobnie Burlem, zadał sobie, by ukryć tę kartkę, na której jedyną interesującą rzeczą jest receptura roztworu. Myślę o dziwnych aluzjach Lumasa do telepatii i przypominam sobie fragment o „automatyce umysłu”.

Tak jak Robert Houdin zbudował automaty, które tworzą jego iluzje, tak ja postuluję niniejszym stworzenie automatu umysłu, za którego pośrednictwem zobaczyć można iluzje i rzeczywistości spoza naszego świata; z którego to automatu ktoś, kto wie jak, przeskoczyć może do automatów wszystkich umysłów i ich elektryczności.

I kiedy jestem pewna, że już rozumiem, czemu ta kartka jest taka ważna i czemu ją ukryto, siadam i czytam książkę do końca, ale moją koncentrację rozprasza palące pragnienie, by zdobyć składniki i samej sporządzić trochę tego roztworu.

CZEŚĆ 2

Rodzaje materii znane człowiekowi stopniowo stają się nieuchwytnie dla zmysłów. Weźmy na przykład metal, kawałek drewna, kroplę wody, atmosferę, gaz, fluid cieplny, elektryczność, eter kosmiczny. Wszystkim nadajemy miano materii, całą materię ujmujemy w jednej ogólnej definicji. Mimo to nie ma dwóch pojęć tak fundamentalnie odmiennych jak metal i eter kosmiczny. Co się tyczy tego ostatniego, korci nas niemalże nieodparcie, aby postawić eter w jednym rzędzie z duchem czy wręcz z pustką. Powstrzymuje nas przed tym jedynie wzgląd na jego atomowe ukonstytuowanie, a i tutaj musimy posiłkować się naszym pojęciem atomu jako drobiny materii posiadającej w nieskończeniu małej skali takie właściwości materii, jak stałość, rozciągłość, ciężar. Wystarczy zburzyć pogląd o jego atomowym ukonstytuowaniu, a nie będziemy już mogli postrzegać eteru jako bytu lub przynajmniej jako postaci materii. Z

braku lepszego określenia nazwalibyśmy go przejawem ducha. Pójdźmy jednak dalej i wyobraźmy sobie materię niepomiernie rzadszą od eteru kosmicznego, jak ten ostatni jest niepomiernie rzadszy od metalu, i (wbrew wszelkim dogmatom nauki) otrzymamy jedyną w swoim rodzaju substancję - bezcząstkową materię. Albowiem, choć możemy uznać nieskończenie małe rozmiary samych atomów, to niedorzecznością jest przypisywanie nieskończonej małości przestrzeniom je oddzielającym.

E. A. Poe, *Mesmeryczne objawienie*,

przeł. S. Studniarz

Jest rzeczą dowiedzioną, iż wszystkie rzeczy materialne są ze sobą połączone i stanowią części jednej rzeczy; jak połączone są kamyk u naszych stóp i najdalsza z nieinteresujących gwiazd stałych, tak pytanie: „Czyżby padało, skarbie?” i wyjątkowo ponure metafizyczne dociekania wciąż nieodmiennie idą ze sobą w parze.

Samuel Butler, *Notatniki*

ROZDZIAŁ 9

Przeglądasz się w lustrze i tym razem odpowiada ci, że owszem, ciąży na tobie klątwa.

Dopiero wschodzi słońce, kiedy we wtorkowy rano docieram do biblioteki uniwersyteckiej, około pięciu minut przed jej otwarciem. Jestem trochę otumaniona po pośpiesznej wspinaczce na wzgórze w bladym szarym świetle, przytłoczona zimowym niebem i własnym oddechem, który sam w sobie jest zimowym niebem w miniaturce.

Pierwszy raz w życiu szłam, słuchając na iPodzie muzyki, która idealnie, moim zdaniem, pasowała do męczącej marszruty o świcie, mojego pierwszego dnia w roli kogoś, kto może być przeklęty: *Dixit Dominus* Händla, tego samego utworu, który rozbrzmiewał wieczorem, kiedy poznałam Burlę w

Greenwich. Równocześnie kocham ten utwór i nienawidzę, a kiedy go słucham, czuję się tak, jakby coś pełzało po mnie, od wewnątrz i na zewnątrz mojej skóry.

Patrick może mnie uważać za totalną postmodernistkę, bo mam iPod'a, ale ja w dalszym ciągu wolę biblioteki od Internetu, jeśli chodzi o zbieranie danych. I chociaż wiem, czym jest woda święcona i gdzie ją najpewniej zdobędę, nie mam bladego pojęcia, o co chodzi z tym drugim składnikiem z receptury pana Y: *Carbo vegetabilis* (czyli węgiel drzewny). No dobrze, wiem, że węgiel drzewny to spalone drewno albo roślina, ale potencja homeopatyczny? Podejrzewam, że w Internecie dowiedziałabym się tego szybko, lecz niekoniecznie dokładnie. Muszę się też dowiedzieć, co to określenie oznaczało dla dziewiętnastowiecznego pisarza. Kto wie? Możliwe, że teraz się tej nazwy nie używa albo zdążyła nabrać zupełnie innego znaczenia. Wystarczy popatrzeć, jak bardzo z biegiem stuleci zmieniło się znaczenie słowa „atom”. Już obiecałam sobie solennie, że sporządzę i wypróbuję ten roztwór. Mimo że dzisiaj rano obudziłam się przeszyta tą bolesną wewnętrzną szczerością, jakiej czasem doświadcza się po przebudzeniu, i coś mi podszeptywało, żebym dała sobie spokój. Czemu jednak miałabym posłuchać? Przecież ten roztwór nie może mi zaszkodzić? Węgiel nie jest trujący, woda też nie. A mam wrażenie, że ta receptura stanowi najważniejszą część książki i że z powodów mi nieznanym Lumas chciał, by czytelnicy pokusili się o taki eksperyment.

Okazuje się, że dział historii medycyny znajduje się na czwartym piętrze, za religią i filozofią, w kąci przy schodach. Homeopatii poświęcony jest cały regał: mnóstwo starych tomów w twardej oprawie i o spłowiałych grzbietach w odcieniach ciemnej zieleni, ciemnej czerwieni i szarości. Wybieram gruby zielony tom i sprawdzam tytuł, *Repertorium Kenta*, oraz datę wydania, tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty siódmy. Siadam po turecku na zszarzałej wykładzinie i kartkuję książkę zaintrygowana dziwnym formatem, który nic mi nie mówi.

Repertorium składa się, jak mam wrażenie, z listy objawów pogrupowanych pod nagłówkami takimi, jak „Sen”, „Oko”, „Narządy płciowe” oraz „Umysł”. Przechodzę do części „Sen” i widzę dziwne jakieś zapiski w dziale zatytułowanym „Marzenia senne”. Czytam zawartość strony i widzę jednowyrazowe lub okazjonalnie jednozdaniowe wpisy w rodzaju: *serpentyny bądź węże, seksualne, straszliwe, strzelanie, szkielety, siarki wążanie*, a dalej *świecących gwiazd spadanie, szybkie jabłek kradzenie i strasliwym gromem porażenie, jakie jego było udziałem*. Po każdym takim krótkim wpisie figurują litery, które nic mi nie mówią, ale wyglądają na skrót. Pod wpisem „marzenia senne, serpentyny bądź węże” widnieje ich mnóstwo: *alum.*, *arg-n.*, *bov.*, *grat.*, *iris.*, *kalic*, *lac-c*, *ptel.*, *ran-s.*, *rat.*, *sep.*, *sil.*, *sol-n.*, *spig.*, *tab*. Nie wiem, czemu niektóre są wyróżnione kursywą ani co znaczą.

Kartkując książkę, cofam się do części „Umysł” i pod hasłem „Omamy” widzę kilka dziwnych wpisów, w tym złudzenia „życia z jednej strony, śmierci z drugiej” i jeszcze bardziej mętne „wyobraźni złudzenia”. W części „Męskie narządy płciowe” znajduję wzmianki o erekcjach, które mogą być „impetyczne” albo pojawiają się wyłącznie popołudniami, albo podczas kaszlu. Bawi mnie to, lecz nic z tego nie rozumiem, więc zamykam ciężki tom i przeglądam inne książki z tej samej półki. Dziwne: zawsze uważałam homeopatię za podejrzaną odmianę ziołolecznictwa, ale kiedy patrzę na te wszystkie książki, zaczyna do mnie docierać, jak poważnie musiało do niej podchodzić wiele osób, czy raczej jak poważnie traktowano ją jako zjawisko w czasach przełomu wieków, kiedy większość tych dzieł została wydana. Wszyscy autorzy mają pompatyczne albo dziwaczne imiona i

nazwiska: mamy więc doktora Constantine'a Heringa (jak kto woli, Konstantego Śledzia); doktora Johna Henry'ego Clarke'a (Jan Henryk to brzmi dumnie), Williama Boericke'a, też doktora, a nawet kilka kobiet, w tym panie doktor Margaret Tyler oraz Dorothy Shepard. Sami lekarze, co świadczy o tym, że wszyscy byli ważnymi osobami, które pracując w zawodzie, praktykowały homeopatię. W końcu zgromadziłam całą stertę książek wydanych między latami osiemdziesiątymi dziewiętnastego wieku a początkiem wieku dwudziestego; zanoszę je na stolik i zabieram się za lekturę, próbując się w tym wszystkim połapać.

Po bitych dwóch godzinach czytania wychodzę na dwór na papierosa. Teraz niebo jest jednolitym sztucznym błękitem i przez sekundę mam takie uczucie, jak gdyby coś właśnie zostało z niego usunięte. Po trawie przede mną biegnie szara wiewiórka, a jej smukłe ciało unosi się i opada niczym fala. Bezwiednie podążam za nią wzrokiem, kiedy wspina się na drzewo i znika. Daleko za drzewem, niemal u stóp wzgórza, małe miasto lśni w fałszywym przygaszonym świetle. Widok jak zwykle zdominowała katedra, która w tym świetle zdaje się mieć odcień sepii, jak stara fotografia zapisana w pliku jpeg. Wdycham dym z papierosa razem z zimnym powietrzem i myślę o tym, czego się dowiedziałam dzisiaj rano.

Najwyraźniej homeopatię wynalazł (a może odkrył) Samuel Hahnemann w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Hahnemann był chemikiem, który pisał traktaty o syfilisie i zatruciu arszenikiem. Był niezadowolony z ówczesnych praktyk medycznych, szczególnie z puszczenia krwi. Uważał, że król austriacki Leopold został praktycznie zamordowany przez swoich lekarzy, którzy puszczaali mu krew cztery razy w ciągu doby, usiłując wyleczyć go z wysokiej gorączki. Kiedy zajął się tłumaczeniem dzieła *Materia Medica* Cullena, doznał zadziwiającego olśnienia. Cullen pisał, że kora drzewa chinowego leczy z malarii dlatego, że jest gorzka. Jednak zrzędzeniem przypadku Hahnemann wiedział, że zatrucie korą drzewa chinowego wywołuje objawy podobne do tych, jakie towarzyszą malarii, łącznie z obrzękiem narządów wewnętrznych i wyniszczeniem. Zauważył, że lek, który walczy z malarią, wywołuje bardzo podobne objawy. Czy to samo mogłoby dotyczyć innych chorób i innych leków? Czy to możliwe, zastanawiał się, że podobne leczy się podobnym?

To był pierwszy przełomowy moment. Ostatecznie doprowadził on do powstania całkowicie nowego systemu leczenia według motta: *Similia similibus curentur* - podobnym lecz podobne. Drugim olśnieniem było odkrycie przez Hahnemanna, że lecznicze działanie ma mała dawka. Łatwo było podać komuś korę drzewa chinowego, by uleczyć go z malarii, ale ponieważ sama kora jest trująca, z reguły równocześnie sama szkodziła choremu.

Leczenie zatrucia inną trucizną nie wydawało się najrozsądniejszym pomysłem, zatem Hahnemann zaczął eksperymentować z roztworami kory drzewa chinowego i odkrył, że substancję wyjściową można znacznie rozcieńczyć i mimo to uzyskiwać efekt leczniczy.

Później dziewiętnastowieczni homeopaci doszli do wniosku, że im bardziej rozcieńcza się dawkę, tym skuteczniejszy okazuje się dany lek: zbliżając się do jego nieskończenie małej dawki, uzyskuje się coś bardzo dziwnego i bardzo mocnego. To paradoks, ale co z tego?

Paradoksy nie powstrzymywały fizyków kwantowych ani Einsteina.

Na dworze panuje lodowaty ziąb, mimo że niebo wciąż jest niebiesciutkie, toteż dopaliwszy papierosa, wracam do biblioteki i wchodzę na czwarte piętro, by kontynuować lekturę. Sięgam po książkę, którą pierwszą zdjęłam z półki, i przeglądam ją ponownie. Teraz już rozumiem, że to rodzaj wykazu, w którym homeopaci odnajdują objawy i sprawdzają, jakie pospolite substancje są im przyporządkowane. Te śmieszne skróty to nazwy rozmaitych homeopatycznych substancji. I tak ars. to arsenik; bry. to bryonia, *carb-v* to *Carbo vegetabilis*. Kiedy już rozumiem, jak działa ten system, kusi mnie, żeby sprawdzić wszystkie dziwne objawy, które zaobserwowałam u siebie - wczesne budzenie się, ochotę na słone potrawy, papierosy i alkohol; upodobanie do występnego seksu; przedkładanie własnego towarzystwa nad cudze - ale nie mam na to czasu. Na nadgarstkach i kostkach mam symetryczne obtarcia od sznura, które połyskują na tle skóry jak małe kawałeczki stopionego plastiku. Powinnam poszukać czegoś, co by je wyleczyło. To by chyba nie potrwało długo. A może lepiej nie. Zresztą niemal mi się podobają.

Ziewam, nie fatygując się, by zasłonić usta: przez całe rano nikt się tu nie pokazał.

Wciąż nie wiem, co to *Carbo vegetabilis* ani też co oznacza „tysięczna potencja homeopatyczna setna, więc kartkuję kolejne książki ze sterty na biurku, dopóki nie natrafiam na dwie przydatne. Jedna to krótka biografia doktora Thomasa Skinnera, szkockiego homeopaty, który w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym roku wybrał się do Stanów Zjednoczonych i opracował urządzenie o nazwie „centezymalny aparat przepływowy” do sporządzania, jak to opisane jest w biografii, „potencji przekraczających tysięczną”. Potem dłużej muszę się nakartkować i naczytać, zanim się natykam na następne pomocne dzieło. To pochodząca z tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku reprodukcja wpisu katalogowego Boericke'a i Tafla Homeopatycznej Apteki w Filadelfii, która bardzo szczegółowo tłumaczy, jak się wytwarza (albo wytwarzało) leki homeopatyczne. Ten proces to jakieś wariactwo.

Otóż wybraną substancję (korę drzewa chinowego, arsenik, siarkę, jad żmii lub cokolwiek innego) zanurza się w „w najprzedniejszym alkoholu sporządzonym ze zdrowego zboża”, następnie sporządza się lek, biorąc jedną kroplę tej „pranalewki” i łącząc ją z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma kroplami alkoholu, później zaś wytrząsając (wstrząsając lub rozcierając) tę miksturę dziesięciokrotnie; następnie bierze się jedną kroplę nowej nalewki i miesza ją z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma kroplami alkoholu i tak dalej. Trzydziesta potencja, ewidentnie często się pojawiająca w homeopatycznych receptach, sporządzana była przez powtórzenie tego cyklu trzydziestokrotnie. Zatem potencja tysięczna (która w literaturze figuruje jako potencja 1M) to efekt powtórzenia tej procedury dokładnie tysiąc razy. W każdym razie mam nadzieję, że niczego nie pokreśliłam. Czytam ten fragment jeszcze raz. Tak. Wszystko się zgadza.

Cholera. Czy ludzie wciąż bawią się w takie rzeczy? Czy wciąż istnieją maszyny podobne do „wysokich potencji Tafla” czy „aparatu Skinnera”? Czy będę musiała pójść kupić trochę węgla drzewnego i zacząć majstrować przy pipetach i śliwowicy (czy ten trunek można zaliczyć do „najprzedniejszych”? Prawdopodobnie nie)? Czy moje nadgarstki w ogóle wytrzymają tyle tego wytrząsania? Moje ręce to stanowczo nie bioniczne protezy, poza tym mam absolutne zero kondycji. Raz musiałam wytrzeć gumką pisane ołówkiem uwagi na marginesach stustronicowej książki, którą chciałam skserować (to już dłuższa historia) i czułam się potem taka obolała, jakbym przez stulecie trzepała olbrzymowi konia.

Wciąż to pamiętam i bardzo żałuję, że żaden wiktoriański aptekarz nie przyjdzie mi z pomocą, gdy nagle ktoś klepie mnie w ramię. Nie podskakuję, chociaż byłam przekonana, że jestem tu sama. W rzeczywistości jestem tak zaabsorbowana swoim najnowszym problemem, że z roztargnieniem strząsam z siebie dłoń natręta, nie przerywając lektury. Poza tym już wyczułam, że to Patrick. Poznaje leśny zapach jego wody po goleniu i cytrynowy zapach czystych ubrań. Ponownie dotyka mojego ramienia i tym razem już muszę jakoś zareagować.

- Hej - mówię, ale nawet nie podnoszę wzroku.

- Cześć - odpowiada, zerkając ponad moim prawym ramieniem. - O czym czytasz?

- O homeopatii w dziewiętnastym wieku - wyjaśniam, obracając rękę w taki sposób, żeby ukryć ją między kartkami książki, zamiast tylko przytrzymywać ją tak, żeby się nie zamknęła. Nie chcę, by zobaczył mój nadgarstek.

- O kurczę - mówi. - To homeopatia już wtedy istniała?

- Myślę, że wręcz była wtedy w rozkwicie - odpowiadam.

Zapada dłuższa cisza. Chciałabym, żeby sobie poszedł.

- Ariel - mówi.

- Co?

- Mogę ci postawić przeprosinową kawę?

Wzdycham.

- Mam z tym tutaj strasznie dużo roboty.

- Ariel?

Nie reaguję. Stoi za mną w milczeniu i już sama nie wiem, czy obrócić się i spojrzeć na niego czy po prostu dalej robić swoje i trzymać kciuki, żeby do niego dotarło, co chcę dać mu do zrozumienia, żeby sobie poszedł. Nie jestem też do końca pewna, co właściwie chcę mu dać do zrozumienia. Coś w guście: „Nie mieszaj mnie do twojego zasranego rodzinnego bagna”. Ignoruję go, ale po jakimś czasie podchodzi bliżej i patrzy na leżącą przede mną książkę wzrokiem, jakim ludzie patrzą na fotografie w pustym pokoju.

- Okej, nie będę ci przeszkadzał - mówi, nie próbując się ruszyć. - Ej - dotyka palcem podręcznika, który leży przede mną na blacie. - Fosfor. Kiedyś go brałem.

Podnoszę wzrok.

- Brałeś leki homeopatyczne?

- Jasne. Nie jestem przekonany, czy zadziałały, ale...

- Słuchaj, może jednak poszlibyśmy na tę szybką kawę? - proponuję mu. - Ale będę potrzebowała paru minut, żeby skończyć z tą książką i przejrzeć kilka następnych, więc musiałbyś poczekać. Powiedzmy, na dworze za pięć minut?

- Cudownie.

Shelley College (któremu patronuje Mary, a nie Percy Bysshe) ma schody w kształcie spirali Fibonacciego, kryształowy żyrandol z lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku oraz bistro o nazwie Monster Munch. Monster Munch to jedyna część college'u, która mi się nie podoba: łuki i krawędzie jak z białej gąbki na czystym pomarańczowym tle, do tego wyglądające na nowe stoły bilardowe i wielka plazma. Wolę obskurnawy barek Gmachu Russella, w którym są wielkie stojące popielniczki i stoły o blatach z poobskubywanego MDF-u. Studenci nie lubią Baru Russella, dzięki czemu niemal zawsze jest w nim pusto. Czasem tylko wpadają do niego powtórzyć materiał albo zwinąć się na jednej z poplamionych starych sof, walcząc z kacem, ale naprawdę nieczęsto. Poza tym w Monster Munch nie można palić. W Monster Munch nie można robić niczego co mroczne; samemu też trzeba być jasną, czystą osobą: fluorescencyjne światła i lustra na ścianach uniemożliwiają cokolwiek innego.

Siadam na stolku przy małym białym stoliku przy oknie i naciągam rękawy swetra, by zakryć nadgarstki, podczas gdy Patrick idzie po kawę dla nas obojga: coś w guście spienionego mlecznego paskudztwa dla niego i *americano* dla mnie (w Russellu nazywają to

„czarną kawą”). Przed nosem mam stertę podręczników homeopatycznych, które wyglądają tu zupełnie nie na miejscu, podobnie jak ja. W lustrach odbija się moja niezdrowa karnacja, bladeść podkreślona przez rude włosy i wystrzępione nogawki dżinsów, choć byłam przekonana, że tego nie widać. Rano bez zastanowienia ubrałam się w czarny sweter, ale teraz widzę, że wełna miejscami się przetarła i jest, jakby w smugi. Gdyby nie moje włosy, wyglądałabym, mówiąc najogólniej, jak fotokopia kiepskiej jakości.

Patrick stawia przede mną kawę i wygląda przez okno.

- Wow, dzisiaj widać stąd całą okolicę - mówi, siadając; niebo wciąż ma hiperrealistyczny odcień błękitu.

- Tak, ale nie katedrę. - Siedząc tu, można zobaczyć tylko pola, na których nic nie ma, i nieco dalej dziwne wieże przemysłowe.

- A koniecznie musi być widać katedrę?

- Tak myślę. To znaczy, to jedyna rzecz warta oglądania, nie uważasz? Jak już się tu siedzi.

- Być może. - Patrick grzebie w białej pianie cienką srebrną łyżeczką. Zauważam, że ręce trochę mu się trzęsą, a czoło leciutko połyskuje od drobnych kropelek. - A więc...

- Więc - powtarzam. - Czy już... - Co się w takiej sytuacji mówi? Chciałam zapytać, czy już czuje się

trochę lepiej, ale nagle zdaję sobie sprawę, że to absurdalne pytanie, bo tak naprawdę wisi mi, jak on się czuje. Niedokończone pytanie zawisa na moment w powietrzu, potem Patrick dopowiada je sobie i odpowiada:

- Tak. Emma już wróciła. Ja... - Znowu dźga pianę w szklance. - Przepraszam, jeśli mogło się wydawać, że wczoraj byłem w dosyć dziwnym nastroju. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek mi wybaczysz.

- Nic się takiego nie stało - słyszę własne słowa. - Przecież nie powiedziałam.. No wiesz, chodzi mi o to, że...

- Niby nie, ale... nie powinienem był...

- Chodzi mi o to, że może powinniśmy się starać unikać... w przyszłości...

Monster Munch to nie miejsce na taką rozmowę. To popółnocna, poprzelomowa rozmowa na miarę jazzbaru, a my próbujemy odbyć ją w miejscu, które już wygląda jak ocenzone.

- Zresztą nieważne - mówię.

- Naprawdę cię przepraszam.

- W porządku.

Myślę o potworze stworzonym przez Frankenstein, o fikcyjnej postaci, która być może zainspirowała właścicieli Monster Munch - Potworowego Jadła - do nadania mu takiej a nie innej nazwy: „Oto leżała bez życia i bez ducha, rzucona w poprzek łóżka, ze zwisającą w dół głową - twarz blada i wykrzywiona, na wpół zasłonięta włosami [...]. Morderczy uścisk czarta pozostawił ślad, który widniał ciemną plamą na jej szyi; żadne tchnienie nie przechodziło już więcej przez jej usta”. Oto co twór Wiktora Frankenstein zrobił jego narzeczonej, Elżbiecie. Może mimo wszystko to idealne miejsce na tę rozmowę.

- Ty... - zaczynam w tym samym momencie, kiedy Patrick mówi: - Ja...

- Ty pierwsza - mówi.

- Nie, ty mów.

- Nie, serio.

- Ja po prostu... Nie chcę być dublerką twojej żony. Zwłaszcza kiedy jesteś na nią zły.

Nie tak się umawialiśmy.

- Nie. Przepraszam. To się nie powtórzy.

Przez parę chwil oboje milczymy. Sączę kawę i mgliście załuję, że nie mogę zapić. Do środka

wchodzą dwie kobiety, zamawiają sok przy barze, a potem podchodzą i siadają przy stoliku za nami.

- No to jak to się stało, że brałeś lek homeopatyczny? - pytam Patricka.

Wzrusza ramionami.

- Jakiś czas temu ktoś zasugerował, że powinienem się wybrać do homeopaty.

- I jak było?

Upija łyk kawy, a ja zauważam, że ręce już mu się nie trzęsą.

- Interesująco. - Marszczy czoło. - Zadają ci mnóstwo dziwnych pytań. Na jakie smaki masz szczególną ochotę, co ci się śni, z czego się utrzymujesz i jaki masz stosunek do swojej pracy. Trochę to przypomina wizytę u terapeuty.

Raz byłam u terapeuty. Wuefica zauważyła blizny na moich udach i kazała mi zgłosić się do lekarki. Lekarka skierowała mnie do psychologa dziecięcego w lokalnym szpitalu.

Pamiętam, jak oglądałam jakąś operę mydlaną, siedząc w poczekalni, w której oprócz smużącego telewizora można było podziwiać zielone plastikowe krzesła i plakaty ostrzegające przed AIDS. Przyjął mnie młody facecik w okularach, o twarzy jak księżyc w pełni. Opowiedziałam mu, jakie to cudowne sprawić sobie przyjemność poprzez ból i że wiem, że od tego można się uzależnić i że ja się tnę, ale jeszcze nie jestem uzależniona.

Śmiałam się przez cały czas, kiedy była mowa o moim dzieciństwie. Po tym wszystkim terapeuta po prostu popatrzył na mnie z zakłopotaną miną, a tydzień później dostałam list, w którym informował mnie, że nie dysponują odpowiednim zapleczem, żeby pomóc mi „na tym etapie”. Do dziś pamiętam tę duszną małą klitkę. Pachniało w niej papierosami, a na stoliku przy pudełku papierowych chustek i wazoniku z plastikowymi niebieskimi kwiatami zauważyłam popielniczkę. To był właśnie ten moment, kiedy pomyślałam, że mogłabym spróbować papierosów. Palenie z czasem zastąpiło samookaleczanie się, lecz blizny zostały.

Patrickowi się podobają.

Popijam kawę, a Patrick dalej opowiada o wywiadzie, jaki przeprowadził z nim homeopata.

- Nie wiem, czemu potrzebują takich szczegółowych informacji o życiu pacjenta -

mówi i śmieje się krótko. - Ja byłem tam z bólami głowy i bezsennością.

Dopijam kawę.

- Więc przepisali ci fosfor?

- Tak. Jak się nad tym zastanowić, to od tamtej pory nie bolała mnie głowa, ale śpiam dalej dosyć marnie.

- Serio w to wierzysz?

- Hmm. Nie wiem. Widziałem program dokumentalny, w którym mówili, że leki homeopatyczne to zwykłe placebo i że nie ma w nich niczego, co mogłoby na cokolwiek wpłynąć. Homeopaci tak dalece rozcieńczają swoje specyfiki, że jeśli chodzi o skład chemiczny, pozostaje tylko woda. No ale twierdzą, że woda ma pamięć, co brzmi dość idiotycznie.

- A jak ten twój lek wyglądał? - pytam go. - I skąd go wzięłeś?

- Och, od homeopaty. To jest: homeopatki. Miała taką ogromną drewnianą gablotę... -

Patrick rozkłada dłonie na odległość jakichś trzech stóp, po czym kciukami celując do góry, próbuje mi pokazać, jaka była szerokość tej gabloty.

Zauważam, że podczas demonstracji nie patrzy na swoje dłonie, tylko na ścianę za mną. Nagle dociera do mnie, że kiedy ludzie chcą gestami zilustrować rozmiary czegoś, pomagają sobie perspektywą. Patrick nie mówi: „Była tej wielkości”. Mówi: „Wyglądałaby na tej wielkości od tego miejsca, gdyby stała o, tam”.

Mówi dalej:

- Było w niej mnóstwo szufladek z etykietkami ułożonymi alfabetycznie. Homeopatka wysunęła jedną z nich i zobaczyłem, że w środku jest multum szklanych buteleczek z maciupeńkimi białymi tabletkami z cukru. Wyjaśniła mi, że lek ma postać płynu, a te małe pigułki mają go wchłonąć i dzięki temu sprawić, że wygodniej będzie go zażywać.

Przepraszam. Pewnie cię zanudzam.

- Nie, naprawdę mnie to interesuje. Nie umiałam sobie wyobrazić, jak te specyfiki w rzeczywistości wyglądają. - Usiłuję przegarnąć palcami włosy, ale z przodu natrafiam na gigantyczny kołtun, więc mówię, dyskretnie próbując go rozplątać. - Czyli żeby je zdobyć, trzeba pójść do homeopaty?

- Och, nie. - Patrick się śmieje. - Nie bywasz w drogeriach Boots? Teraz wszędzie można kupić preparaty homeopatyczne. Nawet w sklepach ze zdrową żywnością. Ja kupuję Nux Vomica na niestrawność. Kupuje się to bez recepty.

- Hm - mówię. - Ciekawe. Nie zdawałam sobie sprawy, że to teraz norma.

- Teraz to poważny biznes. Gdybyś chciała zobaczyć, jak wyglądają te tabletki, to mam trochę nuxa w gabinecie.

- Okej.

Większość ludzi ma bałagan w gabinecie czy biurze. Widziałam osoby, które wydawały się wręcz uwięzione w czterech ścianach, o dwudziestej wciąż siedziały w pracy, może dlatego, że naprawdę nie miały jak się przedostać przez gigantyczne stosy starych dzienników, książek i wydrukowanych maili. Gabinet Patricka natomiast jest duży, kanciasty i nieskazitelnie czysty. Nie można powiedzieć,

żeby aż w nim lśniło jak w bistrze Monster Munch, ale można zrozumieć, czemu lubi chodzić tam na kawę. W gabinecie ma biurka zestawione w literę „L”, podobnie jak ja, z tym że biurka są większe, a jedno ze szklanym blatem. To przeszklone stoi przodem do drzwi i nie leży na nim nic oprócz masywnego przezroczystego przycisku do papieru oraz białej lampki. Drugie, na którym stoi tylko komputer, zwrócone jest w stronę okna i wygląda na świeżo wypolerowane. Pomieszczenie jest tak duże, że starczyło w nim miejsca także na niską ławę i cztery fotele.

Patrick zamyka za nami drzwi i podchodzi do szuflady biurka.

- Proszę - mówi, wyjmując brązową szklaną buteleczkę i podając mi ją.

Kładę książki z biblioteki na ławie i sięgam po buteleczkę. Na etykiecie widnieje napis: *Nux Vom 30. 125 tabletek*. Instrukcja z boku informuje, że należy przyjmować jedną tabletkę co dwie godziny w „ostrych” przypadkach, a w pozostałych trzy razy dziennie.

Odkręcam nakrętkę i zaglądam do środka, gdzie w kupce leżą małe płaskie tabletki, śnieżnobiałe jak aspiryna, tyle że w miniaturce.

Patrick zamyka drzwi na klucz i opuszcza rolety.

- Jak bardzo mi wybaczyłeś? - pyta.

- Hm? - pytam, podnosząc wzrok, lecz on już trzyma mnie mocno i mocno całuje. -

Patrick... - mówię, kiedy przestaje.

Cóż jednak mam teraz powiedzieć? Pomimo tego co wydarzyło się wczoraj - albo, o dziwo, właśnie z powodu wczorajszych wydarzeń - czuję, jak rozchodzi się po mnie znajomy dreszczyk i zamiast dyskutować o tym, dlaczego to nie jest dobry pomysł, pozwalam, żeby ściągnął mi sweter, opuścił dzinsy i majtki, a potem pochylił nad szklanym blatem, trzymając mnie za włosy. Przyciskam się do zimnego szkła i przez cały czas, kiedy Patrick mnie pieprzy, zastanawiam się, jak wyglądają od spodu moje cycki.

- Boże, Ariel... - mówi po wszystkim, wycierając kutasa kleenexem, kiedy wciągam na tyłek dzinsy. - Nie wiem, czy wydobywasz ze mnie to co najlepsze czy to co najgorsze.

- Myślę, że to najgorsze - odpowiadam, uśmiechając się.

Odwzajemnia uśmiech.

- Dzięki, że mi wybaczyłeś.

Śmieję się.

- Nie jestem pewna, czy już ci wybaczyłam. - Zgarniam książki i podchodzę do drzwi.

- No cóż, lepiej pójde zobaczyć, jacy mi się trafili współlokatorzy.

Patrick wyrzuca chusteczkę.

- Współlokatorzy?

- Mary nazywa ich „uchodźcami”. Ci z Gmachu Newtona. Będę dzieliła gabinet z dwiema takimi osobami.

- Och. Pech. - Patrick opiera się o przeszklone biurko i patrzy na mnie. - Cóż, zawsze jesteś tu mile widziana.

- Przylapią nas.

- Tak. Prawdopodobnie. - Wzdycha. - Czyli wracamy do hoteli.

- Zobaczymy. - Łagodzę odpowiedź lubieżnym uśmiechem, właśnie bowiem tknęła mnie pewna myśl.

- Och, wiesz co?... - mówię z ręką na kłamce, jak gdyby coś mi się przypomniało.

Majstruje przy guziczkach spodni, sprawdzając, czy wszystkie są zapięte.

- Co?

- Zostawiłam w domu portmonetkę. Nie masz pod ręką wolnej dziesiątki? W drodze powrotnej muszę zatankować. Oddam ci jutro albo przy innej okazji.

Bez wahania sięga po portfel i wyjmuje banknot dwudziestofuntowy.

- Nie przejmuj się tym - mówi. A potem, kiedy już wychodzę, dodaje szeptem: - Mam więcej...

Idąc od niego, zastanawiam się, czy to co właśnie zrobiłam, jest lepsze od podkradania kawy i herbaty z zapasów pracowniczych czy gorsze.

ROZDZIAŁ 10

W gabinecie zastaję młodą kobietę. Jest mniej więcej w moim wieku albo odrobinę młodsza, ma okulary o grubych czarnych oprawkach i krótkie kręcone włosy blond. Układa książki na półkach, które zwolniłam. U jej stóp wala się z pięć innych pudeł wypakowanych do granicy możliwości najróżniejszymi szpargałami: głównie książkami, ale też płytami kompaktowymi, małym odtwarzaczem stereo, pluszową zieloną żabą i pogniecionym kitlem laboratoryjnym.

- Hej - mówię, obchodząc pudła. - Jestem Ariel.

- O mój Boże. Strasznie cię przepraszam za to wszystko. Jestem Heather. - Ma szkocki akcent, może z samego Edynburga.

Uśmiecha się do mnie szeroko, odkłada książki, które trzymała pod pachą, i podaje mi rękę. Odkładam własną stertę książek na moje obecnie jedyne biurko i witam się z nią.

- Poważnie - mówi. - Przestanę ci wisieć nad głową najszybciej, jak to możliwe. Ale to tak miło z twojej strony, że zaproponowałaś, że podzielisz się gabinetem. Jestem ci przeogromnie wdzięczna.

- Ehem... Robisz ze mnie lepszą osobę, niż jestem - mówię. - Nie żebym tego nie zaproponowała. Ale początkowo dzieliłam ten gabinet z promotorem, którego chwilowo nie ma, no i cóż, to najzupełniej logiczne, żebym kogoś przygarnęła. Tyle że oficjalnie zaproponowała to szefowa wydziału.

- Cóż, i tak bardzo ci dziękuję. No wiesz, zawsze mogłaś się nie zgodzić.

Nie mogłam, ale cóż.

- Sprawdź tylko maile - zapowiadam, siadając za biurkiem - i za minutkę mogę ci pomóc, jak chcesz.

- Nie, dzięki, poradzę sobie. Postaram się za bardzo nie nabałaganić tutaj. Nie chcę kompletnie zrujnować twojego gabinetu.

- Daj spokój - mówię.

Heather już ustawiła swój komputer na biurku, które stoi teraz przodem do okna. Facet od teologii siłą rzeczy dostanie biurko za mną, stojące przodem do ściany. Komputer Heather ma duży płaski monitor, na którym włączył się wygaszacz. Wciskam odpowiednie guziczki, by włączyć swój sprzęt, a potem wstaję i zaczynam się przedzierać przez labirynt pudeł, by pójść na górę sprawdzić, czy nie ma dla mnie poczty, i przynieść sobie kawy z kuchni.

- Chcesz kawy albo coś? - pytam Heather na odchodnym.

- Serio? O, nie. Nie mogłabym prosić, żebyś po tym wszystkim jeszcze zrobiła mi kawę.

- To żaden kłopot. I tak będę robiła dla siebie.

- Och, w porządku. Ale tylko jeśli to nie kłopot. Pewnie przydałoby mi się coś na rozkrętkę.

- Znam to uczucie - śmieję się.

Kiedy ponownie zasiadam za biurkiem, natychmiast zaczynam szukać w Internecie leków homeopatycznych. Na ile mogę się zorientować, kosztują około trzech, czterech funtów za butelkę. Mogłabym je zamówić przez Internet, lecz nie mam karty kredytowej, więc muszę się wybrać do śródmieścia. Jestem taka głodna, aż się boję, że zemdleję, ale raczej nie będę marnować pieniędzy w kantynie. Chyba dopiję kawę, a potem odbiję swój samochód, wrócę do domu, zjem trochę zupy i wykąpię się. Później mogę się wybrać na miasto i poszukać *Carbo vegetabilis*. W śródmieściu jest olbrzymia drogeria Boots i dwa albo trzy sklepy ze zdrową żywnością, a jeśli te leki są tak wszechobecne, jak twierdzi Patrick, powinnam bez problemu znaleźć to, czego potrzebuję.

Kiedy się tym zajmuję, Heather kończy ustawianie książek na półkach.

- O rany!... - mówi.

Zerkam na nią i widzę, że wpatruje się w półki.

- Co się dzieje?

- Oj, przepraszam, nie chcę ci przeszkadzać, widzę, że pracujesz.

- Nie pracuję - odpowiadam. - Co się stało?

- Nie zostawiłam ani trochę miejsca dla tego drugiego.

Obie patrzymy na półki. Faktycznie zdołała zapełnić cały regał do takiego stopnia, że na rzędach książek leżą inne, poziomo, a niektóre tomy sterczą dziwnie, jakby pozostałe chciały je wysadzić z miejsc. Znalazła się tam nawet zielona żaba, która wygląda teraz na nieco przyduszoną. Heather przygryza usta najwyraźniej zmartwiona. Potem łowi moje spojrzenie i obie wybuchamy śmiechem.

- No trudno - mówię, wzruszając ramionami.

- Może będzie miał mniej gratów. Ja mam tego aż tyle, bo wszystko było w przechowalni. W święta miałam mieć remont gabinetu. Myślę, że jeśli też będzie miał tego sporo, zawsze mogę odłożyć część moich rzeczy do pudeł. - Podchodzi do biurka i patrzy na stosik książek o homeopatii. Dotyka jednej z nich tak ostrożnie, jakby jej zdaniem mogła być skażona, i zaraz cofa rękę. - Zajmujesz się literaturą angielską, prawda?

- Ehem, owszem. Coś w tym guście.

- To po co ci tyle książek o homeopatii?

- Och, zawsze mam mnóstwo dziwacznych książek. Robię doktorat z eksperymentów myślowych. Prawdę mówiąc, coś mi się zdaje, że chcą mnie wykopać z wydziału. Ich zdaniem to trochę za naukowe, nawet jeśli poezję też analizuję.

- Eksperymenty myślowe! Ale czad.

- Aha. Super sprawa. A ty jesteś biologiem ewolucyjnym, zgadza się?

- No. Mam stypendium podoktoranckie z genetyki molekularnej, więc to coś w rodzaju ewolucji od zarania czasu, a w każdym razie od początków życia, a to bywa niezłe zakręcone. W trakcie semestru uczę kilkoro dzieciaków... mój dawny promotor tak nazywa studentów... ale przede wszystkim robię modele komputerowe. A skoro już o tym mowa, to chcesz zobaczyć coś czadowego?

- Jasne - mówię. - A co to?

- Patrz. - Dotyka myszy na biurku i ekran monitora gwałtownie powraca do życia.

Nagle widzę białe liczby i litery pokrywające całe czarne tło, zmieniające się nieustannie jak liczby na giełdzie albo informacje w matrycy komputerowej, tak że niemal spodziewam się usłyszeć ciche „tyk-tyk-tyk”. - Oblicza początku życia - mówi Heather. I śmieje się; ma wysoki śmiech, taki, jaki w

idealnych warunkach wymaga obecności większej liczby osób w pomieszczeniu, żeby się nie zmarnować. - Wiem, że gadam trochę jak świruska. Sorry.

- Wow - mówię, gapiąc się w ekran.

- Ano. Cóż. W szkicu mojej pracy badawczej brzmi to znacznie nudniej, ale z grubsza właśnie to usiłuję osiągnąć. Wszystko sprowadza się do poszukiwania LUCA. Albo próbie spojrzenia dalej, skoro już nikt naprawdę w istnienie LUCA nie wierzy.

Wciąż wpatruję się w ekran, lecz Heather się odwraca. Na jej blacie leży ołówek, który teraz bierze do ręki i zaczyna się nim bawić, opierając się o biurko, zwrócona plecami do monitora. Liczby i litery zmieniają się nieustannie i powtarzają na moich oczach. Na coś takiego można by patrzeć bez końca. Człowiek gapiłby się cały wieczór, a potem zamknąłby oczy i wciąż miał przed oczami tysiące liter i cyfr szaleńczo zmieniających się w ciemnościach.

- Co to jest LUCA? - pytam.

- Last Universal Common Ancestor, czyli ostatni uniwersalny wspólny przodek.

- W sensie...?

- Tego czegoś, od czego wszyscy pochodzimy.

- Aha - mówię. - A ten program... Co on robi?

Heather przegarnia palcami włosy.

- Boże, a to dobre pytanie - mówi. A potem: - Och, cześć.

Męski głos odpowiada:

- Hej.

Obracam się na pięcie. W progu stoi facet trzymający niewielkie pudełko. Czarne włosy sięgają mu do ramion, ubrany jest w przypadkowo zestawione warstwy czerni, szarości i zgaszonej bieli. Pod czarną, sięgającą do uda bawełnianą kurtką widać rozpiętą szarą koszulę. Pod nią cienki czarny sweter. A pod nim jeszcze biała koszulka. Pomimo tylu warstw odzieży jest chudy i kanciasty, ma nieco szpiczasty nos i wydatne kości policzkowe jak u nieboszczyka. I trzydniowy zarost. Jest młody, pewnie niewiele po trzydziestce, i ma brązowoczarne oczy o takim wyrazie, jakby żył już milion lat.

- Hej - odpowiadam. - Ty pewnie jesteś...

- Adam. Słyszałem, że znajdzie się tu dla mnie trochę miejsca do pracy?

Heather błyskawicznie przejmuje dowodzenie, skacząc po gabinecie jak piłka do squasha.

- Cześć, Adam. Jestem Heather. A to Ariel. Tu jest twoje biurko, a tutaj twoja tablica ogłoszeń i

strasznie mi przykro, ale sam zobacz, co zdążyłam zrobić z półkami...

Jak przez watę znowu słyszę ten wysoki śmiech, potem Heather coś mówi dalej.

Wcale nie jestem pewna, czy Adam jej słucha: nie odrywa oczu od moich. Nie mam pojęcia czemu, lecz mam nieziemską ochotę przejść przez gabinet i stopić się z tym człowiekiem: nie całować się z nim, nie pieprzyć, tylko właśnie stopić. To idiotyczne - jest dla mnie dużo za młody. Mówię sobie w duchu, że zaraz przerwie to głębokie, nieskończone wpatrywanie się we mnie, ale jakoś tego nie robi. Czy to może trwać wiecznie? Nie. Nagle myślę o Patricku i wszystkim innym, co się wiąże z moją parszywą przeszłością, i sama niszczę ten moment, odwracając się i patrząc na monitor komputera. Po raz pierwszy zauważam, jaki jest zakurzony. Wszystko wydaje się brudne. Ponownie spoglądam na Adama, ale jest zajęty zapewnianiem Heather, że nic się nie stało z tymi półkami.

- Naprawdę nic nie mam - mówi właśnie. - Zobacz.

Pokazuje jej zawartość pudełka. W środku znajdują się trzy niebieskie ołówki, terminarz, czerwony notatnik i Biblia.

- Rzeczywiście masz mało bagażu - przyznaje Heather.

Adam wzrusza ramionami.

- Zatrzymaj te półki. Ja jestem wdzięczny za samo biurko.

Siada przy nim i włącza komputer. Heather ciągle go zagaduje i przysłuchując się ich rozmowie, dowiaduję się, że Adam nie zajmuje się niczym bardziej ekscytującym od planowania seminariów magisterskich na najbliższy semestr. Zwykle rozmowy tego rodzaju mnie nudzą, Adam jednak ma taki hipnotyzujący głos, że nie mogę się powstrzymać od podsłuchiwania. Zastanawiam się, skąd ma taki akcent. Najpierw mi się wydaje, że z południowego Londynu; potem zmieniam zdanie: południowy Londyn z domieszką Nowej Zelandii. Następnie ponownie zmieniam zdanie: Nowa Zelandia z domieszką irlandzkiego.

Wreszcie daję sobie z tym spokój i znowu zaczynam myśleć o powrocie do domu. Nie mogę sobie pozwolić na kielkujące uczucia do faceta, który nosi ze sobą pudełko z Biblią, zwłaszcza nie wtedy, kiedy wciąż czuję, jak Patrickowa sperma ścieka mi po udach. Och, jestem obrzydliwa. Wstaję i zaczynam wkładać płaszcz.

- Więc uważam - trajkocze Heather - że powinniśmy to uczcić. - Patrzy na mnie. -

Ariel? Och, już lecisz? I co ty na to?

- He? - mruczę, chowając książki o homeopatii do torby, żeby zabrać je do domu.

- Kolacja u mnie dzisiaj. Pomyślałam sobie, że opowiem wam o wspólnym przodku, a Adam nam opowie o tym, jak Bóg stworzył człowieka, i wszyscy porządnie się schlejemy.

No, w każdym razie my dwie. Zgaduję, że Adam nie pije. Co o tym sądzisz, Adam?

- Przyjdę pod warunkiem, że będę mógł pić - odpowiada.

Uśmiecham się do Heather.

- Ehem, jasne. Brzmi kusząco.

- Fantastycznie - mówi Heather. - Siódma? Już wam daję adres. - Gryzmoli na świstku papieru, który następnie mi podaje.

Tym razem, kiedy docieram na parking przy Gmachu Newtona, wokół nie kręci się mnóstwo ludzi, a żółta taśma jest cała podarta i furkocze na wietrze. Dalej uszkodzony budynek stoi nierówno, do połowy wysokości obrosły rusztowaniami. Tylko mój samochód ostał się na parkingu, toteż cieszę się, że wreszcie go stąd zabieram. Zawsze się spodziewam, że w samochodzie będzie ciepło, kiedy do niego wsiądę, jednak jak zawsze jest w nim zimno niczym w lodówce, nieco wilgotno i śmierdzi fajkami. Mimo to odpala za pierwszym razem.

Ruch w kierunku śródmieścia jest duży, a kiedy zbliżam się do przejazdu kolejowego, światła zaczynają migać i szlaban powoli się opuszcza. Psiakrew. To oznacza, że utknę tu na jakieś dziesięć minut. Przede mną stoi autobus, przekrzywiony pod dziwacznym kątem i tarasujący połowę przeciwnego pasa, więc nieliczne samochody, które zdążyły przejechać z naprzeciwka, zanim przejazd został zamknięty, muszą się nieźle namanewrować, żeby go wyminąć. Po mojej stronie jezdni, tuż za pubem, jest piekarnia, więc wysiadam z auta i idę kupić pieczywo. W piekarni jest kobieta, która uśmiecha się do mnie tak, jak gdyby wszystkie znane mi osoby właśnie zmarły. Wracając do samochodu, widzę przyczynę, dla której autobus stoi tak dziwnie: jest nią biała furgonetka zaparkowana przy krawężniku przed pubem. Napis na boku głós: „Rozrywki dla Elity”. Po paru sekundach z pubu wychodzi facet, który wywozi ze środka stary automat do gry ze sterzącymi z tyłu kablami. Zostawia go na chodniku, a sam otwiera tylne drzwi furgonetki. Kiedy przechodzę obok, widzę, że w środku stoi sześć czy siedem innych automatów z wytartymi przyciskami i przypuszczalnie z odciskami palców tysięcy graczy. W furgonetce siedzi drugi mężczyzna, który poleruje jedną z maszyn czystą białą ścierką. Kiedy zauważa, że kolega wrócił z nowym automatem, przerywa swoje zajęcie i wyskakuje z samochodu, żeby pomóc mu wnieść automat do środka i umocować pasami. Przez moment myślę ni z gruszki, ni z pietruszki, że te automaty są żywe, a mężczyźni czynią z nich swoich zakładników. Wtedy szlaban się podnosi, ruch ożywa, więc wskakuję do auta i odjeżdżam. Bez problemów docieram na stację benzynową i kupuję benzyny za pięć funtów.

Wynajmuję miejsce parkingowe od właściciela chińskiej knajpy za moim mieszkaniem i na szczęście nikt dzisiaj na nim przypadkowo nie zaparkował. Najpierw podgrzewam sobie trochę zupy, później zabieram do wanny dwie książki o homeopatii: *Wykłady homeopatycznej materia medica* Kenta i dość dziwnie wyglądający tom zatytułowany *Portrety literackie polikrestów*. Poczytam sobie o *Carbo vegetabilis*, a potem pójdę go kupić. Nieważne, że jestem zbrukana, że chcę udawać, iż wszystko jest ze mną w porządku, ani że rozpaczliwie chcę znowu zobaczyć twarz Adama, ani że powinnam pomyśleć o zabraniu się za doktorat lub za nowy artykuł do gazety. To jest moja misja.

Nieprawdziwe życie. Prawdziwe życie to pozwalanie, by facet cię pieprzył pochyloną nad biurkiem (i żebyś miała z tego przyjemność, co w jakimś sensie jest w tym wszystkim najgorsze). Prawdziwe życie to regularne zostawanie bez kasy, czyli bez jedzenia. Prawdziwe życie to brak porządnego

ogrzewania. Prawdziwe życie jest fizyczne. Lepiej zamiast niego dajcie mi książki: dajcie mi niewidzialność ukrytych w nich treści, przemyśleń, idei, obrazów.

Pozwólcie mi stać się częścią książki; wszystko bym za to oddała. Klątwa związana z *Końcem pana Y* musi oznaczać stanie się częścią książki; bytem intertekstualnym; książką cyborgiem albo, biorąc pod uwagę fakt, że książki nie są cybernetyczne, bibliorgiem. Rzeczy w książkach nie mogą się ubrudzić, a prawdziwe życie... cóż, koniec końców obraca się w pył.

Nawet książki zmieniają się w proch jak pokruszone szczątki, które podróżnik w czasie u H.

G. Wellesa znajduje w muzeum. Ale myśli są czyste.

Zanim zacznę czytać, pozwalam sobie na eksperymentalną myśl, tylko przez sekundę.

A jeśli to jest prawdziwe życie? Jeśli jestem przeklęta i czeka mnie śmierć, całkiem jak Lumasa i każdego, kto czytał *Koniec pana Y* w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku? Gdybym autentycznie wierzyła w tę historię, instynkt samozachowawczy chyba szepnąłby mi, żebym przestała? Jeśli jednak klątwa nie jest realna, to czym się przejmuję?

Sięgam po pierwszą książkę, *Repertorium Kenta*, i zaczynam czytać o węglu drzewnym.

Zajmijmy się studium węgla drzewnego - *Carbo-veg*. Jest to relatywnie nieaktywna substancja zmieniona w leczniczą i potężną, przeistoczona w potężny środek uzdrawiający poprzez zmielenie na drobny proszek.

Wystarczająco rozcieńczony staje się podobny do natury dolegliwości i leczy chorych.

Stara szkoła zaleca używanie go w dawkach odmierzanych łyżkami, by przeciwdziałać nadkwasocie żołądka. Jednak owo zastosowanie jest wspaniałym monumentem osiągnięć Hahnemanna. W swojej wyjściowej postaci węgiel jest substancją nieaktywną i swe prawdziwe właściwości lecznicze ujawnia dopiero rozcieńczony do odpowiedniej potencji. To jeden z tych głęboko i długo działających leków przeciwko łuszczycy. Głęboko wkracza w życie i udowadniając swą skuteczność, wywołuje objawy, które utrzymują się przez długi czas, leczy więc schorzenia, które utrzymują się od dawna - takie, które zaczynają się powoli i podstępnie.

Tu następuje długa lista objawów, które można zwalczać za pomocą tego leku w homeopatycznych dawkach. Nie widzę tu niczego specjalnie interesującego ani niczego, co stanowiłoby jakąś wskazówkę, dlaczego właśnie węgiel miałby być „wyjątkowym” składnikiem wybranym przez Lumasa do receptury. Czytam o ociężałości, lenistwie i wymiotowaniu krwią. Potem czytam dół strony i dowiaduję się, że ludzie, którzy potrzebują *Carbo-veg*, są również zimni i bladzi jak trupy. Odkładam tę książkę i sięgam po *Portrety literackie*. Z obwoluty się dowiaduję, że postaci literackie można „odczytywać” albo

„dekodować” tak samo jak „czyta się” osobę z chorobą. Mogę sobie wyobrazić, jak to działa: wypatruje się tych wszystkich drobnych objawów, o których czytałam, a nacisk kładzie się na to, czy ktoś czuje się gorzej o jedenastej przed południem (siarka) czy o czwartej po południu (widłak).

Otwieram *Portrety* i odczytuję następujący fragment: *Carbo-v* znany jest jako ożywiacz nieboszczyków - i każdy praktykujący homeopata wyjaśni ci, czytelniku, dlaczego. Kiedy pacjent po raz ostatni dobywa oddechu, środek ten należy mu podać w największej możliwej potencji. 1M bądź 10M zwykle wystarczają, by pacjentowi życie przywrócić albo też zaiste dopomóc mu w odejściu.

Po krótkim wstępie w tym samym rozdziale pojawia się spis różnych słynnych postaci literackich, które zdaniem autora potrzebowałyby tego leku. Minie Murray i Jonathanowi Harkerowi autor poświęca ładnych kilka stron, długo też rozwodzi się nad umierającym bohaterem opowiadania *Mesmeryczne objawienia* Edgara Allana Poego. Potem, rzecz jasna, zajmuje się Elżbietą Laveną z *Frankensteina*. Część jej poświęcona kończy się akapitem: Czy budzi jakiegokolwiek zdziwienie, że to akurat węgiel okazuje się substancją mistyczną? Węgiel nie jest niczym innym jak skoncentrowanym życiem, które staje się paliwem dla naszych pieców i maszyn, które z kolei dostarczają paliwa do życia. Węgiel, do którego wszystko co żywe musi z czasem powrócić (z pyłu w pył), jest najbardziej tajemniczą ze wszystkich substancji i choćby z tego względu jego powiązanie ze śmiercią jest nieuniknione. Jednak węgiel jest także życiem. Jest początkiem życia i jego końcem. W potencji zachowuje nie swą fizyczną substancję, lecz energię, która jest znaczeniem. A znaczenie węgla jest zarazem proste i złożone. Życie.

Śmierć. Granice wszechrzeczy.

Kiedy wychodzę z wanny, wilgotna i czysta, choć nie rozgrzana zauważalnie, czuję, że mój umysł tyka jak wyświetlacz na komputerze Heather. Ożywiacz nieboszczyków. Wreszcie coś interesującego. I ten kawałek o tym, że węgiel jest kwintesencją życia i śmierci równocześnie.

Przypominam sobie, że było coś ciekawego o węglu w książce popularnonaukowej Jima Lahiriego, wkładam szlafrok, idę do kuchni, nastawiam kawę i szukam tej książki po wszystkich półkach. W końcu ją znajduję i odświeżam pamięć. W żarze Wielkiego Wybuchu wodór był pierwszym pierwiastkiem, który uformował się z gorącej plazmowej zupy elektronów i protonów. Nie trzeba geniusza, by na to wpaść: żeby powstała cząsteczka wodoru, potrzeba tylko jednego elektronu i jednego protonu. Masa tego izotopu wodoru wynosi jeden - bo składa się tylko z jednego protonu (elektrony nie mają żadnej masy). W

niewiarygodnie wysokiej temperaturze izotopy wodoru o masach dwa (deuter - jeden proton, jeden neutron) i trzy (tryt i tritium) także powstały. Potem hel o masie równej cztery. Ale nie ma stabilnego atomu o masie równej pięć. Ponieważ nie ma atomu o masie atomowej pięć, nikt nie rozumie, jak w ogóle mógł powstać węgiel. Każdy nowy pierwiastek powstaje z fuzji pierwiastków, które wytworzyły się wcześniej, lecz można do upojenia mieszać wodór z helem w kosmicznym mikserze, a węgla i tak się z tego nie robi.

To problem, jeśli bowiem w ten sposób nie da się uzyskać węgla, to reszta tablicy okresowej też zaczyna wyglądać mało wiarygodnie. Ponieważ najbardziej typowa masa cząsteczki węgla wynosi dwanaście, trzeba by doprowadzić do zderzenia się trzech atomów helu dokładnie w tym samym momencie, w niezwykle wysokiej temperaturze, aby mógł

powstać. Wydawało się niemożliwe, by to się stało. Potem kosmolog Fred Hoyle przekonywał, że węgiel musi istnieć, skoro on sam jest z niego zrobiony, i opracował, jak przeskoczyć szczelinę

pięciu mas. W odpowiedzi na jego teorię George Gamow napisał

parodię Genesis, w której Bóg tworzy wszystkie możliwe masy chemiczne, ale z przejęcia zapomina stworzyć masę równą pięć.

Bóg był bardzo rozczarowany i w pierwszym odruchu chciał skurczyć ponownie wszechświat i rozpocząć wszystko od nowa. Byłoby to jednak zbyt proste. Dlatego, jako wszechmogący, Bóg postanowił poprawić Swój błąd w najbardziej nieprawdopodobny sposób. I rzekł Bóg: „Niech stanie się Hoyle”. I stał się Hoyle. I Bóg popatrzył na Hoyle'a... I polecił

mu wytworzyć ciężkie pierwiastki w sposób, jaki uzna za stosowne.

Oczywiście, że węgiel jest budulcem życia oraz, jak podkreślają teksty homeopatyczne, nieuchronnym skutkiem śmierci. Zatem gdyby ktoś zamierzał stworzyć jakikolwiek tajemniczy eliksir, węgiel wcale nie byłby dziwnym składnikiem - zwłaszcza w takim rozcieńczeniu, że w praktyce przestał już istnieć; a więc był jedynie wspomnieniem.

Do sklepu ze zdrową żywnością docieram około wpół do piątej, ale chociaż Patrick miał rację i rzeczywiście mają w nim dział homeopatyczny, *Carbo vegetabilis* akurat nie ma. Po wycieczce do Boota, a potem do Holland & Barrett już nie jestem taka pewna powodzenia swojej misji. W drogerii w ogóle nie mieli *Carbo vegetabilis*, a w Holland & Barrett mieli tylko w potencji 6C, jakieś dziewięćset dziewięćdziesiąt cztery razy słabiej rozcieńczonej, niż ja potrzebowałam. Jest po piątej, kiedy zaglądam do małego sklepiku przy kinie Odeon.

Nigdy wcześniej tu nie byłam i nie wiem nawet, czym tu handlują. Kiedy przechodzi się obok, widać same drzwi, jak gdyby sklepu wcale za nimi nie było, ale jeśli przyjrzeć się uważniej, można zauważyć przeszkloną gablotkę wmurowaną w sąsiednią ścianę. W szklanej gablotce stoi parę słoiczków z czymś, co wygląda na zioła, egzemplarz *Tao Te Ching* i talię kart do tarota. Nazwa sklepiku - Selene, po grecku „księżyc” - umieszczona jest na drzwiach razem z wyblakłym szyldem, który ozdobnym pismem zaprasza, by „wejść i rozejrzeć się”.

Jestem pełna nadziei, że może prowadzą w tym sklepiku leki homeopatyczne, bo babka z Holland & Barrett radziła mi tu przyjść.

Kiedy otwieram drzwi, w środku coś dźwięczy cicho. Za drzwiami widzę wąskie drewniane schody, po których wchodzę w półmroku. Na górze znajduję kolejne drzwi, tym razem o panelach z oszronionego szkła, otwieram je i wchodzę do malutkiego sklepiku, w którym zastaję łysego mężczyznę siedzącego za biurkiem i czytającego książkę. W powietrzu unosi się dziwny zapach kadzidła z sandałowego drewna, a samo pomieszczenie ma kształt małego prostokąta z biurkiem ustawionym po lewej. Biurko wygląda na dawną własność jakiegoś dziewiętnastowiecznego architekta: jest duże i szerokie, ma też, jak się wydaje, o wiele za dużo szufladek, a każda ma zaledwie parę cali wysokości, za to około trzech stóp szerokości. Nigdzie nie widać kasy. Za biurkiem wisi postrzępiony zwijający się w rulon plakat z napisem, którego nie rozumiem, obok zaś widać drewniane drzwi pomalowane na fioletowo i przesłonięte pomarańczową kurtyną z koralików.

Mężczyzna nie reaguje na moją obecność, ale i tak zaczynam dryfować wzdłuż regałów. W głębi po

lewej na chwiejnym drewnianym regale ustawiono brązowe buteleczki z lekami homeopatycznymi. Znajduję *Carbo-veg*, tym razem w potencji 30C. Wzdycham i przechodzę na prawo, mijając plastikowe tubusy z kryształami i niezliczone rzędy dużych słoików po tanich cukierkach, teraz wypełnionych ziołami. Pod ziołami stoi niewielka kolekcja zakurzonych szklanych słoiczków i fiolek - niektóre są zatkałe korkami, inne mają zwykłe nakrętki. Sięgam po szklaną fiolkę, która nada się na wodę święconą. Innych leków homeopatycznych nigdzie nie widzę. Podchodzę do kontuaru i czekam, aż mężczyzna podniesie wzrok.

- Szukam pewnego leku homeopatycznego - mówię.

- Tam, w rogu - mówi i wraca do lektury.

- Wiem - odpowiadam. - I jest, ale mnie jest potrzebny w wyższej potencji.

- Och - mówi mężczyzna. Patrzy na zegarek. - Prawdę mówiąc, i tak zaraz zamykamy, więc...

- Czyli nie macie wyższych potencji?

- Mamy - odpowiada. - Ale nie sprzedajmy ich ot, tak.

Marszczę czoło.

- A co, muszę mieć receptę czy jak?

Kręci przecząco głową.

- Płaci się za konsultację. - Wzdycha. - Jaki lek pani chciała?

- *Carbo vegetabilis* - mówię, czerwieniąc się w chwili, gdy wypowiadam te obce słowa.

- Co proszę...?

- *Carbo vegetabilis*. Ożywiacza umarłych. W każdym razie tak kiedyś go nazywano.

W jednym miejscu go znalazłam, ale w niewystarczająco mocnej potencji.

- Ożywiacz umarłych? Skąd to pani wzięła?

- Och, z książki - mówię.

I tyle w kwestii udawania, że wiem, o czym mówię.

- Cóż, mam wszystko w różnych potencjach, aż do 10M - mówi. - Ja chcę 1M -

wyjaśniam. - Tysięczną potencję. Zgadza się?

Znowu marszczy czoło.

- Pani wie, że wyższe potencje mogą być niebezpieczne, jeśli człowiek nie wie, co robi?

Nie mówię tego, co myślę, a mianowicie: „Przecież to tylko woda”.

- Tak - mówię. - Wiem. Poradzę sobie.

- No dobrze - odpowiada. - Ale będę musiał pani udzielić czegoś na kształt konsultacji. Co pani dolega? - Ziewa, kiedy opowiadam coś o bólu głowy. Przez pewien czas po prostu pozwala mi mówić, po czym gdy ja dalej trajkoczę jak najęta, otwiera jedną z dużych szuflad i wyjmuję brązową buteleczkę.

- Dobra, dobra. Okej. Przepiszę *Carbo-v* - mówi. - Należy się osiem funtów. To za konsultację. Remedium jest za darmo.

- Dzięki - mówię, biorąc buteleczkę. Płacę za „konsultację” i za szklaną fiolkę, którą wybrałam wcześniej. Potem wychodzę.

ROZDZIAŁ 11

Jakimś cudem jest już po szóstej, kiedy ponownie staję na lodowatej ulicy. Światła samochodów wiszą żalobnie w sianej mgiełce, ludzie, którzy mnie mijają, ubrani w grube czapki i rękawiczki, niosą teczki albo plastikowe torby krzywo powypychane zakupami, albo i jedno, i drugie. Postanawiam, że teraz wrócę do domu, a wodę święconą spróbuję zorganizować po drodze do Heather. Zresztą katedrę i tak będę miała po drodze.

Kiedy docieram do domu, w korytarzu stoi rower Wolfganga. Ręce mi niemal zamarzły, mimo że przez całą drogę trzymałam je zaciśnięte w kieszeniach, w jednej trzymając szklaną fiolkę, w drugiej *Carbo vegetabilis*. Po powrocie w pierwszej kolejności ukrywam lek w starej puszcze na cukier upchniętej w głębi szafki kuchennej; sama nie wiem dlaczego. Następnie kładę szklaną fiolkę na stole i wsadzam ręce pod ciepłą wodę, usiłując zmyć uczucie zimna. Nastawiam kawę i idę do łazienki. Próbuję rozczesać włosy, ale są zbyt zmierzwione, więc ostatecznie ściągam je gumką. Przeglądam się w lustrze i jak zwykle zastanawiam się, jak bardzo jestem przeklęta. Zdrowy rozsądek odpowiada, że klątwy nie istnieją. Potem jednak myślę o tym, że jeszcze dzisiaj sporządzę Lumasowy eliksir, wypiję go i przekonam się, co się wydarzy. Moje odbicie w żaden sposób nie reaguje na tę refleksję, no, może tylko dostrzegam w swoich oczach lekkie rozczarowanie. A jeśli eliksir nie zadziała?

Co wtedy? Pozostanie mi powrót do prawdziwego życia i prawdziwej pracy, i to nawet bez luksusu, jakim jest cały gabinet na wyłączność dla siebie. Nakładam puder na lekko bladawą już twarz, szminkuję usta blad różową pomadką. Ściągam majtki i dzinsy i podmywam się flanelową myjką. Następnie wkładam czyste gatki i te same dzinsy.

Po wypiciu kawy idę korytarzem i dobijam się do drzwi Wolfganga. Otwiera niemal natychmiast i zaprasza mnie do kuchni. Żadne z nas nie ma zestawu mebli kuchennych, tylko parę półek i szafek. U Wolfganga półki zastawione są orzechami, ziarnami i suszonymi owocami w przezroczystych torebkach. W szafkach kuchennych trzyma wyłącznie alkohol i właśnie on mnie tu sprowadza.

Wszedłszy, uświadamiam sobie, że kuchnia pachnie bardziej świeżo niż zazwyczaj. Zwykle stoi w niej stolik o laminowanym blacie i jedno krzesło, więc jeśli wpadam tu na kolację, to z własnym krzesłem. Tymczasem tego wieczoru przy stoliku stoją dwa krzesła, a na środku blatu wazonik z kwiatami.

- Myślisz, że całość wygląda zapraszająco? - pyta mnie Wolf.

- Tak, oczywiście - odpowiadam. - Zwłaszcza z tymi dwoma krzesłami. Catherine się dzisiaj do ciebie wybiera?

- Catherine? Nie, skończyłem z Catherine. Spodziewam się kogoś znacznie bardziej wyjątkowego niż Catherine.

- Twoje życie uczuciowe to istne tornado - mówię.

- Ha! Owszem. Szybkie i nieprzewidywalne.

- Jasne. Cóż, w takim razie nie będę ci...

- Nie mów, że planowałaś wspólną kolację? No bo wiesz, w każdy inny wieczór...

- Nie - uspokajam go. - Nie przejmuj się. Chociaż żałuję, że nie mogę zjeść z tobą kolacji. Tak się składa, że zaraz wychodzę, mam się spotkać z ludźmi, którzy przejęli mój gabinet. - Potrząsam głową.

- Sama nie wiem, czemu właściwie tam idę.

- Aha - mówi. - Skoro nie zwabiła cię wizja moich „delikatesów”, to przypuszczam, że chcesz czegoś innego?

- Mhm. Tak. Zastanawiałam się, czy nie zostało ci trochę tego podejrzanego wina.

Tuż przed świętami Wolfgang nabył około trzydziestu butelek bułgarskiego czerwonego wina od osoby bądź osób mu nieznanymi i odsprzedawał mi je za funt od butelki.

Od paru tygodni nic od niego nie kupowałam, ale wypadałoby, żebym zabrała jakąś butelkę do Heather, a nie chcę wydawać piąta w supermarkecie, skoro zostało mi raptem dziesięć funtów przy duszy.

Kręci głową.

- Podejrzanego wina? Jak możesz mówić, że moje wino jest podejrzone?

Śmieję się..

- Okej, niech ci będzie. Twojego całkowicie legalnego wina.

Jego spojrzenie przesuwają się poziomo i zatrzymuje na jednej z szafek.

- Zostało mi kilka butelek.

- Odsprzedasz jedną?

- Jasne. - Wyjmuje butelkę z szafki. Etykieta jest opisana po bułgarsku, dzięki czemu wygląda całkiem autentycznie i jak śmiem twierdzić, wręcz kosztownie. - A co u ciebie? -

pyta, podając mi wino.

- W porządku - odpowiadam, wręczając mu monetę jednofuntową. - Dziwacznie.

πήδησις

Och... mówiłam ci, że przeczytałam tę książkę?

- Tę przekłętą?

- Aha.

- I była w niej ta receptura? Masz wszystkie składniki?

Nie pytam, czemu na Boga Wolf tak trafnie założył, że jak tylko poznam skład eliksiru, natychmiast zapragnę kupić wszystkie składniki.

- Nie - kłamię. - Niestety, receptury nie było.

- Więc co się dzieje z panem Y?

- Z grubsza wszystko, czego się obawiał. Jest tylko jedna dobra rzecz: sporządza eliksir i pije go, i rzeczywiście przenosi się z powrotem do Troposfery. Ale to jeden wielki koszmar. Wchodzi do umysłu własnej żony i przekonuje się, jak bardzo ją unieszczęśliwił.

Potem wchodzi w umysł znenawidzonego konkurenta i zdaje sobie sprawę, że nigdy go nie pokona. Staje się oczywiste, że oboje z żoną będą musieli się zgłosić do przytułku, dowiaduje się nieco więcej o funkcjonowaniu Troposfery. Okazuje się, że można przeskakiwać z umysłu do umysłu dokładnie tak, jak podejrzewał. A skacząc, można podróżować po wspomnieniach... To trochę jak surfing, ale pan Y nadaje temu własną nazwę: pedeza.

- Po wspomnieniach...? Może trochę jak w czasie?

- Myślę, że właśnie taka była implikacja. Przypominam sobie przedostatni akapit powieści.

Nie odnalazłem w cieniach Troposfery ani szczęścia, ani fortuny.

Goszcząc wszakże w owej krainie, aulem się po trosze jak ptak ślizgający się po przestworzach: w czasie gdy błądziłem po tym nowym, dopiero poznawanym przeze mnie świecie, wiedziałem, że jestem wolny. I chociaż w świecie ciała zawiodłem, w świecie umysłów latałem, może nie tak jak

ptaki, lecz tak jak porusza się człowiek w rozpędzie przeskakujący z kamienia na kamień, a każdy kolejny kamień wystający ponad nurt rzeki staje się odskocznią, z której można się dostać na wiele innych. Kiedy nabyłem wprawy w tej metodzie przeskakiwania coraz dalej w głąb świata umysłów, poruszając się jak najlżej i jak najszybciej, ze swobodą fali na wodzie, postanowiłem nazwać ten ruch mianem pedezy od greckiego słowa *pedesis* -

. Rzeka z

kamieniami, podobnie jak krajobraz z ludzkimi siedzibami, płynie do przodu - owszem - lecz również wstecz. I tak oto postanowiłem uciec, pedetycznie, w mgły czasu. Docieram więc do końca mej opowieści, albowiem dzisiaj o północy planuję wyruszyć w podróż do najdalszych zakamarków Troposfery. Wątpię, czy kiedykolwiek powrócę, by opowiedzieć tę historię do końca, tak bardzo oddaliwszy się od jej początku.

- To co takiego spotkało pana Y? - dopytuje się Wolfgang. - W jakim sensie jego historia się kończy?

- Och, znika w Troposferze.

- Jak to? Fizycznie?

- Nie. - Kręcę głową. - Później znajdują jego ciało.

Wolfgang szeroko otwiera oczy.

- Umiera?

- Owszem - przyznaję. - Na końcu jest „Nota od Wydawcy”, która wyjaśnia, że znaleziono go martwego na podłodze w piwnicy we własnym domu. Zamknął się od środka i stamtąd wyruszył w swoją ostatnią podróż. Żona myślała, że zaginął, i dopiero po jakimś czasie odkryła, że piwnica jest zamknięta na klucz, i wezwała policję. Zagłodził się na śmierć.

- Autor powieści też umarł?

- Tak.

- W takim razie to bardzo dobrze, że nie masz tych składników, prawda?

- Mhm.

Czasami nocą brama katedry wygląda jak otwarte usta: jak niemy okrzyk zaskoczenia ulicy, z której szczerzą się stare koślawe budynki, z biegiem lat ciągle łatanie i wymagające uzupełniania ubytków zupełnie jak zęby. Dzisiaj usta są zamknięte. Duża drewniana furka jest zatrzaśnięta i pojawiła się na niej wywieszka informująca, że przybytek zostanie ponownie otwarty jutro rano o ósmej trzydzieści.

Czyli nici z wody święconej. Nici z pedezy.

Z drugiej strony i tak wiem, że to wszystko nie jest realne, więc może po prostu staram się odwlec

moment, kiedy się o tym przekonam. Bądź co bądź mogłam wcześniej wstąpić do katedry. A więc na dzisiejszy wieczór znowu pozostaje mi tylko prawdziwe życie, ale prawdziwe życie z niewypowiedzianą obietnicą czegoś nowego, czegoś fikcyjnego. Noc zwłoki to nie tragedia, niemniej teraz, patrząc na zamknięte bramy, żałuję, że nie mam wody święconej: żałuję, że nie będę mogła później zrobić czegoś niebezpiecznego.

Idę dalej po skrzącym się od szronu chodniku, zerkając na mapkę, żeby odnaleźć ulicę Heather. Okazuje się, że to boczna uliczka tuż za katedrą: a przy niej mały żółty domek z cegieł w zabudowie szeregowej, z czarnymi drzwiami. Pukam dwa razy srebrną kołatką i odsuwam się o krok, czekając na odpowiedź.

- Cześć, Ariel! - wykrzykuje Heather, otwierając drzwi. - Wielkie dzięki, że przysłaś.

To winko? Fantastycznie. Po dzisiejszym dniu potrzeba mi jak najwięcej wina. Jak się masz?

Och, przepraszam. Tak się rozgadałam, a ty wciąż stoisz w progu. Włącz.

Drzwi prowadzą z ulicy prosto do salonu. Dom wygląda jak domy wielu młodych pracowników naukowych, zanim się pożenią czy powychodzą za mąż i dorobią dzieci: podłoga z sosnowych desek, mnóstwo półek, oprawione reprodukcje Picassa, jesienne narzuty na sofie i fotelach, niska ława, rozłożona kolekcja „cegieł” mających w zamiśle prowokować do konwersacji na poziomie, kilka lamp. Prawdopodobnie moje mieszkanie wyglądałoby bardzo podobnie, gdybym miała ogrzewanie, pozbyła się myszy i dostrzegła potrzebę korzystania z więcej niż tylko jednego pokoju. Czuję zapach czosnku mieszający się z wonią czegoś z kominka zapachowego, jakby połączenia mięty pieprzowej i lawendy. W domu jest ciepłutko. Z niewielkich głośników sący się jazz. Adama nie widać.

- Białe czy czerwone? - pyta Heather. - Och, i rozgość się, dobrze? Rzuć płaszcz byle gdzie, zawsze mam tu lekki bajzel.

Czemu ludzie zawsze mówią, że mają bałagan, nawet jeśli wcale tak nie jest?

- Eee... czerwone poproszę. Nawiasem mówiąc, ślicznie tu masz. Kapitalna reprodukcja.

- A rzeczywiście fajna, prawda? - rzuca Heather przez ramię, idąc do kuchni po wino dla mnie. Wraca i podaje mi olbrzymi kielich na srebrzystoróżowej nóżce. - Uwielbiam Picassa.

- Ta mi się wyjątkowo podoba - mówię, zerkając na jedną z reprodukcji. - Lubię wszystko, co ma coś wspólnego z czterema wymiarami. To już prawie obsesja.

- Cztery wymiary? - powtarza. I z jękiem dodaje: - No dalej, opowiadaj, co straciłam.

Nigdy nie doceniam sztuki jak należy, po prostu myślę: „O, jaki ładny obrazek”, a potem wieszam go na ścianie. Biolodzy już tak mają. Potrzebujemy humanistów, żeby wytłumaczyli nam, na czym polega prawdziwe życie.

Śmieję się i zapewniwszy Heather, że o kubistach i futurystach wiem naprawdę malutko, a o sztuce rozumianej szerzej praktycznie nic, rzucam jakąś uwagę na temat głowy tej kobiety - można by

powiedzieć, że przemieszcza się w czasie, albo inaczej: że widzi ją istota z czwartego wymiaru.

- Wow. Pełny odlot. Mnie się najbardziej podoba *Krzyk*. Tylko pomyślałam, że powieszenie go na ścianie byłoby trochę dzieciuchowate, raczej w stylu studentki, więc wybrałam coś bardziej wyrafinowanego. Ale *Krzyk* po prostu uwielbiam. Przez większość dni dokładnie tak się czuję.

- Czemu?

- Och, hm... - Słysząc pukanie do drzwi. - Mam nadzieję, że to Adam, a nie jakiś seryjny morderca. - Śmieje się. - Poczekaj chwilę.

Bez szczególnego powodu, którego byłabym świadoma, zaczynają mi drżeć ręce.

Odstawiam kieliszek i zaraz sięgam po niego ponownie. Do środka wpada powiew zimnego powietrza w momencie, kiedy Heather otwiera drzwi i wita Adama, który wygląda identycznie jak wcześniej; jedyna różnica jest taka, że włosy ma jakby bardziej potargane.

- Hej - zwraca się do mnie, zdejmując płaszcz.

- Cześć - odpowiadam.

Heather prosi, by rzucił płaszcz byle gdzie, i powtarza przeprosiny za „bałagan”, po czym idzie do kuchni po kieliszek białego wina dla Adama. Wpatrujemy się w siebie, nie poruszając się ani nie odzywając słowem.

- No - mówi Heather, wracając - będzie makaron i grillowane warzywa. Proste danie, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, Adam?

- Skądże, dzięki - odpowiada Adam, biorąc od niej wino i wciąż patrząc tylko na mnie.

Ja też wpatruję się w niego, lecz tym razem to on przerywa kontakt wzrokowy i koncentruje się na Heather. - Zapowiada się cudownie.

Adam rozsiada się w rogu dużej sofy po drugiej stronie pokoju. Nie patrząc na żadną z nas, pochyla się do przodu i przygląda książkom na ławie. Obejrzawszy wszystkie, podnosi duży album w twardej oprawie, zatytułowany *Dziwne ryby*, i zaczyna go kartkować. Przez parę sekund żadne z nas się nie odzywa. Heather musiała włączyć funkcję losowego wybierania utworów, bo zaraz po jazzowym kawałku zaczyna się rzewna melodia na gitarę akustyczną i jakiś facet zaczyna śpiewać o samotności, która przychodzi nad ranem.

- Lepiej wstawię makaron - mówi Heather.

- No - mówi Adam po jej wyjściu - co tam u ciebie?

- Dobrze, dzięki. A u ciebie? Już się trochę zadomowiłeś?

- Tak. I jeszcze raz dzięki, że udostępniłaś nam swój gabinet.

- Nie ma za co. Poza tym, jak już mówiłam Heather, nie bardzo miałam wybór.

- Ach, racja... Innymi słowy najzwyczajniej ci nas wepchnięto?

- Niby tak. Ale naprawdę nie mam nic przeciwko temu. Słowo.

Gadka szmatka. A teraz wrócił do kartkowania książki, którą oparł sobie na kolanach.

Wraca Heather.

- I co tam słyhać w świecie religii? - zwraca się do niego. - Jak tam życie z Bogiem?

- Skąd miałbym wiedzieć? - dziwi się Adam.

- Nie jesteś religijny? - dziwi się z kolei Heather. - Myślałam...

Adam się uśmiecha.

- Odpowiem ci w wersji skróconej: nie.

- Och, nie bądź taki - prosi Heather. - A jaka jest pełna wersja? Och! - Coś w kuchni wydało właśnie donośne „dzyń”, więc dziewczyna zrywa się i biegnie sprawdzić. -

Przepraszam, chyba makaron właśnie doszedł.

Adam rzuca mi takie spojrzenie, jakbyśmy mieli we dwoje obrobić bank, choć z miną świadczącą, że chyba nie za bardzo ma na to ochotę.

- Uratowany - mówi.

Uśmiecham się do niego.

- Ale trochę szkoda - mówię. - Też chętnie posłuchałabym dłuższej wersji.

- Och... - Wzdycha i przegarnia palcami włosy.

- Ej, to nieważne - zapewniam. - Tak tylko żartuję. Nie musisz mi nic mówić.

- Wolałbym pooglądać te ryby, jeśli mam być szczery - wyznaje.

Uśmiecham się.

- Taaa, chyba wiem, jak się czujesz.

- Strasznie dziwne są te ryby. Oglądałaś to?

- Nie.

- To chodź popatrzeć.

Kiedy przenoszę się na sofę, na której siedzi, przypominają mi się wszystkie sytuacje, kiedy byłam z mężczyzną i łańcuszek kłamstw doprowadził nas najpierw do tego samego domu, potem na tę samą sofę, w końcu do tego samego łóżka. „Jestem zmęczony”. „Zimno mi”. „Chodź tu, chcę ci coś pokazać”. Coś takiego zawsze kończy się bzykankiem. Teraz siedzę zaledwie parę cali od niego, lecz oczywiście w kuchni jest Heather. Obciążam rękawy swetra, by zakryć nadgarstki.

- Zobacz - mówi, wskazując coś.

Książka jest otwarta na całostronicowym zdjęciu przezroczystej ryby, która przypomina trochę zużytą prezerwatywę z czerwonymi zębami.

- Fuj! - mówię. Ale prawdę mówiąc, nawet mi się podoba. - Ma jakąś nazwę?

- Nie sądzę. A spójrz na tę.

Adam przewraca kartkę i pochyła album w moją stronę. Widzę jakieś rybiopodobne stworzenie, ale zamiast normalnego rybiego „oblicza” z wylupiastymi ślepiami i małym pyszczkiem to coś zdaje się mieć łebek kamiennej małpki, jakby ktoś zlepił jedno z drugim -

korpus ryby i łeb małpy - w ramach dowcipu albo nawet przypadkiem.

- Jak byś ją nazwał? - pytam.

- Czy ja wiem?... Rybomałpa?... Małporyba?...

Przewraca kartkę i ukazuje się następna fotografia. Ryba przypomina robaka z wystającym sromem. Chce mi się śmiać, lecz nie robię tego.

- Ryba storczykowa - informuje Adam.

Po czym słyszymy zaproszenie do jadalni na kolację.

- No proszę, powiedz mi, że nie popierasz uczenia dzieciaków kreacjonizmu - magluje Adama Heather jakieś pięć minut po tym, jak zasiedliśmy do stołu. - Inteligentnego projektu czy jak tam to teraz nazywacie.

Jemy makaron i warzywa z grilla, zgodnie z zapowiedzią, na stole jest też duża micha z sałatką. Do tego nieoczekiwanego zagajenia Heather paplała o tym, jak trudno znaleźć porządnego faceta na uniwerku. Makaron sprężynuje z niemal takim samym nieznośnym zapałem, z jakim ona gada, i trzeba uważać, inaczej białe świderki zsuwają się z widelca.

Warzywa - pomidorki koktajlowe, pieczarki, bakłażany i grillowana cebula - pokryte warstewką oliwy z oliwek i soku z cytryny, są lepkie, niemal jak oblane karmelem. Jest też pieczywo czosnkowe i opycham się do woli. Co więcej, aż do tego momentu jedzenie interesowało mnie bardziej niż rozmowa. Zwykle nie cierpię rozmów podczas proszonych kolacji, lecz nawet ja widzę, że ta może

się okazać interesująca.

- Niby dlaczego? - pyta Adam.

- W ramach nauki przedmiotów ścisłych - precyzuje Heather.

- Myślałam, że kreacjonizm i inteligentny projekt to co innego...? - odzywam się.

- Niezupełnie - odpowiada Heather. - Inteligentny projekt rości sobie prawa do miana teorii naukowej, ale nią nie jest; w końcu dotyczy rzeczy, których nigdy nie zbadamy.

- Ci od inteligentnego projektu twierdzą, że ewolucja jest zbyt skomplikowana, by mogła się zdarzyć sama z siebie, mam rację? - dopytuję się.

- Tak - odpowiada Heather i prycha. - Tylko dlatego, że sami nic nie rozumieją...

- Nie przedstawiamy religii jako nauki - odpowiada Adam. - Ale omawiamy elementy nauki na zajęciach z religii.

- Jakie na przykład? - pyta Heather.

- Uczymy mitów o stworzeniu świata - mówi Adam. - I uwzględniamy teorię Wielkiego Wybuchu.

- A co ma teoria Wielkiego Wybuchu do mitów? - oburza się Heather.

- To tylko opowieść - odpowiada Adam. - Podobnie jak historia o tym, że świat wykuł się z olbrzymiego jaja albo że Bóg powiedział: „Niech się stanie światłość” i nagle się stała. To wszystko tylko opowieści o genezie świata, żadne z nas przy tym nie było i nie miało okazji do zbierania faktów, więc musimy wyciągnąć wniosek, że cała sprawa jest niepoznawalna.

- Ależ my wciąż jesteśmy częścią Wielkiego Wybuchu - przekonuje Heather. - Więc wciąż go obserwujemy. Jesteśmy przy tym teraz, w tej chwili. Poza tym dzięki nauce nie musimy doświadczać czegoś, żeby o tym wiedzieć. Dinozaurów też nikt nie widział na oczy.

A tak na marginesie, częstujcie się winem i dokładajcie sobie, na co tylko macie ochotę.

- Nie chcę zaczynać kłótni ani nic w tym rodzaju - mówi Adam, uśmiechając się. - Ale nie mogę się zgodzić z teorią Wielkiego Wybuchu, tak jak nie zgadzam się z ludźmi, którzy twierdzą, że świat spoczywa na olbrzymich żółwiach.

- No przecież z teorią Wielkiego Wybuchu nie można się nie zgadzać! - oburza się Heather.

- Czemu nie?

- Cóż, to nie jest jakaś tam opinia, tylko uznana teoria poparta mnóstwem dowodów. Z

całą pewnością nie jest czymś, z czym można się zgadzać albo nie. Mógłbyś spróbować udowodnić,

że jest fałszywa, ale to już zupełnie inna para kaloszy.

- Czyli ty możesz mieć własne zdanie na temat, powiedzmy, kreacjonizmu albo tego, czy Bóg jest czy go nie ma, ja natomiast nie mogę mieć własnego zdania co do tego, czy wszechświat zaczął się jako niewyobrażalnie mały okruszek, który kompletnie bez powodu najzwyczajniej eksplodował?

- Okej, przyznaję, że początek jest trochę naciągany - mówi Heather.

- Z tym co było przed początkiem, też jest pewien problem - wtrącam.

- Tak, tak - zacha się Heather. - Ale można odłożyć wszystko na bok i przyjrzeć się dowodom Wielkiego Wybuchu. Jak już zdasz sobie sprawę z tego, że wszystko we wszechświecie się porusza, a każdy kawałek oddala się coraz bardziej od każdego innego kawałka, to dotrze do ciebie i to na przykład, że wczoraj wszystkie te kawałki znajdowały się trochę bliżej siebie, a przedwczoraj jeszcze trochę bliżej. Przewiń taśmę do początku i zrozumiesz, że logicznie wszystko musiało być w jednym kawałku. Więc... Adam, no chyba z tym się zgodzisz?

- A muszę?... Ha, mogę prosić o dokładkę warzyw?

- Tylko jeśli przyznasz mi rację - odpowiada ze śmiechem Heather.

- No cóż, skoro tak... - Adam unosi ręce, jakby chciał powstrzymać coś wielkiego przed zderzeniem ze sobą.

- No coś ty, żartuję. Proszę... - Popycha naczynie z warzywami w kierunku Adama. -

Ale w dalszym ciągu nie pojmuję, jak można się nie zgadzać z faktami naukowymi.

- „Fakt” to tylko słowo. A nauka jest zbiorem słów. Myślę, że prawda istnieje poza językiem w tym, co nazywamy „rzeczywistością”. Musi tak być... o ile w ogóle istnieje, rzecz jasna.

- Słucham? - Heather marszczy czoło.

- Aha! - mówię, kiwając głową i filuternie unosząc brew. - I tu cię chyba ma!

- Wszystko to jest tylko iluzją - mówi Adam. - Mity o stworzeniu świata, religia, nauka. Tłumaczymy sobie, jak działa czas, żebyś mogła na przykład wyobrazić sobie przewijanie taśmy wszechświata w tył i być pewna tego, co zobaczysz w tej części czasu, którą nazywamy dniem wczorajszym. Ale „wczoraj” istnieje tylko dlatego, że myśmy je wymyślili, nie jest realne. Nie możesz mi udowodnić nawet tego, że wczoraj rzeczywiście się zdarzyło. Wszystko, w co sami uczymy się wierzyć, jest tylko fikcją, opowieścią.

- Cóż - odpowiada Heather - z tym nie sposób dyskutować, więc od razu robię się podejrzliwa. Poza tym jeśli rzeczywistość jest tylko złudzeniem, to po co się w ogóle męczyć?

- Męczyć?

- Próbując wszystko zrozumieć. Dojść do prawdy.

- Można spróbować poszukać prawdy poza rzeczywistością - mówi Adam.

- A jak mianowicie?

Adam wzrusza ramionami.

- Przez medytację, jak sądzę. Ewentualnie bardzo się upijając.

Zamierzałam powiedzieć coś błyskotliwego na temat Derridy, lecz Heather zaczyna wyglądać na autentycznie zdenerwowaną, więc daję sobie spokój.

- Medytacja nie ma nic wspólnego z nauką - mówi.

- I o to właśnie chodzi - stwierdza Adam.

- Na litość boską - mówi Heather leciutko zadyszana. - Wszystkie te banialuki i przesady... Bez urazy, ale po prostu potrzebujemy słów i logiki, żeby zajmować się nauką.

Prowadzę taki kurs z metodologii dla dorosłych wracających na studia po przerwie i zawsze daję im przykład pajęczyn przed salą, w której mam zajęcia. Przed salą jest długi korytarz z pomarańczowymi kinkietami na ścianie. Kinkiety zawsze są włączone. Wieczorem widać pajęczyny rozciągnięte nad kłozami i wszystkie komarnice i najróżniejsze nocne owady, które się w nie łapią. Można by na to popatrzeć i pomyśleć: „Ależ te pająki są sprytne, bo wiedzą, że najlepiej jest budować pajęczyny tam, gdzie będą lecieć owady, bo przyciągnie je światło”. A można pójść o krok dalej i uzmysłowić sobie, że widać tylko pajęczyny przy lampach i właśnie dlatego założyło się, że innych nie ma. Poeta mógłby stać tam i dumać o przebiegłości pająków. Naukowiec policzy wszystkie pajęczyny, przeanalizuje ich rozkład i dojdzie do konkluzji, że część znalazła się nad lampami wyłącznie za sprawą przypadku.

- Ale to wszystko tylko potwierdza to, o czym mówiłem - oznajmia Adam. - Wcale nie wyciągałbym wniosku, że pająki zamierzały wykorzystać światło do chwytania owadów.

Założyłbym, że nigdy nie zrozumieć, co i dlaczego robią pająki, ponieważ nie jestem pająkiem.

- Przecież naukowcy muszą próbować zrozumieć różne rzeczy. Muszą zadawać pytanie: dlaczego.

- Owszem, ale nigdy nie dostaną należytej odpowiedzi - upiera się Adam.

- W każdym razie... - odzywam się głośniejsz, niż zamierzałam. - Ehem... W każdym razie chciałam tylko powiedzieć, że wszystko to o nauce i języku robi się naprawdę interesujące w zestawieniu z czymś, co czytałam o Wielkim Wybuchu. To trochę skomplikowane, ale udowadnia, że jeśli zacząć od kilku podstawowych założeń na temat Wielkiego Wybuchu, to logicznie dochodzi się do tezy, że albo żyjemy w multiwszechświecie, albo we wszechświecie stworzonym przez Boga. Naprawdę nie ma innej opcji.

- Chyba mi głowa pęknie - mruczy Heather.

- Po prostu napij się wina - mówi Adam i uśmiecha się do niej.

Schrupałam ostatnią kromkę pieczywa czosnkowego, a Heather i Adam już odłożyli sztucce. Sięgam po torebkę i wyciągam paczkę papierosów.

- Skoro jesteś takim fanem medytacji, to czy powinieneś pić wino? - pyta Heather.

- Och, robię to bardzo rzadko - zapewnia Adam.

Nie wiem, czy ma na myśli medytację czy picie, i chociaż jestem przekonana, że Heather go o to zapyta, ona wcale tego nie robi. Zamiast tego podnosi ze stoły zbłąkany liść sałaty i wrzuca go do miski.

- Mogę zapalić? - pytam ją. - Czy masz coś przeciwko temu?

- Nie, skąd. Ale otworzę tylne drzwi, jeśli pozwolisz.

Wstaje od stołu, żeby się tym zająć, a my z Adamem zaczynamy markować zamiar pozbierania naczyń ze stołu, dopóki Heather nie woła, żebyśmy przestali się wygłupiać i dali sobie spokój.

- Oj, przestańcie - mówi. - Lepiej opowiedz o tej opcji „multiwszechświat albo wszechświat stworzony przez Boga”.

- Okej - zgadzam się, zapalając papierosa. - Przepraszam, masz może jakąś popielniczkę? Mogę wyjść na dwór, jeśli chcesz...

- Nie, przyniosę ci spodeczek.

- Bóg albo multiwszechświat - odzywa się cicho Adam, kiedy Heather idzie po podstawkę. - Hm.

- Znaście podstawy fizyki kwantowej? - zaczynam. - Żadne tam hardkorowe jazdy, tylko podstawową wiedzę, jaką się wynosi z książek popularnonaukowych. No wiecie, funkcja falowa, prawdopodobieństwo i takie tam.

Adam potrząsa głową. Heather przekrzywia głowę, jakby usiłowała spowodować, że moje słowa spłyną ze wzgórza jej mózgu i zatrzymają się gdzieś, gdzie będzie mogła je przetrwać.

- Ja powinnam znać - mówi wreszcie. - I chyba kiedyś znałam. Ale kiedy się pracuje na poziomie molekularnym, zaczyna się takie sprawy ignorować. Jak wszystko, co nie daje namacalnych efektów.

- Obawiam się, że ja jestem kompletnym ciemniakiem - mówi Adam.

- Okej, dobrze, to w skrócie... Ale uprzedzam, że robię doktorat z nauk humanistycznych, więc jako źródło takiej wiedzy nie jestem szczególnie wiarygodna. Otóż fizyka kwantowa zajmuje się cząstkami subatomowymi. Innymi słowy, cząstkami, które są mniejsze niż atom.

Adam teraz marszczy czoło.

- Pewnie nazwiecie mnie czubkiem, ale mam przedziwne wrażenie, że już kiedyś widziałem taką cząstkę albo coś w tym rodzaju - mówi. - Może jestem pijany. Musiałem się kiedyś o tym uczyć, a potem zapomniałem. W każdym razie mój mózg błaga, żebym zapytał: co, na Boga, jest mniejsze od atomu?

- No cóż, każdy wie, że atom jest zbudowany z neutronów, protonów i elektronów -

wtrąca Heather.

- A wszystkie te części są zbudowane z kwarków - dodaję. - Oprócz elektronu, który jest niepodzielny, w każdym razie tak się uważa. Sto lat temu uważano, że niepodzielny jest atom, a jeszcze wcześniej nie wiadano nawet o jego istnieniu, więc trudno powiedzieć, że jesteśmy wszechwiedzący.

Przez te otwarte tylne drzwi robi się zimno; Heather wstaje, zdejmując sweterek zawieszony na oparciu krzesła i wkłada go.

- Myślę, że co do elektronu mamy sporą pewność - mówi. - Brr. Ale zimnica.

Adam i ja wymieniamy spojrzenia.

- W każdym razie - wracam do tematu - fizyka kwantowa zajmuje się tymi maciupęnkimi cząstkami materii. Jednak kiedy fizycy zaczęli postulować ich istnienie i obserwować je w akceleratorach cząstek i tak dalej, stwierdzili, że świat subatomowy nie zachowuje się tak, jak byśmy tego oczekiwali.

- Jak to?

- Wszystkie zdroworozsądkowe zasady: przeszłość przed przyszłością, przyczyna i skutek, fizyka newtonowska i poetyka arystotelesowa, nic z tego nie ma zastosowania na poziomie subatomowym. W deterministycznym wszechświecie, czyli we wszechświecie tego rodzaju, w jakim żyliśmy zdaniem Newtona, zawsze można przewidzieć, co się wydarzy potem, jeśli tylko ma się dostatecznie dużo informacji na temat tego, co wydarzyło się wcześniej. I zawsze wie się różne rzeczy za późno. Na przykład albo jest dzień, albo noc, nigdy i to, i to naraz. Na poziomie kwantowym rzeczy nie zachowują się tak samo.

- Teraz to ja już wymiękam - oznajmia Heather.

- Jasne, bo to dziwne - mówię. - Znaczy się... Są cząstki, które mogą ot tak, przenikać ściany. Istnieją pary cząstek, które wydają się zespolone i pozostają w pewien sposób połączone nawet wtedy, kiedy oddzielają je miliony mil. Einstein nazwał to „zjawiskiem z dreszczykiem” i odrzucał całkowicie, bo zdawało się sugerować, że informacje mogą wędrować szybciej niż światło.

- A nic nie może wędrować szybciej niż światło - wtrąca Heather. - W tej materii całkowicie Einsteina popieram.

- Tak czy inaczej, jedną z najdziwniejszych rzeczy dotyczących cząstek subatomowych jest to, co się dzieje, kiedy się je obserwuje. Dopóki są obserwowane, istnieją w stanie rozmycia na wszystkich możliwych pozycjach w atomie: w superpozycji albo w funkcji falowej.

Adam potrząsa głową.

- Obawiam się, że tu odpadam - mówi.

- Nie przejmuj się - uspokajam go. - Wyobraź sobie, że jesteś na spacerze, a ja nie wiem, gdzie dokładnie jesteś. Możesz być na uniwerku, w parku, w sklepie, na statku kosmicznym, na Plutonie, wszystko jedno. To wszystko jakieś możliwości, chociaż niektóre bardziej prawdopodobne niż inne.

- Kapuję - mówi Adam.

- Według konwencjonalnej logiki definitywnie jesteś w jednym miejscu, tym albo innym, bez względu na to, czy tam cię widzę czy nie albo czy mam absolutną pewność, że tam jesteś. Gdzieś jesteś, tyle że ja po prostu nie wiem gdzie.

Adam kiwa głową i przez sekundę wyobrażam sobie życie tak normalne, że mogłabym być z kimś takim jak on, może dzielić z nim dom podobny do tego domu i doświadczać takich przyziemnych, lecz zadziwiających przecież wątpliwości: on jest teraz w sklepie czy w pracy?

- Oczywiście - ciągnę - czekacie teraz na rolę cząstek w tym przykładzie... Otóż fizyka kwantowa głosi, że kiedy twoje położenie jest nieznane... a z tego co mi wiadomo, możesz być w sklepie albo w parku... w rzeczywistości istniejesz w obu tych miejscach naraz, dopóki ktoś nie dowie się tego na pewno, obserwując cię. Więc zamiast jednej klarownej

„rzeczywistości” jest rozmycie. Jesteś w sklepie, w parku i na uniwersytecie i dopiero kiedy idę cię szukać i widzę, że jesteś w parku, wszystkie pozostałe możliwości rozplývają się, a rzeczywistość staje się ustalona.

- Czyli obserwacja ma wpływ na rzeczywistość? - pyta Adam.

- Tak, w każdym razie można tak na to patrzeć. Koncepcja, że wszystkie prawdopodobieństwa istnieją jako funkcja falowa, dopóki zewnętrzny obserwator nie spojrzy na nią, doprowadzając do załamania funkcji falowej, nosi nazwę interpretacji kopenhaskiej.

- Są inne?

- Tak. Jest wieloświatowa interpretacja fizyki kwantowej. W skrócie: interpretacja kopenhaska przewiduje, że wszystkie prawdopodobieństwa załamują się w jedną rzeczywistość, kiedy są obserwowane, natomiast interpretacja wieloświatowa sugeruje, że wszystkie możliwości istnieją równocześnie, ale każdej z nich przyporządkowany jest własny wszechświat. Czyli istnieje dosłownie wiele światów, każdy odrobinę różniący się od pozostałych. W jednym z nich jesteś w parku, w drugim w pracy, a w jeszcze innym na Księżycu, w zoo czy gdziekolwiek indziej.

- Istnieją tylko te dwie teorie, tak? - odzywa się Heather. - Znaczy się, większość wierzy w którąś z tych dwóch koncepcji?

- Tak sędzę - przyznaję. - Ale myślę, że większość ludzi preferuje interpretację kopenhaską.

- A jak to się ma do Wielkiego Wybuchu?

- Otóż spróbujcie sobie wyobrazić cząstkę pierwotną, tę, która czternaście miliardów lat temu zrobiła nagle „bum!”... Ta cząstka powinna być taka sama jak każda inna. Powinna mieć własną funkcję falową: serię prawdopodobieństw co do tego, gdzie była i co robiła. A to co wiemy o fizyce kwantowej, sugeruje, że gdyby nie pojawił się zewnętrzny obserwator i nie zaobserwował rzeczywistego stanu tej cząstki, jej funkcja falowa by się nie załamała. Innymi słowy, cząstka by istniała w stanie wszystkich rozmaitych prawdopodobieństw równocześnie.

Byłaby zarazem szybka i wolna, poruszała się w lewo i prawo, tu i tam, i wszędzie naraz.

Obserwatorem zewnętrznym w przypadku wszechświata musi być Bóg. Może więc Bóg doprowadził do załamania funkcji falowej, która stała się wszechświatem. Inaczej mówiąc, spośród wszystkich prawdopodobieństw Bóg załamał pierwotną cząstkę w jeden wszechświat, w którym teraz żyjemy. Tak wygląda interpretacja kopenhaska w odniesieniu do cząstki pierwotnej. Jeśli odrzucić tę koncepcję, zostaje interpretacja wieloświatowa, w myśl której nie ma zewnętrznego obserwatora ani załamania funkcji. Wszystkie prawdopodobieństwa istnieją „gdzieś tam”, każdy możliwy wszechświat, jaki tylko możecie wymyślić, istnieje równolegle z tym: niektóre są gorące, inne zimne, niektóre zaludnione, inne bezludne, część tworzy własne „wszechświaty niemowlęce”, część ich nie tworzy...

Heather jęczy teatralnie.

- Wiedziałam, że był jakiś powód, żeby to wszystko zapamiętać.

- A jeśli odrzucić fizykę kwantową? - pyta Adam.

- Myślę, że wtedy twój odtwarzacz kompaktów i karty kredytowe przestają działać.

- Nie mam odtwarzacza ani karty kredytowej.

Uśmiecham się szeroko.

- Możesz nie mieć, ale wiesz, o co mi chodzi. Prawdziwa technika opiera się na fizyce kwantowej. Inżynierowie muszą się jej uczyć. Czyli, to wariactwo, ale się sprawdza w realnym świecie.

- Bóg albo multiwszechświat... - mruczy Heather. - Co byście wybrali?

- Mnie się nie podoba ani jedno, ani drugie - odpowiadam. - Ale prawdopodobnie wybrałabym Boga, cokolwiek to naprawdę znaczy. Nazwijmy to interpretacją Thomasa Hardy'ego: wolę, żeby gdzieś tam istniało coś, co ma jakiś sens, niż czuć się, jakbym istniała w bezkresnym oceanie czystego bezsensu.

- A ty, Adam?

- Boga - mówi. - Chociaż sądziłem, że już dałem sobie z tym spokój. - Uśmiecha się, nie pokazując zębów, jakby zmuszenie ust do większego wysiłku mogło zdeformować mu twarz. - Nie, to rzeczywiście ma sens: koncepcja zewnętrznej świadomości. Zresztą i tak bym ją wolał, gdybym miał wybór.

- Ha, czyli sama zostałam w multiwszechświecie - mówi Heather.

- W multiwszechświecie nikt nigdy nie jest sam - zauważam.

- Akurat!... - ironizuje Heather. - Ale poważnie mówiąc: nigdy nie uwierzę, że Bóg stworzył życie. Nie po badaniach, które prowadzę. To znaczy, po prostu nie ma na to dowodów. Poza tym dostaję tyle listów z pogrózkami od kreacjonistów, że nie potrafię w żaden sposób stanąć z nimi w jednym szeregu.

- Nie sądzę, żeby to oznaczało stawanie w jednym szeregu z kreacjonistami -

sprzeciwiam się. - Przecież jakiś byt zewnętrzny mógł zainicjować powstanie wszechświata, a cała reszta po prostu przebiegała tak, jak sądzą naukowcy.

Ale mówiąc to, dodaję w myślach: „I znowu kłania się Newtonowska przyczyna i skutek” i zdaję sobie sprawę, że kłóci się to z koncepcją kwantowego wszechświata. I nagle nie wiem, co powiedzieć.

- A dokładniej co to za badania? - pyta Adam, zwracając się do Heather.

- Poszukiwanie LUCA. W każdym razie takie nagłówki pojawiają się w prasie, kiedy naukowcy piszą na ten temat. LUCA to akronim od Last Universal Common Ancestor, ostatniego uniwersalnego wspólnego przodka. Innymi słowy, poszukuję matki nas wszystkich.

- Ma niesamowity model komputerowy - odzywam się do Adama. - Musisz go obejrzeć, jak następnym razem będziesz w gabinecie. Nie rozumiałam go, kiedy na niego patrzyłam, ale mimo to aż dostałam dreszczy.

- Uniwersalna matka - powtarza Adam. - Interesujące.

- Nie mów, że myślisz o czymś w rodzaju Edenu i... - zaczyna Heather.

- Nie, nie. Wielka pramatką. Początek wszystkiego. Tao nazywa się Wielką Matką: pusta, lecz zarazem niewyczerpana, rodzi nieskończone światy. To z *Tao Te Ching*.

- Och!... - wzdycha Heather. - To równie dobre jak Eden. Komu puddingu?

ROZDZIAŁ 12

Po puddingu - zapiekane brzoskwinie z miodem, orzechami nerkowca i brandy - i długiej rozmowie na temat LUCA oraz jakiegoś innego stwora o nazwie FLO (First Living Organism, czyli pierwszego organizmu żywego), Adam i ja dziękujemy Heather i wychodzimy razem, usiłując się nie ślizgać na oszronionym chodniku.

Kiedy się oddalamy poza zasięg słuchu Heather, Adam zaczyna się śmiać.

- Co? - pytam.

- Nie chciałem nic mówić, ale nie jestem pewny, czy mnie obchodzi, z jakiego rodzaju bakterii wyewoluowaliśmy.

- Faktycznie biolodzy mają skłonność do wyszukiwania najbardziej dołującego wytłumaczenia różnych rzeczy - mówię. - Mnie też nie przekonała reakcja Heather na moją teorię świadomości maszyn.

- Nie. Sądzę, że status quo jej po prostu odpowiada.

- Też mi się tak wydaje. Ale nie widzę błędu w samym rozumowaniu. Na pewnym etapie zwierzęta wyewoluowały z roślin i powstało świadome życie. Czym jest świadomość?

Jest oczywiście zbudowana z takich samych kwarków i elektronów jak wszystko inne, może po prostu inaczej ułożonych. Ale to oczywiste, że świadomość może ewoluować. Samuel Butler sformułował taką tezę już w dziewiętnastym wieku. Skoro ludzka świadomość mogła wyewoluować z niczego, to czemu coś takiego nie mogłoby się przydarzyć maszynom?

Istnieją naturalnie zastrzeżenia do tej koncepcji i Heather rzeczywiście niektóre z nich wymieniła. Na przykład: a jeśli świadomość może występować tylko u organicznych form życia? Co jednak jest

organiczną formą życia? Maszyny są zdolne do autoreplikacji. Są zrobione z węgla. Potrzebują paliwa, zupełnie jak my.

- Chyba że świadomość nie jest z materii - zauważa Adam.

- Taaa, cóż, to też możliwe - przyznaję. - Choć niekiedy się zastanawiam: gdyby komputer przeczytał wszystkie książki na całym świecie, czy zaczęłyby z czasem rozumieć język?

- Hm... - mruczy Adam. I po długiej pauzie rzuca: - Ale zimno.

- Aha. Normalnie zamarzam.

Jest bardzo cicho, kiedy zmierzamy do centrum miasta. Północ już minęła i kiedy zbliżamy się do katedry, słyszę tylko dalekie brzęczenie silników samochodów dostawczych przed sklepami; trzeszczenie śniegu pod stopami mężczyzn rozładowujących bluzy, kanapki, porcjowane sałatki, kawę ziarnistą i gazety, żeby jutro mogły się pojawić w sklepach jak za sprawą czarów.

- Czy my się znamy? - pyta nieoczekiwanie Adam.

Milczę chwilę, po czym odpowiadam pytaniem:

- W jakim sensie?

- Chodzi mi o to, że kiedy zobaczyłem cię w gabinecie, pomyślałem, że cię znam.

Biorę głęboki oddech: zimne powietrze napęłnia mi płuca.

- Ja pomyślałam to samo.

- Ale ja cię wcześniej nie znałem. Jestem pewny.

- Cóż... - Wzruszam ramionami. - Może spotkaliśmy się kiedyś i zapomnieliśmy o tym.

- Ja bym nie zapomniał. Nie zapomniałbym, że cię poznałem.

- Adam... - zaczynam.

- Nic nie mów - prosi. - Tylko patrz.

Mijamy właśnie bramy katedralne. Jeśli się zatrzymać i popatrzeć w kierunku wskazywanym przez Adama, widać spoglądającego z góry Jezusa wyrzeźbionego w kamieniu.

- Jest niesamowity - stwierdzam bez namysłu. - Nawet jeśli nie wierzy się w całą resztę, Jezus jest niezwykłą postacią. - Potem śmieję się cicho. - Ależ to zabrzmiało głupio i banalnie. Przepraszam. Jestem pewna, że nikt nie próbowałby z tym dyskutować.

- Zdziwiłabyś się.

- Och!... - mówię, nagle przypomniał mi się, że wcześniej stałam dokładnie w tym samym miejscu, lecz patrzyłam raczej na bramę niż na Jezusa. - Wiesz coś o wodzie święconej?

- Dziwne pytanie.

- Wiem.

Skręcamy w brukowaną uliczkę, idąc w kierunku mojego mieszkania. Dociera do mnie, że może się okazać, że idziemy do mnie i wylądujemy w łóżku; może bym i tak mogła.

Jednak zamiast zwykłego podniecenia czuję coś innego: pojawia się to samo uczucie, które mnie ogarnęło, kiedy patrzyłam na monitor mojego komputera i zauważyłam, jaki jest brudny. Ja też jestem zbrukana i bardzo się staram zrobić coś, co pomoże mi od tego uciec.

Mimo to wciąż idziemy w stronę mojego mieszkania.

- A co chcesz wiedzieć?

- Hm, różne rzeczy, ale głównie skąd ją wytrzasnąć.

- Wytrzasnąć? - W ciemnościach nie widzę wyrazu jego twarzy, lecz w głosie słyszę niemiłe zaskoczenie. - Jesteś katoliczką?

- Nie. Jestem zupełnie niewierząca. Za to moja matka wierzy w kosmitów.

- Ach...

- Ano. Czemu pytasz?

- Tylko katolicy mają wodę święconą. Znajdziesz ją w każdym katolickim kościele.

- W katedrze nie?

- Nie. Raczej nie.

- Byłam pewna, że widziałam w katedrze kropielnice.

- Bo są, ale puste. Kościół anglikański dał sobie spokój z wodą święconą wiele wieków temu.

- Ach tak... Czyli gdybym chciała zdobyć trochę wody święconej z katolickiego kościoła, musiałabym tam pójść za dnia?

- Niekoniecznie. Można... - Robi pauzę. - A chcesz teraz?

- Może... Tak... Może... Nie wiem.

- Mogę spytać po co ci ona?

- Prawdopodobnie byłoby lepiej, gdybyś nie pytał. To... cóż... najpewniej byś tego nie pochwał. Słyszałeś o fizyku George'u Gamowie?

- Nie. To może jak będziesz o nim opowiadała, pójdziemy w przeciwną stronę?

Pokażę ci, gdzie znajdziesz wodę święconą.

- Naprawdę?

- Tak. Mam klucz do Świętego Tomasza. Tędy.

Idę za nim przez parking samochodowy i wąskim przejściem na Burgate. Dom Burlema jest po drugiej stronie obwodnicy, za kościołem Świętego Augustyna, przy zasypanej liśćmi osiedlowej drodze. Jestem ciekawa, jak teraz wygląda. Wyobrażam sobie dom zabity deskami i dopiero wtedy dociera do mnie, że jestem niepoważna: w dzisiejszych czasach ludzie nie zabijają opuszczonych domów deskami. Może Burlem go sprzedał. A może jest w domu. W zeszłym roku raz byłam pod jego drzwiami i pukałam, ale nikt nie otworzył. Skręcamy z Adamem w lewo i mijamy sklepik z komiksami: całe okno wystawowe w superbohaterach i nikczemnikach, w białych i czarnych charakterach. Idziemy dalej, a ja wybijam sobie Burlema z głowy i opowiadam Adamowi o George'u Gamowie i o tym, jak w dzieciństwie zachował kiedyś opłatek z komunii, zamiast go połknąć, i obejrzał go pod mikroskopem, bo był ciekawy, czy między nim a zwykłymi opłatkami istnieją jakieś różnice.

Tłumaczę Adamowi, że potrzebuję wody święconej do czegoś podobnego: z grubsza do eksperymentu zupełnie nielicującego z duchem katolicyzmu. A potem jesteśmy już przed kościołem.

- Zrozumiem, jeśli nie będziesz chciał mnie wpuścić do środka - mówię.

- Nie. Podoba mi się to, co mówiłaś o tym eksperymencie. Poza tym to dla mnie bez znaczenia.

W przedsionku kościoła jest ciemno, w powietrzu unosi się zapach kadzidła i zimnego kamienia. Nie od razu wchodzimy do środka: okazuje się, że woda święcona jest w małej kropielnicy tuż za wejściem. Zauważam, że Adam żegna się przed obrazem Marii Panny.

Wyjmuję fiolkę.

- Jestem pewna, że nie powinieneś mi na to pozwalać - stwierdzam.

- To tylko woda. Nie ma żadnych zasad, które by nie pozwalały zabrać jej ze sobą. I jak już mówiłem, to wszystko przestało mieć dla mnie znaczenie.

Mimo to nie patrzy, kiedy zanurzam fiolkę w kropielnicy. Odchodzi ode mnie i zaczyna przeglądać broszurki i kartkować *Catholic Herald*. Na ścianie wisi plakat ze słowami: „Kaplica Świętego Judy”. Adam unosi rękę i przelotnie dotyka go palcami. Nie sędzę, by zdawał sobie sprawę, że go obserwuję. Odwracam wzrok.

- Mogę spytać, skąd masz klucze do kościoła? - odzywam się, kiedy wychodzimy.

- Hm... jestem księdzem - mówi. - W każdym razie byłem. Możemy pójść do ciebie?

Widziana cudzymi oczami kuchnia w moim mieszkanku musi wydawać się ciemną, zapuszczoną, przytłaczającą przestrzenią cuchnącą czosnkiem i papierosami. Mam również przekłętą książkę na półce nad kominkiem: wąski wyblakły wolumin, którego nikt inny nawet by nie zauważył.

- Przepraszam - mówię do Adama, kiedy wchodzimy do środka.

Jednak wcale nie jestem pewna, czego właściwie mają dotyczyć moje przeprosiny.

Grubej warstwy szarego kurzu na framudze drzwi? Naderwanej poręczy sofy? Śladów spalenizny na starym kuchennym blacie? Odłóżającego zielonego linoleum? Kiedy jestem tu sama, nawet takich rzeczy nie zauważam. Chętnie bym otworzyła okno, lecz jest zbyt zimno.

Chętnie bym włączyła wszystkie fajerki, tak jak zwykle robię po powrocie, ale się powstrzymuję.

- Przepraszam, że tak tu zimno - mówię.

- U mnie jest lodowato - odpowiada Adam. - Mieszkam w kampusie.

- Tak? Gdzie?

- Mam pokój w Shelley College. Jest malutki i ciągle w nim zajeżdża zapiekany makaronem z serem. Uwierz mi, ty masz luksusy.

- Napijesz się kawy? - pytam.

- Wolałbym wodę, jeśli można.

Biorę szklankę dla Adama i napełniam ją kranówką, a dla siebie nastawiam kawę. Na dworze przejeżdża pociąg i cienkie przesuwane okna grzechoczą cicho. W rogu pomieszczenia widzę leciutkie poruszenie - trwa ułamek sekundy, a potem znika niczym cząstka fantomowa. Mysz.

- Podoba mi się tutaj - mówi Adam, sadowiąc się na sofie.

Już z zaparzoną kawą siadam na starej sofie tuż przy gościu. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek siedziała na tej sofie w towarzystwie innej istoty ludzkiej. Czuję się trochę tak, jakbyśmy siedzieli w pociągu plecami w kierunku jazdy, bardzo uważając, by nie dotknąć się kolanami.

- Co to jest ta kaplica Świętego Judy?

- A, to? Zauważyłaś.

- Widziałam plakat w kościele. No i wcześniej słyszałam tę nazwę: święty Juda. Od czego to patron?

- Od spraw przegranych i beznadziejnych. Świątynia jest w Faversham. Jeżdżę tam zawsze, kiedy...

- Kiedy co?

- Kiedy coś idzie nie tak. Nie zadajesz mi oczywistego pytania.

- Jakiego?

- O to, że byłem księdzem.

- Nie jestem najlepsza w zadawaniu takich pytań.

Zapada cisza. Powinnam jeszcze coś powiedzieć; wiem, że teraz kolej na moją kwestię. Poza tym naprawdę chcę wiedzieć. W normalnej sytuacji chciałabym wiedzieć wszystko o byciu księdzem i o tym, jak można najpierw być księdzem, a potem już nie. Chcę spytać na przykład, czemu wciąż robi w kościele znak krzyża. Ale teraz mam wodę święconą i *Carbo-veg* i czuję się, jakby wróciły tamte czasy, kiedy trzymałam w pudełku brzytwę i chciałam, by wszyscy już sobie poszli, żebym w samotności mogła robić, co chcę.

- Pozwolisz, że zapalę? - zwracam się do Adama.

Wzrusza ramionami.

- To twoje mieszkanie.

- No wiem, ale...

- Serio. Nie krępuj się mną.

Popija kranówkę, podczas gdy ja przypalam papierosa. Zauważam lekkie drżenie jego lewej dłoni trzymającej szklankę i odwracam wzrok, wodzę nim po porysowanym kuchennym blacie i przypominam sobie tamten raz, kiedy przypaliłam ryż; i kiedy się oparzyłam wrzątkiem; i kiedy skaleczyłam się w palec.

- Jak to było? - pytam, zmuszając myśli, by się zatrzymały. - Albo inaczej: jak to jest?

- Co?

- Być aż tak religijnym. Dostatecznie religijnym, żeby zostać księdzem, o to mi chodzi.

Odstawia szklankę i pochyla się do przodu, opierając twarz na prawej ręce z łokciem na kolanie. Palcem wskazującym wodzi po czole i policzku, jakby był ślepy i chciał się dowiedzieć, jak wygląda jego własna twarz.

- Dużo o tym myślałem - mówi wreszcie. - Próbowałem jakoś wyrazić słowami, ale nie miałem nikogo, komu mógłbym powiedzieć i... Ale poznałem ciebie i myślę, że może ty zrozumiesz. Nie, ja to po prostu wiem.

- Czemu tak uważasz?

Teraz zakrywa twarz obiema rękami i opuszcza głowę.

- Nie wiem.

- Adam?

- Przepraszam. Sam nie wiem, czy chcę rozmawiać o tym, o czym ty chcesz. To nawet nie było tak, że przestałem być księdzem, bo nie byłem dostatecznie religijny... U Heather zachowałem się jak głupek. Nie straciłem wiary, bo nagle zachciało mi się seksu z małymi chłopczykami, starszymi panami czy młodymi kobietami ani nic w tym rodzaju. Studiowałem *Tao Te Ching*, całe lata temu, i postanowiłem podążać Drogą, równocześnie będąc księdzem.

To nic niezwykłego, mnóstwo ludzi tak robi. Ale to podkopało moją wiarę. Chciałem nie pragnąć niczego i rzecz jasna, właśnie tego pragnąłem. Myślałem, że zwariuję. A potem nie mogłem przestać myśleć o paradoksach. O niepokalanym poczęciu i o tajemnicach wiary, i o całej reszcie. Paradoksy mnie nie irytowały, a przecież są fundamentem Kościoła, ale zapragnąłem poznawać ich coraz więcej. Chciałem się przekonać, jak by wyglądał czysty paradoks. W końcu zdałem sobie sprawę, że potrzebuję ciszy, więc na dwa lata dołączyłem do zakonu milczącego i nie myślałem o niczym. A potem przestałem. Nie umiem tego lepiej wytłumaczyć... I masz rację. Czemu ja ci to w ogóle opowiadam? Gdzie cię wcześniej widziałem? Cholera. Powinienem iść.

- Adam...

Wstaje.

- Przepraszam, że się tu wepchałem. To nie jest właściwe miejsce dla mnie.

Ma rację. Pieprzę się ze starszymi facetami i dostaję kręcka na punkcie klątw i trudnych do zdobycia książek. On powinien pogadać z kimś znacznie rozsądniejszym. Patrzę na jego stare ubranie i potargane włosy i wyobrażam sobie jego śniade, ciemne przedramiona.

Ciekawe, czy kiedykolwiek spał z kobietą?

Robię głęboki wdech. Czemu zawsze się okazuję nieodpowiednią osobą?

I nagle, choć wydawałoby się, że żadne z nas nawet nie drgnęło, przywieramy do siebie, całując się tak, jakby właśnie wybiła północ na przyjęciu z okazji końca świata. Czuję, jak kutas mu twardnieje, i przyciskam się do niego. Czuję się jakoś inaczej. Jest między nami coś realnego, coś, o czym - jak myślałam - już całkiem zdążyłam zapomnieć.

- Przepraszam - mówi jakieś dwadzieścia sekund później, odsuwając się gwałtownie. -

Nie mogę tak.

- Nie wiem, jak to się stało... - Zachowuję się tak, jakbym przyznawała mu rację, że to zły pomysł. Nie mogę złowić jego spojrzenia. Obracam się w kierunku kuchenki, jakbym miała coś ważnego do ugotowania. Czy można upiec ciasto rozczarowaniowe?

Odrzuceniowe? Ciasto z okazji nieszczęśliwych urodzin?

- Przepraszam - powtarza gdzieś za mną Adam. - Jestem... Nie powinienem pić. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

Zanim zdążę wydukać przeprosiny, już go nie ma. Jestem pieprzoną idiotką. A może nie? Kiedy atrakcyjny młody facet ofiarowuje mi coś, zwykle jeszcze szybciej się z tego wycofuje, więc prawdopodobnie dobrze się stało, że do niczego nie doszło. Zresztą czego taki mężczyzna jak Adam mógłby ode mnie chcieć? Jeśli jest się takim facetem jak Adam, można mieć każdą. Gdyby wziął prysznic i włożył garnitur albo coś w tym guście, żadna nie dałaby mu kosza, w każdym razie ja sobie tego nie wyobrażam. Z kimś takim jak Adam nie liczyłby się mój iPod, gładka szyja czy cycki, które (jeszcze) nie obwisły. Nie mam cellulitu, toteż faceci po pięćdziesiątce czują się szczęściarzami, że mogą ze mną sypiać. A co mam takiego, czego mógłby chcieć Adam? Jeśli chodzi o seksualną ekonomię, to mam miliony na offshore'owym koncie o nazwie „Starsi Faceci”, ale podejrzewam, że innego rachunku nikt nie chciałby mi założyć.

Miałam kiedyś czarny marker, lecz nie wiem, gdzie się zapodział. Był to czarny falliczny, wydający chemiczną woń przedmiot, którego użyłam, by wypisać numer swojego mieszkania na jednym z kontenerów na śmieci na podwórku za knajpą u Luigiego. Ale to było...

moment... jakieś półtora roku temu? Nie ma go w kuchennej szufladzie ani w kubku z długopisami na półce. Cholera. Ostatecznie musi mi wystarczyć czarny cienkopis. Białą tekturkę akurat miałam pod ręką. Była w opakowaniu tanich kabaretek, które kupiłam na rynku zeszłej wiosny i od tamtej pory leżały sobie na komodzie. Rysuję na tekturce czarne kółko: pięć minut zajmuje mi samo zamalowanie jego środka.

Na ramieniu też mam czarny ślad: w miejscu, w które eksperymentalnie wbiłam czubek cienkopisu, ot tak, żeby zobaczyć, jak będę się wtedy czuła; żeby się przekonać, czy będzie tak jak kiedyś.

Woda święcona wygląda w fiolce na mętnawą. Wyjmuję brakującą kartkę z *Końca pana Yi* i kładę ją na kuchennym blacie, żeby jeszcze raz przeczytać instrukcje. Okej, czyli muszę zmieszać *Carbo-veg* z wodą święconą i wytrząsnąć miksturę kilka razy. To chyba to samo co wstrząsanie? Mętnie pamiętam z książek o homeopatii, że tak. Kiedy wspinam się na palce, by wyjąć *Carbo-veg* z puszki po cukrze, samotna kartka z książki Lumasa sfruwa na podłogę. Podnoszę ją i zauważam, że jej krawędź jest teraz lekko wilgotna. Przypominam sobie, że w kuchennej szufladzie widziałam przezroczystą taśmę klejącą, więc wydaję ją i przez kilka minut starannie naprawiam książkę, idealnie dopasowując postrzępioną krawędź

kartki do postrzępionego paseczka papieru, który pozostał między stronami sto trzydziestą i sto trzydziestą trzecią. Widać miejsce sklejenia, rzecz jasna, lecz teraz kartka na nowo stała się częścią książki.

Pamiętam, że leków homeopatycznych nie powinno się dotykać, więc manewrując buteleczką, wysypuję jedną tabletkę na metalową łyżkę; towarzyszy temu cichutki brzęczący dźwięk. Następnie odkorkowuję fiolkę i wrzucam do niej tabletkę, która przez sekundę kołysze się na powierzchni, a potem tonie. Woda mętnieje w miarę, jak tabletkę zaczyna się rozpuszczać. Moje serce zmienia się w

małą gumową piłeczkę objającą się o zebra. Nie wiem, skąd to zdenerwowanie: przecież tylko dodaję odrobinę cukru do niewielkiej ilości wody. Mimo to stoję przez kilka minut, wstrząsając miksturą, po czym przypomniawszy sobie coś, co wcześniej czytałam, parokrotnie postukuję fiolką o blat, na którym najpierw układałam złożoną ścierkę kuchenną. Sprawdzam i widzę, że tabletkę całkowicie rozpuściła się w wodzie. Teraz muszę to wypić.

Czy wypiję? Czy woda święcona jest sterylna albo chociaż higieniczna? Ile osób moczyło w niej paluchy? Prawdopodobnie nie tak znowu wiele. Śmiało, Ariel. Tylko...

Ksiądz dolewa jej wieczorem czy rano? Dość tych głupot. Wyjmuję korek i zmuszam się do wypicia dużego łyka. Po sprawie. Teraz już nie muszę o tym myśleć. Biorę tekturkę i kładę się na sofie, pijana, zmęczona i od dobrej chwili z lekkimi nudnościami.

Czarna kropka, czarna kropka... Rozmazana. A potem już śpię.

Śnią mi się myszy. Śni mi się mysi świat, większy od ludzkiego, i cichy głos powtarzający mi: „Masz jedną opcję” albo coś bardzo podobnego, przez całą noc.

Budzę się dobrze po dziesiątej, trzęsąc się w dżinsach i sweterku na sofie, a ostre zimowe światło bombarduje mnie przez kuchenne okno. Musiałam upuścić tekturkę, kiedy przysnęłam, bo teraz leży na moim brzuchu. Za dnia wygląda żałośnie: gryzmoł na kawałku taniego wiotkiego kartonu w odcieniu zbliżonym do bieli. Naprawdę powinnam lepiej się spisać, ale byłam nieźle wstawiona. A więc to nie działa. Albo nie zadziałało, bo ja coś spałam. Tylko jak długo trzeba próbować, by zdać sobie sprawę, że zostało się nabitym w butelkę przez fikcję (po raz kolejny) i że tylko znajome uczucie rozczarowania jest realne?

„Masz jedną opcję”. Mogę dać sobie spokój z tą obsesją na punkcie klątwy. Mogę nie pić eliksirów opisywanych w rzadko spotykanych książkach. Przypuszczalnie mogłabym nawet spróbować opchnąć tę książkę, mimo że jest uszkodzona. Jednak kiedy o tym myślę, wiem, że żadna siła mnie do tego nie zmusi. Zachowam więc powieść, ale wrócę do normalności.

Napiszę coś o klątwach do czasopisma. Zajmę się doktoratem. Napiszę na podstawie Lumasa rozdział o zacieraniu się granic między fikcją a rzeczywistością i o eksperymencie myślowym, który staje się eksperymentem fizycznym. O sztuczce, która sprawia, że zyskuje się nowe spojrzenie na świat...

Z tym że wcale nie mam ochoty oglądać świata w nowym świetle. Czuję się jak po nieprzespanej nocy. I boli mnie brzuch, jak przy okresie, tyle że trochę wyżej. Ta woda musiała być czymś skażona. Może powinnam coś zjeść. Może to pomoże.

W lodówce wciąż mam trochę mleka sojowego, więc wstawiam równocześnie i owsiankę, i kawę. Kiedy idę do sypialni po inny sweter, zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem przemarznięta i zmęczona. Chyba jeszcze wezmę szalik. Wciągam przez głowę gruby czarny sweter i owijam szyję długim czarnym wełnianym szalikiem, po czym wyglądam przez okno.

Po wewnętrznej stronie ramy okiennej wiszą malusieńkie sople lodu: szczegół z tych, które każdy

ślubuje sobie zapamiętać, by w przyszłości, kiedy już będzie miał uporządkowane życie, zabawić innych anegdotką o tym, jaką biedę klepał pewnej zimy i jak żałośnie wyglądało jego mieszkanie. Jednak każdego dnia z coraz mniejszą ufnością myślę o przyszłości. Sama nie wiem, czy tego chcę. „Ha, ha, kiedy byłam biedna... Ha, ha, widzieliście tę sztukę? Ha, ha, wiem, że jest naprawdę kiepska, ale zastanawiam się ostatnimi czasy, czy nie warto by zagłosować na konserwatystów”. Chcę zrobić nagły zwrot, by uniknąć takiego życia za wszelką cenę. Może po prostu już zawsze będę tak mieszkała. Więc nie jestem aż tak zainteresowana znaczeniem lodowych sopli. „Tu są sople”. Uśmiecham się przelotnie, chociaż nikt na mnie nie patrzy, i jeszcze raz owijam szalikiem szyję.

Wracam długim korytarzem i wchodzę do kuchni przez drewniane drzwi od lat pokrywane coraz to nowymi warstwami emalii. Potem ogarnia mnie przedziwne wrażenie, że albo drzwi są o wiele za małe, albo ja za duża. Bardzo to przypomina uczucie *déjà vu*, jakbym miała za moment się skurczyć i popatrzeć na drzwi, które będą ode mnie sto razy wyższe zamiast mniej więcej o stopę. Jednak nic się nie dzieje, choć w dalszym ciągu tkwi w moim umyśle ta równoległa myśl: może to coś, co spotyka inną mnie gdzieś w multiwszechświecie.

To uczucie przypomina mi sytuację, kiedy ktoś mnie poczęstował „herbatką” z grzybków, nie informując o tym, i spędziłam cały wieczór, obserwując, jak różowo-kremowa podmiejska bawialnia rozrasta się i kurczy wokół mnie. Pamiętam, że w rogu stał telewizor i jak to w sobotę wieczorem, akurat leciał jakiś teleturniej, w którym głośne, szczęśliwe, zdrowe rodziny rywalizowały o nowe auto czy wakacje. W pewnym momencie telewizor pochylił się ku mnie, jak gdybym mogła wejść do ekranu. Jednak obraz, który najżywiej utkwiał mi w pamięci, to widok salonu skurzonego do rozmiarów kostki cukru. Patrzyłam z góry na salon, w którym siedziałam, ale nagle już wcale mnie w nim nie było. Później pytałam kolegę, jak jego zdaniem mogło się to stać. Gdzie byłam, skoro nie w pokoju? A on tylko się uśmiechnął

i powiedział: „W koszmaru na jawie, kurde, jak każdy, kto ma kiepski odjazd”. Co za idiota.

Zamykam oczy i znowu je otwieram. Drzwi wyglądają normalnie. Naprawdę musiałam za dużo wczoraj wypić.

Po śniadaniu zastanawiam się, czy wybierać się na uniwersytet, w końcu postanawiam zostać w domu. Owszem, tutaj ciepło kosztuje mnie żywą gotówkę, ale dopóki będę się dogrzewała gazem, powinno być w porządku, w każdym razie przez ten dzień, którego potrzebuję, żeby spróbować zebrać myśli. To ja rzuciłam się na Adama czy on na mnie? Tak czy owak dzisiaj nie mogę przebywać z nim w jednym pomieszczeniu. Wciąż jest mi zimno, więc włączam piekarnik, potem siadam na sofie, przyciągając kolana do ciała, paląc i zastanawiając się, co dalej. Mogłabym coś napisać, ale po prostu nie jestem w stanie.

Mogłabym coś przeczytać - tylko co tu czytać po takiej lekturze jak *Koniec pana Y?*

Mogłabym po prostu przesiedzieć tu cały dzień i poczekać, aż dosięgnie mnie klątwa. Tyle że żadnej klątwy nie ma. Jedynym przekleństwem w moim życiu jestem ja sama.

„Masz jedną opcję”.

Co się działo w moim śnie?

Kiedy myję zęby, dygocząc w zawilgoconej łazience (bezkonkurencyjnie najzimniejszym pomieszczeniu w całym mieszkaniu), przypomina mi się, że marker jest w szafce łazienkowej. No jasne. Kupiłam taki dziwny szampon w butelce bez etykiety i chciałam go jakoś opisać, na wypadek gdybym kupiła jakiś inny produkt z tego samej serii i mogła jedno z drugim pomylić. Właśnie takimi rzeczami się zajmuję, kiedy powinnam pracować: opisywaniem butelek z szamponem, prasowaniem dżinsów, dumaniem o mewach.

Otwieram szafkę - jest, gruby czarny flamaster porzucony przy starym opakowaniu paracetamolu i złamanej szczotce do włosów. Jak tylko otwieram drzwiczki, zaczyna turlać się w moją stronę i wypada z szafki, ale łapię go, zanim wpadnie do umywalki. Świetnie.

Dziesięć minut później znowu siedzę na sofie, tym razem ze świeżo zaparzoną kawą, papierosem i perfekcyjnym czarnym kołem na perfekcyjnie białej kartce. Przejrzałam całą przypadkową korespondencję przyniesioną z parteru, dopóki nie znalazłam karty urodzinowej, przysłanej prawdopodobnie w zeszłym roku, w bładoniebieskiej kopercie.

„Wszystkiego najlepszego z okazji 20-tych urodzin, Tamsin” - brzmiała dedykacja. -

„Niedługo przyjedziemy się z Tobą zobaczyć”. Podpisano: Maggie i Bill. Ale ta część leży teraz w koszu. Ja zachowałam tę pierwszą: prostokątną kartę z wiktoriańską sceną pastoralną po jednej stronie i jaskrawą nicością po drugiej. No, teraz to jaskrawa biała nicość z małym czarnym kołem na środku, idealnie pokolorowanym.

Gaszę papierosa i dopijam resztę kawy, obracając kartę w dłoniach i ponownie przyglądając się wiktoriańskiej scenie. Datowana jest na tysiąc osiemset sześćdziesiąty siódmy rok i zatytułowana *Letni pejzaż*, mimo że kolorystyka jest raczej jesienna. Miejsce wygląda na wyjątkowo spokojny zakątek: czerwona ziemia przykryta dywanem gęstej trawy i baldachimami szmaragdowo-brązowych drzew; biegnąca wzdłuż rzeki ścieżka, którą można by spacerować w kompletnej ciszy. Znowu obracam kartę w dłoniach i patrzę na czarne kółko. Koło. Kojący krajobraz. Koło. Kojący krajobraz. Wiem, która strona najbardziej nadawałaby się na urodziny. No dobrze. Powinno się odczekać kwadrans? We wszystkich książkach, które wczoraj czytałam, było zaznaczone, że leki homeopatyczne powinno się przyjmować do czystych ust, kwadrans po jedzeniu albo picciu. Ale to nie szkodzi. Jeśli się nie powiedzie, będę mogła powiedzieć, że to wina kawy, i później spróbować jeszcze raz. Dopóki w dalszym ciągu coś będę robiła źle, dopóty będę miała jakieś zajęcie na cały dzień. Później, wieczorem, przyznam, że moja przygoda dobiegła końca, i wrócę do normalnego życia. Może jeszcze raz przeczytam *Erewhon*. Zwykle bardzo poprawia mi humor.

Sięgam zatem po fiolkę i jeszcze raz delikatnie nią potrząsam. A co mi tam, do cholery - mocno walę nią o bok sofy. Podejrzewam, że trochę przesadziłam z tym wytrząsaniem, ale przecież od tego roztwór nabiera mocy, a nie traci ją? Wracam pamięcią do książek o homeopatii i przypominam sobie, że gdybym wzięła kroplę tej mikstury, dolą ją do wody i znowu trochę powytrząsała, działałaby silniej niż roztwór wyjściowy, mimo że z naukowego punktu widzenia byłaby bardziej rozcieńczona. Jak to działa? Daj spokój, Ariel, przestań dumać o niebieskich migdałach i bierz się do dzieła. Ty kontra płyn. W porządku.

Piję: duży łyk. Następnie układam się na sofie i wpatruję w czarne koło, koncentrując się tak bardzo, jak tylko potrafię. Tym razem nie zasypiam: widzę, jak czarne koło dzieli się na dwa i staram się nie mrugać, gdy zaczyna się zachowywać jak kolorowe szkiełka w kalejdoskopie, przesuając się po całej kartce, unosząc i obracając.

Aż wreszcie, w ułamku chwili, który wydaje się cieńszy i ostrzejszy niż krawędź

brzytwy, spadam. Spadam w głąb czarnego tunelu, tego samego czarnego tunelu, który w książce opisywał pan Y. Jednak nie spadam w dół, jeśli to ma jakikolwiek sens: spadam w poziomie, do przodu, horyzontalnie. Ściany tunelu mijają mnie tak szybko, jakbym była w samochodzie, tyle że ja wcale nie jestem w samochodzie. Gdziekolwiek jestem, panuje tu absolutna cisza, a ja kompletnie nie czuję własnego ciała. W zasadzie mam pewność, że moje ciało jest tu ze mną, tylko po prostu nie doznaje żadnych odczuć ani pragnień. Nie jestem za to pewna, czy mam na sobie jakieś ubranie. Tylko mój umysł jest ożywiony jak nigdy. Widzę

- chociaż wcale nie jest to takie uczucie, jakbym rzeczywiście patrzyła oczami - niemal dokładnie to, co zobaczył pan Y: czerń wszędzie dookoła nagle rozjaśnioną mikroskopijnymi rozbłyskami światła, które zmieniają się w linie faliste, zdające się biec w nieskończoność.

Potem gigantyczny penis, narysowany w tym samym stylu jak u Olbrzyna z Cerne Abbas, ale tutaj nakreślony światłem. Jest również vagina, która wygląda mniej znajomo, a po chwili znika. Wtedy zaczynam przemieszczać się szybciej. Widzę ptaki, stopy i oczy, które opisywał

pan Y, dla mnie jednak wyglądają jak egipskie hieroglify, takie, o jakich człowiek uczy się w podstawówce. Później widzę litery: greckie, rzymskie, cyrylicą. Nie wszystkie rozpoznaję, lecz po chwili układają się w alfabety i wydaje się, że przez kilka minut nic nie zmienia się w tunelu. Czy mogłabym się zatrzymać, gdybym chciała? Nie jestem pewna, czy dałabym radę.

Czy mój umysł w ogóle zdoła objąć to doświadczenie, czymkolwiek ono jest? Nigdy nie przepadałam za środkami halucynogennymi, bo po pierwsze, powodują utratę kontroli, a po drugie, jak już się odleciało, trzeba lecieć do samego końca; nie można po prostu przestać.

Teraz jestem tutaj i wiem, że nie zdołam tego czegoś po prostu wyłączyć. Możliwe, że oszaleję. Może już oszalałam. Może właśnie to czuje człowiek, który przekracza granicę między zdrowiem psychicznym a obłędem, może już nigdy stąd nie ucieknę. Kiedy się nad tym zastanawiam, zaczyna mi się robić niedobrze, więc staram się przestać myśleć i tylko przyglądam się ścianom tunelu.

Alfabety wyglądają bardziej swojsko, teraz dołączyły do nich także cyfry, ale w ciągach, które nie od razu rozpoznaję. Dziwne ciągi rzymskich cyfr, które nic mi nie mówią, poprzetykane są sekwencjami zaczynającymi się od 2, 3, 5, 7, 11, 13, 17, 19 i 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21. W każdym razie przypuszczam, że to sekwencje, wkrótce jednak rozpadają się w długie rzędy liczb, które wyglądają jak kosmiczne numery telefonów. Gdzieś widzę równania, lecz one pojawiają się i zaraz znikają. Jestem pewna, że widziałam Newtonowskie $F=ma$, a później $E=mc^2$ Einsteina. Widzę matematyczne symbole, które są mi całkiem obce, jak i takie, które znam: znak $+$, a później różne zbiory, na przykład $I=\{1, 2, 3, \dots, 100\}$.

Potem serie liczb, które rosną całymi minutami. Widzę mnóstwo sekwencji niemających żadnego sensu: 1431, 1731, 1831, 2432, 2732, 2832, 3171, 3181, 3272, 3282, 11511, 31531, 31631, 32532, 32632, 33151, 33161, 33252, 33262, 114311, 117311, 118311, 124312, 127312, 128312, 214321, 217321, 218321, 224322, 227322, 228322. Na początku myślę sobie, że to muszą być daty, lecz liczby stają się zbyt wielkie. Później dzieje się coś innego, coś, czego Lumas nie opisywał: litery alfabetu znikają i zmieniają się w liczby, po czym znikają także liczby oprócz 1 i 0, tak że zostają z całymi milionami zer i jedynek spływających po ścianach wokół mnie niczym olbrzymi wodospad.

011101110110100001100001011101000111010001101000011
001010110011001110101011000110110101101101001011100
110110011101101111011010010110111001100111011011110
110111001110111011010000110000101110100011101000110
100001100101011001100111010101100011011010110110100
101100110110011101101111011010010110111001100111011
011110110111001110111011010000110000101110100011101
000110100001100101011001100111010101100011011010110
110100101110011011001110110111101101001011011100110
011101101111011011100111011101101000011000010111010
001110100011010000110010101100110011101010110001101
101011011010010111001101100111011011110110100101101
110011001110110111101101110011101110110100001100001
011101000111010001101000011001010110011001110101011
000110110101101101001011100110110011101101111011010
010110111001100111011011110110111001110111011010000
110000101110100011101000110100001100101011001100111
010101100011011010110110100101110011011001110110111
101101001011011100110011101101111011011100111011101
101000011000010111010001110100011010000110010101100

110011101010110001101101011011010010111001101100111

011011110110100101101110011001110110111101101110

A potem wszystko tonie w bieli i znajduje się poza tunelem.

ROZDZIAŁ 13

Stoję na niemożliwie wąskiej uliczce, pod stopami mam tłuczeń. Przed sobą widzę zapyziały blok mieszkaniowy, który kiedyś mógł być jaśniutki. Po mojej lewej i prawej zniszczone witryny wystawowe eksponują pocztówki, gazety, buty, aparaty fotograficzne, kapelusze, słodycze, zabawki erotyczne i bele materiału, ale żaden ze sklepów nie wygląda na otwarty.

Myślę, że tutaj jest noc: wprawdzie trudno zobaczyć niebo przy tym sztucznym świetle, lecz widzę nad sobą coś czarnego, na czym nie ma ani gwiazd, ani księżyc. Wszędzie wokół

straszą popsute neony niczym blizny po trądziku. Dwa czy trzy migają kolorami kojarzącymi się z seksem: czerwienią, różem, pudrową bielą - ale reszta wygląda tak, jakby nie działała od bardzo dawna. Przestrzeń nad witrynami sklepów jest jednym wielkim wężowiskiem bladych lamp sodowych, znaków ulicznych, zardzewiałych żelaznych okiennic i okien całych setek mieszkań i magazynów. Wszędzie widać tablice sterczące pod kątem prostym z budynków, całkiem jak post-ity w starej książce. Nie mogę ich jednak odczytać.

Czy mogę się poruszać w tej przestrzeni? Tak. Mogę zrobić krok do przodu, potem następny. Po lewej widzę zaułek: kolejną niewyobrażalnie wąską uliczkę. Na jej końcu mgliście majaczy coś, co przypomina stalowe ogrodzenie okręcone od góry drutem kolczastym. Wszędzie widać schody przeciwpożarowe: zygzaki i spirale prowadzące w górę i w dół wzdłuż podniszczonych ścian z cegieł. W jednym z okien na piętrze tańczy niebieska poświata: telewizja? A więc oprócz mnie istnieje tu jakieś życie, chociaż nie czuję się w tej chwili szczególnie żywa. Nie jest mi gorąco ani zimno, nie czuję się żywa ani martwa, pijana ani trzeźwa... Nie czuję nic. To nawet przyjemne, nie czuć niczego, chociaż, rzecz jasna, nie odczuwa się tego dosłownie jako czegoś „przyjemnego”. W zasadzie nijak się tego nie odczuwa. Zdarzyło się wam kiedykolwiek niczego nie odczuwać? To niesamowite. Może jestem taka spokojna, bo nie ma tu ludzi. Bywałam w miejscach podobnych do tego - Soho, Tokio, Nowy Jork - ale zawsze była w nich masa ludzi robiących zakupy, strzelających zdjęcia, rozmawiających, idących, mających nadzieję, pragnących. W wielkich metropoliach ogarnia mnie klaustrofobia, przytłacza ogrom pragnień nagromadzonych w jednym miejscu, obecność tylu ludzi usiłujących wessać w siebie różne rzeczy: kanapki, colę, sushi, firmowe metki, towary, towary, towary. Tutaj natomiast nie ma nikogo. Jest przystanek autobusowy, lecz nie ma autobusów; są znaki drogowe, ale nie ma ruchu. Idę dalej i słucham tępego odgłosu, z jakim moje nogi uderzają o twardy tłuczeń. Odnoga uliczki po prawej prowadzi na mały rynek z bulgoczącą fontanną na środku. Widzę ukryte w cieniu kawiarenki ze stolikami i krzesłami tarasującymi ciemne chodniki oraz parę miejskich drzewek wyrastających z bloków betonu. Nie chcę się zgubić, więc niebawem wracam na główną ulicę niepewna, co robić dalej. Obracam się, a wszystko rozmazuje mi się przed oczami.

„Dokąd mam pójść?” - zastanawiam się.

I wtedy metaliczny kobiecy głos odpowiada mi: „Masz do wyboru czternaście opcji”.

Na obraz ulicy nagle nakłada się obraz konsoli: coś w rodzaju planu miasta na monitorze mojego umysłu. Kilka obszarów rozbłyskuje przelotnie bladym typowo komputerowym odcieniem niebieskiego, niczym strefy działań wojennych na mapie świata.

To te opcje, spośród których mam dokonać wyboru; w każdym razie tak podejrzewam.

Ale...? Kompletnie nie rozumiem, o co w tym wszystkim biega. Najbliższa „opcja”, jak się domyślam, znajduje się na trzecim piętrze bloku na prawo od miejsca, z którego wyruszyłam.

Robię kilka kroków i zaczynam się wdrapywać po schodach przeciwpożarowych, a gumowe podeszwy moich sportowych butów wydają pusty, brzęczący dźwięk. Niebawem zatrzymuję się przed zielonymi drzwiami, z których łuszczy się farba. Popycham je, a one otwierają się do środka. Co teraz?

„Masz jedną opcję” - informuje odcieleśniony głos.

Jestem w środku.

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... Stoję nieruchomo na czterech ugiętych łapach i - o cholera! - tkwię w pułapce. Wszędzie dookoła widzę grube matowe plastikowe ściany i nie mogę się normalnie ruszać. Mogę troszeczkę podejść do przodu i troszeczkę w tył - to wiem - ale w tej chwili tkwię zupełnie nieruchomo. Kurwa. Ledwie mogę oddychać. Ciągłe mrugam, bo mam jakiś problem ze wzrokiem: wszystko za ścianami mojego więzienia wygląda na brązowe i skurczone i wszędzie widać refleksy światła. No i czuję głód: głód, jakiego doświadczam pierwszy raz w życiu, odzywający się z takiego miejsca w moim żołądku, którego nie poznaję. Czymkolwiek jestem, to jest prawdziwe piekło: takie uczucie może cię nawiedzić w koszmarze i trwa sekundę czy dwie, zanim budzisz się z krzykiem. Nie mogę się ruszać. Nie mogę się obrócić. Coś przyciska moje ręce/nogi/skrzydła do boków. Chyba mam ogon, ale nie mogę nim poruszyć. Coś przyszpila go do ziemi. I myślę sobie, że prawdopodobnie umrę tutaj sama, niezdolna nawet poruszyć głową. No dalej, Ariel. Wciąż jesteś Ariel. Tak, Ariel, ale i... Czym? Kim jestem? W czyj umysł się „przetelepatyzowałam”? Ja - a raczej „my”; mam taki sam problem, jaki swego czasu miał pan Y - chcę się podrapać. Chce mi się jeść: wiem, że właśnie dlatego weszłam do tego pudełka. Owszem, jadłam coś słodkiego pokruszonego, lecz było to dość dawno. Jednak niemal równie mocno jak jeść, chce mi się podrapać. Uwielbiam, kiedy szorstką stopą trę o uszy i natychmiast przestaje mnie swędzieć, i oddałabym wszystko, że móc się podrapać teraz (nie żebym rozumiała ekonomię nadziei). Już próbowałam - prawdę mówiąc, wciąż próbuję. Dlaczego nie mogę się poruszyć? Ja, Ariel, widzę ściany ze sztucznego tworzywa, ale to drugie „ja” nie wie, co się dzieje. Ta istota -

drugie „ja” - panikowało wiele godzin temu. Nie mogło... Nie, ona nie mogła zrobić tego, co zawsze robi w takich sytuacjach, czyli postarać się biec jak najszybciej i poszukać jakiegoś ciemnego, miękkiego schronienia. Jednak trudno mi myśleć o tej istocie, o tym stworzeniu, którego stałam się częścią, jako o niej. Moje futro („Moje futro”? Cóż, właśnie tak to odbieram) roztacza woń strachu:

wilgotny, słodki, biszkoptowy zapach. I rozpoznaję tę woń u innych, u tych, które wracają ze śladami zębów na ciele.

Odjazd kamery. Pozostań w trzeciej osobie. Na litość boską, Ariel, nie jesteś myszą.

Ale ja tak. Wiem, jak dbać o swoje futerko. Wielokrotnie byłam w ciąży (ona chyba nie umie liczyć, lecz ja tak. Nie jestem pewna, czy zna mowę, lecz ja tak. Mogę liczyć różne rzeczy we wspomnieniach, o których ona nawet nie wie). Pamiętam ból porodu podobny do tego, kiedy na skórze wykwita nowy siniec. Wiem, że tu umrę, choć przecież nie mogę rozumieć, czym jest śmierć. Tylko słonie rozumieją śmierć... Gdzie ja to wyczytałam? Nie mam pojęcia, jak długo tu jestem, ale chcę się stąd wyrwać. Wypuście mnie! Próbuję krzyczeć, słyszę jednak tylko szybki oddech myszy zamiast własnego, czuję bicie jej serca.

Co mam teraz zrobić? Wiem, jak się uspokoić w takiej sytuacji. Nieraz stałam w zatłoczonych wagonach metra i windach, myśląc: „Już niedługo” i „Oddychaj”. Tyle że moja świadomość stopiła się z jej świadomością i już wiem, ponieważ ona wie, że jestem w niebezpieczeństwie: że najpilniejszą rzeczą jest ucieczka. Ale nie możemy się ruszyć. Rany, rany, rany. Jak mam się stąd wydostać? Gdzie te wszystkie informacje, które widać na obrzeżach pola widzenia, jak opisywał pan Y? Kiedy o tym myślę, zauważam coś podobnego do monitora. Teraz widzę to samo, co widzi mysz - wielkie pomieszczenie zniekształcone przez warstwę plastiku i przebarwione na brązowawo, bo taki jest jego odcień (choć ona tego nie rozumie i jest przekonana, że znajduje się gdzieś, gdzie nigdy wcześniej nie była, bo w pudełku wszystko jest inne, nawet zapach) - lecz na ten obraz nakłada się drugi: konsoly, na której mogę dokonywać wyborów. Trudno mi opisać jej wygląd, bo nie mam pojęcia, jak działa. Trochę przypomina monitor komputerowy, choć wszystko na nim jest obce. Nie umiem się po nim poruszać. Ale najwyraźniej kiedy zajdzie taka potrzeba, będę umiała. I przypuszczalnie właśnie on pomoże mi się stąd wyrwać.

W górnym prawym rogu mojego pola widzenia niebieski kwadrat miga, kiedy patrzę na niego (myślę o nim?). Reszta „ekranu” jest podzielona na rzędy małych mlecznych kwadracików, z których każdy przedstawia mgliście jakiś nieznaną mi krajobraz. To trochę jak setka programów dokumentalnych odtwarzanych na tym samym ekranie. Co to za obrazy?

Kiedy zerkam na któryś, natychmiast staje się jaśniejszy, jak link w Internecie, i zdaję sobie sprawę (nie wiem jak), że mogę w jeden z nich dosłownie wskoczyć: przypuszczalnie po to, aby odbyć to, co Lumas określał mianem „pedezy”. Tylko że wcale nie chcę tego robić.

Muszę się stąd wydostać - z Troposfery - i wypuścić mysz z pułapki. Ponownie patrzę na mleczne obrazy. Jeden z nich intryguje mnie bardziej niż inne: wydaje się pozaziemski. Ale...

o nie!... W momencie kiedy moje myśli zatrzymują się na nim i myślę: „Ten wygląda interesująco”, coś zaczyna się dziać. Zaczynam się zacierać - to jedyne słowo, które przychodzi mi do głowy - w tej rzeczywistości i krystalizować w innej. Myślę: Stop! Ja nie chciałam!... Za późno.

Przynajmniej już nie tkwię w pułapce.

Teraz moje łapy pacają miękko o zimną twardą powierzchnię. Czuję, jak mój zad się kołysze, gdy

łapami dotykam ziemi w kolejności: przednia prawa, tylna lewa, przednia lewa, tylna prawa. Mam ogon, którym umiem ruszać! Wydaje mi się to zarazem czymś znajomym i nieznanym: czymś, co mam od zawsze; czymś, co miałam dawno, dawno temu. Blady beton pode mną (i czuję, jak sama nadaję mu tę nazwę, beton) jest zimny (*ditto*) jak kostka lodu i z tego powodu zaczynam iść szybciej. Ale jest mi dosyć ciepło. Dopiero co wyszłam z nory i wspomnienie takiej masy filtra, zapachu mojej rodziny (tłumacząc te myśli na gorąco i

„rodzina” wydaje mi się określeniem najbardziej zbliżonym do tego zmysłowego wspomnienia bliskości i łączności) koi mnie niczym gorący syrop (*ditto*). Znowu jestem myszą (chyba). Teraz wolną.

Między tylnymi łapami coś mam: swojskiego dla myszy, lecz nie dla mnie. Dziwnie się z tym czuję, podobnie jak z ogonem, ale podczas gdy ogon jest niczym dodatkowa kończyna, to drugie coś wydaje się naelektryzowane jak łechtaczka i jest tego więcej, sięga od mojego brzucha do gdzieś we wnętrzu mnie. Teraz czuję w tym czymś łaskotanie, gdy wytryskuje z tego gorący płyn i uderza o beton. A ja myślę właśnie, że to zniechęci innych, i zawsze to robię właśnie z tego powodu. Futro mi drga od abstrakcyjnych rzeczowników, nieprzetłumaczalnego, nieczłowieczego poczucia dumy, posiadania, planowania przyszłości, oraz od nieustającego piżmowego pragnienia przemocy - moich pazurów na grzbietach drobnych białych rywali, rozdierania ich ciał - oraz seksu. Może przede wszystkim dla niego żyję: dla tego, jak drży i mięknie mi mózg, kiedy mój łechtaczkopodobny kutas wchodzi i wychodzi z ciepłej ciasnej dziury w innej istocie, i dla uczucia słodyczy, która w końcu rozlewa się po moim brzuchu, łapach i gardle, takiej słodyczy, że się przewracam wczepiony w nią, obojętne którą. Mam pragnienia - być może jestem tylko sumą ich wszystkich - ale raczej ich nie roztrząsam. Mój umysł nie jest wiecznym „Ja chcę, ja chcę”. Raczej: „Muszę, muszę”. Tylko jedno mnie złości, kiedy krążę po tej przestrzeni z koszami na kółkach większych ode mnie. Gdzie ona jest? Jednej nie ma. Jednej brakuje. Jedna przepadła. Może nie umiem liczyć, ale odejmować potrafię. Kurwa, nie jest dobrze.

Nawet mną wstrząsa fakt, że mysz jest zdolna do przeklinania, dopóki nie uświadamiam sobie, że to są moje myśli połączone z myślami tego samca: jego uczucia wyrażone moim językiem. Powinnam próbować się stąd wydostać, lecz uczucie, że jestem tutaj, jestem nim, jest niemal narkotyczne. Cały jest naładowany. Nawet jego/moje wąsiki wibrują naelektryzowane i pełne wyczekiwania, niczym będące pod napięciem kable wyrastające mi prosto z twarzy. Teraz się porusza, stąpa tak lekko, jak ja nigdy nie byłam w stanie stąpać, i trochę przypomina mi to jazdę na diabelskim kole. Mknijemy po betonie w kierunku drugiego kosza i wiem, dokąd zmierzam, a równocześnie tego nie wiem i każdy mój ruch jest niespodzianką. To jak być kierowcą i pasażerem równocześnie. A w jego ruchach jest tyle spokojnej pewności, w nich i w uczuciu, którego teraz doznaję: w uczuciu w gryzania się w kawałek czerstwego chleba rozmokły na deszczu - w kawałek chleba, o którym wiem, że jest czerstwy, bo sama go tam wyrzuciłam, a w tej chwili wydaje się pyszny: równie dobry jak grzanka posmarowana pastą Marmite.

Naprawdę muszę się stąd wyrwać. Ta mysz jest bezpieczna, lecz ta druga nie. Tkwi w pułapce, którą sama zastawiłam i z której muszę ją wydostać. Myślę: „Konsoleta!”, jakbym grała w Space Invaders albo występowała w filmie science fiction, i owszem, konsoleta się pojawia, nakładając się na to, co widzę. Planuję ignorować mleczne obrazy, tymczasem naraz dzieją się dwie rzeczy: w polu widzenia

za konsolę - w polu widzenia myszy - pojawia się niewyraźna pomarańczowa smuga, niby pas rozartej marmolady; a na konsolce jeden kwadrat, na którym obraz wcale nie przypomina kosmicznego krajobrazu, jeden kwadrat, na którym widać szarą mysz siedzącą przy koszu na śmieci i jedzącą chleb. To ja. Coś na mnie patrzy.

Teraz robi się straszny mętlik. Moja mysz zauważyła pomarańczowego kota i jest tak, jakbyśmy oboje dostali po zastrzyku lodowatej wody i weszli w stan najwyższego alarmu. To strach, ale strach, do jakiego nie jestem przyzwyczajona. Śmierć, śmierć, śmierć się zbliża.

Kurwa. Flaki mi się zmieniły w lodowatą papkę i muszę uciekać, muszę się ukryć... Ale moment. Lodowata woda zaczyna krystalizować. Przymarzam do ziemi. Wiem (na poziomie wiedzy, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłam), że teraz muszę być całkiem nieruchoma. Ja, Ariel, chcę się tylko stamtąd wydostać, lecz jakimś instynktem, o którego posiadanie nigdy się nawet nie podejrzewałam - mysim instynktem nałożonym na mój ludzki

- wiem, że są jeszcze drzwi (szare, oficjalne) mające nad kotem. Koncentruję się na mlecznym kwadracie z posążkiem myszy, na kwadracie należącym do kota patrzącego na mysz nieruchomą jak figurka z cukru, której przerażenie odczuwam leciuteńkim drżeniem mojego/naszego ciała, i myślę: Zmiana! Zmiana!

I znowu się rozmywam, i zmieniam w coś większego. Własny ogon wydaje mi się lżejszy i śmiga na boki, kiedy przywieram do ziemi, czując, że to niezdolne wyczekiwanie doprowadzi mnie chyba do obłędu, i oblizując wąskim języczkiem ostre zęby. To będzie pieprzona frajda i już nawet nie mam pewności, czy zdołam jeszcze chwilę poczekać, zanim wykonam skok. Poruszam zadem po łuku, w tę i z powrotem, szykując się. Teraz? Nie.

Czekaj. Trzeba wyczuć właściwy moment, jedyny właściwy moment. Robiłam to tysiące razy wcześniej, ale nigdy, przenigdy mi się to nie znudzi. Nie planuję ataków zbyt szczegółowo, lecz kiedy je sobie przypominam, są niczym krwawy balet ze mną w roli reżysera szturchającego tancerkę łapą, zmuszającego jedzenie do tańca, wywijania piruetów na złamanych łapach, ponieważ lubię jedzenie, które się rusza. Jadam to brązowe gówno w plastikowej miseczce, ale go nie lubię: ma smak śmierci. Jem je tylko po to, żeby przetrwać, bo przez pół życia noszę ten zasrany dzwonek, który odstrasza jedzenie. Potrafię go jednak ściągnąć, jeśli dostatecznie długo się staram, precyzyjnie posługując się pazurami. Teraz nie mam dzwonka, a przede sobą widzę jedzenie. Nie mogę się doczekać smaku ciepłego krwio-soso-płynu, który rozplynie się po moim języku, kiedy rozerwę futrzaną skórę tego czegoś, co dygocze przede mną, usiłując udawać nieruchome. Pamiętam ten smak... O Boże. Ohyda!

Coś jak gorący słony mięsny ekstrakt z tabletkami żelaza i rdzą. Teraz myślę o tym, jakie to musi być obrzydliwe, naprawdę, ale synapsy (czy cokolwiek innego) w moim umyśle i w umyśle kota podskakują jak dzieciaki w młodzieżowym kółku dyskusyjnym. Po paru sekundach jestem niemal całkowicie przekonana, że krew mimo wszystko jest pyszna, choć to co zostało we mnie z człowieka i z wegetarianki, myśli: Nie! i czuję, jak ta myśl stapia się z myślami kota, i tak oto kiedy mysz dochodzi do wniosku, że najwyższa pora dać drapaka spod kosza na śmieci, waham się. Mój koci umysł wykonuje potężnego fikołka w tył, trwa to tylko sekundę, lecz wystarcza, by wszystko spieprzyć. Jakiś głos w moim umyśle powtarza, że bym tego nie robiła. Nie rozumiem tego, ale w moim języku nie istnieją pojęcia takie, jak

„Dlaczego?”. To jak ból głowy, mgliste wspomnienie białego pokoju, stołu, bycia przytrzymywanym za kark, kiedy wbija się we mnie coś ostrego. Tylko że teraz nikt mnie nie trzyma.

Wypieprzaj, gapowiczko.

Nie.

Jesteś jak pchła w mojej głowie.

Cóż... Może masz rację. Właściwie czemu miałabym oszczędzić ten kęsek? I co to znaczy „oszczędzić”? Bez sensu... Ariel, nie jesteś pieprzonym kotem. Byłaś tą myszą.

Pamiętałaś swoje gniazdo. Ale myszą też nie jesteś. A teraz chcę spróbować jej krwi.

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Szmerek w mojej głowie, którego nie poznaję. Związek chemiczny silniejszy niż strach.

Poruszam się naprzód bardzo powoli. Jedzenie schowało się pod koszem. Nowa strategia. Nie *game over*. Przywieram do ziemi i wyginam grzbiet w łuk doskonały: jeden bark odrobinę wyżej niż drugi, lewa łapa przed prawą. Zmiażdżę ci czaszkę i jest mi obojętne, jak długo będę musiała z tobą najpierw tańcować. Jestem... Nie ma cię. Gdzie jesteś? Gdzie moje pieprzone żarcie...?

Mysz zniknęła. Jest bezpieczna. W moim umyśle równocześnie odbywa się radosna impreza i stypa.

„Konsoleta”. Teraz już naprawdę muszę się stąd wydostać. Konsoleta znowu się pojawia w moim polu widzenia, podskakując, kiedy moja świadomość autostopowiczka kołysze się jak szałwiarz z kotem, miękko podchodząc do ściany, a potem - ekstra! -

wskakując na nią. Boże, ależ mi się to podobało. Niestety, muszę uciekać. Uratowałam jedną mysz, lecz więcej czeka na uwolnienie. Ponownie rozglądam się po ekranie, ignorując mleczne obrazy na środku. Został tylko niebieski obiekt/obraz, więc kieruję ku niemu myśli.

„Chcesz zamknąć grę?” - pyta kobiecy głos, do którego przywykłam. „Tak - myślę. - Tak, tak, tak...” Pojawiają się przede mną drzwi i znowu jestem sobą, przekręcam okrągłą klamkę i przechodzę na dwóch ciężkich nogach, bez ogona. Jednak nie poznaję tego miejsca.

Znalazłam się, jak widzę, w długim korytarzu z szarym chodnikiem i o beżowych ścianach. O kurczę!... Gdzie schody pożarowe? Jak się stąd wydostać?

Idę bladym korytarzem, mijając tablice informacyjne, do których nie przypięto żadnych informacji, potem oślepiająco białe drzwi jakiegoś biura, aż wreszcie dochodzę do holu z czterema windami w rzędzie. Ściany są praktycznie gołe, jeśli nie liczyć tabliczki ostrzegawczej, na której ludzik z zielonych patyczków oraz ludzik z zielonych patyczków w wózku inwalidzkim z zielonych patyczków zmierzają w kierunku oślepiająco białych drzwi. Wygrywa ludzik z zielonych patyczków. Nie wiedząc, co innego mogłabym zrobić, naciskam guzik przywoływania windy. Natychmiast otwierają się drzwi do

wszystkich czterech. Uśmiecham się na ten widok. Naprawdę nie ma tu nikogo oprócz mnie? Całe miasto tylko dla mnie - o ile jestem w tym samym mieście, w którym zaczęłam. Jednak nie mogę zostać: muszę wracać.

Losowo wybieram trzecią windę od lewej, wsiałam i wciskam guziczek z literą P. Winda jak na mój gust zjeżdża trochę za szybko, ale nie robi mi się niedobrze. W dalszym ciągu nic nie czuję. Kiedy jestem już na parterze, widzę obrotowe drzwi, którymi wychodzę na ulicę. A potem widzę coś dziwnego: małą białą służbową wizytówkę leżącą na ziemi. W normalnym mieście wyglądałaby całkiem normalnie na oblepionym gumami do żucia chodniku, wśród pustych torebek po czipsach, niedopałków, kwitków i strzępków gazet. W normalnym mieście nawet by się jej nie zauważało, tutaj naprawdę rzuca się w oczy. Schyliam się i biorę ją w palce. Widnieje na niej imię i nazwisko - Apollo Smintheus - wypisane brązowym atramentem. I nic więcej. Chowam ją do kieszeni dzinsów.

Jestem na opustoszałej głównej drodze, przy której stoją nieme biurowce. Tablice odsyłają do przejścia podziemnego, ale nie ma żadnego ruchu, więc przechodzę na drugą stronę, przełaząc niezgrabnie przez barierkę oddzielającą dwie jezdnie. Teraz mogłabym pójść w lewo albo w prawo, albo prosto, węższą drogą. Ta węższa droga ma w sobie coś znajomego, więc idę nią, bojąc się, lecz tak naprawdę nie odczuwając strachu, jakbym oglądała samą siebie na filmie, dopóki po mojej prawej nie rozpoznaję znajomej alejki z mnóstwem schodów pożarowych. Wcześniej tę alejkę miałam po lewej. Już wszystko rozumiem. Jakimś cudem wylądowałam w dużym budynku, który miałam przed sobą, kiedy się tutaj pojawiłam. Więc przypuszczalnie żeby wreszcie wrócić, muszę tylko iść przed siebie, dalej tą drogą, a później - tak - tunelem z zerami i jedynekami i wszystkimi literami wszystkich znanych mi alfabetów. Potem otwieram oczy.

Leżę na sofie. Jestem żywa. Jestem w domu. Jestem człowiekiem. Jest mi zimno. Chce mi się siku. Uczucie rozczarowania, którego często doświadczam, budząc się z normalnych snów, zmieniło się w coś innego: w rozczarowanie płynące z bycia mną, tu i teraz.

Moja dominująca myśl: „Chcę wrócić do Troposfery”.

I myśl słabsza: „Przecież sama chciałaś się z niej wydostać”.

Dziwne, że ciągle wracam myślami do narkotyków, lecz pan Y też miał takie skojarzenia. Tym razem przypomina mi się pewna łazienka, dawno, dawno temu, jakoś niewiele przed moim wyjazdem do Oksfordu. Byłam w łazience w Manchesterze z wielkim kolesiem, który dał mi maluteńką fajkę pokrytą zieloną emalią. Pamiętam, że ciągnęłam z tej fajki i poczułam coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłam: pełne ukontentowanie, coś zbliżonego do tego, jak człowiek się czuje zaraz po orgazmie, ale bardziej intensywnego - jak gdyby cały świat był wielką mięciutką kołderką, a ty właśnie kładziesz się spać i masz poczucie, że już nikt i nic cię więcej nie skrzywdzi. Wciągałam to coś do płuc i czułam posmak amoniaku. Spytałam tego gościa, co to jest.

- Freebase. Prawdopodobnie byłoby lepiej, gdybyś więcej tego nie robiła, bo może ci się pomieszać w głowie.

Jak wtedy natychmiast chciałam jeszcze jednego macha z tamtej fajki, tak teraz chcę wracać do Troposfery. Może na tym polega ta klątwa.

Zmącone myśli, zmącone myśli. Oczywiście musiałam znowu przysnąć. Nie mogłam być w Troposferze. To fikcyjne miejsce, miejsce z książki. Mimo to wstaję z sofy i zanim pójde do kibelka czy zrobię coś w tym guście, sprawdzam pułapkę pod zlewem. I robi mi się niedobrze. Ona tam jest, istotka, której wspomnienia i myśli dzieliłam, drży w małym brązowym pudełku z ogonem tkwiącym pod zapadką. Nie sędzę, żebym kiedykolwiek przyglądała się złapanym myszom czy chociaż dużo o nich myślała, raczej tylko starałam się pamiętać, żeby wypuścić je jak najszybciej. Teraz jednak patrzę. Bez względu na to, czy to był „tylko sen” czy nie, dokładnie wiem, co ona teraz czuje. Otwieram pudełko, drżącymi palcami majstrując przy zapadce, starając się uwolnić jej ogon tak delikatnie, jak tylko potrafię.

- Przepraszam - mówię do niej. - Strasznie cię przepraszam.

Łagodnie stawiam pudełko na podłodze i patrzę, jak myszka wychodzi pomalutku, z rozedrganym koniuszkiem nosa. Spodziewałam się, że zobaczę tylko szarą smugę na podłodze, gdy czmychnie do najbliższego schronienia, ona wciąż jednak siedzi na podłodze, drapiąc się - a wiem, jak wielką miała na to ochotę - a potem już tylko siedząc i wlepiając we mnie malutkie czarne ślepka. Pamiętam to spojrzenie i odwzajemniam je instynktownie.

Trwamy tak przez pełną minutę i jestem pewna, że ona wie. Jestem przekonana, że na jakimś poziomie jest świadoma tego, że byłam w jej umyśle i że ją rozumiem. Nie boi się mnie.

Wreszcie zmyka i chowa się pod jedną z szafek. Sprawdzam pozostałe pułapki, na szczęście puste, po czym wszystkie wyrzucam do śmieci.

Coś jest nie tak ze światłem. Mija dobra chwila, zanim zdaję sobie z tego sprawę - idę do łazienki, robię siku i cztery, może pięć minut spędzam na przeglądaniu się w lustrze i zastanawianiu się, co ktoś inny znalazłby w mojej głowie, gdyby się do niej włamał - lecz jak tylko wracam do kuchni i nastawiam kawę, zauważam, w czym rzecz. Jest już prawie ciemno.

Patrzę na zegarek i już rozumiem dlaczego. Jest czwarta. Dziwne. Mam wrażenie, że mikstury napiłam się koło jedenastej. A w Troposferze byłam jakieś pół godziny, w każdym razie takie miałam wtedy wrażenie. Może zaczynam świrować?

Sięgam do kieszeni dzinsów, ale nie znajduję wizytówki.

Wyglądam przez okno: kota też nie ma.

Mimo to sprawdzę później tego Apollona Smintheusa, żeby się przekonać, czy ktoś taki w ogóle istnieje.

Piekarnik musiał się wyłączyć, kiedy leżałam na sofie, bo teraz aż się trzęsę z zimna.

Przypominam sobie, jak było w Troposferze: bezuczuciowość tamtego miejsca, brak jakiegokolwiek temperatury. Chcę, by to wróciło. Ale jeśli nie może wrócić, chcę, żeby mi było gorąco, gorąco, gorąco. Włączam resztę gazowych fajerek i staję tak blisko nich, jak tylko mogę. Wkrótce kawa jest gotowa, nigdzie się z nią jednak nie wybieram. Dalej stoję przy piekarniku, drżąc i zastanawiając się,

dłaczego jakoś się nie rozgrzewam. Jestem chora? Ta mikstura wpłynęła na mnie w jakiś poważniejszy sposób? Rozpieprzyła mi organizm?

A potem myślę, że jeśli rzeczywiście podróżowałam przed chwilą po jakimś innym, obcym wymiarze, w głąb umysłu myszy (i kota) i z powrotem, prawdopodobnie to tłumaczy, dlaczego czuję się trochę dziwnie. Chodzi mi o to, że przecież każdy czułby się dziwnie po czymś takim. Na tę myśl uśmiecham się i zaraz zaczynam się śmiać. Tylko ja mogłam się telepatycznie przenieść do umysłu mysiego samca z obsesją na punkcie seksu, a potem do umysłu kota psychopaty. Byłaby z tego niezła anegdotka do opowiadania, gdybym miała zwyczaj opowiadać komukolwiek anegdoty, pomijając fakt, że i tak nikt by mi nie uwierzył.

Przestaję się śmiać. Każdy kto zrobił to co ja, niewiele później umierał. Gdyby dodać tę informację do anegdoty, już nikogo by nie bawiła.

Wtedy w mojej torebce rozlega się brzęczenie. Esemes.

To Patrick. *Wybacz ze jestem b. namolny - brzmi wiadomość - ale potrzebuje cie ASAP.*

O Chryste.

Przegrzebałam wszystkie encyklopedie, szukając wzmianki o Apollonie Smintheusie, po czym usiadłam do kolacji - miski ryżu z resztką miso. Z moim mieszkaniem też jest coś dzisiaj wyraźnie nie tak. Nie chodzi tylko o to, że czas zleciał mi podejrzanie szybko: mieszkanie wydaje się puste, zimne i brudniejsze niż zwykle. Nie przejmując się rachunkiem za prąd, włączam w kuchni górne światło i lampę, a posiłek umilam sobie słuchaniem radia.

Zwykle go nie słucham o tej porze dnia i nie mam pojęcia, co akurat będzie leciało. Marzy mi się coś kojącego: półgodzinna rozmowa ekscentryków o książkach podróżniczych, na przykład, albo o ogrodnictwie. Zamiast tego trafia mi się debata religijna. Patrzę na zegarek i zgaduję, że audycja trwa już około dziesięciu minut. Słyszeć cztery różne głosy, licząc głos prowadzącego.

- ...ale Mantra II pokazuje, że pacjenci, za których się modlono, wcale nie czuli się znacząco lepiej od tych, za których nikt się nie modlił.

- Nie zgadzam się...

- [Śmiech] Proszę nie żartować. Z odkryciami naukowymi nie sposób się nie zgadzać.

Wszystko jest czarno na białym w *Lancecie*.

- Dla tych, którzy nie wiedzą, wyjaśnijmy, że Mantra II... MANTRA, jeśli się nie mylę, to akronim od nazwy „Monitoring i Aktualizacja Noetycznych Treningów”... otóż Mantra II to nazwa badania przeprowadzonego w tym roku. Jego celem było ustalenie, czy modlitwa w znaczącym stopniu pomogła grupie pacjentów kardiologicznych. Grupa pacjentów nie wiedziała, czy w ich intencji zanoszone są modlitwy czy nie. Zewnętrzna grupa modlitewna składała się z chrześcijan, muzułmanów, żydów i buddystów...

- Mantra II nie jest jedynym badaniem w tej dziedzinie. Uważam, że należy to podkreślić. A co z klasycznym badaniem Randolpha Byrda z osiemdziesiątego ósmego roku?

Albo z badaniem przeprowadzonym w Kansas City przez Williama Harrisa w dziewięćdziesiątym dziewiątym? W badaniu Harrisa, prowadzonym w St. Luke Hospital, grupa, za którą się modlono, wypadła o jedenaście procent lepiej niż pozbawiona wsparcia modlitwą. Naukowcy badają tę kwestię od dziesięcioleci. Ciągłe do niej wracają, ponieważ nigdy nie udowodniono bezdyskusyjnie, że modlitwy w cudzej intencji nie pomagają ludziom. W gruncie rzeczy jest całkiem jasne, że modlitwa przynosi pewien efekt, niemniej wciąż mamy przed sobą długą drogę, zanim dowiemy się jaki.

- Bezsprzecznie. W swojej praktyce niejednokrotnie obserwowałem, że modlitwa faktycznie daje wymierne efekty w świecie. Wracając do Mantry II...

- Przecież to jest śmieszne! Gdzie są dowody? W badaniu Harrisa, o którym wspomniałeś, Rogerze, a któremu ja przyjrzałem się bliżej w swojej książce, nawet sami badacze przyznali, że czynnik prawdopodobieństwa wynosił zaledwie jeden do dwudziestu pięciu. Innymi słowy, istniało prawdopodobieństwo jeden do dwudziestu pięciu, że wyniki, jakie tam uzyskano, mogłyby się pojawić same, przypadkiem, losowo. To zdecydowanie za mało, żeby mnie przekonać. Loteria szybko by przestała być dochodowa, gdyby się składała z zaledwie dwudziestu pięciu numerów, z których wystarczyłoby wybrać jeden!

- Jak już mówiłem, wracając do badania Mantra II, a przypuszczam, że ma to odniesienie także do studium Harrisa, trzeba zadać sobie pytanie, kto ogląda dane i jak je interpretuje...

- Och, czyli teraz to wynik spisku? Badacze „ukryli prawdę”?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale może czegoś takiego jak modlitwa nie da się zrozumieć poprzez badania, dane, wykresy i rachunek prawdopodobieństwa. Jak w ogóle próbować zmierzyć coś takiego? Na przykład, jaka jest jednostka modlitwy?

- Myślę, że to kwestia interesującego etycznego pytania o Boga. Bez względu na to, jak interpretujemy dane z badań takich jak Mantra II, zakładając, że modlitwa rzeczywiście ludziom pomogła, musimy spytać: cóż to za Bóg, który pomaga tylko tym, co o to proszą albo mają kogoś, kto prosi w ich imieniu? Przecież to implikuje nierówność traktowania ludzi przez Boga, mimo że wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi równymi w jego oczach.

- Tak, to istotnie ciekawe pytanie. Może cała koncepcja modlitwy sama w sobie stanowi paradoks? Może niepodobna modlić się do Boga, który wszystkich traktuje równo?

Może wtedy modlitwa staje się pojęciem redundantnym? Skoro Bóg wszystkich kocha na równi, przypuszczalnie nie ma potrzeby, by ktoś przypominał mu o sobie. Nie powinno być logicznego powodu do modlenia się w czyjejś intencji.

- Zgadzam się z tym, że to ważka uwaga. Jednak można by spytać: a jeśli to nie Bóg?

Jeśli powodzenie modlitwy w rzeczywistości mówi nam coś o sile sprawczej myśli? Czy myśl może wpływać na materię?

- Mówi pan o wyginaniu łyżeczek?

- Tak. [Śmiech] Można chyba uznać, że to nieco podobne do wyginania łyżeczek.

Kończę ryż i zapalam papierosa, a w tle dyskusja toczy się w dalszym ciągu. Przynajmniej słyszę ludzkie głosy przypominające mi, że istnieje namacalny świat za ścianami tego pokoju, za ścianami mojego umysłu. Gdzie, do cholery, spędziłam popołudnie? I - nie jestem w stanie przestać o tym myśleć - jak długo muszę czekać, zanim będę mogła tam wrócić? Może powinnam spróbować jak najszybciej i sprawdzić a) czy tamto miejsce wyda mi się równie realne jak tego popołudnia i b) czy jeśli jest rzeczywiste (obojętne jaka to rzeczywistość), będę mogła poruszać się po nim sprawniej niż za pierwszym razem.

Z grzechotem przejeżdża pociąg, a ja się zastanawiam, dokąd jedzie. Od rana nie wytknęłam nosa z domu. Zapalam następnego papierosa i usiłuję się rozgrzać, ale bez powodzenia. Prawdopodobnie powinnam spróbować wrócić do Troposfery choćby tylko z tej jednej przyczyny: przynajmniej przestałabym marznąć. Gdybym tylko nie podejrzewała, że wydarzenia dzisiejszego dnia wskazują na początki choroby psychicznej (myślę, że współodczuwanie z myszami to już konkretny objaw), i gdyby nie było mi tak kurewsko zimno, byłby to bezdyskusyjnie najbardziej zadziwiający dzień w moim życiu. Więc na pewno to powtórzę. Dowiem się, czy to jest coś realnego (niemniej kotów będę unikać). A co potem? Spanikuję? Będę świętować? Przejdę załamanie nerwowe? Przed, w trakcie lub po takiej sytuacji nie ma oczywistego logicznego następnego kroku innego, niż przestać robić to, co robię, i nie pozwolić, żeby jeszcze było jakieś przed, w trakcie i po. Ale to jedyne, czego nie zrobię. Muszę spróbować tam wrócić.

Kiedy ponownie rozsiadam się na sofie z akcesoriami związanymi z moim nowym nałogiem - z kartonikiem z czarnym kółkiem oraz z fiolką płynu - rozlega się pukanie do drzwi. Wolf? Ignorując natręta, opadam na sofę, dziwiąc się mgliście, że nigdy nie wylądowałam na kozetce u psychiatry, piję więcej mikstury i unoszę kartkę na wysokość wzroku.

Tunel.

Droga.

Konsoleta.

ROZDZIAŁ 14

„Masz do wyboru dwadzieścia siedem opcji”.

Czemu jest inaczej niż poprzednim razem? Dobrze i to, że wylądowałam w tym samym miejscu, na tej samej opustoszałej ulicy, z widokiem na te same znaki. Wszystkie oprócz jednego wciąż opisane są w języku, którego nie znam. Za to ten jeden jest teraz podświetlony i czytelny. „Mysz 1” - tak głosi napis. Ja chyba naprawdę popadam w obłąd. Ale tutaj, w Troposferze, popadnięcie w szaleństwo nie

wydaje się czymś, co powinno mnie martwić.

Podobnie jak obawa, której doświadczyłam poprzednim razem - lęk, którego nie odczuwałam jako lęku - niepokój także gdzieś we mnie jest, chociaż jakoś konkretnie go nie odczuwam.

Nie mam przyspieszonego pulsu, nie zlewam się potem. Znowu oglądam siebie na filmie.

Steruję sobą w grze wideo. Zatem mam dwadzieścia siedem możliwości. Wciąż nie wiem, co to oznacza. I szczerze mówiąc, najchętniej zostałabym tutaj, na tej drodze donikąd, czując tę błogą nicość. Czy mogłabym być szczęśliwa, nie wiedząc? Nie. Muszę się dowiedzieć, jak to wszystko działa. Gdzie leży Troposfera? Zamazana konsola wygląda jak przezroczystawa mapa nałożona na moje pole widzenia, pokazując mi, które miejsca są „aktywne”: w które mogę wejść. W każdym razie takie odniosłam wrażenie poprzednim razem. Ostatnio najbliższym miejscem, do którego mogłam wejść, było mieszkanie teraz oznakowane jako

„Mysz 1”. W tej chwili zaledwie kilkoro drzwi dalej wejście do jednego ze sklepików wydaje się teraz podświetlone. To mały sklep muzyczny z fortepianem na wystawie. Myślami proszę konsolę, żeby znikła, i rzeczywiście: migocze, po czym znika. Mogę się porządnie przyjrzeć sklepikowi. Fortepian jest mały, czarny i kanciasty. Przyglądam się uważniej partyturze i widzę, że tytuł jest niemiecki. Napis na drzwiach też jest po niemiecku: „Offen”. Otwieram drzwi i słyszę ciche brzęczenie dzwonka. Spodziewam się, że zaraz zobaczę wewnątrz sklepiku, ale rzecz jasna tak się nie dzieje.

„Masz jedną opcję „.

„Masz”... Jestem kimś innym: kimś rasy ludzkiej i płci męskiej. Siedzę w kawiarni i czekam. Nie muszę tłumaczyć myśli tego człowieka: to dziwne uczucie, dosłowne stanie się kimś innym, lecz właśnie tak się teraz czuję. Na pewno to łatwiejsze niż być myszą czy kotem. Ja... znam niemiecki. Nawet myślę po niemiecku. Umiem czytać z nut. Ja... Już dobrze, Ariel, daj się temu ponieść.

No więc siedzę sobie w kawiarni, patrząc na fusy w białej filiżance umazanej starą szarą pianą po cappuccino, i jestem wkurzona, ale to akurat nic nowego. Jak on mógł znowu mi to zrobić? Znowu. Przez to słowo aż mi się chce szlochać. Czuję je na skórze, na policzkach i w piersi: małe robaczki klęski pełzające po moim ciele, a wszystkie powtarzają to słowo: „znowu”. Mówił, że już niedługo. Teraz wygląda mi raczej na to, że nigdy. To na pewno przez coś, czego nie powiedziałam. Przez coś, czego nie zrobiłam. Myśl, że to by się stało tak czy owak, jest mi zbyt wstrętne. To na pewno przez tę koszulę. Mówił, że podoba mu się niebieska, więc czemu włożyłam tę czerwoną szmatę?

W tym momencie podchodzi kelnerka i jak wspominał Lumas, nad jej ciałem pojawia się mglisty zarys innego sklepu, ja zaś zdaję sobie sprawę, że mogłabym przekroczyć jego próg, zamiast zostawać „tutaj” - gdziekolwiek to „tutaj” jest. Powinnam spróbować? A co z tym, jak pan Y próbował tej sztuki i „odbiło” go z powrotem do Troposfery? Próbuję wywołać konsolę, nie pojawia się jednak. Nie zamierzam robić żadnych eksperymentów bez czegoś w rodzaju przewodnika.

Wzywam ją jeszcze raz.

Nie pojawia się.

Przynajmniej spędziłem z nim dodatkowy kwadrans. Ale jak ma się piętnaście minut wspomnień do całego życia razem? Do przyszłości, którą powinienem był mieć? Szkoda, że mu tego nie wygarnąłem. Wiem, że on chce tego równie mocno jak ja, lecz jest tchórzem.

Może powinienem był mu to powiedzieć? Robert, jesteś tchórzem. A może to ja jestem tchórzem? Nie umiałbym mu powiedzieć czegoś takiego. Wyobrażam sobie jego minę, gdybym się odważył. Wściekłby się jak cholera. Powiedziałaby, że przekroczyłem granicę. Co za idiotyczne powiedzonko. Przekroczyć granicę. Jaką znowu granicę? Niby gdzie? Ach, tak.

Tę granicę, którą ty sam wytyczyłeś między mną a wszystkim, co chcę powiedzieć i czym się stać. Granicę między „normalnym” życiem a tym drugim, tą drugą możliwością. Mogłeś tę granicę przekroczyć. Obiecałeś, że ją przekroczysz. Obiecałeś mi. Obiecałeś. Obiecałeś. A ja byłem dla ciebie taki czuły przez te ostatnie tygodnie, rozmawiałem z tobą, kiedy potrzebowałeś porozmawiać, scałowywałem łzy z twoich policzków, choć tak naprawdę chciałem obciągnąć ci fiuta. Robiłem wszystko, co chciałeś.

Widzę, jak przychodzi godzinę temu, już z dziesięciominutowym spóźnieniem, jak gdybym nie miał nic lepszego do roboty (naprawdę nie mam, Robercie: chcę tylko być w tobie zakochany).

- Nie mogłem się wyrwać - powiedział. - Dzieciaki rozrabiały.

Kolejne idiotyczne słowo. Rozrabiały co? Gówno z wodą? Glinę na dzieła sztuki?

Jedno z drugim?

Jego dzieciaki. Są razem z nim za jeszcze inną niewidzialną granicą. Ale już dostatecznie długo udawałem, że się nimi interesuję. No dobrze. Może i trochę mnie interesowały. Wyobrażałem sobie wspólne weekendy na pewnym etapie w przyszłości, kiedy ona - jak jej tam - wszystko przeboleje. Wycieczki do parku. Wielkie kulki lodów. Nie całkiem mi się to uśmiechało, lecz zdołałbym się przeprogramować w taki sposób, żeby dać radę. Zrobiłbym to dla ciebie, Robert.

Stół przede mną sam w sobie jest małym dziełem sztuki. Jaki tytuł by pasował? „Po małej zdradzie”. Podoba mi się. „Fusy zdrady”. Dwie filiżanki, dwa spodeczki, jeden mężczyzna. Wystarczyłoby spojrzeć i człowiek od razu by wiedział, że przed chwilą były tu dwie osoby, ale jedna sobie poszła. Jedna ma spotkanie, układ, życie. Drugą jestem ja i nie mam na tym świecie nic oprócz tej filiżanki. Może nawet widziałeś, jak wychodzi, to ten z przeredzonymi włosami i w czarnych dżinsach. Kiedy przyszedł godzinę temu, na tym stole nie było nic oprócz czerwono-białej ceraty w kratę, laminowanego menu i pieprzniczki (ale solniczki już nie). Zdawkowo wytłumaczył swoje spóźnienie i usiadł. Widziałem, że cały się trzęsie.

- Kawy? - spytałem. I chciałem spoliczkować tę rozdygotaną galaretę. Chciałem mu wykrzyknąć, żeby był mężczyzną. Gdybym chciał przez resztę życia dymać się z dziewczynami, teraz bym tego nie

robił, prawda?

Przyszła kelnerka. Cały tutejszy personel mówi po francusku, a przynajmniej przekonująco udaje francuski akcent, więc on rzucił to swoje: „*Café au lait*” - z głupawym angielsko-francuskim akcentem i dodał: „*Merci*”.

Co za idiota. A teraz? Teraz najchętniej naszczałbym mu na głowę. Utopiłbym go w moim gównie. Chcę go fotografować tonącego w moim gównie i wysłać zdjęcia jego dziewczynie. Chcę skomponować koncert o tym, jak topi się w moim gównie, i odegrać go na jego pogrzebie, a potem bez przerwy puszczać z głośników zamontowanych przy jego grobie, tak żeby krewni musieli słuchać tego w nieskończoność.

Jednak kiedy spojrzał na mnie ponad blatem stołu, wciąż byłem pełen nadziei.

- Jak się czujesz? - spytał, jakbym miał raka.

(Ty jesteś moim rakiem, Robercie, żaloszny mały guzku. Przez ciebie nabawiłem się raka serca).

- A jak twoim zdaniem mam się czuć? - odparłem.

Myślę, że chciałem przez to powiedzieć: „Świetnie. Super. Moje życie jest pełne różowych balonów”.

Cóż, tak byłoby ładniej, nieprawdaż?

Przypala papierosa drżącymi rękami. Oczywiście to ja nauczyłem go palić. Nauczyłem go palić, nauczyłem go pić i nauczyłem go, jak się ze mną pieprzyć. Udowodniłem mu to, co zawsze podejrzewałem: że dwóch mężczyzn ma większą moc niż przechodzone *ying* i *yang* kutasa i pizdy. Odkryliśmy to razem: piękno męskiego ciała. Nie pamiętasz, Robercie. Nawet kupiłem ci reprodukcję *Dawida* Donatella, kiedy ledwie wystarczało mi na jedzenie. W

rewanżu ty kupiłeś mi popiersie Aleksandra Wielkiego.

I obiecałeś, że się do mnie wprowadzisz.

Siedząc przy stole zaledwie godzinę temu, nie wyglądał jak ktoś, kto zamierza wkrótce porzucić rodzinę i zamieszkać ze mną. Z drugiej strony - podejrzewam, że byłby zdenerwowany, gdyby właśnie rzucił swoją dziewczynę (nie są małżeństwem, mimo że dorobili się dwójki dzieci). Może o to chodzi, pomyślałem wtedy. Może jest zdenerwowany, bo dopiero co jej powiedział i wieczorem będzie musiał pojechać do mnie, a ja dam mu wódki, żeby złagodzić szok, i obciągnę mu fiuta tak mocno, że już nigdy mnie nie zostawi.

Chciałem tylko mieć szansę go przekonać, że powinien być mój. Widzę Roberta jako rybę z haczykiem wciąż w pyszczku. Jeśli ona szarpnie wędka, wróci do niej: teraz jestem tego pewny.

Robert siedzi z papierosem w ręce zamrożony w czasie. Mój umysł nie chce puszczać tego wspomnienia jak filmu: ono szarpie mnie we wszystkie strony jak owczarek alzacki, miotając mną to

w tę, to w tamtą... A teraz myślę sobie, że powinienem napisać poradnik dla innych w mojej sytuacji. Albo... Tak. Własna strona internetowa. Mógłbym podesłać link jego dziewczynie tylko po to, żeby wiedziała.

Jaksiedacymacwdupe.com

Pewnie istnieje. Poza tym nie o to mi chodzi.

Robertjestdraniem.com

Za mało ogólne.

Kiedyheterocyobiecujezostacejamialetegonierobia.com

Napił się kawy. Siedziałem przodem do drzwi; umieściłem się tam niby mała wycieraczka (kolejny kretyński angielski wynalazek), czekając, żeby wytarło mnie buty. A on dalej siedział i pił tę swoją kawę, patrząc ponad moim ramieniem na ścianę obwieszoną widokówkami z Paryża, a ja patrzyłem, jak ludzie wychodzą całkiem jak bakterie szukające nowego żywiciela, którego mogłyby zainfekować. O tej porze nie przychodzi nikt nowy, zupełnie jakby lokal właśnie dostał antybiotyk.

- Wszystko w porządku? - spytał mnie Robert.

- Mam mętlik w głowie.

Wczoraj wieczorem miał przyjść do mojego mieszkania, żebyśmy mogli uczcić początek nowego życia razem. Zakończyłem związek z Catherine, a on miał tylko zerwać ze swoją dziewczyną. Nie pojawił się. Zamiast tego zatelefonował do mnie o północy i kretyńskim szeptem oznajmił, że wszystko jest zbyt skomplikowane i że spotka się ze mną jutro. Powiedziałem, że kupiłem kwiaty. A on mi na to, że musi kończyć. Proponowałem, żebyśmy się spotkali raczej u mnie niż tutaj - w końcu kawiarnia praktycznie sąsiaduje z moim mieszkaniem. Powiedział, że to nie jest dobry pomysł.

No i siedzieliśmy tak obaj. I wiedziałem, że tego nie zrobił.

- Nie powiedziałeś jej - oskarżyłem.

Ciągle się trząśł.

- Powiedziałem - odparł. - Wczoraj wieczorem.

- O mój Boże - ja na to. - Nie wiedziałem. Przepraszam. Kurczę. Wszystko w porządku?

Pochyliłem się nad stołem, żeby dotknąć jego ramienia. Oczywiście wszystko mu wybaczyłem. Zrobił to. Powiedział jej. Cóż, tego chciałem. Ścisłej biorąc, obaj chcieliśmy tego. Tylko gdzie się podziewał ostatniej nocy? Kiedy tylko zacząłem się zastanawiać nad tą kwestią, wysunął ramię spod mojej ręki.

- Nie.

- Robert?

- Powiedziałem jej. Powiedziałem, że ją zostawiam.

- Ale to chyba dobrze, prawda? Chyba że... Cóż, to jasne, że będziesz zdenerwowany, ale mogę ci w tym pomóc. Teraz już wszystko będzie dobrze.

- Tak mi przykro, Wolfgang. Zmieniłem zdanie.

Zdeptałeś moje serce, może jeszcze wrzucić moją duszę do mikrofalówki, co?

- Powiedziałem jej. Powiedziałem: „Odchodzę”, a ona mi na to „Nic podobnego”. Ot, tak. Wiedziała, że coś się dzieje. Nie jest głupia. My... O Boże, ja już nawet nie wiem, gdzie jestem, padam ze zmęczenia.

- My co? - pytam. - Co chciałeś powiedzieć? My...

- Spróbujemy jeszcze raz.

Ten idiota mówi o związku jak o dziecięcym nakręcanym bąku. Och, spróbuję jeszcze raz! Nie odezwałem się słowem, więc gadał dalej i bez końca opowiadał mi o tym, jak to myślał, że może jest gejem, a w każdym razie biseksem, ale teraz sam już nie wie.

Powiedział, że uważa, że najprawdopodobniej jest biseksualistą, co oznacza, że może zostać ze swoją dziewczyną, w końcu mają przecież dwójkę dzieci, i że ona miała rację, mówiąc mu, że powinien myśleć przede wszystkim o nich, a nie tylko o własnym kutasie.

Konsoleta!

Konsoleta?

Konsoleta.

Psiakrew. Muszę się stąd wynosić. Nie miałam pojęcia, że to umysł Wolfa, chociaż podejrzewam, że mogłam się tego domyślić z pieprzonych wskazówek. O Boże. O Boże. Nie mogę uwierzyć, że wlałam w jego życie z butami. Nie powinnam o niczym wiedzieć. Nie miałam pojęcia. Och, Wolf... Tak mi przykro. Gdzie się podziała ta kelnerka? Niestety, nie mogę się rozejrzeć: widzę oczami Wolfa, a on wpatruje się w stół. Żadnych drzwi. Żadnych mlecznych obrazów.

Konsoleta?

Nie pojawia się. Utknęłam.

Teraz Wolf wstaje i szykuje się do wyjścia z kawiarni. Ale w dalszym ciągu nie patrzy na nikogo.

I nagle już wiem, co on czuje. Ile to już minęło? Bodajże siedemnaście lat... Chryste, ależ się poczułam staro. Byłam zakochana, całkowicie, niewinnie zakochana, po raz pierwszy i dotąd jedyny,

w chłopaku, który robił magisterkę w naszym mieście, kiedy ja kończyłam średnią szkołę. Miał ciemne włosy do ramion i jeździł małym niebieskim mini. Sam widok tego auta na uniwersyteckim parkingu przyprawiał mnie o lekkie drżenie, jak dotknięcie serca

„chorego” (albo dziury w kształcie chorego) w „Małym chirurgu”. Potem rzucił mnie, bo byłam za młoda, i przez jakiś rok zachowywałam się jak semimaniakalna wielbicielka (posuwając się któregoś razu do zostawienia mu na progu kaktusa o zabawnym kształcie), zanim postanowiłam całkowicie dać sobie spokój z miłością.

Wolf jednak nie zamierza nikogo maniakalnie śledzić. Wolf zamierza się upić.

Upijemy się...

Ja się upiję.

Zaczyna padać śnieg. Ludzie miażdżą na chodniku białe płatki w śniegową breję instant; ma dokładnie taką konsystencję, jaką miała mrożona lemoniada, którą robiła dla nas matka Heike, kiedy wracałyśmy popołudniami w szkolnych mundurkach. Breja na chodniku jest brudna i brązowa. I to jest to: życie wyrażone w jednym momencie. Zaczyna się od czystej lemoniady z kruszonym lodem, a kończy się w takim gównie. Oto czym się stajemy. I już wiem, dokąd zmierzam, więc jak robot brnę przez brązową maź, nie płacząc. Jeszcze nie płaczę.

Ale będzie dobrze. Jeśli wypiję dostatecznie dużo bourbona, człowieczeństwo zacznie ze mnie uchodzić. O trzeciej nad ranem będzie mi już wszystko jedno. Może już za godzinę będę dostatecznie znieczulony, żeby przestać myśleć o tym, kiedy się wypłaczę. Do rzadkiego śnieżku doszedł lodowaty wiatr, lecz nie chce mi się nawet zapiąć płaszcza na guziki. Szalik chyba zostawiłem w kawiarni. I dobrze. Może zamarznę na śmierć. Wyobraźcie sobie sobie zamarzniętego na śmierć w parku, zastygłego na ławce z tym moim złamanym sercem. Robert przeczyta o tym w lokalnej gazecie i... A oto i smutniejszy obrazek. Umieram jak poprzednio na parkowej ławce etc, a ten skurwiel nawet o tym nie czyta. Mógłbym zdechnąć i nikt nawet by tego nie zauważył. Może moja sąsiadka Ariel zauważyłaby coś po kilku dniach. Ale Catherine teraz już na pewno to nie obejdzie. Nic nie powiedziała, kiedy kończyłem nasz związek. Nie płakała. Nie mówiła, że popełniam błąd. Nie błagała, żebym przestał myśleć o facetach. Jak o tym myślę, prawie nabieram ochoty, żeby iść prosto do parku i rozpiąć wszystkie guziki tej zniechęconej czerwonej koszuli, aczkolwiek wbrew temu, co wszystkim opowiadam, żaden ze mnie materiał na samobójcę.

Jakiś facet o wyglądzie urzędasza idzie w moim kierunku, trzymając nad głową gazetę, żeby płatki śniegu nie opadały mu na łysinkę. Ej, idioto! Obciągałeś komuś druta? Bo ja tak.

Z drugiej strony to znacznie powszechniejsze niż się ludziom wydaje.

Prawdopodobnie on też to kiedyś robił.

(Nad starszym mężczyzną majaczy kontur drzwi, ale się waham; potem Wolf odwraca wzrok i drzwi znikają).

Chcę, żeby coś mnie bolało. Chcę fizycznego bólu, nie tego mentalnego gówna. To byłby idealny moment, żeby pójść do dentysty. *Hello, Herr Doktor*. Niech pan sobie zaszaleje...

Mógłbym walnąć głową o latarnię. Mógłbym spróbować poszukać bijącego cioty piłkarskiego chuligana, który kopałby mnie w głowę leżącego na ziemi w pozycji obronnej i/albo płodowej. Idę w kierunku Westgate Tower, ciasnego odbytu w centrum miasta. Raz użyłem tego określenia i osoba, z którą wtedy rozmawiałem, była wstrząśnięta. „To nigdy nie widziałeś, jak próbuje się przez niego przecisnąć autobus? - powiedziałem. - Wszystkie wyglądają, jakby potrzebowały dobrego lubrykantu”. Ha. Jeśli chcę wdać się w bójkę, to jestem w niewłaściwej części miasta. Mógłbym teraz ruszyć w kierunku mieszkania, a potem pokręcić się przy lokalu z kebabami i czekać na gangi „młodocianych”. Co bym zrobił?

Wystarczyłoby, żebym zaczął się na kogoś gapić. Nie musiałbym nawet wyzywać go od ciot. A wiecie, komu najchętniej dałbym się pobić? Chcę, żeby rozpierduchę zafundowały mi pedały, które wetkną mi później pięść do dupy. Chcę czegoś bolesnego, co zagłuszy ten ból.

Konsoleta?

Konsoleta?

Wciąż nic. A Wolf nie odrywa wzroku od chodnika.

Idziemy dalej, w kierunku St. Dunstans. W końcu stajemy przed drzwiami, których nigdy wcześniej nie widziałam. Cóż, równocześnie z myślą, że nigdy ich nie widziałam, napływa świadomość, że dość często tu przychodzę. Idę w dół po schodkach do podziemnej winiarni. I siedzę tam do zamknięcia, wlewając w siebie jacka danielsa, taksując wzrokiem każdego faceta, który przechodzi obok mnie. Sądzę, że jeden z nich zareaguje. Jeden z nich będzie chciał się ze mną bić albo pieprzyć, ale równie dobrze mógłbym być niewidzialny. I może rzeczywiście jestem. Może jestem niewidzialny. Kiedy proszą o składanie ostatnich zamówień, podchodzę do baru po kolejne trzy drinki.

- Jestem widzialny? - pytam barmana. - Widzisz mnie?

Złamasy wyrzucają mnie na ulicę. A ja jeszcze nie jestem dość pijany. Idę do hotelu.

Natykam się na menadżera imieniem Wesley, eks-wykidajkę.

- Ej, dzisiaj nie masz szychty - mówi do mnie.

- Pić - mówię. - Chcę się tylko napić.

Moje wnętrze ma temperaturę czynnego wulkanu. Muszę coś z tym zrobić.

Zastanawiam się, czy nie wyjaśnić tego Wesleyowi, lecz on mówi tylko:

- Okej. Ale tylko parę drinków, bracie.

Dzisiaj na fortepianie gra Melissa. Siadam jak najbliżej, po jej prawej stronie, i gapię się na nią dostatecznie długo, żeby zagrała trzy złe nuty w jednym takcie. W każdym razie moim zdaniem były złe. Teraz zły wydaje mi się cały świat. Czemu tu jestem? A tak... przez tego bydlaka Roberta. Może kiedy wrócę do domu, będzie na mnie czekał z walizką, ocierając oczy zwiniętą w kulkę chusteczką.

Chyba tylko w moich snach. Albo jak mówi Ariel, w innym wszechświecie - może akurat w tym, w którym jestem też bogaty. I tutaj pojawia się kolejny problem: po dzisiejszym wieczorze będę spłukany. Ciekawe, czy mi pożyczą forsy. Nie. Czy aby nie mówiła, że wszystko wydała na tamtą książkę? Może mógłbym ją ukraść? Mówiła, że to jedna z najrzadszych książek na świecie... Jak bym to zrobił? Wprosiłbym się na drinka przed snem, a wychodząc, zostawiłbym niedomknięte drzwi. Mógłbym później wrócić i...

Wolfgang, ty draniu. Jesteś jej przyjacielem.

Fortepian jest taki błyszczący, że wygląda, jakby mógł za chwilę wyjść stąd na czterech sztywnych nóżkach. Czy zaraz zwymiotuję? Spokojnie, spokojnie. Pójdę się odlać.

To mi pomoże.

Jestem całkiem sam we fluorescencyjnej toalecie, lejąc do ceramicznego pisuaru, kiedy do łazienki wchodzi jakiś koleś. Na portrecie pamięciowym zapewne wyglądałby atrakcyjniej niż na żywo. Ma olbrzymie brwi, które jakoś nie pasują do oczu koloru trutki na ślimaki. A może to przez ten jego nos, który wydaje się niedbale dołożony do reszty albo jakby ktoś przed chwilą go rozkwasił? Podchodzi, staje przy mnie i wyciąga kutasa, ale nie zaczyna szczać. Zerka na mnie, na mojego kutasa, a potem patrzy mi w oczy. Ja patrzę na jego fiuta. On znowu zerka na mojego fiuta. Czy to rodzaj jakiegoś tajemnego szyfru? Zanim dociera do mnie, co się dzieje, jesteśmy już w jednej z kabin. Klęczę na oślizgłej, wyłożonej terakotą podłodze z jego kutasem w ustach. Czuję tylko smak zimnego moczu.

Kiedy jest po wszystkim, nazywa mnie szmatą i wychodzi. Znowu myślę o *Dawidzie* Donatella i właśnie wtedy zaczynam płakać, po czym wymiotuję do kibla za moimi plecami: jacka danielsa z koronką spermy i tylko wspomnieniem kawy. Z kobietami jest łatwiej.

Znajdę taką, która mi pomoże. Ja... O Jezu. Chyba już nigdy w życiu nie będę miał ochoty na seks. Tyle że bez seksu, lub chociaż obietnicy seksu, niczego nie da się załatwić (chyba że mi się popieprzyło i wcale nie mam na myśli seksu, tylko przemoc, ale mam trochę w czubie).

Może spróbuję się powiesić, chociażby dla odrobiny współczucia. Czy łatwo jest zrobić to nieskutecznie?

Przez kilka następnych minut mąci mi się w głowie. Wesley - jestem pewny, że to on -

wchodzi w momencie, kiedy przesuwam skobelek, otwierając drzwi kabiny. Wlecze mnie korytarzem do kuchni, gdzie udaje mi się wetknąć łokieć do lodowatego pojemnika z koktajlem krewetkowym, zanim ląduję z twarzą przyciśniętą do lady z nierdzewnej stali.

- Nigdy więcej tego nie rób w moim pieprzonym hotelu, ty pieprzona cioto - mówi Wesley.

Autentycznie nie mam pojęcia, o czym on mówi. Nie sądzę, żeby mnie wyrzucił.

Myślę, że to odpowiednik pierwszego formalnego ostrzeżenia. Czuję: ręka wykręcona za plecami. - Broń się, mięczaku - mówi, szarpiąc mnie do tyłu za kołnierz.

Śmieję się, zapominając, że w tym kontekście mięczak nie oznacza uroczego skądinąd bezkręgowca.

- Śmiejesz się ze mnie?

Obracam się, widzę pięść i świat robi się czarny.

Konsoleta?

Nic.

Wracając do domu, usiłuję wpaść pod samochód. Przechodzę nawet przez Westgate Tower jezdnią, mamrocząc: „Odbyt, odbyt”, ale ruch za mną zwalnia, jakby to był kondukt pogrzebowy, a nie jeden pijak, który potrzebuje, żeby skopać mu dupę. W parku próbuję skłąć parę dzieciaków na ławce, lecz tylko wyglądają na dotkniętych i uciekają. Zaczynam myśleć, że mogłem zapomnieć, gdzie mieszkam, a tu jestem na miejscu - jest i mój rower.

Przed wejściem spluwam na ziemię dwa razy. Dwaj goście w czarnym samochodzie rzucają mi paskudne spojrzenia, po czym odjeżdżają i parkują za rogiem. Może wysiądą, wrócą tutaj i pobiją mnie? Czy wciąż tego chcę? Jednak nic się nie dzieje: wygląda na to, że poszli spać.

Spać. To całkiem niezły pomysł. Może po prostu położę się spać i już się nie obudzę?

Ciekawe, czy Ariel ma tabletki nasenne. Mało prawdopodobne. Powinienem się teraz z nią zobaczyć? Czy jestem w stanie? Obiektywnie, czy wydawałbym się „w stanie”, gdybym miał

zaraz zapukać do czyichś drzwi? Prawdę powiedziawszy, nie sądzę, żeby starczyło mi energii na wejście po schodach. Na betonie za to może być całkiem wygodnie. Chyba po prostu...

- Och. Ehem... Przepraszam.

Kto to powiedział? Och... Jakiś facet schodzi po schodach. No, no! A jakie ma kości policzkowe! Ale... auć! Jest cały posiniaczony. Ariel poszła z nim do łóżka? Ja bym z nim poszedł, gdybym był nią. Wygląda tak, jak ona by wyglądała, gdyby była wysokim mężczyzną z ciemnymi włosami. To Ariel mężczyzna, ten Ariel. Co on tu robi? Czy to rzeczywiście Ariel w przebraniu? Czemu miałyby się przebierać i silić na inny akcent? Facet przeprasza. Przykro mu, ponieważ szykuję się do snu dokładnie tam, gdzie chce postawić stopy. Nie rozumiem, co się dzieje. To dla mnie zbyt skomplikowane. Chyba już pójdę do domu i położę się do łóżka.

- *Excusez-moi* - odpowiadam po francusku, żeby go zmylić. Zaczynam się gramolić z ziemi.

- Pomóc panu? - pyta.

- *Nein, danke.*

Aha. Jestem poliglotą. No tylko boki zrywać.

(Mój umysł nie jest w o wiele lepszym stanie niż Wolfowy, jakby to co wypił, wpłynęło także na mnie. Jednak mimo to myślę: „Adam. Co tu robi Adam?”).

- Jest pan sąsiadem Ariel?

- *Si* - odpowiadam ze śmiechem. - *Ja.*

Przegarnia ręką potargane włosy i wzdycha.

- Muszę ją odnaleźć.

- Mieszka na... chmurze. - Chciałem powiedzieć „na górze”. To takie zabawne.

- Wiem, gdzie ona mieszka. Nie otwiera drzwi.

- Wyszła... z tymi draniami... złamasami, łomami z pracy...

- Z kim...?

- Kolacja. Ze znajomymi z biura. A może to było wczoraj? Przepraszam... Jestem trochę pijany. Widzi pan, wieczorem stało się coś dziwnego i bardzo tragicznego, i...

- Słuchaj, przykro mi, koleś. Jeśli nie możesz mi pomóc, to nie pomagaj. Ale nie marnuj, do cholery, mojego czasu, okej? To poważna sprawa. Jej życie jest w niebezpieczeństwie, jeśli to cokolwiek dla ciebie znaczy.

- W niebezpieczeństwie? Od kutasa?

- Co? Kurwa mać, człowieku, weź się w garść.

- Alarm! Alarm! Ariel jest w niebezpieczeństwie? Musimy jej pomóc. Gdzie są granaty?

- Och, nieważne.

- Przepraszam, że tak się zachowuję. Proszę, pomóż mi. Wiesz, ona jest moją przyjaciółką.

Ten drugi wzdycha.

- Na dworze jest dwóch facetów, zgadza się? Jeden w czarnym garniturze, a drugi w szarym. Obaj mają jasne włosy, jak twoje albo trochę jaśniejsze. Jeden ma kocią bródkę. -

Facet gestykuje mi przed nosem, jakby mógł wyczarować tych gości, rysując ich w powietrzu. - Chyba jeżdżą czarnym sedanem. Widziałeś ich?

- Kogo? Są tutaj? Nie. Nie wiem. Czarny samochód był...

- Gdzie?

- Co?

- Mówiłeś coś o czarnym samochodzie.

- Tak? Sorry. Nie pamiętam.

- Słuchaj, myślę, że ci goście mają broń. Są bardzo niebezpieczni. Byli w antykwariacie i zdobyli informacje o Ariel. Kupiła książkę, na której im zależy, to wszystko, co udało mi się wydedukować.

- Och, ty o tym? Cóż, Ariel tej książki nie sprzeda. Nigdy.

- Co to za książka?

Nie mów mu, Wolf. Nie mów mu.

- To... Och. W głowie mam głos, który powtarza, że nie mogę ci powiedzieć.

- Co to za książka?

Kręcę głową.

- Nie. Sorki. *Herr Doktor* zabronił.

Nie rozumiem, skąd tyle głosów wzięło się w mojej głowie. Jeden powtarza, żebym niczego nie wyjaśniał, drugi, że powinienem natychmiast iść po tę książkę. I - aua! - nawet nie próbować jej opylić, tylko grzecznie oddać ją miłemu panu, który mnie o nią poprosi...

Przejdźcie, jakieś takie kościelnawe, majączy wokół ciała Adama. „Zmiana! -

komenderuję. - Zmiana!” Muszę się dowiedzieć, co się tu święci. Zaczynam się rozmywać, jak poprzednio, ale zamiast przenieść się do głowy Adama, czuję się, jakbym spadała, lecz nie w dół. Zanim jestem w stanie dojść, co się właściwie dzieje i jakim cudem można „spadać” w innym kierunku niż w dół, ląduję tuż przed sklepem muzycznym. Jestem z powrotem w Troposferze, leżę na tłuczniu i spoglądam na migające neony i czarne bezgwiazdne niebo. Jest tak, jakby ktoś raptem wszystko wyłączył: pulsowanie w łepetynie Wolfa, zapach wilgoci w betonowej alejce, zimno, odgłosy z ulicy przed moim mieszkaniem i samego Wolfa. Tak jak wcześniej w Troposferze panuje niemal całkowita cisza. Nie ma żadnych hałasów: ptaków, ruchu, ludzi. Jedynym dźwiękiem, jaki dotąd słyszałam w Troposferze, był odgłos moich kroków. Czy windy wydawały jakiś dźwięk? Nie mogę sobie przypomnieć.

Muszę się stąd natychmiast wydostać i znaleźć Adama.

Czemu jacyś goście z gnatami mieliby szukać tej książki? Nie znam Adama zbyt dobrze, lecz było

jasne, że wierzył w swoje słowa i próbował mi pomóc. Czy to on doprowadził do mnie tych facetów - tych w samochodzie? A może to wszystko tylko mi się śni? Męczy mnie to, co Adam powiedział o dziewczynie z antykwariatu. Oczywiście nie wiedział, co się stało ani dlaczego, ale ja do tego dojdę. To logiczne: jak ktoś chce zdobyć *Koniec pana Y*, nie przestaje go szukać; tyle akurat wiem. Ci goście musieli wpisać tytuł w Google'u i natknąć się na intrygujący nowy link - blog dziewczyny opisującej, jak sprzedała tę powieść w antykwariacie. Więc odszukali antykwariat, pojechali tam i wy pytali o osobę, której ją sprzedała. Założę się, że nie pamiętała nic oprócz tego, że była to młoda kobieta, która robi doktorat na uniwersytecie. Co się potem dzieje? Mężczyźni wchodzą na stronę uniwersytetu i szukają nazwiska „Lumas”. I znajdują je pod tematyką mojej pracy badawczej w zakładce „Pracownicy naukowci”. I zdają sobie sprawę, że to ja kupiłam tę książkę. Więc przychodzą mnie szukać... A mnie łatwo znaleźć. Jak każdego, kto pracuje na uniwerku.

Szukać można rozmaicie i w przeróżnych miejscach i zawsze dojdzie się do mnie: Ariel Manto - do mojego aliasu, mojego pseudonimu literackiego, nazwiska, które przybrałam, kiedy miałam zaledwie osiemnaście lat i nie chciałam być sobą. Tematyka prac badawczych: Derrida, Nauka i literatura, Thomas E. Lumas.

Przynajmniej to „Ariel” jest prawdziwe. I owszem: pisałam poezję, nie sztuki.

Gęsta jak syrop martwota Troposfery nie pozwala mi wpaść w panikę, więc spokojnie podnoszę się z chodnika i obracam w kierunku wyjścia, chociaż jakaś cząstka mnie chciałaby zostać tu, gdzie ci ludzie nie mogą mnie dorwać. Wielkie miasto do mojej wyłącznej dyspozycji wydaje się lepsze od mężczyzn ze spluwami. Ale potem myślę o sobie takiej, jaka muszę być w realnym świecie, taka wyautowana na sofie, że nawet nie słyszę, jak ktoś dobija się do drzwi. No, Ariel. Wynoś się stąd i uciekaj. Pogadaj z Adamem i zrób, co będziesz musiała, lecz skoro w grę wchodzi uzbrowieni faceci, lepiej już uciekaj. Wynoś się stąd i uciekaj. Wynoś się stąd i...

Za mną rozlega się cichy brzęk.

I trzask: długi, przeciągły dźwięk w wysokim rejestrze. Obracam się na pięcie. Coś się pochrzaniło. Powinnam tu być sama. Powinnam...

To drzwi. Dźwięk otwieranych drzwi. Drzwi sklepu muzycznego. O kurwa. A ze środka wychodzi facet... nie, dwaj faceci, którzy wkraczają do Troposfery niczym kosmici schodzący na Ziemię z pokładu statku. Wyglądają dokładnie tak, jak opisał ich Adam: jeden w szarym garniturze i jeden w czerni. Obaj są blondynami. Ale mają w sobie coś mgliście kojarzącego się z postaciami z kreskówek. Jakby się wyświetlali na bluescreenie. Na dodatek są z nimi - no nie! - jakieś dzieciaki. Dwaj mali chłopcy, też blondyni jak ci faceci, choć może z odrobinę jaśniejszymi włosami.

- Tutaj jest - odzywa się ten w szarym garniturze, a poruszenia jego ust nie do końca odpowiadają wypowiedzanym przez niego słowom. - Popatrz, już wykombinowała, jak się tu włazi.

Amerykański akcent. Cholera. Uciekać i spróbować ich zgubić gdzieś w bocznych zaułkach? Coś mi podpowiada, że to by nie było dobre rozwiązanie.

- Nie przejmuj się - odzywa się drugi. - Szybciutko sobie z nią poradzimy. - Następnie zwraca się do

mnie: - Złaż z drogi. No rusz się. Nie bój się, my nic ci nie zrobimy.

Poczekamy, aż smyki wezmą cię w obroty i lekko ci dopieprzą. Dowiemy się, gdzie schowałaś książkę. To nie będzie bolało.

Chłopcy ruszają naprzód tanecznym krokiem marionetek. Odcień ich skóry przypomina róż surowego mięsa z zamrażalnika. Jeden ma na sobie strój kowbojski, drugi niebieską pelerynę.

- Wpuść nas - intonuje śpiewnie jeden, jakby był statystą w adaptacji Dickensa.

- Chcemy się pobawić - mówi drugi.

Obaj mają sarkastyczne spojrzenia i blade oczy, tak jasne, że niemal białe.

- Złaż z drogi - odzywa się ponownie czarny garnitur. - Daj się dzieciakom zabawić.

Miałabym zejść z drogi? Niedoczekanie wasze. Ale też nie chcę, żeby te dziwolągi -

mężczyźni czy dzieciaki - znalazły się bliżej mnie. Cofam się, gdy cała czwórka rusza w moją stronę. Potykam się o coś: myślę, że to jeden z billboardów stojących przed sklepami, lecz okazuje się, że to stelaż z gazetami i pocztówkami. Szybko odzyskuję równowagę i kopniakiem posyłam stelaż im pod nogi. Dzieciaki widzą to i przeskakują nad nim. Faceci natomiast zachowują się, jakby nie widzieli, co robię.

- Cokolwiek wyprawiasz - odzywa się ten w szarym - to już koniec. No, śmiało.

Odsuń się. Musimy cię tylko wyminąć. Au! Cholera, co to było, do ciężkiego diabła? Tylko pogarszasz sytuację. To wcale nie musi być przykre, zrozum.

Chcą się wdrzeć do mojego umysłu...? Jak? Myśl, Ariel! Gdzie oni teraz są? Okej. Są w Troposferze, podobnie jak ja. No myśle. Dodaj dwa do dwóch. Aby znowu się znaleźć we własnej skórze, idę tą drogą, dopóki nie dotrę do tunelu. Czyli muszę jakoś spowodować, żeby tam nie poszli. Może się mylę, ale nie mam lepszego pomysłu, „Pomocy!”, myślę. Nic się jednak nie dzieje. Chociaż... Na tłuczniu pojawił się stalowy drąg. Schylam się i podnoszę go z ziemi.

- Kim jesteście? - pytam.

Wciąż idą w moim kierunku, zajmując niemal całą szerokość uliczki.

- Chcemy tylko zabrać tę książkę - mówi ten szary.

- Po prostu musisz zacząć z nami współpracować - dodaje drugi.

- A jeśli nie będziesz chciała... Cóż, tak naprawdę nam jest wszystko jedno, co musimy zrobić, żeby zdobyć tę książkę. Kojarzysz, jak czaiłaś się w umyśle swojego znajomka, tylko obserwując? To poziom pierwszy. Jak dzieciaki znajdą się w twoim umyśle, zrobią z niego spaghetti.

- *On top of Old Smoky...* - śpiewa pierwszy dzieciak; czemu akurat słowa ballady o wiarołomnym kochanku...?

- Nie zbliżajcie się do mnie - mówię. - Kurwa mać. Nie zbliżajcie się do mnie...

Macham stalowym drągiem w kierunku mężczyzny w szarym garniturze, stojącego najbliżej mnie. On nie reaguje, dopóki drąg nie uderza go mocno w bok głowy: zupełnie jakby wcale go nie widział. Tak samo jak tamtego stelaża z gazetami.

- Ty mała pizdo - syczy do mnie, chwiejąc się i łapiąc za głowę. - Martin, - ona ma broń.

- Wiecie, co robić - odzywa się ten drugi facet. - Równie dobrze możemy ją tu załatwić, a potem pójdziemy do jej mieszkania po książkę. Założę się o każdą forszę, że najzwyczajniej stoi na jakiejś półce, a w każdym razie jest gdzieś na widoku.

Jeden z chłopczyków dłubie w nosie i jak przypuszczam, czeka ciekawym, co teraz zrobią dorośli. Drugi chłopiec, może odrobinę starszy, patrzy na mnie.

- Jak już będę w twoim umyśle, nasikam na twoje wspomnienia - mówi. - Później walnę takie kupsko, że wszystkie inne myśli wyjdą ci oczami. I nic nie możesz na to poradzić.

Widzę siebie w zakładzie dla obłąkanych, ze stróżką śliny spływającą z ust. „Mówi pan, że co się z nią stało? Och, zwariowała. Najpierw myślała, że opanowała telepatię, a potem, kompletnie bez powodu, mózg jej wysiadł. Zmienił się w spaghetti, ot tak. To smutne.

Przymierzała się do pracy doktorskiej, zanim to się stało”. I już nigdy, przenigdy nie będę mogła nikomu opowiedzieć, co się ze mną stało. Nie będę miała pamięci. Będę... W

porządku, teraz już mam pietra.

Konsoleta?

Konsoleta się pojawia. Mężczyźni i chłopcy podkreśleni są na czerwono.

Niebezpieczeństwo. Jasne - tyle to już sama wydedukowałam. Zatłoczona uliczka za nimi pojawia się w czarno-białej, mocno przyszarzonej wersji. To coś nowego.

„Masz zero opcji”, oznajmia kobiecy głos.

Jak mogę mieć zero opcji?

„Akurat nigdzie nie jest otwarte”.

W porządku. Powiedz mi, co mogę zrobić. Są jakieś inne opcje?

„Możesz zakończyć grę, wychodząc”.

Nie chcę kończyć gry. Ci psychole wejdą do mojego umysłu, jeśli to zrobię.

„Masz zero opcji”.

Czyli to już koniec, tak? Wychodzę, a potem umieram?

„Możesz wybrać zagranie kartą Apollona Smintheusa”.

Co?

„Zbliża się niebezpieczeństwo.

Konsoleta ma rację. Mężczyzna w czarnym garniturze zbliża się do mnie z... Auu! O

rany. Myślałam, że tutaj nie można czuć bólu. O kurwa. To jak ból miesiączkowy w mózgu.

Albo taki mózgowy ból zęba... Padam na kolana. „Okej - przemawiam do konsolety. - Zagraj kartą Apollona Smintheusa. No już, teraz. Teraz. O Boże”.

ROZDZIAŁ 15

Ile minęło czasu? Nie wiem. Ale obaj faceci i te dwa koszarne smarkacze nie posunęli się ani trochę do przodu, a przy mnie nagle pojawiło się coś - lub ktoś. Wciąż klęczę na czarnym tłuczniu, trzymając głowę w dłoniach, uciskając palcami skronie, usiłując odegnać ból. Nie mogłam się bardziej pomylić co do Troposfery. Sądziłam, że tutaj nie można niczego czuć, jednak ból okazał się intensywniejszy niż cokolwiek w realnym świecie. W dodatku to najgorszy możliwy rodzaj bólu: nie ostry i palący jak od noża, tatuażu czy kocich pazurów.

Czy ból głowy może być miły? Nie sądzę. A to najgorszy ból głowy, jaki miałam w życiu: coś wyżyma mój mózg jak mokrą ścierkę. Nie jestem w stanie zamknąć oczu, chociaż migający neon nad ulicą przyprawia mnie o zawroty głowy. Co więcej, migoczący neon właśnie zaczyna się rozpadać. Rozpada się i zmienia w rodzaj szarej kaszy jak wtedy, kiedy zanika sygnał w telewizorze, rozpada się właściwie wszystko: sklepy, bloki, sama ulica.

Troposfera musuje i strzela, jakby nadawano ją na niewłaściwej częstotliwości.

Cisza wokół mnie robi się niemal zbyt głośna, więc kiedy to całe musowanie i strzelanie zmienia się w przeraźliwy trzask przypominający pożar w suchym lesie, a dwaj mężczyźni zaczynają rzucać uwagi w stylu: „Skąd się toto, kurwa, wzięło?”, chcę tylko szybko umrzeć, żeby już nie czuć tego bólu. „Toto”, wciąż tkwiące u mojego boku, ubrane jest w długi czerwony płaszcz i w czarne buty z cholewami, ale widzę, że pod tą szatą kryje się zwierzę: jakiś rodzaj hybrydy, krzyżówki z myszą, o nogach (łapach?) porośniętych szarym futrem. Stać mnie tylko na zarejestrowanie tego faktu, kiedy obraz zaczyna się rozpadać podobnie jak wszystko inne. Teraz chcę tylko, żeby to się stało szybko, żeby wszystko się zamknęło i znikło.

Apollo Smintheus, o ile to on, przemawia w języku, którego nie rozumiem, i nagle znika cały ból i szara kasza, jakby telewizor znowu się nastroił na właściwy kanał, wszystko jest jasne i wyraźne.

Wstaję, chwając się lekko. Apollo Smintheus jest wyższy ode mnie: musi mieć z osiem stóp wzrostu, kiedy stoi na tylnych łapach. Na ramieniu ma kołczan pełny strzał. Jego szpiczasty mysi pyszczek jest pokryty szarym futrem, ma też mysie wąsiki. To prawdopodobnie najdziwniejsze stworzenie, jakie w życiu widziałam. Kiedy jednak odzywa się ponownie, słyszę angielszczyznę z amerykańskim akcentem.

- No, no - mówi. - Pierwsze widzę. Co to za ludzie?

- Nie wiem - odpowiadam.

- Ale to ci źli?

- Tak. Gdybyś mógł mi pomóc... - Chce mi się płakać. - Proszę.

- W porządku. Nie martw się.

Znowu zaczyna przemawiać w tym innym języku. Równocześnie podnosi łuk i zakłada na nim strzałę wyjętą z kołczanu. Wypuszcza ją w kierunku faceta w szarym garniturze, lecz ten jakimś cudem zmienia kierunek jej lotu. Nie wszystko zrozumiałam z tego, co działo się potem. Dzieciaki chowają się za nogami mężczyzn, później coś zdaje się zbliżać do Apollona Smintheusa, rodzaj kuli żółtego światła - Apollo Smintheus tylko unosi rękę i odbija ją ku mężczyźnie w czerni. Tamten pada na ziemię, trzymając się za głowę, tak jak ja wcześniej. Dwaj chłopcy spoglądają na niego, na siebie, po czym odwracają się i uciekają ulicą. Apollo Smintheus ładuje kolejną strzałę i posyła ją w stronę faceta ubranego na szaro. Strzała wbija mu się w szyję, z rany jednak nie tryska krew, facet potyka się, zauważa, co się stało, oburącz ujmując strzałę i wyszarpuje ją z ciała, pozostawiając ziejącą dziurę z falbankami rozerwanej skóry jak w jakimś obrzydliwym pornosie z Internetu.

Kiedy zaczyna mówić, widzę, jak podryguje mu krtań.

- Ty skurwielu - cedzi ochryple. - Czemu jej bronisz?

- Och, poprosiła mnie o to - odpowiada Apollo Smintheus.

- Na rany Chrystusa, co zrobiła ta baba, że zwróciła na siebie uwagę boga?

- Zrobiła to na dawną modłę. Pomogła myszy - powiada Apollo Smintheus, zakładając kolejną strzałę. - A teraz, jak to mówią w Illinois: idź do diabła, tępy fiucie!

Illinois?... Bóg?... Ja na pewno śnię. Panu Y nic podobnego się nie przytrafiło. To wszystko efekt oddziaływania na mój słaby umysł telewizji, kina i gier wideo - co nie znaczy, że grywam w nie zbyt często. Kompletne szaleństwo. Ale muszę przyznać, że sprawia mi niemałą frajdę, gdy Apollo Smintheus śle strzały w dwóch blondynów, jakby to były dwuwymiarowe plansze treningowe w strzelnicy łuczniczej. Nie są martwi, leżą jednak pokotem na ziemi. Co trzeba zrobić, żeby kogoś tutaj zabić? Apollo Smintheus podchodzi do nich i wyciągnąwszy spod szaty zwiniętą linę, mocno wiąże ich razem. Następnie wraca do mnie, mamrocząc pod nosem. I kiedy tak mruczy w dziwnym, nieznanym mi języku, wokół

mężczyzn zaczyna się materializować klatka: mająca kształt dzwonu, podobna do przerośniętej klatki dla ptaków, zrobiona ze srebrzystych drutów. Kiedy Apollo Smintheus na powrót staje u mojego boku i odwraca się, mężczyźni są uwięzieni i nieprzytomni jak stwory z bajek.

- Gotowe - mówi.

- Dziękuję ci - odpowiadam. - Dziękuję z całego serca. Ja... - Omiotam spojrzeniem ulicę. Nie widać ani dzieciaka w pelerynie, ani dzieciaka kowboja. - Co z tymi dziećmi?

- Nie musisz się nimi przejmować. Kawy? - proponuje Apollo Smintheus. - Możemy pójść do mnie i wszystko ci wyjaśnię. Przepraszam. Gbur ze mnie. Przecież mogę tu ściągnąć mój dom, rzecz jasna. Chyba że wolałabyś wyczarować swoje mieszkanie?

Nie wiem, o czym on gada, więc szybko kiwam głową.

- Twoje - mówię tylko.

Apollo Smintheus znowu rozpoczyna inkantacje i między sklepem muzycznym przy tej ulicy a czymś, co robi wrażenie sali bilardowej (której wcześniej tu nie zauważyłam), otwiera się łukowate przejście. Wygląda jak mysia nora z kreskówek o Tomie i Jerrym, tyle że w wersji dla dorosłych i odgrywanej przez aktorów. Sama nie wiem, jak długo jeszcze zdołam to znosić. Jeśli to wszystko dzieje się w mojej wyobraźni, to jestem znacznie bardziej zwichrowana, niż sądziłam. Może powinnam brać leki.

- Tędy.

Przechodzimy łukowatym korytarzem do czegoś, co można jedynie określić jako połączenie mysiej nory z minimalistycznym apartamentem na Manhattanie. Wnętrze tonie w bieli i byłoby lekkie i przestronne, gdyby tu kiedykolwiek bywał dzień i gdyby dużych okien w głębi nie zasłaniały grube koce. Przy ścianach stoją sosnowe regały z grubymi półkami, lecz wszystkie są puste. Nic nie leży na stołach i stolikach. Podłoga jest chyba wyłożona ciemnym lakierowanym parkietem, ale ledwie ją widać pod trocinami. W rogu pomieszczenia mieści się gniazdo: mnóstwo białej waty zwiniętej w wielką kulkę. Apollo Smintheus prowadzi mnie przez ten pokój do następnego. Ten drugi bardziej przypomina osiemnastowieczną jadalnię z otwartym kominkiem i parą foteli bujanych.

- Siadaj, proszę - mówi. - Zrobię kawę.

Spodziewam się, że wyjmie staroświecki czajnik i zawiesi go nad paleniskiem, jednak nie robi po prostu nic. Mimo to kiedy patrzę na stół, na wiklinowej macie przede mną stoi kubek parującej czarnej kawy.

- A więc - mówi Apollo. - Ty nie jesteś bogiem.

- Raczej nie - odpowiadam. Chcę się uśmiechnąć, ale wciąż jestem roztrzęsiona i spanikowana po spotkaniu z tamtymi facetami i popieprzonymi dzieciakami. - Ci goście...

Oni nie są martwi, prawda?

- Nie. Tutaj nie można zabijać.

- Jak długo będą w tej klatce?

Apollo Smintheus buja się w fotelu.

- Dopóki starczy mi energii, żeby ich tam trzymać. I oczywiście dopóki będę ich chciał tam trzymać. Co oni ci zrobili? Czemu walczyliście?

- Powiedzieli, że wejdą do mojego umysłu i zrobią rozpierduchę - wyjaśniam. - A raczej chcieli na mnie nasłać tych małolatów.

- Ojej.

- Ano. Chyba... chyba uratowałeś mi życie.

- Tak naprawdę nie mogą ci tutaj nic zrobić - oznajmia Apollo Smintheus. - Ale przypuszczam, że wybierali się do twojego... - wypowiada słowo w tym swoim dziwnym języku.

- Do mojego czego?

- Jak ty byś to nazwała... To oczywiste, że moi przyjaciele z Illinois nie mają dla tego nazwy. Dla portalu do twojej świadomości. Macie na to jakieś określenie?

Przecząco kręcę głową.

- Nie. To dla mnie zupełna nowość. Nie jestem nawet pewna, czy mi się to wszystko nie śni.

- Cóż, ale wiesz, o co mi chodzi.

- Tak. I właśnie dlatego próbowałam się bronić. Chyba. Tak trudno się w tym wszystkim połapać.

- No. To jak się tu wszyscy dostaliście? - pyta. - Nie powinno was tu być.

- Słucham?

- Nie jesteś bogiem. Jesteś istotą fizyczną. Jak się tu dostałaś?

- Przeczytałam książkę. Były w niej instrukcje... Właśnie to chcą ci faceci, nawiasem mówiąc. Tę książkę.

Pali się ogień, więc powinno tu być ciepło, lecz nie czuję nic powyżej ani poniżej temperatury ciała. Podnoszę ze stolika kawę i kubek rzeczywiście wydaje się gorący w dotyku, gorąco jednak jakimś cudem nie przenika do moich dłoni. Upijam łyk. To najsmaczniejsza kawa, jaką w życiu piłam, choć kiedy ją przelękam, wrażenie jest takie, jakby po prostu zniknęła. Nie czuję jej w żołądku.

Apollo Smintheus marszczy czoło.

- Po co im ta książka?

Upijam kolejny łyk kawy.

- Nie wiem. To znaczy, skoro najwyraźniej wiedzą już, jak się tu dostać, na pewno nie chodzi im o te instrukcje. To kompletnie bez sensu.

- Nie chcą, żebyś ty ją miała. Chcą powstrzymać ludzi przed pojawianiem się tutaj.

Hm... Myślę, że o to im chodzi. Nie jest to najgorszy pomysł. Niedobrze, żeby ludzie tu przychodzili. Jesteś pierwszym człowiekiem, którego zobaczyłem na własne oczy, ale nie pierwszym, o którym słyszałem. Oczywiście jak najbardziej popieram, że tu przychodzisz i pomagasz myszom. Tylko dlatego dostałaś to, co pozwala ci mnie przyzwać, cokolwiek to jest.

- To była wizytówka.

- Och. - Uśmiecha się. - Pierwsza klasa.

- Muszę zapytać: czemu ludzie nie powinni tu przychodzić?

- Ten wymiar... Chyba użyłem właściwego słowa? To nie jest coś, co kiedykolwiek dane wam będzie zrozumieć. Powiedz, co masz przed sobą w tej chwili?

- Nooo... stół i fotel, w którym siedzisz. Palenisko. I...

- Żadnej z tych rzeczy tu nie ma - przerywa. - Oprócz mnie. A ja nie widzę tego, co widzisz ty.

- To co widzisz?

- Nic, co umiałabyś nazwać słowami. A tak z ciekawości, czym jestem?

- Jesteś... - Jak to najlepiej ująć? - Jesteś myszoczłkiem.

Śmieje się.

- Myszoczłkiem. Może nawet mam futro?

- Tak.

- Jakiego koloru?

- Szarego.

- Mam łuk i strzały?

- Tak.

- Jestem w coś ubrany?

- Tak. W czerwonej szacie.
- W czerwonej szacie? - Znowu parska śmiechem. - Skąd to się wzięło? Na żadnej z podobizn nie mam niczego takiego na sobie.
- Jakich podobizn?
- Przypuszczam, że wiesz, kim jestem? Sprawdziłaś mnie?
- Tak. Jesteś Apollo Smintheus. Bóg myszy.
- Były jakieś ilustracje?
- Tak. Jakaś moneta... Ale nie widać zbyt wyraźnie.
- Nie jestem, rzecz jasna, myszą. Zwykle nie.
- Och. Przepraszam... - Z jakiejś przyczyny przeprosiny wydają mi się na miejscu, przeprosiny za to, co mam przed oczami.
- Jestem wcieleniem greckiego boga Apollona. A w każdym razie nim byłem. Od tamtej pory mnie rozwijano. Albo... jak to mówią chłopcy?... upgrade'owano.

Odstawiam kawę. Wrażenie picia czegoś, co tak naprawdę nie istnieje, jest dziwaczne, przypomina bulimię. Niemożliwe, żeby to się rzeczywiście działo. To o niebo zbyt dziwne.

- Kompletnie się pogubiłam - wyznaję. - Chcesz powiedzieć, że jesteś czymś innym niż to, co widzę przed sobą?
- O, tak. Podobnie jak całe to miejsce. Dla każdego jest inne. W każdym razie dla każdego śmiertelnika. Ale chyba to wiesz?
- Obawiam się, że nie wiem nic.
- W takim razie po co tu przysłaś?
- Ta książka...

Kręci głową.

- Co ci obiecywała? Pieniądze? Władzę?
- Nie. - Potrząsam głową. - Sama nie wiem, po co tu przyszłam. Właściwie nie obiecywała niczego oprócz wiedzy. Chyba byłam najzwyczajniej ciekawa, czy to miejsce istnieje.
- I już wiesz, że tak. Będziesz tu wracała?
- Szczerze mówiąc, nie wiem, co zrobię. Myślę, że muszę znaleźć jakiś sposób, żeby uciec tym

facetom. Jeśli to oznacza, że będę musiała tu zaglądać, to...

- Możesz być pewna, że wykorzystają to miejsce, żeby cię odnaleźć. A już na pewno wykorzystają...

Znowu ten dziwny język.

- Słucham? - mówię.

- Dzieci, które widziałas. Wykorzystają je jako... Teraz chyba nie znajdę odpowiedniego słowa w twoim języku. Po głowie chodzą mi: autostopowicz, jazda na barana i infekować. Te dzieci nie są projekcjami bytów z twojego świata. To istoty, które istnieją tylko w tym świecie, podobnie jak ja.

- Czyli są bogami?

- Nie. Są czymś zupełnie innym. - Uśmiecha się, a wąsiki mu drgają. - Przypuszczam, że są do tych mężczyzn przyłączone jak autostopowicz, dziecko jadące na barana albo wirus.

Same nie wejdą do niczyjego umysłu. Zawsze idą tam, gdzie idą ci mężczyźni.

- Jesteś pewny?

- O tyle, o ile. Ale jeśli chcesz, mogę się dowiedzieć więcej, zanim tutaj wrócisz.

- To nie wpakuję się w kłopoty, jeśli wrócę?

Apollo Smintheus uśmiecha się.

- W kłopoty za czyją sprawą?

- Twoją. Innych bogów. Nie wiem.

Zaczyna się śmiać.

- Ojej. To takie zabawne.

- Czemu? Bo nie rozumiem.

- Nie możemy was powstrzymać przed niczym. To wasz świat, nie nasz. Jesteśmy jego częścią, ale to ludzie go stworzyli. Mówię tylko, że nam najlepiej się tu pracuje, a dla was najrozsądniejsze byłoby pozostawanie w świecie fizycznym. Ale to tylko rada. Możesz ją zignorować.

- Jeśli ją zignoruję, spotka mnie coś złego?

- Wątpię. Prawdopodobnie i tak przyjdzie ci użyć tej przestrzeni, jeśli będziesz chciała pokonać wroga. Ale będziesz musiała odpowiedzieć na ważne pytanie.

- A jak ono brzmi?

- Cóż, jeśli oni są tymi złymi, to czy ty jesteś jedną z tych dobrych? A jeśli tak, to co dobrzy reprezentują? Jeśli zamierzasz walczyć z tamtymi, musisz wiedzieć, dlaczego to robisz.

- Chyba nie mam wyboru. Chcą mnie zabić.

Apollo Smintheus na sekundę odwraca ode mnie wzrok, jakby się zastanawiał, czy coś mi powiedzieć czy nie. Upija łyk kawy, po czym stawia kubek na stole.

- No tak, musisz pamiętać, że możesz korzystać z mojej pomocy, dopóki masz tę wizytówkę. I dopóki starczy mi energii.

- Jak długo będę ją miała?

- Kto wie? Prawdopodobnie kilka dni twojego czasu. Może mniej.

- Jasne. Dzięki. A o co chodzi z tą twoją energią?

- Jeśli się modlą, żyję. Jeśli nie, zasypiam. To nie śmierć, niezupełnie, ale nie mogę zrobić nic szczególnie imponującego.

- Jeśli kto się modli? Myszy?

- Ha! Myszy nie mogą tworzyć bogów. I nawet by tego nie chciały. Nie, mówię o chłopcach z Illinois. To dzięki nim jakoś przędę. Tworzą niewielki klub. Mały... kult, bo sądzę, że chyba tak byś to nazwała. Kult Apollona Smintheusa. Mają stronę internetową. -

Ziewa. - Prawdę mówiąc, akurat zaczynam się czuć trochę zmęczony. Będę musiał ci o nich opowiedzieć następnym razem.

- Dobrze. Przepraszam. To ja już będę się zbierać. - Wstaję, ale fotel kołysze się jeszcze parę razy, jakby zapamiętał, jak w nim siedziałam. - Wiem, że to okropne pytanie...

- Śmiało.

- No... czy możesz chociaż w przybliżeniu określić, jak długo zdołasz tu trzymać tych facetów? Zakładam, że dopóki tu są, nie mogą mnie ścigać w realnym świecie... Zgadza się?

- Tak, zgadza się. Cóż, jeśli zaraz odejdziesz, a ja będę mógł skupić na nich całą swoją energię, z pewnością potrzymam ich tutaj... - Mruży oczy. - To znacznie bardziej skomplikowana rachuba, niżbyś przypuszczała... Hm, jeszcze trzy, cztery godziny twojego czasu.

- Jak to: „mojego czasu”?

- Będę ci to musiał wytłumaczyć po powrocie. Teraz potrzebuję odpoczynku. Nie jestem najpotężniejszym z bogów. Jak się ma zaledwie sześciu ludzi na świecie, którzy poważnie się do ciebie modlą... sama rozumiesz.

- Jeszcze raz dziękuję - mówię. - Naprawdę uratowałeś mi życie.

Tymczasem w Troposferze zaczął padać deszcz. Dziwne. Nigdy wcześniej nie było tu pogody. Deszcz wali w tłuczeń jak w perkusję, a potem pędzi rynsztokami, wydając syczący dźwięk. Mężczyźni wciąż są nieprzytomni, ale mijając klatkę, zachowują bezpieczny dystans.

Muszę od nich uciec. Wiem już, co mogliby mi zrobić, i zdaję sobie sprawę, że gdyby zdołali się wedrzeć do mojego umysłu razem z tymi koszmarnymi dziećmi, to byłby koniec.

Byłoby już po mnie.

Tym razem mam wrażenie, że pokonanie tunelu trwa wieki, jakbym przez cały czas leciała pod wiatr. Co by zobaczyli ci faceci, gdyby zajrzeli do mojej głowy? Podejrzewam, że nie zapuściliby się do tunelu; jeśli się nie mylę, to moje wejście i wyjście z Troposfery.

Ciekawe, czy tak jak Wolf mam swój mały sklepik? I co jest na wystawie? Ja o tym decyduję czy oni? I co oni widzieli w Troposferze? Z tego co mówił Apollo Smintheus, wynikałoby, że nie to, co widziałam ja - a było absolutnie jasne, że nie widzieli ani stelażu z gazetami, ani stalowego łomu. Ci chłopcy natomiast widzieli to samo co ja. Apollo ma rację: trudno to zrozumieć. Ale przecież nie może być tak, żeby zrozumieć w ogóle się nie dało?

Mijam linie faliste i punkty światła. Prawie w domu. Prawie...

O kurwa. Wracam na sofę i wszystko jest jakieś inne. Nie wiem, co mi się stało. W

ustach mi tak zaschło, że nie dałabym rady się odezwać, nawet gdybym chciała. Cholera.

Podnoszę się do pozycji siedzącej, lecz czuję się, jakby dopadła mnie najstraszliwsza grypa w życiu. Woda. Potrzebuję mnóstwa wody. Jakimś cudem wstaję i dowlekam się do zlewu.

Wypijam trzy kubki wody i natychmiast je zwracam. Wiem, że potrzebuję płynów, więc zmuszam się do wypicia jeszcze jednego kubka, tym razem powoli, małymi łydkami. Boże.

Co się ze mną stało? Sądziłam, że Troposfera to coś w rodzaju „świata snów”, w którym nie może człowieka spotkać krzywda. Oczy mnie szczypią. Światło wpadające przez okno ma siłę promienia lasera, więc podchodzę do okna, żeby zaciągnąć zasłony. Na dachach leży teraz jasny biały śnieg, od którego wściekle odbija się słońce. Chwila moment. Czemu jest tak jasno? Skąd to słońce? Nie tylko w Troposferze (gdzie zawsze jest ciemno) była noc; noc była także wtedy, kiedy opuściłam umysł Wolfa nie tak dawno temu.

Patrzę na zegar. Wskazuje drugą. Musi to być druga po popołudniu, skoro jest jasno.

Ale przecież miksturę piłam o piątej po południu.

Przesuwam językiem po spierzchniętych ustach. W głowie mi się kręci. Znam to uczucie: to dlatego, że od wielu godzin nie wypaliłam ani jednego papierosa. Jezu. Leżałam na tej sofie przez prawie dwadzieścia cztery godziny? Nic dziwnego, że czuję się chora. To odwodnienie? A może to część

tego samego szaleństwa, które objawia się przekonaniem, że mogę podróżować po świadomości innych ludzi? Tego samego szaleństwa, które każe mi wierzyć, że ściga mnie dwóch uzbrojonych mężczyzn?

Sęk w tym, że ja wcale nie czuję się szalona.

Adam. Muszę odnaleźć Adama i dowiedzieć się, co się wydarzyło - jeśli w ogóle się wydarzyło - wczoraj (czy kiedy to tam było: cholera wie, jaki to dzisiaj dzień, równie dobrze mogłam się cofnąć w czasie). I umawiam się sama ze sobą: jeśli ci faceci są realni, wskoczę do auta i wyjadę gdzieś, gdzie nie będą mogli mnie znaleźć. A jeśli nie są realni, pojedę prosto do uniwersyteckiego centrum medycznego i dowiem się, czy mogą mnie jakoś odizolować. Przypuszczam, że w obu wypadkach będę musiała zabrać ze sobą trochę rzeczy, więc zgarnawszy *Koniec pana Yznad* kominka, idę do sypialni i chowam książkę do starej torby podróżnej, a potem przykrywam ubraniami. Czego jeszcze będę potrzebowała?

Laptopa. Dużego noża na wszelki wypadek. Oczywiście muszę też zabrać resztę mikstury, wody święconej i *Carbo-veg*, żebym mogła zrobić jej więcej. Nie mam żadnego prowiantu, który dałby się łatwo przewozić, więc o jedzenie będę się martwiła później. Kiedy już torbę mam spakowaną, myję się szybko i szykuję do opuszczenia domu. Przy drzwiach leży koperta z moim imieniem. Ktoś musiał ją wsunąć pod drzwi, kiedy leżałam na sofie jak nieżywa. To od Adama. „Pilnie muszę z tobą porozmawiać”. W porządku. Podał numer telefonu, lokalny, ale mam paranoję i nie chcę się porozumiewać telefonicznie. Po prostu pojedę do mojego gabinetu i będę trzymała kciuki, żeby go tam zastać.

Mój samochód, podobnie jak wszystko inne, pokryty jest śniegiem. Duże białe płatki wciąż sypią się z nieba, a uliczne odgłosy nabierają tej przytłumionej, ściszonej miękkości, jaką daje tylko śnieg; jak gdyby cały świat rozmawiał szeptem. Podnoszę kawałek tektury, który leży na koszu ze śmieciami niedaleko mojego samochodu, i zdrapuję nią większość miękkiego śniegu z przedniej szyby. Z lodem pod nim już jest większy problem. Nie mam skrobaczki, a tektura jest wiotka i mokra. Koniec końców włączam ogrzewanie na full i zostawiam silnik włączony na kilka minut, aż lód zaczyna topnieć. Widok wciąż mam nie najlepszy, kiedy wyruszam, ale nie mogę dłużej czekać. Muszę się dowiedzieć, czy jestem szalona czy też grozi mi straszne niebezpieczeństwo. Żałuję, że nie ma trzeciej opcji, że trzecia opcja najwyraźniej nie istnieje.

Kampus uniwersytecki dzieli na dwoje główna droga, która niezamierzenie (a w każdym razie ja tak zawsze zakładałam) oddziela budynki humanistyczne od laboratoriów naukowych. Zwykle o tej porze dnia droga jest niemal pusta: wstęga czarnego tłucznia, na której okazjonalnie tylko pojawia się jakiś samochód albo mozolnie pedałowujący rowerzysta, być może wracający wcześniej do domu albo przejeżdżający z Shelley College na wschodnim końcu kampusu do Hardy'ego na zachodnim. Dzisiaj droga nie jest czarna: jest pokryta mieszaniną białego lodu i szarej brei pośniegowej i kompletnie zakorkowana upačkanymi śniegiem samochodami, które jadą z włączonymi wycieraczkami. A w kampusie roi się od grupiek studentów lepiących bałwany. Co się dzieje? Gdzie się wszyscy wybierają? I co się stało z wykładami i seminariami? Nie mogę przez cały dzień tkwić w korku, gapiąc się na grube białe płatki śniegu, które - i to kolejny „ptaszek” w moim kwestionariuszu „obłądu” -

wydają się nawiedzone, jakby przybyły po to, by zawładnąć Ziemią. Nie dzisiaj, bardzo proszę. Dajcie mi chociaż dojechać do Adama.

Kiedy szepczę to do siebie, w chwili gdy powtarzam słowo „proszę”, nagle zastanawiam się, kogo właściwie proszę, do kogo się modlę. Sądziłam, że już ze mną wszystko dobrze, ale naraz nie mogę złapać tchu. No dalej, dalej. Parę razy uderzam dłonią o kierownicę, potem przegarniam włosy. Są wilgotne od potu, mimo że na dworze panuje ziąb.

Mój pas ruchu jest znacznie bardziej zakorkowany niż ten w przeciwnym kierunku. Zakręt, którym muszę pojechać, żeby dotrzeć do parkingu przed Gmachem Russella, znajduje się około pięćdziesięciu jardów przede mną po prawej. Chrzanić to. Ze zgrzytem wrzucam bieg, zjeżdżam na przeciwległy pas i zaczynam wyprzedzać długą kolumnę samochodów. Ludzie łypią na mnie wściekle. Kiedy już prawie docieram do zakrętu, zaczyna się ruch z przeciwnego kierunku. Mówi się: trudno, po prostu będą musieli poczekać. Tyle że nie czekają. Chociaż mam wrzucony prawy kierunkowskaz i jest całkiem oczywiste, co zamierzam zrobić, pierwszy samochód dalej jedzie w moją stronę, a jego kierowca gestykułuje i miga światłami, jakby nigdy nie widział większej bezczelności. Na litość boską.

Nie dojadę do zakrętu, bo ten samochód blokuje mi drogę. Po prawej widzę trójkąt trawy z pozbawionym rysów bałwanem stojącym na środku. W pobliżu nie kręcą się studenci.

Gwałtownie odbijam w prawo i przejeżdżam po trawie, potrącając bałwana, który się przewraca i rozpada. Wyobrażam sobie rozjuszonego kierowcę tamtego auta i to, co miałby do powiedzenia na temat mojego manewru, ale się nie oglądam, żeby zobaczyć jego minę. A w ogóle uważam, że moja sytuacja liczy się za nagły wypadek. Teraz jadę drogą na parking, która jest praktycznie pusta, natomiast w przeciwnym kierunku zmierza cała kolumna samochodów. Rozpoznaję kilka osób. Jest Lisa i Mary, lecz nie widzą mnie. O, i jeszcze Max.

Zwalniam, dojeżdżając do jego samochodu, i opuszczam szybę w oknie. On robi to samo.

- Co się dzieje? - pytam go.

- Zamykają uniwersytet na popołudnie - mówi. - Dostaliśmy mail z radą, żebyśmy opuścili budynek. A ty dopiero tam jedziesz?

- Aha.

- Cóż, ja bym zawrócił na twoim miejscu. Będzie tylko gorzej.

Parkuję byle gdzie dlatego, że nie widać białych linii wyznaczających miejsca parkingowe, i dlatego, że jest mi najzupełniej obojętne, co ktoś może pomyśleć o ustawieniu maski mojego auta względem jego bagażnika, sąsiednich budynków oraz pięciu innych samochodów, które wciąż stoją na parkingu. Poza tym głównie kogo obchodzi, jak precyzyjnie potrafię ustawić samochód w białym prostokącie namalowanym na ziemi. Parkingi samochodowe zawsze mi się wydają kolektywnym potwierdzeniem zdrowia psychicznego. Jestem zdrowy psychicznie: mieszczę się w liniach. Ja też! Ja też! Ja już się w nich nie mieszczę. Ślizgając się na lodzie, wpadam do gmachu anglistyki z nadzieją, że Adam jeszcze

nie wyszedł.

Drzwi do mojego gabinetu nie są zamknięte na klucz, ale kiedy wchodzę, nie zastaję nikogo. Zamykam drzwi za sobą. Komputer Heather jest włączony i widzę kaskadę liczb generowanych przez model LUCA. Nie zdaję sobie sprawy, jaka jestem zestresowana, lecz kiedy naraz drzwi się otwierają, aż podskakuję i wydaję zdławione piśnienie.

- Ariel? - To Heather z kubkiem kawy.

- Przepraszam - tłumaczę się. - Nie jestem przyzwyczajona do obecności innych osób tutaj. Ehem... - Muszę powiedzieć coś normalnego. - A w ogóle to dzięki za tamtą kolację.

Była super.

- Och, dzięki - odpowiada. Jednak jej oczy mówią coś zupełnie innego. - Wszystko u ciebie w porządku?

- Tak, oczywiście.

- Czy ci, eee... ci goście cię znaleźli?

- Jacy goście?

- Amerykańscy policjanci.

Policjanci? Ci goście mieliby pracować dla jakiejś oficjalnej instytucji?

- Słucham...? - pytam śmiertelnie serio.

- Szukali cię wczoraj. Prawdę mówiąc, dosyć mętnie tłumaczyli, kim są. Po prostu założyłam, że są z policji, bo tak się zachowywali. Myślałam, że Adam u ciebie był i wszystko ci powtórzył. Chcieli skonfiskować twój komputer i twoje dane z działu kadr.

Yvonne nie była tym zachwycona i koniec końców musieli czekać na jakiś faks z ich biura w Ameryce do dziekana. Najwyraźniej to nie jest ich pierwsze dochodzenie w związku z kimś z tego wydziału. Mówili, że nigdy tego kogoś nie odnaleźli, ale że odnaleźliby go na pewno, gdyby uniwersytet wcześniej udostępnił im wszystkie potrzebne dane. Poza tym ten faks wczoraj nie przyszedł i ostatecznie sobie poszli, uprzedzając, że dzisiaj wrócą. Nie byli zbyt mili. Ariel, na Boga, co się stało?

- Nie wiem - odpowiadam. - Ja... nie widziałam się z Adamem. Nie miałam pojęcia...

Wiesz, gdzie go teraz znajdę?

- Nie. Ale zostawił dla ciebie wiadomość.

- Czy ktoś ją czytał?

- Nie. Prosił, żebym ją schowała, i tak zrobiłam. Ale nie czuję się z tym zbyt komfortowo. Zostawił też swój numer.

Szuka na biurku, dopóki nie znajduje świstka papieru z wypisanym na nim numerem 07792. Dziwne - nigdy bym nie pomyślała, że Adam ma komórkę. Zresztą i tak nie zamierzam dzwonić pod ten numer: czy to wiadomo, kto może podsłuchiwać? Jeśli ci faceci działają oficjalnie, to mam bardziej przesrane, niż dotąd sądziłam. Z całą pewnością nie będę do nikogo dzwoniła ani korzystała z bankomatów (zwłaszcza że moje konto świeci pustką).

Widziałam dostatecznie dużo filmów akcji, żeby znać procedurę. Problem w tym, że kiedy oglądam filmy akcji, zwykle odczuwam podniecenie i strach za jednym zamachem jako widz.

Główny bohater może zginąć, a człowiek pomyśleć: Nie!, ale tak naprawdę wcale go to nie obchodzi. W końcu to tylko historyjka - a każdy wie, że główny bohater raczej nie ginie. Ja jednak jestem świadoma, że moje życie to nie film i że jeśli ktoś naprawdę chce mnie zastrzelić albo dobrać się do mojego mózgu czy co tam jeszcze, nie ma takiego scenarzysty, który wszystko odkręci w akcji trzecim. Już w akcji drugim będę martwa i nie ma co się łudzić, że przyjdzie Arystoteles i powie, że to nie tak.

Poza tym nie wygląda na to, żebym była szalona. To co spotyka teraz mnie, najwyraźniej wcześniej spotkało także Burlema. Właśnie on musiał być „tą inną osobą z wydziału”, którą faceci chcieli przesłuchać. Był ostatnią osobą, która dysponowała powieścią.

Innymi słowy do centrum medycznego z całą pewnością się nie wybieram. Zobaczę, czy uda mi się pogadać z Adamem, a potem spróbuję poszukać Saula Burlema. Odnajdę go, dowiem się wszystkiego, co wie o mojej obecnej sytuacji - i później zastanowię się, co dalej.

Podaję, że musi mieć znakomitą kryjówkę, skoro dotąd go nie odnaleziono, z drugiej strony on już tej książki nie ma: jest u mnie.

- Masz tę wiadomość? - zwracam się do Heather, usiłując zapanować nad drżeniem w głosie.

- Tak. Chyba tak. Gdzieś tu jest.

W końcu znajduje małą niebieską kopertę i podaje mi ją.

- Dzięki. - Ariel...

- Co?

- Myślisz, że oni wrócą? Śmiertelnie mnie wystraszyli.

- Nie wiem.

- Znaczący, ja wiem, że jesteśmy tu u ciebie tylko gośćmi i że to co robisz, to twoja sprawa, i nie chcę się narzucać ani nic, ale...

- Co?

- Cóż, nie jest specjalnie miło być nagabywanym przez policję. Jeśli masz kłopoty, to czy nie uważasz, że powinnaś je rozwiązać?

Odpieprz się, Heather.

Jednak mówię tylko:

- Nie mam żadnych kłopotów. I pojedę na trochę do mojej ciotki w Leeds, więc przez jakiś czas mnie nie będzie. Pożegnaj ode mnie Adama. I cieszcie się wolnym miejscem.

Może pośle tych psycholi do Leeds, choć nie liczę na to.

ROZDZIAŁ 16

Droga Ariel,

przez pół nocy dobijałem się do Twoich drzwi, a potem przez całe rano zamartwiałem się, że doprowadziłem tych facetów prosto do Ciebie. Nie zadzwoniłaś do mnie. Mam nadzieję, że nic Ci nie jest.

Na wypadek gdyby nikt Ci nie powiedział: ci mężczyźni podali się za pracowników CIA. Myślę, że to głównie prawda - ale kto wie? Chcieli Twój adres, lecz nie podałem im.

Teraz widuję ich w snach. Co w zasadzie nic nie znaczy: parę lat temu przeszedłem załamanie nerwowe, po którym do dziś jestem dziwny, przewrażliwiony i podatny na koszmarne sny.

Teraz też nie czuję się najlepiej, więc wybieram się do świątyni, by spróbować wziąć się w garść. Ty też powinnaś przyjść, jeśli możesz, w każdym razie tak sądzę. Nie mogę Ci napisać o wszystkim, ale opowiem, kiedy się spotkamy.

Jeśli uważasz, że to majaczenie paranoika, zignoruj je, proszę. Czasami dopada mnie paranoja.

Twój przyjaciel,

Adam.

Kiedy docieram do kaplicy Świętego Judy, jest wpół do czwartej i prawie ciemno na dworze.

Nie miałam czasu, żeby zatrzymać się i pytać kogoś o drogę, więc po prostu pojeździłam po Faversham i czekałam, aż coś mi wpadnie w oko. W końcu zauważyłam wyszczerbioną tabliczkę z napisem: „Kaplica Świętego Judy” i tak oto się tu znalazłam, przed kościołem Najświętszej Marii Panny z Góry Karmel. Sądzę, że świątynia znajduje się w środku. Szacuję, że w ciągu najbliższej pół godziny albo coś koło tego będę musiała się stąd wynieść i udać do jakiegoś kompletnie przypadkowego miejsca, żeby pozbierać myśli. Więc nie mam zbyt dużo czasu.

Kiedy wchodzę do środka, prawdopodobnie wyglądając na wariatkę z moją taną torbą na ramieniu, w kościele nie ma nikogo. Czuję zapach kurzu i kadzidła. Zauważam wodę święconą w kropielnicy po lewej i chociaż ten widok przypomina mi o wszystkim, co zrobiłam, i o wszystkim, co poszło nie tak, zanurzam w niej palec i dotykam czoła. Kiedy robię ten gest, przypominam sobie, jak w szkole parę razy podczas długiej przerwy w deszczowe dni grałam w „Lochy i Smoki”. W niektórych wersjach tej gry można było pójść do miasteczka i przynieść wodę święconą, żeby wyleczyć się ze wszystkich chorób prócz tych najpoważniejszych i poprawić sobie zdrowie. W innych wersjach można było jej używać jako broni przeciwko złym duchom albo wampirom. Jednak nikt mi nigdy nie powiedział, że można jej się napić i przenieść się do innego świata albo że mogłoby się to okazać fatalnym pomysłem. Wchodzę dalej. Wnętrze kościoła to mała, zimna, kojąca przestrzeń o ścianach wyłożonych dębową boazerią i z twardymi drewnianymi ławami dla wiernych. Kolejna tabliczka kieruje mnie schodami na dół do świątyni.

I jest ciepło - o, jak ciepło! - kiedy po nich schodzę. Na dole płoną tysiące świec: kilka stojaków z małymi podgrzewaczami i cały stół zastawiony dużymi świecami w kościelnych niebieskich uchwytach z plastiku. Na każdym widnieje obrazek, ale nie widzę jaki. W

świątyni jest autentycznie gorąco, więc odwijam szalik z szyi. Nikogo tu nie ma. Po prawej, otoczona rzędami świec, stoi statuetka przedstawiająca, jak przypuszczam, świętego Judę.

Ścianę za nim po części pokrywa mozaika, po części szerniałe cegły. Statuetka jest złota, przedstawia brodatego mężczyznę z kosturem. Oddzielają go ode mnie kraty i przez moment wygląda na uwięzionego. Oczywiście jeśli spojrzeć z jego perspektywy, to ja jestem w więzieniu. Spaceruję po pomieszczeniu. Z jednej strony na żółtych samoprzylepnych karteczkach wierni zostawili swoje modły w czyjejś intencji. „Proszę, pomóż mojej ciotce, która tak bardzo cierpi”. „Święty Judo, proszę, wstaw się za moim synem Stefanem, który ma zaledwie dziewiętnaście lat”. „Nie pozwól mojemu bratu umrzeć”. „Proszę, niech mój syn wróci z wojny”. Prośby podpisane są przez ludzi z Mauritiusa, Polski, Hiszpanii, Brazylii... Z

całego świata. Z tabliczki dowiedziałam się, że święty Juda jest patronem spraw przegranych i beznadziejnych. Wygląda na to, że do świętego Judy idzie się, gdy wszyscy inni święci już zawiedli. Po drugiej stronie pomieszczenia z drukowanej broszurki dowiedziałam się, że święty Juda jest kontrowersyjnym świętym i być może nawet wcale nie istniał.

Nigdy wcześniej się nie modliłam. Jednak teraz, kiedy już zapaliłam świecę i dostawiłam ją do płonących szeregów, wracam do kapliczki i klękam przed nią. Jestem tu, ale wciąż nie wiem, co robić. Rozmyślanie w stylu: „Och, proszę cię, święty Judo, pomóż mi i nie pozwól, żeby ci faceci mnie znaleźli” wydaje się niepoważne. Coś mi mówi, że nie powinnam się modlić dla siebie; powinnam się pomodlić za kogoś innego. Tylko za kogo?

Nawet ostatni facet, z którym się przespałam, nic dla mnie nie znaczy. Bardziej mi zależy, żeby anonimowy syn z żółtej karteczki samoprzylepnej wrócił z wojny cało. Zamiast się modlić za pierwszą lepszą osobę, patrzę na statuetkę, dopóki jej krawędzie nie zaczynają się zacierać. „Kim jesteś? - myślę. - Co robisz z całą tą energią, która zbiera się w tym miejscu?”.

Bo tu naprawdę jest energia: trzeszczy wokół mnie z mocą, której nie dorównałby i milion świec.

Czym jest? Moją nadzieją? Nadziejami innych? Najzwyczajniej mocą modlitwy?

Czuję, że święty Juda patrzy na mnie, i przychodzi mi do głowy, że gdyby rzeczywiście tu był, mówiliby mi, żebym przestała się bawić w domysły i zadawanie pytań bez odpowiedzi.

Tyle że ja nie jestem pewna, czy mogę zrobić coś innego.

Ostatecznie modłę się o sens. Modłę się, aby granice rzeczywistości stały się klarowne. Modłę się za świat - i za rodzaj istoty - który miałby sens. Modłę się za życie po śmierci, które nie jest takie jak to życie. Modłę się za koniec tajemnic. Jakie byłoby życie, gdyby wszystkie tajemnice doczekały się rozwiązania? Gdyby nie było wątpliwości, nie byłoby opowieści. Gdyby nie było wątpliwości, nie byłoby języka. Gdyby nie istniał język, nie byłoby... czego? Myślę o Adamie i o tym, co mówił o prawdzie istniejącej poza językiem, gdy na schodach nagle rozbrzmiewają dwa głosy: kobiety i mężczyzny. Z jakiegoś powodu wstydę się tego, że modłę się na kolanach, więc wstaję i udaję, że oglądam świecę. Wiem, że niedługo będę musiała iść: patrzę na zegarek. Jest za kwadrans czwarta. Czuję się taka zmęczona, jakbym nie spała od wielu dni. A na dworze jest ciemno i lodowato.

- Tak, udało się nam ponownie otworzyć świątynię. Nareszcie.

- To niesamowite. Bałem się, że ten ostatni pożar okaże się jej końcem. Rozpoznaję głos, chociaż słychać w nim wielkie zmęczenie, aż niemal się łamię.

- Dla świętego Judy nigdy nie będzie końca. Ma tak wielu lojalnych wyznawców.

Biedny Apollo Smintheus, myślę, z tym jego kultem wyznawanym przez zaledwie sześć osób.

- To... O!... Ariel! Jesteś cała.

- Cześć, Adam.

- Mario, poznaj Ariel Manto. Tę, o której ci mówiłem.

Adam wygląda strasznie. Co się stało z jego twarzą? Prawe oko ma spuchnięte i posiniaczone jak kawałek gnijącego owocu. I ma na sobie te same ciuchy, w których widziałam go we wtorek. A dzisiaj co mamy? Czwartek. Chyba czwartek. Towarzyszy mu kobieta mniej więcej sześćdziesięcioletnia. Jest ubrana w długą brązową spódnicę i fioletową bluzkę. Siwe włosy niemal całkowicie zakrywa brązowa chusta, jednak kilka srebrzystych pasemek opada jej przy skroniach. Jakimś cudem jej brązowe oczy wyglądają młodziej niż oczy Adama.

Kobieta wyciąga rękę.

- Witaj, Ariel - mówi miękko. - Cieszę się, że dotarłaś tu bezpiecznie. Adam opowiedział nam o twoich kłopotach. Posłałyśmy dla ciebie łóżko w skrzydle gościnnym klasztoru na wypadek, gdybyś rzeczywiście do nas wstąpiła. Możesz tu odpoczywać, jak długo zechcesz.

Łóżko? W klasztorze? Przecież nie mogę tu zostać. Muszę już iść.

- To bardzo miłe z pani strony - mówię, z niepojętych przyczyn używając

„uprzejmego” głosu, który rezerwuję wyłącznie dla nauczycieli, policjantów z drogówki i tego typu osób u władzy. - Ale myślę, że naprawdę wpakowałam się w okropne kłopoty i nie chcę nikogo w nie wciągać. - Patrzę na Adama i wskazuję jego posiniaczoną twarz. - To już zaszło za daleko. Oni ci to zrobili, prawda? - Adam kiwa głową. Kontynuuję: - Ci ludzie...

Naprawdę nie rozumiem, co się dzieje. Przyszłam tylko podziękować Adamowi.

Podziękować i przeprosić.

- Może napijemy się herbaty? - proponuje Maria, jakbym przed chwilą nie zasugerowała, że grozi im niebezpieczeństwo, dopóki ja tu jestem. - Możemy pójść do kuchni klasztornych.

Adam patrzy na mnie.

- Tam cię nie dorwą - mówi.

Wzdycham.

- To wcale nie takie pewne. - Bo ja nie mam żadnej pewności. Nie mam pewności co do niego. Co takiego zrobił, żebym mu ufała? Czy na całym świecie istnieje osoba, której umiałabym autentycznie zaufać? Myślę o mojej matce i o wszystkich okazjach, kiedy próbowałam jej powiedzieć, że się tnę. Wszystko miałam zaplanowane. Zamierzałam jej opowiedzieć, jak to zaczęłam skubać brwi, bo to samo robiły inne dziewczyny ze szkoły, ale odkryłam, że to takie katartyczne zajęcie, że nie byłam w stanie przestać. Był taki wieczór, kiedy siedząc w wannie, zdałam sobie sprawę, że jeśli zaraz nie przestanę ich skubać, skończę bez brwi, lecz jeszcze nie zadałam sobie dostatecznie dużo bólu, nie doświadczyłam dostatecznej katharsis. Więc wzięłam brzytwę taty i wbiłam ją sobie w nogę. „Nie teraz, Ariel

- ucięła matka, rozsiadając się przy radiu CB. - Wiesz, nie jesteś pępkiem świata”. Może Burlem. Myślę, że mu ufam z jakiegoś powodu.

Maria zaczyna iść w kierunku schodów.

- Może pokażesz jej sekretne przejście? - zwraca się do Adama. - Nie ma sensu wychodzić na dwór, skoro kręcą się tam niebezpieczni ludzie. Spotkamy się na miejscu. -

Potem spogląda na mnie. - Bywałyśmy w gorszych sytuacjach, moja droga.

Kiedy odgłos jej kroków ucichł, znowu patrzę na Adama. Setki świec rzucają chybotliwe cienie, które odbijają się od jego ostrych rysów i zdają się opierać na łagodniejszej, pobitej stronie twarzy.

- Tak mi przykro - szepczę. - Naprawdę muszę już iść.

- Ariel...

- Gdybym opowiedziała ci połowę tego, co się dzieje, i tak byś mi nie uwierzył. Ale wersja skrócona jest taka, że mogą mnie dorwać wszędzie. Gadam jak wariatka. - Wzdycham sfrustrowana, że nie ma sposobu, bym mogła mu wszystko wyjaśnić. - Z grubsza mówiąc, jeśli mogą się do mnie zbliżyć, mogą mnie dopaść. Wystarczy, że będą blisko. Wiem, że plotę bez sensu i nawet ja nie wiem, jak to działa... Ale sądzę, że moja jedyna nadzieja to wyjechać stąd jak najdalej i jak najszybciej.

- Jestem pewny, że tu nic ci nie grozi. Zostań chociaż na herbatę. Wyjaśnię ci wszystko.

- Nie mam zbyt dużo czasu, zanim przyjdą za mną tutaj.

- Wiedzą, że tu jesteś?

- Dowiedzą się. Heather im powie.

- Mówiłem, żeby nie czytała mojej wiadomości.

- Ale prawdopodobnie to zrobiła. Nie mogę tak ryzykować.

W miarę jak mówię, mój głos staje się coraz bardziej podniesiony, aż w końcu pozostaje mi tylko płacz. Nie mogę jednak płakać. Jeśli się rozplaczę, będzie po wszystkim.

Łzy wypłuczają ze mnie całą adrenalinę, a myślę, że tylko ona mi została. Nie mam pieniędzy, nie mam za dużo benzyny w samochodzie. Ale mogę ją ukraść, już mi się to zdarzało. I mam dość pieniędzy, żeby kilka dni przeżyć, odżywiając się wyłącznie czipsami. Jeżeli stąd wyjadę, wszystko jeszcze może się skończyć dobrze.

Ruszam ku schodom.

- Ariel? Ariel! Proszę cię. Tutaj jesteś bezpieczniejsza, zaufaj mi.

- Tego nie wiesz.

- Wiem więcej, niż ci się wydaje.

Waham się.

- Nie poszli za mną do kapliczki uniwersyteckiej - mówi. - Myślę, że po prostu nie mogli. No i nie snią mi się, odkąd tu jestem. No chodź. Wyjaśnię ci na dole.

Bierze mnie za rękę i odciąga od świętego Judy do pomieszczenia pełnego związanych ze świętym Juda dewocjonaliów. Nie jestem pewna, czemu go słucham, ale prawdę mówiąc, czuję się zbyt słaba, żeby w tej chwili zrobić coś innego. W małej salce jest wiele wersji dużych niebieskich świec, podobnie jak świętych obrazków, wisiorów, medalików, modlitewników i małych brązowych garnuszków z białymi pokrywkami. Ręka Adama wydaje się w mojej zimna. On przystaje przy jednym stoisku i wolną ręką podnosi brązowy garnuszek.

- Masz - mówi. - Może ci się przyda.

Patrzę na etykietę. „Olejek pobłogosławiony w kaplicy Świętego Judy”, brzmi podpis.

- Weź też to. - Teraz Adam podaje mi niebieski wisiołek. Widnieje na nim podobizna świętego Judy.

- Dzięki - mówię. W normalnych okolicznościach dodałabym, że nie wierzę w talizmany na szczęście i cudowne mikstury, lecz podejrzewam, że leki homeopatyczne i woda święcona podpadają pod tę samą kategorię, a wystarczy spojrzeć, w co się przez nie wpakowałam. W tym momencie potrzebuję każdej możliwej pomocy, choćby i ze źródła, które wydaje się zupełnie niewiarygodne. Wyjmuję rękę z dłoni Adama i zakładam naszyjnik.

- Muszę za nie zapłacić? - pytam.

- Ja to później zrobię. Nie martw się. Już dość dawno jestem poza nawiasem Bożej ekonomii, ale nawet ja wciąż rozumiem, że nie napędzają jej nasze pieniądze. W porządku. A teraz zaczekaj sekundę... Albo nie: możesz sięgnąć i zapalić jedną z tych świec?

Pochyla się i przesuwa skobel, którego dotąd nie widziałam. To zapadnia. Biorę dużą świecę w niebieskim lichtarzu i zapalam ją swoją zapalniczką. Zauważam, że ręce mi się trzęsą, równocześnie zdaję sobie sprawę, że nogi mam miękkie i chwiejne, jakby przepływał

przez nie prąd. W głowie...

Instynktownie łapię Adama za ramię. Chcę tylko na sekundę oprzeć na nim głowę: może dzięki temu poczuję się lepiej. A potem w głowie mi musuje jak od tysiący bąbelków powietrza.

- Adam... - mówię. Zanim jednak zdąży odpowiedzieć, wszystko wokół cichnie i jest tak, jakby ktoś mnie zanurzył głową na dół w olbrzymiej puszcze czarnej farby.

Kiedy się budzę, leżę na wąskim twardym łóżku zasłanym surową szorstką białą pościelą i brązowymi kocami. Moja torba stoi na podłodze koło szafki. Widzę też mały nocny stolik, na którym leży Biblia, oraz drewniane krzesło. Po prawej jest okno, ale zasłony są zaciągnięte, nie mam więc pojęcia, która jest godzina. Poza tym wcale nie tak łatwo odgadnąć porę po wyglądzie zimowego nieba. Zimą nie ma różnicy między piątą po południu a piątą rano.

W pomieszczeniu nie ma nikogo oprócz mnie. Co się stało? Zemdlałam?

Podejrzewam, że od paru dni nie miałam nic w ustach. Mam wrażenie, że Troposfera po prostu wysysa z człowieka życie. Każdy kto przeczytał *Koniec pana Y*, zmarł. A sam pan Y

doprowadził się do śmierci głodowej. Teraz już rozumiem dlaczego. Jednak ta świadomość w żaden sposób nie wpływa na tę cząstkę mojego umysłu, która niemal agresywnie domaga się, żeby zabrać ją z powrotem do Troposfery.

Wciąż mam na sobie ubranie, które miałam na sobie, przychodząc tutaj: stare szare dżinsy i czarny sweter wkładany przez głowę. Chętnie bym się przebrała, ale nie mam nic, co lepiej by się prezentowało, więc chyba sobie odpuszczę. Zamiast się przebrać, siedzę i szcnotkuję włosy, usiłując rozsupłać każdy najmniejszy kołtunek. Zajmuje mi to około kwadransa. Potem patrzę na otarcia na

nadgarstkach: zostały małe srebrzysto-czerwone strupki, lecz opieram się pokusie, żeby je zedrzeć. Nikt nie zagląda do pokoju. Kto mieszka w klasztorze? Chyba bracia zakonni. Nie wyobrażam sobie, żeby jakiś zakonnik odważył się tutaj zajrzeć. A Maria i Adam? Gdzie się podziali? Gdzieś niedaleko zegar wybija godzinę.

Pierwsza, druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta, SIÓDMA. O kurczę!... Ci faceci definitywnie nie tkwią już w swojej klatce w Troposferze. A wciąż nie gmerają mi w mózgu. W każdym razie nie czuję się tak, jakby w nim siedzieli. Zresztą kto wie? Splatam włosy w rodzaj warkocza, który moim zdaniem powinien się spodobać osobom wierzącym, i myję twarz nad umywalką. Lustra tu nie mają. Czy przeżyję następny dzień? Kto wie. Powinnam odnaleźć Adama i Marię. Cicho otwieram drzwi i wymykam się do mrocznego korytarza. Na końcu widać żółtawe światło, słysząc kobiecy śmiech i szczękanie pokrywek. Czuję też zapach jedzenia: czegoś pikantnego i smacznego. To na pewno kuchnia. Właśnie tam miałam iść na herbatę, zanim zemdlałam. Oczywiście jeśli zemdlałam.

Nogi wciąż mam słabe. Znowu zemdleję? Nie, bez przesady. Na litość boską, Ariel, chodzenie to nie taki znowu wysiłek. Ale chyba muszę odpocząć. Na sekundę opieram się o ścianę, oddychając, jakbym właśnie ukończyła maraton, a nie przeszła około piętnastu kroków. Co się ze mną dzieje? Może na chwilę zamknę oczy.

- Ariel?

Jakimś cudem siedzę teraz na chodniku, a Maria stoi nade mną, trzymając kuchenną ściereczkę w biało-niebieską kratę. Drobną twarz kobiety ma wyraz zatroskania.

- Myślę, że powinnaś wrócić do łóżka.

- Przepraszam - mówię. - Nie wiem, co mi jest.

Tamci faceci mogliby teraz przyjść i zrobić ze mną, co tylko by chcieli. Nie byłabym w stanie ich powstrzymać. Może tak byłoby lepiej: mieć to już za sobą. Wolalabym, żeby wykończyli mnie w Troposferze czy tutaj? Apollo Smintheus twierdzi, że w Troposferze nie można umrzeć, ale być może istnieją rzeczy gorsze od śmierci. Więc mogłabym tu po prostu zostać i czekać na szybką śmierć. Z drugiej strony nigdy nie mówili, że zamierzają mnie zabić. Chcą tylko wtrącić mnie w szaleństwo i odebrać mi książkę.

Maria pomaga mi wstać i kilka minut później jestem już w swojej sypialni.

- Może powinnaś się przebrać w coś innego - sugeruje Maria. - Włóż coś do spania.

- Nie trzeba. Chyba muszę się na chwilę położyć. Prawdę mówiąc, nie mam przy sobie

„czegoś do spania”. Kiedy się pakowałam, nie myślałam o niczym tak relaksującym jak spanie; myślałam wyłącznie o ucieczce.

- Nie powinnaś się kłaść do łóżka w ubraniu - stwierdza Maria. - Zaraz ci przyniosę coś do przebrania.

Jakieś pół godziny później leżę w łóżku w długiej białej bawełnianej koszuli nocnej i rozmyślam o powrocie do Troposfery. Usiłuję zgadnąć, czyby mnie to zabiło, gdybym spróbowała wybrać się tam na moment i poszukać Apollona Smintheusa. Nim położyłam się do łóżka, rozsunęłam zasłony i zanim na powrót je zaciągnęłam, przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w niebo. Było czarne jak monitor komputera Heather, a płatki śniegu spadały w tym samym rytmie, w którym płynęła kaskada liczb w programie poszukującym LUCA. Czy ona się domyśli, gdzie pojechałam? Czy powie tym facetom?

Chwilę po tym, jak dzwon kościelny wybija ósmą rano, ktoś stuka do drzwi.

- Proszę - wołam.

To znowu Maria. Trzyma duży, gruby brązowy szlafrok.

- Czujesz się na siłach, żeby coś przekąsić? - pyta mnie.

- Tak - odpowiadam. - Dziękuję. Bardzo pani miła.

Jeśli zjem, z całą pewnością będę mogła wrócić do Troposfery.

- Nie musisz się ubierać. Wystarczy, że to narzucisz.

Powinam się ubrać, lecz nie dam rady. Jestem przekonana, że po śniadaniu odzyskam siły. Odzyskam siły i wrócę do Troposfery. A może najpierw powinam stąd wyjechać?

Wyobrażam sobie, jak parkuję samochód w jakiejś anonimowej zatoczce przy którejś z wiejskich drózek, kładę się na tylnym siedzeniu i znieczulam miksturą. Co by się wtedy stało?

Zamarzłabym na śmierć? Może jednak zostanę tu dzisiaj. Łóżko jest takie ciepłe i czyste, że nie chce mi się z niego wstawać. Ale powinam się ruszyć i coś zjeść.

Kuchnia jest długim, wąskim pomieszczeniem z dużym porcelanowym zlewozmywakiem w rogu, blatem roboczym wzdłuż ściany po prawej stronie i długim sosnowym stołem na środku. Po lewej rozpiera się prawdopodobnie największy kominek, jaki w życiu widziałam.

Ale ogień się w nim nie pali. Za to na słusznych rozmiarów kuchence stoją dwie srebrne patelnie, z których bucha para znikająca w szarym kamiennym kominie.

Podchodzę do stołu, a drewniany parkiet trzeszczy pod moimi stopami.

- Siadaj, skarbie - mówi Maria. - Adam przyjdzie za jakąś minutę.

Odsuwam krzesło i kłapię na nie ciężko. Samopoczucie mam gówniane.

- Nikt nie przyszedł mnie szukać, jak przypuszczam? - odzywam się.

- Nie, skarbie. - Maria uśmiecha się młodzieńczo. - Ale i tak mamy czujkę, tak na wszelki wypadek.

Wyobrażam sobie zakonnika z teleskopem. Chociaż „czujką” najprawdopodobniej jest jedna z kucharek należących do ekstrawaganckiego wydania straży sąsiedzkiej. Oba obrazy wydają mi się komiczne, toteż w atmosferze bezpieczeństwa, jaka tu panuje, ja także zdobywam się na uśmiech.

- Dzięki - mówię.

Teraz Maria podchodzi do kuchenki.

- Potrawka warzywna z kluseczkami?

- Chętnie. Bardzo pani dziękuję - mówię.

Zdążyłam zabrać się za śniadanie, gdy nagle wchodzi Adam i siada naprzeciwko mnie.

Maria stawia przed nim talerz z potrawką, ale zauważam, że klusek nałożyła mu dwa razy tyle co mnie. Na stole stoi dzbanek z wodą, sięgam po niego, po raz drugi napełniam szklankę i piję. Potrzebuję płynów i kalorii: wtedy będę mogła spędzić w Troposferze całą noc, gdybym musiała. Nie jestem tylko pewna, jak to będzie ze spaniem. Może powinnam podzielić noc na połowy i jedną przeznaczyć na sen, drugą na pobyt w Troposferze? Niestety w dalszym ciągu nie wiem, jak tam płynie czas.

- Hej - odzywa się Adam. - Jak się czujesz?

- W porządku - odpowiadam. - Przepraszam, że ci zemdlałam.

- Próbowałem coś zrobić, ale po prostu osunęłaś się na ziemię - mówi. - Na szczęście nie uderzyłaś się w głowę ani nic w tym rodzaju.

Maria zdejmuje fartuch.

- Będę w sąsiednim pokoju, gdybyście czegoś potrzebowali - mówi.

Posiniaczona część twarzy Adama ma kolor duszonych jeżyn. Oko po tej stronie jest niemal całkowicie zamknięte.

- To i tak nie byłoby aż takie złe jak to, co spotkało ciebie - mówię. - Strasznie cię za to przepraszam.

Wzrusza ramionami.

- No cóż, zdarza się.

- Akurat, właśnie że się nie zdarza. Raczej nie. - Oddycham głęboko i upijam kolejny łyk wody. - Takie rzeczy nie powinny się dziać. Nie w realnym życiu.

- Jasne, tylko co to jest to realne życie? Serio. Nic mi nie będzie. To już się skończyło.

- A jeśli oni tu przyjdą? Będziemy mieli przesrane. - Dociera do mnie, że zakląłam w klasztorze. -

Chciałam powiedzieć... Przepraszam za niewyparzony język. Ale wiesz, co mam na myśli.

Teraz Adam się uśmiecha.

- To tylko słowo - mówi. - Nie rób tego przy braciach zakonnych. Nie będą wiedzieli, jak zareagować. - Widać, że twarz boli go od uśmiechu, bo nagle się krzywi. - Auć - mówi.

- No to co się właściwie stało? - pytam. - Znaczący, sama widzę, że cię pobili. Ale dlaczego?

- Nie chciałem im powiedzieć, gdzie mieszkasz.

Psiakrew. Jak wielkie może być poczucie winy?

- Czemu ciebie o to pytali? Nie rozumiem.

- Już wypytali Heather, a kiedy nie umiała odpowiedzieć na ich pytania, odesłała ich do mnie. Miałem wrażenie, że obaj zakładali, że dużo o tobie wiemy, chociaż Heather w kółko im powtarzała, że dzielimy gabinet od raptem dwóch dni. Powiedziała im, że poszedłem oprowadzić nową nauczycielkę sesyjną po terenie uniwersytetu, i dogonili mnie przed kaplicą. Ta kobieta, którą oprowadzałem, pożegnała się ze mną jakieś pięć minut wcześniej, bo zadzwonił ktoś ze szkoły jej dzieciaków i powiedział, że lekcje są odwołane z powodu śniegu. Kiedy wychodziłem z kaplicy, wpadłem prosto na tych dwóch blondasów.

Spytałem, jak mogę im pomóc, a oni zapytali mnie, kim jestem, więc im powiedziałem.

„Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań”, powiedział jeden.

- Zgodziłem się, rzecz jasna - ciągnie Adam - bo nie miałem powodów, żeby tego nie robić, i zaprosiłem ich do kaplicy. Na dworze był niesamowity ziąb, a mieli śnieg na włosach i brwiach. Chciałem zaproponować, że zrobię im coś gorącego do picia w kuchni. Jeden rozejrzał się, jakby szukał jakiegoś innego budynku, do którego moglibyśmy wejść, ale jak wiesz, przy kapliczce niczego nie ma. Później powiedzieli, że woleliby pomówić ze mną na dworze. Pamiętam, że się zastanawiałem, co takiego mają do kaplicy. Z jakiegoś powodu pomyślałem o bombach i terrorystach i przyszło mi do głowy, że może ci dwaj mają ewakuować budynek albo coś w tym rodzaju. Spytałem, czy wszystko jest w porządku. Potem sprawa zrobiła się mętna. „Skoro musimy sterczeć na tym pieruńskim zimnie, może tego nie przedłużajmy - powiedział jeden. - Gdzie jest Ariel Manto?” - „Nie mam zielonego pojęcia -

ja im na to. - A czemu?” - „Musimy ją znaleźć. To kwestia bezpieczeństwa międzynarodowego”, powiedział ten drugi.

Jadłam przez cały czas, gdy Adam opowiadał. Wiem, nie jest to zbyt wytworna reakcja na takie rewelacje, ale po prostu muszę ładować w siebie kalorie. Teraz przestaję się opychać i marszczę czoło.

- „Bezpieczeństwa międzynarodowego”? Co to znaczy?

Adam sący wodę.

- Nie wiem - wzdycha. - Nie miałem okazji się dopytać. Następne co pamiętam, to że próbowałem jeszcze raz zaprosić ich do kaplicy i miałem wrażenie, że to ich rozzłościło.

Skłękli mnie i zażądali, żebym natychmiast powiedział, gdzie jesteś, bo spotka mnie coś złego.

Powtarzali: „Dymałeś ją, a nie wiesz, gdzie mieszka”? A ja myślałem tylko: Co? Później zdałem sobie sprawę, że Heather pomyślała prawdopodobnie, że tamtego wieczora wyszliśmy razem i uprawialiśmy seks. W każdym razie zadawali mi na twój temat naprawdę chamskie pytania z jawnie seksualnym podtekstem. Wtedy dotarło do mnie, że ci faceci są niebezpieczni, i postanowiłem nic im nie mówić. Uświadomiłem też sobie, że przecież wcale nie muszą mnie pytać o to, gdzie mieszkasz: mogą ruszyć tyłki i dowiedzieć się w dziale kadr.

Więc powiedziałem im jeszcze raz, że ja nic nie wiem. Potem zaczęli mi grozić. Powiedzieli coś w stylu: „Gadaj albo ci pokażemy”. - Adam wzrusza ramionami. - Pomyślałem, że mogą mi co najwyżej zadać trochę bólu, więc po prostu nastawiłem się na przykrości. - Wskazał

swoją twarz. - To są tego skutki.

- Nie wiem, jak cię przepraszać... - zaczynam.

Adam znowu się uśmiecha, głównie dolną połową twarzy.

- No, ale nie to było najdziwniejsze. Na początek faktycznie zaczęli mnie bić. Jeden złapał mnie i przytrzymał mi ręce za plecami, a drugi uderzył mnie w twarz, czy ja wiem...

ze trzy razy? Może cztery. Cała zabawa przypominała mi karę w szkole w czasie dużej przerwy. Facet zachowywał się, jakby miał czas do skończenia świata, żeby mnie bić. Walił, potem robił przerwę, chuchał sobie na rękę, bo było mu zimno, i znowu mnie bił.

- Mój Boże... - szepczę.

- Później ten, który mnie trzymał, powiedział: „To na nic. To jakiś religijny gostek, któremu prawdopodobnie się zdaje, że jest Jezusem albo coś takiego. Moglibyśmy go ukrzyżować, a i tak nie wycisnęlibyśmy z niego żadnych informacji”. Ten drugi odpowiedział

jakoś tak: „Jasne, tyle że mamy coś, czego Rzymianie nie mieli, zgadza się?”. I wyjął pistolet.

Muszę przyznać, że miał rację: od razu się przeraziłem. Szarpałem się, aż facet, który mnie trzymał, poślizgnął się na lodzie i puścił mnie na chwilę. Z braku lepszego pomysłu ni to wbiegłem, ni to wpadłem do kaplicy i zatrzasnąłem za sobą drzwi. W kółko myślałem o świętym Tomaszu i usiłowałem pogodzić się z myślą o śmierci. Poszło łatwiej, niż sądziłem.

Wiedziałem, że prawdopodobnie wkrótce umrę, mimo że równocześnie zdawałem sobie sprawę, jak absurdalnie byłoby zostać zastrzelonym w kaplicy uniwersyteckiej. Schowałem się pod ławkę, ale byłem przekonany, że za chwilę drzwi się otworzą, ci goście wpadną do środka i mnie zastrzelą. A

nie miałem jak stamtąd uciekać.

Przestałam jeść. To jakiś obłąd.

- I co się stało?

- Drzwi się otworzyły, myślę, że wyważyli je kopniakiem, ale nie weszli do środka.

Chyba z pięć minut stali na dworze i wołali do mnie. Przeklinali mnie i namawiali, żebym wyszedł. Bardzo szczegółowo opisywali, co mi robią, jeśli mimo wszystko nie wyjdę, tyle że po prostu starałem się nie dopuszczać do siebie tego, co mówili, i po raz pierwszy od lat modliłem się. Słyszałem, jak się kłócą o pistolety i o to, co robić dalej. W pewnym momencie jeden rzucił do tego drugiego: „Idź już tam i wykończ go”. Ten drugi burknął tylko, że chyba tamten uważa go wariata, jeśli myśli, że wejdzie do środka i straci coś tam... ale nie zrozumiałem co. - Adam upija wody. - W każdym razie dlatego pomyślałem, że tutaj będziesz bezpieczna. Odniosłem wrażenie, że oni nie mogą wejść do miejsca kultu.

- I co dalej? Poszli sobie? Tak po prostu?

- Tak. W końcu poszli. Mnie się wydawało, że to trwa całe godziny, ale myślę, że zeszło najwyżej z pięć minut. Żaden nie miał ochoty wejść do kaplicy, a ja nie zamierzałem wychodzić. Nie sądzę, żeby marzyli o oblężeniu, podczas którego musieliby sterczeć na śniegu przez całe dni, podczas gdy ja żywiłbym się komunikantami i mszalnym winem.

- To chyba najodważniejszy uczynek, o jakim kiedykolwiek... - zaczynam.

- Nie schlebiaj mi - mówi Adam, rozkładając ręce. - Kiedy poszli, tak się trząsałem, że przez dwadzieścia minut nie byłem w stanie wstać. A jak już wstałem, wypilem całe mszalne wino. Nie jestem odważny.

Powinnam zaoponować. Coś jednak nie daje mi spokoju.

- Mówiłeś, że nie rozumiałeś czegoś, co powiedzieli. Co to było?

Adam sięgnął po widelec i zabiera się do potrawki z takim spokojem, jakby przed chwilą referował mi wyniki meczu, a nie opowiadał o tym, jak uciekł uzbrojonym napastnikom.

- Słucham?

- Mówiłeś, że kiedy jeden namawiał drugiego do wejścia do kaplicy, tamten wspomniał, że coś utraci, jeśli to zrobi. Pamiętasz, co to było?

- Mhm. Jasne. Myślę, że to był akronim. Czteroliterowy.

- Przepraszam. Nie miałeś powodu, żeby zapamiętać, co to było.

- Nie, nie, pewnie, że pamiętam. „SMYK”. „Stracę mojego SMYK-a”. Właśnie tak powiedział. Ale

nie mi to nie mówi. A tobie?

Potrząsam głową.

- Nie. Sama nie wiem, czemu myślałam, że coś z tego wszystkiego zrozumie.

ROZDZIAŁ 17

Po posiłku Adam wychodzi ze mną z klasztoru, żebym mogła zapalić papierosa. Klasztory w tych stronach składają się z małego porośniętego trawą dziedzińca w kształcie prostokąta -

obecnie przysypanego śniegiem - otoczonego z czterech stron wąskimi szarymi kamiennymi kruzgankami. Jak wyjaśnił Adam, to jak przebywanie na dworze, chociaż jest się w budynku, albo odwrotnie. Kiedy się dopytywałam, odparł, że nie jest pewny, czy palenie w klasztorach jest dozwolone, ale że gości nikt się raczej nie czepia. I tak oto stoję tutaj, wciągając toksyczny dym do płuc, rozmyślając o klasztorach przy Russell College i o tym, jak ludzie zaglądają do nich tylko po to, żeby sobie zapalić: większość studentów myśli, że klasztory buduje się właśnie w tym celu.

- Jesteś strasznie cicha - mówi Adam, opierając się o kamienny filar.

- Czuję się tutaj zupełnie nie na miejscu - wyznaję. - Jakby za chwilę miał mnie porazić piorun za palenie fajek albo przeklinanie. Albo gorzej, za przejmowanie się takimi głupotami jak możliwość, że porazi mnie piorun za palenie i przeklinanie, kiedy tak naprawdę powinnam mieć wyrzuty sumienia przez to, co się stało z twoją twarzą, i przez to, że moja obecność ściąga na was wszystkich niebezpieczeństwo, i... i jakby tego było mało, muszę wymyślić, jak się stąd wydostać i dokąd pojechać.

- Mogłabyś zwyczajnie tu zostać - mówi Adam.

- Nie mogę - odpowiadam. - Muszę kogoś odnaleźć.

Jednak nie mówię mu kogo ani też nie wspominam, jak zamierzam go odnaleźć.

- To ma związek z tą książką? - pyta.

Kiwam głową.

- Aha.

- Pewno nie ma sensu, żebym wypytywał o tę książkę?

- Raczej nie. Prawdopodobnie byłoby lepiej, gdybyś w ogóle zapomniał o jej istnieniu.

Adam wzrusza ramionami.

- Och... W każdym razie cieszę się, że znowu cię zobaczyłem.

- Niemożliwe, żebyś się cieszył - stwierdzam. - Pomyśl o tym, co już cię spotkało.

- Ale mnie to nie przeszkadza - mówi, uciekając wzrokiem. - Przynajmniej ból jest realny.

- Wiem, co przez to rozumiesz - zapewniam po krótkiej pauzie.

- Wiesz?

- A może nie - odpowiadam, wypuszczając dym w zimne powietrze. - Ale mam...

Sama nie wiem. Mam dziwny sposób patrzenia na różne sprawy. Również dlatego czuję się nie na miejscu tutaj... I z tobą, prawdę mówiąc. - Chrząkam i przełykam ślinę z takim uczuciem, jakbym razem z flegmą i czymś tam jeszcze przełykała własne słowa. Wszystko, co chcę powiedzieć (i równocześnie czego powiedzieć nie chcę), kurczy się do jednego zdania: -

Zrobiłam wiele złych rzeczy.

- Każdy robi wiele złych rzeczy.

- Owszem, ale jest różnica między niewysłaniem babci kartki z życzeniami na urodziny, bo się o nich zapomniało, a między rzeczami takiego rodzaju, jakie mnie zdarzało się robić. Ja...

- Cokolwiek robiłaś... to dla mnie bez znaczenia.

Nie umiem wytłumaczyć mojej dewiacji seksualnej Adamowi, więc rzucam niedopałek papierosa na zalegający na dziedzińcu śnieg, w którym zapada się niczym potworne rozżarzone oko.

- Jestem osobowością autodestrukcyjną - wyznaję. - W każdym razie jestem nią w magazynomowie.

- Autodestrukcyjną - powtarza Adam. - Ciekawy termin. Przypuszczam, że ja też jestem autodestrukcyjny, ale w bardziej dosłownym sensie. Właśnie tego wymaga taoizm: destrukcji własnego „ja” i wyzbycia się ego.

- To skłonność do autodestrukcji może być pozytywna? - dziwię się. - A to ciekawe.

- Cóż, odkąd straciłem Boga...

- Straciłeś Boga? - pytam rozbawiona, czując, jak twarz układa mi się w uśmiech. -

Nie wiedziałam, że taki z ciebie okrutnik.

Cholera. To nie pora na dowcipy. Ariel, na litość boską, nie zachowuj się obraźliwie.

Jednak Adam tylko patrzy na mnie przez sekundę, po czym nieoczekiwanie pokonuje tych kilka kroków, które nas dzielą, przytula mnie i mocno całuje. Odwzajemniam pocałunek, choć wiem, że nie powinniśmy się tutaj całować. Jego usta przywierają do moich z zimnym pośpiechem, a potem nagle czuję jego zęby: kłapiące moją wargę, niemalże wydzierające kawałeczek ciała. Odsuwam się.

- Adam...

- Przepraszam. Ale już tak na mnie działasz.

Wlepiam wzrok w ziemię.

- Nie chciałam.

- Owszem, chciałaś.

- Nie. Słuchaj, ja wiem, co masz na myśli. Zwykle chcę robić takie rzeczy z ludźmi, a nawet, jak ty to ująłeś, ludziom, ale nie tobie. Ty jesteś inny.

- Czemu? Bo udało mi się zgubić Boga? Czy dlatego, że kiedykolwiek Boga miałem?

- Przepraszam, że ci przerwałam. Co miałeś powiedzieć przed chwilą?

Wzdycha: w powietrzu pojawia się chmurka zmrożonej niepewności.

- Chciałem powiedzieć, że utraciłem wiarę w Boga, a potem w siebie. Wiesz, że wiara zwykle pomaga ludziom się odnaleźć i odnaleźć Boga? Mnie udało się to wszystko zagubić, utracić. W dodatku byłem przekonany, że wszystko jest w porządku. Naczytałem się książek o wyzbyciu się żądz i o wyzbyciu się ego... Okazało się, że to niszczy duszę, dosłownie. Nic mnie na to nie przygotowało. Nic nie przygotowało mnie na to, jak czuje się człowiek obiektywnie świadomy religii, ale niebędący jej częścią. Biblia stała się zwykłą książką, jak każda inna. Wciąż mogłem ją czytać i wygłaszać opinie na temat tego, co znaczy ten czy inny fragment, tyle że nie byłem w stanie w nią wierzyć.

- Od niszczenia duszy niedaleko do autodestrukcji.

- O, tak. Doświadczyłem, jak to jest, kiedy człowiek wyzbędzie się własnego „ja”, i to było kurewsko przerażające.

- Adam...

- Jednoczenie się z innymi, zatracanie się w nich, stawanie się „jednością”. To piekło.

Kto mówił, że piekło to inni?

- Sartre.

- I miał rację. Nie zdawałem sobie sprawy, że wydarcie z siebie duszy i gotowość dzielenia się nią z każdym wcale nie przypomina współodczuwania ani nawet oddawania starych ciuchów potrzebującym. To jak pójść do parku nocą, rozebrać się do naga i czekać, aż ktoś na ciebie naszcza.

Myślę o Wolfie i jego bezowocnych próbach ściągnięcia na siebie przemocy.

- Ludzie nie mogą być aż tacy źli - mówię.

- Nie to próbuję powiedzieć. Ja... ja już sam nie wiem, co wygaduję. Właśnie to chciałem ci wytłumaczyć tamtego wieczora, ale dzisiaj wcale nie idzie mi lepiej. Mówiłem ci, że przeszedłem załamanie?

- Tak. Przykro mi...

- To część tego samego. Jażn ulega zniszczeniu, rozpada się. Jak gdyby eksplodowała i już nic nie pozostaje. Ja tak nie umiałem. Zawiodłem na całej linii. Załamałem się, pewnie, ale zanim zdążyłem wejrzeć w otchłań i zobaczyć, jaka ona właściwie jest, zacząłem się składać do kupy. Na własnej skórze testowałem, jak to jest „być normalnym”: piłem i kłąłem.

Było nawet zabawnie. Teraz już sam nie wiem, kim jestem. Mówię o sobie „ja”, choć nie wiem, co to właściwie znaczy. Nie wiem, gdzie to „ja” się zaczyna i kończy. Nie wiem nawet, z czego jest zrobione.

- Ha, w tym akurat mogę ci pomóc - mówię. - Wszystko w poznanym wszechświecie jest z kwarków i elektronów. Jesteś zrobiony z tego samego co ja i ten śnieg, i kamienie. Z

tego samego tylko w różnych kombinacjach.

- To piękna myśl.

- To święta prawda. - Śmieję się. - Zwykle tego nie mówię. Ale to najprawdziwsza prawda.

Kiedyś zrobiłam studentom zajęcia poświęcone znaczeniu. W zamyśle miał to być mały wstęp, po którym zaczną myśleć o Derridzie. Przerabiamy de Saussure'a i inne podstawowe sprawy, a potem pokazuję im kopię *Fontanny Duchampa* - pisuar, który okrzyknięto najbardziej wpływowym dziełem sztuki dwudziestego wieku - i pytam ich, czy to sztuka czy nie. W tej konkretnej grupie większość studentów zaczęła argumentować, że pisuar nie może być dziełem sztuki: dwie czy trzy osoby autentycznie się zirytowały i zaczęły mówić o Picassie, o tym, że ich dzieci potrafią ładniej rysować, i o niedawnej instalacji wyróżnionej Nagrodą Turnera z wyłączającym się i włączającym światłem... Pomyślałam, że dość łatwo będzie mi sobie z nimi poradzić. Chciałam tylko wykazać, że coś, co nazywamy

„pisuarem”, a przez co my rozumiemy to, do czego sikają mężczyźni, różni się od tego, co nazywamy „obrazem”, a co jest farbą na płótnie, dlatego że różnicujemy je w naszym języku.

I to, czy decydujemy się umieścić któreś z tych pojęć w kategorii „sztuki” czy nie, zależy od tego, jak zdefiniujemy sztukę. Jednak studenci jakoś nie mogli tego zrozumieć i ogarnęła mnie frustracja. Pamiętam, jak pomyślałam: „Gońcie się. Wolałabym siedzieć teraz w domu i popijać kawkę w kuchni”. Wyjaśniłam im, że wszystko na świecie utworzone jest z dokładnie takich samych kwarków i elektronów. Atomy są rozmaite. Jasne. Są atomy helu, atomy wodoru i każdy inny rodzaj atomu, lecz wszystkie różnią się wyłącznie liczbą kwarków i elektronów, z których się składają, przy czym w odniesieniu do kwarków ważne jest ich ułożenie. Tłumaczyłam, że można by zatem powiedzieć, że

pisuar nijak nie różni się realnie od, powiedzmy, *Mony Lizy*. Powiedziałam im, że to co uważają za rzeczywistość, jest rzeczą względną, zależną od pozycji, z której się na nią patrzy. Oglądane pod dostatecznie mocnym mikroskopem pisuar i *Mona Liza* wyglądałyby identycznie.

Nie tylko przestrzeń i czas są popieprzone. Materia jest energią, ba!, materia jest szarą breją, tyle że nie jesteśmy w stanie tego zobaczyć. Teraz myślę o Troposferze i zastanawiam się, z czego jest zrobiona, jeżeli istnieje tylko w mojej wyobraźni, to z czego zrobiona jest moja wyobraźnia.

Adam wraca ze mną do mojego pokoju. Natychmiast siadam na łóżku, on natomiast przez jakiś czas krąży dookoła mnie, wyglądając przez szczelinę w zasłonach, potem biorąc do ręki Biblię i odkładając ją na szafkę. Myślę, że zaraz usiądzie na drewnianym krześle, ostatecznie podchodzi i siada na łóżku koło mnie, a jego głowa opiera się o drewniane wezłowie jakieś dwa cale od mojej.

- Więc wszyscy jesteśmy kwarkami i elektronami... - zaczyna.

- Co?

- Moglibyśmy się kochać i byłoby to zwykłe ocieranie się kwarków i elektronów.

- Jest jeszcze lepiej - oznajmiam. - W mikroświecie nic naprawdę nie „ociera się o siebie”. Materia nigdy nie dotyka innej materii, więc moglibyśmy się kochać, a nasze atomy nawet by się nie dotknęły. Pamiętaj, elektrony są na zewnątrz atomów, odpychają inne elektrony. Więc moglibyśmy się kochać i odpychać równocześnie.

Słyszę, jak jego oddech nabiera nieco innego rytmu, kiedy kładzie rękę na mojej nodze w miejscu, gdzie lekko odchyła się rąbek szlafroka.

- A to jak byś nazwała? Znaczy, jeśli to tylko atomy odpychające się wzajemnie, nie byłoby to nic wartego wzmianki, naprawdę. To znaczy: czemu miałyby to komuś przeszkadzać?

- Adam...

- Co czyni to wszystko realnym?

Przez moment ponownie myślę o bólu; o wymuszaniu frykcji; zmuszaniu atomów do wymiany elektronów; zmuszaniu czegoś, aby stało się rzeczywiste. Ale on mówi o czymś innym. O czymś ogólniejszym.

- Język - odpowiadam. - On wszystko urealnia: od istnienia słowa „realne” po istnienie słowa „seks” i słowa „zło”.

Kładę dostateczny nacisk na słowo „zło”, żeby zabrał rękę z mojego uda. Szczelniej opatulam się szlafrokiem i krzyżuję nogi w kostkach. Wiem, dlaczego nie mogę tego zrobić, lecz rozum to nie to samo co pożądanie, a ja już czuję, jak krew zapobiegliwie krąży po moim ciele, przygotowując mnie na coś, co nie może się stać: usta Adama na moich; jego śniada porośnięta włosami pierś przyciśnięta do moich gładkich białych piersi; penetracja i zapomnienie. To jak umieranie z głodu i poczucie, że musisz coś zjeść. Ja umieram z głodu, a ktoś właśnie podsunął mi miskę stawy i powiedział, że nie

mogę jej tknąć; że może być zatruta.

Adam wstaje z łóżka i podchodzi do okna. Zastony wciąż są zaciągnięte, ale nie próbuje odsłonić okna; po prostu stoi i patrzy na beżową tkaninę. Wzdycha.

- Te językowe rzeczy... To właśnie studiujesz, prawda?

- Aha.

- Bardzo się to różni od teologii.

- Tak? Niektóre rzeczy, które mówiłeś tamtego wieczoru u Heather... skojarzyły mi się z Baudrillardem i jego koncepcją symulaków: świata stworzonego z iluzji, z kopii kopii rzeczy, które już nie istnieją; z kopii bez pierwowzorów. A *différance* Derridy i sposób, w jaki oddalamy znaczenie, zamiast autentycznie je doświadczyć. Derrida dużo mówi o wierze.

Dużo pisał o religii.

- Ale to wciąż żadna frajda, prawda? Wciąż ma moc nakazywania ci, co robić. To trochę tak: nic nie ma znaczenia, mimo to wciąż musisz trzymać się reguł. Ja chcę czegoś, co mi powie, że nie muszę ich przestrzegać.

- No cóż, może w takim razie wracamy do egzystencjalistów. Myślę, że oni lepiej się bawią. Aczkolwiek z nimi jest taki problem, że tak naprawdę sami o tym nie wiedzą.

Myślę o Camusie i o *Obcym*. Myślę o scenie, w której Mersault pije kawę w zakładzie pogrzebowym, i o tym, jak to jest później wykorzystane jako dowód, że jest złym człowiekiem. To jaką osobę zrobiłoby z człowieka uprawianie seksu w klasztorze?

- To Derrida nie jest egzystencjalistą?

- Nie. Ale wszystko to wywodzi się z tego samego zaplecza: Heidegger i fenomenologia.

- A co ona mówi o świecie?

- Co? Fenomenologia?

- Aha.

- Hm... Jeszcze sobie tego do końca nie przemyślałam i mogłam nie do końca wszystko zrozumieć, ale z grubsza mówiąc, chodzi o świat rzeczy: fenomenów.

Wracam myślami do opowiadania Lumasa *Niebieski pokój* o filozofach usiłujących rozstrzygnąć, czy duchy istnieją czy też nie. Przypomina mi to siebie, kiedy po raz pierwszy usiłowałam należycie zrozumieć fenomenologię (i próby te wciąż trwają). Czytałam *Odkrywając egzystencję z Husserlem* Levinasa - Husserl był mentorem Heideggera - i próbowałam przeanalizować jego prace, lecz było to cholernie trudne. Leżałam w wannie, starając się nie zamoczyć książki, i w ramach eksperymentu

myślowego zadawałam sobie oklepane pytanie: „Czy w tym pomieszczeniu jest duch?”. Przypominałam sobie, że gdybym była racjonalistką, mogłabym odpowiedzieć: „Nie” z dużym przekonaniem, o ile wcześniej bym wykazała, że duchy nie istnieją, za pomocą logiki i twierdzeń *a priori*. Można być racjonalistą, mając zamknięte oczy. Wiem, że duchy nie istnieją, więc w tym pokoju nie ma ducha. Jeśli jest się racjonalistą i oparło się swój świat na logice, która stwierdza, że kiedy coś jest martwe, to jest martwe i na tym koniec, to nawet w pokoju pełnym wrzeszczących ghuli wciąż można stwierdzić, że w pokoju nie ma żadnego ducha. Gdybym była empirystką, szukałabym dowodów za pośrednictwem własnych zmysłów: widziałabym, że w pokoju nie ma żadnego ducha, i wyciągnęłabym wniosek, że skoro czegoś nie doświadczam, to tego czegoś nie ma. To akurat rozumiałam. Ale fenomenologia, jak mi się wydawało, nie jest zainteresowana tym, czy duch jest w pokoju czy też go tam nie ma. Fenomenologia zdawała się pytać: „A co to jest ten duch, do cholery?”.

Próbuję to streścić Adamowi.

- Z grubsza fenomenologia stwierdza, że istniejesz i że istnieje świat, ale relacja między tym i tym jest problematyczna. Jak definiujemy byty? Gdzie kończy się jeden, a zaczyna drugi? Strukturalizm twierdził, że obiekty są obiektami i można je nazywać, jak nam się żywnie podoba. Mnie bardziej interesują pytania dotyczące tego, co sprawia, że coś jest bytem. I jak byty mogą mieć znaczenie poza językiem, którego używamy, aby je zdefiniować.

- Więc koniec końców jest tylko język. Nie istnieje nic poza słowami. To jest główne założenie?

- Mniej więcej. Ale to nie są tylko słowa. Może „język” to niewłaściwe określenie w tym kontekście. Może lepsza byłaby „informacja”. - Wzdycham. - Strasznie trudno ująć to w słowa. Chyba najlepiej robi to Baudrillard, kiedy mówi o kopii bez oryginału: o symulacji.

Jak u Platona, który uważał, że ziemia jest kopią, albo cieniem, jakiegoś „bytu idealnego”, kojarzysz? Cóż, a gdybyśmy stworzyli świat, w którym nawet ten poziom cieni rzeczywistości nie jest ostateczną kopią? Taki, w którym wszystko, co kiedykolwiek było

„realne”, przestało istnieć, a kopie, które odnosiły się do rzeczy, czyli język, znaki, do niczego już się nie odnoszą? A jeśli wszystkie nasze głupie obrazki i znaki wcale nie tworzą rzeczywistości? Jeśli nie odnoszą się do niczego zewnętrznego, a jedynie do wewnątrz, do samych siebie i innych znaków? To hiperrzeczywistość. Gdybyśmy chcieli rozmawiać o tym w ujęciu Derridańskim, moglibyśmy mówić o świecie, który stale oddala to co realne. I to właśnie za pośrednictwem języka. Obiecuję nam stół albo ducha, albo skałę, ale nigdy żadnej z tych rzeczy nam nie dostarcza.

- Trochę dołujące, nie uważasz? - pyta Adam.

Śmieję się, lecz tutaj śmiech brzmi pusto.

- Chyba nie bardziej dołujące niż twoja koncepcja, że wszystko jest złudzeniem?

- Tak, ale ja mówiłem o iluzji, która coś przesłania. Jakaś określona rzeczywistość. Ty mówisz o świecie, w którym nie ma nic, co nie byłoby iluzją.

- Cóż, może po prostu chcę wierzyć, że istnieje coś oprócz symulakru. Nie wiem. Ale ekscytujące jest samo myślenie o tym. Jak moment, kiedy się dowiadujesz, że wszystko to tylko kwarki i elektrony. Dla mnie to ekscytujące, ponieważ tyle się uczymy o podstawowych jednostkach różnych rzeczy: języka, atomów, wszystko jedno czego, a okazuje się, że są absurdalne. To co wam opowiadałam tamtego wieczoru o fizyce kwantowej, to jakieś wariactwo, nie może być prawdą. A potem to co ty mówiłeś o prawdzie istniejącej poza obrębem rzeczywistości... to też wydało mi się ekscytujące. Zawsze istnieje kolejny poziom, o którego istnieniu najzwyczajniej nie wiemy. Naukowcy doszli do kwarków i elektronów i rozmaitych ich dziwnych wariacji, które pojawiają się w postaci promieni kosmicznych i tak dalej, ale przecież nie wiedzą, czy to już koniec, czy odkryli niepodzielną materię, którą Grecy nazywali *atomos*. Równie dobrze może się okazać, że podzielność jest nieskończona.

No i wciąż jest wiele fundamentalnych pytań, na które nikt nie potrafi odpowiedzieć: co było przed początkiem i co się stanie po końcu? Fakt, że takie pytania wciąż sobie stawiamy, jest ekscytujący. Nikt naprawdę nie wie nic szczególnie ważnego, a wciąż jest tak wiele do poznania.

- Czyli teraz wracamy do religii.

- Myślałam, że sam powiedziałaś, że religia jest częścią iluzji. Czyli jest zrobiona z języka jak wszystko inne...

- A wiara? - mówi nagle. - Z czego zrobiona jest wiara? - Adam dotyka zasłon, lecz nie rozsuwa ich.
- Tyle że na wierze nie można niczego oprzeć. Nic z tego, co na niej oparto, nie jest prawdziwe.

- Nie? Można by argumentować, że wszyscy mamy wiarę. Wiarę w język na przykład.

- Mimo to wiara nie zawsze się opłaca, prawda? Nie zawsze dostaje się w zamian to, czego się chce.

Obraca się i patrzy na mnie. Jest blady i przypominam sobie, co mówił o tym, że chwilowo nie czuje się „najlepiej”. Prawdopodobnie jednak wciąż jest najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam, i przez sekundę nie mogę uwierzyć, że jest ze mną w pokoju z tymi swoimi długimi nieumytymi włosami i szarymi ubraniami mieszczącymi się na skali odcieni szarości, on, który jest czymś więcej niż tylko ciałem, tylko atomami. Jak łatwo byłoby zamknąć oczy i wpuścić go do środka. Ale później znowu by odszedł, a ja zostałabym ze świadomością tego, co zrobiłam. Nie chcę, żeby odchodził. Nie mogę uprawiać z nim seksu, więc będę musiała pilnować, by nie przestawał mówić. Może po prostu zaśniemy, trzymając się w ramionach? Nie bądź głupia, Ariel. Tutaj byłoby to równie złe jak szybki numerek.

- Można by powiedzieć, że mamy wiarę we wspólną kulturę - mówię.

- W oparciu o co?

- O wspólny język. To znaczy: my naprawdę mamy wspólną kulturę, a ta kultura

„składa się” z rzeczy, które wyodrębniliśmy i którym przypisaliśmy etykiety, sklasyfikowaliśmy, jak wszystko klasyfikowali dziewiętnastowieczni przyrodnicy.

Oczywiście ludzie po dziś dzień debatują nad tą klasyfikacją. Czy dwie podobne ryby to jeden gatunek czy dwa? Czy wszystko różni się od wszystkiego innego czy też jest takie samo?

Patrzy na mnie z najbardziej posępną miną, jaką w życiu widziałam, cała jego twarz zdaje się wskazywać w dół, łącznie ze spojrzeniem, które nagle dryfuje ku podłodze. Ale ja wciąż myślę o tym, że chciałabym w nim zatonać; chcę zatonać w jeziorze posępnego, wkurzonego Adama. Chcę znacznie mocniej teraz, kiedy jest na mnie zły, że nie zgodziłam się z nim przespać. Zupełnie jakby linie sił między nami stały się elastyczne i próbowały się skurczyć. Różnimy się od siebie czy jesteśmy tacy sami?

On nic nie mówi, więc nadaję dalej:

- Według jakich kryteriów można powiedzieć, że tutaj kończy się coś, a zaczyna coś innego? Poza tym czym właściwie jest ten „byt”? Dopóki nie zejdziemy do poziomu atomu, wydaje się, że między rzeczami nie ma wolnej przestrzeni. Nawet pusta przestrzeń roi się od cząsteczek. Za to kiedy przyjrzeć się atomowi, okazuje się, że istnieje mało co oprócz przestrzeni. Na pewno słyszałeś to porównanie, że atom jest jak hala sportowa z jedną piłką tenisową w środku? Nic nie jest naprawdę połączone z niczym innym. Ale my tworzymy takie połączenia między rzeczami za pośrednictwem języka. I używamy tych klasyfikacji i przestrzeni między nimi, żeby stworzyć taką kulturę jak ta, w której żyjemy obecnie, w której oboje rozumiemy, że czymś złym byłoby spać ze sobą w klasztorze, gdzie znalazłam gošcinę.

Oczy Adama są twarde, lecz głos łagodny.

- Co w tym złego?

- Oj, przestań, doskonale wiesz co. Urazilibyśmy wszystkich tutaj, gdyby wiedzieli, co się tu wyprawia.

- Ale przecież to byłaby ich wina, że nie rozumieją, jak działają atomy.

- Czyżby? Nie tak tłumaczyłaby to kultura. Wyobraź sobie zastosowanie takiej samej wymówki przez kogoś, kto broni się przed zarzutem morderstwa. „Ależ wysoki sędzie, tak naprawdę wcale jej nie dźgnałem, bo atomy noża nigdy nie dotknęły atomów w jej ciele”. Nie możemy tak po prostu wyjść z kultury, kiedy nam ona nie odpowiada. No, niby moglibyśmy, a w każdym razie moglibyśmy sobie wmawiać, że to zrobiliśmy, ale i tak czulibyśmy się winni. - Wzdycham. Tak łatwo jest rozmawiać w ten sposób, lecz wyjaśnić, co w tej chwili czuję, jest znacznie trudniej. Co bym powiedziała? Adam, chcę cię zobaczyć nagiego. Chcę ssać twojego kutasa i leżeć na plecach, i pozwolić, żebyś mnie pieprzył, ale nie w klasztorze, bo przez to czuję się wyuzdana i zła, a prawdopodobnie niedługo umrę, i chociaż nie jestem pewna, czy wierzę w niebo, niedawno widziałam istotę, która twierdziła, że jest bogiem, więc nie chcę schrzanić swoich szans być może w ostatniej minucie.

A potem znowu myślę o Derridzie. Zupełnie jakbym była na jakiejś aukcji, a moja ostatnia oferta za czystość jest taka: myślę o jego fiucie w moich ustach, lecz nie mówię o tym i tego nie robię. Nie pozwalam atomom zbyt blisko się zbliżyć.

Adam znowu podchodzi do okna. Tym razem rozsuwa zasłony i wygląda na dwór.

- Śnieg wciąż pada? - pytam. Przypomina mi to pewien cytat: „Powiedz mi, moja duszko, czy śnieg wciąż pada?”. Choć nie mogę sobie przypomnieć, skąd pochodzi. Może nawet nie szło o śnieg. Może chodziło o deszcz.

- Nie. - Wzdycha. - Powinienem być u ciebie zostać w tamten wtorek.

- Wtedy też bym się z tobą nie przespała.

Słyszysz, Boże?

Adam kiwa głową.

- Nie podobam ci się.

- Nie o to chodzi. Chyba już raczej o to, że ja nie podobam się sobie.

- Jak dla mnie to zwykle wciskanie kitu.

- Przepraszam. Masz rację. Po prostu nie mogę. Chcę, ale nie mogę.

Teraz znowu staje przodem do mnie, lecz nie patrzy mi w oczy. Nie ma więzi - bez względu na to, jaka cholerna więź powstaje, kiedy ktoś skupia spojrzenie na twoich oczach, a ty na jego i przez sekundę czujecie się jak maszyny podłączone do tego samego gniazdka, a może jakby jedno z was było maszyną, a drugie gniazdkiem. Maszyny, gniazda, elektryczność, linie sił... Nasze oczy mogą się nie spotykać, ale wszystkie inne linie sił wciąż tu są, przyciągając mnie do niego.

- Naprawdę masz ochotę? Naprawdę mnie chcesz? - Mówi to w taki sposób, jakby mu właśnie powiedziano, że cierpi na nieuleczalną chorobę, lecz rok z nią pożyje.

Czy w ogóle można traktować seks aż tak serio? Czy można traktować aż tak serio seks ze mną? Patrick mówi, że robię z nim „takie rzeczy”, choć w gruncie rzeczy ja tylko obiecuję mu między wierszami to samo co zawsze: sprośny seks bez zobowiązań. Nie sądzę jednak, żeby się przejął, gdyby więcej mnie nie zobaczył. Czy chcę Adama? Cóż, łatwiutkie pytanie.

- Tak. Ale nie mogę cię mieć. Nie jestem dla ciebie odpowiednia.

- Wiesz, że ja nigdy... - Pozwala, by to pytanie odpłynęło w dal jak płatek śniegu, który topnieje, nie dosięgając ziemi.

- Wiem. I to kolejny powód. Problem w tym, że ja owszem. Tysiące razy, z setkami ludzi.

- Ariel, na litość boską...

- Co?

- Czemu mówisz takie rzeczy?

- Jakie?

- Jakbyś chciała zrobić z siebie... sam nie wiem.

- Taką trochę puszczałką?

- Ja bym tak tego nie ujął.

- Nie. Ty jesteś zbyt miły. - Przygryzam usta.

- Och, odpieprz się. Uważasz, że jestem miły, bo kiedyś byłem księdzem. Nie chcę być miły. Chcę...

- No? Chcesz być taki jak ja? Chcesz być niemiły? Chcesz być zbrukany? No to chodź. - Zaczynam zdejmować szlafrok. - Przeleć mnie w klasztorze. Skosztuj tego, co mam.

Patrz: to mały przedsmak. - Rozkładam ręce, zwracając je nadgarstkami ku górze, jakbym podtrzymywała coś niewidzialnego. - Oto co się stało, kiedy ostatnio ktoś mnie przeleciał.

Adam podchodzi i przez sekundę wyobrażam sobie, że zamierza rozedrzeć na mnie nocną koszulę i popchnąć mnie na łóżko. Czy chcę, by to zrobił? A może wolę, żeby zrobiło mu się mnie żal z tymi moimi rozoranymi nadgarstkami i setkami podbojów seksualnych?

Jednak jego oczy wciąż są martwe jak skamieliny, kiedy mija mnie i wychodzi z pokoju. Bez względu na to, czego chcę, już tego nie dostanę. Poszedł.

Pół godziny później wciąż jestem sama w zimnej salce i zagrzebuję się w pościeli, żeby się rozgrzać. Potem połykam trochę roztworu z fiołki i odstawiam ją na krzesło przy łóżku. Kładę się i patrzę na czarne koło, dopóki ta rzeczywistość nie zaczyna zmieniać się w tę drugą, którą zacznę woleć.

Tym razem pokonanie tunelu nie zabiera mi dużo czasu. Kiedy jednak wyłaniam się po drugiej stronie, wszystko wygląda inaczej. Ulicy, do której tak bardzo zdążyłam się przyzwyczaić, już nie ma. Znajduję się natomiast na wyłożonym szarym brukiem, zagraconym rynku miejskim, który przy otaczających go dworzyszczach i zamkach wygląda na maciupeńki. A są tych budowli chyba całe setki, chociaż obiektywnie widzę, że najzwyczajniej nie powinny się tu pojawić. Niemniej są. Niektóre wzniesiono z bladego kamienia, inne, te z ciemnych rustykalnych cegieł, mają gotyckie iglice i wieżyczki, które zdają się sięgać chmur, jakby usiłowały pazurami wydrzeć sobie drogę do nieba. Chmury...

To dziwne. W Troposferze nigdy dotąd nie było chmur. Ale wciąż panuje tu noc; może po prostu stały się widoczne teraz, kiedy jest pełnia księżyca? A potem zdaję sobie sprawę, że księżyca też nigdy tu nie było.

Na środku ryneczku stoi pomnik połyskujący w świetle księżyca. Jak mi się wydaje, to kopia *Myśliciela* Rodina: mężczyzna siedzący na kamieniu i opierający podbródek na grzbiecie dłoni. Kiedy podchodzę bliżej, widzę, że mężczyzna ma mysi pyszczek. To posąg Apollona Smintheusa bez peleryny. Słyszę pohukiwanie sowy i aż podskakuję. Kiedy ostatnio słyszałam w Troposferze jakiś dźwięk, nie okazał się najlepszą wróżbą. Jednak nic więcej się nie dzieje, dochodzę zatem do

wniosku, że to tylko sowa. Ile tu jest budynków? Nie do policzenia. Bardzo trudno mi opisać to, co mam przed sobą, ale po prostu wydaje się, że wszystkiego jest za dużo: za dużo informacji sfloczonych na takiej małej powierzchni. Oprócz kłębowiska wież i iglic widzę mosty zwodzone i fosy, kopce, dymy z ognisk, łuk tęczy i rozmaite flagi; zza budynków wyzierają góry, urwiska i jeziora, wszystkie wymieszane ze sobą niczym zdjęcia krajobrazów tak gęsto powieszzone na ścianie, że miejscami zachodzą jeden na drugi. Między monumentalnymi budowlami widzę inne, bardziej swojskie przybytki: parę herbaciarni, małą księgarenkę i sklepik ze sztuczkami magicznymi. Niemniej wszystkie wydają się zamknięte. Jedno miejsce szczególnie mnie intryguje, lecz nie jest to budynek. To zapuszczony ogród otoczony wysokim murem z furtką z kutego żelaza. W środku widzę ławkę i kilka drzew. Mam ochotę wejść do środka, ale furtka jest zamknięta na klucz.

Podobnie jak cała reszta. Gdziekolwiek spojrzeć, lśnią różowe anachroniczne neony:

„Zamknięte”. „Fermé”. „Zamknięte na czas renowacji”. „Zamknięte”. „Nieczynne”. „Brak wolnych miejsc”. Niby gdzie oprócz gotyckich zamków i wież można oglądać różowe neony?

Konsoleta?

Pojawia się natychmiast.

„Masz zero opcji”, informuje kobiecy głos.

Och, super. Znowu to samo. Coś się popsuło? Czy ci faceci zrobili z tym miejscem coś takiego, że już nie będę mogła z niego korzystać?

„Masz jedną nową wiadomość”.

Co?

„Masz jedną nową wiadomość”.

Mogę ją odebrać?

Bez odpowiedzi. Gdzie ta mała kopertka, na którą się klika? Jaki jest jej odpowiednik w Troposferze? Jak mam tutaj odebrać wiadomość? I niby kto miałby ją dla mnie zostawić?

Przez sekundę wyobrażam sobie opakowaną w brązowy papier przesyłkę, z której wystają czerwone, zielone i czarne kabelki: bomba od moich wrogów. Ale nic na tę myśl nie czuję i przypominam sobie, co najbardziej podobało mi się w moich wizytach tutaj: brak gorąca, brak zimna, brak strachu.

Coś zaczyna połyskiwać na konsolecie i stwierdzam, że to mysia nora Apollona Smintheusa. Wcześniej jej nie zauważyłam, lecz oto i ona: między czymś, co przypomina Walhallę, a czymś, nad czym wisi szyld *Primrose Tea Shoppe*. Powinnam do niej wejść?

Koniecznienie chcę się zobaczyć z Apollonem Smintheusem. Wyłączam konsolę i przechodzę pod białym łukiem do pomieszczenia, które pamiętam z poprzedniej wizyty: z pustymi stołami, półkami i gniazdem w kącie. Apollona Smintheusa nigdzie nie widać. Przechodzę do następnego

pomieszczenia. Ogień zgasł i tu też nikogo nie ma. Na stole leży jakaś książeczka.

Przewodnik po Troposferze, jest napisane na okładce. *Autorstwa Apollona Smintheusa*.

To jest ta wiadomość? Otwieram książeczkę.

„Masz zero nowych wiadomości”, odzywa się konsola.

Zatem wiadomością była właśnie ta książeczka. W porządku. Siadam w bujanym fotelu i zaczynam czytać. Cały przewodnik ma zaledwie trzy strony, ale czcionka jest duża.

Troposfera nie jest miejscem.

Troposfera jest stworzona z myślenia.

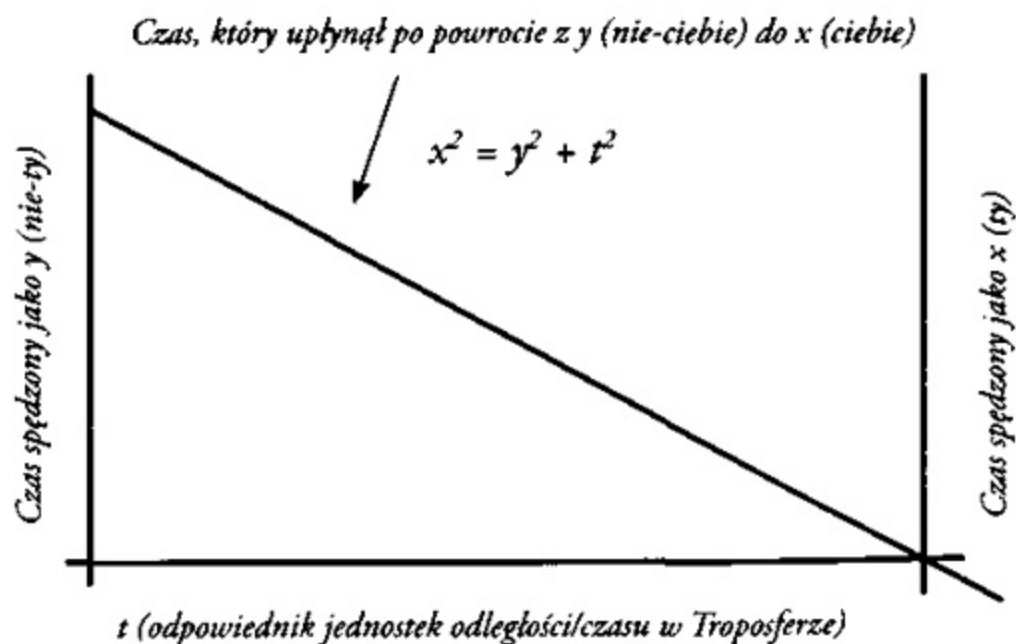
(Ja jestem stworzony z modlitwy).

Troposfera się rozszerza.

Troposfera jest równocześnie w twoim wszechświecie i poza nim.

Troposfera może się również skurczyć do rozmiarów punktu.

Troposfera ma więcej niż trzy wymiary i więcej niż jeden „czas”.



Stoisz teraz w Troposferze, ale mogłabyś ją dowolnie nazwać.

Konkretna myśl jest wszelką myślą.

Konkretny umysł jest wszystkimi umysłami.

Ten wymiar różni się od pozostałych.

Twoja Troposfera różni się od cudzych.

Pedezę osiąga się poprzez bliskość:

Geograficzną (w świecie),

Tropograficzną (w Troposferze),

Genealogiczną (w umyśle).

Wybory, które daje ci Troposfera, odnoszą się wyłącznie do bliskości

(z wyjątkiem zaszyfrowanych informacji).

Można przeskakiwać z osoby do osoby w świecie fizycznym (o ile ta osoba jest w danej chwili podatna na świat wszystkich umysłów).

Wszystko to jest wspomnieniem.

Troposfera ma inny kształt niż świat fizyczny, któremu (luźno) odpowiada. Z tego powodu czasami skuteczniejsze jest podróżowanie w Troposferze, a czasami skuteczniejsze jest podróżowanie w świecie fizycznym (patrz wykres).

Zastrzeżenie: Niniejszy diagram jest pomniejszoną wersją równania z wyższego wymiaru. Znajduje zastosowanie w przypadku podróży krótkich bądź o nieskomplikowanym charakterze. Pedeza, która odbywa się drogą genealogiczną poprzez wiele pokoleń, doprowadzi (prawdopodobnie) do rozbieżności.

Uwaga: Jednostki odległości/czasu w Troposferze odpowiadają z grubsza analogicznym miarom w świecie fizycznym przy mnożniku 1,6.

„Godzina” w Troposferze trwa zatem 1,6 godziny światofizycznej, to jest dziewięćdziesiąt sześć minut.

Przeliczanie czasu na odległość powinno się odbywać w zwykły sposób.

Odległość jest w Troposferze tożsama z czasem.

W Troposferze nie można umrzeć.

W świecie fizycznym można umrzeć.

„Ty” jesteś tym, kim myślisz, że jesteś.

Materia jest myślą.

Odległość jest bytem.

Nic nie opuszcza Troposfery.

Prawdopodobnie można by myśleć o Troposferze jako o tekście.

Mogłabyś myśleć o Troposferze, którą widzisz, jako o metaforze.

Troposfera jest w pewnym sensie jedynie światem metafory.

Mimo że ja podejmowałem tutaj takie próby, prawdziwa Troposfera nie daje się opisać

Nie można jej wyrazić w żadnym języku stworzonym z cyfr bądź

liter oprócz tych będących częścią *existentiell* analitycznego (szczegóły patrz Heidegger).

Ostatni punkt mógłby być bardziej klarowny. Mam na myśli to, że doświadczanie Troposfery jest równoznaczne z jej wyrażaniem.

Koniec.

ROZDZIAŁ 18

Znowu leżę na łóżku, a dopiero minęła północ. Muszę spróbować zapisać, ile tylko się da z przewodnika Apollona Smintheusa, zanim wszystko pozapominam. Muszę sobie to przemyśleć w realnym świecie. Co to wszystko znaczy? „Konkretna myśl jest wszelką myślą.

Konkretny umysł jest wszystkimi umysłami”. Czy tym właśnie jest Troposfera? Sumą wszystkich umysłów? Może wcześniej to wiedziałam. Może właśnie to podejrzewałam. Jeśli tak, to czy miasto w moim umyśle jest takie wielkie, że znajdzie się w nim miejsce na sklepik, dom albo wręcz zamek odpowiadający każdemu świadomemu umysłowi na świecie? Czym były te wszystkie zamki i czemu były zamknięte? Czy świadomością? Czy mają ją robaki?

Muszą ją mieć, skoro mają ją myszy. Gdybym chciała się dostać do umysłu robaczka w Afryce, jak powinnam się do tego zabrać?

Jedno jest pewne. Czas faktycznie inaczej płynie w Troposferze. Nie całkiem rozumiem, czym jest odległość/czas przebyte w Troposferze, ale wydaje się oczywiste, że kiedy się ją opuszcza, minęło więcej czasu, niż się w niej przebywało. W pierwszej kolejności rysuję diagram, tak jak go zapamiętałam. Przypomina twierdzenie Pitagorasa. To znaczy: to jest twierdzenie Pitagorasa, lecz zastosowane do przestrzeni i czasu. Męczę się, usiłując przypomnieć sobie wszystkie książki popularnonaukowe, jakie przeczytałam w ostatnich latach. Grawitacja działa podobnie, prawda? Jednak w przewodniku napisanym przez Apollona Smintheusa nie ma ani słowa na temat masy. Chodzi wyłącznie o odległość i czas.

Co więcej, autor zdaje się sugerować, że w Troposferze odległość jest tym samym co czas.

Wiem, że to prawda także w „realnym” wszechświecie. Nosi to nazwę czasoprzestrzeni.

Chociaż w normalnym życiu się jej nie zauważa. Nie można pomajstrować przy czasie, wybierając się do sklepów czy nawet na Księżyc. Jeśli ktoś chce pomajstrować przy czasie, musi odlecieć z Ziemi bardzo szybko statkiem kosmicznym i nieprzerwanie podróżować z prędkością bliską prędkości światła, nie przyśpieszając ani nie zwalniając. Po powrocie przekona się, że na Ziemi minęło relatywnie „więcej” czasu niż na statku. Wydaje się natomiast, że w Troposferze dzieje się coś wręcz przeciwnego. A może w gruncie rzeczy dokładnie to samo? Burczy mi w brzuchu. Będę musiała znowu wrzucić coś na ruszt.

Mimo to nie mogę przestać rozmyślać o zamkach i wieżach o bogato zdobionych iglicach i ciężkich zwodzonych mostach. Zapisując zdania: „Mogłabyś myśleć o Troposferze, którą widzisz, jako o metaforze. Troposfera jest w pewnym sensie jedynie światem metafory”, zastanawiam się, co reprezentują zamki, jeśli i one są metaforami. I czy kiedy wchodzi się do Troposfery, uzyskuje się natychmiastowy dostęp do świadomości „najbliższej” wchodzącemu w fizycznym świecie? A jeśli tak, to czy te wszystkie zamki należały do wierzących osób znajdujących się w tym budynku? I kto decyduje, że to będą zamki? Oni czy ja?

Kończę przepisywanie przewodnika z pamięci. Chyba niczego nie przekręciłam.

Całość okazała się łatwiejsza do zapamiętania, niż sądziłam, ale potem myślę o tym, co mówił

mi Apollo Smindieus, i staje się jasne, że moją Troposferą (bo każdy ma własną) jest mój umysł. Broszura jest teraz wspomnieniem. I pamięć już je poddaje rozkładowi. Patrzę na jedno ze zdań, które zanotowałam: „Można przeskakiwać z osoby do osoby w świecie fizycznym”. Coś mi się w nim nie zgadza. Coś pominęłam? Marszczę czoło, jakby to mogło sprawić, że moje wspomnienia otrą się o siebie i stworzą coś w rodzaju frykcji pamięciowej. I tworzą. „Można przeskakiwać z osoby do osoby w świecie fizycznym (ale tylko wtedy, kiedy ta osoba jest w danej chwili podatna na świat wszystkich umysłów)”. W porządku. Nie wiem, co to znaczy, lecz przynajmniej mam to na papierze.

Ziewam. Moje ciało łaknie snu - i jedzenia - mój umysł zaś chce robić to dalej: odpowiadać na kolejne pytania, dopóki ich zabraknie. Zerkam na listę. Muszę się uśmiechnąć, kiedy widzę wzmiankę o Heideggerze. Niby z jakiej paki Apollo Smintheus myśli o Heideggerze? Jednak instynkt mi podpowiada, że Apollo Smintheus wie, jak wyjaśniać różne rzeczy różnym ludziom w ich własnym, osobistym języku, a mój język faktycznie obejmuje terminy takie, jak *existentiell* i ontyczny, jak również ich dumniejsze odpowiedniki: egzystencjalny i ontologiczny. Nie zapomniałam tego, co wyczytałam w *Bycie i czasie*, mimo że nigdy nie dokończyłam tej lektury, co zawsze sobie wyrzucam. Pamiętam te terminy, ponieważ właśnie o nich robiłam tyle notatek, a wszystkie na marginesach tej książki.

Kiedy czytałam *Bycie i czas*, w myślach zawsze nazywałam ją *Byciem i lunchem*: to był taki mój prywatny żarcik, bawił mnie przez miesiąc, którego potrzebowałam na przeczytanie pierwszych stu stron. Trwało to tak długo, ponieważ lekturze oddawałam się wyłącznie podczas lunchu, zamówiwszy zupę z bułką w taniej kawiarni niedaleko od miejsca, gdzie wtedy mieszkałam w Oksfordzie. W tamtym domu nie było ogrzewania i panowała okropna wilgoć. W zimie zawsze miałam infekcje górnych dróg oddechowych, a w lecie dom pełen owadów. Staralam się spędzać w

nim możliwie mało czasu. Więc codziennie chodziłam do kawiarni i przesiadywałam w niej godzinę czy dwie, czytając *Bycie i czas*. Chyba udawało mi się czytać jakieś trzy, może cztery strony dziennie. Kiedy przypominam sobie tamte czasy, nie mogę się nie zastanowić: czy i o tym wie Apollo Smintheus? Wie o dniu, kiedy kawiarnię zamknięto na czas remontu i przestałam do niej chodzić? Czy wie, że wdałam się w romans z facetem, który chciał się ze mną spotykać w porze lunchu, i że to dla niego porzuciłam Heideggera?

Żałuję, że nie doczytałam go do końca. Żałuję, że nie zabrałam go ze sobą. Ale kto zabiera ze sobą *Bycie i czas* jako artykuł pierwszej potrzeby, kiedy ucieka przed bandziorami z bronią? Wstaję z łóżka. Moją uwagę zwraca wolno stojący zabytkowy regał na książki pod ścianą. Ma przeszklony front, w zamku tkwi srebrny klucz. Zaglądam przez szybę i widzę mnóstwo tekstów papieża Jana Pawła II, w tym tomik jego poezji. Obok stoją grube brązowe Biblie i cienkie białe opracowania biblijne; wszystkie pokrywa kurz. Nie widać grubej niebieskiej księgi. Nie ma *Bycia i czasu*. Jak gdybym sądziła, że naprawdę tu będzie. Mój żołądek wydaje kolejny osobliwy dźwięk, przypominający odgłos pompowania balonu. Będę musiała coś zjeść, jeśli mam wrócić do Troposfery. A później będę musiała wykoncypować, jak odnaleźć Burlema.

Na korytarzu jest ciemno i zimno. Sama nie wierzę, że zamierzam ukraść trochę jedzenia z klasztornej kuchni. Czy to rzeczywiście kradzież? Jestem przekonana, że gdyby oprócz mnie ktoś jeszcze nie spał i gdybym miała kogo zapytać, usłyszałabym, że mam się częstować.

Właśnie to zwykle mówi się gościom, nieprawdaż? Przynajmniej nie uprawiałam tu seksu; nie uprawiałam seksu w klasztorze z byłym księdzem.

Ciekawe, gdzie się podziewa Adam. Jest w jednym z innych pokoi gościnnych?

Wyobrażam sobie, jak wpadam na niego w korytarzu i odwołuję wszystko, co powiedziałam wcześniej. Tyle że wcale nie jestem pewna, czy dałoby się odwołać to, co powiedziałam. Aż się we mnie wszystko skręca, kiedy wyobrażam sobie przelotnie, jak go dotykam; dotykam wszędzie. Z początku nie jest to myśl seksualnej natury, ale wkrótce taka się staje.

Wyobrażam sobie, jak liżę jego nogi i drapię go po plecach. W miarę jak mój umysł skręca się w ciasną spiralę, wszystko inne się rozplywa. Nie ma facetów ze spluwami; nie ma klasztoru. Co chciałabym zrobić w nieziszczalnej półgodzinie z Adamem, półgodzinie bez kontekstu? Moglibyśmy robić wszystko. Jak daleko bym się posunęła? Ile by wystarczyło, żeby zgasić to pożądanie? Urywane brutalne obrazy tańczą mi przed oczami jak kawałki szkła i wzdycham, kiedy moje fantazje się rozsypują. Może nic nigdy nie zaspokoi mnie tak do końca.

Drzwi do kuchni są zamknięte, ale nie na klucz. Choć w środku jest ciemno, od piecyka wciąż bije żar i widać pomarańczową poświatę płonącego paliwa. Nie włączam światła; w pomarańczowej poświacie widzę dostatecznie dużo, żeby sobie poradzić. Zapach potrawy, który był tak smakowity, stracił swoją intensywność i zaczął przypominać wspomnienie posiłku: plastikowawy zapaszek jedzenia, jaki często czuć w jadłodajniach.

Zaglądam do paru szafek, zanim wreszcie znajduję spizarkę. Stoją w niej duże czerwono-srebrne puszki biszkopcików ustawione jedna na drugiej. Jest około dwudziestu przemysłowych rozmiarów

puszek fasolki w sosie pomidorowym. Jest też mleko w proszku i skondensowane. I kilka bochenków chleba. Co mi dostarczy najwięcej energii do spożytkowania podczas wizyty w Troposferze? Przypominam sobie porady z prasy kobiecej gromadzonej przez lata przez moje byłe współlokatorki. Węglowodany złożone. Oto czego mi trzeba. Makaronu razowego, brązowego ryżu. Ale nie mogę tu przecież gotować. Jest jeszcze skrzynka owoców. Na bank pamiętam, że banany są dobrym źródłem czegoś tam. Biorę trzy, a po krótkim namyśle zamieniam je na całą kiść. Wezmę kilka ze sobą, jak będę wyjeżdżał.

Mały bochenek krojonego ciemnego chleba. Słoik pasty kanapkowej Marmite. Butelka lemoniady. Na litość boską. Zamierzam się udać w podróż do innego świata, żywiąc się kanapkami z pastą, bananami i lemoniadą. Ta myśl jest absurdalna. Tuż przed zamknięciem spiżarki zauważam coś jeszcze: kilka olbrzymich tubek Hi-EnerG, substytutu posiłku. Biorę jedną, tak na wszelki wypadek. Wygląda jak brązowy walec z różowym wesołym napisem.

Myślę o idiotycznych wielkich literach na etykietach produktów, potem myślę: „iPod”. I wreszcie: „Burlem”. Tam przechowuję wszystkie jego dokumenty.

No oczywiście.

Po powrocie do pokoju włączenie laptopa i podpięcie do niego iPoda nie trwa długo.

Przenoszę pliki Burlema na swój sprzęt, po czym odłączam iPoda i chowam go na dnie torby.

Na dworze coraz głośniej wyje wiatr i wyobrażam sobie śnieżycę w postaci programu LUCA, który nagle oszalał i zaczął jeszcze szybciej sypać liczbami, mimo że Adam mówił, że śnieg już przestał padać. Zjadam trzy banany, każdy owinięty kromką ciemnego chleba. Popijam lemoniadą. Przeglądam pliki. Dowiaduję się, że życiorys Burlema jest nieaktualny, mimo że około trzech lat temu przerabiał fazę szukania posady w Stanach Zjednoczonych. Dowiaduję się, że kiedy zaginął, był w połowie jakiejś powieści (ciekawe, czy zabrał ze sobą jej plik? I czy ją dokończył?). Pierwszy rozdział jest całkiem niezły, ale naturalnie nie ma w nim nic, co by mi pomogło odnaleźć Burlema. Nie mogę się także oprzeć pokusie przeczytania planu powieści, zanim zajmę się innymi rzeczami. Plan ma zaledwie stronę: powieść opowiada o młodym wykładowcy, który ma romans z koleżanką z pracy, koleżanka zachodzi z nim ciążę.

Żona dowiaduje się o romansie (ale nie o dziecku) i rozwodzi się z nim, mąż koleżanki natomiast jest przekonany, że dziecko jest jego. Po jego śmierci dziecko - dziewczyna -

poznaje prawdę o swoim pochodzeniu i nawiązuje ostrożne relacje z ojcem biologicznym.

Narrator mieszka sam, za towarzystwo mając tylko książki, i żałuje, że nie może się częściej widywać z córką. Zamykam ten dokument i zaczynam przeszukiwać kolejne pliki. Znajduję wszystkie etapy procesu aplikacji, przez które Burlem musiał przebrnąć, by zrobić profesurę.

Znajduję listy do doradcy finansowego. Nie ma natomiast absolutnie niczego, co by sugerowało, że planował zniknąć, że zamierzał opuścić uniwersytet i nigdy nie wrócić. Jest więcej listów. Jeden do gazety niedzielnej z narzekaniami na komiks, który wykpiwał Derridę w weekend po jego śmierci.

Uśmiecham się pod nosem, bo przypomina mi się, jak zobaczyłam ten komiks i miałam nadzieję, że ktoś się zgorszy i napisze do redakcji. Jest też list do kogoś, kogo nie kojarzę. Do jakiejś Molly. Bez nazwiska. Napisany takim stylem jak do dziecka. Po czym zdaję sobie sprawę, że to rzeczywiście list do dziecka. Do dziecka -

może już nastoletniego, a właściwie nastolatki - w szkole z internatem. Burlem obiecuje wkrótce ją odwiedzić i dać jej trochę pieniędzy. Co Burlem miał wspólnego z jakąś uczennicą? W głowie rodzą mi się nieprzyjemne podejrzenia.

Potem znowu otwieram plik z powieścią. Dziewczyna z książki ma na imię Polly.

Ponownie czytam list. To córka Burlema, oczywiście, że tak. Psiakrew. Nigdy mi o tym nie wspomniał. Zakładałam po prostu, że jest nieżonatym - ewentualnie rozwiedzionym -

facetem po pięćdziesiątce. Nie wiedziałam, że miał niewesołą przeszłość, chociaż powinnam się była domyślać. Z całą pewnością wyglądał na faceta z trudną przeszłością.

Na liście widnieje tylko adres Burlema. Ale natrafiam też na inne listy - całą kolekcję listów pod tymi do doradcy finansowego - które wszystko wyjaśniają. Adresowane do

„doktora Mitchella”, poświęcone są takim sprawom jak chesne, problemowi prześladowania młodszych uczennic przez starsze i korepetycjom. Następnie przeglądam listy do doradcy finansowego i znajduję instrukcje dotyczące polecenia zapłaty na konto jednej ze szkół w Hertfordshire. Pieniądze przelewane są na konto Molly Davies. Już kapuję. Burlem buli, żeby córeczka mogła chodzić do szkoły z internatem. W listach jest adres. Adres tej szkoły.

W głowie mi buzuje. Czy dzięki niej mogłabym odnaleźć Burlema?

Muszę się skontaktować z Apollonem Smintheusem.

Kiedy wracam do Troposfery, dociera do mnie, że rynek miejski ma więcej niż cztery rogi.

Wokół niego stoją te same zamki z tymi samymi różowymi neonami, wciąż stanowiącymi niewiarygodny widok. I znowu pohukuje sowa.

- Apollo Smintheus? - mówię.

Nic.

Wywołuję konsolę.

„Masz zero opcji”, słyszę.

Czy wciąż mogę użyć karty Apollona Smintheusa? - pytam.

„Karta Apollona Smintheusa straciła ważność”.

Kurwa. Nie mówił przypadkiem, że będę mogła z niej korzystać jakoś przez parę dni?

Spaceruję obrzeżem rynku, ale wszystko jest pozamykane na cztery spusty. Widzę drogę odchodzącą od rynku i postanawiam się nią przejść. Z każdym krokiem myślę o poruszonej przez Apollona Smintheusa „przybliżonej rachubie”, na mocy której każda jednostka odległości/czasu w Troposferze odpowiada 1,6 w świecie „realnym”. To jaki jest odpowiednik jednego kroku? Ile mi to zabiera czasu? Jeśli zrobię sto kroków i potrwa to, powiedzmy, dwie minuty, kiedy obudzę się w klasztorze? Jak daleko musiałabym dojść, żeby się spóźnić na śniadanie? Jak daleko, żeby stwierdzono mój zgon? Idę dalej, mijając parę parkingów i klub jazzowy. Po drugiej stronie drogi widzę podrzędny klub ze striptizem, z czarnymi oleistymi smugami na białej elewacji, jakby budynek niedawno się palił. Żaden z budynków nie ma nazwy, ale przy klubie widać sylwetki dziewczyn tańczących na rurach, a przy klubie jazzowym - kształt saksofonu. Klub jazzowy mieści się na samym rogu, skąd betonowe schody prowadzą w dół ku alejce, na której końcu widać kino i kolejny parking.

Żaden z tych lokali nie wygląda na zamknięty. Nie ma tu też różowych neonów. Niewiele myśląc, wchodzę do klubu jazzowego. Nie ma w nim ani muzyki, ani dymu.

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... Jest mi zimno i chce mi się srać. Ale wygląda na to, że przekibluję tu całą noc. Ed rozkręcił ogrzewanie na maksa, a moje stopy i tak przypominają bryły lodu. Na dworze nasypało śniegu, w dodatku zrywa się wiatr. Tabliczka przed kościołem po drugiej stronie ulicy grzechocze, tłukąc się o ścianę. Jaka znowu Panna z Karmelu? Przez to słowo zaczynam myśleć o słodyczach; o jakiejś pannie zrobionej z karmelu albo coś w tym guście.

W samochodzie śmierdzi kawą i żarciem z fast foodu. Na podłodze walają się pojemniki po kanapkach. Kopię któryś, a on pęka z cienkim plastikowym trzaskiem.

- Co to było? - odzywa się Ed.

- Opakowanie po kanapce - odpowiadam. - Sorry.

Ed milczy. Z oczu zostały mu same źrenice.

- Może jej tam nie ma - mówi.

- Słuchaj, klecha wie o kościołach, a ona daje mu dupy, tak?

- No tak, ale...

- I „jeździ tam zawsze, kiedy coś idzie nie tak”. Dlaczego miałby jej tu nie zaprosić?

Wiedzą, że dopóki nie wyściubią stamtąd nosa, gównem możemy im zrobić. W każdym razie ona może się tego domyślać. Kto wie, od jak dawna ma tę książkę? Możliwe, że surfuje po MindSpace od lat.

- A ja ci mówię, że książka właśnie jedzie sobie do Leeds.

- Do Leeds? A gdzie to?

Wzruszam ramionami.

- Jakoś na północny zachód?... Na pewno kawał drogi stąd.

- Kurna no.

- Dorwiemy tę książkę.

- Ostatnim razem jakoś nie dorwaliśmy.

- Tym razem dorwiemy.

Jestem... O kurwa. Jestem w umyśle jednego z jasnowłosych mężczyzn. Nazywa się Martin. Martin Rose. No dobrze, Ariel. Nie pozwól, żeby się zorientował, że tu jesteś. Tylko jak tu chodzić na paluszkach po cudzym umyśle? Ciii... Zostać czy wiać?

Konsoleta?

Konsoleta wyświetla się jako slajd i teraz, kiedy ja/Martin patrzę na Eda, widzę, jak na jego twarz nakładają się obrazy. Ktoś coś piecze. Kto inny jedzie autostradą. Jeszcze inna osoba patrzy na błękitne niebo. Co to za obrazy? Przypominam sobie przewodnik Apollona Smintheusa:

Pedezę osiąga się poprzez bliskość

Geograficzną (w świecie),

Tropograficzną (w Troposferze),

Genealogiczną (w umyśle).

No dobra. Jeśli więc znajduję się blisko kogoś w fizycznym świecie, mogę się dostać do jego umysłu za pośrednictwem Troposfery. To nawet ma sens. Ci goście warują pod klasztorem, a ja musiałam przejść jedną metaforyczną ulicę, żeby ich znaleźć. Nie rozumiem, co to może być ta Tropografia. Za to g e n e a l o g i a ... Czy to właśnie widzę? Czy te obrazy mają coś wspólnego z rodzicami i dziadkami Martina? Każdy taki obraz to czyjś punkt widzenia? Są tylko trzy. Coś marniutkie to jego drzewo genealogiczne. No dawaj, Ariel, myśl... Ale nie chcę myśleć zbyt głośno, na wypadek gdybym mogła w ten sposób ostrzec Martina, że tu jestem. Taka się czuję zaintrygowana, że omal nie decyduję się na próbę przeskoczenia do jednego z tych obrazów, lecz przecucie mi podpowiada, że to byłby wielki błąd. Kiedy ostatnio to zrobiłam, udało mi się przeskoczyć z szafki pod zlewem na podwórko, do umysłu myszy przy kontenerze ze śmieciami, myszy, która musiała być... no właśnie, kim? Ojcem?

Dziadkiem tej pierwszej myszy? Kto wie, gdzie wyląduję, jeśli zaryzykuję podobny skok?

Może gdzieś w Ameryce. Jak by się to przekładało na lokalizację w Troposferze? - Ed?

- Czego?

- Jeśli ona nie ruszy stamtąd dupy, to w sumie niewiele możemy zrobić.

- Zgadza się.

- Ona o tym wie?

Ed wzrusza ramionami.

Przez cały czas widzę nad nim mglisty zarys drzwi, teraz jednak na konsolce pojawia się nowy obraz. To obraz kabiny samochodu i jasnowłosego mężczyzny... To ja.

Martin. Czyli teraz mogłabym stać się Edem? Zgadza się? Mam przeskoczyć? Odważyć się?

Nie. Lepiej nie ryzykować. Staram się zrelaksować i pozwolić, żeby moje „ja” odpłynęło na dalszy plan, żebym mogła należycie stać się Martinem i dostać się głębiej niż do jego najbardziej powierzchownych myśli. I - to zupełnie jak założenie nowego stroju, zbyt ciepłego, jak sweter w upalny dzień - moja świadomość zwalnia, a moje „ja” staje się „ja” Martina...

- Moglibyśmy spalić tę budę - mówię bez przekonania. Nie przyjechałem tutaj podpalać kościołów ani strzelać do księży. Dano nam drugą szansę zdobycia tej książki i fakt, trochę nam odbiło. Z drugiej strony nie zostało nam dużo roztworu, więc cała sprawa robi się coraz pilniejsza. Na identyfikatory pracowników CIA już nic więcej się nie załatwi; zwłaszcza jeśli komuś przyjdzie do głowy zadzwonić pod podany numer i pogadać z naszym eks-szefem. Co by powiedział? Nie, nie widziałem tych chłopców, odkąd dołączyli do projektu Gwiezdny Blask. Nie widziałem ich, odkąd podpisałem formularz zwalniający ich z obowiązków. Czy są z CIA? Już nie.

- Słyszałem gorsze pomysły - mówi Ed. - Przynajmniej byśmy się rozgrzali.

- Nie ma gorszych. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałem.

- Czemu? Wykurzmy ich stamtąd. To świetny pomysł.

Wyglądam przez przednią szybę. Myślę o tym, że miałbym problem z zastrzeleniem księdza, ale jej, tej Ariel Manto, mógłbym zrobić krzywdę. Podejrzewam zresztą, że ona się tego spodziewa. To ułatwia sprawę. Za pierwszym razem nie było łatwo: pamiętam, jak wymiotowałem w kiblu w bladoniebieskiej jadłodajni na zachodzie. Ścisnąłem kurczowo sedes, a potem została na nim krew; krew z moich rąk. Na szczęście następny człowiek, którego zabiłem, był wyjątkową szumowiną, i też się tego spodziewał. Dzięki temu zdałem sobie sprawę, że takie rzeczy można robić bezosobowo, a jeszcze później, że mogę je robić, będąc przy tym nieobecny. Jakbym tam był, a zarazem jakby mnie nie było. W mózgu ma się mgłę, która po wszystkim po prostu znika. Z drugiej strony przez to ciągle przebywanie w MindSpace człowiek ma coraz większą zdolność empatii. Mimo to wciąż musimy likwidować wszystkich ludzi, którzy znają sekret - jak tylko się o nich dowiadujemy. Znowu kopię pudełko po kanapce, a Ed łypie na mnie wściekle. Co pewien czas wycieraczki wyłączają się automatycznie i na krawędzi przedniej szyby powstaje coraz więcej miniaturowych zasp. Po prawej, tuż przed nami, widać klasztor: mały budynek z czerwonej cegły. Czy mógłbym wysiąść z samochodu

i podłożyć ogień? Jak się coś podpala? To musi być trudne, zwłaszcza przy takiej ilości śniegu. Potrzebowalibyśmy benzyny, jakiejś podpałki i zapalniczki.

- Nie wydaje mi się, żeby łatwo było podpalić taki budynek - mówię.

- No to jak inaczej, na litość boską, mamy ich stamtąd wykurzyć?

- Nie wiem.

Długa cisza.

- Zimno mi.

- Mnie też.

Umysł Martina - w każdym razie powierzchowne myśli - wycisza się pod natłokiem fizycznych wrażeń, a moja świadomość zdaje się automatycznie protestować przeciwko nałożonym na nią więzom. Wróciło moje „ja”. Jak by tu pogrzebać we wspomnieniach Martina? Konsoleta wciąż się wyświetla i widzę „przycisk” wyjścia. Wyłączam konsoletę myślą. Teraz siedzę sobie w obecności Martina, nawiedzając jego umysł, chociaż on nic o tym nie wie. Nie mogę pozwolić, aby się połapał, że tu jestem. Jednak chcę jego wspomnień.

Chcę wiedzieć, ile on wie. Panu Y udało się w powieści, więc mnie też powinno się udać teraz, gdy fikcja stała się rzeczywistością.

„Dzieciństwo!” - myślę dla eksperymentu. Usiłuję zakończyć tę myśl stanowczym, wręcz kategorycznym wykrzyknikiem, którym kończę myśl „Konsoleta!”. Nic się nie dzieje.

Próbuję nieco bardziej stopić się z Martinem. Jak tylko mogę, dławię siebie. Czuję to samo co on. Przystaję próbować równocześnie być sobą i nim. Skupiam się na gównie wypełniającym moje kichy i niepewności, czy na recepturze zależy mi równie mocno jak na tym, żeby się znaleźć w czystej łazience pachnącej odświeżaczem powietrza, z bosymi stopami na kremowym dywaniku włoszczu, stawiając klocka, wyciskając nieczystości z organizmu...

Próbuję jeszcze raz. „Dzieciństwo!”. I nagle jest: obraz plastikowej zabawki, tego czegoś, co zmienia się z robota w samochód i znowu w robota. Ten kawałek plastiku wzbudza we mnie jakieś uczucia: żądzę; nadzieję; mgliste poczucie zwycięstwa... - „Projekt Gwiazdny Blask!” -

myślę. I oto jest: duszę się, wpasowując w niego, podczas gdy moje „ja” niemal przestaje istnieć, i jestem Martinem w przeszłości... W...

W białej sali z elektrodami na głowie i kłacie. Dziwnie mi. To w niczym nie przypomina wczesnych faz badań, kiedy musiałem trzymać kartki z narysowanymi na nich trójkątami, okręgami albo kwadratami i próbować przesłać je do Eda w sąsiednim pomieszczeniu. Teraz bardziej przypomina eksperyment z widzeniem na odległość - choć wcale nie jestem w tym specjalnie dobry. Inni przynosili się umysłami do Iraku i rysowali szkice składów broni i fabryk biotechnologicznych głęboko pod ziemią. Ja nie umiałem tego gówna znaleźć, kiedy umysłem prznosiłem się do Iraku. Co

najwyżej parę wielbłądów: mówili, że tylko je sobie wyobraziłem. Teraz to zupełnie inna para kaloszy. Dali mi się czegoś napić z przezroczystej probówki, a potem podłączyli do tej maszyny. Siedzę na czymś, co wygląda jak skrzyżowanie krzesła elektrycznego z fotelem dentystycznym. Ale... nagle jestem w innym świecie.

Kiedy wracam i kończę wypełniać kwestionariusz, mówią mi, że byłem w miejscu o nazwie MindSpace. No to pytam: „A co to jest, kurwa, MindSpace?”. Nikt nie chce mi powiedzieć. Bardzo szybko jednak zaczynam oddawać im małe przysługi; wybieram się na wycieczki do Iraku, choć nie po to, żeby szukać broni. Zresztą nie można jej znaleźć, bo jej tam po prostu nie ma - przynajmniej według Asha, faceta, który zarządza tą częścią programu.

Pamiętam, jak kiedyś mówił mi, że umiejętność widzenia na odległość ma dwojaki cel: 1) dowiedzieć się, co tam jest i 2) odnaleźć coś, co akurat każą człowiekowi odnaleźć. Więc nie szukałem w Iraku broni. Czytałem w myślach różnych osób, chociaż nikt nie dopuścił mnie nawet w pobliże Saddama. Do tego nie jestem dostatecznie dobry. No i mam trochę mętłą sytuację z poświadczeniem bezpieczeństwa. W końcu rekomendowano nas z Edem do tego projektu po tym, jak sytuacja w Nowym Orleanie trochę wymknęła się z rąk i wylądowaliśmy na samym początku listy transferowej. A że to był transfer do pokręconego paranormalnego projektu? Nie ma lepszego sposobu, żeby się pozbyć dwóch skorumpowanych agentów. Tak czy owak, kiedy projekt ruszył pełną parą, moje misje dotyczyły osób znajdujących się znacznie bliżej dołu „talii kart” niż Saddam. Dwójki karo; trójki pik. Przenosiłem się tak, wracałem, a potem przyjeżdżał jakiś gostek z armii, żeby mnie przesłuchać. Stało się to moją pracą. Żartowaliśmy z Edem, że powinniśmy dostać nowe tytuły: Myślowych Agentów - albo coś w tym guście.

Sztuka działania w MindSpace sprowadza się do umiejętności planowania podróży.

Sprawiało mi to przyjemność: świadomość, że potrafię znaleźć najefektywniejszy sposób dostania się do Iraku i z powrotem do kraju, nie musząc nawigować po całym cholernym MindSpace. Oczywiście był to tajny projekt, więc nikt nie rozmawiał ze mną o tym, co robię, ani nie tłumaczył mi, jak to działa. Ale takie surfowanie po umysłach to niezła jazda, jazda na wspomnieniach aż po niepamięć i z powrotem. Żałuję, że nie mogłem opowiedzieć o tym kumplom - tyle że jak się pracuje przy takim projekcie, można zapomnieć nawet o rozmowach z własną matką. Eda bardziej niż mnie interesuje filozoficzna strona zagadnienia; sądzę, że można tak uczciwie powiedzieć. Ja też, rozumie się, stawiałem sobie pytania dotyczące rzeczywistości, snów, przeszłości, przyszłości. Ale raczej się nad tym nie rozwodziliśmy. Gadaliśmy głównie o dupach. Taaa - jak wtedy kiedy znalazłem się w głowie jednej babki w samolocie do Bagdadu (to dosyć dziwne uczucie, kiedy dają ci możliwość podróżowania po całym świecie w umysłach innych ludzi, a mimo to okazuje się, że najskuteczniej jest dotrzeć do celu samolotem), a ona nagle poszła do toalety i zrobiła sobie dobrze. Na początku jak tylko mogłem, wybierałem kobiety, chociaż po jakimś czasie przestała to być dla mnie taka wielka atrakcja. Raz miałem raka piersi i wiedziałem, że umrę.

Mało mi to nie rozjechało mózgu. Kiedy indziej byłem w głowie reporterki - miała zbierać informacje na temat gangu, który ją zgwałcił. Skończyło się na tym, że zgwałciło mnie trzech facetów. Najczęściej wychodziłem z transu i opowiadałem Edowi o mojej najnowszej eskapadzie do krainy cycków i cipek. Ale zaczęło mnie to nużyć i w końcu ograniczyłem się do surfowania po umysłach mężczyzn i tylko udawałem przed Edem, że wygłaskałem się po cipce albo wsadziłem sobie vibrator

czy co tam jeszcze. Może i on już wtedy tylko ściemniał.

Kto wie?

Sądzę, że projekt autentycznie sprawnie funkcjonował, kiedy ściągnęli „smyki”. I działałby dalej, i kto wie, do czego byśmy doszli? Chociaż prawdę mówiąc, mogę się założyć, że wciąż działa gdzieś w czyimś umyśle. Dostatecznie wielu ludzi musiało znać formułę, kiedy powiedziano nam, że przechodzimy do cywila. Za to że „smykami” to był zły pomysł

(akronim SMIK wziął się od nazwy „Systemu Modelowania Interfejsowo-Karmicznego”, co głównie człowiekowi mówi i co natychmiast zostało przechrzczone z tego „SMIK” na

„smyk”). Wszystko się zaczęło od tego, że szef grupy badawczej posłał do MindSpace lekko upośledzonego autystycznego dzieciaka. Siedmioletni smyk dostał się tam szybciej niż większość nas, dorosłych. Potem odkryli, że ten mały potrafi powstrzymać szympansa od zjedzenia lodów samą tylko siłą woli. Później przeprowadzili kolejne badania nad dziećmi z autyzmem. „Pożyczyli” kilkoro z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie prowadzono wtedy badania nad liczbami pierwszymi. Okazuje się, że te dzieciaki umieją wpływać na cudze myśli. Autentycznie potrafią różne rzeczy zmienić. Więc ściągnięto do nas całą gromadkę tych dzieciaków i połączono z nami w pary: jeden dorosły agent plus jeden

„smyk”.

Działo to całkiem prosto. Najpierw dzieciak dostawał się do twojego umysłu. Potem ty przenosiłeś się do MindSpace. Dokądkolwiek szedłeś, szedł z tobą i dzieciak. Można było chodzić w kółko w fizycznym świecie, słysząc w głowie cienki głosik, który przypominał ci twój numer PIN do bankomatu, datę urodzin matki albo dokładne brzmienie dokumentu, który widziałeś raz pięć lat temu. Mogą ci odczytać twoje wspomnienia jak z telepromptera.

Znaczy się, momentami to było super, jakby miało się małego koleżkę, który chodzi z tobą po tym wariackim krajobrazie... Za to jak już byłeś w cudzej głowie, czułeś się trochę jak w jednej z tych ruskich laleczek. Głos smyka, tej najmniejszej, było słycać w obu waszych umysłach i musiałeś się nauczyć wyłączać, kiedy smyk mówił temu komuś, co ma zrobić. Bo

„smyki” serio umiały manipulować rzeczywistością, a przynajmniej sprawić, żeby ktoś zmienił zdanie.

Kiedy odchodziliśmy, zabraliśmy swoje „smyki”. Nikt nie wiedział, że z nami zostały.

Bo one nie żyją, rzecz jasna. Wszystkie „smyki” są martwe. Właśnie dlatego projekt został

zakończony. Żaden projekt, który zabija setkę dzieciaków, nie może trwać, czy ma rządowe finansowanie czy go nie ma. Smyki po prostu za długo zostały w MindSpace. Nikt nie sądził, że można zginąć, jak człowiek się tam zgubi. Nikt nie umiał obudzić tych biednych małych skurkawańców.

A teraz została nam tylko jedna butelka preparatu z dwudziestu, które zwinęliśmy z magazynu, kiedy

odchodziliśmy. I co ja mogę powiedzieć? Surfowania po MindSpace nie można ot tak, po prostu zaprzestać. Dlatego potrzebujemy formuły, a formuła jest w książce.

Oczywiście nie chcemy jej wyłącznie na własny użytek. Wyobrażacie sobie, ile w tym siedzi kasy? Gdybyśmy mieli formułę, moglibyśmy ją sprzedawać za tysiąc razy więcej, niż chcą od biznesmenów za lot na Księżyc. Ten jeden jedyny raz w życiu otarłem się o coś takiej wartości. Muszę zdobyć tę książkę. Muszę zdobyć tę książkę...

Hm... Prawdę mówiąc, muszę się wysrać. Tak bardzo chce mi się srać, że niemal mi to powtarza głos w głowie.

- Ed?

- No?

- Człowieku, muszę się wysrać.

- Na litość boską. Nie możesz potrzymać?

- Trzymam od paru godzin i coś mi się zdaje, że zaraz sfajdam się w gacie. Poza tym jak długo mamy tu sterczeć? Dochodzi trzecia rano.

- Jezu Chryste. - Dłonie Eda spoczywają na kierownicy, mimo że nie ruszyliśmy się stąd od wielu godzin. Teraz kręci nią nerwowo, jakby coś się działo, jakbyśmy po prostu nie siedzieli w samochodzie. Zaskakuje blokada i Ed klnie: - Kurwa. Jezu.

- Sorry, ale sam wiesz... Moglibyśmy tu czekać godzinami, a ona i tak by nie wyszła.

Ed wskazuje klasztor oszczędnym ruchem ramienia.

- Jeśli w ogóle tam jest.

- Ano. Jeśli tam jest. Ja bym dalej stawiał na Leeds.

- Nie możemy zgubić śladu tej książki.

- Wiem. Chcę ją tak samo jak ty.

Ed pociera twarz.

- Okej. Nowy plan.

Mój urywany oddech zmienia się w nierówne obłoczki pary niczym kawałki poszatowanego niedbale ducha.

- Wal.

- Może się stąd zabierzemy? Pojedziemy się przespać. I zrobimy z tego misję dla smyków. Poślemy ich za nią, niech siedzą jej na ogonie.

Omów go nie pytam, jak sobie to właściwie wyobraża, ale muszę doprowadzić do tego, żeby zgodził się stąd odjechać, więc mówię tylko:

- Niech będzie.

Myślę o jasnym włochatym dywaniku łazienkowym z mojej wyobraźni i o prawdziwym linoleum w motelu. Tak czy owak, musimy jechać. Ja muszę. Coś we mnie dopomina się, żebym natychmiast stąd ruszył.

CZEŚĆ 3

W swym faktycznym byciu jestestwo zawsze jest tak, jak już było, i jest tym „czym” już było.

Jawnie lub nie - *jest* swoją przeszłością. I to nie tylko tak, że jego przeszłość niejako posuwa się „za nim”, a ono posiada to, co przeszłe, w postaci jeszcze obecnej własności, która niekiedy nań jeszcze oddziałuje. Jestestwo „jest” swoją przeszłością zgodnie ze sposobem *swojego* bycia, które, mówiąc ogólnie, zawsze „dzieje się” na podstawie swej przeszłości.

Martin Heidegger, *Bycie i czas*,

przeł. B. Baran

Całością jest to, co ma początek, środek i koniec. Początkiem jest to, co nie występuje na zasadzie konieczności po czym innym, lecz po czym właśnie zgodnie z naturą rzeczy występuje co innego. I przeciwnie - końcem jest to, co z natury rzeczy samo następuje po czymś innym i z reguły lub na zasadzie konieczności, a po nim już nie ma niczego. Środkiem natomiast jest to, co samo następuje po czymś innym i po czym następuje coś innego.

Arystoteles, *Poetyka*,

przeł. H. Podbielski

ROZDZIAŁ 19

Ile zatem mam czasu? Nie za dużo. Ubieram się, lekko drżącymi rękami składam klasztorną koszulę na łóżku. Wiedzą, że tu jestem. Najpierw przyślą te „smyki”, to pewne. Czy one mogą wchodzić do przybytków religijnych? Z drugiej strony gdyby ci faceci byli dostatecznie zdesperowani... Niestety, nie rozumiem tego systemu na tyle dobrze, żeby przewidzieć, co by mogli, a czego by nie mogli zrobić. Muszę wyjechać gdzieś, gdzie nie przyjdzie im do głowy mnie szukać. Muszę pojechać tam, dokąd pojechał Burlem. Gdziekolwiek to jest, ukrywa się tam od ponad roku.

Chyba że nie żyje, podobnie jak ci biedni smarkacze.

Kiedy jestem gotowa do wyjazdu, wyjmuję z torby *Koniec pana Yi* i dotykam okładki, być może po

raz ostatni. Nie mogę zabrać książki ze sobą: istnieje za duże niebezpieczeństwo, że ci dwaj mnie złapią. Nie. Zostanie tutaj; tu, dokąd nie mają wstępu.

Może kiedyś po nią wrócę.

Czy się na to zdobędę?

Wodzę bladymi palcami po kremowej płócienniej okładce powieści. Nie mogę zabrać jej ze sobą.

A jeśli ktoś ją znajdzie?

Ponownie spoglądam na drewniany regalik. Na srebrnym kluczyku odłożył się kurz.

Nikt tych książek nie czyta. Są tylko na pokaz. Przypomina mi się kawał, który opowiedział

ktos z literatury angielskiej: o tym, dlaczego tak łatwo jest być studentem teologii specjalizującym się w wierze nowotestamentowej. Nie pamiętam całego dowcipu, ale puenta była taka: „Bo ma tylko jedną lekturę obowiązkową”. Nie jestem przekonana, czy to prawda, lecz uśmialiśmy się wszyscy. Więc jak, zaryzykować i zostawić *Koniec pana Y* z poezją papieża? Nie mam innego pomysłu, więc otwieram przeszkloną witrynkę i stawiam powieść na półce. Naprawdę jej tam nie widać. Zamykam drzwiczki. Następnie przekręcam kluczyk w zamku. Zabrać kluczyk ze sobą? Nie, znajdą go, kiedy będą mnie rozbierać po śmierci.

Zostawię kluczyk tutaj. Tylko gdzie? W tym pomieszczeniu nie ma innego miejsca, gdzie można by cokolwiek schować. Wiedząc, że muszę już ruszać, koniec końców wsuwam kluczyk pod regał.

Kiedy wychodzę na dwór, czarnego samochodu już nie ma. Lodowate powietrze orze mi twarz jak tysiąc noży i w pierwszej chwili nie rozumiem, skąd wzięły się łzy na moich policzkach. Już prawie świt i chciałabym być w łóżku, w ciepłe, z Adamem. A zamiast tego spotyka mnie zupełnie co innego: staję się uciekinierką. Pojadę stąd, odnajdę Bupleura i wymyślę, co zrobić, żeby smyki nie zrobiły mi z mózgu sieczki. I... Moje myśli są tak precyzyjne i metodyczne, że aż mnie przerażają; patrzę na klasztor i przez sekundę wyobrażam sobie, że to świeckie miejsce; miejsce, którego się nie boję, w którym wczorajszej nocy mogłam być spać z Adamem. Gdyby to nie było miejsce kultu, to... I tak zatracam się we własnych fantazjach, że już sama nie rozumiem, co się dzieje, czy to naprawdę możliwe, żeby ci blondyni nie mogli wejść do klasztoru, i że to ja sprawiłam, iż odjechali. Właśnie do tego dążyłam. Po prostu skoncentrowałam się na Martinie i koszmarnej parciu w kiszkach i powiedziałam, że musi stąd jechać i szukać jakiejś toalety. To aż takie proste? Czemu więc oni tego nie potrafią? Myślałam, że tylko „smyki” mają taką umiejętność. No to dlaczego mnie też to wychodzi?

Apollonie Smintheusie, czemuś mnie opuścił?

Jest taki odcinek A2, w pobliżu Medway, który wygląda, jakby wjeżdżało się prosto do nieba.

Większość dróg w Wielkiej Brytanii wydaje się zaprojektowana w myśl zasady, że droga powinna biec między czymś a czymś: żywopłotami, polami, domami... Ta droga natomiast biegnie przez krajobraz zamasytym łukiem wyglądającym jak ślad po „gumce” w komputerowym programie

graficznym, jak gdyby wielkość pikseli była ustawiona na zbyt dużą wartość i zbyt wiele zostało wytarte. Jest bladyszczą czteropasmówką. Niebo wciąż jest czarne, a wszystko co nie jest jezdnią albo niebem, pokrywa śnieg, który iskrzy się w sztucznym białym świetle. Drugi raz w tym tygodniu czuję się tak, jakbym żyła w czarno-białej kserokopii świata. Jest szósta rano i nie licząc dwóch wywrotek z kruszywem, jestem tu zupełnie sama, jadąc w kierunku szkoły, do której chodzi córka Burlema, nie wiedząc, co zamierzam zrobić, kiedy już tam dotrę. Muszę też spróbować odnaleźć Apollona Smintheusa.

Mam tyle pytań...

Ogrzewanie samochodowe jest rozkręcone na full i nareszcie zaczęłam się rozgrzewać. Za to na dworze jest zimno jak diabli, a ja wciąż nie wiem, gdzie spędzę najbliższą noc. Nie wiem nawet, czy jest możliwe i w jakim stopniu przeprowadzenie tego, co zaplanowałam. Jak mam się teraz dostać do Troposfery? Nie mam do dyspozycji sofy ani łóżka. Martin i Ed mają pokój w motelu i dwóch smyków do pomocy. A wiem, że są gotowi mnie skrzywdzić: że chcą mnie skrzywdzić. Ja mam tylko swój samochód i dziewięć funtów pięćdziesiąt pensów przy duszy. Nie mogę wrócić na uniwersytet. Nie mogę pojechać do swojego mieszkania. Myślę o nim, o tej żalostnej małej klitce, ale przynajmniej należącej do mnie, i znowu zaczynam czuć łzy cisnące się do oczu. Widzę twarz Adama w momencie, kiedy wychodził ode mnie, i później, kiedy rozstawał się ze mną wczoraj wieczorem. Byłam taka pewna, że postępuję słusznie. Teraz jestem sama jak palec i prawdopodobnie będę sama, dopóki nie umrę.

Oddycham głęboko. Nie płacz. Patrz na drogę.

Uczucie zimna silniejsze od ciepła rozchodzącego się po samochodzie... A potem chyba mdleję, na sekundę - a może i na trochę dłużej. Kiedy odzyskuję przytomność, widzę znak, którego wcześniej nie było. „Nie znoszę, kiedy to się dzieje akurat na autostradzie”, myślę z pełną premedytacją, jakby moje samopoczucie było całkiem normalne.

I wciąż jakoś nie płaczę.

Tablica informuje mnie”, że jeśli będę dalej jechała w tym kierunku, wyląduję w Londynie. Właśnie tego chcę. Widzę kolejny znak kierujący mnie ku najróżniejszym zjazdom z autostrady, na wypadek gdybym chciała dotrzeć do któregoś z rozlicznych miast i miasteczek aglomeracji Medway. Nie mieszkam w tej okolicy dostatecznie długo, żeby nazwy zaczęły mi cokolwiek mówić. Chociaż... Chociaż jedna coś mi mówi. To nazwa miasta, w którym mieszka Patrick. Może on pożyczy mi trochę kasy? Czy w ogóle jeszcze jest na nogach o tej porze? Mój mózg przeprowadza coś w rodzaju obliczeń kwantowych, zbyt szybkich, żeby moja świadomość mogła za nimi nadążyć. A potem, autentycznie w ostatniej chwili, wrzucam kierunkowskaz i zjeżdżam z autostrady.

Pięć minut później mój samochód jest już zaparkowany przed restauracją Little Chef niedaleko zaniedbanego ronda. Gdziekolwiek spojrzeć, straszą na poły obumarłe drzewa, w krzakach walają się puszeki po piwie i kartoniki po żarciu na wynos. Okolica ma w sobie coś z nieudanego projektu z komputerowej symulacji miasta: ciemny kąt, który zapomniano się usunąć albo chociaż włączyć funkcję sprzątnięcia. Jest wpół do siódmej. Czy Patrick tak wcześnie wstaje? Nie mogę go wkurzyć ani niepokoić jego żony, więc wysyłam esemes: *Za gotówkę zrobię wszystko*. Dodaję nazwę miasteczka

i kokieterijny wielokropek. To musi robić wrażenie żartu, inaczej on tego nie kupi.

Zimne powietrze szczypie mnie w oczy, gdy wysiadam z samochodu i zatrzymuję się przed drzwiami Little Chef. Otwierają dopiero o siódmej. Wracam do auta i maksymalnie podkręcam ogrzewanie. Czy można popełnić samobójstwo, siedząc w samochodzie z włączonym ogrzewaniem? Czy koniecznie trzeba przy włączonym silniku doprowadzić spaliny węzłem od rury wydechowej? Teraz jakoś nie mogę się rozgrzać pomimo włączonego ogrzewania. Zamykam oczy. „Apollonie Smintheusie...” - myślę. A potem zastanawiam się, jak należy się modlić do bóstwa, które osobiście się poznało. Czy to w ogóle możliwe?

„Apollonie Smintheusie, proszę, niech ci się nic nie stanie. Proszę, dopomóż mi, jeśli możesz.

Robię teraz coś złego, coś, o czym nigdy nikomu nie opowiem. Ale muszę wrócić do Troposfery i zobaczyć się z tobą, więc potrzebuję ciepłego pokoju”. Czy to w ogóle działa?

Czy tak powinno się modlić? Nie znam nawet tych klasycznych modlitw. Kiedyś umiałam medytować. Może to będzie bardziej odpowiednie? Przez najbliższe dziesięć minut siedzę w kabinie z brzęczeniem ogrzewania w tle i z zamkniętymi oczami, powtarzając słowa: „Apollo Smintheus... Apollo Smintheus...” niczym mantrę. Nie wiem, czy to poskutkowało, ale kiedy otwieram oczy, śnieg pod latarniami na parkingu wydaje się o jakieś tysiąc odcieni jaśniejszy niż wcześniej. Później świat znowu robi się szary. Restauracja jest już otwarta. Muszę napić się kawy.

Jestem mniej więcej w połowie drugiej filiżanki kawy z ekspresu, kiedy moja komórka zaczyna brzęczeć.

To Patrick. *Ranny z ciebie ptaszek. Pzdr.*

Zaczynam odpisywać: *Wiem.* Potem waham się, usiłując wymyślić jakiś żarcik o porannym wstawaniu i różnych rzeczy dawaniu, lecz tak, żeby nie poczuł się urażony. Nic mi nie przychodzi do głowy. Koniec końców piszę po prostu: *Wiec... ?*

Gdzie jesteś?

Little Chef. Przy A2.

OK. Bede za 10 min.

Dam radę to zrobić? Po prostu muszę. Nie mam innego wyjścia. Sączę kawę i czekam.

Kiedy wchodzi do restauracji, jest ubrany jak do pracy: w czarne dżinsy i ciemnoczerwoną koszulę.

- No, no - mówi, siadając. - A to niespodzianka.

- Chcesz kawy? - pytam.

- Chcę czegoś innego - mówi, unosząc jedną brew.

- Och, to akurat dostaniesz.

- Gdzie?

- Robiłeś to kiedyś w obskurnej toalecie?

Uśmiecha się i przecząco kręci głową.

- Boże, ale to nieprzyzwoite.

Uśmiecham się.

- Wiem.

- Ja nigdy nie...

- Nie co?

Podchodzi kelnerka. Patrick przygryza usta.

- Jeszcze dwie kawy - prosi.

- Nie co? - powtarzam, kiedy kelnerka podchodzi do lady, bierze dwa białe kubeczki ze stosu, a potem stawia je po jednym pod dyszą ekspresu.

- Cóż...

Nie musi tego mówić. Dla niego ten romans jest moralnym korkociągiem, niemniej wciąż w pełni logicznym. Zaczynamy w hotelach i kończymy w kawiarni przy stacji benzynowej, pijąc kiepską kawę i planując numerek w szalecie. Dla niego to historia fikcyjna: akt pierwszy - boski seks; akt drugi - brutalny seks; akt trzeci - zrobimy to w uświnionej toalecie, a on mi za to zapłaci. Mam nadzieję, że zdaje sobie sprawę, że będzie musiał sięgnąć do portfela. Akt trzeci. Koniec gry. Jasne, będzie klimaks i katharsis. A potem nasza historia się skończy. Oczywiście w moim świecie taka logika nie istnieje. Dla mnie to było coś czysto epizodycznego i przypadkowego i ta sytuacja kompletnie nic nie znaczy. Nie ma żadnej gry.

Najzwyczajniej potrzebuję pieniędzy. Poza tym jeśli czemuś jest pisane stać się opowieścią, to się nią stanie.

Dziesięć minut później jesteśmy w kabinie dla niepełnosprawnych, w której czuć zapach różowego mydła w dozowniku i wilgotnych papierowych ręczników. Patrick łapie mnie za sutek i szczypie go przez materiał swetra. Przyciska mnie do ściany.

- Boże - szepcze. - Nie wierzę, że to robię. Zdejmij bluzkę.

- Czekaaj - mówię. - Musimy to zrobić jak trzeba.

- Jak trzeba?

- Nie spytasz, ile sobie liczę za numerek?

Ociera się głową o moją twarz i gryzie mnie w ucho.

- Ty brudna suko. No to słucham, ile?

- Stówkę.

- Twoja stawka mocno podskoczyła. Co za to dostanę?

- Będziesz mnie mógł przelecieć. Tak mocno, jak tylko będziesz chciał.

- Ostatnim razem to samo miałem za dwie dychy.

- Okej. A co byś chciał za tę stówkę?

- Wiesz co.

Jasne. I ostatnio dostał to coś za darmo.

- Najpierw kasa - mówię.

Wyjmuje pięć dwudziestek, czyściutkich, jakby właśnie wybrał je z bankomatu, i wręcza mi je.

- A teraz ściągnij bluzkę i zsuń dzinsy - mówi.

Robię, co każe.

- Skrzyżuj ręce za plecami.

Wyjmuje coś z kieszeni i wiąże mi nadgarstki. A ja myślę tylko, że to nieważne, co zaraz ze mną zrobi. To tylko moje ciało. Nie martwię się tym, jak bardzo rozpieprzone jest moje ciało, dopóki z umysłem jest wszystko okej. Poza tym moje ciało już jest przygotowane na ten moment. Bez względu na to, jak się boję, jak bardzo chciałabym teraz siedzieć w samochodzie i uciekać przed jasnowłosymi mężczyznami i „smykami” - moje ciało rozpoznaje to uczucie i chce go więcej. Pragnie swojego bólu, który zaraz się pojawi.

- Wypnij się - mówi Patrick. Wyciska trochę różowego mydła z dozownika i smaruje nim kutasa.

Dochodzi w jakieś półtorej minuty.

Do Hertfordshire przyjeżdżam około jedenastej. Mam coś w rodzaju planu. Wymyśliłam, że moją jedyną realną szansą dotarcia do Burlema jest jego córka. Bądź co bądź jest jej przodkiem, a w instrukcjach od Apollona Smintheusa była mowa o tym, że można dotrzeć do czyichś przodków dzięki pedezie. Zamierzam wynająć sobie pokoik w jakimś pensjonacie w pobliżu jej szkoły, a potem

przenieść się do Troposfery, bo może uda mi się zastać Apollona Smintheusa i dokładnie go wypytać, jak mam się do tego zabrać. Jeśli jestem blisko szkoły, to i jestem blisko tej dziewczyny. A jeśli jestem blisko, znalezienie jej w Troposferze powinno być dosyć łatwe. Tyle mojego gdybania.

Szkoła mieści się w malusieńkiej wiosce kilka mil pod Hitchin. Jeżdżę dookoła przez jakieś pięć minut od momentu, kiedy ją wypatrzyłam. Nie wygląda na to, żeby mieli tutaj jakieś hotele czy pensjonaty. Robię jeszcze kilka kółek. Widzę duży pub. Parkuję przed nim i wchodzę do środka. Nie ma ani jednego klienta, tylko za barem stoi chudy, obleśnie wyglądający typ, który wyciera szklanki.

- Cześć - mówię.

- Witam - odpowiada. - Chyba nie wagarowiczka, co?

- Słucham?

- Nie nawiałaś ze szkoły?

Przecież aż tak młodo nie wyglądam.

- Nie - odpowiadam. - No, może jakieś dwadzieścia lat temu... Macie tu jakieś pokoje?

- Nocleg ze śniadaniem?

- Aha.

- Moment. Przyniosę rejestr.

Nie widziałam żywej duszy, odkąd wjechałam do tej wioski. Za nic nie uwierzę, że mają komplet gości, ale potulnie czekam, aż dotrze do właściwej strony, a potem przesunie po niej paluchem.

- Taaa... Na dzisiaj coś znajdziemy - mówi. - Dla jednej osoby, zgadza się?

- Tak.

- Należy się siedemdziesiąt pięć funtów.

Jezu. Za pokój w pubie?

- Macie coś tańszego?

- Nie, złotko. Oprócz tego mam jeszcze drugi, za osiemdziesiąt pięć funtów. Chcesz, to bierz.

Wzdycham.

- A w okolicy nie znajdę czegoś za mniejsze pieniądze?

- Możesz wrócić do Hitchin - mówi. - Możliwe, że tam coś będzie.

Hichin jest około dziesięciu mil stąd, a ja muszę być blisko szkoły.

- Dzięki. Biorę - mówię w końcu. - Aha, ale wolno tam palić?

- A rób sobie, co tylko chcesz, złotko - mówi. - Wolisz zapłacić z góry?

Nie ufa mi.

- Jasne - mówię. I wręczam mu gotówkę.

Pokój wygląda lepiej, niż się spodziewałam. Łóżko jest miękkie i puszyste, nakryte czerwoną puchową kołdrą. Przy łóżku stoją dwa nocne stoliki, każdy z zabytkową lampką. Mam własną łazienkę z miękkimi, choć spranymi białymi ręcznikami. Muszę się wykapać, ale nie mam zbyt dużo czasu. Czy mogę się przenieść do Troposfery, leżąc w wannie? Czy mogłabym się utopić? Muszę jak najlepiej gospodarować czasem. Co jest najważniejsze? Posiłek, później Troposfera. Może zamówię coś przez telefon i wykapię się, czekając, aż przyniosą mi tu jedzenie. Szybka kąpiel, żeby się rozgrzać. Czy w ogóle można stąd zamówić coś do żarcia?

Tak, przy łóżku leży karta dań. Do pokoju można zamówić głównie jakieś mięcho i frytki.

Ostatecznie zamawiam talerz zupy z groszku i dwie porcje frytek. Potem idę się kąpać. Po kąpieli wkładam czyste majtki, czyste dżinsy, gruby czarny top termiczny i sweter wciągany przez głowę. Ciepło tutaj, cieplej niż w klasztorze. Maczam frytki w zupie i ponownie czytam notatki, które zrobiłam zeszłej nocy. Wciąż mam do Apollona Smintheusa mnóstwo pytań.

Brakuje mi uczucia, że mam tę książkę. Brakuje mi *Końca pana Y*.

Szukam w torebce fiołki z płynem, ale jej tam nie ma. Nawet kiedy wysypuję całą zawartość na łóżko: nic. Zostało mi tylko czarne kółko na kawałku tektury. Jak mam wrócić do Troposfery? Czy tym razem się rozplaczę? A może położę się na łóżku i będę się wpatrywać w kółko i koncentrować na myśli o meduzopodobnych półprzezroczystych światłach i tunelu... Czy w ogóle potrzebuję tego płynu? Może wciąż mam go dostatecznie dużo w organizmie, bo nagle tunel staje się realny i...

Troposfera wygląda z grubsza jak za pierwszym razem, kiedy się tu pojawiłam.

Znajduję się na kolejnej wąskiej miejskiej uliczce i wciąż jest noc. Czy tu w ogóle nie ma słońca? Rozglądam się po neonach i zniszczonych frontonach sklepów. Czy właśnie tak wygląda wnętrze mojego umysłu? Czemu akurat tak? Mijam sex shop z dużymi fioletowymi vibratorami na wystawie. Kolejny sex shop? Nagle dociera do mnie, że właśnie tak widzę obleśnych facetów. Ten sklep musi przedstawiać mężczyznę z dołu, tego, u którego wynajmowałam pokój. Więc to mój mózg tworzy takie obrazy? Na to wygląda. Z sex shopem sąsiaduje salon pielęgnacji zwierząt, budynek z niebieskimi drzwiami. Skąd mój umysł

wytrzasnął coś takiego? Dalej jest warzywniak, przed którym stoją kosze z owocami podejrzenie wyglądającymi na plastikowe.

Konsoleta?

Pojawia się.

„Masz do wyboru trzydzieści opcji”, informuje.

W porządku. Tyle że to za mało jak na całą szkołę. Bez wątpienia nie jestem dostatecznie blisko.

Mogę zagrać kartą Apollona Smintheusa?

„Karta Apollona Smintheusa straciła ważność”.

Apollonie Smintheusie...?

Nic.

Idę dalej. Najwyraźniej będę to musiała załatwić sama. Jak zatem najlepiej dostać się do szkoły? W fizycznym świecie mieści się jakieś sto jardów dalej przy drodze. A w świecie umysłów? Idę dalej. Zastanawiam się przez sekundę, jak to tutaj jest z kierunkami. Muszę iść

„tą samą drogą”, żeby coś znaleźć, tak jak w fizycznym świecie? Ciężko się w tym połapać.

Na moment wracam myślami do opowiadania Lumasa *Niebieski pokój*. Czy ewentualnie mogłabym zabrnąć w takie miejsce w moim umyśle, gdzie jest coś innego niż czterowymiarowa czasoprzestrzeń? Czy mogłabym utknąć tam na zawsze?

Nie wiem, co jest grane z tą drogą, ale to kompletnie bez sensu. Zbieranina sklepików przy wąskiej uliczce nagle zmieniła się w bulwar ekskluzywnych domów towarowych i salonów jubilerskich. Aż mnie odrzuca od okien wystawowych. W jednej oślepiająco jasnej witrynie pod fluorescencyjnymi lampami stoją manekiny w połyskliwych strojach wieczorowych i usilnie się ignorują. W następnej manekin wyprowadza metalicznego psa na spacer. Na kolejnej wystawie dwa manekiny męskie pieprzą jeden szczupły i kruchy manekin kobiecy. Już wolę to: przynajmniej coś nieoczekiwanego. Idę dalej, mijam lustrzany budynek po prawej i biurowiec po lewej. Droga ponownie się zwęża i nagle wszędzie widać domy. Ale to nie są normalne domy mieszkalne, tylko przerośnięte domki dla lalek, z których pozdejmowano fronty i oparto o boczne ścianki, a pod dachami dyndają gigantyczne zawiasy.

Wszystkie są pomalowane na pastelowe kolory: lila, pudrowoniebieski, cytrynowy, różany...

To musi być szkoła dla dziewcząt. Na sto procent.

Konsoleta?

„Masz do wyboru czterysta pięćdziesiąt jeden opcji”.

W porządku. Nie jestem przekonana, czy to się uda, lecz kieruję się do najbliższego domku dla lalek i wchodzę do środka, z ulicy prosto do salonu.

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... Mam piętnaście lat, fajki palę od dwóch miesięcy i myślę, że już jestem nałogową palaczką. Od coca-coli też jestem uzależniona, i od tych bułeczek z wiejskiej piekarni. Moim największym marzeniem jest tak bardzo uzależnić się od wszystkiego, żeby ludzie musieli o mnie szeptać za moimi plecami. Chcę, żeby odrosła mi ta kretyńska grzywka, i chcę posiedzieć w Hampstead Heath z Heather, Joem i tymi z Highgate i gadać o tym, jacy jesteśmy odjechani, choć nie jestem pewna, czy coś z tego wyjdzie, bo oni wszyscy jarają trawę, a ja nie chcę. Na najbliższym balu będę uprawiała seks. Muszę to wreszcie zrobić, inaczej jeszcze się wyda, że normalnie ściemniam. Do tej pory po prostu kłamałam, ale teraz laski dopytują się o szczegóły. Ostatnio na matmie Jules poprosiła mnie, żebym narysowała penisa!

Biorę kolejnego macha papierosa.

- Myślisz, że to już nałóg? - pytam Nikki.

- No pewnie - odpowiada. - Na maksa. Fajki już mi schrzaniły głos.

Nikki śpiewa w chórze. Z tym że tak naprawdę chciałyby śpiewać w indierockowej kapeli. Ale do tego trzeba sobie schrzanić głos. Właśnie dlatego zaczęła palić razem ze mną i z resztą lasek. A gdzie one są? Soph ma zajęcia teatralne, a Hannah i Jules? Jules nie widziałam od rana, kiedy przy śniadaniu rzuciła mi paskudne spojrzenie. Nie wiem, co jej takiego zrobiłam. Och, proszę cię, Jules, żebyś mnie dalej lubiła.

Pomyśl o czymś innym.

- Jak myślisz, Jim się ogarnie i nie rozgada wszystkim we wsi, że kupowałyśmy fajki z automatu? Bo to by był kanał.

- Już Soph Jima urobi. Nie martw się, laska. Ma go w g a r ś c i .

- Chyba nie... Znaczy się, ona nie...?

- Musisz sama ją zapytać. Ale... - Chichocze. - O Boże. Miałam nic nie mówić.

- Czyli to zrobiła, tak?

- No. A jak.

- Fuj!...

Soph jest nieźle odjechana.

Imię Molly nagle pojawia się w mojej głowie nie wiadomo skąd. Błę. Czemu miałabym teraz myśleć o Molly Davies? No dobra. Ta laska jest kompletnie odjechana. Soph może trochę przesadziła z Jimem, żeby załatwić sprawę fajek, ale reputacja Molly to już normalnie legenda. Nie mogę się do niej zbliżyć; laska normalnie mnie przeraża. I nie chodzi tylko o to, że już nie jest dziewicą. Znaczy się, no... jest, jak jest, tutaj żadna nie jest dziewicą (oprócz mnie, ale do tego się nie przyznajemy), z tym że Molly to chyba najmniej dziewicza osoba, jaką można poznać. W zeszłym roku, jak oni

zajmowali naszą świetlicę, a myśmy były w tej kiepawej piwnicy, normalnie z r o b i ł a l a s k ę WC-towi na sofie. WC

Wioskowy Chłopak. A chłopaki z wioski to same dresy. Jak sobie pomyślę, że taki dresik spuścił się na sofę... Wszystkim nam normalnie podjeżdża.

- Ej, co wy tak cicho? Wszystko w porządku, laska?

- No. Myślałam o Molly i tak dalej.

- Nie myśl o tych z młodszej klasy. Nie warto się nimi stresować.

- Chyba nie.

- Masz ten dezodorant?

- Aha.

Pryskamy się dezodorantem i chrupiąc bezcukrowe miętówki, wracamy do gmachu szkoły. Soph nawet tych cuksów nie tknie: mówi, że dostaje się od nich raka. Któregoś dnia Jules jej odpaliła: „Raka od nich dostają myszy, ty idiotko”. Z Jules normalnie można boki zrywać.

O, Hélène, ta puszczańska Francuzeczka... Pewnie idzie do dormitorium. Nie patrz na nią, nie patrz. No i dupa. Czemu się gapię...? Pomyśli, że jestem lesbą, a to niedobrze, bo wszyscy mówią, że ona na serio jest lesbijką, jeśli akurat się nie puszcza.

Nad Hélène majaczy fronton dużego domku dla lalek. Nie próbuję do niego przeskoczyć.

Pamiętam, jak to się skończyło ostatnim razem, kiedy wylądowałam z powrotem w Troposferze. Muszę się za to zabrać całkiem inaczej.

Konsoleta?

Wyświetla się. Na ekranie pływają obrazy, nie wszystkie widzę dokładnie. Widzę mały obrazek przedstawiający biurko; inny, jak sądzę, wewnątrz siłowni. Na innym widzę biały popękany sufit... Ale razem jest ich około dziesięciu i nie umiem wybrać. Francuzka już sobie poszła. Idę korytarzem razem z Tabithą Young, zwaną również Tabs, dziewczyną, która chce być uzależniona od wszystkiego. Kiedy idzie przy Nikki, jej mózg nie przestaje wyszczebiotywać informacji o mijanych osobach, o skarpetkach (które są zbyt krótkie), o spódnicy (która jest za długa), o oddechu (w którym może być czuć fajki, ale nie musi), a wszystko to podszyte nieustającym lękiem, by nie powiedzieć lub nie zrobić coś nie tak.

Równocześnie udaje jej się mówić: „Mhm” i „Też tak myślę”, ilekroć Nikki się do niej odzywa.

Zostawiam konsoletę włączoną. Ciekawe, czy te obrazy mają coś wspólnego z tym, co widzą przodkowie Tabs. Na ekranie nie ma w tej chwili niczego, czego bym nie poznawała.

Żadnych jaskiniowców, rzymskiego graffiti. Sądziłam, że pan Y używał pedezy do podróżowania w czasie. A może po prostu źle odczytałam przesłanie tej części książki.

Żałuję, że tego nie rozumiem. Zebrałam trochę informacji, przebywając w umyśle Martina, lecz to za mało.

W przeciwnym kierunku idzie kolejna dziewczyna i Tabs rozpoznaje w niej młodszą o rok Maxine. Usiłuje wymyślić jakiś luzacki błyskotliwy tekst na wypadek, gdyby tamta się do niej odezwała. Kiedy nad obrazem dziewczyny otwierają się drzwi, tym razem na ekranie konsoli także pojawia się nowe okienko. Teraz już wiem, co to takiego: to obraz mnie/Tabs i znaczy to tyle - po prostu musi tak być - że mogę przeskoczyć stąd tam, zupełnie jak wtedy od myszy do kota. Okej. Zaraz spróbuję. Trzymam kciuki: dawaj, dawaj. Śmiało. I - owszem -

zacieram się, ale miejmy nadzieję, że nie po to, aby się zmaterializować w Troposferze...

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... Śmierdę. Okropnie śmierdę. Te panny z ostatniej klasy musiały czuć mój smród, kiedy je mijałam. Czuję wilgoć pod pachami i między udami - wielkimi, przerośniętymi, ekstramasywnymi, bryłowatymi udziskami, które klaszczą o siebie, kiedy idę.

Mam rajstopy, dzięki czemu nie ocierają się o siebie aż tak boleśnie i skóry nie mam zaczerwienionej, za to w rajstopach jest mi gorąco, a jak się zgrzeję, zawsze pocę się jak zwierzę. Chociaż zwierzęta powinny trochę podśmiardywać. Nikt nie ma im za złe tego smrodku. Nikt mnie nigdy nie zrozumie. Nie wiem, jak mam przez całe życie męczyć się z tym problemem. A gdybym umarła? Czy ktoś by to zauważył? Nikt nie będzie chciał iść ze mną do łóżka, przenigdy. Nawet mnie samej robi się niedobrze, kiedy się rozbieram, i wiem, że Clair, Molly i Esther też to zauważają, choć nic nie mówią. W każdym razie nie przy mnie, ale myślę, że rozmawiają o tym, kiedy mnie akurat nie ma. Boże, oby tylko nie planowały jednej z tych durnowatych „interwencji”. W zeszłym semestrze urządziły tak Nicky Martin.

Wszystkie rzuciły się na nią kupą, jak tylko położyła się do łóżka, i powiedziały, że śmierdzi jej z ust. Oczywiście w supermiły sposób. Tutaj wszyscy są supermiłi. „Myśmy tylko pomyślały, że chciałabyś o tym wiedzieć”. Uśmiech, uśmiech, zęby od ortodonty. „My byśmy chciały, żebyś nam powiedziała, gdybyśmy, no wiesz, miały jakiś problem”. Gdyby mnie zafundowały interwencję, normalnie bym się zabiła. Jeszcze nie wiem jak. Nie lubię krwi i nie umiałabym zawiązać pętli. O cholera. To Esther. Muszę się przebrać, a nie mogę, jeśli Esther akurat idzie do dormitorium. Super.

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... Jestem o tyle szczuplejsza od Maxine. Ta dieta jest fantastyczna.

- Hello, Maxine.

Lubię mówić „hello” zamiast zwykłego „cześć”. To trochę z amerykańska.

- O, cześć, Esther.

Nie zatrzymuje się, żeby pogadać; praktycznie biegnie w przeciwnym kierunku. Co ja jej takiego zrobiłam? Zarozumiała suka. Tak czy inaczej, jak się zachowam, jeśli panna Goodbody („Mów mi Isobel”) rzeczywiście zacznie się do mnie przystawiać? Podoba mi się od tak dawna, że nigdy nie przyszło mi do głowy, że ja też mogłabym się jej podobać. Ale to ona zaproponowała dodatkowe zajęcia teatralne i to ona wparowała do szatni, kiedy się przebierałam przed próbą kostiumową, i to ona skomentowała wygląd moich cycków.

Powaga. Przecież sobie tego nie wyobraziłam. Najpierw było „Oj, sorki!”, kiedy zajrzała do mojej kabiny. Potem bardzo długa pauza. Potem lekki uśmiech. A potem - na dziewięćdziesiąt dziewięć procent to się wydarzyło naprawdę - potem powiedziała: „Ładne cycki”, zanim odeszła. Więc to musi coś znaczyć. To nie tak, że chce wyjść na wyluzowaną, młodą i tak dalej. Na pewno próbowała mi coś przez to powiedzieć. Ale mówiła półgłosem, tak cicho, że nie mam pewności, czy w ogóle to powiedziała.

Tylko dlatego, że jej pragnę, nie jestem chyba lesbijką? Czy jestem?

Nie jestem lesbijką.

Nie jestem lesbijką.

Ale bardzo chcę, żeby mnie pocałowała.

Skręcam za rogiem i idę schodami do dormitorium. Zwykle przeskakuję po dwa stopnie na raz, tylko że dzisiaj ściska mnie w piersi. Gdzie ja podziałam inhalator? Cholera.

Chyba zostawiłam go w szatni w torbie z rzeczami na wuef. Teraz już nie chce mi się po niego schodzić. Nic mi nie będzie. Nie miałam prawdziwego ataku już od ponad roku.

Gdybym tylko wiedziała, co zrobić z uczuciami, które budzą się we mnie, kiedy myślę o Isobel Goodbody - swoją drogą idealne nazwisko: Izabela Ładneciałko. To tak... tak jakby mój żołądek był akwarium z mnóstwem rybek i nagle wypłynęła z niego woda, i tysiące, tysiące ryb miotają się bezradnie jak w tym koszmarnym programie dokumentalnym, który oglądaliśmy na biologii. Jak „wyłączyć” to uczucie? Myślę, że pocałowanie jej mogłoby załatwić sprawę, ale niby kiedy mam to zrobić? I czy warto wylecieć za to ze szkoły? A jeśli wszyscy się dowiedzą i uznają mnie za lesbijkę? Mam nadzieję, że w dormitorium jest pusto.

O cholera. Ktoś tu jest. To Molly, jakoś dziwnie wygląda. I po cholere tak się wypaćkała tym eyelinerem? Czy ona w ogóle ma teraz okienko? Chyba powinna być na filozofii.

Konsoleta się nie zmienia, wokół Molly pojawia się kontur domu dla lalek. Dalej, dalej. Potencjalnie jestem o dwa kroki od Burlema. W każdym razie o ile to zadziała. Czemu nic się nie dzieje? Czemu na konsolocie nie pojawia się obraz, dzięki któremu miałabym pewność, że mogę przeskoczyć do Molly?

Myślę o przewodniku Apollona Smintheusa i o tym fragmencie, który w pierwszej chwili wyleciał mi

z głowy: „Można przeskakiwać z osoby do osoby w świecie fizycznym (o ile ta osoba jest w danej chwili podatna na świat wszystkich umysłów)”.

Podatna w jakim sensie? Nie rozumiem. Zostaję z Esther, ale i z konsolętą w moim polu widzenia. Jeśli chociaż zamigocze jakiś obraz, przeskoczę do Molly.

- Hej - mówię do Molly.

- Hej - odpowiada.

- Nie ma filozofii?

- Nie chciało mi się iść.

Podchodzę do mojego łóżka i siadam na nim. I nici z prywatności i dumania o Isobel.

Mam na karku zasraną Molly siedzącą tutaj i pindrzącą się. Robi sobie makijaż. Patrzę, jak nakłada róż na policzki i pociąga rzęsy czarnym tuszem. Teraz znowu bierze eyeliner, rozmazując go wokół oczu, jakby zamierzała wstąpić do trupy mimów, którzy w wolnym czasie oddają cześć diabłu.

- Wybierasz się gdzieś? - pytam.

- Aha.

- Gdzie?

- Stąd.

- Molly.

- Co? Jest piątek wieczorem i nie zamierzam się tutaj kisić.

- Ale...

- Tylko mnie kryj, Esther, dobra?

- Dobra. - Wzruszam ramionami. - Pewnie.

W gruncie rzeczy im szybciej ona sobie pójdzie, tym szybciej zostanę sama. Chyba że Maxine też postanowi pójść na górę. Nie wiem, dokąd szła. Skręciła w stronę przebieralni, chociaż ona nigdy nie uprawia sportu. Powinnam była poprosić, żeby przyniosła mi inhalator.

Wzdycham. Można tu liczyć na porządne wykształcenie, ale pieprzonej prywatności dosłownie zero. Przynajmniej w przyszłym roku będę miała własny pokój. Powinnam była dostać jedynekę już w tym roku albo chociaż mieć tylko jedną współlokatorkę. Tylko że był

„kryzys wolnych miejsc” i myszy w skrzydle dla starszych uczennic. Więc wylądowałyśmy tutaj i jest

tak, jak gdybyśmy jeszcze raz przerabiały tę samą klasę.

- Ej, Moll? - mówię do niej.

- No?

- Z kim wychodzisz?

Może wybierają się gdzieś z Maxine. Mimo że Maxine ostatnio jakoś dziwnie się wobec wszystkich zachowuje. Ale wciąż mogę mieć nadzieję, że całe dormitorium - oprócz mnie - wybiera się na miasto. Wyobrażam sobie, że zostaję tu sama i nagle wchodzi panna Goodbody, i... Nie mogłabym się do niej zwracać per „panno Goodbody”, gdybym miała ją za moment pocałować. Och, Isobel... Ależ to kretyńsko brzmi.

- Z nikim. W mieście mam się spotkać z Hugh.

I właśnie wtedy się doczekałam: drgnienia na konsolcie. Przeskakuję. Jestem w...

„Masz jedną opcję”.

„Masz”? ... Ależ mi się chce do Hugh. Ktoś mówił, że to najbardziej niebezpieczny facet w całym Hitchin. W porządku. Może ja jestem najniebezpieczniejszą dziewczyną. On tego nie widzi, rzecz jasna. Widzi... co? Laskę z prywatnej szkoły, która ma to wszystko, czego on nigdy nie będzie miał? Nastolatkę? Niedojrzałego dzieciaka? Mimo wszystko musi coś we mnie widzieć, bo nie spędziłby ze mną całej nocy w ostatnią sobotę, no nie?

Za to od tamtej pory nie odbiera telefonu. Nie napisał mi ani jednego esemesa. Więc czeka mnie kolejny wieczór szlajania się od pubu do baru, od baru do klubu, solo, i udawania, że robię coś innego i wcale go nie szukam. Tylko niby co robię? Patrzę na Esther. Ostatnio wygląda jak kościotrup. To wystarczająco dobry powód, żeby nie prosić jej, żeby ze mną poszła. Może byłaby bardziej w jego typie z tymi swoimi naturalnymi blond włosami i gigantycznymi cyckami na drobniutkim ciele. Suka. Nie, nie zabiorę jej ze sobą.

Muszę znowu być z Hugh. Mam gdzieś jego debilnych koleżków, materac na podłodze albo to, że lubi popijać wódkę z butelki, kiedy mnie dmucha. Mam gdzieś, że kiedy ja szeptałam mu „Hugh, Hugh” na ucho, on wystękał jakieś imię niepodobne do mojego, i że kiedy powiedziałam: „Rznij mnie mocno” (jak w tym opowiadaniu porno, które Clair wydrukowała z Internetu w ubiegłym semestrze), uśmiechnął się jak przygłup i nazwał mnie suczką. Nie chcę nawet go zmieniać. Może najzwyczajniej potrzebuję, żeby on zmienił mnie.

A może już za bardzo się zmieniłam? Jak to się nazywa, ten moment, kiedy motyle wychodzą z kokonów? Wszystko jedno, w każdym razie nie to mi się przytrafiło. Byłby ze mnie koszmarne motylek. Czymkolwiek byłam, zanim się zmieniłam, jest, jak jest: zmieniłam się w coś zupełnie innego. Ale nie żebym była typową zarozumiałą bogatą małolată. Każdy wie o incydencie z „łodzikiem na sofie” - nawet nauczyciele, chociaż nie mogą mi niczego udowodnić. Okej, więc prawda jest taka, że do niczego nie doszło. Obejrzałam sobie fiuta tego chłopaka, ale mu nie

obciągnęłam. No bez przesady: fuj! Mimo to cieszy mnie reputacja, jakiej się dzięki temu dorobiłam, chociaż większość dziewczyn wciąż nie odzywa się do mnie z tego powodu. Mogłabym powiedzieć Hugh, że wylatuję ze szkoły, bo za często uprawiam seks. To powinno zrobić na nim wrażenie. W końcu ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, coś tam przebąkiwał, że nie powinniśmy się więcej spotykać, bo jest ode mnie znacznie bardziej doświadczony. „Oglądałem i robiłem rzeczy, które naprawdę by cię zszokowały, mała”. Tak mi powiedział. No i co z tego, Hugh? Ja też ciągle uprawiam seks. Oboje jesteśmy zdemoralizowani. Oboje jesteśmy smutnymi samotnymi ludźmi i właśnie dlatego powinniśmy być razem. Jak w tej piosence Toma Waitsa, którą mi puszczałeś.

Wiem też, że miał tragiczną przeszłość i tak dalej, ale przecież ja też. Czy mój tata nie umarł, kiedy miałam dziewięć lat, i czy potem się nie dowiedziałam, że moim prawdziwym ojcem jest ktoś inny, jakiś dawny kolega mamy? A może to beznadziejnie pasuje do rodziny z klasy średniej? Raczej nie jest to sprawa dla opieki społecznej, co? Nie widziałam taty -

mojego prawdziwego taty - od przeszło roku. Nikt go nie widział od ponad roku. Więcej eyelinera. Mimo to moje chesne wciąż jest w tajemniczy sposób regulowane. Nie mogę więc nawet mówić, że umarł. Może mimo wszystko powiem. Mogłabym powiedzieć, że miałam dwóch ojców, którzy zmarli, i że chyba jestem przeklęta. Wciąż nie jest to takie podniecające jak alkoholizm czy handel narkotykami, ale zawsze. Mogłabym powiedzieć, że matka mnie bije, chociaż to by było kłamstwo. Tylko raz mnie uderzyła, kiedy powiedziałam, że cieszę się, że tata nie żyje.

Konsoleta wyświetla się przez cały ten czas, a ja obserwuję dryfujące obrazy. Jest ich pięć, lecz nie wiem, który będzie najlepszy. Wciąż na nie patrzę, a Molly wciąż myśli o Hugh.

Prawdopodobnie po raz pierwszy znalazłam się w czyimś umyśle i poczułam więź silniejszą niż ta wynikająca z samej obecności, dzięki czemu ją rozumiem. Rozumiem Molly na fundamentalnym poziomie. Jednak nie mogę z nią zostać; muszę się zastanowić, gdzie stąd przeskoczę.

Oto jakie mam możliwości:

- widok biurka w jakimś biurze;
- pierwszoosobowy widok prowadzenia samochodu wąską drogą;
- widok na starą kobietę, która coś przeżuwa;
- staruszek czytający gazetę;
- inna staruszka, ale ta ma różowe pasemka we włosach.

Wiem, że jeśli przeskoczę do któregoś z tych obrazów, mogę wylądować dosłownie wszędzie. Muszę skończyć u Saula Burlema, bo naprawdę nie wiem, jak miałabym tu wrócić, gdybym się zgubiła. Ponownie przeglądam obrazy. Na biurku leży puchata zabawka. Dłonie na kierownicy należą do kobiety, jej paznokcie zdobi fluorescencyjny różowy lakier. Nie ma ani jednego faceta. Teraz ta starsza trójka. To wszystko punkty widzenia czyichś dziadków: obrazy innych dziadków albo ich znajomych? Gdzie Saul Burlem? Gdzie jego punkt widzenia? Ponownie zerkam na obrazy. Nie

potrafię wybrać. Żaden nie wydaje się tym właściwym. Może on po prostu nie żyje? Jednak mój umysł zatrzymuje się na kobiecie o różowych włosach. W gruncie rzeczy tak się tylko na nie gapię, myśląc, jaka to niecodzienna fryzura, gdy mój umysł, najwyraźniej przekładając to na „coś interesującego”, zaczyna przerzucać mnie do jej świadomości. A niech to diabli. Zacieram się... Opuszczam Molly. Tuż przed odejściem próbuję zostawić w niej myśl: Zapomnij o Hugh. Zapomnij o nim...

ROZDZIAŁ 20

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... Schodzę po ciemku ze wzgórza, a światła miasta w dole migoczą jak refleksy słońca na wodzie. Pies, Planck, nie chce pójść ani trochę wyżej: zupełnie jakby wyczuwał tam obecność, której ja nie jestem świadomy. Najwyraźniej okolica nie podoba mu się dokładnie z powodów, dla których ja tak ją lubię. Nie może znieść... No właśnie, czego?

Historii? Duchów? Nic mnie już nie zaskakuje. Więc schodzimy. Oddalamy się od sędziwych mrocznych słupów bramy, od kruszejącego szarego kamiennego muru. Kiedy tu jestem, wyobrażam sobie ludzi podróżujących pieszo lub konno w czasach, kiedy nie było samochodów; i czuję, że nie było tu tego szmeru, który słychać teraz: brzęczenia generowanej i zużywanej elektryczności, samochodowych silników i popowej muzyki. Mimo to pójdę tam, gdzie chce iść pies; tak jest łatwiej. I jestem z siebie bardzo zadowolony, zadowolony, że potrafię ot tak, zrzec się kontroli. Ale zadowolenie z siebie to nie to. Chcę pustki. Idioto: nie mogę chcieć pustki. Muszę pozwolić, żeby sama przyszła. Pozwolić, by powoli otuliła mnie całego, gdy o niczym nie myślę.

Poza tym kiedy już wiem, jak wyglądają myśli, samo myślenie stało się trudniejsze.

Pies naprawdę chce się stąd wydostać. Niemalże biegniemy po lodowatym twardym błocie. Mróz. To niedobrze dla roślin; tak przynajmniej mawiała moja matka. No i coraz bliżej do Gwiazdki, rzecz jasna. Kiedy docieramy do stóp wzgórza, widzę światła w zbliżeniu: setki białych gustownych gwiazd wiszących nad drogą, a wszystkie w zasięgu ręki.

Drzewo koło ronda też jest okręcone lampkami. Co teraz znaczą święta Bożego Narodzenia?

W gruncie rzeczy ani mniej, ani więcej niż kiedyś. Laura jest wegetarianką, ale zmusi nas oboje do świętowania. Lubi rytuały. Postawiliśmy już choinkę, lecz nie ubraliśmy jej jeszcze.

Laura nie chce gwiazdek i metalicznych girland: chce udekorować choinkę czarnymi dziurami, tunelami czasoprzestrzennymi i kwarkami. Chce ją owinać materia czasoprzestrzeni. Uśmiełem się, kiedy mi o tym wspomniała. Powiedziałem, że spróbuję rozejrzeć się po sklepach. W każdym razie właśnie się do nich wybieram. Idę do sklepu i wyprowadzam psa. I nic okropnego jeszcze się nie stało. To lepsze niż non stop być zamkniętym w domu.

Konsoleta?

Pojawia się. Na środku ekranu widnieje tylko jeden mleczny obraz: niewyraźne ujęcie mnóstwa

zielonych liści. Proszę konsolę, żeby zamknęła obraz, i tak się dzieje.

Kim jestem?

Jestem Saulem Burlemem.

Chwała Bogu. Gdzie jestem?

Na Fore Street. Idę wzdłuż Fore Street, ale Planck chce skręcić w lewo, minąć sklep z serami, potem w prawo, do domu. Nie może się doczekać powrotu do domu. Chociaż nie.

Mija truchcikiem nasze frontowe drzwi i drepcze dalej, jego pysk niczym strzałka wskazuje miejsce, w którym ściany stykają się z chodnikiem. A to już moje drugie ulubione miejsce w tym miasteczku.

Gdzie jestem?

Stoję sobie tutaj, podczas gdy pies wącha chwasty wyrastające z chodnika. Tak, oto przestrzeń, która mi się podoba. Bo to naprawdę przestrzeń, nieobecność zamknięta w czterech ścianach. Stawiano tu rozmaite tablice wyjaśniające, że to plac budowy należący do ple, ple, i informujące, że przydarzy ci się mnóstwo okropności, jeśli ważysz się wtargnąć na cudzy teren. Poniekąd psuje to efekt. Lepiej było, zanim obstawili plac tablicami. Pusta przestrzeń otoczona murami: dom bez pokoi i dachu, za to z dywanem różowawej dewońskiej ziemi. Ładny widok. I przypomina mi moje ulubione miejsce w miasteczku: zamek. Zamek jest czymś bardzo podobnym: murami zamykającymi nicość.

Powiesiłem nad biurkiem widokówkę z zamkiem. To widok z góry, prawdopodobnie zdjęcie zrobiono z jednego z helikopterów, które w bezchmurne dni wiecznie warczą w powietrzu. Kiedy się patrzy na zamek z góry, przypomina szary kamienny pierścień porzucony na zboczu wzgórza, zdarty być może z palca jakiegoś olbrzyma. I jest otwarty dla zwiedzających: autentycznie można zapłacić pieniądze za prawo wejścia do kręgu pustej przestrzeni otoczonej murami.

Uwielbiam to. Spoglądasz na tę wolną przestrzeń wydzieloną ogrodzeniem, uczynioną czymś wyjątkowym, i myślisz: Na co powinienem patrzeć? Czy te ściany mają zatrzymać nicość wewnątrz czy miasto na zewnątrz?

A teraz, o dziwo, wiem dokładnie, jak się buduje mur z kamienia. Wciąż jednak nie wiem, kto stworzył te puste przestworza. Kto wynalazł nieobecność? Kto postanowił uczcić ją właśnie w tym miejscu? Oczywiście ludzie nie wiedzą, że celebują nieobecność (aczkolwiek powinni, naprawdę powinni). Myślą, że coś zwiedzają, coś namacalnego - ale tego czegoś już od dawna nie ma. Myślą, że zwiedzając pustą przestrzeń zamkniętą murami, mogą podróżować w czasie. Ja także już to wiem.

Czemu Burlem nie chce pomyśleć nazwy miasta, w którym się znajduje?

Gdzie jestem?

Właśnie przeszedłem przez jezdnię i stoję przed kościołem, kościołem, do którego chodzimy codziennie na wszelki wypadek. Nie modlimy się, lecz może to co robimy, jest czymś w rodzaju modlitwy. Wchodzimy do środka i zaraz wychodzimy, na wszelki wypadek.

Nigdy nawet nie sprawdzałem dokładnie, jaki to właściwie kościół, mimo że wchodzę do niego każdego wieczoru. Zakładałem, że anglikański albo katolicki, ale w rzeczywistości nie ma żadnej nazwy: nie jest to kościół świętego Jakiegoś tam. Mimo to w każdy czwartkowy wieczór szczęśliwi ludzie przychodzą tu w uszytych w domu ciuchach i robią w środku coś radosnego. W każdym razie zawsze gdy wychodzą, robią wrażenie radosnych. Podejrzewam, że w wieczory, kiedy ich tu nie ma, chodzą od drzwi do drzwi, sprzedając coś niewidzialnego, jak nadzieja albo zbawienie. Laura załatwiła klucze i nikomu nie przeszkadza, że zaglądamy tam co wieczór. Czy wierzę w to, co oni tam robią? Tak. Teraz muszę wierzyć. Mimo to zastanawiam się, czy oni wciąż by wierzyli, gdyby wiedzieli to co ja.

Gdzie mieszkam?

Przy St. Augustine Road.

Przecież wiem, gdzie to jest: to adres jego starego domu. Czemu nie pomyśli o obecnym adresie?

Gdzie jestem teraz?

Wchodzę na wzgórze, gdzie droga układa się w zamaszysty znak zapytania i łatwo wpaść pod samochód, jeśli się nie uważa. Na szczycie stoi tablica - Torquay - ze strzałką wskazującą w prawo.

A więc jest w pobliżu Torquay; tyle że ja nie mam pojęcia, gdzie to jest. Za mało danych.

Co się stało, że opuściłem własny dom?

Och. Od czego zacząć tę opowieść? I czemu akurat teraz o tym myślę? Pies biegnie dalej, przez rynek miejski, ale ja już tego nie widzę. Widzę... co? Jak daleko mój umysł chce cofnąć się w czasie? Widzę sceny jak na podglądzie magnetowidu: pierwsza, jak było do przewidzenia, to referat, który wygłaszałem w Greenwich na temat klątwy *Pana Y*. Laura tam była. Byli tam również ludzie z projektu Gwiezdny Blask. Oczywiście wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, kto jest kim. Jediną naprawdę niewinną osobą z audytorium była Ariel Manto i to na nią ciągle patrzyłem: na dziewczynę w obcisłym szarym sweterku i z rudymi włosami. Pamiętam, jak później wyszła Laura, wróciła do grupy fanów Lahiriego, nie mówiąc mi ani słowa. Później widzę siebie pijącego za dużo w towarzystwie Ariel, fantazjującego na temat kochania się z nią, a potem - o zgrozo! - zdającego sobie sprawę, że ona prawdopodobnie poszłaby ze mną do łóżka. Wyszedłem, rzecz jasna, zanim miałem okazję zamienić myśli w czyn.

Mija parę tygodni, może trochę więcej, i nagle mail od Laury. Jest/była naukowcem.

Pracowała na tym samym uniwersytecie co Lahiri. Rzucił się jej w oczy tytuł mojego referatu i jest zaintrygowana. Referat bardzo jej się podobał. Chce się ze mną spotkać.

Pomyślałem sobie: dwie okazje do seksu w jednym miesiącu?

I zaraz do mnie dotarło, że jak zwykle jedna z chętnych jest (potencjalnie) studentką, a druga jest za stara.

Albo: ja jestem za stary. To jest sedno sprawy. I wiem, że nie mogą mnie autentycznie pragnąć; nie teraz. Aczkolwiek Dani mnie pragnęła. Bland Dani mnie chciała. To był ten ostatni raz: ja bez koszuli, ze szpakowatymi włosami na piersi połyskującymi dziwnie we fluorescencyjnym biurowym świetle, i Bland Dani, najśłabsza z magistrantek, mówiąca:

„Chcę cię zobaczyć” i swoimi tępyimi oczami wskazująca moje spodnie. Oczywiście mówiąc „cię”, miała na myśli mojego kutasa. Czemu kobiety takie są? „Chcę poczuć cię w sobie”.

Nie. Ty tylko chcesz mojego kutasa i spokojnie możesz ignorować wielką bryłę ciała, która jest do niego przyczepiona; mężczyznę z mózgiem, którego nigdy nie będziesz miała „w sobie”, mężczyznę, którego nigdy nie zrozumiesz. Miały to być korepetycje.

Zaproponowałem, że zawiążę jej oczy nie dlatego, że mnie to podnieca, ale dlatego, że nie chciałem, by na mnie patrzyła. Naturalnie źle się to skończyło. Cóż złego w tym, że się nie widzi? Wtedy wszystko odbywa się w głowie i niekoniecznie jest wykroczeniem przeciwko prawom obowiązującym na uniwersytecie. Jednak ona i tak zagroziła, że na mnie doniesie, kiedy przestałem ją (dosłownie) widywać. Nawet jej nie pożałowałem: wyglądała jak kawał nadtopionego masła.

Umówiłem się z Laurą w kawiarence w pasażu handlowym w Londynie. Powiedziała coś, co omal nie wbiło mnie w ziemię. Jest właścicielką *Końca pana Y*, być może jedyne go znanego egzemplarza: tego w Niemczech. Dlatego przyjechała na konferencję, ze względu na mój referat. Książka wcześniej należała do jej ojca. Był jednym z pierwszych naukowców zajmujących się teorią mechaniki kwantowej, jak wyjaśniła. Wyraźnie niezbyt chętnie o nim mówiła, lecz opowiedziała mi pokrótce: żył współcześnie z Erwinem Schrödingerem i Nielsem Bohrem, ale odmówił pójścia w ślady wielu europejskich fizyków pochodzenia żydowskiego i wyjechania do Ameryki, żeby pracować nad bombą atomową i innymi równie diabolicznymi projektami. Został więc na swoim uniwersytecie i w dalszym ciągu konstruował teorię, która miała wstrząsnąć światem - a której szczegóły nie są dziś znane. Na tydzień przed wywiezieniem do obozu koncentracyjnego zrobił w dzienniku notatkę na temat *Końca pana Y*. Był ogromnie podekscytowany, że zdołał książkę zamówić w Londynie, i wierzył, że to jeden z garstki istniejących egzemplarzy. Jeden z ostatnich wpisów dotyczył możliwej „klątwy pana Y”. Laura była wstrząśnięta, jak powiedziała - ale też zaintrygowana - widząc tytuł mojego referatu. Powiedziała, że nigdy wcześniej nie natknęła się na to sformułowanie, nie licząc właśnie dziennika swego ojca.

Wyjaśniła mi to wszystko, ani razu nie zmieniając wyrazu twarzy. Za to ciągle przegarniała ręką włosy i robiła długie przerwy między kolejnymi częściami opowieści. A kiedy przyniesiono nam kawę, dała sobie spokój z włosami i zajęła się filiżanką, przesuwając ją w tę i z powrotem z chudym palcem w uszku.

- I to już wszystko - powiedziała. - Pomyślałam, że chciałby pan poznać historię tej książki; w każdym razie tego konkretnego egzemplarza.

- Jestem pani bardzo wdzięczny - zapewniłem. - Ogromnie dziękuję, że poświęciła pani swój czas, żeby tu przyjechać i spotkać się ze mną.

Jej oczy miały taki wyraz, jakby miała się zaraz uśmiechnąć, lecz ostatecznie tego nie zrobiła.

- Ta książka była ważna dla mojego ojca - powiedziała.

Nie miałem pojęcia, co na to odpowiedzieć, więc spytałem tylko:

- Czytała ją pani?

- Nie. - Pokręciła głową. - Ale wiem, że jest ważna. Bądź co bądź różni ludzie wciąż próbują ją ode mnie odkupić.

- Ale pani jej nie sprzedaje?

- Nie.

- Czemu?

Westchnęła.

- Przy całej mojej niechęci do tej książki, nie mogę jej sprzedać. Nie sprzedałam ani jednej książki po ojcu. Poza tym nie za bardzo podobają mi się ludzie, którzy próbują ją ode mnie odkupić. Ostatnio zaczęły się nawet nieśmiałe groźby. Ale dopóki książka leży w banku, niewiele mogą zrobić. Być może planują skok na bank? - Teraz się uśmiechnęła. - Cóż, nie sądzę, żeby im się poszczęściło.

- Co to za ludzie?

Wzruszyła ramionami i upiła łyk *café crème*.

- Amerykanie. - Zapadło dłuższe milczenie. - Cóż - powiedziała w końcu. -

Przypuszczam, że chciałby ją pan obejrzeć, prawda?

- Mógłbym? - Musiałem mieć głos podekscytowany jak mały chłopczyk na widok cudzej kolekcji rzadkich komiksów. Ale po prostu nie mogłem się powstrzymać. - To znaczy...

- Oczywiście. Dla pana będzie to miało jakąś wartość intelektualną. To widać. Mój ojciec powiedziałby to samo, a to dla mnie wystarczający powód.

- Czy ktoś jeszcze ją widział?

- Nie. Ja rzuciłam na nią okiem, ale nie mogłam jej dotknąć...

- Dlaczego?

Spojrzała na blat stołu. Przy podstawce jej filiżanki leżało parę drobinek cukru trzcinowego i Laura

rozgniotła je palcem. Potem podniosła wzrok i zaśmiała się słabo.

- Przesąd rodzinny? - Śmiech przeszedł w westchnienie. - Jestem naukowcem i oczywiście wiem, że to Hitler jest winny śmierci mojego ojca, nie jakaś przeklęta książka.

Mimo to... Przyszli po niego dzień po tym, jak znalazła się w jego posiadaniu. Ostatnią rzeczą, jaką zrobił jako wolny człowiek, było umieszczenie jej w skarbcu bankowym.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę. Wyjaśniła, że w przyszłym miesiącu wraca do Niemiec, i zaprosiła mnie na długi weekend. Oczywiście bardzo chciałem jechać: żeby zobaczyć tę książkę, żeby jej dotknąć. Ale nawymyślałem uprzejmych wymówek - czy naprawdę chce wskrzeszać te wspomnienia? Czy chce dopuszczać obcego człowieka do spraw swojej rodziny? itd., itp. - a ona uprzejmie zbywała je, jedną po drugiej, jak się spodziewałem. Pojechałem więc. To był pierwszy tydzień semestru i cieszyłem się, że choć na kilka dni mogę się wyrwać od tych wszystkich spraw administracyjnych, maili i spotkań.

Zwykle pracuję, kiedy jestem w domu, i na urloпах czuję się okropnie. Przez cały czwartkowy wieczór oglądaliśmy jakąś absurdalną sztukę, a w piątek poszliśmy do skarbcu.

Teoretycznie było lato, lecz powietrze było szare i wilgotne, wszystko wokół wyglądało tak, jakby umierało powoli, duszone przez coś innego. Kiedy książka trafiła w moje ręce, Laura wlepiła wzrok w posadzkę i niemal natychmiast powiedziała:

- Chcę, żebyś ją wziął. Zabierz ją stąd.

- Sprzedasz mi ją? - spytałem.

- Nie - ucięła. - Po prostu ją weź.

Ostatniej nocy, którą u niej spędziłem, uprawialiśmy dość smętną odmianę seksu.

Było w tym coś z przyziemnej nieuchronności, jak w złapaniu grypy zimą. Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczę. Nienawidziła tej książki i podarowała ją mnie. Nie byłem nawet pewny, czy to prezent czy raczej pożyczka. Kompletnie nie rozumiałem tego, co się działo, ale nie zadawałem sobie żadnych pytań. Potrzebowałem tej książki: pragnąłem jej tak, jak w życiu nie pragnąłem niczego.

Później nastąpiły dziwne wydarzenia, które w tamtym czasie zlekceważyłem jako serię czynności pomyłkowych, napędzających jedna drugą. Najpierw zapomniałem spakować książkę; potem zapomniałem odebrać torbę z taśmy na lotnisku. Jakimś cudem dotarłem do domu, nie gubiąc jej po drodze. Po południu musiałem się stawić na organizowanej przez uniwersytet uroczystości w katedrze, ale zleciała błyskawicznie. Siedziałem przy mojej doktorantce, Ariel Manto, i chyba nawet udało mi się z nią odrobinę poflirtować (niewinnie, niewinnie). Następnie wymówiłem się byle pretekstem i pognałem do domu. Posiedziałem trochę w mojej stareńkiej oranżerii, po czym między zachodem a wschodem słońca doczytałem książkę do końca. Nie mogłem później zasnąć, więc wypłem butelkę wina, wyjątkowo dobry rocznik, i rozsłochałem się kilka razy, ot, nad samym

pięknym tego doświadczenia: trzymania tej książki, możliwości przeczytania jej po tak długim czasie. Nikt mnie nie nachodził i słyszałem tylko ptasie trele.

I bezzwłocznie poprzysiągłem sobie sporządzić miksturę z książki i spróbować samemu wypuścić się do Troposfery. Przygotowałem się do tego szybko i dość pośpiesznie i ustaliłem, że *Carb-veg* w odpowiedniej potencji można kupić w sklepie w Brighton. Tego samego popołudnia pojechałem tam i z powrotem, po drodze zabrałem trochę wody święconej z kościoła Świętego Tomasza i wieczorem zaliczyłem swoją pierwszą wizytę w Troposferze.

Większość pamiętam jak przez mgłę. Pamiętam, że sunałem tunelem, tak dobrze mi dziś znanym, z którego wyłoniłem się w nostalgicznej, pocztówkowej wręcz wersji dziewiętnastowiecznego Londynu, pełnego ciemnych baraków, mgieł i porzuconych dorożek.

W miarę jak penetrowałem okolicę, zacząłem, rzecz jasna, pojmować reguły obowiązujące w tym miejscu. Pedezę wypróbowałem na mleczarzu. Spróbowałem - i poniosłem klęskę -

dostać się do umysłu rektora.

Pierwszy mail dostałem w sobotę wieczorem. Wyglądało to na wiadomość od studenta czy studentki uniwersytetu w Yale, pomimo adresu mailowego z Yahoo, z uprzejmą propozycją nawiązania korespondencji na temat *Końca pana Y*. Równie uprzejmie odmówiłem. Mail był fatalnie napisany, poza tym moi studenci zabierają mi dostatecznie dużo czasu. Pomyślałem, że to dziwny zbieg okoliczności, że ta osoba skontaktowała się ze mną akurat wtedy, kiedy książka znalazła się w moim posiadaniu, ale wtedy nie widziałem w tym nic podejrzanego. Drugi mail przyszedł w niedzielę, z grubsza o tej samej porze co ten sobotni.

Proszę wybaczyć, że się narzucam. Jestem kierownikiem projektu Gwiazdny Blask, znaczącego interdyscyplinarnego studium aktywności i potencjału ludzkiego umysłu. Ostatnio analizowaliśmy metodę opisywaną w dziele *Koniec pana Y*. Czy też może powinienem napisać, że studiował ją mój poprzednik? Odkąd przejąłem projekt, jestem zainteresowany wznowieniem rozpoczętych przez niego badań, niestety, nasza sieć komputerowa padła i straciłem wszystko... łącznie z instrukcjami dotyczącymi odtworzenia formuły. Wyjaśnia to również, dlaczego obecnie używam adresu hotmailowego! Nasze komputery rozpoczną pracę najwcześniej za tydzień, lecz samej formuły potrzebuję na wczoraj. Jako że posiada Pan jeden egzemplarz, mam nadzieję, że nie będzie Pan miał nic przeciwko temu, by poświęcić kilka minut na przepisanie formuły i przesłanie jej nam.

W poniedziałek zadzwoniłem do Laury.

- Projekt Gwiazdny Blask? - powtórzyła, kiedy wyjaśniłem sytuację.

- Tak.

- To ci sami ludzie, którzy chcieli odkupić ode mnie książkę.

- Coś o nich wiesz?

Milczała chwilę.

- No owszem, zrobiłam małe rozeznanie.

- I?

- Projekt Gwiazdny Blask został zlikwidowany prawie rok temu. Już nie istnieje.

- A co to był za projekt?

Westchnęła.

- To był ściśle tajny amerykański program badawczy. Dowiedziałam się o nim za pośrednictwem znajomego znajomego, fizyka z MIT. On słyszał tylko pogłoski: że projekt zaczął się jako proste studium telepatii, a potem przerodził się w coś innego. Wspominał o ściśle tajnej placówce na pustyni, o widzeniu na odległość, gapieniu się na kozy i poszukiwaniu „broni ostatecznej”. Mówił, że obilo mu się o uszy, że jakaś katastrofa spowodowała zamknięcie projektu, i ostrzegł mnie, żebym się do tego nie mieszała i nie zadawała więcej pytań. Zabrzmiało to bardzo złowieszczo.

- Skoro projekt został zamknięty, czemu jacyś ludzie kręcą się tutaj i opowiadają, że biorą w nim udział?

- Nie wiem. Chyba już wspominałam, że dość szybko zaczęli mi grozić.

- No i jak się dowiedzieli, że książka jest u mnie? - Nie spytałem, czy od niej.

- Nie wiem - odrzekła tylko.

Milczałem chwilę.

- Myślisz, że są niebezpieczni?

- Naprawdę nie mam pojęcia. Domyślasz się, po co im ta książka? Bo zakładam, że już ją przeczytałeś?

- Owszem. Przeczytałem.

- I...?

- Nie mam pojęcia, do czego może im być potrzebna.

Czemu skłamałem? Rzecz jasna wiedziałem, że zależało im na miksturze, i wiedziałem też dlaczego: bo mikstura rzeczywiście działała. Wyobrażałem sobie, że ci ludzie to coś w rodzaju garstki odszczepieńców, którym wcześniej podawano miksturę, lecz nie ujawniono nigdy, z czego się składa. A już zdążyłem się oswoić z pragnieniem powrotu do Troposfery. Nie chciałem nawet myśleć, jak to jest, tak bardzo czegoś potrzebować i nie móc tego mieć. Podejrzewam, że dość podobnie czuje się narkoman na głodzie.

- Cóż... - powiedziała.

- Lauro, ja naprawdę sędzę...

- Tak?

- Sędzę, że powinienem zwrócić ci tę książkę. Że powinna wrócić do tamtego skarbca, z którego jej nie wydostaną.

- Ale skoro nie ma w niej nic, co mogłoby się okazać użyteczne...?

- Uważam, że powinna wrócić do skarbca - powtórzyłem z uporem.

Kiedy ta rozmowa dobiegła końca, wróciłem do oranżerii i przyjrzałem się swojemu odbiciu w szkle. Na dworze było ciemno, lecz wypatrzyłem tylko ze dwie gwiazdy wiszące u nieba niczym niezbyt ambitna dekoracja. Tajne amerykańskie studium. Gapienie się na kozy.

Broń ostateczna. Z daleka mi to pachniało wojskowym projektem. Wróciłem do domu i wziąłem książkę do ręki. Oczywiście zamierzałem odesłać ją Laurze, ale jutro. Równocześnie zdawałem sobie sprawę, że ludzie z projektu Gwiezdny Blask - albo inni ich pokroju -

dostaną ją koniec końców. I co wtedy? Mój mózg wypełnił się nieprzyjemnymi wizjami dominacji nad światem i kontrolowania myśli. Gdyby represyjny reżim - jakkolwiek reżim -

dobrał się do tej mikstury, wtedy... co wtedy? Stwierdziłem, że mogę sobie wyobrazić, jak dokładnie wyglądałaby taka „broń ostateczna”. Wysłałem mail na hotmailowy adres podany przez samozwańczego szefa projektu, w którym tłumaczyłem, że chociaż faktycznie miałem okazję obejrzeć tę powieść, zdążyłem już odesłać ją do właściciela w Niemczech.

Przeprosiłem i zapewniłem, że musiał się pomylić: w książce nie było żadnej receptury. I położyłem książkę na stole gotów ruszyć na pocztę.

Tylko że wcale nie chciałem jej wysyłać. A jeśli zaginie? Jeśli zostanie uszkodzona? Z

drugiej strony wiedziałem, że przed weekendem nie będę miał czasu, by tłuc się do Londynu na spotkanie z Laurą i wręczyć jej powieść osobiście. Zresztą czy w ogóle chciałyby ją zobaczyć? Może tylko zasugerowałyby przesłanie jej bezpośrednio do banku z prośbą o umieszczenie jej w skarbcu? Istniało zbyt wiele możliwości, a maile przestały przychodzić.

Wtorek i środa zleciały na spotkaniach, w tym odbyła się doroczna prezentacja BHP Maxa Trumana, obowiązkowa; aczkolwiek Ariel Manto najzwyczajniej się na niej nie pojawiła.

Zresztą nawet lubiłem ekscentryczne coroczne prezentacje Maxa. Tegoroczna była zatytułowana: „Kiedy wszystko idzie nie tak”. Była to opowiedziana z przymrużeniem oka historia starego tunelu kolejowego pod kampusem, kończąca się dramatyczną relacją z jego zawalenia się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym. Max wytrzasnął skądś mnóstwo slajdów w PowerPointie z przewracającym się Gmachem Newtona i ludźmi biegającymi dookoła z przerażeniem na twarzach.

Doszukiwał się najróżniejszych związków między zawaleniem się gmachu uniwersytetu i załamaniem się relacji między studentami a ciałem pedagogicznym w połowie lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. W czasie kiedy tunel się zapadał, do sekretariatu wtargnęła grupa demonstrujących studentów i raczyła się porto rektora. Dowiedzieliśmy się, że nasz budynek wzniesiono w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym - dokładnie nad wzmocnionym tunelem. Max wyjaśnił nam, że gmach wciąż łączy z tunelem specjalne przejście dla konserwatorów. Musimy to wiedzieć, oznajmił, żebyśmy mogli podjąć niezbędne środki ostrożności. W tym momencie Mary spytała, jakie to środki.

- Po prostu nie powpadajcie do niego - odparł Max.

- A jak można do niego wpaść? - zdziwiła się Mary.

- Cóż, nie można - odparł. - Ale w myśl nowego zarządzenia z zakresu BHP i tak muszę was przed tym ostrzec.

- Ale to przejście istnieje od prawie trzydziestu lat - dodał ktoś inny. - I jeszcze nikt do niego nie wpadł...

- A gdzie ono jest? - spytała Mary.

- W sali ksero - odparł Max. - Tuż przy kserokopiarce.

- Masz na myśli to coś à la właz, na czym stoimy za każdym razem, kiedy mamy coś do skserowania? - odezwała się Lisa Hobbes.

- Ano.

- To tam naprawdę można wpaść?

- Nie, nie bądź tępa. To nie Alicja w cholernej Krainie Czarów. Właz jest dobrze zabezpieczony.

- A jak tam jest, w tym tunelu? - ożywiła się Lara, która prowadziła zajęcia z kreatywnego pisania.

- Nawet o tym nie myśl, Laro - ostrzegła ją Mary.

- No co? Uważam, że powinniśmy tam zejść i wszystko zbadać.

Rozległ się chóralny jęk.

- Dobrze, dobrze. Żartuję tylko.

W zeszłym roku Lara napytała sobie kłopotów, wysyłając wszystkich swoich studentów na coś w rodzaju psychogeograficznej wyprawy, podczas której musieli używać planów Berlina, aby się poruszać po śródmieściu. Troje studentów wylądowało na autostradzie i trafiło do aresztu.

Podczas gdy padały kolejne pytania i kolejne odpowiedzi, ja siedziałem, rozmyślając o Troposferze.

Sądziłem, że zdążyłem dość dobrze poznać obowiązujące w niej prawa. Od kilku dni chodziłem przez to niewyspany i kiedy inni dywagowali na temat tunelu kolejowego oraz tego, czy Lara poprowadzi ekipę badawczą na dół czy też nie, oczy zaczęły mi się zamykać. Przyśnił mi się świat, w którym każdy miał dostęp do myśli innych ludzi, dopóki rząd nie zwerbował ludzi w granatowych mundurach, którzy chodzili po okolicy i poddawali każdego praniu mózgu, aż stracił tę umiejętność. Kiedy się obudziłem, wszyscy już sobie poszli. I dobrze: pociłem się przez sen i koszulę miałem przemoczoną niemal na wylot. Mimo że byłem sam, miałem niezwykle silne poczucie, że jestem obserwowany. Wiedziałem, że muszę oddać książkę Laurze, więc wróciłem prosto do domu, by zadzwonić do niej i umówić się na weekend. Kiedy jechałem w korku, jak to w porze szczytu, zastanawiałem się, czy nie byłoby lepiej po prostu spalić tę książkę albo chociaż zniszczyć stronę z recepturą.

Jednak jestem profesorem literatury angielskiej. Nie umiałbym zniszczyć książki, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Przynajmniej tak wtedy myślałem.

Zająłem ostatnie miejsce parkingowe przy mojej ulicy i ostatnie dwadzieścia jardów do domu pokonałem pieszo. Wszedłem do środka i jeszcze raz przemyślałem sobie to, co miałem do zrobienia. Wszystko już zaplanowałem. Wpadłem na pomysł, że wyrwę kartkę z instrukcjami - ale z pewnością nie zamierzałem jej zniszczyć. Planowałem ją zatrzymać albo ukryć... Jeszcze sam nie wiedziałem, co właściwie z nią zrobię. Może już mi zaczynało świtać, że w pewnym momencie i tak będę musiał ją zniszczyć, lecz wtedy jeszcze sądziłem, że usunięcie jej wystarczy. Wyrwę kartkę, oddam książkę Laurze, a gdyby kiedykolwiek mnie o nią spytała, udam zdziwienie.

Dokładnie w momencie kiedy otworzyłem książkę na stronie z formułą, zobaczyłem dwa snopy światła omiatające moje okna. Następnie usłyszałem miarowy warkot silnika dieslowego, ale zakładałem, że ktoś wezwał taksówkę. Mimo wszystko byłem nerwowy i podejrzliwy, więc podszedłem do okna, żeby się upewnić, wciąż z książką w rękach. I wtedy ich zobaczyłem: dwóch blondynów, których ostatnio widziałem na konferencji w Greenwich.

Ewidentnie usiłowali zaparkować przy mojej ulicy.

Przyjechali po książkę. To zawsze byli oni.

Co gorsza: jeden z nich prowadził, szukał wolnego miejsca, a ten drugi? Cóż, wyglądał na pogrążonego we śnie.

Musiałem szybko się zastanowić. Jeśli jeden jest w Troposferze, to znajduje się o skok, może dwa od mojego umysłu i wszystkiego, co wiem na temat *Końca pana Y*.

Spojrzałem na książkę i pośpiesznie wydarłem z niej kartkę. Moje myśli omal się wtedy nie rozsypały, lecz to co miałem do zrobienia, nabrało nagle klarowności i precyzyjności listy postulatów, punkt po punkcie. Muszę zostawić książkę, a kartkę zabrać ze sobą. Wtedy już wiedziałem, że złożę ją i schowam w bucie. Kiedy to zrobiłem, zdałem sobie sprawę, że muszę stąd uciekać, zanim wtargną tu ci mężczyźni i albo mnie pobiją, albo - co gorsza -

wskoczą do mojego umysłu i odbiorą mi całą wiedzę. Wciąż jeszcze szukali miejsca do

zaparkowania. Schowałem książkę za fortepianem, potem chwyciłem płaszcz, portfel oraz klucze i wymknąłem się tylnymi drzwiami. Przebiegłem przez parkan do sąsiadów, przebiegłem przez ich ogród i podjazd i wskoczyłem do swojego samochodu. Myślałem, że zaraz dostanę zawału. Ten przytomny nawet się nie obejrzał, kiedy trzasnąłem drzwiami.

Wyobrażałem sobie pościg samochodowy, ale nikt nawet na mnie nie spojrział. Więc popędziłem - szybciej niż kiedykolwiek - na uniwersytet. Moje myśli wyprzedzały mnie, mknąc z prędkością, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyłem. I gdzieś spośród mieszaniny planów, lęku i domysłów wybijała się jedna myśl. Zdałem sobie sprawę, że ci mężczyźni nie odpuszczą, dopóki będę miał swoje wspomnienia. Nieważne, czy zniszczę *Koniec pana Y*.

Nieważne, czy przepuszczę przez niszcarkę recepturę ukrytą w moim bucie. Dopóki mogą się dostać do mojego umysłu, mogą zdobyć instrukcje, które pozwolą im na sporządzenie mikstury, podobnie jak pan Y poznał tajemnice seansu z duchami, zaglądając do umysłu Willa Hardy'ego. Łatwizna. Od Laury niczego by nie uzyskali, bo nie czytała tej książki.

Jednak dopóki ja żyję i pozostaję przy zdrowych zmysłach, zawsze mają dostęp do formuły.

Kiedy zatrzymałem samochód na parkingu przy Gmachu Russella, poczułem się jak człowiek, któremu właśnie odczytano wyrok śmierci. Gdy byłem nastolatkiem, marzył mi się los bohatera tragicznego. Sądziłem wtedy, że w byciu Hamletem czy Learem jest coś magicznego. Teraz jednak widziałem tylko finał w postaci śmierci; a rysowała się znacznie wyraźniej niż dzień jutrzejszy. Przypomniła mi się dysertacja, którą oceniałem parę lat wcześniej. Jej autor przekonywał, że amerykańskie filmy gangsterskie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych są postmodernistycznymi tragediami. Dużo uwagi poświęcił pewnemu szczegółowi: że nikomu w tych filmach nigdy nie udaje się uciec. W naszym społeczeństwie -

powiązanym bitami i bajtami - nigdy nie można stać się całkowicie anonimowym. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że ludzie z projektu Gwiezdny Blask wyśledzą mnie bez względu na to, dokąd pojedę, i że nie mogę nic na to poradzić. Równocześnie zdałem sobie sprawę, że mam tylko jedną mglistą szansę, by temu zapobiec. Mógłbym zniknąć. Tyle że miałem mało czasu. Przyjadą tu w następnej kolejności: wiedziałem o tym.

Byłoby zbyt niebezpiecznie czekać na empiryczne dowody co do tego, jakie plany żywili względem mojej osoby. Musiałem wyjść od założeń a priori, mianowicie:

- ci ludzie chcą mojej wiedzy na temat ingrediencji potrzebnych do sporządzenia mikstury;

- ci ludzie mogą ją zdobyć na trzy różne sposoby:

torturą,

pedeżą,

odbierając mi kartkę z książki siłą.

Według mojego rozumowania kartkę mógłbym ewentualnie zjeść, mógłbym nie ugiąć się wobec

tortur, ale wobec pedezy byłem całkowicie bezradny. To co już wiedziałem o Troposferze, sugerowałoby, że aby dostać się do mojego umysłu, człowiek przebywający w Troposferze musiałby tylko przeskoczyć do umysłu kogoś, kto jest blisko mnie albo ma duże szanse mnie zobaczyć, a potem, kiedy ta osoba mnie zobaczy, wykonać ostatni skok prosto do mojego umysłu. Teoretycznie ten śpiący mógłby po prostu wskoczyć do umysłu swojego kolegi i wysłać go na spotkanie ze mną.

Nie mogłem zatem pozwolić, by ktokolwiek mnie zobaczył. Jak tylko wpadłem do swojego gabinetu, opuściłem rolety i zamknąłem drzwi na klucz. Od dwudziestu lat nie miałem w ustach papierosa, ale kiedy zobaczyłem, że Ariel zostawiła na biurku paczkę, wyjąłem jednego i zapaliłem. Błagałem samego siebie, żebym znalazł jakieś wyjście z sytuacji. Gdzie mógłbym pojechać, żeby nie być przez nikogo widzianym? Mój umysł

wypełnił się obrazami dróg, centrów handlowych i supermarketów. W zwykły dzień widzi mnie ile osób? Setki? Tysiące? Bez względu na to ku czemu zwracałem umysł, widziałem tylko masę ciał i świadomości; szczególnie, którego nie uwzględnia żadna mapa. Nawet kiedy wrócę do samochodu i ruszę w drogę, będę mijał różnych ludzi. Sam nie rozumiałem, dlaczego w ogóle pojawiłem się na uniwersytecie: czemu wybrałem na kryjówkę pomieszczenie z moim nazwiskiem na drzwiach, pokój, do którego można trafić dzięki wskazówkom umieszczonym na stronie internetowej uczelni z załączonymi dla wygody mapkami: jak dotrzeć do gmachu anglistyki i amerykanistyki z każdego punktu na kampusie; jak dostać się na kampus drogą, koleją, powiatem, Eurostarem i promem. Paliłem i krążyłem po gabinecie. Na uniwersytecie czułem się bezpieczny. O to chodziło: dlatego tu przyjechałem. Ale tylko dlatego, że zawsze jest tu tak wiele ludzi. Człowiek nigdy nie czuje się sam, a w niebezpiecznych sytuacjach zwykle chce się być wśród ludzi. Jednak nie tym razem.

Minęły trzy, może cztery minuty. Usłyszałem w korytarzu coraz bliższe śmiechy: bez wątpienia Max i reszta ferajny wracają z baru. Nie miało żadnego znaczenia, że zamknąłem zewnętrzne drzwi na klucz - zaraz zostaną otwarte. Popatrzyłem na ciężki przycisk do papierów na biurku. Może mógłbym powstrzymać tych ludzi siłą? Nie. Nie można się bronić siłą przed telepatią na odległość. Zmusiłem się do szybszego myślenia. Zniszczyć kartkę z buta? Nie. Nie mógłbym. Po prostu nie mógłbym się na to zdobyć. Czemu nie pojechałem do jakiegoś przypadkowego miejsca, kiedy jeszcze miałem taką szansę? Moje myśli przepychały się i poszturchiwały wzajemnie niczym zdesperowani świąteczni zakupowicze, ale przypomniałem sobie, że muszę podjąć zaledwie dwie decyzje: co zrobię z tą kartką i gdzie teraz pojedę. Zanim do mnie dotarło, co właściwie robię, zdjąłem z górnej półki czwarty tom *Zoonomii*. Kiedyś chowałem w książkach pieniądze, dawno temu, kiedy jeszcze byłem magistrantem, a drzwi mojego mieszkania trzymały się na słowo honoru i każdy mógł je otworzyć za pomocą karty kredytowej. Tłumaczyłem sobie, że złodziei nie interesują książki, poza tym książki zabierają mnóstwo miejsca. Drobnny złodziejasek nie byłby w stanie przetransportować księgozbioru liczącego około tysiąca książek, więc najzwyczajniej by je zignorował: nie wybrałby, dajmy na to, dziesięciu. Nie ukradłby żadnej, lecz skupiłby się na magnetowidzie i kuchence mikrofalowej. Z tego powodu zawsze chowałem różne szpargały po książkach. Chowałem listy miłosne, pornografię, karty kredytowe... Czy teraz zda to egzamin? Goście z projektu Gwiezdny Blask najwyraźniej dobrze znali wartość książek. Ha, pomyślałem, i właśnie tutaj pomoże mi uniwersytet. Mogę ukryć tę kartkę i zamknąć drzwi na klucz, by żaden intruz nie mógł tu wejść i przetrząsnąć moich rzeczy. A nawet gdyby komuś się to udało, nie znajdzie książki, na której mu zależy, bo jej tu najzwyczajniej nie będzie.

A potem pomyślałem: „Jak długo mnie tu nie będzie?”.

Nie miałem pojęcia.

Ale przynajmniej będę miał przy sobie jedyną kopię tej kartki: tę w moim umyśle. I chociaż wiedziałem, że i tak bym stchórzył, zawsze mógłbym się zabić, gdyby ci ludzie niebezpiecznie się do mnie zbliżyli. Teoretycznie byłaby to moja ostatnia deska ratunku.

Przyciągnąłem sobie fotel i stanąłem na nim, żeby się pozbyć drugiego egzemplarza formuły: na kartce w moim bucie.

Może głupio zrobiłem; może nie całkiem to sobie przemyślałem - lecz nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak ktoś przegląda wszystkie książki na półkach i wytrząsa je, dopóki z jednej nie wypadnie tajemnicza luźna kartka. Sądziłem, że postępując w ten sposób, ocalę ważną kartkę z ważnej książki. Czemu akurat *Zoonomia*? Sam nie wiem, ale coś mi podpowiadało, że to odpowiednia książka. Ariel Manto nie będzie z niej korzystać, bo przecież jej odradziłem. A kogo jeszcze mogłaby zainteresować *Zoonomia*? Wetknąłem kartkę mniej więcej w środek tomu IV i odstawiłem go na półkę.

Wiedziałem, że nie powinienem był tego robić, ale wolałem to od zniszczenia tej kartki. Czy to był mój fatalny błąd? Być może też miałem nadzieję, że ktoś, kto czytuje *Zoonomię* - naukowiec bez wątpienia - i kto będzie dysponował niezbędnymi środkami, by powiązać kartkę z książką... Cóż, życzę powodzenia. Może właśnie tak usprawiedliwiałem się przed sobą. Wiedząc tyle, ile wiem teraz, nigdy nie zostawiłbym tej kartki bez nadzoru. Ale już za późno, by ją odzyskać. Mogę tylko mieć nadzieję, że została zniszczona.

Zatem następną rzeczą, jaką zaplanowałem, było moje zniknięcie. Tylko jak zniknąć w budynku pełnym ludzi na uniwersyteckim kampusie rojącym się od ludzi w świecie przepelnionym przez ludzi? Dokąd miałem jechać? Gdzie mógłbym być, dokąd nie pojechałby nikt inny? Gdzie by mnie nie widziano?

Tunel kolejowy.

Dwie minuty później byłem już w sali ksero, za zamkniętymi na klucz drzwiami.

Podniesienie włazu okazało się zaskakująco łatwe teraz, kiedy wiedziałem o jego istnieniu.

Nie miałem porządnej latarki; tylko taką miniaturową, przy kluczykach. Jej światło wystarczyło, bym zobaczył wąską metalową drabinkę. Czy ja oszalałem? Sam już nie byłem pewny. Jednak wślizgując się w ciemności w dole i starannie zamykając za sobą włącz, usłyszałem furiackie walenie do drzwi i męski głos z amerykańskim akcentem krzyczący:

„Profesorze Burler!”.

Dobijali się do mojego gabinetu naprzeciwko pokoju kserograficznego. Zdążyłem w ostatniej chwili. Nikt nie widział, jak wchodzę do sali ksero.

Czułem się, jakbym przerwał zaklęty krąg: łańcuch widzenia, przyczyny i skutku. Skoro nie wychodziłem z gabinetu, nikt nie będzie wiedział, gdzie jestem. A skoro nikt mnie nie widzi, czy

wciąż istnieję?

W tunelu było ciemno i zimno i przez cały czas towarzyszyło mi uporczywe kap, kap, kap wody. Tunel okazał się znacznie większy, niż sobie wyobrażałem - z drugiej strony tunel kolejowy, rzecz jasna, musi być duży, dostatecznie duży, by mogły się w nim minąć dwa pociągi. Było zbyt ciemno, żebym mógł go sobie dokładnie obejrzeć, ale zorientowałem się z grubsza, jakie ma rozmiary, po tym, jak dźwięk rozchodził się w wolnej przestrzeni.

Ruszyłem w kierunku, który uznałem za południowy, ku podziemiom Gmachu Newtona. Pod butami chrzęściło mi coś podobnego do żwiru, choć nie widziałem dokładnie co. Szedłem wzdłuż ściany i trzymałem kciuki, żeby się okazało, że zdążyłem się na tyle oddalić od ludzi z projektu Gwiezdny Blask, by ten śpiący przypadkowo nie natknął się na mnie w Troposferze.

Wyobraziłem sobie coś w rodzaju nalotu porannego: gdyby ci dwaj wiedzieli, że jestem na uniwersytecie, czy ten śpiący mógłby wpadać kolejno do wszystkich budynków w Troposferze, dopóki nie trafiłby do mojego? Ta myśl dręczyła mnie, kiedy się zapuszczałem w głąb tunelu. Wiedziałem o telemancji i pedezie dostatecznie dużo, by rozumieć ich związek z odległością. Z drugiej strony tu, w kampusie, byłoby mnóstwo indywidualnych świadomości do wyboru, a ci faceci nie mają nawet pewności, czy wciąż jestem gdzieś w pobliżu. Nie wiedziałem, co dalej. Jakby jakiś mściwy bożek postanowił spłatać mi figła, następną rzeczą, jaką zobaczyłem, była sterta cegieł i gruzu, przed którą musiałem się zatrzymać. Wiedziałem, że będę się musiał przez nią przekopać, by dostać się do wyjścia.

Czy chciałem dotrzeć do wyjścia? Usiadłem ciężko na ziemi i zacząłem się zastanawiać, jaki powinien być mój następny krok.

Ach. Dość tych wspominków. Oto i kościół. Przywiążę Plancka przed wejściem.

Jestem...

O kurwa! I po herbacie. Jestem znowu w Troposferze: odbiłam się od Burlema w chwili, gdy wszedł do kościoła. Czyli Adam miał rację z tymi miejscami kultu.

ROZDZIAŁ 21

Stoję na długim metalowym moście nad przepastną rzeką, która pośpiesznie toczy pode mną swoje wody. Wciąż jest noc, ale wszystko jest spowite śmiertelnie bladą srebrzystą poświatą, która przypomina blask księżyca (lecz księżyca nadal nie widać), i każda konstrukcja, w tym i most, wygląda jak ozdobiona lampkami choinkowymi, których światełka padają w burzliwy czarny nurt, gdzie zostają rozdarte i uniesione w dal. W świetle rzeczywistym od razu dostałabym zawrotów głowy, lecz tutaj, w Troposferze, jest tylko ta gęsta jak syrop nicość.

Emocje musiałyby być o niebo silniejsze, żeby cokolwiek przedarło się przez lepki spokój Troposfery (albo też, jak najwyraźniej nazwano to miejsce w projekcie Gwiezdny Blask -

MindSpace'u). Mimo wszystko coś jednak czuję. Jestem zawiedziona, że odbiłam się od Burlema,

choć już byłam pewna, że zaraz się dowiem, dokąd pojechał po wyjściu z tunelu.

Ale to tylko tyle: leciutkie rozczarowanie. Na zewnątrz odczułabym to znacznie silniej.

N a z e w n ą t r z . Jak właściwie mam się stąd wydostać? Przypuszczalnie muszę odszukać drogę do miejsca, z którego wyruszyłam: koniec ulicy z domkami dla lalek i szalonymi manekinami, z troposferycznym (istnieje takie słowo? Już tak) odwzorowaniem wioski w Hertfordshire, w której wciąż leży moje nieprzytomne ziemskie ciało w pokoju nad pubem.

Od jak dawna tu jestem?

Konsoleta?

Pojawia się.

Gdzie jestem?

„Twoje główne współrzędne wynoszą 14, 12, 5, 2, 9 oraz 400, 340”.

No kurwa mać.

Co to znaczy? Czym jest główna współrzędna?

„Współrzędne mówią ci, w jakim punkcie Troposfery się znajdujesz”.

Tak, ale... do czego się odnoszą?

„Wszystkie punkty w Troposferze obliczane są względem lokalizacji twojej żywej świadomości w świecie fizycznym. Mogę przedstawić współrzędne w systemie dwójkowym, jeśli wolisz”.

Nie, dzięki. No dobrze. Czyli nie jestem zbyt daleko od miejsca, w którym powinnam być? A może jednak jestem?

„Odległość to czas, jak ci wiadomo”.

Mam przeczucie, że to ustrojstwo mówi mi wyłącznie to, o czym już wiem.

Mów dalej, proszę mimo wszystko.

„Przebyłaś wielką odległość w porównaniu z twoimi wcześniejszymi podróżami”.

A jak się dostać do punktu wyjścia?

„Wrócić do współrzędnych 0, 0, 0, 0, 0 i 1”.

A jak mam to zrobić?

„Podróżując po Troposferze”.

Czy możesz mi udzielić jakichś dodatkowych informacji?

„Masz do wyboru trzysta opcji”.

Świetnie. Możesz mi podać jakieś konkretne wskazówki?

Ekran migocze. Widzę coś, co przypomina ciastko z dziurką skręcone w gigantyczną spiralę, z której zwisają linie i sześciiany. Jednak obraz znika po niecałej sekundzie, a przede mną pojawia się coś w rodzaju mapy wydanej przez Brytyjski Urząd Kartograficzny z niebieską kropką i legendą: „Jesteś tutaj”. Proszę konsolę, żeby pokazała mi punkt docelowy, i na mapie pojawia się czerwona kropka. Bóg wie ile mil dalej.

Chociaż wcale nie jestem przekonana, czy tu można mierzyć odległość w milach.

I jeszcze jedna sprawa. Kiedy opuściłam Hertfordshire, był styczeń. Ale w umyśle Burlema było jeszcze przed Gwiazdką. Czyżbym autentycznie cofnęła się w czasie, by dotrzeć do Burlema? Tylko po co? I jakim cudem, na Boga? Idę po moście, a wilgotny silny wiatr rozwiewa mi włosy wokół twarzy. O, nie; starczy tej pogody. Mogę się bez niej obejść.

Mam wrażenie, że tutaj to zły znak.

Apollonie Smintheusie?

Nic.

Około dziesięciu minut (czy jakkolwiek jest tu odpowiednik minuty) zabiera mi dotarcie na koniec mostu. Oglądam się za siebie i widzę coś na kształt wachlarza złożonego z mostów, połyskującego w srebrzystej poświacie. Na moich oczach wachlarz składa się szybko w jeden most. Dziesięć minut, myślę. Dziesięć minut pomnożone przez jeden i sześć dziesiątych daje szesnaście minut. Zgadza się? Więc przechodząc przez most, spędziłam w Troposferze kolejne szesnaście minut. Muszę się stąd wynosić. Moje ciało leży opuszczone w hotelowym pokoju. No, Ariel. Szybciej.

Jednak coś mi mówi, że czy się pośpieszę czy nie, to właściwie bez różnicy.

Stoję teraz na szerokiej drodze, która jakoś przypomina mi londyński Embankment, z tym że tutejszy bulwar zdaje się ciągnąć w nieskończoność w obu kierunkach. Kolejna dziwna rzecz jest taka, że wzdłuż niego nie stoją wielkie piękne rezydencje i hotele. Zamiast nich widać mnóstwo małych domeczków rozmieszczonych dość przypadkowo: część jedne na drugich, część z trójwymiarowymi krawędziami. Co? Nie bądź niemądra, Ariel: nie istnieje coś takiego jak trójwymiarowe krawędzie. Chyba że w czterowymiarowym układzie odniesienia, przypomina mi mój umysł. Zauważam dym bijący z komina, ale wcale nie leci spiralnie ku niebu, jak dym robić powinien. Równolegle z rozszerzaniem się w przestrzeni trójwymiarowej dym zdaje się skręcać spiralnie w głąb siebie i na zewnątrz i poruszać się w innych kierunkach, których nie umiem nazwać. Idę dalej, gdy nagle szeroki bulwar zmienia się, nie do wiary, w piaszczystą drogę, a gdzie spojrzeć, stoją przyczepy turystyczne i tekturowe makiety kur. Chwila moment. Tekturowe kury? Co się ze mną dzieje? Na niebie pojawia się rozbłysk światła podobny do błyskawicy, a potem zaczyna wstawać świt, lecz znacznie szybciej

niż w normalnym świecie. Czuję się potwornie zmęczona. Najchętniej wczłogałabym się do którejś z przyczep i może trochę przespała. Nie, nie bądź głupia, Ariel: w każdej z tych przyczep czeka tylko kolejny umysł, kolejne myśli i kolejne wspomnienia. I po raz pierwszy świadomość tego sprawia, że czuję się wycieńczona. Słońce już wzeszło, a ja idę przez jaskrawożółtą pustynię, z której gdzie spojrzeć, wyskakują i znowu znikają gigantyczne zamki z piasku. Czego, do cholery, są odpowiednikami? Bo wszystko jest metaforą, zgadza się. W takim razie jaka - albo gdzie - jest pieprzona rzeczywistość, która im odpowiada?

Mam wrażenie, że idę przez pustynię od wielu godzin, ale nie mam tutaj realnego poczucia czasu. Te dziesięć minut, na które oceniłam przejście mostem, równie dobrze mogło trwać trzy albo jedną, albo dwadzieścia. Wiem tylko, że każdy krok równie dobrze może odpowiadać tyknięciu sekundowej wskazówki jakiegoś kosmicznego zegara, i im bardziej zbliżam się do siebie, tym bardziej oddalam się od szansy przeżycia tej przygody. Wyłaniam się z pustyni i wkraczam na kolejną piaszczystą drogę, przy której stoją rozliczne jadłodajnie z niebiesko-różowymi neonami. Czy te neony to dobry znak? Powinnam się cieszyć, że się tu pojawiły? Słońce znowu zachodzi, za szybko, jak w wieczór końca świata. Po jednej stronie ulicy stoi zakurzona stacja benzynowa. Gdybym tylko mogła samej sobie dolać paliwa.

Powietrze wciąż jest wilgotne i wciąż nic się nie wydarzyło pomimo tej błyskawicy: nie pada deszcz, nie grzmi. Chodzę po czymś, co przecież musi być moim umysłem, zagubiona pośród własnych wyobrażeń i przypuszczeń na temat tego, kim są i jacy są inni ludzie. Nie wiem już, gdzie „ja” jestem. A wcale nie wygląda na to, żeby czerwony punkt na konsolecie znalazł się znacząco bliżej.

Apollonie Smintheusie?

Nic.

Apollonie Smintheusie? Zrobię wszystko... Tylko przyjdź mi pomóc, proszę.

Kolejne bezdźwięczne pęknięcie rysuje się na niebie. Chyba już wiem, na czym polega modlitwa. Robię jeszcze dwa, trzy kroki, ale powoli padam. Nie sądzę, żebym dała radę iść. W oddali słychać przeciągły huk. Grzmi? Padam na kolana.

Apollonie Smintheusie?

A potem widzę go niczym miraż. Miraż na... czerwonym skuterze?

- Słucham - mówi, zatrzymując się przy mnie.

Wznieca tuman bladobrazowego pyłu, który po chwili osiada.

- Myślałam, że już nie wrócisz - mówię.

- Nie zamierzałem wracać.

- Ale wróciłeś. Jesteś tu. Chyba że mam zwiady?

Apollo Smintheus uśmiecha się.

- Oczywiście, że masz przywidzenia. Co nie oznacza, że mnie tu nie ma. - Patrzy na zegarek na swoim nadgarstku. - Masz kłopoty. Napijmy się kawy.

Zostawia skuter na środku drogi i idzie w kierunku jednej z neonowych jadłodajni.

Wlokę się za nim, lecz trudno mi stawiać stopy, jakbym szła pod wodą w pełni ubrana. Kiedy zbliżamy się do przydrożnej restauracji, zdaję sobie sprawę, że lokal nosi nazwę Mus Musculus i że zamiast drzwi ma łukowate wejście, takie samo jak do domu Apollona Smintheusa. Wnętrze jest połączeniem każdego amerykańskiego filmu drogi, jaki kiedykolwiek widziałam: czerwona tapicerka ze sztucznej skóry, zafoliowane karty dań, duże szklane cukiernice ze srebrnymi dzióbkami, z których jeśli je przechylić, wylatuje odpowiednik łyżeczki cukru. Stoliki mają białe laminowane blaty. W jednym rogu zauważam to samo mysie gniazdo, które widziałam w norze niedaleko sali bilardowej gdzieś na drugim końcu Troposfery, jak sądzę.

- Słucham - powtarza Apollo Smintheus.

Spoglądam w kierunku lady. Obsługi ani widu, ani słyhu. Nad lewym końcem kontuaru jest telewizor na metalowym ramieniu. Telewizor jest wyłączony. Na ścianie tuż za nim po prawej wisi duży biały cyfrowy zegar, ale jeśli nawet chodzi według jakiegoś czasu, to nie takiego, który byłby mi znany. Najpierw pokazuje 82.5; potem 90.1; potem 85.5; potem 89.7. Liczby pulsują nieregularnie i z tego powodu zakładam, że to jednak nie może być zegar. Kiedy znowu patrzę na stolik, stoi na nim biała filiżanka wypełniona brązowym płynem. A co mi tam, skoro mam umrzeć, to równie dobrze mogę sobie strzelić troposferyczną kawkę. Poza tym energii starcza mi na niewiele ponad picie kawy. Chcę jak najbardziej odwlec dalszy marsz po Troposferze. Nie mogę uwierzyć, że okazałam się aż taka głupia. Nie wierzę, że zgubiłam się we własnym umyśle. Czy tak się czują szaleńcy?

Prawdopodobnie lepiej za dużo o tym nie rozmyślać.

- Dzięki - zwracam się do Apollona Smintheusa. - To znaczy: dzięki za...

Za co właściwie mu dziękuję? Za kawę? Za to, że tu jest? Za potencjalny ratunek?

- Hm - mruczy Apollo Smintheus. - Jesteś tutaj, bo się modliłam?

Sączy kawę. Jego szara łapa przypomina breloczek, który kiedyś widziałam, spreparowana królicza łapka na szczęście: twardo, szaro i martwo. Za to reszta postaci wygląda na tak pełną życia, że to wręcz zakrawa na szaleństwo. W końcu wysocy na osiem stóp myszobogowie naprawdę nie istnieją. On jednak oddycha jak żywy człowiek, a jego długi szary nos wygląda na twardy i ciepły w dotyku. Choć oczywiście nigdy nie śmiałybym go dotknąć. Kolejną osobliwością Apollona Smintheusa jest to, że kiedy siedzę naprzeciwko niego, czuję się tak, jakbym siedziała naprzeciwko niezwykle dystyngowanego profesora.

- Niezupełnie - odpowiada.

- Czemu tu jesteś?

- Ponieważ coś dla mnie zrobisz. A może łatwiej byłoby powiedzieć, że już coś dla mnie zrobiłaś. Po prostu jeszcze nie wiesz co.

- Pogubiłam się.

- Wiem.

- Słuchaj. Mogę chociaż zadać ci kilka pytań, naprawdę szybciotko? Myślę, że mam kłopoty, a muszę przemierzyć wszerz pół Troposfery, zanim będę mogła...

- Masz kłopoty.

Ręce mi opadły.

- Wiem. Myślę, że mogę nie zdążyć wrócić do samej siebie w porę. Prawdę mówiąc, myślę, że raczej na pewno mi się nie uda. Właściwie już to wiem.

- Zgadzam się z tobą.

- I myślę, że istnieje szansa, że zginę.

- Tak, cóż...

- No co?

- Skoro jesteś w Troposferze, jak to nazywasz, znaczy, że już jesteś martwa.

Coś w moim ciele usiłuje uwolnić adrenalinę, lecz tutaj tak to nie działa. Sceneria przede mną rozmywa się, a potem na powrót wyostrza.

- O kurwa... O kurwa... - Chwytam się stolika. - Więc już jest za późno?

- Za późno na co?

- Na powrót. Na odnalezienie Burlema.

- Przecież możesz wrócić.

- Ale... przecież sam mówiłaś... o przebywaniu tutaj. - Zamykam oczy, by otworzyć je po chwili. - Czy ja umarłam?

- Ten świat to świat umysłów. Prowadzi do śmierci. Przecież wiesz.

- Wiem?

- Gdybyś chociaż trochę się nad tym zastanowiła, zdawałabyś sobie z tego sprawę. -

Śmieje się, a ja miałabym wrażenie, że oglądam grafikę komputerową, gdybym nie czuła, jak ciepłe wilgotne powietrze zmienia się przy każdym jego wydechu. - Przepraszam. Nie wzywałaś mnie, żebym opowiadał ci zagadki. Może po prostu zadaj te swoje pytania?

- Dobrze.

- Ale lepiej się pośpiesz, bo wciąż musimy pomówić o tym drobnym zleconku, którego się dla mnie podejmiesz. Musimy się też zastanowić, jak cię stąd wydostać, co wbrew pozorom wcale nie będzie takie łatwe.

- W porządku. Cóż, będę się streszczać. Czy... czy chwilowo jestem bezpieczna?

Apollo Smintheus wskazuje ekran telewizora, który miga i nagle ożywa. Na smużącym czarno-białym obrazie widać wnętrze szpitala. Kamera pokazuje łóżko, na którym leży dziewczyna. Jest nieprzytomna, ma podłączoną kroplówkę.

- To ja? - pytam, lecz doskonale wiem, na kogo patrzę.

- Właściciel pubu zaniepokoił się, kiedy nie zeszłaś na śniadanie, a potem nie wymeldowałaś przed wyjazdem. Wszedł do twojego pokoju i znalazł cię nieprzytomną. Nie mógł cię dobudzić, więc wezwał karetkę. Oficjalnie leżysz w śpiączce.

- O Boże...

- Pokonałaś olbrzymi dystans. A to trwa.

- Apollonie Smintheusie... - Wciąż wpatruję się w ekran.

- Tak?

- Czy ja zwariowałam?

- Nie. W każdym razie nie w tym sensie, w jakim ty pojmujesz to słowo.

- To nie są jakieś śpiączkowe majaczenia... coś jak sen?

- Cóż, rzeczywiście trochę to przypomina śnienie, ale oczywiście na odwrót. Może wreszcie zadasz te swoje pytania?

Przestaję gapić się na telewizor i patrzę na niego.

- Ilekroć coś powiesz, mam ich coraz więcej - wyznaję.

- Na przykład?

- No, jak to jest z tym śnieniem na odwrót?

- Sen przenosi cię w nieświadomość. To nie jest twoja nieświadomość.

Nagle trybiki w moim umyśle zaczęły zaskakiwać. Jeszcze nie miałam czasu, by dogłębnie przemyśleć treść przewodnika spisanego przez Apollona Smintheusa, lecz zdążyłam już nieco ją przetrwać, a teraz zaczynam dostrzegać poszczególne powiązania.

- To jest... sama świadomość - mówię.

- W rzeczy samej.

- Myśli ogółu, świadomość ogółu. Ale zmieniona w rozbudowaną metaforę, po której mogę się poruszać. Tylko że tak naprawdę ta przestrzeń wcale tak nie wygląda, co już wcześniej mi tłumaczyłeś. Nie ma kawy, stołu, telewizora. Przypuszczalnie nie byłabym w stanie zobaczyć tego, z czego jest stworzona... i... mogę przeskakiwać do umysłów innych ludzi, ponieważ wszystkie są ze sobą połączone. Wszystkie są z tego samego.

- Bardzo dobrze. Z czego są zrobione?

- A ja to wiem?

- Tak. Powinnaś.

Myślę o wszystkim, co mi wiadomo na temat świadomości. Zaczynam od Samuela Butlera i jego koncepcji, że świadomość jest czymś, co ewoluuje, i że nie ma powodu, dla którego maszyny - albo kawałki plastiku, albo co tam jeszcze - nie miałyby stać się świadome, skoro dziedziczą świadomość od nas. Pamiętam, że argumentowałem, że my wyewoluowaliśmy z roślin, a przecież rośliny nie są świadome. Zatem świadomość może wyewoluować z zupełnie niczego, podobnie jak kiedyś, dawno temu musiało zrobić życie.

Możemy się łączyć z maszynami i zmienić w cyborgi, a z czasem maszynowe części nas zyskają świadomość. Tylko jak by to przebiegało? I jak to wyglądało w przypadku zwierząt, które pierwsze stały się świadome, kto stworzył dla nas świadomość? Musiał być taki moment, kiedy pojawiła się pierwsza isierka świadomości. Co spowodowało ten nagły przeskok w świadomość? Te pytania zawsze najbardziej mi się podobały w pracach Butlera, ale teraz mi nie pomogą, w każdym razie nie sądzę. Co jeszcze wiem o świadomości? Wiem, że nie podoba mi się koncepcja świadomości zbiorowej. Nie podoba mi się myśl o pradawnych symbolach, które istnieją poza bardziej arbitralnym systemem elementów znaczących i znaczonych. Wolę koncepcję Derridy o nieobecności jako o tym, co tworzy rzeczywistość i obecność - nie dziwaczny interfejs z filmu klasy B, pełen węży, czarownic i przerażających klaunów.

Znowu myślę o Heideggerze i zdaję sobie sprawę, jak mało wiem. Z tego co pamiętam, Heidegger określa świadomość (a przynajmniej świadomość tego rodzaju, jaką zdaje się mieć większość istot ludzkich) terminem *Dasein*: dosłownie taki rodzaj bytu, który jest w stanie zadawać pytania dotyczące własnego bytu. Dla Heideggera pojęcia bytu nie można rozpatrywać bez powiązania z ideą czasu: obecnym można być jedynie w teraźniejszości i dlatego też istnieć można tylko w tym sensie, w jakim istnieje się w czasie.

Dasein jest świadomy własnego bycia i może na jego temat teoretyzować. Może się zastanawiać: Czemu tu jestem? Czemu istnieję? I czym jest egzystencja? *Dasein* jest zatem skonstruowany z języka: z *logos*; z tego, co znaczy.

Lacan podniósł argument psychoanalityczny, że świadomość powiązana jest z językiem - że nasz przeskok z bycia nieświadomymi, gaworzącymi oseskami w świadomą część, „porządek symboliczny” (to znaczy mający świadomy świat) dzieje się dokładnie w momencie, kiedy uczymy się języka. I właśnie wtedy zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy odrębnymi bytami w tym świecie. Nie jesteśmy naszymi matkami (i chwała Panu za to).

Stajemy się czymś zwanym jaźnią, która może istnieć tylko dlatego, że istnieją inne.

W każdym razie świat jest „zrobiony” z języka (mój na pewno) i wiemy już, jak bardzo bywa zawodny. To rodzaj symulakra: zamknięty system zupełnie jak matematyka, w którym wszystko ma sens tylko dlatego, że nie jest czymś innym. Liczba 2 znaczy coś wyłącznie dlatego, że nie jest 1 ani 3. Dom istnieje tylko dlatego, że nie jest łodzią ani ulicą.

Ja jestem tylko sobą, bo nie jestem kimś innym. To system egzystencji bez elementów znaczących, tylko ze znaczącymi. Cały system egzystencji jest zamkniętym systemem unoszącym się na nicości, niczym poduszkowiec.

Myśl, Ariel. Nie piszesz choleralnej rozprawki.

Nie. Zgubiłam się w świadomości i usiłuję rozgryźć, czym ona właściwie jest, do ciężkiej cholery.

Co nasuwa mi pewne skojarzenie...

- Nie zostało nam zbyt dużo czasu - ostrzega Apollo Smintheus.

Patrzę na telewizor. Wciąż tam leżę nieprzytomna, jak chwilę wcześniej.

- Całe to miejsce jest utworzone ze słów - mówię. - Z języka. Dlatego docieram tutaj tunelem z języka... ze wszystkich języków od zarania czasu. W jakiś sposób zachowują się tu ludzkie myśli...

- Brawo.

- A ty jesteś ze szczególnego rodzaju języka: z modlitwy.

- Owszem.

- Ale ja wciąż nie rozumiem. Dlaczego nie mogę zobaczyć prawdziwej Troposfery?

Przecież to muszą być same litery i liczby? Chodzi mi o to, że jeśli to język, to stworzono go z myślą o tym, aby był zrozumiały.

- Język zapisany na czym?

Wzruszam ramionami.

- Nie wiem. - Z jakiegoś powodu wyobrażam sobie wielką kamienną tablicę na niebie, taką kosmiczną wersję Kamienia z Rosetty. Ilekroć ktoś coś pomyśli, powie albo zrobi, wszystko zostaje tam uwiecznione. Ale gdyby to była tablica, byłabym w stanie ją zobaczyć.

To znaczy: wszyscy byśmy zobaczyli gigantyczną kamienną płytę dryfującą po niebie. Może to rzeczywiście tylko pewne wyobrażenie.

- Będziesz musiała się nad tym dłużej zastanowić - poucza Apollo Smintheus.

- Tak... - zaczynam.

- Ale nie teraz. Teraz musimy cię stąd wydostać.

- Ja... - zaczynam raz jeszcze.

Apollo Smintheus zerka na zegarek.

- No?

- Czemu to robisz?

- Och, mówiłem ci: ty dla mnie też coś zrobisz.

- A co takiego?

- Opowiem ci po drodze.

Z pustyni przechodzimy na przedmieścia z małymi białymi domami o niebieskich drzwiach.

Znowu jest noc, ale jest i srebrzysta poświata. Każdy dom ma donicę z niebieskimi kwiatami na parapecie i schludny ogródek od frontu. Każdy ogród spowity jest rosą i lśniącymi małymi pajęczynami. Apollo Smintheus tłumaczy mi, co mam dla niego zrobić, lecz to jakieś wariactwo.

- Chcesz, żebym wróciła do tysiąc dziewięćsetnego roku?

- Tak. I nie ma co dyskutować, bo w pewnym sensie już to zrobiłaś. Właśnie dlatego teraz ci pomagam.

Puszczam mimo uszu, ile tylko mogę.

- Chcesz, żebym wróciła do tysiąc dziewięćsetnego i namieszała w głowie emerytowanej nauczycielce, która hodowała „myszy rasowe”?

- Właśnie. Pannie Abbie Lathrop. Jak już ci tłumaczyłem, ta kobieta praktycznie wynalazła mysz laboratoryjną. Przejdź się do dowolnego laboratorium, a znajdziesz tam osobniki wywodzące się z

jej hodowli. Dam ci przykład. C56/BL6/Bkl. To szczep myszy, który można kupić u każdego dystrybutora. Są czarne, wszystkie z chowu wsobnego i wszystkie wywodzą się od myszy hodowanych przez pannę Abbie Lathrop. Ze skojarzenia samca 52 z samicą 57, jeśli chodzi o ścisłość.

- Ale czemu? - pytam, gdy mój mózg bezskutecznie usiłuje przetrwać te informacje. -

Czemu chcesz, żebym to zrobiła?

- Chłopcy z Illinois często modlą się do mnie, żebym jakoś zaradził cierpieniom myszy laboratoryjnych. Cóż, nie przychodzi mi do głowy nic lepszego od wymazania kobiety, która je wynalazła, a tobie?

- Przecież nie można kogoś wymazać! To niemożliwe!

- Och, czyżby? Twierdzisz, że nie skłaniałaś ludzi do zmiany zdania, odkąd tu bywasz? Nie popychasz ich do rzeczy, których zwyczajnie by nie zrobili? Czy nie tak uciekłaś tym w samochodzie?

- Ale... - Jestem sfrustrowana. - Tamto się działo w teraźniejszości. Przeszłości nie da się zmienić. Co z paradoksami?

- Wszystko co się dzieje w Troposferze, dzieje się w przeszłości w twoim rozumieniu.

- A paradoksy?

- Och, w tym momencie wszystko ma w sobie trochę z paradoksu. Więc nie będzie to miało znaczenia.

Widzę w umyśle obrazy mężczyzn w białych kitlach pochylających się nad klatkami pełnymi myszy. W jednej chwili badają jakieś stworzenie z wyrastającym z pleców dodatkowym uchem - a może to guz? - w następnej klatki są puste. Ale gdyby w tysiąc dziewięćsetnym roku powstrzymać kobietę, która zapoczątkowała hodowlę, wówczas te myszy nigdy by nie istniały. Nie byłoby zatem i mężczyzn w białych kitlach. Zmieniłby się cały świat. Próbuję to wytłumaczyć Apollonowi Smintheusowi.

- O nie - odpowiada łagodnie. - Nie. To akurat żaden problem. Myszy najzwyczajniej rozpląnęłyby się w powietrzu, przynajmniej tak sędzę. Świat by się nie zmienił. Nikt niczego by nie zauważył.

- Ale...

- Już to zrobiłaś, więc nie ma sensu się spierać.

- Skoro już to zrobiłam, to czemu w laboratoryjnych klatkach wciąż jest pełno myszy?

- pytam.

- A są? - dziwi się. - Bo ja żadnych nie widzę.

- No a co z tobą? Gdyby nie istniały myszy laboratoryjne, to może nigdy by nie powstał twój kult w Illinois i nigdy byś nie istniał...

- Och, jakoś sobie radzę od starożytnej Grecji. Tak czy inaczej, częścią boskości jest robienie pewnych rzeczy, by zniszczyć siebie. To jak być człowiekiem. Wszyscy jesteśmy więźniami tej samej ekonomii.

Paradoksów jest tak wiele, że od myślenia o nich zaczyna boleć mnie głowa. Dobrze chociaż, że mam troszeczkę więcej energii. To pewnie efekt kroplówki podłączonej do mojego fizycznego ciała w szpitalu.

- Nazywa się panna Abbie Lathrop - powtarza Apollo - i mieszka na farmie w Massachusetts. Musisz do niej dotrzeć pod koniec tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Zostawię dla ciebie wiadomość z resztą szczegółów, jak już wrócisz.

Przynajmniej nie chce, żebym zabrała się za to od razu.

- Ale...

- Tak?

- Wciąż mam jedno dosyć istotne pytanie - mówię.

- A mianowicie?

- Czy to mnie aby nie zabije? Chodzi mi o to, że cofnięcie się raptem o miesiąc by mnie wykończyło, gdybyś nie przyszedł mi na ratunek. Poza tym... bez urazy... wciąż nie jestem pewna, czy wyjdę stąd żywa.

- Nie pojmuję, czemu to „życie” jest ci aż tak miłe. - Apollo Smintheus wzdycha. -

Ale nie martw się. Pokażę ci coś, co jak sądzę, uznasz za całkiem użyteczne.

- Co to takiego?

- System komunikacji podziemnej. To chyba dość trafne tłumaczenie.

- System komunikacji podziemnej? Coś jak metro?

- Owszem. Chyba tak widziałby to twój umysł. Tak, sądzę, że to będzie metro.

Zabudowa na przedmieściach staje się coraz gęściejsza. Schodzimy ze stromego wzgórza i już widzimy główną drogę połyskującą w dole. Wciąż nie ma ruchu samochodowego, rzecz jasna. Nie ma ruchu, śmieci, ludzi. Docieramy do drogi, skręcamy w prawo i idziemy wzdłuż rzędu jasno oświetlonych domów towarowych, pomiędzy których gdzieniegdzie wyzierają duże szare biurowce. Widzę duże brudnobiałe kamienice, które mają frontony w postaci wielowymiarowych samoobsługowych pralni i barów jazzowych. Za dużo tu tego wszystkiego; niemalże czuję, jak gęstość krajobrazu fizycznie mnie

przytłacza. W chwili kiedy myślę, że dłużej już nie wytrzymam, Apollo Smintheus wskazuje betonowe schodki, które zdają się znikać pod ulicą. Kiedy podchodzimy bliżej, widzę coś, co wygląda dokładnie jak wejście do stacji londyńskiego metra.

- Jesteśmy na miejscu - mówi Apollo Smintheus. - Nie jest to najłatwiejszy sposób nawigowania po Troposferze, ale zdecydowanie najłatwiejszy, żeby wrócić do siebie.

Ruszam w dół po schodach; dociera do mnie, że on za mną nie idzie, więc nagle się zatrzymuję.

- Ty nie idziesz? - pytam.

- Och, nie mogę.

- To co mam robić?

- Powinnaś mieć przy sobie rozkład jazdy na tym czymś... tym interfejsie...

- Na konsolcie?

- Skoro tak to nazywasz, to owszem.

- Ale gdzie mam się dostać?

- Do siebie. Sugerowałbym, żebyś tym razem wysiadła bezpośrednio w sobie, nie w Troposferze. Dzięki temu będziesz mogła uniknąć nieprzyjemności związanej z pobytem w szpitalu, wizyty tamtych dwóch panów i tak dalej.

- Jak to? Chcesz powiedzieć, że będzie stacja o nazwie: „Ariel Manto, pub w Hertfordshire, pięć minut przed wyruszeniem w podróż, podczas której odkryła, jak tam wrócić?”. Mam na myśli te paradoksy...

- Przystaniesz wreszcie gadać o paradoksach? Cały twój świat jest paradoksem.

Oficjalnie nie ma początku ani końca. Nie ma w nim nic, co miałoby sens, a jednak takim go stworzyłaś.

Nie słucham tego. Zastanawiam się. Czyli w scenariuszu ze szpitalem ci dwaj mnie dopadają. Muszę się stąd wydostać. Tylko czy to zadziała? Nie wiem. Jestem kompletnie zagubiona w tym nazbyt gęstym, ciemnym miejscu: w nocnym mieście, które jakimś cudem stworzyłam, które w jakiś sposób odnosi się do umysłów wszystkich ludzi „na zewnątrz”.

Szliśmy jakieś... czy ja wiem? dziesięć troposferycznych minut, żeby tu dotrzeć? Trudno powiedzieć.

Naraz to słyszę: pisk kół. Apollo Smintheus też go słyszy. Jego szary pyszczek marszczy się, uszy zaczynają drgać.

- Lepiej już idź - mówi.

- Co się stało?

Ale wtedy już jest jasne, w czym problem. Dwóch „smyków” zjeżdża ze wzgórza: jeden blondynek na deskorolce, drugi na zardzewiałym rowerze. Wciąż są jeszcze dość daleko, pokonali może ćwierć drogi.

- Idź - ponagla Apollo Smintheus. - Już ja sobie z nimi poradzę.

- A jeśli pójdą za mną?

- Nie mogą zejść do podziemi. No idźże już. Nie mogą cię tu zobaczyć.

- Przecież najprawdopodobniej już wiedzą, że tu jestem. Chodzi mi o to...

- Nie śledzą cię. Ty wciąż jesteś zagubiona. To za mną chodzą. Ale ja sobie z nimi poradzę. Tylko idź, zanim cię zobaczą.

Odchodzi w kierunku „smyków”. Ciekawe, co z nimi robi.

- Apollonie Smintheusie...?

- Zobaczymy się po twoim powrocie - woła przez kościste ramię.

Niebo wciąż jest ciemne, lecz kiedy zbiegam po schodach, widzę kolejny krótki rozbłysk. Jestem już bezpieczna? Muszę być. Ale naprawdę mało brakowało. Nie słyszę odgłosu własnych kroków; słychać tylko jakieś kapanie podchwytywane przez echo.

Widoczność tu, na dole, nie jest najlepsza; co jakiś czas widzę ciemną pomarańczową lampę przymocowaną do betonowego sufitu i nic poza tym. Kiedy z biegu przechodzę w marsz, próbuję się obejrzeć za siebie, tyle że nic nie widać. Tutaj więcej jest cieni niż światła. Z

drugiej strony przecież to ja stworzyłam to miejsce, przynajmniej tak sędzę. Może po prostu dodam trochę światła? Staram się myślami rozjaśnić tunel, lecz nic się nie dzieje. Jakby tak właśnie wyglądało moje wyobrażenie stacji metra i jakby nic nie mogło zmienić mojego sposobu myślenia o nim. Pół idę, pół biegnę tunelem, coraz głębiej zapuszczając się w podziemia. Wciąż nic za sobą nie słyszę i po kilku minutach takiego marszobiegu dochodzę do wniosku, że jednak jestem bezpieczna: przynajmniej na razie. Za to zaczynam się martwić, że długi betonowy tunel nigdy się nie skończy ani nie zmieni. Nagle wszędzie dookoła widzę tablice informacyjne i blade czarno-białe monitory, jak przypuszczam, z rozkładem jazdy. Po obu stronach tunelu zauważam schody prowadzące w dół. Tablica po lewej informuje, że to zejście na peron 356; ta po lewej kieruje na peron 17. Gdzie tu sens, gdzie logika? I jakim cudem mam się połapać, jak wrócić do samej siebie, poruszając się w tym systemie?

Konsoleta?

Pojawia się.

Co mam teraz zrobić? - pytam.

„Zapoznaj się z tablicą odjazdów”, słyszę.

Tyle jeśli chodzi o rozkład jazdy ze strony konsoly.

Wygląda na to, że wszystkie ekrany pokazują wyłącznie odjazdy. Przyjazdów tu nie ma? Przystaję przed monitorem i czytam wyświetlone na nim informacje. A potem już kompletnie nie wiem, co myśleć. Stwierdzam, że godzin odjazdu się tu nie podaje; widzę tylko potworne nagromadzenie numerów peronów. A linie metra noszą takie nazwy, jak Strach, Miłość, Gniew, Frustracja, Obrzydzenie, Ból, Ekstaza, Nadzieja, Komfort... Są tu nazwy wszystkich uczuć abstrakcyjnych, jakie tylko mogą przyjść człowiekowi do głowy. I o dziwo, spokojnie mieszczą się na ekranie wielkości przenośnego telewizora.

Jak się korzysta z tego systemu? - zwracam się do konsoly.

„Odszukuje się peron i wsiada do pociągu metra”.

Ale który peron?

„A gdzie chcesz się dostać?”

Do siebie. Och... Mam użyć współrzędnych?

„Nie. Współrzędne odnoszą się wyłącznie do twojej lokalizacji w Troposferze.

Odnoszę wrażenie, że ty próbujesz się z Troposfery wydostać”.

Więc... co mam robić?

„Wsiadasz do pociągu myśli odnoszącej się do stanu umysłu osoby, z którą chcesz ponownie się zjednoczyć; w tym przypadku, samej siebie. I wysiadasz na odpowiedniej stacji”.

Konsoleta zaczyna mnie z lekka wkurzać, więc ją zamykam. Pociągi myśli. To równocześnie oczywiste i cholernie frustrujące. Kto wynalazł ten dziwaczny system? I zaraz myślę: „Ja”. Wynalazłam wszystko, co się tu znajduje. Chociaż... nie wymyśliłam Apollona Smintheusa i z całą pewnością nie stworzyłam tych „smyków”. Wzdycham i ponownie patrzę na ekran. Wygląda na to, że aby wrócić do samej siebie, będę musiała wybrać emocję odczuwaną w czasie, do którego chcę wrócić.

I myślę sobie: „Podróż w czasie, do przeszłości, poprzez emocje?”. Einstein by tego nie pochwalał. Nie jestem pewna, czy sama to pochwalam. Poza tym nie mam pojęcia, jak można odróżniać poszczególne emocje od siebie. Dostatecznie mi trudno (intelektualnie) odróżniać poszczególne rzeczy, a emocje nie są przecież rzeczami. Nie istnieją poza obrębem umysłu.

Mimo wszystko będę musiała spróbować. No dobrze. Kiedy byłam w hotelowym pokoju, co właściwie czułam? Nadzieję? Po części. Miałam nadzieję, że za pośrednictwem Molly odnajdę

Burlema. Nie było to jednak silne uczucie. A musi być silne?

Konsoleta otwiera się w moim umyśle, chociaż wcale jej nie przywoływałam.

„Masz jedną nową wiadomość”, informuje mnie, a potem sama się zamyka. Otwieram ją ponownie.

Gdzie jest ta wiadomość? - pytam.

Na ekranie pojawia się błysk, który doprowadza mnie do kiosku tuż za tablicą odjazdów. W małym koszu na zewnątrz jest tylko jedna gazeta. Biorę ją i przekonuję się, że to wcale nie gazeta, a coś zupełnie innego.

Przewodnik po Metrze, brzmi tytuł na okładce. *Autorstwa Apollonia Smintheusa*.

Otwieram przewodnik.

„Masz zero nowych wiadomości”, odzywa się konsoleta.

W moim poprzednim dziele czyniłem aluzje do podatności na świat wszystkich umysłów, którą musi cechować się dany umysł. Mam poczucie, iż ta kwestia wymaga obszerniejszego wyjaśnienia. Jak ci wiadomo, sama świadomość jest rozległym krajobrazem z wieloma otwartymi drzwiami prowadzącymi z jednego umysłu do innego.

Krajobraz i drzwi są metaforami. Owe otwory równie dobrze mogą przybrać postać tuneli przecinających rafę koralową bądź tuneli czasoprzestrzennych

w

kosmosie.

W większości przypadków

informacje w Troposferze zapisywane są tam, gdzie zostały stworzone: w *mind space*, „przestrzeni myślowej” danej jednostki. Istnieje wszakże szereg przypadków, w których chodzi o informacje bardziej dynamiczne i jak byś powiedziała, „globalne” (choć naturalnie Troposfera nie jest globem). To co ty nazywasz „emocjami” to typy informacji, które są rozpowszechniane wśród umysłów w Troposferze. Można rzec, iż ludzkie doświadczenie emocji jest jak wiatr wiejący na nieskończonej zakrzywionej pustyni albo planeta orbitująca wokół swojego słońca. (I zawsze jest to „jak coś”, nigdy nie „jest czymś”). Emocja to cały świat metafory sam w sobie, typ bytu, który ukazuje się jedynie w nieukazywaniu samego siebie - jako objaw i nigdy jako on sam). Ty z wyboru „widzisz” go jako pociąg podziemny podróżujący po nieskończonym zapętlonym torze. Umysły nie są pasażerami tych pociągów: są samymi stacjami - czasem otwartymi, czasem zamkniętymi. Kiedy stacja jest otwarta, pociąg emocji może przez nią przejechać. Kiedy stacja jest otwarta, jest otwarta również na inne rzeczy: na inne otwarte umysły lub być może na ludzi usiłujących osiągnąć pedeżę.

Emocje można by nazwać po prostu „lokomocją”, ruchem. W

rzeczy samej pamiętam, że słowo to oznaczało kiedyś właśnie ruch, przenoszenie czegoś dokądś. W tym świecie stworzonym z języka znaczenie nigdy nie staje się do końca archaiczne. W tym wypadku lokomocja jest czymś, co nie ma masy (to sam ruch), i tak oto znaczenie, które niesie, może podróżować z niewyobrażalnymi prędkościami: prędkościami dostatecznie dużymi, żeby zabrać cię wstecz. Musisz jedynie wsiąść do pociągu i znaleźć właściwą stację.

Znowu spoglądam na tablicę odjazdów. Wracam myślami do siebie w tamtym hotelowym pokoju. Dopiero co się wykąpałam, pamiętam: próbowałam z siebie zmyć tę okropną żądzę Patricka. Próbowałam zapomnieć, że dopiero co uprawiałam seks za pieniądze. Czułam... co?

Strach, rzecz jasna - chociaż sędzę, że już wiedziałam, że chwilowo udało mi się zgubić ludzi z projektu Gwiezdny Blask. Co jeszcze? Smutek, bo wiedziałam, że już nigdy nie zobaczę Adama. Z drugiej strony do smutku i rozczarowania jestem tak bardzo przyzwyczajona, że nawet ich nie zauważam.

Do którego pociągu mam wsiąść?

„Smutek” odjeżdża z peronu 1225. Peron „Obrzydzenie” ma numer 69. Nie jestem pewna, czy chcę wsiadać do pociągu smutku albo obrzydzenia. Może bólu? Tyle że fizycznie nic mnie wtedy nie bolało.

Myślę o chwilach, kiedy udało mi się wejść do umysłów innych ludzi. W przypadku Molly to był ten moment - ukłucie - kiedy myślała o Hugh i o bólu, jaki sprawiała jej konieczność szukania go po całym mieście. W przypadku Maxine to była łatwizna: przez cały czas martwiła się, że jest gruba i śmierdząca. I chyba już rozumiem tę „podatność na świat umysłów”. Kiedy odczuwasz silną emocję, coś w twoim umyśle się otwiera, leciuteńko, i w tym momencie emocji twój umysł łączy się ze wszystkimi innymi, które odczuwają to samo.

A może nic nie zrozumiałam? Kiedy tak to ująć, nawet dla mnie samej nie brzmi to do końca przekonująco. Brakuje w tym kategorycznej pewności, jaka pobrzmiewa w koncepcjach Derridy czy Heideggera. Nic to. Skupiam się bardziej, lecz nie jestem pewna, czy w tamtym pokoju czułam coś bardzo określonego. Chociaż... zaraz, zaraz... Przecież nie ma znaczenia, jak daleko cofnę się w czasie, jeżeli będę celować w jakiś moment sprzed mojego wejścia do Troposfery. No kiedy ostatnio odczuwałam silną emocję? Może strach, który czułam, oddalając się od klasztoru? To mdlące kotłowanie się w żołądku, kiedy czekałam, aż czarny samochód wychynie z którejś bocznej uliczki i zacznie za mną jechać. Ponownie patrzę na tablicę odjazdów. Strach: peron 7. Nie wyobrażam sobie, żeby się udało, ale spróbuję.

Rozpaczam długi marsz bezkresnym betonowym tunelem, ignorując tabliczki odsyłające do peronów 31, 57 i 99. Tutaj nie ma żadnego porządku. Wreszcie znajduję peron 7. Idę w dół po aluminiowych schodach i widzę, że pociąg już stoi na peronie; to stary zardzewiały gruchot, przypomina mi najstarsze i najbardziej zapyziałe pociągi Northern Line, które zawsze zdają się hamować zgrzytliwie tuż za Camden. Czy to nie fart, że pociąg już tu stoi? Jednak widzę stąd wszystkie pozostałe perony i na każdym czeka pociąg. Zgodnie z tym, co pokazywały ekrany: żadnych przyjazdów, tylko odjazdy. A potem zdaję sobie sprawę, że „w rzeczywistości” tego pociągu wcale tu nie ma. To tylko metafora - zupełnie tak samo jak wszystko inne. Obracam szernią srebrną

klamkę i pociągam drzwi ku sobie. Bez względu na to, jaka to metafora - i jak „w rzeczywistości” wygląda to doświadczenie - nie mam cienia wątpliwości co do tego, że wsiałam do samego strachu.

ROZDZIAŁ 22

Na razie strach wygląda wypisz wymaluj jak wnętrze starego pociągu Londyńskiej Kolei Podziemnej. Siedzenia pokryte są zniszczoną zieloną welurową tapicerką z powtarzającym się pomarańczowym wzorkiem. Na podłodze zalega tak gruba warstwa brudu, że dół pociągu mógłby odpaść i nikt by tego nie zauważył. Wagony są ze sobą połączone zgrzytliwymi mechanizmami, które można zobaczyć (a przynajmniej tak to sobie wyobrażam), kiedy wyjrzy się przez szybę w drzwiach na końcu przedziału. Siadam i w tej samej chwili rozlega się gwizd. Pociąg rusza. Pomaluteczku dotacza się do końca peronu i raptem pędzimy już z prędkością trzystu mil na godzinę, by z długiego tunelu wyłonić się w nieznanym mi krajobrazie. W mojej głowie pojawia się absurdalna myśl: „To musi być pociąg Circle Line, skoro już jesteśmy nad ziemią”; potem dociera do mnie, czemu takie myślenie jest błędne, i daję sobie spokój.

Nie podoba mi się ta sceneria. Wcale mi się nie podoba. Uczucie spokoju gęstego jak syrop, którego doświadczam w Troposferze, zniknęło i nie jestem po prostu zmarznięta i zmęczona, ale kompletnie pusta w środku, jakby została ze mnie sama skóra. Pociąg przyśpiesza ponownie, a ja wbrew sobie wyglądam przez okno. Wyglądanie przez okno trochę przypomina szukanie w Internecie potwierdzenia, że objawy, które masz, świadczą o śmiertelnej chorobie: wiesz, że je znajdziesz, i wiesz, że nie powinieneś szukać, mimo to szukasz. Teraz za oknem widzę tylko jedno wielkie pole. Ale nie zielone, pełne nadziei: to praktycznie samo błocko. A na tym błocku stoją płonące domy. Powinno być tak, jakbym oglądała wiadomości w telewizji - powinnam mieć to hiperrealistyczne poczucie, że nic, co się dzieje na dwuwymiarowym ekranie, nie może się zdarzyć naprawdę - tymczasem wcale mi to nie przypomina oglądania telewizji. Płonące domy to nie są pierwsze lepsze bliźniaki z wiadomości: to wszystkie domy, w których kiedyś mieszkałam. A ja jestem w środku i nie mogę się wydostać; moi rodzice są w środku i nie mogą się wydostać. Wiem, że moja siostra już nie żyje. Ale to coś więcej. To strach bez nadziei: obraz mnie śpiącej w zimnej sypialni jeszcze w Kencie, ubranej w grubą piżamę, którą matka kupiła mi w czasach, kiedy święta wciąż spędzaliśmy razem. Nie jestem zwyczajnie pogrążona w mocnym śnie; dym z pożaru zdążył mnie pozbawić przytomności i teraz, na moich oczach, nogawka od piżamy zaczyna się palić, a skóra wokół kostki topnieć. Już nigdy się nie obudzę. Najzwyczajniej się cała stopię i nawet nie będę o tym wiedziała.

Po pożarach widzę powodzie: woda ukradkiem podtapiająca te same domy - moje domy - dopóki nie są całkowicie zanurzone; nawet ludzie na dachach i ci chowający się na poddaszach są niebawem martwi. Cała moja rodzina; wszyscy, których kiedyś znałam. Niby wiem, że rodzina nie za bardzo mnie obchodzi - bo i kiedy się z nimi ostatnio widziałam?

Jednak teraz jestem tutaj z nimi, gdy razem czekamy na pomoc, która nie nadejdzie; gdy godzimy się z tą myślą w chwili, kiedy poziom wody podnosi się tak bardzo, że wszyscy do niej wpadamy. Nie ma nic oprócz wody: czarnej, zimnej i cuchnącej jak śmierć. Ja wpadam pierwsza, pierwsza próbuję wstrzymać oddech i pierwsza oddycham czarną wodą. To koniec.

Czerń. Moje niepotrzebne już ciało opada na dno, gdzie kiedyś była ulica. I w tym pociągu strachu pocę się, a serce bije mi tak szybko, że jego uderzenia zlewają się w jedno, a może po prostu w

ogóle przestaje bić.

Najgorsze w obrazach za oknem jest to, że oprócz nich niczego nie ma. Po prostu niczego nie widzę poza domami i blokiem: wiem z najgłębszą możliwą pewnością, że nie istnieje nic prócz tego, co widzę. Nie ma mnie tutaj; nie ma pociągu. Umrę w tych domach i nie ma dla mnie ucieczki. Nie mam poczucia, że takie rzeczy dzieją się „za rogiem”, w telewizji albo spotykają kogoś innego. Właśnie tak musi się czuć ktoś, kto otwiera drzwi i widzi człowieka o martwych oczach i z siekierą w ręce. Tak musi się czuć ktoś, kto nie zdołał

się przed nim obronić (bo też jak tu się bronić?), jest związany i wie, że zaraz umrze. Nie patrzysz, jak to się przydarza fikcyjnej postaci; doświadczasz tego naprawdę: to ja; to mój koniec. Albo co gorsza: jesteś jak fikcyjna postać, lecz nie jedna z głównych. Po prostu trafiła ci się rola przygodnej ofiary.

Pociąg szarpie i pędzi dalej. Zaułki, którymi prawie nigdy nie chodzę po zmroku, są tu wszystkie: świat ślepych uliczek z gwałcicielami patrolującymi wąskie ciemne przejścia niczym duchy w Pac-Manie. Po tysiackroć razy zostaję ugodzona nożem przez ludzi, którzy nie wiedzą, jak się nazywam, jakie lubię książki albo że gdyby moje życie nie było takie popaprane, chciałabym kupić sobie kota. Patrzę, jak wykrwawiam się na śmierć niczym zwierzę hodowlane w ubojni, a części mojego ciała walają się wokół mnie, oderżnięte i wyrzucone. Modlę się o nieświadomość, lecz ta nie nadchodzi. O Jezu. Nie wytrzymam tego ani chwili dłużej. Doświadczam tego wszystkiego: przechodzę operację, ale lekarze nie wiedzą, że tak naprawdę wszystko czuję. Pakuję się w karambol na autostradzie. Patrzę, jak Adam umiera na milion różnych sposobów. Potem sama morduję Adama: zabijam go na każdy możliwy sposób i wszystkich innych też. Jestem w więzieniu i nigdy stąd nie ucieknę.

Nie mam wyboru.

Nie mam wyboru.

Nie mam wyboru.

Każda milisekunda tej koszmarnej podróży jest objawieniem, podczas którego zdaję sobie sprawę, że to właśnie to. To ostatnia chwila mojego życia, a jakiegokolwiek wyobrażenia na temat wolnej woli rozwiały się dawno temu. I każde z tych olśnień w momencie, gdy go doświadczam, jest absolutnie nieodwracalne. Nie jest to chwila, kiedy myślisz: „Kurczę!

Mało brakowało”, tylko tuż po w świecie, w którym jesteś największym pechowcem pod słońcem, i nie ma nikogo, kto by ci pomógł, kogo by obchodził twój los, zwłaszcza że wszyscy, których znasz, już są martwi...

Nie zniosę tego.

Konsoleta? mówię słabo, chociaż trudno mi uwierzyć w jej istnienie.

Pojawia się natychmiast.

Gdzie mam wysiąść? pytam.

„Na swojej stacji”.

A która jest moja stacja?

„Będziesz musiała sama zobaczyć”.

Co?

„Masz zero możliwości”.

Cóż, to akurat wiedziałam.

Chcę pójść do motorniczego i poprosić, by zatrzymał pociąg, ale wiem, że żadnego motorniczego nie ma, podobnie jak nie ma pociągu. Płynę na fali strachu, która podróżuje szybciej niż... Jakiego określenia użył Apollo Smintheus? Niewyobrażalne prędkości. Myśl, myśl. Nie patrz w okno. Nie... Patrzę.

A potem zdaję sobie sprawę, że nie jestem tam sama. Istnieje jednak coś gorszego, niż być samemu ze swoimi najgorszymi obawami, i właśnie zaczynam to rozumieć. Mgliste - ani ponad, pod, przed, ani za obrazami strachu, lecz w jakiejś innej względem nich relacji -

zaczynam wyczuwać obecność wyjącego widma czegoś innego: niezliczonych warstw lęków innych ludzi. Widzę mgliste obrazy płonących pieniędzy, kogoś, na kim fisting ćwiczy własny ojciec, zabawek, które mówią: „Spierdalaj!”, po czym rozdzierają ci gardło, idei, że nic takiego jak rzeczywistość nie istnieje, kogoś porwanego przez kosmitę i przypiętego pasami do stołu w białym laboratorium, wojny nuklearnej, tonących dzieci, setek tonących dzieci i świadomości, że toną z twojej winy, dławienia się ośmi ryby, raka płuc, raka jelita, guzów mózgu, pajaków - setek tysięcy pajaków, wypadania macicy, bezdechu sennego, jedzenia, wszelkich rodzajów seksu, szczurów, karaluchów, plastikowych torebek, wysokości, samolotów, Trójkąta Bermudzkiego, linii elektrycznych, duchów, terroryzmu, przyjęć, tłumów, dentysty, zadławienia się własnym językiem, własnych stóp, snów, dorosłych, kostek lodu, sztucznych zębów, Świętego Mikołaja, starzenia się, śmierci rodziców, tego co mógłbyś zrobić samemu sobie, trumien, alkoholu, samobójstwa, krwi, niemożliwości wzięcia kolejnej działki heroiny, tego czegoś za zasłonami, sadzy, statków kosmicznych, zakrzepicy żył

głębokich, koni, szybkich samochodów, ludzi, papieru, noży, psów, zwolnień grupowych, spóźnień, bycia oglądanym nago, strupów, lat przestępnych, UFO, smoków, trucizny, muzyki akordeonowej, tortur, władzy w najróżniejszym wydaniu, kopania leżącego, który próbuje osłonić głowę, dopóki nie straci przytomności i już nie może się bronić...

Ty - może też czasem wyjrzałbyś przez to okno?

Oczy mam teraz zamknięte. Niewyobrażalne prędkości. Co to oznacza?

Nie mogę oddychać. Ten człowiek z bronią...

Nie ma żadnego człowieka z bronią, Ariel.

Jest. Cały świat składa się wyłącznie z uzbrojonych mężczyzn. Na całym świecie nie ma nikogo innego, tylko ja i miliardy mężczyzn z bronią. Robi mi się niedobrze.

Niewyobrażalne prędkości. Mogę sobie wyobrazić prędkość światła. Mogę sobie wyobrazić prędkość dziesięć razy większą od prędkości światła. Jedyne czego nie potrafię sobie wyobrazić, to nieskończona prędkość... Tak właśnie pisał Apollo Smintheus, zgadza się? A może pisał tylko, że tory są nieskończone? A gdybyśmy rzeczywiście podróżowali z nieskończoną prędkością? Co prawda nie do końca to sobie wyobrażam (co stanowi, jak sądzę, sedno słowa „niewyobrażalne”), ale coś podróżującego z nieskończoną prędkością wydawałoby się nieruchome w każdym punkcie, który już minęło. Chyba coś o nieskończonej prędkości, podróżującego po pętli, powinno być równocześnie wszędzie, w każdym jej punkcie? Może nawet więcej niż raz, kto wie? Może więc wcale nie muszę czekać na swoją stację? Może moja stacja po prostu czeka, jest już tam, jest wszędzie, a ja tylko muszę ją znaleźć?

Nie chcę wyglądać przez okno, robię to jednak. Teraz na pierwszym planie znowu są moje prywatne lęki i obawy. Wszystko co kiedyś napisałam, stoi w płomieniach. Ktoś wyciera moje nazwisko z każdego dokumentu, w którym kiedykolwiek się pojawiło. Nie wiem, skąd się biorą te obrazy. Wydają się przypadkowe, ale może... Próbuję pomyśleć o Adamie i jakbym właśnie zamówiła to wspomnienie w świadomości odpowiadającej najszybszemu fast foodowi na świecie, oto i on, za oknem, pieprzący moją matkę. Pieprzy moją matkę i mówi do niej: „Ariel? Jaka Ariel? Nigdy nie słyszałem o kimś o tym imieniu”.

Odwraca się i widzi, że ich podglądam. A potem się śmieje. Szturcza ją w zębra, wskazuje na mnie, po czym oboje rechoczą. „Nie teraz, Ariel - zachęca się moja matka. - Nie jesteś pępkim wszechświata, wiesz?”.

Samochody, myślę. Jazda. Jazda do Londynu z Faversham. No dalej. Uciekam z klasztoru przed ludźmi z projektu Gwiezdny Blask. I nagle to widzę/czuję. Jestem w swoim samochodzie i odpływam we własny strach. Na obrazie za oknem pociągu widzę, jak ci dwaj ścigają mnie czarnym samochodem, jak pędzą niemal pustą autostradą pod szarym niebem, śnieg leży na polach, dachach domów i na długim krętym poboczu. Widzę ich za sobą i wiem, że to koniec. W filmie zdołałabym ich zgubić. Tutaj jednak zepchną mnie z drogi i ani brawurowa jazda, ani inteligencja mnie już nie uratują. Moje życie skończy się w zgrzycie giętego metalu, z moją krwią bryzgającą na przednią szybę. Nie chcę się tam przenosić, do tamtego miejsca, ale muszę. Muszę przenieść się tam stąd, gdzie jestem teraz. W tamtym momencie mój umysł jest otwarty, czuję to instynktownie. Poza tym tych facetów w rzeczywistości tam nie ma: to tylko mój strach.

W każdym razie mam nadzieję, że to tylko strach.

Jak się stąd wysiada? Nie wiedząc, co innego mogłabym zrobić, podchodzę do drzwi.

Obraz za oknem wciąż jest taki sam. Koncentruję się na nim, później przyciskam guzik otwierający drzwi. Pociąg wciąż jedzie, ale drzwi są otwarte i...

Jest szósta rano - z minutami - jestem na A2, a tablica informuje mnie, że jeśli będę dalej jechała w tym kierunku, wyląduję w Londynie. Właśnie tego chcę. Widzę kolejny znak kierujący mnie ku najróżniejszym zjazdom z autostrady, na wypadek gdybym chciała dotrzeć do któregoś z rozlicznych miast i miasteczek aglomeracji Medway. Nie mieszkam w tej okolicy dostatecznie długo, żeby nazwy zaczęły mi cokolwiek mówić. Chociaż... Chociaż jedna coś mi mówi. To nazwa miasta, w którym mieszka Patrick. Ale... o cholera! Mam *déjà vu*. Pamiętam, że raz już tu byłam, skręciłam tym zjazdem i ściągnęłam Patricka, by przyjechał i zerznął mnie w toalecie za sto funtów. Tylko że tamto nie było *déjà vu*. Zdarzyło się naprawdę. Zdarzyło się, zanim odszukałam szkołę Molly, zgubiłam się w Troposferze i wróciłam tu, podróżując w czasie pociągami strachu i... No to tyle jeśli chodzi o paradoksy.

Zjeżdżam na pobocze i wydaję papierosa. Równocześnie zaglądam do portmonetki, żeby sprawdzić, czy wciąż mam resztę pieniędzy od Patricka. Nie. Mam tylko te dziewięć pięćdziesiąt, z którymi rozpoczęłam podróż, i bardzo mało benzyny. Zapalam papierosa i wracam na drogę. Jadę do Torquay. I nie mogę powstrzymać uśmiechu. Nie mam pojęcia, gdzie właściwie byłam, ale - o dziwo - po raz pierwszy, odkąd zaczęłam bywać w Troposferze, nie czuję się jak wariatka. Czuję się absolutnie świetnie na myśl o tym, co przed chwilą się stało. Bądź co bądź już nie jestem dziwką, myślę, odjeżdżając. Dostałam, czego chciałam, nie musząc niczego robić. Choć może to zrobiłam, tylko potem wymazałam, robiąc coś zupełnie innego? Och, wszystko jedno. Odsuwam od siebie wszelkie myśli o Abbie Lathrop - i o „smykach” - i dalej jadę w kierunku M25, usiłując solennie sobie obiecać, że nigdy więcej nie spróbuję pedezy.

Właśnie minęło południe, kiedy parkuję na dużym anonimowym parkingu pod biblioteką w Torquay, około dwustu pięćdziesięciu mil od kaplicy Świętego Judy w Faversham. Na południowym zachodzie nie ma śniegu, ale niebo jest szare i płaskie jak to nad moim domem, zupełnie jakby styczeń został sformatowany do dwuwymiarowego filmu wyświetlanego na ekranie czarno-białego przenośnego telewizora. Troposfera zawsze wydaje mi się płaska, lecz tu jest gorzej; nie jestem pewna, czy świat realny z jego brudem i ludźmi jest właśnie tym miejscem, w którym chcę teraz być. Z drugiej strony wcale nie jestem przekonana, czy Troposfera jest lepsza. Wciąż mam pół baku paliwa, za które „zapomniałam” zapłacić, więc teraz trzeba mi jedzenia i kawy. Kawiarnia jest dokładnie naprzeciwko biblioteki, obok wielkiego, bryłowego kościoła wyznania, które z niczym mi się nie kojarzy. Postanawiam, że wejdę do kawiarni, zanim skorzystam z publicznych terminali internetowych dostępnych, mam nadzieję, w bibliotece. Zamierzam poszukać okolicznych zamków i zobaczę, co uda mi się znaleźć. Przypominam sobie wspomnienie Burlema dotyczące zamku w jego mieście: tego, który w jego poczuciu wyglądał jak pierścień olbrzyma zdarty z palca i porzucony na wzgórzu. Jeśli nie uda mi się go zlokalizować, pokombinuję z czymś innym, chociaż nie mam pojęcia z czym.

Mimo że ułożyłam plan, jeszcze przez jakieś pięć minut siedzę w samochodzie, zanim próbuję cokolwiek zrobić. Co za podróż. Przejechałam około dwustu mil, zanim przestałam się oglądać za siebie, spodziewając się policji (która jak zakładałam, chętnie zadałaby mi kilka pytań w sprawie benzyny) i ludzi z projektu Gwiezdny Blask. Po pewnym czasie kompletnie się zgubiłam. Wjechałam do miasta, które wzięłam za Torquay, ale nie było w nim nic, co by je wyróżniało spośród wszystkich innych brytyjskich miast, jakie zdarzyło mi się oglądać, więc nie mogłam być pewna, czy rzeczywiście znalazłam się u celu. Dotarłam do dużego ronda z tablicami wskazującymi drogę do

zakładów przemysłowych i jedną w prawo, do supermarketu Sainsbury. Zjechałam na parking przed supermarketem i wysiadłam z samochodu po raz pierwszy od stacji przy M25. Trochę mi się trzęsły nogi. Weszłam do środka i kupiłam w kiosku taną paczkę tytoniu.

- Gdzie ja dokładnie jestem? - spytałam ekspedientkę, kiedy wydała mi resztę.

Powiedziałam to tak, że naprawdę zabrzmiało jak najzupełniej normalne pytanie.

Mimo to kobieta spojrzała na mnie jak na kompletną dziwaczkę.

- Jest pani w Sainsbury, złotko - oświeciła mnie.

Po chwili rozmowy dotarło do mnie, że jednak nie jestem w Torquay, za to uzyskałam dość dokładne wskazówki, jak dotrzeć prosto do biblioteki.

Jestem więc na parkingu, który niczym się nie różni od wszystkich innych parkingów w każdym innym mieście, i patrzę, jak ludzie rozładowują wózki z zakupami i wnoszą do aut małe dzieci albo pakują duże błyszczące torby z napisem „Wyprzedaj”. Mijają mnie dwie kobiety, obie na tych nowych elektrycznych wózkach inwalidzkich, które trochę przypominają samochodziki w wesołym miasteczku, i ewidentnie o coś się spierają. Na szarym betonie walają się rozdeptane pety, znajome opakowania po jedzeniu na wynos i styropianowe kubki po kawie. Spoglądam ponad tym wszystkim ku wąskiemu rzędowi nagich drzew na niewielkim wzniesieniu oddzielającym parking od położonej wyżej drogi. Tylko te drzewa wyróżniają się na tle szarawobiałej mazaniny biur i nieba. A potem dostrzegam coś na drzewach: sześć, może siedem wiewiórek biegnących równocześnie, po jednej na każdym drzewie - a przynajmniej na to wygląda - poruszających się, skaczących i bezustannie zmieniających konfigurację jak piksele na monitorze. Ich kontury rysują się na tle bladego nieba. Jest zima i nie mam pojęcia, co o tej porze roku mogą znaleźć do jedzenia w miejscu takim jak to. Czy wiewiórki nie powinny zapadać w sen zimowy? Mają dobrą opiekę czy też nikomu nie chce się płacić na wiewiórki? Drzę. A jeśli Burlema już tu nie ma? Albo jeśli nie uda mi się odnaleźć miejsca, w którym teraz przebywa? Wyobrażam sobie, jakie jest życie wiewiórki - lub jakiegokolwiek innego zwierzęcia - w betonowej miejskiej pustyni, gdzie wszystko kosztuje. Co zrobię, jeśli nie zdołam odnaleźć Burlema? Nie mogę wrócić do domu; chyba można uczciwie powiedzieć, że już nie mam domu.

Ciekawe, czy książka wciąż jest bezpieczna.

Ciekawe, czy ci dwaj dopadli już Adama.

I wtedy czuję pulsowanie, które jak pięść uderza mnie najpierw między uda, potem gdzieś w brzuch. Czy jeszcze kiedyś go zobaczę?

Przestaję myśleć i wysiadam z samochodu. Widzę tablicę oklejoną warstwami rozmokłych na deszczu odlażających plakatów - większość zachęca do obejrzenia pantominy z udziałem kogoś z australijskiej opery mydlanej, o której nigdy nie słyszałam. Nad tablicą napis: *Zakaz nocowania*. Cholera. Nie miałam pojęcia, że można zostać aresztowanym tylko dlatego, że zaparkowało się gdzieś samochód i w nim przysnęło. Podchodzę do parkomatu, a zimny wiatr dźga mnie w twarz,

jakbym coś mu ukradła. Tak jak się obawiałam, mają tu złodziejską taryfę za postój: prawie funta za godzinę. Płacę za pół godziny, a wracając do samochodu, paznokciem rozmazuję godzinę na bilecie. Następnie umieszczam bilet w mało widocznym miejscu przy krawędzi przedniej szyby, tak żeby było widać wyłącznie datę, po czym wreszcie blokuję drzwi, przechodzę przez jezdnię i wchodzę do kawiarni zapowiadana cichym brzękiem dzwonka.

W środku pachnie zupą i jeszcze czymś kwaśnym, czego nie potrafię rozpoznać.

Prawie nie ma wolnych miejsc, ale udaje mi się wypatrzeć jedno w kącie przy witrynie z pocztówkami, biżuterią i muesli z logo „Fair Trade”. Na ścianach wisi mnóstwo zdjęć przedstawiających szczupłe białe kobiety w Afryce, prowadzące chórki jaskrawo ubranych małych dzieci; albo pomagających równie jaskrawo ubranym kobietom wyciągnąć wodę ze studni. Że to chrześcijańska kawiarenka, zdaję sobie sprawę w momencie, kiedy podchodzi do mnie kobieta w średnim wieku ubrana w żółty „bliźniak”. Kiedy zamawiam zupę marchewkowo-pietruszkową i czarną kawę, zauważam ulotki, które leżą dosłownie wszędzie, oraz plakat na ścianie informujący o porach mszy w kościele - przypuszczalnie w tym naprzeciwno. I zastanawiam się: jakiego boga tworzą i utrzymują przy życiu setki osób, które muszą się tam modlić? Apollo Smintheus powstał dzięki modlitwom sześcioro ludzi, a wydaje się całkiem realny. Jak działa więcej modlitw? Jakiego tworzą boga? I czy ten bóg -

ten stworzony przez tutejszych wiernych - to ten sam bóg, którego stworzyli ludzie w kościele niedaleko domu Burlema? Czy tego samego boga stworzyli wierni w klasztorze w Faversham? I jak taki bóg by wyglądał? Podejrzewam, że gdybym spotkała go w Troposferze, wyglądałby dokładnie tak, jak bym chciała - prawdopodobnie przyjąłby postać starca z siwą brodą: ateistyczna wizja chrześcijańskiej wizji Boga. I co on robi dla wszystkich tych ludzi?

Jakie to musi być uczucie, kiedy miliony ludzi mówią ci, co masz robić? Zastanawiam się też: czego on chce w zamian?

Czekając na zupę, studiuje jedną z ulotek. Traktuje mętnie o „radości”. Tymczasem nie zauważyłam nic radosnego, odkąd tu przyszłam. Nie widziałam nic radosnego od... już nawet nie pamiętam od jak dawna. Właśnie dlatego lubię czytać Heideggera, Derridę i Baudrillarda. W tamtym świecie życie nie jest matrycą dobra i zła, szczęśliwości i smutku, radości i niemożności jej osiągnięcia. Porażkę i smutek należy przeanalizować niczym układankę, a ta układanka jest otwarta dla każdego. Nieważne, z iloma osobami się spało, czy się pali czy nie, czy okaleczanie własnego ciała coś ci daje czy nie. Możesz zabrać się do układanki, która zakłada niedoskonałość i nigdy o nic cię nie prosi.

Patrząc na swoje nadgarstki - na różowawo-srebrnawe ślady - potem rozglądam się po kawiarni. Większość gości to osoby w średnim wieku ubrane w szacownie pozbawione stylu ubrania z katalogu. Trochę mnie przerażają; nie dlatego, że mogliby mi coś zrobić (tacy ludzie nigdy nic nikomu nie robią; są nieszkodliwi), ale ze względu na to, jak mnie postrzegają. To nie są takie kobiety w średnim wieku, jakie pamiętam z osiedla, gdzie dorastałam - kobiety, które głośno gadały i jeszcze głośniejszą się śmiały, omawiając zalety robienia lodu po wyjęciu sztucznych zębów. Nie przypominają również pracownic socjalnych, które przychodziły co jakiś czas, by sprawdzić, czy mężowie tych kobiet nie molestują nas seksualnie (częściej robili to synowie). Nie. To kobiety dokładnie tego samego pokroju co babsztyle, które pamiętam z piekarni i sklepiku na rogu ulicy: babska, które nie

raczą przerwać gadania o twojej szalonej matce, kiedy wchodzisz, bo uważają, że jesteś za głupia, by cokolwiek zrozumieć. To szkolne sekretarki, które mogły mi normalnie powiedzieć, że powinnam częściej prać ubrania, zamiast gadać o tym za moimi plecami, a w końcu donieść na mnie dyrektorce. To takie kobiety, które nigdy by nie włożyły nic twarzowego - ani czarnego - bo atrakcyjny wygląd równa się seksowi. Oprócz mnie w kawiarni jest tylko jeden młody człowiek: spokojny blondynek w niechlujnych ciuchach wyglądający na nauczyciela religii, który długo by omawiał religie świata i znacznie krócej chrześcijaństwo. Patrzy na mnie przez chwilę i dostrzegam w jego oczach znajomą żądzę. Nie jest to romantyczne pożądanie: to żądza seksu, zwierzęcego seksu, a wszystko dlatego, że wyglądam, jakbym była takim seksem zainteresowana. W porównaniu ze wszystkimi innymi kobietami tutaj wyglądam jak dziwka. Ale, rzecz jasna, właśnie to było celem tych kobiet.

Będąc takie, jakie są, sprawiają, że w porównaniu z nimi wypadasz źle, nawet jeśli twoją najgorszą zbrodnią jest używanie szminki. Usiłuję odpowiedzieć mu spojrzeniem, które mówiłoby: „Nie dzisiaj, dzięki”, a potem biorę ulotkę i udaję, że znowu ją czytam, dopóki kelnerka w żółtym bliźniaku nie pojawia się z moją zupą.

Kończę zupę i szukam w torebce notesu, by zrobić listę rzeczy, które zamierzam sprawdzić w bibliotece. Wyjmuję też paczuszkę tytoniu. Skręcam papierosa i kładę go na brzegu stołu, gdy kelnerka podchodzi po pustą miskę. Dopijam resztkę kawy i podaję jej kubek.

- Tu nie można palić - mówi.

- Och, wiem. Zresztą nie zamierzałam, proszę się nie martwić - mówię z uśmiechem.

- Tak, cóż, skoro pani to wie...

- Jaki jest pani bóg? - pytam tę kobietę, zanim zdążę sobie powiedzieć, że mam się zamknąć.

- Jaki jest Bóg? - upewnia się.

Nie powinnam była zadawać tego pytania.

- Tak.

- Opiekuje się tymi, którzy w niego wierzą - mówi.

I odchodzi.

Po wyjściu z kawiarni zapalam papierosa i siadam z nim na murku, przypominam sobie różne momenty w życiu, kiedy usiłowałam się dowiedzieć, jak to jest z tą religią.

Często zaczynało się od logicznej przesłanki: tak wiele osób na całym świecie wierzy w jakiegoś boga albo w pewien sposób życia, że w przynajmniej jednym musi coś być. Szłam więc do miejscowej biblioteki albo do biblioteki uniwersyteckiej i zawsze następował ten moment - podobny być może do momentu poprzedzającego chwilę, gdy w piekarni wybierzesz dokładnie ten chleb, który chcesz - kiedy dostrzegałam nieznośnie wiele możliwości. Tyle książek, tyle „prawd”. Przecież nie mogą wszystkie być fałszywe? Nie może we wszystkich chodzić o to samo? Ale mnie wszystkie

książki religijne wydają się takie same. Wszystkie wyznania hołdują takim samym hierarchiom. Wszystkie mają swoich przywódców. Nawet buddyzm ma reguły co do tego, kto może „należeć” do tej wiary, a kto nie, kto przewodzi, a kto nie. I wszyscy przywódcy są mężczyznami.

Pamiętam swój przelotny flirt z wyznaniem rzymskokatolickim, kiedy umawiałam się z gościem, który jako małolat śpiewał w chórze i wydawało się, że coś czerpie z tej wiary (i tak sobie wszystko przemyślał, że mu wyszło, że można być katolikiem i uprawiać wyuzdany seks). Dostałam parę książek i pisemek w lokalnym kościele i wzięłam się do lektury.

Kupiłam wszystkie te bujdy o Marii Dziewicy i byłam w trakcie wmawiania sobie, że religia, która tak poważnie traktuje kobietę, musi mieć jakieś zalety. Potem przeczytałam żartobliwą anegdotkę w jednym z pisemek o tym, jak to papież Jan Paweł II przyjechał odwiedzić jakieś miasteczko, a zakonnice, które miały dla niego gotować, spaprały sprawę i ostatecznie podały mu paluszki rybne. Oczywiście puentą tej historii miało być to, że jest rzeczą przezabawną, że papież dostał paluszki rybne, ale nie mogłam przestać myśleć o tym drobnym szczególe, że dla papieża musiały gotować zakonnice. A przecież przywódcy religijni powinni być od nas mądrzejsi, prawda? I właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że w tym systemie nie ma kompletnie nic szczególnego, nic, co czyniłoby go wznioślejszym i bardziej wyjątkowym.

Jeśli ktoś, kto całe życie poświęcił na rozmyślania o dobroci, prawości i prawdzie, wciąż oczekuje, że zakonnice będą dla niego podgrzewać paluszki rybne (bo w końcu zakonnice nie mają nic ciekawszego do roboty, a żadna z nich nie zostanie nigdy księdzem ani papieżem, ponieważ na to kobiety nie są dostatecznie dobre), to coś tu jest bardzo nie w porządku. Jak papież mógł przeoczyć ten fragment o równości w oczach Boga? Jeśli to miał być najmądrzejszy katolik, to na pewno nie chciałabym spotkać najgłupszego.

Być może jest to podobne do zasady antropicznej, lecz jestem kobietą i po całym życiu eksperymentowania wiem, że potrafię zrobić wszystko, co robią mężczyźni z wyjątkiem tego, co wymaga posiadania penisa (jak sikanie na stojąco). Mam na myśli, że to takie oczywiste, aż trochę głupio o tym mówić, bo to poniekąd jak oznajmianie: „Wszyscy ludzie mają głowy”. Niby co takiego wie o mnie religia, co mnie umknęło? Czy a priori jestem mniej warta? Przecież to byłby kompletny nonsens. Jak to możliwe, że religia rzekomo głębsza niż wszystkie inne wciąż ma mniejsze pojęcie o człowieczeństwie niż dowolny dział

kadr w kraju?

Ale nie tylko chrześcijaństwo jest takie: jak buddyści mogli przemknąć w swoich medytacjach nad tym fragmentem o wolności od pragnień, podczas gdy większość z nich zdaje się pragnąć dobrej reinkarnacji, i to takiej, aby mogli się odrodzić jako ludzie i by tytułowano ich „czcigodnymi mistrzami”, i by mogli mówić innym, co mają robić? Czemu religia jest takim rozczarowaniem? Człowiek oczekuje, że dowie się z niej czegoś, czego nie wie, a koniec końców dowiaduje się tylko tego, co wiedział od lat i co już dawno temu odrzucił jako błędne.

Po lewej widzę duży szary mur przed wejściem do kościoła.

Czy jesteśmy myślami Boga? zapytuje plakat.

Nie, zdaję sobie sprawę. Jest dokładnie odwrotnie.

Gaszę papierosa i przestaję myśleć.

Biblioteka jest dużą kwadratową przestrzenią z dwoma piętrami. Na środku parteru stoi biurko, a wszędzie dookoła regały z półkami. Drugie piętro w praktyce jest galeryjką z dużą dziurą na środku, tak że można stać i z góry obserwować, co się dzieje na dole, albo usiąść przy jednym z małych biureczek i spróbować popracować, jeśli komuś nie przeszkadza hałas.

Pamiętam bibliotekę, do której chodziłam jako dziecko. Zawsze panowała w niej martwa cisza, a wszystko - w każdym razie w mojej pamięci - było pomarańczowe, zwłaszcza małe wgłębienie w posadzce w dziale literatury dziecięcej, które na mnie robiło wrażenie olbrzymiej przepaści, aż błagałam matkę, żeby mi pozwoliła tam pójść i w nim usiąść.

Podchodzę do biurka.

- Cześć - mówię, kiedy podchodzi do mnie brodaty bibliotekarz. - Chcę skorzystać z Internetu.

- Masz kartę?

- Biblioteczną?

- Tak.

- Och, nie, przykro mi. Nie jestem tu zapisana.

- Studentka z wymiany zagranicznej?

- Nie.

Uśmiecha się.

- Możemy ci dać kartę dzienną. Musisz wypełnić ten formularz...

Podaje mi jakiś papier, a ja zastanawiam się, czy wypełniając go, mogę bezpiecznie skłamać, a jeśli tak, to czy mnie potem sprawdzą. Z całą pewnością nie chcę zostawiać pisemnych śladów swojej obecności.

- Może sprawdzę najpierw, czy uda mi się znaleźć potrzebne informacje w jakiejś książce - mówię. - Ale spróbuję z Internetem, jeśli tak się nie da. - Chciałam zajrzeć na stronę kultu Apollona Smintheusa, jak również poszukać informacji o zamku, lecz może machnę na to ręką. W końcu mam mglisty dług wdzięczności wobec tych ludzi.

- Jak sobie chcesz - odpowiada. - Pomóc ci znaleźć jakąś książkę?

Myślę, że to najbardziej uczynny bibliotekarz, jakiego w życiu spotkałam. Wszyscy uniwersyteccy bibliotekarze zachowują się, jakbym okropnie im przeszkadzała. Nie znaczy to jednak, że nie brakuje

mi uniwersytetu. Naprawdę nie mam pojęcia, czy jeszcze kiedyś znajdę się na świeckich terenach zielonych, gdzie nie walają się kartoniki po jedzeniu na wynos. Po raz tysięczny dzisiaj czuję ukłucie: ja nie wrócę. Już nigdy nie wrócę.

- Eee... interesują mnie okoliczne zamki - mówię.

- Jakiś konkretny zamek?

Uśmiecham się.

- Nie. Zamki ogólnie. Chcę porównać ich kształty. - Gadam jak wariatka.

Zastanawiam się szybko. - Zbieram informacje do książki.

Wygląda na to, że zrobiłam na nim wrażenie.

- I zależy ci akurat na devońskich zamkach?

- Aha. Tak myślę.

- Cóż, w takim razie musisz zajrzeć do zbiorów historii lokalnej.

O w dupę.

- A gdzie ona jest? - pytam.

- To tamten pokoik, o tam - mówi, wskazując drzwi w rogu. - Nie powinnaś tam wchodzić, skoro nie jesteś do nas zapisana, ale chyba nic takiego się nie stanie. Oczywiście nie możesz zabrać żadnej książki do domu. No i obawiam się, że będziesz musiała zostawić tu torebkę.

Zapisuje mnie i zabiera mi torebkę. Potem wręcza mi laminowaną kartę.

- Wchodź śmiało - mówi.

Zbiory historii lokalnej to niskie zakurzone pomieszczenie podzielone na trzy odrębne części poprzez zmyślne ustawienie regałów, kilku biurek oraz jednego czytnika do mikrofilmów. Od razu czuję się tu jak u siebie, otoczona stęchłym zapachem książek. Oprócz mnie nie ma nikogo i zastanawiam się, czyby mnie aresztowano, gdybym wieczorem próbowała się tu przespać. Prawdopodobnie tak.

Błądzą to tu, to tam, patrząc na spłowiałe grzbiety starych rejestrów parafialnych i biografii, zanim dociera do mnie, że będę potrzebowała rejestrów skomputeryzowanych, by znaleźć to, czego szukam. W kącie jest terminal tuż pod kamerą z chwilę wcześniej zarejestrowanym obrazem tego, co się tu dzieje. Siadam, ale dziwnie się czuję, widząc się w telewizji. Jestem niewyraźnym cieniem, który śledzę kątem oka, wpisując do wyszukiwarki hasła „zamki” i „Devon”.

Jest kilka książek o zamkach devońskich, wybieram więc parę ze zdjęciami, po czym niosę je na jedno z biurek. Kartkuję najgrubszą, zawierającą czarno-białe szkice bardziej znanych zamków w

okolicy. Zamki w Exeter i Powderham są zbyt monumentalne i raczej prostokątne, podobnie jak Berry Pomeroy i Bickleigh. Zamki Gidley i Lydford są zbyt kwadratowe. Jest też kilka zamków nad morzem, lecz zamek, o którym myślał Burlem, stał na małym wzniesieniu. W końcu znajduję zdjęcia dwóch zamków na wzgórzach. Oba zbudowano na planie koła. Moje serce jest niczym maszyna, którą ktoś podkręcił o jeden ząbek. Mam teraz dwie możliwości. Prawie już wiem, gdzie powinnam jechać. Muszę zajrzeć do innej książki - tej ze świeższymi zdjęciami - i stwierdzam, że z jednego z tych zamków została już tylko ruina niczym gnijący ząb w gigantycznych ustach.

Za to drugi wygląda dokładnie tak, jak opisywał Burlem: jak pierścień giganta rzucony na szczyt wzgórza. I już rozumiem, dlaczego mówił o nieobecności. Zdjęcie, które znalazłam w książce, zrobione z lotu ptaka, niewątpliwie sprawia, że przestrzeń między murami - a więc to, czego nie ma - wydaje się ważniejsza od ścian, które są. Jeśli patrzy się na zamek dostatecznie długo, ściany zaczynają się zacierać i wygląda to tak, jakby istniały bez innego konkretnego powodu prócz tego, że mają nicość trzymać w ryzach.

ROZDZIAŁ 23

Koło czwartej po południu stoję przed domem ze wspomnień Burlema: przed tym, w którym mieszka z Laurą (a w każdym razie mieszkał jeszcze w grudniu); przed tym, do którego się idzie koło sklepu z serami i skręca w prawo w wąską brukowaną uliczkę. To dość wysoki, wąski szary kamienny budynek z zielonymi drewnianymi okiennicami na frontowych oknach.

Może przez te okiennice albo przez moją paranoję nie jestem do końca przekonana, czy powinnam tu być, za to jestem niemal pewna, że nikt mnie nie śledzi. Cóż, w każdym razie nie w fizycznym świecie. Nagle zdaję sobie sprawę, że powinnam była wstąpić do kościoła na wypadek, gdyby ktoś z projektu Gwiezdny Blask (albo martwy „smyk”) siedział w moim umyśle. Jednak już jest na to za późno. Prawdopodobnie było za późno już w chwili, kiedy rano wyruszyłam w drogę. Jeśli byli ze mną na dowolnym etapie, wiedzą, dokąd się wybierałam. Z drugiej strony, jeśli w jakimkolwiek momencie rzeczywiście byli ze mną, to moje plany nie powinny ich obchodzić: już mają tę swoją recepturę.

Jednak sądzę, że ich tu nie ma, że jestem całkiem sama.

W gruncie rzeczy ja to wiem. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek w moim życiu czuła się taka rozdierająco samotna. Waham się, czy podnieść ciężką mosiężną kołatkę. Łzy napływają mi do oczu, a nie chcę zrobić wrażenia osoby niezrównoważonej, kiedy - i o ile -

ktoś otworzy drzwi. Kiedy ostatnio płakałam? Nie płakałam po tym, jak Patrick przeleciał

mnie na uniwerku ani w kiblu na stacji benzynowej; nie płakałam nawet wtedy, kiedy rodzice ostatecznie porzucili mnie na dobre; nie płakałam nawet wtedy, gdy zostawiałam Adama w klasztorze, prawdopodobnie przepełnionego nienawiścią do mnie, prawdopodobnie straconego na wieki. Ale teraz, kiedy stoję tu o wczesnym zmierzchu, na chłodzie, gdy mewy skrzeczą gdzieś wysoko, a na niebie zaczynają wschodzić pierwsze gwiazdy, chce mi się wyć.

Przełykam łzy. Jeśli to nie zadziała, będę miała totalnie przerąbane. Nie mam domu. Nie mam

pieniędzy. Nie mam rodziny.

Unoszę kołatkę i uderzam nią dwukrotnie o drzwi.

„Proszę, bądź w domu, proszę, bądź w domu, proszę, bądź w domu”.

Widzę dym snujący się z komina: kogoś na pewno zastałam.

Po jakichś dwóch minutach przymierzam się do tego, żeby zakołatać jeszcze raz, ale drzwi otwiera kobieta. To Laura. Poznaję wszystko, od zwiewnych ubrań po sięgające ramion siwe włosy z różowymi pasemkami. Nagle zdaję sobie sprawę, że nie zastanowiłam się, jak powinnam to rozegrać. Wiem, jak to jest kochać się z tą kobietą; okłamywać ją; żyć z nią. Ale prawdopodobnie powinnam udawać, że nie znam jej zupełnie. I jest to święta prawda, dopóki pamiętam, że ja to ja.

Ona nie odzywa się słowem.

- Witam - mówię. - Pomyślałam, że może...

- Przepraszam - przerywa mi Laura. - Kim pani jest? - Jej głos, który też rozpoznaję, jest głosem osoby wykształconej, dość wysokim i z cieniem niemieckiego akcentu.

- Przepraszam, że panią niepokoję, ale...

- Tak? - Chce, żebym się pośpieszyła. Może nie lubi, jak ktoś próbuje wciskać jej kit, marnuje jej czas. Z drugiej strony wcale nie jestem pewna, czy spodoba jej się to, co mam do powiedzenia. Cóż, musi. Musi, bo ja naprawdę nie mam się gdzie podziać.

- Szukam Saula Burlema - mówię.

Twarz Laury wygląda jak na stopklatce z tym filmowym efektem specjalnym, kiedy reszta świata zachowuje się całkiem zwyczajnie wokół jednego „zamrożonego” obiektu.

Potem znowu normalnieje, jeśli nie liczyć strachu, który widzę w jej oczach; ot, taka zapowiedź burzy.

- Kogo pani szuka? - udaje zdziwioną.

- Saula Burlema - mówię. - Muszę się z nim zobaczyć. Mogłaby mu pani powiedzieć, że przyjechała Ariel Manto? Niech mu pani powie, że znalazłam tę kartkę i muszę z nim porozmawiać.

Kiedy mówię, strach w oczach Laury nabiera huraganowej siły, ręką dotyka twarzy, jakby chciała ją uspokoić, zakończyć to wszystko; potwierdzić być może, że tylko to sobie wyobraziła. To musi być ostatnie, czego potrzebuje człowiek, który się ukrywa. Dla ukrywającego się tak wygląda urzeczywistnienie najgorszego koszmaru.

- Kim jesteś? - pyta.

- Studentką Saula, robię u niego doktorat.

- Jesteś... Nie. Wiem, dla kogo pracujesz.

- Nie jestem od nich. Nie należę do projektu Gwiazdny Blask.

- Skąd mam o tym wiedzieć? Jeśli nie jesteś z nimi, to po co przyjechałaś, psiakrew?! -

Robi głęboki wdech i dotyka włosów. - Zresztą Saula i tak już tu nie ma. Wyprowadził się jakieś dwa miesiące temu. Wyjechał...

- Ariel?

To Burlem. Stoi za Laurą.

- Saul - mówię - mogę...?

- Wpuść ją, Lauro - mówi rozdrażnionym głosem. A potem dodaje, opierając się o ścianę w holu, kiedy wchodzi do środka: - No kurwa mać.

Parter domu jest otwartą przestrzenią z drewnianym parkietem i dębowymi belkami, idzie się tam szerokim korytarzem i przez łukowate wejście. W głębi dużego pomieszczenia płonie ogień, gdziekolwiek spojrzeć, leżą czerwone, brązowe i ciemnożółte dywaniki. Po lewej stronie salonu stoi duży stół jadalniany. W tej chwili leży na nim rozłożona gazeta obok do połowy wypitej kawy na wiklinowej macie. Tuż za stołem w koszu uplecionym z trzciny śpi czarno-biały pies, a dalej, na skraju salonu, drzwi na patio zasłania gruba zasłona. Pies, zupełnie jakby wiedział, że na niego patrzę, zerka w moją stronę i znowu zapada w sen. Nad kominkiem jest półka z zestawem bibelotów: parę kotyliionów, oprawiona w ramki czarno-biała fotografia mężczyzny i kobiety, szczotka do włosów, komplet szydełek i wazon z niebieskimi kwiatami. Najbliżej ognia stoi fotel z robótką na drutach odłożoną na poręczu.

Sofy są dwie - duże, głębokie i żółte - i stoją naprzeciwko siebie, bokiem do kominka, ale nieco odsunięte od fotela. Między sofami stoi niski stoliczek - wypolerowany fragment pnia drzewa - na którym leżą książki, stare krzyżówki i cienkopisy. Na każdej płaszczyźnie poziomej piętrzą się wysokie sterty książek, cała ściana po prawej obwieszona jest grubymi sosnowymi półkami, trochę przypominającymi te w mieszkaniu Apollona Smintheusa, zastawionymi setkami książek. Telewizora nie ma.

Nie jestem pewna, co czuję teraz, kiedy już tu jestem. Oczekiwałam czegoś w rodzaju ulgi, emocjonalnego ekwiwalentu powrotu do domu po długiej deszczowej podróży albo pierwszego łyka, kiedy jest się spragnionym. Tymczasem wciąż tęsknię za poczuciem bezpieczeństwa i spełnienia, za uczuciem, że przychodząc tutaj, coś osiągnęłam. W tej chwili czuję się raczej tak, jakbym nieoczekiwanie odwiedziła jednego z moich profesorów w domu w weekend, pod obecność jego żony. Gorzej: ja wiem, a Burlem musi podejrzewać, że czytałam w jego umyśle, aby tu dotrzeć. To co wtedy uważałam za nieodzowne, teraz wydaje się czymś złym. W gruncie rzeczy nie przyjechałam tu ze względu na niego: przyjechałam tu ze względu na siebie. Z drugiej strony on musi zrozumieć, że

nie miałam innego wyboru.

Teraz jednak za dużo o nim wiem i oboje jesteśmy tego świadomi.

Aneks kuchenny jest po lewej i przylega do holu.

- Zrobię herbaty - mówi Laura, ruszając w stronę kuchni. Słyszę szum wody, później pstryknięcie włączanego czajnika.

Burlem pokazuje milcząco, żebym podeszła z nim do dużego stołu. Składa gazetę i umieszcza ją z boku. Potem wraca Laura i wynosi jego kubek. Przez całe dwie albo trzy minuty nikt nie powiedział ani słowa.

- Przepraszam... - zaczynam.

- Jak mnie znalazłaś? - pyta Burlem.

- Przez Molly - mówię.

- Molly nie wie, gdzie jestem - ucina. - Nikt z mojej pieprzonej rodziny nie wie. Tak to już jest, kiedy człowiek się ukrywa. To jedna z wielu rzeczy, które się traci.

- Pedeza - mówię. - Użyłam pedesy. Przepraszam. Mam tę książkę.

Na parę sekund zamyka oczy, po czym znowu je otwiera; następnie przegarnia ciemne włosy drżącą ręką.

- Ja pieprzę - mówi.

- Przepraszam... - powtarzam. Przez dłuższy czas panuje milczenie. - Przyszli po mnie i nie wiedziałam, co robić. Zrozumiałam, że to samo musiało spotkać ciebie, więc wydało mi się logiczne, że gdybym pojechała tam gdzie ty, też mogłabym być bezpieczna.

- Ta klątwa... - mówi Burlem.

- Ano - przytakuję.

I chyba oboje przypominamy sobie jego referat w Greenwich, gdzie oboje zgodziliśmy się co do tego, że przeczytalibyśmy tę powieść, gdybyśmy mogli, bez względu na klątwę.

Wiem, że zrobiłabym to jeszcze raz, ale co do niego nie jestem już taka pewna. Jego twarz wygląda poważniej i więcej na niej zmarszczek niż podczas naszego ostatniego spotkania, poza tym dorobił się kilku szpakowatych pasemek we włosach. A może kiedyś je farbował, a teraz mu się nie chce. Jakie to musi być uczucie, zostawić taką posadę? Odciąć się od córki?

- Co u Molly? - pyta.

- Normalnie, jak to u nastolatki - odpowiadam.

- Ale wszystko u niej w porządku?

Ważę to pytanie w myślach. Owszem, Molly pieprzy się z nieodpowiednim facetem, tyle że wszystkim się to zdarza. Kiedy byłam w jej umyśle, nie wykryłam niczego, co by dowodziło anoreksji, samookaleczeń czy uzależnienia od narkotyków. Aczkolwiek do tego wszystkiego ma potencjalną skłonność. Wiem, bo wciąż pamiętam, jaką poczułam z nią więź.

- Nic jej nie jest - mówię.

Burlem wzdycha.

- Wciąż palisz? - pyta.

- Jasne, czemu pytasz?

- Poczęstujesz mnie?

- Pewnie. - Wyjmuję tytoń z torebki. - Skręty - wyjaśniam. - Jestem z lekka splukana.

- Skręcisz dla mnie? - prosi. - Wyszedłem z wprawy.

No i trzęsą mu się ręce, jak zauważam. Skręcam dwa papierosy i podaję mu jednego.

Oboje zapalamy.

- O, od razu mi lepiej - mówi. - Cholernie dziwnie, ale lepiej. Może usiądziemy przy kominku? Opowiadaj, co się działo. Niech już wiem, jak bardzo powinienem być przerażony.

Wstajemy i przechodzimy do sof. On siada na jednej, ja na drugiej. To przecudowne uczucie, siedzieć w ciepłym, wygodnym pokoju po wszystkim, co się wydarzyło. Ale z jakiejś przyczyny nie czuję się do końca komfortowo. Nie rozwalam się na sofie, chociaż jest mięciutka i przepastna. Siedzę na samym brzeżku, jakbym miała rozmowę w sprawie pracy.

Nie widzę żadnych popielniczek, lecz Burlem strzepuje popiół prosto w ogień, więc robię tak samo.

- Nie powinnaś była tu przyjeżdżać - mówi wreszcie.

Chyba zaraz znowu się rozbeczę.

- Wiem... Ale... musiałam...

- No cóż, miło znowu cię zobaczyć. - Uśmiecha się po raz pierwszy.

- Och, dzięki. Ja...

- I nie przeprasza za tę książkę. - Wzdycha. - Czuję się odpowiedzialny.

- Niepotrzebnie - mówię. - Wybacz, że cię wystraszyłam, przyjeżdżając tutaj. Ale szczerze, nie przychodziło mi do głowy nic innego, co mogłabym zrobić. Chodzi mi o to...

Już samo to, że jestem w tym samym pomieszczeniu z kimś, kto miał takie same przeżycia, jest czymś...

Burlem przerywa mi w pół zdania.

- Jesteś pewna, że nikt cię nie śledził? - pyta.

- Na sto procent - mówię. - No, może na dziewięćdziesiąt dziewięć. Ale im zależy wyłącznie na recepturze, prawda? Teraz mogą ją wziąć ode mnie. Nie potrzebowałiby mnie, żebym doprowadziła ich do ciebie. Musieliby tylko dostać się do mojej głowy. Mam tam wszystkie informacje, które są im potrzebne. A daję ci słowo, że po moim ostatnim spotkaniu z nimi w Troposferze... albo w MindSpace, jak oni ją nazywają... nie mam zamiaru pozwolić im się do siebie zbliżyć i mam tu na myśli i umysł, i ciało. Dlatego uciekłam. Dlatego cię odszukałam. Ja już nie mam dokąd jechać. Nie mogę wracać do domu, nie mogę iść do pracy...

- Podoba mi się twoja wersja - mówi ironicznie. - Że potrzebują tylko na kilka minut dostać się do twojego umysłu, żeby zdobyć recepturę. Sęk w tym, że chcą nas wszystkich zabić. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- Nie. Tego akurat nie wiedziałam. To znaczy, owszem, wiem, że są brutalni i bez wahania użyją siły, żeby zdobyć tę recepturę... A może nawet dla samej frajdy. Ale myślałam, że jak już będą ją mieli, dadzą nam spokój.

Burlem pokasłuje i znowu zaciąga się papierosem mojej produkcji.

- Jak będą sprzedawać patent na tę miksturę... albo produkować ją nielegalnie, bo nie wiem, jak to sobie zaplanowali... nie będą chcieli, żeby takie żuczki jak my psuły wszystko i zaniżały cenę. Będą chcieli pozbyć się konkurencji. Cóż, pewności nie mam, ale podejrzewam, że chcą ją odsprzedawać. To wydaje się logiczne.

- Owszem, chcą - mówię.

- Skąd wiesz?

- Ja...

Przez przestronny salon idzie Laura z żółtą tacą, na której stoi imbryk z herbatą i kilka kubków. Burlem szybko przekłada część pisemek i gazet tak, żeby nie przeszkadzały, a wtedy Laura stawia tacę na stoliku między dwiema stertami książek. Następnie siada w fotelu i patrzy na mnie.

- Nic ci nie jest? - pyta mnie, zerkając nad srebrnymi oprawkami okularów. -

Przepraszam, że byłam taka nieuprzejma, zanim cię wpuściłam. Ukrywamy się od tak dawna, że...

- Nic nie szkodzi - zapewniam. - Nic mi nie jest.

- Ariel wie o projekcie Gwiazdny Blask - zwraca się Burlem do Laury. - Wie, czego chcą.

- Tak, przypadkiem słyszałam, jak o tym rozmawiacie - mówi Laura. - Skąd wiesz? Ja szukałam nieraz, a nie udało mi się dowiedzieć nic ponad... cóż, podstawowymi rzeczami.

- Dostałam się do umysłu jednego z nich - mówię. - Martina Rose'a.

Burlem ni to śmieje się, ni to parska.

- Niby jakim, kurwa, sposobem?

- Czekali na mnie w samochodzie. Byłam w klasztorze, a oni oczywiście nie mogli tam wejść, więc urządzili coś w rodzaju czatów. Weszłam do Troposfery, będąc w klasztorze, i trafiłam do głowy jednego z nich przez czysty przypadek. Wcześniej nawet nie wiedziałam, że na mnie czatują.

- Co robiłaś w klasztorze? - pyta Burlem.

- Ukrywałam się przed nimi. To długa historia - mówię.

Burlem nalewa herbatę, rozchlapując na tacę dobre pół kubka.

- Myślę, że może to odpowiednia chwila, żebyś opowiedziała ją w całości, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jak trafiła do ciebie ta książka, co się stało potem i tak dalej -

mówi.

- Nie, nie mam nic przeciwko temu. Ale mogę tu zostać chociaż dzisiaj? Nie chcę się narzucać, ale...

- Nie ma sprawy, Ariel - odpowiada Laura, chociaż nie wygląda na zachwyconą.

- Jasne - potwierdza Burlem. - W zewnętrznym świecie masz przesrane, zupełnie jak ja.

Laura potrząsa głową.

- Ile to jeszcze potrwa? - powiada cicho. Patrzy na mnie. - Serdecznie zapraszamy: możesz tu zostać tak długo, jak tylko chcesz. Mamy dla ciebie pokój. - Spogląda na Burlema.

- Ale będziemy musieli z tym skończyć, bo któregoś dnia obudzimy się i stwierdzimy, że jest nas dziesięcioro, a potem dwadzieścioro, a potem że cały pieprzony świat wie o Troposferze.

- Wszystko w porządku - mówi Burlem. - Ariel na pewno nikomu nie wygadała.

- Nie. Nie wygadałam - przyznaję. Nie wspominam jednak, że książkę, znowu całą, zostawiłam w klasztorze. Myślę, że to wyda się bardziej sensowne jako część mojej opowieści.

Siadam wygodniej i zaczynam opowiadać o dniu, kiedy gmach uniwersytetu zaczął się chylić, o antykwariacie i o wszystkim, co się wydarzyło potem. W miarę jak opowiadam, uzmysławiam sobie, że niczego sobie nie wyobraziłam. Że jeśli można powiedzieć, że coś jest realne, to wszystko, co mnie spotkało, jak najbardziej jest.

Opowieść trwa kilka godzin. Z początku Burlem ciągle mi przerywa, żeby się o coś dopytać, ale po mniej więcej półgodzinnej ożywionej rozmowie na temat uniwersytetu, a potem po jeszcze bardziej ożywionych spekulacjach na temat tego, jak jego książki znalazły się w antykwariacie (jego była żona, jak podejrzewa Burlem, zajęła dom), Laura wtrąca się i zakazuje dalszych pytań, dopóki nie skończę. W pewnym momencie wyjmuje notatnik formatu A4 i zaczyna coś w nim pisać. Mam wrażenie, że chociaż Burlem oczywiście spędził

w Troposferze więcej czasu, ona chyba lepiej rozumie, jak to wszystko działa. Co oznacza, że ja także będę miała do niej mnóstwo pytań. Laura gryzmoli jak szalona (i znowu musi kazać Burlemowi siedzieć cicho), kiedy opowiadam o Apollonie Smintheusie, i jeszcze raz, kiedy rozwodzę się ze szczegółami nad siecią kolei podziemnej i nad tym, jak podróżowałam pociągiem strachu, by wrócić do samej siebie, zanim popełnię błąd, który z pewnością by mnie zabił. W momencie kiedy wyjaśniałam, że potrafię wpływać na cudze umysły, oboje zamarli i wymienili spojrzenia, ale żadne nie odezwało się słowem, a Laura nie zrobiła kolejnej notatki.

Około jedenastej zbliżam się do końca. Gardło mnie boli od tego gadania i od fajek, które wypaliłam. W ustach mi zaschło; taka kacowa suchość, która pojawia się, jeśli spało się tylko parę godzin. Odkąd przyszłam, wypiliśmy około czterech imbryków herbaty, lecz od lunchu nic nie jadłam i

głośno burczy mi w brzuchu, chociaż nie czuję głodu.

- Musimy coś zjeść - odzywa się Laura, a mnie burczy jeszcze głośniej.

- Zamówię potrawkę curry - proponuje Burlem.

Mimo wszystko czeka z zamówieniem, aż skończę opowiadać. Pomijam pewne szczegóły. Nie wspomniałam, rzecz jasna, jak pieprzyłam się z Patrickiem w toalecie restauracji Little Chef. Nie powiedziałam też jasno, że książka została w klasztorze. Nie jestem więc zaskoczona, że pierwsze pytanie Burlema dotyczy właśnie jej.

- Gdzie ona teraz jest? - pyta. - Zakładam, że masz ją przy sobie?

Kręcę głową.

- Zrobiłam to samo co ty - wyjaśniam.

- To co ja?

- Aha. Zostawiłam ją, bo uznałam, że tak będzie bezpieczniej, niż nosić ją przy sobie.

- Ja pieprzę... - Tylko tyle mówi Burlem i idzie odebrać żarcie od dostawcy.

Po jego wyjściu zostaję sam na sam z Laurą i psem, który już całkiem się obudził, przeciągnął, wychleptał trochę wody, a potem usiadł przy mnie na sofie. Laura nie odezwała się słowem, odkąd Burlem poszedł, i mam uczucie, że powinnam coś powiedzieć.

- Jak się wabi? - pytam.

Oczywiście już to wiem: Planck; przypuszczalnie po tym fizyku kwantowym.

- Wabi się Planck - mówi. Po czym wzdycha i potrząsa głową. - Kilka razy naprawdę miałaś szczęście. Nie mogę uwierzyć...

- W co?

- Och, nic takiego. Troposfera okazuje się jeszcze bardziej skomplikowana, niż myślałam. Chociaż wszystko ma sens, rzecz jasna.

- Sens? - Śmieję się. - Proszę, wytłumacz mi, gdzie tu sens.

- Wszystko ci wytłumaczymy - odpowiada. - Ale nie teraz. Już późno.

Zapada kilkusekundowa cisza. Nie jestem pewna, czy Laura mnie lubi. Drapię psa między uszami i staram się myśleć o czymś prostym, co mogłabym powiedzieć, a co nie sprowadzałoby się do: „Opowiadaj mi tu wszystko, czego jeszcze nie wiem - czego nikt nie wie - o tym, jak działa Troposfera, i to już! Powiedz mi, jak mogłabym nadać sens temu, co tam przeżyłam, bo ja nie mam

zielonego pojęcia”.

- Jak to się stało, że tutaj jesteście? - pytam ją w końcu. - Jak wam się udało sprawić, że tamci nie mogli was odnaleźć? - Pamiętam, że kiedy Burlem odciął mnie od swojego umysłu, wchodząc do kościoła, wciąż był w tunelu kolejowym. Nie mam pojęcia, jak znalazł

się tutaj, z Laurą, i jak zdołali tak długo unikać pogoni. - Jak Saul wydostał się z tamtego tunelu? - pytam.

- Przeniósł tę stertę gruzu - odpowiada. - Cegła po cegle. Z tego co mówiłaś, tunel już wcześniej był niestabilny i jestem zaskoczona, że zawalił się dopiero po roku, odkąd Saul naruszył jego konstrukcję.

- Och, twoim zdaniem tunel zawalił się przez niego? Jakie to dziwne - mówię, myśląc o tym, że zawalenie się tunelu było początkiem ostatnich wydarzeń: że gdyby tunel się nie zawalił, może nigdy nie natrafiłabym na tę książkę ani nie odnalazłabym brakującej kartki. A może jednak bym odnalazła? Może i tak zrobiłabym to wszystko?

I zdaję sobie sprawę, że w klasztorze też ktoś kiedyś ją znajdzie.

- Tak czy inaczej - ciągnie Laura - wydostał się z tunelu i wszedł do autobusu donikąd.

Jechał bez celu, dopóki nie znalazł się dostatecznie daleko, żeby móc zebrać myśli. Pojechał

do Szkocji, przez pewien czas mieszkał w pensjonacie i badał wtedy Troposferę. Miał wielkie szczęście, że nie zginął. Przysłał mi telefon komórkowy i kartkę z prośbą, żebym określonego dnia o ustalonej godzinie weszła do kościoła, to do mnie zadzwoni. - Uśmiecha się. - To było trochę jak w filmie. Miał totalną paranoję i na początku wcale mi nie ufał, tak że odbywaliśmy takie potajemne rozmowy, podczas których stałam w kościele i gadałam przez komórkę, co ludziom pewnie bardzo się nie podobało. Ale jakoś to przetrwaliśmy. Jestem już na emeryturze, jak zapewne wiesz, więc nie byłam przywiązana do Londynu, kiedy to wszystko się stało. Najpierw przyjechaliśmy tu tylko na jakiś czas, a koniec końców zostaliśmy na dobre. Prawdę mówiąc, to dom mojego brata, ale udało się nam dogadać. -

Wzrusza ramionami. - On potrzebował mieszkania w Londynie. Udało nam się tak pozalatwiać formalności, że oficjalnie wynajmujemy ten dom od zupełnie kogoś innego, pod przybranymi nazwiskami. To skomplikowane, uznaliśmy jednak, że tak trzeba.

- Muszę zapytać - mówię. - Jakie jest logiczne wytłumaczenie tego szczegółu z kościołem? No wiesz, że nikt nie może wskoczyć do twojego umysłu, kiedy jesteś w kościele?

- To ty nie wiesz?

- Wiem niewiele ponad to, do czego doszłam sama albo co mi powiedział Apollo Smintheus. - Wzruszam ramionami. - Mogę zgadywać, ale...

- Spróbuj.

- Te wszystkie modlitwy w kościele, cała ta ekstradłodowana myśl i nadzieja w jakiś sposób zakłócają sygnał, że tak powiem. Wiesz, coś jak interferencja fal.

Laura się uśmiecha.

- To dobra teoria. Myślę dokładnie tak samo. - Uśmiech znika. - Zakładam, że wiesz o mojej książce?

- Nie - kręcę głową.

Jednak sposób, w jaki to mówi, zdradza mi, co jest powodem jej niechęci. Laura uważa, że znam ją równie dobrze jak Burlem, ponieważ byłam w jego umyśle. Uważa, że być może wiem o niej wszystko. I po raz drugi doznaję uczucia, że ona jest żoną, a ja kochanką, i że ona wie, że jej mąż nie tylko ze mną sypiał, ale też opowiadał mi o niej. Pamiętam, że kiedy wdawałam się w romanse z żonatymi facetami, których żony o niczym nie wiedziały i z pewnością by tego nie zaakceptowały, ich małżeństwa zawsze przeżywały kryzys. Facet nieuchronnie opowiadał mi o swojej żonie rzeczy, o których nie chciałam wiedzieć - i o których w swoim poczuciu wiedzieć nie miałam prawa. O wyjątkowej kolacji, którą przygotowała, próbując uzdrowić ich małżeństwo (i podczas której on dzwonił do mnie z komórki, z Dolaty); o wyjątkowej sukience, którą kupiła, żeby spróbować znowu zainteresować go sobą (i w której, jego zdaniem, wyglądała staro i grubo). Zimny dreszcz mnie przechodzi, kiedy przypominam sobie te rozmowy. Chyba nigdy nie czułam się tak źle jak wtedy, kiedy słuchałam takich wyznań, przestałam więc sypiać z żonatymi facetami ot tak, bo nie chciałam być częścią czegoś równie żalnego.

Chcę coś powiedzieć, by wszystko naprawić, lecz nic nie przychodzi mi do głowy.

- Hm... - Tak Laura kwituje moją odpowiedź, że nic nie wiem o jej książce.

Parę sekund później pies strzyże uszami i zachowuje się tak, jakby coś przeczuwał. A potem, po dwóch albo trzech minutach, słyszę, jak Burlem przekręca klucz w zamku, i czuję powiew zimnego wiatru, kiedy frontowe drzwi otwierają się i zamykają.

Pies wiedział, myślę. Pies wiedział, że Burlem wraca.

Jak to działa?

Po raz pierwszy, odkąd to wszystko się stało, czuję, że moje rozumienie świata zaczyna się zmieniać, jakbym dopiero teraz - teraz, kiedy już wiem, że to wszystko wydarzyło się naprawdę - mogła sobie pozwolić na to, by zacząć odpowiadać na swoje pytania, dodawać poszczególne informacje i doświadczenia do siebie. Nagle zdaję sobie sprawę, że pies wie, ponieważ my wszyscy potencjalnie wiemy wszystko o tym, co robią i myślą inni ludzie.

Wszyscy potencjalnie mamy dostęp do myśli wszystkich pozostałych. Zastanawiam się jeszcze raz, gdzie jest i czym jest Troposfera, teraz, kiedy już zdążyłam się upewnić, że nigdy nie była wyłącznie wytworem mojej wyobraźni. Czy unosi się o mniej niż jedną cząstkę od nas, być może w innym wymiarze, do którego tylko niekiedy mamy wstęp? A może odbywa się to zupełnie inaczej? Nagle jestem pewna, że nic nie jest przypadkowe: moment, kiedy napotykamy czyjeś spojrzenie, albo ten,

gdy mamy poczucie, że ktoś się nam przygląda, albo ten, kiedy myślimy o kimś i ten ktoś nagle dzwoni, albo kiedy zaczynamy się gubić w dobrze znanym budynku tylko dlatego, że większość ludzi, którzy w nim przebywają, czuje się zagubiona. Wiąże się to jakoś ze strukturą fizycznego świata, z tym, że wszystkie umysły są ze sobą połączone, tak jak połączone jest wszystko inne.

Jestem ciekawa, o czym jest książka Laury. Kłamałam, rzecz jasna, kiedy mówiłam, że zupełnie nic o niej nie wiem. Siedziałam gdzieś w najciemniejszym zakamarku umysłu Burlema przez cały czas, kiedy z nim byłam. Książka Laury. Książka Laury. Jest ważna, ale Laura nie skorzystała z okazji, żeby cokolwiek mi o niej powiedzieć. Ciekawe, co mogłabym zrobić, aby mi zaufała.

Posilamy się warzywnym curry z ryżem, siedząc przy stole przy butelce białego wina z lodówki. Planck wraca do swojego koszyka i zasypia, kiedy zaczynamy się wzajemnie zasypywać pytaniami dotyczącymi Troposfery i tego, jak można rozumieć moje w niej doświadczenia.

- Intryguje mnie ten bóg, Apollo Smintheus - stwierdza Burlem.

- Aha - mówię. - Myślałam, że powoli wariuję.

- Może tak było - odpowiada Burlem. - Ja w Troposferze nigdy nie spotykałem bogów. Co więcej, nie spotkałem tam żadnej innej żywej istoty. Nie sądziłem, że to w ogóle możliwe.

Przez jakiś czas rozmawiamy jeszcze o Apollonie Smintheusie i kwestiach religijnych, nad którymi zastanawiałam się dzisiaj rano. Wygląda na to, że ani Burlem, ani Laura nie myśleli o Troposferze w kontekście religijnym, choć oboje odnotowali ten szczegół, że kościoły powodują jakieś zakłócenia. Laura wydaje się pod lekkim - ale tylko lekkim -

wrażeniem mojej feministycznej analizy wszystkich głównych religii, Burlem natomiast nie jest przekonany, czy powinnam wrzucać buddyzm do tego samego worka co wszystko inne.

- Zen - mówi zrzędlawie. - Zen jest inny. Tao też.

I przypominam sobie jego pragnienie pustki utemperowane przez potrzebę wyzbycia się wszelkich pragnień. I od razu myślę o Adamie i o tym, co się z nim stało. Prawie go nie znam, lecz tęsknię za nim bardziej, niż wyobrażałam sobie, że to możliwe.

- Każde z nas ma własne sposoby dążenia do oświecenia - odzywa się Laura. - Ja piszę książkę, a on ciągle medytuje, próbując spojrzeć dalej, za wszystko, co już wiemy. Wciąż jest tak wiele... - Jednak nie kończy zdania, tylko ziewa. - Och, co za dzień.

Nasza rozmowa ciągle kręciła się wokół tego samego. Dyskutowaliśmy na temat pedezy i możliwości podróżowania w czasie dzięki przodkom, a Burlem potwierdził, że te mleczne obrazy, które pojawiają się na konsolce, kiedy jest się w czyimś umyśle, reprezentują wszystkich żyjących przodków tego kogoś: dlatego u myszy były to całe setki obrazów, a u niego tylko jeden (matka). Najskuteczniejszą metodą cofania się w czasie jest poruszanie się po umysłach żyjących przodków, dopóki ich nie zabraknie (przypuszczalnie na przykład matka Burlema nie ma żadnego, więc gdyby dotarło się do niej, trzeba by przeskoczyć do jakiejś innej osoby, zamiast wybrać następny obraz z

konsolety, a potem możliwie daleko cofnąć się w czasie przy użyciu przodków tej drugiej osoby). Roztrząsaliśmy ten temat przez dłuższy czas, bo nie mogłam zrozumieć, jak można przeskoczyć od osób obecnie żyjących do tych, które już nie żyją. Wtedy jednak Laura mi przypomniała, że w Troposferze odległość jest czasem i że skacząc po świecie od przodka do przodka, można również cofnąć się w czasie, raczej o całe lata niż tylko o miesiące. Kiedy przeskoczyłam z Molly do Burlema, przeskoczyłam z Hertfordshire do Devonu i właśnie dlatego przeniosłam się w czasie do okresu przed świętami Bożego Narodzenia. Gdyby Burlem był w Szkocji, mogłabym wylądować w sierpniu albo wrześniu; gdyby był w Australii, być może cofnęłabym się o trzy albo cztery lata. Jeśli ma się szczęście (albo jeśli podróż jest precyzyjnie zaplanowana), z czasem dociera się do żyjących przodków, którzy nie żyli w momencie, kiedy podróż się rozpoczynała, i za każdym razem kiedy się przeskakuje, coraz bardziej cofa się w czasie. Może ten opis kojarzy się z powolnym procesem, lecz jak przypomniał mi Burlem, same skoki są błyskawiczne. Podkreślił też, że najwyraźniej właśnie tak podróżował pan Y w momencie swojej śmierci. Pan Y jest postacią fikcyjną, ale Lumas nie. Burlem jasno powiedział, że właśnie tak musiał zginąć Lumas i każdy inny, kto przeczytał jego książkę i stał się „przeklęty”. Pedeza jest niebezpieczna, co sama odkryłam, kiedy próbowałam dotrzeć do Burlema.

Dowiedziałam się także, że Troposfera Burlema rzeczywiście jest wiktoriańskim wielkim miastem, o którym myślałam, kiedy tkwiłam w jego umyśle. Kiedy zaczynamy porównywać nasze osobiste Troposfery, Laura odpowiada dość wykrętnie. Na moje pytanie, jak ona jej doświadczyła, zakłada włosy za ucho i mówi tylko:

- Och, naukowa matryca, coś w tym guście. Doprawdy nic takiego, co ktoś inny mógłby sobie zwizualizować. - I rzuca Burlemowi wymowne spojrzenie.

- Lepiej już kładźmy się spać - mówi Burlem. - Jutro do tego wrócimy. Wciąż mamy tak dużo do omówienia. No właśnie, Lauro, czemu nie wykorzystasz Ariel? Może będzie umiała ci jakoś pomóc. Jest lepsza w naukach ścisłych niż ja.

- A skąd - zarzekam się.

Laura zaś patrzy na mnie przez sekundę, jakby mnie oceniała, a potem opuszcza wzrok i staje się jasne, że egzamin oblałam. Bez względu na to co myśli Burlem, jednak się nie dogadamy i nie będziemy razem opracowywać teorii Troposfery ani nic w tym guście.

Przynajmniej dopóki nie zdołam jej przekonać, że może mnie polubić.

Przez całą noc śni mi się Adam. W moim śnie mówi mi, że mnie kocha, że nigdy mnie nie opuści. Sny bywają czasem takie okrutne. Nigdy nie będę miała takiego życia. Co więcej, wcale nie jestem pewna, czy te strzępy życia, które mi pozostały, są wiele warte.

ROZDZIAŁ 24

Sobota i niedziela mijają z grubsza tak samo, na spontanicznych dyskusjach i przy moim narastającym poczuciu, że bardzo mało wiem i że Burlem z Laurą nie mogą się zdecydować, kiedy coś mi powiedzieć. Każdy dzień przerywany jest herbatą, kawą i kanapkami, jakby nasze życie było jedną

długą konferencją. Co wieczór idziemy we trójkę do kościoła po drugiej stronie ulicy, później wypijamy po ostatniej filiżance herbaty przed snem. Mam wrażenie, że Burlem i Laura dyskutują o mnie pod moją nieobecność i że Burlem wciąż stara się ją przekonać, aby mi zaufała. Wyraźnie oboje są podenerwowani i zaniepokojeni moją obecnością i niemalże zarządzili mi areszt domowy, jeśli nie liczyć wypraw do kościoła.

Burlem próbuje mi wytłumaczyć, o co chodzi w tych jego medytacjach, a Laura głównie mnie unika. Wieczorami siedzę do późna z Burlem i staram się z nim nie flirtować. Nie jestem pewna, co jest między nimi dwojgiem, lecz nie chcę się w to pakować. Od czasu do czasu odzywa się telefon, Laura jednak zawsze czeka, aż włączy się sekretarka. Odnoszę wrażenie, że mają jakiegoś przyjaciela, z którym dopiero co się skłócili, ale nie znam szczegółów.

Mój pokój jest mały, biały i przytulny, z odsłoniętymi belkami i krótkim szerokim łóżem z czterema słupami i z różowym kocem na białej bawełnianej kołdrze. Większość czasu spędzam właśnie tutaj, siedząc na łóżku i spisując notatki na temat Troposfery. Robię to głównie po to, aby nie dopuszczać do swojego umysłu rozpaczliwej tęsknoty, żeby tam wrócić. Burlem i Laura kategorycznie mi tego zakazali, w każdym razie chwilowo. Martwią się misją, którą Apollo Smintheus mi zlecił, ja zresztą też się martwię. I jest najzupełniej jasne, że grozi mi realne niebezpieczeństwo zagubienia się podczas niej, chociaż teraz jestem pewna, że mogłabym wrócić, kiedy tylko bym chciała, dzięki systemowi komunikacji podziemnej. Laura i Burlem natomiast ewidentnie nie są do niego przekonani, mimo że przecież niewątpliwie istnieje. Wolałabym tylko, by mówili mi różne rzeczy wprost, zamiast szeptać między sobą w kuchni i milknąć, kiedy wchodzę, żeby zaparzyć kawę. Wiem, że chcą odzyskać książkę zostawioną w Faversham, ale nie wiem, jak mielibyśmy to zrobić.

Nie jestem też pewna, jak się z tym wszystkim czuję. Jest mi ciepło, wygodnie i dobrze się stołuję pierwszy raz od wieków, lecz w innym sensie moje życie się skończyło.

No, może nie skończyło, bo nie chcę dramatyzować, ale nic mi nie zostało z tego, co

„miałam” - przepadła posada, doktorat, garstka przyjaciół, mieszkanie, trochę rzeczy, książki... Jeżeli jednak Laura nie zmieni zdania na mój temat, nie będę tu mogła zostać na zawsze.

W nocy z niedzieli na poniedziałek mam ten sam sen, który śni mi się od przyjazdu tutaj - stoi przede mną Apollo Smintheus i powtarza: „Jesteś mi coś winna”. Budzi mnie deszcz bębniący o okno dachowe rytmicznie jak maszyna, kiedy budzik wskazuje czwartą rano. W

poniedziałek niebo jest szare jak obudowa perkusji, a świt pulsuje nagłymi rozbłyskami równoczesnych żółtych błyskawic. Około południa słychać pojedynczy grzmot, a potem przestaje padać. Burlem przez jakiś czas słucha radia, w którym ponawiają ostrzeżenia przed zbliżającą się straszną burzą z wiatrami wiejącymi z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę. Burza jednak nie nadchodzi.

We wtorek rano niebo jest niebiesciutkie i krystaliczne, wyraźne jak odbicie w metalu.

Myślę sobie: Czy to jest ta cisza? Oko cyklonu? Laura postanawia popracować w ogrodzie, a ja siedzę beczynn timer przy dużym stole i palę papierosa, podczas gdy ona szuka rękawic ogrodniczych i

wychodzi na dwór bez słowa. Przez okno widzę ptaka podobnego do sokoła, który przycupnął na jednym ze słupów telegraficznych za domem. Ciekawe, czy Laura go widziała. Jest taki piękny; bardziej przypomina coś z ksiązek niż z prawdziwego życia.

Bardziej przypomina obraz albo słowo niż zwierzę. I zastanawiam się: czy język tak bardzo oddala nas od takich rzeczy, że już nie możemy w nie wierzyć? A może przez to, że tyle czasu spędziłam w Troposferze, przyzwyczaiałam się do patrzenia na różne rzeczy, jak chociażby ten sokół, i zakładania, że sama je wymyśliłam i że to tylko metafora czegoś innego? Gaszę papierosa. Może powinnam spróbować zawrzeć pokój z Laurą. Od kilku dni nie byłam na świeżym powietrzu.

Kłęczy przy jednej z rabat, spulchniając ziemię.

- Cześć - mówię, podchodząc do niej. - Mogę pomóc?

- Nie, nie trzeba - odpowiada, nie podnosząc wzroku.

Powinnam odejść, ale nalegam.

- Proszę - mówię. - Pozwól mi, żebym trochę pomogła.

Wzdycha.

- Narzędzia są w szopie.

Biorę małą łopatkę i kawałek brezentu podobny do tego, na którym kłęczy Laura.

Wracam i kładę moją płachtę koło jej płachty, po czym zaczynam ją naśladować. Pracujemy tak przez jakieś pięć minut, zanim dociera do mnie, że jeśli chcę rozmawiać, to muszę sama zagaić.

- Przepraszam, że pojawiłam się tak zniecka - mówię.

- Hm - mruży w odpowiedzi. To ten sam krótki, ucinający sprawę dźwięk co zwykle.

- I... Posłuchaj. Chciałam ci to powiedzieć już od kilku dni. Naprawdę mi przykro, że weszłam do głowy Burlema, żeby się tu dostać. Faktycznie wiem o tobie rzeczy, których prawdopodobnie wolałabyś mi nie zdradzać, i bardzo przepraszam, że pogwałciłam twoją prywatność. - Nabieram powietrza. - To jeden z felerów Troposfery, że nie myśli się o czymś, dopóki nie jest za późno i już się tego czegoś nie zrobiło. Chodzi mi o to, że wszystkie moje doświadczenia podczas pobytu w Troposferze były czymś w rodzaju eksperymentu. -

Zastanawiam się: to nie do końca prawda i ona o tym wie. - Okej, przyznaję, że ten jeden jedyny raz działałam z rozmysłem, bo chciałam odnaleźć Saula...

- Czemu czasem mówisz do niego per „Burlem”? - pyta mnie, wciąż dźgając łopatką ziemię.

- Ech, jakoś samo mi tak wychodzi - odpowiadam. - Chyba podłapałam to na uniwerku. Mnóstwo ludzi zwraca się do niego raczej per „Burlem” niż Saul.

- Chyba „profesorze Burlem” - poprawia, marszcząc brwi.

- Inni pracownicy uniwersytetu nie. - Wzruszam ramionami. - To cię drażni?

- Tak. Chociaż nie wiem czemu.

- Przestanę tak robić. Naprawdę mi przykro, wiesz?

Obie w dalszym ciągu dziobiemy ziemię. Znajduję dżdżownicę, którą ostrożnie podnoszę i przekładam w bezpieczne miejsce. Laura obserwuje mnie, kiedy to robię, ale nie mam pojęcia, co myśli.

- Czego się o mnie dowiedziałaś, kiedy byłaś w głowie Saula?

- Niewiele - odpowiadam. - Wiem, że w Niemczech poszliście do łóżka. To jedyny intymny szczegół, jaki znam. Oczywiście było znacznie więcej szczegółów dotyczących was dwojga, ale pamiętam, że chciałam tylko ustalić, gdzie on jest, a nie dowiedzieć się czegoś o jego uczuciach, więc podążałam za jednym kompletem wspomnień.

- Hm.

- Naprawdę cię przepraszam. Słuchaj, zapraszam cię do mojej głowy, jeśli chcesz i kiedy tylko chcesz. Znajdziesz dużo paskudnych szczegółów, w tym kilka takich, które opuściłam, opowiadając swoją „historię do chwili obecnej”.

- Nie trzeba. Ale dziękuję - mówi i wraca do obracania skib czerwonej ziemi łopatką. Najwyraźniej moje słowa niczego nie zmieniły.

Wtedy jednak Laura się uśmiecha.

- Zawsze lubiłam pracować w ogrodzie, kiedy chciałam coś sobie rozważyć, poobrać w myślach - mówi. - To takie monotonne i odprężające, nie uważasz?

Mój Boże. Czy ona właśnie zaczęła rozmowę ze mną?

- Tak - przyznaję. - Nawet bardzo.

- Saul chwilowo wszystko robi zgodnie z zaleceniami zen. Jeśli spulchnia ziemię, wkłada w to całego siebie. Co nie znaczy, że kiedykolwiek się skalał pracami ogrodniczymi.

Ale czasami, kiedy maluje płot albo osadza na kablu nową wtyczkę, widać, jak to robi: całkowicie oddaje się swojemu zajęciu i nie wykorzystuje go jako pretekstu do rozmyślania o czymś innym.

Zastanawiam się, co takiego mogła „obrać w myślach” Laura. Prawdopodobnie jak poprosić mnie, żebym już wyjechała. Przez chwilę nie wiem, co mogłabym powiedzieć. Ale też nie chcę, by rozmowa się skończyła. Pierwszy raz, odkąd tu jestem, nie mam poczucia, że Laura mną gardzi.

- O, byłabym zapomniała. Ktoś nagrał się na sekretarkę - mówię.

- A. Ta pisarka. Znowu.

- Pisarka?

- Tak. I to jest ten problem, który chciałam sobie przemyśleć. - Wzdycha, a potem milczy przez dłuższy czas. - Saul mówi, że dużo wiesz na temat eksperymentów myślowych.

- Tak. Robię... a może powinnam powiedzieć: „robiłam” doktorat właśnie z eksperymentów myślowych.

- Hm. Twoim zdaniem opowiadanie może być eksperymentem myślowym?

- O, tak - odpowiadam natychmiast. - Powiedziałabym, że wszystkie takie eksperymenty są opowiadaniem.

- Interesujące. Dlaczego tak uważasz?

- Cóż, wszystkie eksperymenty myślowe przyjmują postać narracji. No, w każdym razie te, które rozumiem. - Zdaję sobie sprawę, że rozmawiam z prawdziwym naukowcem, i raptem dociera do mnie, że powinnam się jakoś zastrzec. - Na pewno możesz mi dużo powiedzieć o eksperymentach myślowych, które nie są fabułami. Ale...

Laura marszczy czoło.

- Nie. Podoba mi się pomysł, że eksperymenty myślowe to opowiadania.

Przypuszczam, że jeśli nimi nie są, stanowią część „twardej” nauki i już wcale eksperymentami myślowymi nie są. Pociągi Einsteina... Kot Schrödingera. Hm.

- Otóż to. Akurat tym dwóm przyglądam się bliżej.

- Cóż, kiedyś będziemy musiały porządnie pogadać na ten temat. Ale na potrzeby tej dyskusji zgadzasz się, że eksperyment myślowy mógłby być pewną opowieścią?

- Zdecydowanie tak. Czemu pytasz?

- A gdybym tak przedstawiła ci pewien eksperyment? Dotyczy Troposfery i chociaż rzeczywiście istnieje jako pewna opowieść z postaciami i tak dalej, ja tej opowieści jeszcze nie widziałam, więc po prostu opowiem ci ją jako coś w rodzaju opowieści, ale bez bohaterów, jeśli to ma jakiś sens.

Nie za bardzo, mimo to kiwam głową potakująco.

- Wal. Zaintrygowałaś mnie.

- Co do tej pory udało ci się ustalić na temat Troposfery? - pyta. - Chodzi mi o same podstawy.

- To miejsce stworzone z języka.

- Konkretniej.

- No to z myśli - poprawiam się. - Jest całe z metafor i...

- Z myśli - powtarza. - Znakomicie. Tak. To miejsce stworzone z myśli. Zatem mogłybyśmy zadać sobie pytanie: czym jest myśl? Zgadzasz się ze mną?

- Tak.

- A nasze doświadczenie Troposfery pokazuje nam, że myśli nie są niewidzialnym, wymyślonym „niczym”. Są w nią wpisywane w momencie, kiedy się pojawiają, i w tym sensie stają się bytami. Zgodziłabyś się z tym twierdzeniem?

- Tak.

Wciąż obracamy skiby ziemi, chociaż ta część rabaty naprawdę już tego nie wymaga.

- Dobrze. Czyli możemy się zastanowić nad koncepcją, że myśli są materialne.

Przypomina mi się coś z pierwszej ulotki Apollona Smintheusa.

- Myśl jest materią... o, może tak.

- No właśnie! Ale trudno sobie zwizualizować myśli jako materię.

- Owszem. Muszę przyznać, że mnie się to jeszcze nie udało.

Chociaż niebo wciąż jest nieskazitelnie niebieskie, na twarz spadają mi pierwsze krople deszczu. Patrzę w górę, by sprawdzić, skąd się biorą, lecz nie ma nad nami ani jednej chmury.

Laura uśmiecha się do mnie.

- No dobrze - mówi. - A oto ta historyjka. Eksperyment myślowy. Co ty na to?

Wyobraź sobie komputer z olbrzymią pamięcią dysku twardego. Na tym komputerze włączony jest jakiś program, może trochę jak gra komputerowa, z postaciami i miejscami. A postaci z tego programu zapisane są w kodzie binarnym. Powiedzmy, że są częścią gry symulacyjnej. Na pewno się kiedyś z czymś takim zetknęłaś, z grami, w których tworzysz, powiedzmy, małe miasteczko dla swoich bohaterów, żeby mieli gdzie mieszkać, a potem oprogramowanie generuje takie efekty, jak deszcz, susza i wojny.

- Aha. Wiem, o co ci chodzi.

- Następny etap wymaga odrobiny ślepej wiary. Co ci wiadomo na temat sztucznej inteligencji?

- Wiem, że Samuel Butler spekulował, że maszyny mogą się stać świadome równie łatwo jak ludzie - mówię. - Że świadomość maszyn jest równie nieuchronna jak ludzka.

- Interesujące. Mów dalej.

- Argumentował, że świadomość jest częścią składową ewolucji. To przypadkowa mutacja, która mogła się przydarzyć czemukolwiek. A bądź co bądź maszyny są zrobione z tego samego budulca co my... No i przez cały czas je karmimy. Karmimy je paliwem i językiem...

- Tak! - Postukuje w ziemię łopatką. - Dobrze. Ale nie rozpędzaj się. Ponieważ nie wiem, do czego właściwie zmierzamy, nie jestem pewna, jak mogłabym się powstrzymać przed wyciąganiem niewczesnych wniosków. Obracam więc tylko kolejną skibę ziemi i mówię:

- Okej, przepraszam. Mów dalej.

- Wyobraź sobie, że do mutacji dochodzi w naszej symulacji komputerowej. Jej mali bohaterowie stają się świadomi. Z czego byłyby ich myśli?

Wyobrażam sobie mojego laptopa leżącego na biurku, a na nim tę grę. Wyobrażam sobie, jak to jest być jednym z tych małych cyfrowych binarnych ludzików. Istnienia ilu wymiarów byłyby świadome? W jakie interakcje wchodziłyby z innymi ludzikami? Myślę o tym, z czego stworzony jest ten świat - same zera i jedyneki - po czym zdaję sobie sprawę, że w tym małym świecie wszystko byłoby zerami i jedynekami. Małe ludziki może by ich nie widziały, ale wszystko, łącznie z ich myślami, byłoby z tego samego budulca.

- Ich myśli byłyby z tego samego kodu, z którego jest cały ich świat - zwracam się do Laury. - Z zer i jedynek. - Zaczyna mnie mdlić.

- Tak, bardzo dobrze. Teraz powiedz, z czego są trawa i drzewa w naszym binarnym świecie.

- Z zer i jedynek.

- A domy i woda, i powietrze?

- Zera i jedyneki.

- A co się dzieje z myślą w tym świecie, kiedy już się pojawiła? Znika?

- Jest zapisywana na twardym dysku. - Przez chwilę zastanawiam się nad tym, gdzie zapisywane są pliki tymczasowe, i nad różnicą pomiędzy RAM-em a ROM-em. - Czy nie?

- Owszem. To informacje w zapisie zero-jedynkowym, jak wszystko inne w tym świecie. Zatem zgodziłabyś się, że twardego dysku rozrasta się z prędkością, z jaką myślą te istoty?

Zastanawiam się nad tym. Przestałam używać łopatkę, więc odkładam ją i siadam na brezencie. Następne krople deszczu spadają znikąd: z tej samej niewidzialnej chmury na niebie.

- No nie wiem... - mówię. - Co do tego akurat nie jestem przekonana. To ma być podchwytliwe pytanie?

- Tak. Zgadza się. Twardy dysk sam w sobie się nie rozrasta ani nie zmienia, ani nie nabiera masy, ani nic w tym rodzaju. Za to zmienia się informacja na nim zapisana. Jest nieustannie dopisywana. Gdyby uznać, że twardy dysk jest tylko pustą przestrzenią do zapisywania danych, można by uznać, że się rozszerza. Można by argumentować, że w tym scenariuszu nie ma pustego miejsca.

- Okej.

- No. I jak ci się to na razie podoba?

- Chyba jest mi trochę niedobrze.

- A dlaczego?

- Bo to co mówisz, ma sens. Troposfera jest jak twardy dysk, do którego normalnie nie mielibyśmy dostępu, chociaż teoretycznie moglibyśmy go mieć, skoro znajduje się w tym samym komputerze... i... O cholera. Żyjemy w symulacji komputerowej. To próbujesz powiedzieć?

- Ha, ciekawe... Nie. Nie uważam, żebyśmy żyli w symulacji komputerowej.

Komputer jest metaforą.

- Metaforą czego?

- Chciałabym, żebyś się trochę nad tym pozastanawiała. Już mi pomogłaś rozwiązać mój dylemat z pisarką. Ale teraz chcę, żebyś pomyślała o czymś innym. Skoro w tej symulacji komputerowej myśl i materia są z tego samego, to jak powstaje materia?

Deszcz staje się coraz bardziej ulewny, mimo że niebo wciąż jest bezchmurne. Laura wstaje.

- Może to ta zapowiadana burza - mówi. - Wracajmy do środka.

Po powrocie do domu Laura zmyka do swojego gabinetu.

- Zastanów się nad tym - prosi raz jeszcze.

Zastanawiam się więc. Siadam na łóżku i wszystko dokładnie sobie przemyślam.

Poświęcam na to cały dzień: na rozegranie eksperymentu myślowego do samego końca, co rusz dodając trochę szczegółów. Skoro myśl i materia są tym samym, to jak powstaje materia? Myślę o materii i o tym, czym jest - kwarkami i elektronami - i zastanawiam się, czym kwarki i elektrony różnią się od zer i jedynek. W obu tych możliwych światach „tworzą materię” w taki sam sposób. Wszechświat, podobnie jak świat w komputerze, zawiera stałą ilość materii. Kwarki i elektrony mogą w różnych kombinacjach tworzyć w fizycznym świecie, co im się żywnie podoba: ziarno, drzewo, węgiel. Później wszystko gnije i zostaje przerobione z tego samego budulca.

W komputerowym świecie można by coś zrobić z zer i jedynek: zdjęcie pornograficzne na przykład - a potem to coś skasować, zapisując na nim coś zupełnie innego, gdyby się miało odpowiednie oprogramowanie, które pozwalałoby użytkownikowi majstrować przy pamięci na poziomie zer i jedynek. Można by sprawić, aby wyglądało to tak, jakby tamten obraz nigdy nie istniał, jakby to od początku była niezapisana przestrzeń albo dokument o drzewie. Ale można by zostawić jakiś ślad: skamieliny na przykład są takimi śladami. Kwarki i elektrony zamrożone w czasie, niezamierzające się poddać rozpadowi i przemianie w coś nowego.

Jak zatem powstaje materia?

Później, przy kolacji składającej się z grzanek z pieczarkami, ponownie zaczyna się dyskusja.

- Opowiedziałam Ariel o mojej książce - zwraca się do Burlema Laura. - W każdym razie o tym eksperymencie myślowym z komputerem.

- To jedyny fragment, który naprawdę rozumiem - oznajmia Burlem i dodaje do mnie:

- Reszta to głównie matma.

- Jeszcze nie odpowiedziałam na twoje pytanie - mówię do Laury - o to, jak powstaje materia.

Burlem się śmieje.

- Przyjemna zagadka, żeby dostarczyć komuś zajęcia na deszczowe popołudnie.

Niebo od rana ciemniało i około trzeciej sama nie byłam pewna, co się dzieje na dworze: czy to już noc czy tylko ta burza? Koło piątej po południu parzyłam kawę i patrzyłam, jak Burlem próbuje wywabić Plancka na zewnątrz. Pies jednak tylko się cofał do domu. Był to najszybszy sposób, żeby uciec z deszczu. Wyglądało to dosyć komicznie.

- Nie spodziewałam się odpowiedzi - mówi Laura z przyjaznym uśmiechem.

- Przyjmuję, że kwarki i elektrony są zupełnie jak zera i jedyneki - wyjaśniam. - I teraz wydaje mi się oczywiste, że myśl jest materią...

Chociaż mam z tym pewien problem. Jeśli myśl jest materią, to wszystko jest realne.

A ja sądziłam dotąd, że nic nie jest realne. *Différance* Derridy; symulakr Baudrillarda. Jeśli myśl jest materią, to wszystko staje się realne. Czy obie te koncepcje mogą być prawdziwe równocześnie? Czy to równanie może się sprawdzać tak samo jak „energia równa się masie”?

- Co prawda myśl nie sprawia, że materii przybywa - odzywa się Laura - ale ani myśl, ani materia nie mogą brać się znikąd.

- Nie. To rozumiem... chyba. Ale myśl w pewien sposób... kształtuje...

- Koduje - poprawia Laura. - Myśl koduje materię.

- Co to znaczy? - Piję łyżeczek czerwonego wina i ręka mi się trzęsie.

- Kiedy myślisz, potencjalnie zmieniasz rzeczy.

Myślę nad tym i nad wszystkim innym, co do tej pory powiedziała. Wyobrażam sobie małe binarne ludziki w ich światku, w którym wszystko, co widzą dookoła, i wszystkie ich myśli zrobione są z tego samego. Przypuszczalnie w tym świecie można by tworzyć rzeczy, tylko o nich myśląc. Nie byłoby różnicy między myślą o deszczu i samym deszczem. Ale z pewnością nie ma to zastosowania w naszym świecie?

- Chcesz powiedzieć, że jeśli pomyślę „drzewo”, mogę stworzyć drzewo? - pytam Laurę nieprzekonana.

- Nie w tym świecie - odpowiada.

- Ale w tym komputerowym owszem? W tym z eksperymentu myślowego?

- Z grubsza - mówi. Patrzy na Burlema. - Ma smykałkę do uproszczeń.

- Nie jest to umiejętność przydatna na wydziale anglistyki - stwierdza Burlem. - Ale owszem.

- Czemu „z grubsza”? - pytam Laurę. - Czemu tylko z grubsza mogę stworzyć drzewo, myśląc o nim, jeśli jestem jednym z tych ludzików?

- To już zależy od tego, w jakim kodzie myślisz. Czy potrafisz myśleć w kodzie maszynowym czy tylko językiem oprogramowania wewnątrz programu.

- Jakoś tego nie łapię - wyznaję, marszcząc czoło.

Ledwie czuję smak potraw. Jestem boleśnie świadoma, że o rzeczywistości teraz rozmawiamy: o pokoju, w którym siedzę, o krześle, na którym siedzę, o moim umyśle i snach, i o wszystkim, co sprawia, że istnieję. Mam dziwaczne uczucie, że jeśli źle odpowiem na którekolwiek z tych pytań, wszystko wokół mnie zacznie topnieć: że zależy od tego istnienie wszystkiego.

A potem myślę: „Nie bądź głupia, to tylko teoria”.

Tyle że już widziałam dowody jej prawdziwości. Byłam w Troposferze.

Z drugiej strony, przecież Troposfera może być dosłownie wszystkim.

- Zgubiłaś się? - pyta Burlem ze śmiechem. - Och, witaj w klubie.

- No wiecie, to tak, jakby świat się obracał, sama nie wiem...

- Do góry nogami? - kończy Laura.

- Aha. Ale w więcej niż tylko czterech wymiarach. Nie mogę... - Co ja chciałam powiedzieć? Nie

jestem pewna. - To czym jest kod maszynowy? - pytam. - I czemu nie mogę tworzyć drzew myślą?

Laura upija łyk wina.

- Cała moja książka jest o tym, czym potencjalnie jest „kod maszynowy”. Jeszcze sama nie jestem tego pewna. Mam hipotezę, że istnieje, ale wciąż szukam, jak go w pełni wyjaśnić za pomocą matematyki... Myślę, że prawdopodobnie odwaliłam już jakieś siedemdziesiąt pięć procent roboty. - Odstawia kieliszek. - Wiesz, oczywiście, że w realnym świecie nie można czegoś stworzyć samym myśleniem. Nie możesz stworzyć banknotu dziesięciofuntowego, kiedy jesteś biedna, albo kanapki, kiedy jesteś głodna. Umysł po prostu tego nie potrafi.

- A szkoda - wtrąca Burlem.

- Jednak wiemy też... a raczej w tej chwili się umawiamy, że myśl jest materią. Myśl jest zakodowana; myśl nigdy nie przepada. Myśli wszystkich ludzi istnieją w innym wymiarze, który doświadczamy jako Troposferę.

- Tak - potwierdzam, odkładając widelec.

- Wiemy, że myśl jest materią, ponieważ dzieje się to w zamkniętym systemie, w którym wszystko jest utworzone z materii. Całkiem jak w programie komputerowym z naszego eksperymentu myślowego. Nie ma w nim niczego, co nie byłoby zapisane kodem, ponieważ w komputerze po prostu nie może istnieć nic, co nie jest zapisane kodem. Nic spoza systemu nie mogłoby z definicji istnieć w systemie. Jednak wiemy także, że myśl nie może tworzyć nowej materii...

- To akurat rozumiem - wtrącam. - Istoty z komputera nie mogłyby siłą woli zwiększyć RAM-u na przykład.

- Dobrze - chwali Laura. - Ale materią, która już tam jest, można manipulować.

Gdzie ja ostatnio słyszałam określenie „zginanie łyżeczek”? Narzuca mi się właśnie takie skojarzenie, lecz milczę. Nie jestem pewna, czy z tym zginaniem łyżek to prawda, a jakoś nie znam przykładów, żeby ktoś pomyślał o złotej rybce na przykład i żeby w efekcie rybka się pojawiła. Magicy, którzy zdają się zmieniać jedwabne apaszki w gołębie, w rzeczywistości tego nie robią: to tylko iluzja.

Laura wciąż mówi. Opisuje dwa poziomy kodu na metaforycznej maszynie: kod maszynowy i kod oprogramowania. Kod maszynowy sprawia, że maszyna działa oraz

„informuje” kod oprogramowania, co ma robić. Laura mówi o tym w skupieniu, z naleganiem, jakby usiłowała uspokoić pasażera, który wskutek jakiejś tragedii musi zastąpić pilota za sterami. Przez sekundę mam wrażenie, że ona uważa, że wkrótce umrze. Potem ta myśl znika.

- Więc co w naszym świecie jest zapisane kodem maszynowym? - pyta mnie Laura.

- Prawa fizyki? - odpowiadam, zastanawiając się, czy to ja jestem tym pasażerem, który ma sprowadzić samolot na ziemię, i czy go rozbiję czy nie.

- Tak. Znakomicie. I?

- I...? - Zastanawiam się przez kilka minut. A kiedy myślę, Burlem kończy posiłek, po czym zbiera naczynia i ustawia je w zmywarce.

- Co z filozofią? - ponagla Laura. - Z metafizyką?

Pomału kiwam głową.

- No dobrze. Więc... co właściwie chcesz powiedzieć? Że niektórzy myślą tym kodem maszynowym?

- Być może - przyznaje. - A jak myślisz, kto mógłby myśleć kodem?

- Kodem maszynowym w przeciwieństwie do kodu „zwykłego świata”, to masz na myśli?

- Tak.

- No więc kodem zwykłego świata jest w zasadzie język, a kod maszynowy to myśli...

hm... naukowców? Filozofów?

- Tak. A teraz pomyśl o jakiejś postaci historycznej. O kimś, kto byłby do tego zdolny.

Popijam wino.

- Einstein?

- Dobra odpowiedź. I najtrudniejsze pytanie ze wszystkich. Kiedy Einstein wymyślił

swoje teorie względności, po prostu opisywał świat taki, jakim go zastał, czy...? - Unosi brwi i czeka, żebym dokończyła zdanie.

- Sprawiał, że taki się stał - mówię. - Boże.

- Rozumiesz? - pyta Laura. - To dziwne, nie sądzisz, że Einstein znalazł dokładnie to, czego szukał, mimo że to nie powinno mieć sensu? Teoria była błyskotliwa, jasne, ale oderwana od ziemi w porównaniu z fizyką Newtonowską. Potem Eddington wyruszył, żeby obejrzeć zaćmienie, i hipotezy Einsteina zostały potwierdzone. I wciąż są potwierdzane. Nie można obecnie skonstruować systemu GPS, nie biorąc pod uwagę teorii względności. I nawet stała kosmologiczna, którą Einstein odrzucił i ogłosił swoją największą pomyłką, nawet ona nie poszła całkowicie w odstawkę. Do tego dochodzi fizyka kwantowa zajmująca się z grubsza studiowaniem rzeczy, których nie powinno być widać - ciągnie. - Zajmuje się studiowaniem rzeczy, którym nikt się nie przyglądał ani zbytnio się nad nimi nie zastanawiał.

I co się stało, kiedy ludzie już im się przyjrżeli?

- Odkryli niepewność - mówię.

- Nikt nigdy nie mówił, co ta malusienka cząstka powinna robić - odzywa się Burlem.

- Więc kiedy jej się przyjrzano, okazało się, że robi, co jej się żywnie, kurwa, podoba.

- Och, niezbyt trafnie to parafrazujesz - stwierdza Laura. - Materia nie „robi, co jej się żywnie podoba”. Po prostu materia kwantowa nie znała praw. Nikt nie zdecydował, czy światło ma naturę falową czy korpuskularną. A potem ludzie byli zaskoczeni, kiedy odkryli, że i taką, i taką równocześnie. W myśl mojej teorii, być może nie jest takim zaskoczeniem, że na tym poziomie elektron jest wszędzie równocześnie, dopóki ty nie zadecydujesz, gdzie jest, a zatem także czym jest. To wpisuje się w tę teorię. Materia musi być zakodowana, zanim może coś znaczyć. A myśl jest tym, co koduje materię. Myśl decyduje o tym, gdzie jest elektron.

Przenosimy się na sofy z dzbankiem pełnym kawy. Laura rozmawiając, robi na drutach: bladezielony kaszmir zmienia się z czegoś, co przypomina cienki sznurek, w coś przypominającego rękaw od swetra, w miarę jak szare druty postukują klik-klik-klik w jej rękach. Ciekawe, dla kogo ten sweter. Mam silne przeczucie, że albo dla niej, albo dla nikogo.

Robi na drutach i wyjaśnia mi, w jaki sposób jej zdaniem skonstruowane są prawa fizycznego świata. Twierdzi, że nigdy nie było jakiegś egzystencji a priori: żadnego poczucia, że materia jest czymkolwiek albo że podlega jakimkolwiek prawom, dopóki nie pojawiła się świadomość zdolna ją postrzegać. Jednak z racji tego, że świadomość jest utworzona z tej samej materii, dwa obszary, które zawsze uważamy za odrębne - ludzki umysł i świat rzeczy -

zaczęły współdziałać, aby tworzyć, udoskonalić i ukształtować siebie nawzajem. Istoty świadome zaczęły się przyglądać rzeczom i decydować, czym one są i jak działają. Pierwsza ryba zatem nie trafiła przypadkiem na wodorosty, których potrzebuje, aby przeżyć: ona je stworzyła. I nikt nie „znalazł” ognia w wyniku szczęśliwego przypadku. Ktoś musiał o ogniu pomyśleć, a że ta myśl była w „maszynowym” kodzie, ogień się po prostu stał. I przez pewien czas wszystko działało dokładnie tak, jak wszyscy zakładali. Nie było konkurencyjnych praw, więc wszystko było proste. Słońce obracało się wokół Ziemi i istniała prawdziwa magia.

Potem przyszli inni ludzie - również zdolni do myślenia w kodzie maszynowym - i postanowili, że świat działa inaczej. Słońce stało się ośrodkiem czegoś zwanego „systemem słonecznym”, a gwiazdy przestały świecić na pamiątkę świętych. Magia stopniowo zanikała.

Rozmawiamy o teorii chaosu i o tym, jak motyle nagle uzyskały moc wywoływania huraganów; i rozmawiamy o ewolucji. Laura wyjaśnia swoją teorię - część większego projektu - że odkąd ktoś myślami powołał coś do istnienia poprzez kod maszynowy, teoria musiała przetrwać. Niektóre trwają, inne nie. W teorii Newtona były małe zgrzyty, które w teorii Einsteina zostały wygładzone. Teoria Einsteina była mutacją, lecz okazała się silniejsza.

Przetrwała. Jednak wciąż coś mi się tu nie zgadza.

- Co z czasem? - mówię.

- A co ma być? - odpowiada Laura.

- Przecież nikt nie sądzi, że względność istnieje dopiero od tysiąc dziewięćset piętego roku czy któryś tam był. Wszyscy uważają, że względność istniała zawsze, po prostu nikt jej wcześniej nie zauważył.

- A ty co sądzisz? - pyta Laura.

- Sama nie wiem.

- Może czas nie do końca działa tak, jak twoim zdaniem powinien - mówi Laura.

Potem jednak przez minutę czy dwie wcale się nie odzywa, a kiedy patrzę na jej pokrytą zmarszczkami twarz, wygląda na zmęczoną.

- Kim jest pisarka, o której wcześniej mówiłaś? - pytam. - Ta, która ciągle się nagrywa na sekretarkę.

- Ach!... - mówi Burlem.

- Och!... - mówi Laura. - Interesują ją moje teorie i z części zrobiła kondensat, z którego powstało opowiadanie. Zamierza je opublikować w piśmie *Nature*, choć nie byłam pewna, czy tego chcę. Zaproponowała, że wymieni mnie z nazwiska, ale nie jestem przekonana, czy chcę się pod tym wszystkim podpisywać na tym etapie. A jeśli chodzi o moją książkę...

Spojrzenie Laury odrywa się od moich oczu i zatrzymuje gdzieś na stole.

- Jak ją zatytułowałaś? - pytam.

- *Fizyka poststrukturalistyczna* - odpowiada. Klik-klik-klik robótki nagle milknie.

Laura wzdycha i odkłada ją na kolana. - Nigdy nie zostanie wydana, rzecz jasna - dodaje.

- Czemu nie? - pytam.

- Ponieważ nie ma na to żadnych dowodów. Nie ma czegoś takiego jak fizyka poststrukturalistyczna. Już sobie wyobrażam, jak próbuję to wytłumaczyć moim dawnym kolegom z pracy. Pomyśleliby, że zwariowałam. Czasem tak się dzieje z ludźmi po przejściu na emeryturę. Po prostu... - Wzrusza ramionami: drobnym, niemal niezauważalnym gestem.

Burlem i ja czekamy, aż skończy zdanie, lecz mówi tylko: - Cóż...

Potem Burlem pochyła się i podnosi z ziemi kłębek wełny, który musiał

niepostrzeżenie spaść i poturlać się pod fotel Laury.

- A co z Troposferą? - pytam.

- Troposfera przestanie istnieć - odpowiada Burlem.

- Przestanie istnieć? Ale... jak?

- Ty ją zniszczysz - mówi spokojnie.

ROZDZIAŁ 25

Siedzę na łóżku, a myśli trzepoczą w moim umyśle niczym motyle chaosu.

O kurwa.

Już rozumiem, czemu Apollo Smintheus okazał mi szczególną uwagę. Mogę zmieniać myśli w umysłach innych ludzi - zupełnie jak „smyki”. Umiem sprawić, że facetom takim jak Martin Rose tak bardzo zachce się skorzystać z toalety, że schodzą z posterunku. I to ja sprawiłam, że Wolf nie chciał powiedzieć Adamowi, gdzie jest książka, kiedy ludzie z projektu Gwiazdny Blask z pewnością byli w umyśle Adama i wszystkiemu się przysłuchiwali. Nie sądziłam, że jest we mnie coś wyjątkowego. Okazuje się, że jednak jest.

Laura uważa także, że zdołałabym myśleć w kodzie maszynowym; mam ten potencjał. I właśnie dlatego Apollo Smintheus chce, żebym wytropiła Abbie Lathrop i za jej pośrednictwem zmieniła historię. Burllem i Laura chcą, żebym cofnęła się jeszcze dalej i przekonała Lumasa, by nie pisał tej książki. Twierdzą, że mogę planować podróż tak długą, jak tylko zechcę - bądź co bądź, kiedy nie będzie książki, przepadnie i wiedza. Ludzie z projektu Gwiazdny Blask nigdy nie znajdą książki w klasztorze, ponieważ jej tam nie będzie.

Nie będzie projektu Gwiazdny Blask. Ale ja znowu się martwię o paradoksy: przyszpilają mnie do ziemi jak motyla za skrzydła. Skoro już to zrobiłam, i to z powodzeniem, nie musiałabym robić tego teraz. I wcale nie mam tyle czasu, ile mi się żywnie zamarzy. Martin i Ed mogą tu wpaść jutro rano i odstrzelić mi mózg. Fakt, że wciąż tu są, na tym świecie, i że chcą mi zrobić kuku, musi przecież sugerować, że mi się nie udało.

Chociaż... Może czas nie funkcjonuje tak, jak wszyscy sądzimy.

Jednak może lepiej za dużo o tym nie myśleć... Prawdę mówiąc, teraz trochę się boję pomyśleć o czymkolwiek, skoro już wiem, czym potencjalnie są moje myśli.

A więc chciałam wiedzy i ją mam. Tylko czy chciałam wiedzy właśnie tego rodzaju?

Czy chciałam pewności, że nie ma Boga, że my j e s t e ś m y Bogiem? Że niekoniecznie istnieje jakiś stwórca albo przyczyna? My tworzymy przyczynę i jedynie śnimy o stwórcach: tylko tyle potrafimy. Z tym że to zawsze wiedziałam, prawda? Być może. Ale jakie to okropne, jak okropnie jest uzyskać dowód tego, że ma się rację - że owszem, nie ma w niebiesiech tatuśka, który będzie z ciebie zadowolony, bo dobrze złożyłeś układankę. Żadna wyższa istota nie będzie ci bić braw i nie przyzna ci wyjątkowego miejsca w niebie, bo zrozumiałeś trochę z Heideggera. Może i Bóg jest gdzieś tam w Troposferze, lecz Troposfera jest po prostu naszą myślą. I niczego poza tym już nie ma. Nasze myśli obracają kwarkami w górę i w dół i rozmazują elektrony w to, czym mają się stać.

Newtonowska przyczyna i skutek sugerowały, że ktoś nakręcił początkowy zegar, aż ten zaczął tykać,

i że każde pojedyncze działanie we wszechświecie dałoby się przewidzieć, gdyby tylko dysponowało się czymś o dostatecznie dużej mocy, aby dokonać aktu przepowiedni. Nie ma wolnej woli w naszym świecie, w jednym ze światów, w którym potencjalnie można wiedzieć wszystko. W takim świecie wstanę rano i zrobię to, do czego zostałam zaprogramowana: jakby moje działania były tylko kostkami w komputerowej partyjce domina potrącanymi przez inne komputerowe kostki. Oto co się dzieje, kiedy człowiek próbuje łączyć Boga z nauką. Powstaje narracja, krótko mówiąc. Jest początek, środek i koniec; koniec istnieje tylko dlatego, że istnieje środek. Na początku było słowo, a słowo było z Bogiem, a słowo było Bogiem.

Usuń tę przyczynowo-skutkową narrację i zostanie ci świat kwantowy, dość niepokojący sam z siebie z tymi wszystkimi możliwościami multiwszechświatów i nieskończonego prawdopodobieństwa. Ale jeśli nie brać sprawy zbyt poważnie i jeśli uwzględnić ewolucję i ekonomię, i wszystko inne, co w naszym świecie przyjmuje się za pewnik, wówczas ma się chociaż złudzenie wolnej woli. Można postanowić, że osiągnie się bogactwo. Można wyrosnąć i zostać prezydentem. Nieprawdopodobne, lecz możliwe.

Jednak w tym nowym świecie fizyki poststrukturalistycznej mam tak dużo wolnej woli, że już nic nie znaczy.

„Już wcześniej w to wierzyłaś, Ariel. Czytałaś Heideggera, Derridę. Jarało cię to wszystko: brak absolutów. Właśnie w to wierzyłaś. Wszystko zależy od czegoś innego”.

Tyle że nigdy nie chciałam, aby taka była prawda. A może chciałam, by to było prawdą jedynie w odniesieniu do zamkniętego systemu, jakim jest język, w którym zresztą nic nigdy nie jest absolutnie prawdziwe. Chciałam niepewności. Ale nie chciałam świata stworzonego z języka i z niczego poza tym.

Może dlatego Burlęma ciągnie w pustkę.

Ja także bym się tam wybierała, gdybym nie musiała znowu się udać do Troposfery, mając w perspektywie realne prawdopodobieństwo, że już nigdy nie wrócę. Załóżmy jednak, że rozumowanie Burlęma i Laury jest dostatecznie bliskie prawdy. Skoro i tak zamierzam cofnąć się w czasie, by skłonić Abbie Lathrop do zmiany zdania na prośbę Apollona Smintheusa, czemu nie miałabym się cofnąć odrobinę więcej, by wpłynąć na Lumasa dla dobra rodzaju ludzkiego? Poza tym, rzecz jasna, wszystko co Laura i Burlem powiedzieli, brzmiało rozsądnie. Troposfera nie powinna istnieć. Gdyby dostatecznie dużo osób dowiedziało się o Troposferze, spełniłby się najgorszy możliwy scenariusz: byłibyśmy bez Boga - ale i bez wolnej woli. Ludzie po prostu kontrowaliby umysły innych. Ci mający moc mogliby manipulować resztą z nas, tak abyśmy myśleli to, co oni by chcieli, abyśmy myśleli.

Wszelkie „złe” czy „rewolucyjne” myśli można by wymazać.

Właśnie. Tak jak ja wymażę myśli Abbie Lathrop i Thomasa E. Lumasa.

Kiedy się kładę, trudno mi zasnąć. A kiedy już nawet przysnę, przekonuję się tylko, że znowu śnię o Apollonie Smintheusie. Większość snu jest taka sama jak poprzedniej nocy, Apollo Smintheus znowu w kółko powtarza: „Jesteś mi coś winna”. Za to druga część snu to powtórzenie wszystkiego, co

mówił na temat podróży w czasie i związanych z nimi paradoksów. Pytam go: „Ale jak mogę cofnąć się w czasie i zmienić świat, który w tej chwili nie jest jeszcze zmieniony w wyniku tego, co zrobiłam?”. A on mówi tylko: „Już to zrobiłaś”.

Koniec końców śpię może z godzinę.

Kiedy wstaję rano, deszcz już nie pada, a Burlem czeka na mnie z owsianką. Nie jestem pewna, czy mam ochotę na tę owsiankę; chyba najbardziej chce mi się zapalić, a potem przejrzeć kuchenne szuflady, dopóki nie znajdę najostrzejszego noża, a jeszcze później spędzić kilka godzin samotnie na przekonywaniu siebie, że jestem rzeczywista, jestem człowiekiem i coś znaczę. Ostatecznie częstuję się owsianką, po czym wypalam papierosa, popijając go szklanką wody. Laura schodzi z gabinetu na piętrze około dziesiątej.

Siedzę na jednej z żółtych sof, kończąc drugiego papierosa tego dnia. Ogień już dawno dogasł i pstrykam niedopałkiem w popioły. Burlem jest na spacerze z Planckiem.

Laura robi sobie filiżankę ziołowej herbaty i siada w fotelu.

- Jak tam? - mówi.

Muszę zakasłać.

- Pomalutku...

- Co za noc! - wzdycha. - Jak się czujesz?

Patrzę za nią, przez przeszkłone drzwi na patio. Trawa wciąż jest wilgotna po nocnych przymrozkach. Widzę pas ziemi, którą wczoraj przekopałyśmy; wygląda na czerwiejszą i pulchniejszą niż reszta ogrodu.

- Czuję się kompletnie wykończona - mówię. - Tyle do myślenia... No i nie spałam najlepiej.

- Och... Przez to myślenie?

- Głównie dlatego, że mam złe sny - wyjaśniam. - O paradoksach podróżowania w czasie.

- Ano tak. Nie dają ci zasnąć. Byłam żoną światowego eksperta w tej dziedzinie, więc powinnam wiedzieć, co mówię.

Jej uśmiech jest łzawy, a ja zastanawiam się, co się z tym mężem stało. Uciekł z kimś, do kogo wydzwaniał z toalety? A może umarł, a Laurze został jedynie pies do towarzystwa?

Ale przecież nie spytam.

Marszczę czoło.

- Mnie dręczyły stopy.

Laura z uśmiechem spokojnie pije herbatę.

- Stopy?

- Tak - potwierdzam. - Ludzka stopa. Nikt nie wie dokładnie, jak ona działa... W

każdym razie nie na tyle dokładnie, żeby skonstruować jej replikę. Do tego dochodzą takie rzeczy, jak śmieciowe DNA i procesy kognitywne, i to, że teoria kwantowa nie przystaje do prawa ciężenia, ale każdy uważa, że musi... Jak to działa?

- Może byś jaśniej powiedziała? Jak co działa?

- No bo ewidentnie nikt nie był w stanie „pomyśleć” tych rzeczy, aby powołać je do istnienia, a przecież istnieją. Myślę, że chcę zapytać o to, jak fizyka poststrukturalistyczna wyjaśnia rzeczy, które istnieją na świecie, nie tłumacząc, czy właśnie wytłumaczenie jest tym, co je tworzy.

Laura potakuje skinieniem, ale jeszcze się nie odzywa.

- Czyli - ciągnę - jak w scenariuszu, który opisywałaś, może się uchować coś z tajemnicy?

- Dobre pytanie - mówi. - Bardzo dobre pytanie.

- A istnieje na nie odpowiedź?

Wzdycha.

- Tak. Sądzę, że tak. To ciekawe, że myślałaś o paradoksach podróży w czasie, ponieważ...

- Ponieważ co?

- Cóż, wszystkie te pytania w zasadzie dotyczą stworzenia. Czym jest stwórca? Co stwórca robi? Kiedy odbywa się akt kreacji? Oczywiście naukowcy nie znoszą słów „kreacja” i „kreacjonizm”. Nauka jest przeciwna kreacjonizmowi czy inteligentnemu projektowi, a w każdym razie jest przeciwna uczeniu ich razem z przedmiotami ścisłymi w ramach programu nauk ścisłych. Jednak ironia polega na tym, że istnieją stwórcy i że są nimi właśnie naukowcy. - Laura upija łyk herbaty i odstawia kubek. - Poza tym przywykliśmy do myślenia o stworzeniu jako o czymś, co się dzieje na początku. Najpierw został stworzony świat, potem my i dopiero później zaczęły się dziać różne rzeczy. Tak to zwykle wygląda. A jeśli to przyszłość nas tworzy, a nie przeszłość?

- Kurczę... - mówię. - Ale...

Laura się śmieje.

- Ale jak to działa? Wcale nie działa. W każdym razie nie zgodnie z prawami klasycznej fizyki.

- Hm... To się łączy z pytaniem, które zadałam wczoraj wieczorem o tym, czy myśli mają „efekty wsteczne”, prawda?

- Prawda.

- Czyli chcesz powiedzieć, że w przyszłości ktoś wymyśli teorię, która na przykład pogodzi fizykę kwantową i grawitację, i że ta teoria sprawia, że świat funkcjonuje obecnie tak, jak funkcjonuje? Że naukowcy jedynie odkrywają rzeczy, które już się wydarzyły?

- „Tak” na pierwsze pytanie i „nie” na drugie. Einstein stworzył względność, wymyślając ją - mówi Laura, znowu podnosząc kubek i upijając kolejny łyk. - Ale w przyszłości ktoś zrobi następny krok, a potem ktoś inny jeszcze następny, i tak stopniowo przez całą historię.

- A więc żyjemy w świecie, w którym nieskończona liczba ludzi z przyszłości już go wymyśliła.

- Nie. Przecież przyszłość jeszcze się nie stała. Poza tym przyszłość może nie być nieskończona.

- Ale...

- To już nie jest wszechświat oparty na przyczynie i skutku, Ariel. Nic tak naprawdę się nie dzieje przed ani po niczym innym. Można by powiedzieć, że w pewnym sensie wszystko dzieje się naraz.

Myślę o pociągu strachu i o tym, jak mogłam wrócić do samej siebie w dowolnym momencie. Było to możliwe tylko dlatego, że poruszałam się w czymś, co nie miało masy, co mogło podróżować z nieskończenie wielką prędkością. Podróżowałam na emocji, a nie na czymś realnym.

Tylko czy myśl jest realna? Czy ma masę?

Musi mieć. Już ustaliliśmy, że myśl jest materią.

A może nie? Wciąż nie mam pewności co do tego wszystkiego.

- Przepraszam - odzywa się Laura. - To dużo do ogarnięcia.

- Nie - mówię. - Nie przepraszaj. Chcę to wszystko wiedzieć teraz, zanim wrócę do Troposfery. Chcę... Lauro?

- Tak?

- Kiedy... j e ż e l i wrócę, ta książka nie będzie istniała, zgadza się?

Laura kiwa głową.

- Mam nadzieję, że tak właśnie będzie.

- Czyli pewności nie masz?

- Nie. Nie wiem, co się wydarzy.

- Możliwe, że nigdy nie będę miała okazji was poznać - mówię. - W końcu Saul nigdy nie wygłosi

swojego referatu, więc nigdy nie pozna ciebie, nie trafi na tę książkę i nigdy nie będzie musiał uciekać. Ludzie z projektu Gwiezdny Blask nie będą nas ścigać... Ja nawet nie będę znała Saula, bo przecież poznaliśmy się na tej konferencji. Więc nie będę robiła doktoratu...

- Ale to logika wszechświata przyczynowo-skutkowego - przypomina Laura. - A ja nie sądzę, żebyśmy w takim wszechświecie żyli.

- To co się wydarzy twoim zdaniem?

- Myślę, że książka zniknie, ale wszystko inne zostanie po staremu.

Przypomina mi się Apollo Smintheus. „Myszy po prostu rozpląnęłyby się w powietrzu, w każdym razie tak mi się zdaje. Świat by się nie zmienił”.

- Myślisz. Ale nie wiesz na pewno.

- Czasami myśleć znaczy wiedzieć - mówi.

Zastanawiam się, co to będzie. Czy moja ostatnia wyprawa do Troposfery jest eksperymentem, czymś mniej niż eksperyment, a może czymś więcej? Tak czy tak muszę spróbować. Znam wszystkie powody, dla których powinnam. I cieszę się, że Laura mówi mi to wszystko, zanim wyruszę. Przypuszczam, że moje myśli się nie zmienią. Mam nadzieję, że nie. Wciąż mam tak wiele do przemyślenia.

W żołądku aż mi się przewraca. Podjęłam decyzję. Wyruszam dzisiaj po południu.

Mówię o tym Laurze.

- Tak - odpowiada. - Sądzę, że to właściwy moment.

Po powrocie Burlema pijemy po jeszcze jednej filiżance herbaty. Potem pytają mnie, czy chcę przed wyjazdem zjeść lunch, jakbym była weekendowym gościem, który śpieszy się na pociąg powrotny do Londynu. Powinnam coś zjeść, lecz kompletnie nie mam apetytu. Nie chcę się żegnać i jest jasne, że oni także nie chcą się żegnać ze mną. Pożegnanie byłoby trochę przerażające, poza tym nie wiadomo, czy w ogóle jest potrzebne. Być może zdołam jakoś wrócić i po powrocie wciąż będę wiedziała, kim oni są.

Czarne kółko na kawałku tektury. Możliwe, że nawet go nie potrzebuję, ale je wyciągam.

I oto leżę na łóżku, gdy gwiazdy zaczynają blednąć na niebie niczym rozpuszczające się tabletki, i zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie mi dane jeszcze ujrzeć ten świat.

Jestem pewna, że mikstura już dawno przestała mi być potrzebna; pozostaje mi tylko unieść czarne kółko na wysokość oczu. I już się rozmywam, znikam stąd. „Żegnajcie”, myślę.

Wcześniej nie chciałam tego mówić, nagle czuję, że muszę. Muszę zakończyć to jak trzeba.

- Żegnaj, Lauro. Żegnaj, Burlem. Do widzenia...

W Troposferze panuje noc, jak zwykle. Stoję na znajomej zagraconej uliczce o zbyt wielu krawężniach, zewnętrznych i wewnętrznych. Teraz jednak widzę w tym sens. Pod stopami mam kostki brukowe, po mojej lewej i prawej mającą wielkie szare budynki z rzędami sklepów, kasyn, sklepików zielarskich, burdeli, sex shopów, lombardów i sklepów z zabawkami. Na rogu jest malusieńki antykwariat i od razu myślę: Burlem. Nie widzę natomiast niczego, co by mi się kojarzyło z Laurą. Wszędzie migają neony. „Otwarte”. „Otwarte”. „Girls, girls, girls”.

Niektóre znaki są tylko strzałkami i kiedy na nie patrzę, zdają się wskazywać na inne strzałki.

Jedna jest opisana: „Tu jesteś”. Inna wskazuje drzwi, które kiedy do nich podchodzę, bardzo przypominają wejście do mysiej nory. Czy chcę się spotkać z Apollonem Smintheusem?

Przypuszczam, że muszę. Muszę się dowiedzieć, gdzie dokładnie znajdę Abbie Lathrop.

Podchodzę do mysiej nory.

I wtedy niebo ciemnieje.

Widzę ruch. Co się dzieje? Dostrzegam mignięcie czegoś brązowego, później błękitu.

Ten odcień niebieskiego: gdzie ja go wcześniej widziałam? Ale nie mam zbyt dużo czasu na gubienie się w domysłach, bo zaraz potem do mysiej nory wchodzi smyki.

- Aha - odzywa się jeden, ten w kowbojskim stroju.

- Pieprzona łatwizna - mówi drugi, a jego błękitna peleryna powiewa na nieistniejącym wietrze.

Obaj chichoczą.

O Boże.

- No, tu jest jej umysł. Tu jest brama. Wchodźmy do środka i kończmy robotę -

ponagla pierwszy.

- Nie wygląda jak umysły innych ludzi - mówi chłopiec w pelerynie. - Jest cały zarośnięty jakimś chwastami.

- I co z tego? Kogo to obchodzi?

- Czekaście - mówię.

- Czekaście - przedrzeźnia mnie ten w pelerynie.

- Aha, jasne - dodaje drugi. - Czekaście.

Znowu chichoczą.

- Tutaj nigdy nie dzieje się nic fajnego - narzeka ten w pelerynie.

Cholera. Cholera. Co ja mam teraz powiedzieć?

- To będzie najfajniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiliśmy - odzywa się ten w stroju kowboja. - Hurr! - Wydaje cichy okrzyk radości, jakby rodzice właśnie mu powiedzieli, że dostanie upragnioną zabawkę albo że zaraz pójdą do zoo, albo że może dłużej posiedzieć i obejrzeć film z dorosłymi.

- Wiem, co was spotkało - mówię. - Naprawdę mi przykro.

- Czemu? Nie ty nas zabiłaś - dziwi się ten w pelerynie.

- Nie, ale... - Chcę powiedzieć, że ich rozumiem; że sama mogłabym być jedną z nich.

Słowa jednak nie przychodzą.

- Morda w kubek, Benjy - mówi kowboj. Potem do mnie: - Nie próbuj nas psychoanalizować, suko.

Ten drugi szeroko otwiera oczy, po czym wybucha śmiechem.

- No dobra, z drogi, śledzie - mówi ten pierwszy. Wyciąga spod peleryny deskorolkę. -

Chodź, Michael.

Muszę coś zrobić. Tylko co niby można zrobić? Nie ma tu broni. Nie ma metalowych prętów ani niczego w tym guście - chociaż mam wrażenie, że takie rekwizyty nie na wiele by się zdały przeciwko tym dwóm.

Gdzie się podziewa Apollo Smintheus?

„Proszę, pomóż mi” - myślę.

- Już się zajęliśmy twoim kochasiem - mówi Michael, kowboj.

Drugi tłumi kolejny chichot. Nie wiem, czemu w ogóle się stara: przecież i tak nie mogę mu nic zrobić.

- Naprawdę ześwirował - oznajmia Benjy. Palcem kreśli kółka na skroni. - Świr. Świr

- mówi.

O Boże. Co to znaczy? Dorwali Adama w klasztorze? Wyobrażam sobie, jak wkradają się tam, mimo że wszystko jest zamknięte, i jak go odnajdują: wpełzają do jego umysłu jak upośledzone małe gobliny. Co potem? Może próbowali go przekonać, żeby wyszedł z klasztoru z książką? Z drugiej

strony nie mogli wiedzieć, że ona tam jest. Co zatem mogło nimi kierować? Czysta złośliwość? A może myśleli, że Adam będzie wiedział, gdzie jestem?

Może chodziło im o tę informację? Później z niepojętych powodów zmienili jego mózg w spaghetti. Tak jak teraz zamierzają zrobić z moim, bo nie mogę zrobić nic, żeby ich powstrzymać.

I naraz widzę na ulicy jakiś kształt zmierzający w naszą stronę. W pierwszej chwili myślę, że to Apollo Smintheus, lecz on jest wyższy. Kiedy postać się zbliża, widzę, że to biegnący mężczyzna.

Adam!

- Jesteście pewni, że wam się udało? - pytam chłopców.

Teraz to ja uśmiecham się szeroko. Adam niesie dwie wyrzutnie raketowe, po jednej na każdym ramieniu. Skąd, na Boga...? Później widzę, że niesie coś jeszcze. Białą papierową torbę z zawiniętym brzegiem, jak staroświeckie torebki cukierków. Co jest grane? Czy to mi się śni? Nie. To jest realne. Bardziej realne już być nie może.

„Smyki” obracają się, żeby zobaczyć, na co patrzę.

- A, to ten ksiądz - stwierdza Benjy.

- Nu-dy - jęczy Michael.

- Cześć - mówię, kiedy Adam podaje mi wyrzutnię raketową.

- Ariel - mówi, oddychając głęboko i zamykając oczy. - Nareszcie.

- Gdzie, do... To znaczy: skąd je masz? - pytam.

- Och, spotkałem Boga - mówi. - Ale świetnie tu jest, co?

- Hm...

- No, pominąwszy tych małych skurwysynków.

- O, nie - piszczy Benjy, tupiąc nogą. - Załatwiliśmy nie tego co trzeba.

- A to pech - odzywa się Michael.

- Wolf. - Zastanawiam się przez chwilę. Widzieli mnie z Wolfem.

- Powiedziałem im, że coś cię łączy z Patrickiem - mówi Adam.

- Skąd wiedziałeś o Patricku? - pytam.

- Obawiam się, że wiem wszystko - wyznaje Adam. - Za moment wszystko ci opowiem.

Unosi wyrzutnię i bierze na cel Michaela.

- Adam - mówię, biorąc na cel Benjy'ego, choć bez przekonania.

- Co?

- Tak nie można. To tylko dzieciaki.

- Właśnie - odzywa się Benjy. - To nie fair.

Zaczyna płakać. Michael też zaczyna się mazać.

- Mówiłeś, że przyniesiesz nam słodycze - wypomina Benjy. - A zamiast tego chcesz nas skrzywdzić. Jesteś jak wszyscy dorośli. Nienawidzę cię.

Zauważam, że nie mówią „zabić”. I przypomina mi się, co mówił Apollo Smintheus.

W Troposferze nie można nikogo zabić. No to jak mamy się pozbyć tych smarkaczy? I co tu robi Adam? Nie rozumiem, co się dzieje.

- A wolicie dostać cukierków? - pyta Adam, opuszczając broń.

Michaelowi drżą usta.

- Tak - mówi. - Tak, poproszę.

- Ja też - płacze Benjy. - Ja też.

Michael stoi, wyłamując sobie dłonie. Benjy nie może ustać w miejscu. Wierci się jak małe dziecko, któremu chce się siusiu.

- No dobrze. Tylko nie zjedzcie wszystkich od razu - mówi Adam.

Podchodzi do Michaela i podaje mu białą torbę.

- Podzielcie się - upomina, kiedy Michael wsadza rękę do środka.

- Och, odczep się - mruczy Michael, gdy Benjy usiłuje równocześnie sięgnąć po cukierka.

- Chłopcy! - strofuje ich Adam.

Obaj wyciągają po garści różowych, żółtych i zielonych cukierków z torby. Wpychają je sobie do ust, dopóki policzki im się nie rozdymają, jakby miały za chwilę wybuchnąć.

- Czemu dajesz im słodycze? - pytam Adama.

- Patrz - mówi tylko.

W miarę jak chłopcy pochłaniają cukierki, zdają się blednąć powoluteńku. Najpierw myślę, że chyba mam jakiś problem ze wzrokiem, i przecieram oczy. Ale oczywiście w Troposferze nie można mieć problemów ze wzrokiem. Chłopcy naprawdę się rozplývają i wtapiają w krajobraz.

- Oni znikają - mówię.

- Idą do Boga - mówi Adam. - Wyrzutnie to samo by spowodowały. To tylko, hm...

- Metafory - kończę. - Jak wszystko tutaj.

- Właśnie.

Chłopcy są bliscy ostatecznego zniknięcia. Mija kolejna minuta i już ich nie ma.

Została tylko pusta papierowa torebka.

- A co właściwie robi z nimi Bóg? - pytam.

- Uwolni ich - wyjaśnia Adam. - Sprawí, że będą naprawdę martwi.

- To Bóg tak może?

Adam kiwa głową.

- Może nie wszystko stworzył, ale sprawdza się jako menadżer.

Śmieję się.

- To brzmi jak napisy na tych odblaskowych plakatach, które rozwieszają przed kościołami.

Wtedy dociera do mnie: jesteśmy razem, sami w Troposferze. Adam naprawdę tu jest.

W każdym razie tak mi się zdaje.

- Adam... - mówię miękko.

Podchodzi do mnie. I to by było tyle, jeśli chodzi o brak uczuć w Troposferze.

Znajome gęste jak syrop uczucie narasta do takiego stopnia, że zaczyna niemal powodować dyskomfort, ale tylko w takim sensie, w jakim dyskomfort może towarzyszyć orgazmowi.

Wszystko we mnie zdaje się zwalniać. Nie jest tak, jak by było w świecie fizycznym: nie ma szalejącego pulsu i spoconych dłoni. Moje ciało jest jak mglisty krajobraz stapiający się z niebem.

- Ariel - szepcze Adam.

Odkładamy broń i obejmujemy się. Czuję się, jakbyśmy stali tak milion lat przytuleni do siebie.

- Znalazłem tę książkę - wyznaje szeptem. - I fiołkę z resztą płynu. Poszedłem za tobą.

- Jak mnie odnalazłeś? - pytam. - Nawet ludzie z projektu Gwiezdny Blask nie dali rady. Myślałam, że umiejętnie zacieram za sobą ślady. Ja...

- Ciiiiii - mówi, przyciskając usta do moich włosów.

- Serio - mówię. - Muszę to wiedzieć. Bóg ci pomógł?

- Nie. Bóg nie pochwała tego, co robimy. - Więc kto...?

- Mysi bóg. Apollo Smintheus. Powiedział, że mi pokaże, gdzie cię znaleźć. Okazało się, że ci chłopcy koniecznie chcą mi towarzyszyć, i szli wszędzie, dokąd ja szedłem.

Myślałem, że jakoś sobie z nimi poradzę, zanim wrócisz i otworzysz bramę. Omal się nie spóźniłem.

- Co masz na myśli? - mówię. - Jaką bramę?

- Oni mogą się dostać do twojego umysłu tylko wtedy, kiedy tu jesteś. W przeciwnym razie muszą chodzić z Edem i Martinem. Na pewno to wiedziałaś, ale zapomniałaś widocznie.

- Czyli byłeś w moim umyśle - mówię. To nie jest pytanie. Znam odpowiedź.

- Tak. Wyrzuciłaś mnie, kiedy pierwszy raz weszłaś do kościoła, ale wskoczyłem z powrotem, jak tylko z niego wyszłaś. Przerwę po prostu przeczekałem w Troposferze.

- Jak znalazłaś tę książkę? - pytam.

- Przyśniła mi się - mówi. - Wszystko mi się przyśniło.

- Jak to? - pytam. - Co masz na myśli?

- Tylko to, że śniło mi się, jak chowałaś ją na półce, a potem śniło mi się, że fiołka przypadkiem spadła z krzesła i wturlała się pod łóżko. Później, kiedy byłem w twoim umyśle, zobaczyłem to jeszcze raz, jak *déjà vu*.

- Och... - mówię tylko. Nie jestem pewna, co jeszcze mogłabym powiedzieć. - Więc...

Nie chcę się rozstawać z Adamem, lecz muszę.

- Widziałaś się z Apollonem Smintheusem? - pyta mnie.

- Nie.

- Nie wiem, co się z nim stało. Miał wypatrywać „smyków”.

- Jego nora jest bliźutko - mówię i oboje ruszamy w jej kierunku.

Równocześnie dzieją się we mnie dwie rzeczy. Jedną jest taka, że całe moje ciało ma ochotę się uśmiechnąć. Już nie jestem tu sama. Mam kogoś, z kim mogę porozmawiać. Co więcej, tym kimś jest Adam, człowiek, którego nie spodziewałam się więcej zobaczyć na oczy i którego chyba Kocham. Ale uśmiech wciąż się wykrzywia w znak zapytania. Boję się spytać czy chociaż o tym myśleć. Od jak dawna tu jest?

ROZDZIAŁ 26

Apollo Smintheus jest przywiązany do krzesła i wygląda na strasznie wkurzonego.

- Och, dziękuję wam - mówi, kiedy go rozwiązujemy. Wstaje, chwieje się lekko i znowu siada. - Och, te małe brutale.

- Już ich nie ma - melduję. - W każdym razie tak mi się zdaje.

- A wy dwoje znowu jesteście razem.

Zastanawiam się, czy Apollo Smintheus napomknął Adamowi o niebezpieczeństwach związanym ze zbyt długim przebywaniem w Troposferze: czy pokazał mu na ekranie jego samego w fizycznym świecie, tak jak mnie. Gdzie jest ciało Adama? Wciąż w klasztorze?

Zastanawiam się, czy ktoś go znalazł i uratował. Przypominam sobie obrazy Apollona Smintheusa z moich snów: „Jesteś mi coś winna. Jesteś mi coś winna”. I zastanawiam się, czy Apollo Smintheus dostał się do snów Adama i czemu chciał go tu ściągnąć.

To straszna myśl, ale przez sekundę wyobrażam sobie, że to rodzaj kary: bo za długo zwlekałam z powrotem; bo jeszcze nie wypełniłam misji.

- Jaki adres? - pytam go. - Muszę wiedzieć, jak znaleźć Abbie Lathrop.

- Nie chcecie się najpierw napić kawy? - pyta.

- Nie. Chcę już ruszać. Odprowadzę Adama do fizycznego świata, a potem od razu będę chciała ruszyć i załatwić, co jest do załatwienia. Mam mało czasu.

Odnoszę wrażenie, że Apollo Smintheus nieznacznie mruży oczy, lecz Adam go uprzedza:

- Idę z tobą - mówi.

- Nie możesz - odpowiadam. - Nie wiesz, że...?

- Że co?

Patrzę na Apollona Smintheusa, który jakoś nie chce spojrzeć mi w oczy. Później znowu spoglądam na Adama. Jego duże oczy są ciepłe i przejrzyste jak poranek w środku lata. „Takie głębokie, że można w nich utonąć”, myślę. I już nie wyglądają jak skamieliny przeszłości, tylko jak obietnica jutra.

Tylko jak wyglądają te oczy w fizycznym świecie?

- Nie powinieneś tu przebywać zbyt długo - mówię.

- Czyżbym o tym nie wspomniał...? - odzywa się Apollo Smintheus.

Adam patrzy na mnie.

- Byłem w twoim umyśle, Ariel - oznajmia. - A skoro o tym mowa: byłem też w umyśle Saula Burlema i Laury. Wiem wszystko.

- Ale...

Ucieka spojrzeniem.

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać.

- O czym?

- Myślę, że już jest za późno. Wczoraj była straszna burza. Apollo Smintheus mówił, że kiedy w Troposferze pojawia się pogoda...

Słucham go jednym uchem. Dlaczego Apollo Smintheus nie ratuje Adama? Dlaczego nie każe mu wracać?

Smutek tutaj jest niczym ciepła flanela, niemniej to wciąż smutek: ciepła flanela przylega do mojej twarzy tak szczelnie, że nie mogę złapać oddechu.

- Niemożliwe, żeby było za późno! Apollo Smintheus na pewno mówił ci o pociągach?

- Mówiłem - wtrąca Apollo Smintheus. - To znaczy w pewnym sensie.

- Powiedział, że nie ma sposobu, żebym wrócił tam, gdzie byłem na początku. Tylko że ja nie chciałem wracać. Chciałem odnaleźć ciebie.

- Ale Adam...

- No co?

- Adam, ty nie możesz... Ty nie...

- To ja już nie będę wam dłużej przeszkadzał - odzywa się Apollo Smintheus. - Tu jest adres Abbie Lathrop. - Wyjmuje wąską białą wizytówkę, bardzo podobną do tej, którą kiedyś zostawił z myślą o mnie: do tej, którą znalazłam na ulicy po pierwszym eksperymencie z pedezą. Biorę wizytówkę i patrzę na nią. Kiedy podnoszę wzrok, już go nie ma. Jestem sama z Adamem.

- Nie za bardzo mi się tu podoba - mówi Adam. - Chodźmy na zewnątrz.

Nie ma żadnego „na zewnątrz”, myślę. Już nie ma.

Mimo to podążam za nim wąską uliczką. Mijamy salon samochodowy i małą pasmanterię. Chce mi się płakać, ale nic z tego. Nie sądzę, żeby tu dało się płakać. Za to skądś nade mną zaczynają spadać ciężkie krople deszczu, a kiedy patrzę w górę, nocne niebo jest mokre i błyszczące.

Zatrzymujemy się na łące nad rzeką. Jasny księżyc zdaje się dotykać każdej kropli czarnej wody, pieścić wysokie żółte trawy niczym delikatne blade palce. Wzdłuż rzeki stoją ławki zwrócone przodem do wody i Adam siada na jednej z nich. Ja siadam na drugiej.

Drewno nie jest zimne. Podobnie jak wszystko tutaj, jakby nie miało żadnej temperatury.

Malusieńkie krople deszczu wciąż spadają z nieba, lecz wcale nie wydają się mokre.

- Ariel - mówi Adam, biorąc mnie za rękę.

- Czemu to zrobiłeś? - pytam.

- Chciałem wiedzieć...

- Co?

Wzrusza ramionami.

- Po prostu wiedzieć. Nie mógłbym wrócić.

- Ale... czemu chciałeś mnie odnaleźć?

- Po prostu musiałem. No i tęskniłem za tobą.

Długo nabieram tchu. Wreszcie wzdycham.

- Ja za tobą też, tylko...

- Tylko co?

- Kurczę, Adam... Dlaczego?

Znowu wzrusza ramionami.

- Apollo Smintheus mówił, że mnie potrzebujesz.

- Odnalazłabym cię, kiedy już bym stąd wyszła. Ja...

Adam ucieka wzrokiem i zawiesza go na rzece. Słysząc pohukiwanie sowy.

- Kurwa - mówię. - Czyli naprawdę jest już za późno. Teraz nic nie ma dla mnie znaczenia. Wszystko jest...

- Nie mów tego - prosi Adam. - Po prostu chodź ze mną.

Bierze mnie za rękę i wstajemy oboje. Spacerujemy ścieżką, przy której rosną tysiące drzew zdających się sięgać samego nieba. Księżycowa poświata pulsuje na liściach, nietoperze wystrzeliwiają z drzew i chwilę później nikną jak w teatrzyku cieni na tle czerni nieba. Niebawem docieramy do polanki: kręgu gęstej miękkiej trawy ukrytej wśród drzew.

Wchodzimy na nią, a Adam natychmiast przyciąga mnie do siebie.

- Ariel... - mówi. A potem mnie całuje.

Co się dzieje?... Ten pocałunek jest milionem pocałunków i każdym pocałunkiem.

Nasze usta zdają się spotykać z siłą dziesięciu tysięcy huraganów, a kiedy językiem dotyka mojego języka, przenika mnie zmysłowy prąd: wstrząs o sile miliona woltów, tylko w zwolnionym tempie, elektron po elektronie, gdzie każdy elektron ma wielkość słońca.

Niebo przecina błyskawica.

Deszcz zaczyna walić o ziemię, ale ja wciąż tego nie czuję.

Adam ciągnie mnie na dół, na trawę.

Zanim zamknę oczy, widzę jeszcze, że wszędzie wokół szaleją tornada, lecz nie czuję najlżejszego choćby powiewu. Moje ubranie zniknęło. Jestem taka naga, jakbym nie miała nawet skóry. Adam przywiera do mnie swym twardym ciałem, kiedy zaś we mnie wchodzi, odnoszę wrażenie, że wywracam się na drugą stronę i penetruje mnie cały świat; że zawieram w sobie wszystko.

Potem oboje leżymy na ziemi drżący. Teraz wiem o Adamie wszystko, a on wie wszystko o mnie.

- Och... - mówi Adam.

- O, tak.

- Och... Czy tak...?

- Nie.

- Nie wiesz, o co chciałem spytać.

- Owszem, wiem. Chciałeś spytać, czy seks zwykle tak wygląda.

Bierze mnie za rękę.

- No, mniej więcej.

- A odpowiedź brzmi: nie.

- Przecież myśmy tego nigdy wcześniej nie robili - mówi i widzę, że się uśmiecha w blasku księżyca.

Wyobrażam sobie tornada wokół kaplicy Świętego Judy. Ale może Adam ma rację.

Opieram głowę na jego ramieniu, on obejmuje mnie ręką. Czuję się malutka i ciepła, jakbym była żółędziem, który Adam trzyma w dłoni, a równocześnie jakbym to ja kurczowo się go trzymała. On istnieje tylko tu i teraz. I jeśli zrobię, co mam do zrobienia, a potem wrócę... Nie myśl, Ariel. Ciesz się tą chwilą. Jeśli bowiem zabraknie Troposfery, nigdy więcej nie zobaczę Adama. Może wrócę i okaże się, że nawet go nie znam. Może nie będę za nim tęskniła, bo nigdy się nie dowiem, że go znałam.

A jeśli książka będzie jedynym, co zniknie? Jeśli się postaram, żeby nigdy nie powstała?

Wtedy może będę i tak znała Adama. Może wprowadzi się do mojego gabinetu. Może tunel mimo wszystko się zawali. Może i tak będę robiła doktorat. Może Burlem wygłosi w Greenwich referat, tyle że na inny temat. Może będzie mówił o Samuelu Butlerze. Na to też bym pojechała. Porozmawiamy, nawalimy się razem, nie będziemy uprawiać seksu i wszystko będzie wyglądało z grubsza tak samo.

W sumie mogę sobie wyobrazić, że to się uda.

Ale Adam będzie martwy.

Może obudzę się ze straszego snu, w którym gonią mnie jacyś ludzie, ktoś zapuka nagle do drzwi i jakiś policjant powie mi, że Adam po prostu odszedł we śnie. Tragiczna tajemnica. Nie, nie bądź głupia. Nie przyjdzie żaden policjant i nic ci nie powie. Zawiadomią jego rodzinę, a ciebie nawet nie zaproszą na pogrzeb, bo nikt nie będzie wiedział, że coś cię z nim łączy. Może przeczytam o jego śmierci w gazetce uniwersyteckiej albo w jednym z tych maili o temacie „Smutna wiadomość”.

Siadam na trawie.

- Gdzie idziesz? - pyta Adam sennie.

- Muszę... No, z grubsza mówiąc, wracam do tysiąc dziewięćsetnego roku -

odpowiadam.

- Idę z tobą.

- Jesteś pewny, że tego chcesz?

Adam siada i kiwa głową.

- Właśnie przeżyliśmy razem najbardziej zadziwiające doświadczenie w moim życiu -

mówi. - I nie zamierzam cię opuścić. Już nigdy. - Milczy chwilę. - Dopóki nie będziesz musiała wracać.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Dopóki nie będę musiała wracać. Odpuściłam sobie lunch. Kto wie, ile czasu mi zostało? Z systemu podziemnego można korzystać tylko wówczas, kiedy jest się żywym. Tylko czy jeszcze ma jakiegokolwiek znaczenie, czy jestem żywa czy martwa? Naprawdę nie wiem.

- I jak myślisz? Powinniśmy dostać się do Ameryki, a potem cofnąć się w czasie? - mówi Adam. - Czy odwrotnie?

- Hm?

Trzymając się za ręce, wracamy do miasteczka, a księżyc ściga się z nami na rzece i wygrywa. Trudno opisać, jak się teraz przy Adamie czuję. Jakbyśmy już zestarzeliby się razem.

I już wiem, że razem umrzemy.

Tylko że on już umarł.

- Pedeza - mówi. - Jak się do tego zabierzemy?

- Sądzę, że będziemy musieli podróżować po świecie w tę i w tę, żeby przeskakiwać w czasie. Możemy się przenieść do Massachusetts, tylko później. Może powinniśmy celować w jednego z potomków Abbie Lathrop, a potem ostrożnie przeskakiwać do wcześniejszych pokoleń. Nie jestem pewna, co by się stało, gdybyśmy ją przegapili i przeskoczyli, powiedzmy, o dziesięć lat za daleko albo coś w tym stylu. Tutaj właściwie nie można podróżować w czasie naprzód... to znaczy, można, ale w realnym czasie.

Utknęlibyśmy w Massachusetts na dziesięć lat.

Adam wzdycha.

- Chyba wiesz o tym więcej niż ja.

- Nie byłabym taka pewna. Owszem, udało mi się odnaleźć Saula Burlema, ale tylko dlatego, że się dowiedziałam o jego córce i odnalazłam ją w fizycznym świecie. Nie wiem, jak podejść do tego problemu. To sto lat z okładem. Duża sprawa.

Przechodzimy przez bramę, tam rzeka odbija w lewo, podczas gdy my zmierzamy w prawo, w kierunku miasta, mijając stare szopy, w których budowano łodzie.

Marszczę czoło.

- Chyba wiesz o tym tyle samo, co ja? - mówię.

- Czemu?

- Byłeś w moim umyśle. Musisz wiedzieć wszystko.

- Nie jestem pewny, czy wszystko. Twój umysł jest bardzo skomplikowany.

Wszystko, co wiem o t o b i e ... jest równocześnie realne i nierealne. Nie... niezbyt dobrze to opisałem. W pewnym sensie to trochę upiorne uczucie. Jakbym myślał, że tam jestem, że jestem tobą, ale teraz to tylko sen. Pamiętam wszystko, choć jeszcze nie widzę w tym sensu.

Tylko tak potrafię to opisać.

Myślę o momencie, kiedy wszedł we mnie na tamtej polance, a ja natychmiast wiedziałam, że to nie jest fizyczne. Jakbym ja była próżnią, a on wszystkim co realne, i uczucie, którego doznałam, kiedy we mnie wchodził, było niczym największa obecność wypełniająca najmniejszą nieobecność. Kochały się nasze umysły i w momencie orgazmu zobaczyłam całe jego życie, jak gdybym była nim i umierała.

Poczułem upokorzenie, jakie pozostaje po uderzeniu ojcowskiego pasa.

Dowiedziałem się, co znaczy być głodnym.

Chodziłem boso po brązowej pylistej ziemi.

Hodowałem dżdżownice w ramach szkolnego projektu, ale tak naprawdę uważałem je za swoje zwierzątka domowe.

Ojciec po pijaku rozwalił moją dżdżownicową farmę.

Matka nie powiedziała słowa.

(Oboje już nie żyją i wcale mi ich nie brakuje; brakuje mi tego, co mogło być).

Te gorące mokre wieczory, kiedy kuzynki zostawały na noc.

Historyjki o duchach, które mnie przerażały.

Dzwoneczek, który dźwięczał podczas mszy, kiedy byłem ministrantem.

Zimny, rozbrzmiewający echem kościół i to, jak dodawał mi otuchy, ponieważ przemoc w Biblii była zakrojona na tak wielką skalę, że czyny mojego ojca wydawały się przy niej niczym. Obróciłem swoje życie do góry nogami: to co było realne, stało się nierealne, wszystko co mówiono w kościele, było prawdą, a cała reszta - kłamstwem.

Pamiętam, że ojciec nigdy nie powiedział, że jest ze mnie dumny, chociaż to dla niego wstąpiłem do Kościoła, bo wiedziałem, że tylko to coś dla niego znaczy, dla człowieka, który nie lubił rugby ani krykieta, który powtarzał, że sport jest dla „ciot”, a sztuka dla „ćmoków” i że szkoła nie przygotowuje do życia w realnym świecie, i że facet powinien pracować, modlić się i nic więcej. Nadmierne spożycie alkoholu jakoś nigdy nie figurowało w jego filozofii życiowej.

Wieczór, kiedy opowiedziałem kuzynkom o Duchu Świętym, żeby je nastraszyć.

I przy innej okazji, jak im powiedziałem, że wszystkie pójdą do piekła.

Kiedy postanowiłem wstąpić do seminarium z zupełnie niewłaściwych powodów.

Ranek, kiedy ojciec przyłapał mnie w łóżku z Marty, moją kuzynką.

Pusty wyraz jego oczu, kiedy później na mnie patrzył.

Starania, aby żyć jak święty. Pustka. Pustka. Pustka.

Dorośle życie: próbuję dla wszystkich być ojcem...

Ale zerkam na kobiety. Próbuję się masturbować, lecz nienawidzę się za to.

Próbuję samobiczowania. Tylko jeszcze bardziej się podniecam.

Kiedy ksiądz z wioski gwałci moją siostrę, czuję się, jakbym sam to zrobił.

Ojciec porzuca Kościół.

Ojciec jest teraz Bogiem.

Wyeliminuję wszelką żądzę ze swojego życia.

(...)

Znam go, nie wiem jednak wszystkiego: nie byłem połączona z jego umysłem dostatecznie długo. Nie wiem, co było w tych przerwach. Wciąż jest nieskończona ilość wiedzy na jego temat, której nie dostąpiłam. A pragnę jej tak bardzo jak oddechu.

Znowu jesteśmy w mieście, zbliżamy się do miejsca, gdzie znajdowała się mysia nora Apollona Smintheusa. Teraz już jej tam nie ma, ale pomijając ten fakt, ulica wygląda tak samo jak wcześniej. To tutaj się znalazłam, kiedy weszłam do Troposfery z domu Burlema i Laury. Aby się dostać z powrotem do fizycznego świata, musiałabym tylko iść dalej.

Mogłabym wrócić i powiedzieć Burlemowi i Laurze, że zawiodłam. Adam mógłby żyć w Troposferze, a ja mogłabym go tu odwiedzać.

Niemożliwe. To byłoby tak samo, jak mieć go tylko we wspomnieniach.

- Czemu nie czujesz do mnie nienawiści? - pytam, chociaż już znam odpowiedź.

- Jak to?

Trzyma mnie za rękę tak mocno, jakby chciał ją połamać, lecz jest mi to obojętne.

- Cóż, wiesz już wszystko. O tym seksie. O... o wszystkim.

- Ale wszystko rozumiem - mówi. - Znam cię.

- Jasne. Wiem, co masz na myśli. - Przystajemy przed lombardem, choć nie wiem dlaczego. Widzę w środku błyszczący neon kawiarni. Znowu ten problem z wymiarami.

- Napijemy się kawy, zanim ruszymy? - pyta Adam.

- Troposferyczna kawka... Jak mogłabym odmówić?

Siadamy przy jednym ze stolików na dworze i po paru próbach dociera do nas, że wystarczy pomyśleć o kawie, aby się pojawiła. Cóż, prawdę mówiąc, wymaga to odrobinę więcej wysiłku, niż opisuję. Trzeba pomyśleć: „Kawa” i uwierzyć, że się pojawi, wówczas się pojawia.

- Czemu przyszedłeś mnie szukać? - pytam. - Kiedyśmy się ostatnio widzieli, okropnie cię wkurzyłam. Nie powinnam była mówić...

- To nie ma znaczenia.

- Być może. Ale dlaczego tak mówisz?

- Czy byłoby głupio, gdybym powiedział, że myślałem, że jestem w tobie zakochany?

Patrzę na blat stołu.

- Ehem...

- Przepraszam. Nie najlepiej radzę sobie ze słowami. To znaczy, radzę sobie, tylko nie z takimi. Och, to też zabrzmiało dosyć głupawo. Czemu się w tobie zakochałem? Po namyśle powiem ci, że to nie było najmądrzejsze posunięcie, w każdym razie obiektywnie mówiąc.

Ale... - Wzdycha. - Nie mogłem nic na to poradzić. - Przegarnia palcami włosy. - Och. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

- Nie trzeba - mówię. - Nie rozumiem, czemu czujesz to, co czujesz, ale...

- Ale co?

- Chciałam powiedzieć, że cieszę się, że tak jest. Choć już sama nie jestem pewna.

Żyłbyś, gdyby nie ja... i *Koniec pana Y.*

- Tak. Ale... - Zamyka oczy i otwiera. - Nie miałbym tego. - Rozpościera ramiona, jakby w nich trzymał cały świat, lecz są puste. Chce po prostu, żebym się rozejrzała i zobaczyła, jakie bogactwo by obejmował, gdyby jego dłonie zdolne były ogarnąć idee i metafory, i wielowymiarowe budynki.

- Czemu widzisz to samo co ja? - pytam.

- Hm?
- Widzisz to samo co ja. Tę samą Troposferę. Myślałam, że to wyobrażenie mojego umysłu...?
- Bo tak jest.
- No to czemu...
- Ja w twoim umyśle umarłem.
- Och. - Dopada mnie ten troposferyczny ból, przelotnie, niczym tępe ostrze rozcinające od środka, pomału i sprośnie. Nie mogę o tym myśleć. - Jaka była twoja Troposfera?
- Bardzo podobna. Duże miasto. Ale za dnia. Było więcej parków. Za to z graffiti miałem problem, który ciebie najwyraźniej ominął.
- Tutaj też raz zrobił się dzień. Nie wiem, czemu tylko raz.
- No cóż. Lubię noc. Jest romantyczna.
- Jak ta łąka i rzeka - mówię. - To był bardzo romantyczny zakątek. Tylko nie jestem pewna, czy wziął się z mojego umysłu. Zabawne...

Na sekundę przechyliła głowę na bok, jakby chciał puścić do mnie oko. Chyba oboje wiemy, co się wydarzyło, kiedy kochaliśmy się nad rzeką. Jego umysł został w moim.

- Hm. Tak. Oba nasze umysły razem. I wszystkie inne umysły z całego świata są tu razem z nami... Moglibyśmy zrobić wszystko i wszystko zobaczyć.
 - Adam... - Szukam jego dłoni na blacie stołu. - Chcę...
- Jednak tutaj to słowo brzmi obco. To nie jest miejsce na „chcenie”.
- Tak?
 - Ciebie. Ale tutaj to brzmi fałszywie. Żałuję, że nie możemy zostać na tamtej łące...
 - Mmm. Zawsze możemy tam wrócić.
 - Nie. Jestem coś winna Apollonowi Smintheusowi. Byłabym martwa, gdyby nie on.
 - Zaliczymy tę jego misję, potem tę Laury, a potem...
 - Jasne. A potem... Okej. - Dopijam kawę. - Chodźmy.

Adam kończy resztkę swojej.

- Myszy - mówi raptem.

- Co?

- Może posłużymy się myszami?

- Po co? Aaa, rozumiem. Żeby wrócić do Abbie Lathrop, przeskakując od myszy do myszy. Tylko czy to nie potrwa całe wieki? No wiesz, żeby się cofnąć o sto lat przy użyciu pedesy, musielibyśmy pokonywać całe kontynenty co kilka skoków. Pamiętaj, że w Troposferze czas jest odległością. Im większy dystans możemy pokonać w fizycznym świecie, tym dalej możemy przeskoczyć w czasie.

Wypowiadając te słowa, czuję się, jakbym miała *déjà vu*. To sformułowanie: „W

Troposferze czas jest odległością”. Ciągle je słyszę i stale je powtarzam, lecz nie wiem, co ono znaczy. Troposfera jest stworzona z myśli. Odległość w Troposferze jest pewnym układem myśli. Co już wiem?

Odległość = czas.

Materia = myśl.

A może należy dodać jeszcze jedno równanie: myśl = czas?

Wtedy, jak sędzę, myśl naprawdę byłaby wszystkim. I to ma sens: czasu nie mierzy się niczym innym jak właśnie myślą. Jedyne co oddziela dzisiaj od wczoraj, to myśl.

- O czym myślisz? - pyta Adam.

Śmieję się. Przecież widzi, o czym myślę: wystarczy, żeby się rozejrzył wokół siebie.

- No co?

- Opowiem ci po drodze - mówię.

- Poczekaj. Nie wiemy nawet, od czego zacząć.

- No tak. Masz rację. Ale już się połapałeś, jak to jest z tą odległością?

- Aha. Tak sędzę. Jeśli jestem u kogoś w głowie i widzę wszystkich przodków tego kogoś, mogę przeskoczyć do któregoś z nich. Jeśli jeden mieszka w Norfolk, a ja jestem w Kencie, to cofnę się może o parę tygodni od czasu, kiedy dokonuję skoku. Za to jeśli któryś mieszka w Afryce, mogę się cofnąć o parę lat.

- Zgadza się. Więc może znajdziemy rodzinę obieżyświatów, żeby się cofnąć.

- Spójrz w górę - mówi Adam.

Patrzę. I widzę, że czarne niebo wisi nad nami jak okienko, które przed chwilą kliknęłam, z księżycem w roli dużego cyfrowego przycisku. Mimo to jego światło wciąż jest realne, wciąż międko

się kładzie na budynkach i ulicy. Tuż pod niebem widzę szare bloki, których tyle jest w Troposferze, wyrastające z ziemi i wskazujące ku niebu.

- Na co mam patrzeć? - pytam.

- Na te bloki - mówi. - To tam mieszkają zwierzęta.

- Dlaczego zwierzęta mieszkają w blokach?

- Nie wiem. To twoja metafora?

- Ha, pewnie bym nie myślała o zwierzętach jako o sklepach. Sklepy to ludzie. Ludzie znacznie bardziej bezpośrednio są częścią ekonomii... - Potrząsam głową. - Och, nie wiem.

- Cóż, poszukajmy jakichś myszy.

- A co z czasem...?

- Zobaczymy, jak daleko musimy skoczyć, żeby się dostać do myszy laboratoryjnej, a potem już powinny być same milisekundowe skoki aż do Abbie Lathrop, dobrze myślę?

- Nie sądzę, żeby wszystkie myszy wywodziły się od jej stadka - mówię. - Że też nie pamiętam, co mówił Apollo Smintheus. Cholera.

Konsoleta?

Pojawia się natychmiast.

- Ty też to widzisz? - pytam Adama.

- Aha - mówi.

- Hm. Ciekawe, czy można tym czymś przesyłać wiadomości.

Jednak nie musimy. Słysząc, jak mały silniczek, dławiąc się, usiłuje zapalić, później zza rogu wyłania się czerwony skuter.

- Dobry plan - chwali nas Apollo Smintheus, zsiadając. - Myszy. Podoba mi się to.

- To od czego zaczynamy?

- Zaprowadzę was do jednej z potomkiń. Ale to wszystko, co mogę zrobić.

Chcę mu podziękować, tyle że przecież gdyby nie on, nie musiałabym tego robić.

Mimo wszystko jestem mu coś winna.

- Dzięki - mówię.

Podchodzimy razem do biurowca. Jest domofon, lecz Apollonowi Smintheusowi udaje się wpuścić nas do środka: mówi coś, czego nie rozumiem, w tym swoim przedziwnym języku. Kiedy idziemy w górę po betonowych schodach, usiłuję wszystko sobie zaplanować, ale jest na to za mało czasu. Z drugiej strony Adam na pewno miał rację. Apollo Smintheus sam wcześniej mówił, że to wszystko myszy z chowu wsobnego. Powinno się nam udać cofnąć do samej Abbie Lathrop. Powinno...

Apollo Smintheus zatrzymuje się przed jakimiś drzwiami, Adam je otwiera.

„Masz jedną opcję.

„Masz”... „Mam”... Drepczemy szybko po gołej podłodze, stukając o nią pazurkami: klik-klik-klik. To jak stukanie drutów Laury, tyle że na znacznie większej, bardziej nagiej powierzchni.

- Adam? - odzywam się.

- Tak?

- Nie sądzę, żebyśmy byli myszką laboratoryjną.

- Wiem.

Uświadamiam sobie, że mysz rejestruje nasze głosy - a ściślej biorąc, tylko mój głos -

i natychmiast staje się dla mnie jasne, że nie powinniśmy się porozumiewać w ten sposób. Ta mysz... Słyszę w głowie jakieś dźwięki i próbuję przed nimi uciec. Szybciej, po drewnie. Nie jadłam od kilku godzin i pamiętam, że jeśli pobiegnę tędy, a potem przejdę za własnym zapachem przez dużą dziurę w ścianie, prawdopodobnie coś znajdę.

Konsoleta!

Pojawia się. Widzę liczne obrazy. Większość się porusza, ale jeden jest nieruchomy.

- Pozwolę ci samej wybierać - odzywa się Adam. - Nawet nie będę patrzył.

- Okej. Tylko ciii... Nie chcę niepokoić myszy.

- Sorry.

Głosy, głosy. Słyszę jakąś osobę, lecz nie mogę jej zobaczyć. Pamiętam, że kiedyś słyszałam podobne głosy, później był ból. A potem ręce na moim grzbiecie, ręce w czymś, co wcale nie było błyszczące i gładkie, a potem przyprawiający o mdłości ruch w ciemności, a potem wolność: coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

Ten nowy głos przypomina tamten, trochę. Ale każdy głos oznacza niebezpieczeństwo.

Koncentruję umysł na statycznym obrazie na konsolecie. Coś mi mówi, że to może być mysz laboratoryjna. Mysz, w której jesteśmy teraz, została uwolniona. Wyczuwam to z jej wspomnień. Za

to ta druga...

Przeskakujemy. I...

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... „Mam”... Słyszę coś stłumionego i dalekiego.

- Nie! - krzyczy Adam. - Ariel, nie...

Ale ja już tego nie słyszę, bo także krzyczę. Nie słyszę nawet własnego krzyku, przez ten ból bowiem mało co do mnie dociera. Chcę umrzeć... Nie wiem, czym jest śmierć, lecz w moim umyśle jest coś, co wie i rozumie, że powinnam móc się ruszać, że w moich oczach nie powinny tkwić metalowe szpikulce, że gdyby ich tam nie było, ból w głowie byłby mniejszy i może bym widziała. Co to znaczy: „widzieć”? Świat jest czernią i niczego innego nigdy nie znałam. Każdego dnia tak trudno mi wciągnąć do płuc haust powietrza, a właśnie tym jest moje życie, ciągłym łowieniem powietrza...

- Skacz jeszcze raz - mówi Adam. - O Boże.

Ból nie przypomina niczego, co doświadczyłam przez całe swoje życie.

Konsoleta wciąż jest na miejscu, niewyraźna.

Nie sędzę, żebym miała nogi. Nie sędzę, żebym kiedykolwiek chodziła.

Jest tylko czerń. Wybieram obraz z konsolety: wszystko jedno który.

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... „Mam”... Stoimy przed wejściem do labiryntu. Nowy świat! Jakie to podniecające! Może wreszcie znajdę drogę wyjścia. Już tędy szłam. I tędy. Czuję zapach jedzenia na końcu. Znowu ta sama karma, ale dzięki niej żyję i mam siłę, żeby tak biegać.

Jestem dopiero w połowie nieznanego korytarza, kiedy unosi mnie dłoń w rękawiczce; czuję jej dotyk na swoim futrze, a jej zapach, taki sam jak ścian mojego świata, zawsze mnie uspokajał. Teraz znowu mnie stawia: łapkami dotykam szkła. Gdzie moja nagroda? To nie ten pojemnik. Gdzie trociny? Tu nie pachnie jak w moim pojemniku. Na ziemi widzę te same symbole (które teraz umiem przeczytać: HappiMat™ - „Najlepszy dla twoich gryzoni”), ale coś jest okropnie nie tak. Strach przeszywa mnie jak igły, które dzień w dzień wbijają we mnie opiekunowie. Wokół leżą moi bracia i siostry, lecz nie próbują ze mną walczyć ani mnie dosiąść. Inaczej pachną. Podchodzę bliżej i patrzę na nich. Trącam jednego nosem: jest zimny. Wszyscy tylko leżą jak mokre szmatki, które opiekunowie zostawiają czasem w szklanych zbiornikach, kiedy kończą sprzątanie. Podchodzę bliżej i wącham... Nie są zdrowi.

Oni... Au! Odczep się! Inna dłoń w rękawiczce chwyta mnie, ale wcale nie jest delikatna...

- Ariel!

- Przepraszam.

Skaczemy.

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... „Mam”... Znowu nam coś wstrzykują. Nie wiem, co jest gorsze: moment, kiedy zimna ostra igła wbija się w ciało, czy ten, kiedy z niego wychodzi. Jak tkwi w ciele, chcę, żeby już ją wyciągnęli, ale jak już ją wyciągną, jestem skołowana i nie mogę zrobić gniazda jak należy, i... - Mało mnie ono obchodzi. Czuję, jak coś ciepłego i mokrego spływa mi po łapach. Chcę już tylko spać. W gnieździe rozchodzi się kwaśny zapach, lecz muszę spać. Nawet nie mam siły wylizać się do czysta.

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... „Mam”... Nie możemy oddychać przez ten dym. Nie mogę ruszyć głową.

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... „Mam”... Lecimy w powietrzu, potem lądujemy z nieprzyjemnym pacnięciem i znowu lecimy w górę. Moja znajoma też lata i jeszcze jedna mysz, której wcześniej nie widziałam, a wokół nas śmieją się ludzie; chociaż nie rozumiem ich języka, coś w moim umyśle słyszy, co mówią opiekunowie. „Przestań żonglować myszami, Wesley”. Jest mi bardzo niedobrze i chciałabym wrócić do swojego pojemnika.

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... „Mam”... Nie możemy zrozumieć, dlaczego ciągle tak jest. Ciągle moszczę sobie gniazdo dokładnie tak, jak lubię (jak nauczyła mnie matka), po czym okazuje się, że znikło. Zabiera je stąd ta ręka. Później ta sama ręka daje mi więcej materiału do moszczenia gniazda i rozpoczynam budowę od nowa. Każdej nocy śpię na gołym szkłe, chociaż tyle gniazd zrobiłam.

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... „Mam”... Nie możemy zasnąć przez te wszystkie światła.

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... „Mam”... My...

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... „Mam”...

„Masz jedną opcję”.

„Masz”...

„Masz jedną”...

„Masz”...

„Masz”...

„Masz”...

„Masz”...

„Masz”...

„Masz”...

„Masz”...

„Masz”...

Przeskakujemy tak szybko, że ruch staje się płynny, tak jak opisywał w książce pan Y.

Wymaga to sporej koncentracji, chociaż trudno się skupić, kiedy praktycznie surfuje się na fali bólu, strachu, upokorzenia - i wiecznej prostej tęsknoty za ciepłym cichym gniazdem. To fala śmierci: fala martwych czarnych ciałek i martwych białych ciałek, dłoni w rękawiczkach i kościstych palców, bólu na końcu igły i bólu guzów, ślepoty, niemożności zlizania z siebie własnej krwi, która wciąż się z ciebie leje, leżenia z połamanymi łapami i przetrąconym grzbietem na stosie innych złamanych ciał i tej głupiej nadziei, że na końcu będzie jedzenie i że opiekunowie odłożą cię do twojego pojemnika jak zawsze po tym, kiedy spotyka cię coś złego.

Ja surfuję, a Adam usiłuje wyłapywać szczegóły.

W większości laboratoriów na ścianach wiszą kalendarze.

I zauważam, że w miarę jak cofamy się w czasie, światła stają się słabsze, a szklane pojemniki mniejsze. Już nie ma kupnej ściółki dla myszy. Słychać syreny i wybuchy i podróżujemy przez laboratoria, w których czuć zapach metalu i prochu strzelniczego. Jednak każdy maluteńki skok jest nowym rodzajem bólu. Zanim wreszcie docieramy do tysiąc dziewięćsetnego roku, straciłam morze krwi, wymiotowałam, sikałam pod siebie i zasypiałam we własnym gównie i za każdym razem - przez cały czas - chciałam tylko wpełznąć do swojego gniazda, bo coś, z czym się rodzę, mówi mi, że w gnieździe jest dobrze i bezpiecznie, lecz przez cały czas wiedziałam, że z moją egzystencją jest coś nie tak. Albo gniazda nie mam, albo ktoś je zabrał, albo po prostu wiem, że nie powinno być wokół niego tych ścian ze szkła.

Zwalniamy, kiedy na kalendarzach zaczynają się pojawiać daty: tysiąc dziewięćset siódmy, tysiąc dziewięćset szósty, tysiąc dziewięćset piąty...

A oto i ona. Wyjmuje jednego z naszych z pudełka pełnego trocin.

Na konsolocie obraz czarnej myszy, którą trzyma w ręce, jest zamazany.

Przeskakujemy. I jesteśmy na miejscu.

ROZDZIAŁ 27

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... „Mam”... Bierzymy jedną z najlepszych myszy - jedną z tych czarnych - i zamierzam włożyć ją do innego pudełka, z trocinami, i na spotkaniu pokazać innym naukowcom. Uśmiecham się na tę myśl. Zbadają ją - a może ocenią. Ja zwołuję to spotkanie.

Służbowe spotkanie z powodu myszy... Urocze! Niemal widzę tę mysz w malutkim smokingu, a ja... Och! Co mam na siebie włożyć? Jejciu... Może najelegantszą wyjściową spódnicę i czarny szal, chociaż nie chcę wyglądać jak wdowa w żałobie? Albo może ten zielony komplecik?

Mysz jest niestrudzona jak mały automacik, przebiega mi z prawej ręki na lewą, po czym z powrotem na prawą, w miarę jak poruszam rękami niczym dwoma tłokami. Czy taki ruch można w ogóle porównać do ruchu tłoków? Ojej. Nigdy nie byłam specjalnie wymowna.

Jakoś ten ruch bardziej mi się kojarzy z maszyną do szycia, ale nie mogę się zdecydować, czy mysz jest igłą czy nicią. Zresztą tak czy tak ta maszyna nie szyje po linii prostej. Szyje jeden ścieg na drugim i tak bez końca. W mojej głowie pojawiają się obce przelotne obrazy. Coś podobnego do drzewa genealogicznego; potem widzę białą płaszczyznę ze szklanymi pudłami. Wzdycham; kiedyś lubiłam dotykać myszy w ten sposób, zachwycały mnie ich szybkie ruchy. Teraz jednak stało się to, jak tyle innych rzeczy w życiu, męczące i przygnębiające. Zapach też zaczyna mnie męczyć: ciężki zaduch, na który składa się smrodek mokrych trocin, odchodów zwierzęcych i taniego drewna. Och! No i znowu czuję ten trzepot gdzieś za mostkiem.

To nic. Lekarz mówił...

Mama by powiedziała... Powiedziałyby, że to przez tutejsze powietrze.

Mysz drży na kole moich dłoni, a ja myślę o treści listu od tego naukowca. Jak ekscytująco jest doczekać się odpowiedzi! Jednak radość przygasa jak wszystko w życiu: moment po momencie, nadzieja po nadziei. Byłam nauczycielką, która chciała czegoś więcej.

Teraz hoduję myszy rasowe i wciąż chcę czegoś więcej.

Zamku. Księcia.

Sukni z białego jedwabiu. Wstążek.

Ale już nie mam piętnastu lat.

Mysz zahacza pazurem o wierzch mojej dłoni i krzywię się. Głupie zwierzę. Tak, wracasz do pudełka, ty brudny stworze. Kiedyś rozmawiałam ze zwierzakami: z kurami, które hodowałam dawno

temu, i z myszami tańczącymi. Z czasem jednak przekonałam się, że tańczące myszy były głuche (i dlatego tańczyły), a poza tym gdyby zwierzęta chciały, żeby się z nimi rozmawiało, próbowałyby odpowiadać, nieprawdaż? Gdyby Bóg chciał, żebyśmy konwersowali z Jego stworzeniem, z pewnością pozwoliłby mu udzielać odpowiedzi.

Mój znajomy, doktor Duncan MacDougal, planuje ważny eksperyment. Mówił mi, że ma nadzieję uzyskać zgodę Szpitala Ogólnego w Massachusetts na ważenie pacjentów przed i po śmierci, aby rejestrować wagę ich dusz. Zamierza skonstruować specjalne łóżko na wzór wagi, gdzie na szali ważyć się będzie - dosłownie - życie pacjentów... A potem to samo zrobi z psami (które zabije - w przypadku ludzkich pacjentów zamierza, jak sądzę, poczekać na ich naturalną śmierć). Proponowałam mu swoje myszy, ale jeszcze nie podpisał, czy złoży zamówienie.

Za to ci naukowcy... Takie wymyślne pismo...

Niebieska czy zielona? Abbie, zdecyduj się na coś.

Czy ludzkie dusze wszystkie ważą tyle samo czy też niektórzy mają więcej duszy niż inni? Pytałam o to doktora MacDougala, a on stwierdził, że jego zdaniem każda waży tyle samo, lecz jego eksperyment ostatecznie to wyjaśni.

Wyobrażam sobie leżenie na takim szpitalnym łóżku, na łóżku wadze, i czekanie na śmierć.

A potem słyszę w głowie głos: „Panna Abbie Lathrop”.

Cisza i znowu ten sam głos: „Ciii. Nie może cię usłyszeć, pamiętaj”.

Och... Czuję się dziwnie. Zamykam pudełko. Usiądę tylko na chwilę.

Nie! Nie pozwolę, żeby te głosy znowu mną rządziły. Mama zaprowadziłaby mnie prosto do kościoła, ale marne szanse, żebym chciała przez to przechodzić po raz drugi. Może wystarczy, jeśli będę stale miała jakieś zajęcie. Tak, panaceum na wszystkie choroby wedle mojej mamy: „Stale miej jakieś zajęcie”. Tak. Dosypię do pudełka trochę trocin, żeby mysz wyglądała jak kosztowna czekoladka, nie poddając się własnym rojeniom.

Zerkam na numer 57. Ta będzie następna, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

Ale... „Proszę, bądź cicho”. Och!

Dziwaczne uczucie być sobą i Abbie Lathrop równocześnie. Jako Abbie Lathrop słyszę tylko własny głos. Jako ja słyszę również Adama.

- Ariel - mówi znowu.

Moja jaźń i jaźń Abbie Lathrop tak dalece się przeniknęły, że powstała jedna, wewnętrznie zrozumiała jak nie przymierzając gryzmoł. Mimo to wciąż jej powtarzam, jaka z niej bezwartościowa gówniara, a ona wciąż biega wokół stodoły, przyciskając ręce do uszu i krzycząc: „Demony! Wynoście się! Precz!”.

- Nie jesteś zbyt subtelna - mówi Adam.

- Wiem - przyznaję. - To jak atakowanie siebie.

- Wypuść myszy - odzywam się teraz w jej głowie. - Wszystkie.

A ona myśli o swoim utrzymaniu, o chłodnych zimach i pięknie wykaligrafowanym liście przysłanym przez naukowców, i o tym, że teraz już nie ma pretekstu, aby się spotkać z doktorem MacDougalem i...

- Wypuść myszy - powtarzam jej. - A już nigdy nie usłyszysz głosów.

Wtedy Abbie Lathrop podnosi się i drżącą ręką odsuwa drewniane skoble na wszystkich klatkach.

Metoda może i mogła być bardziej subtelna, lecz podziałała.

Konsoleta wciąż się wyświetla. Patrzę na przycisk „Zamknij” i lądujemy w Troposferze. Wpadamy sobie z Adamem w ramiona, wiedząc, że nie musimy nic mówić o doświadczeniu, które razem przeżyliśmy. Czuję się tak, jakby zdjęto mi coś z ramion, ponieważ już nie jestem Apollonowi Smintheusowi nic winna. Jednak brzemień tego, co już wiem o cierpieniu, sprawia, że ten zdjęty ciężar staje się nagle jak pyłek strzepnięty z ramienia. I wciąż coś mnie nęka, choć już nie Apollo Smintheus, rzecz jasna. Coś go zastąpiło, ale nie jestem pewna co.

Troposfera wydaje się taka sama jak zawsze z jednym wyjątkiem: kiedy wyświetlam mapę na konsolecie, wygląda na to, że jesteśmy o wiele tysięcy mil od początku naszej podróży. Na samej mapie też coś się zmieniło i nagle dostrzegam co: gdzieś tam pojawiły się wykropkowane żółte kółeczka i rozumiem, że odpowiadają one stacjom kolei podziemnej.

Tym sposobem mogłabym się stąd wydostać, gdybym chciała.

Musimy jeszcze wrócić do początku lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, żeby odnaleźć Lumasa, a przecież dotarliśmy już do tysiąc dziewięćsetnego roku. Przedostajemy się z Massachusetts do Nowego Jorku za pośrednictwem komiwojażera, potem trafiamy na redaktora pewnej gazety, którego dziadek wciąż mieszka w Anglii. Kiedy znajdujemy się w jego umyśle, nie potrzebujemy zbyt wielu przeskoków, aby się dostać do Londynu w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym, rok po wydaniu *Końca pana Y*. Kolejne skoki są znacznie precyzyjniejsze. Najpierw pokonujemy większość brakującego czasu, później resztkę odległości, poruszając się po Londynie, dopóki nie stajemy przed domem wydawniczym Lumasa. A osoba, w której umyśle jesteśmy, to niejaki pan Henry Bellington, lat dwadzieścia dwa. Trzyma gruby rękopis pod pachą.

Umówiliśmy się, że nie będziemy rozmawiać, przebywając w umysłach innych ludzi, więc zostaję sama ze swoimi wrażeniami na temat tego, co mnie otacza. W wiktoriańskim Londynie uderza mnie przede wszystkim cudowna cisza. Pan Bellington się z tym nie zgadza.

Jemu Londyn wydaje się dusznym, przytłaczającym miejscem z tymi wszystkimi żebrakami, złodziejami i gęstym czarnym dymem. Z drugiej strony nie zna świata podróży powietrznych, samochodowych silników, telefonów komórkowych i nieprzerwanego głośnego brzęczenia

elektryczności w tle.

Bellington wkracza do budynku wydawnictwa.

Teraz zaledwie dwa skoki dzielą nas od umysłu wydawcy Lumasa.

Tylko potrzebuję jego adresu. Znajdę go w pamięci? Tak, już mam.

Wynosimy się z budynku razem z gołębiem, który siedział na zewnętrznym parapecie, wsiadamy do dorożki z młodym księgowym i wysiadamy na The Strand. Potem po prostu przeskakuję od osoby do osoby, dopóki nie przystaję przed frontowymi drzwiami Lumasa.

Jednak ludzie, w których umysłach podróżuję, nie chcą się zatrzymać i po kilku przeskokach koniecznych, żeby chwilę tam postać, wybieram przycisk „Zamknij” na konsolce i kończę w Troposferze z Adamem.

- To było dobre - mówi.

Rozglądam się. Mój umysł dokonał jakiejś dziwnej - i dosyć kiczowatej - poprawki w tej części Troposfery. Mimo że wciąż ma coś z futurystycznego miasta, ta dzielnica jest jak plan hollywoodzkiego filmu, który ma przedstawiać kawałeczek Londynu lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Jest jakby przesadzony. Wszędzie walają się porzucone dorożki, jak w Burlemowej wersji Troposfery, lecz te tutaj wydają się pośpiesznie narysowane, jakbym chciała, by tu były, ale nie wiedziała, jak naprawdę wyglądają. Wszędzie unosi się Dickensowska mgła, chociaż nigdy nie wzięłam się porządnie do Dickensa, więc mgła też jakoś bez przekonania wisi nad wszystkim, niezdecydowana między konsystencją prawdziwej mgły, pyłu węglowego i dymu ze wszystkich londyńskich kominów. Jest też bocykl oparty o poręcz z kutego żelaza.

Ulica jest brukowana, a wszystkie budynki przy niej są zbudowane z czerwonych cegieł. Jest tu mnóstwo sklepów, wszystkie z bogato zdobionymi sztyldami. Po jednej stronie ulicy sztyldy wydają mi się bardziej znajome. Jest między innymi coś, co się nazywa Bankiem Muzycznym, i wegetariańska restauracja. Rozpoznaję te budynki: pochodzą z opowiadań i powieści, które czytałam. Jednak Banku Muzycznego nie powinno być w Londynie: jest z *Erewhonu*. Za to restauracja wegetariańska pochodzi z *Ligi niezwykłych dżentelmenów* Arthura Conana Doyle'a. Przy drugiej stronie ulicy stoją sklepy z równie ekstrawagancko zaprojektowanymi sztyldami, ale ich nie poznaję. Jest sklep żelazny, jubiler, bank, sklep z tytoniem i fajkami oraz księgarnia. Dalej po fikcyjnej stronie ulicy mieści się pub, który świeci na konsolce tak samo jak mysie nory Apollona Smintheusa i rozmaite kawiarnie.

Nigdy wcześniej nie widziałam w Troposferze pubu.

Pokazuję go Adamowi.

- Odpocznijmy, nim weźmiemy się do Lumasa? - pytam.

Wzrusza ramionami.

- Okej.

Zwlekam z bardzo konkretnego powodu i sędzę, że Adam go zna. Jak już przekonam Lumasa, żeby nie pisał *Końca pana Y*, wszystko się zmieni. I sama nie jestem pewna, czy chcę, by Lumas rezygnował.

W środku pub wcale tak bardzo nie różni się od knajp, w których piłam, kiedy studiowałam w Oksfordzie, albo nawet od tych, do których chadzałam w niedzielne popołudnia w Londynie. We wnętrzu dominuje butelkowa zieleń i brąz, jest długi łukowaty bar i pluszowe zielone siedziska. Wszystkie urządzenia i sprzęty wydają się znajome, z tym że zamiast elektrycznych lamp pojawiły się lampy naftowe, a stoły wyglądają na bardziej wypoliturowane. Nikt nie stoi za barem, nie ma też klientów, niemniej na jednym ze stołów widać do połowy wypite drinki, zapalki w kartonowej „książeczce”, talię kart i coś, co wygląda jak manuskrypt. Co jest grane?

Siadamy z Adamem przy stoliku w rogu sali.

- Jeśli pomyślimy o alkoholu, myślisz, że się pojawi? - pyta Adam.

- Spróbujmy.

Parę minut później mamy małą szklaną butelkę wódki i dwa kieliszki.

- Myślałaś o wódce? - pyta Adam.

- Tak - odpowiadam. - A ty?

- Też. To moja metoda na traumę.

Śmieję się.

- Moja też. Myślałam, że u ciebie to będzie raczej mszalne wino.

- Nie. Od tamtej pory zdążyłem odkryć wódkę. To jedyny alkohol, którego nie chciał pić mój ojciec, co przydaje jej szczególnego uroku.

- Jasne. - Kiwam głową i patrzę na stół.

- To co? Otworzę ją - mówi. Bierze butelkę. - Au, ale zimna.

- I dobrze.

Nalewa nam po kieliszku. Kiedy unoszę swój do ust, czuję zapach żubrówki: mojego ulubionego gatunku wódki. Wypijam ją jednym haustem. Chcę pić, dopóki nie zapomnę o myszach, o tym, co spotkało Adama, a już najbardziej chcę zapomnieć o odpowiedzialności, która na mnie ciąży, bo jestem tutaj i potrafię zmieniać różne rzeczy. Niestety, nie jestem pewna, czy troposferycznym alkoholem można się rzeczywiście nawalić. No proszę, jednak czuję się trochę bardziej zrelaksowana. Nalewam następny kieliszek i wypijam go pomału, podczas gdy Adam sący pierwszy.

- Nie mogę tego znieść - mówię.

- Ariel? - Bierze mnie za rękę ponad blatem stołu. - Co się stało?

Wzdycham, jakby całe powietrze uchodziło z mojego ciała.

- Czy ty tego nie rozumiesz?

- Ale czego?

- Te myszy... to co zrobiliśmy dla myszy... powinniśmy to samo zrobić dla wszystkich innych stworzeń. Moglibyśmy zapobiec holokaustowi. Moglibyśmy nie dopuścić do wynalezienia bomby atomowej. Moglibyśmy...

- Ariel.

- Co?

- Nie możemy redagować świata. Nie możemy ot, tak napisać go od nowa, jakby to był tylko brudnopis powieści, która nieszczególnie nam się podoba.

- Dlaczego nie?

- Cóż, czy nie jesteś tu po to, żeby zapobiec takiej możliwości? Laura i Burlem przysłali cię tutaj, bo trzeba zniszczyć tę książkę, żeby ludzie nie mieli możliwości robienia takich rzeczy. To ważne. Ważne, żeby ludzie nie mogli zmieniać historii.

- Wiem. Dlatego nie jestem pewna, czy powinnam skłonić Lumasa do zmiany zdania -

mówię, pijąc więcej wódki. O dziwo, alkohol działa i lepkie jak syrop uczucie nasila się tym wyraźniej, im więcej w siebie wlewam. - To znaczy, kto zrobił ze mnie Boga? Nie powinnam decydować o takich sprawach. Ale skoro już jestem w tej sytuacji i mogę podejmować decyzje, chcę wymazać Hitlera.

- Przecież wiesz, że nie możesz tego zrobić.

- Czyżby?

- Tak. Zastanów się nad tym. Gdyby Hitler był na twoim miejscu, wymazałby coś innego. Gdyby na twoim miejscu był papież, przeredagowałby świat w jeszcze inny sposób.

Musisz domknąć pętlę, która pozwala ludziom to robić.

- A jeśli wiem, że mam rację?

- Nie wygłupiaj się. Znam twój umysł. Ty nigdy nie wiesz, czy masz rację.

- Hitler uważał, że ma - przypominam. - A wszyscy inni się zgadzają, że nie miał.

- Oczywiście, że nie miał racji - mówi Adam. - Ale nie twierdzę, że każda opinia jest równie ważna jak inne...

- Relatywizm moralny. To pułapka.

- Owszem, ale i tak musisz zdać sobie sprawę, że nie możesz decydować. My nie możemy. To nie zależy od nas. Historia musi tworzyć się sama. I prawdopodobnie tak się stanie bez względu na to, co zrobimy. Wymazując Hitlera, moglibyśmy otworzyć drzwi komuś gorszemu. Nie jestem nawet pewny, czy to, cośmy już zrobili, cokolwiek zmieni.

Abbie Lathrop mogła się zdecydować na kupno nowych myszy. A jeśli nie ona, to ktoś inny.

Pomogliśmy tamtym myszom, ale nie wszystkim.

Piję więcej wódki.

- Cieszę się, że tu jesteś - mówię. A potem dociera do mnie, co właśnie powiedziałam.

- Że jesteś ze mną, o to mi chodzi. Nie cieszę się, że jesteś tutaj tak, jak jesteś. - Odstawiam kieliszek. - Adam?

- Co?

- Jak myślisz, co się stanie z Troposferą, kiedy znajdę się w umyśle Lumasa i powstrzymam go przed napisaniem tej książki?

- Nie wiem.

- Nie chcę, żebyś zniknął.

- Nawet jeśli zniknę, to i tak było warto.

- Czyżby?

- Tak. A teraz powinniśmy się pośpieszyć i zrobić, co do nas należy. Będziesz musiała wracać.

Nic nie mówię.

- Ariel?

- Tak, wiem. Tylko chcę... - Wstaję.

- Dokąd idziesz?

- Tylko podejść do tamtego stolika.

Podchodzę i patrzę na rękopis, który na nim leży. Jak przypuszczałam, tytuł na stronie frontowej napisany jest odręcznie i brzmi *Koniec pana Y*. Odwracam się i wychodzę z pubu, a Adam tuż za mną.

- Wejdiesz tam ze mną? - pytam go.

- Oczywiście.

W ten sposób, jak sędzę, istnieje mniejsza szansa, że mi zniknie, jak zrobię to, co mam do zrobienia.

Idziemy do księgarni nieco dalej przy ulicy. Zaglądam do środka. Widać różne powieści Samuela Butlera, jak również *Zoonomię*. Wiem, kto się kryje za tymi drzwiami, ale muszę je otworzyć. Nie mogę dłużej o tym myśleć. Jestem tu teraz i wiem, że nie zdecyduję się tego nie zrobić, równie dobrze więc mogę to zrobić i mieć z głowy. Całuję Adama, podchodzimy do drzwi, otwieram je i wchodzę.

„Masz jedną opcję”.

„Masz”... „Mam”... Siedzimy przy starym biurku w bawialni, w której hulają przeciągi, i jak zwykle piszemy. Ta książka... Muszę ją napisać, muszę ją skończyć. Czy ludzie, którzy nie piszą, mogliby kiedykolwiek pojąć, jakie to uczucie? Wziąłem biednego pana Y w obroty jak bąka, a teraz muszę kazać mu wirować, dopóki nie dożyje swego końca.

A potem muszę go zatrzymać i odłożyć do skrzyni z zabawkami, zwiotczałego w śmierci.

Och, jakież okrutny byłby ze mnie Bóg! Czy mogę darować mu życie? Nie, nie bądź śmieszny, Tom. Pozwolić mu żyć byłoby pogwałceniem wszelkich prawideł tragedii i więcej: sprzeniewierzeniem się prawdzie. Zatem pan Y umrze, a zginie z mojej ręki. Później...

później...

Ręka mi drży, kiedy o tym myślę. Później i ja muszę umrzeć.

Złożyłem uroczystą przysięgę, siebie biorąc na świadka, że nie odwiedzę ponownie Troposfery, dopóki ta powieść nie będzie ukończona. Jednak kiedy się do niej wybiorę, już nigdy nie wrócę. W przeciwnym razie wykończy mnie ten kaszel; rozumiem, co mówił

doktor. Lecz to nie wszystko - chcę także uwolnić się od mej prawej nogi i od tych oczu.

Rzecz jasna, przeklęty los pokarał mnie także najdotkliwszym ubóstwem i od lat mi wiadomo, że nigdy więcej nie posiadę kobiety. Och, kiedyż ta książka się skończy! Ilekroć zanurzam pióro w kałamarzu (szóstym w tym miesiącu), zastanawiam się, czy to już ostatni kałamarz, który przyjdzie mi zużyć, i czy to ostatnia stalówka, którą do cna zniszczyłem, a jeśli tak - w obu przypadkach - to zastanawiam się, czy powinienem oba te diabelskie przedmioty oprawić w ramy czy też spalić. Moją obsesją stały się zakończenia: koniec powieści i kres mojego życia. Czy mogę się czuć zadowolony teraz, kiedy już mam tytuł? Być może. *Koniec pana Y*

zawiera przyjemną dwuznaczność, chociaż jestem przekonany, że większość recenzentów będzie o

wiele za tępa, by zauważyć cokolwiek takiego jak znaczenie, i jeżeli w ogóle ocenią moją książkę, to tylko w nawiązaniu do tej okropnej sprawy z Darwinem.

Och, jestem taki znużony. Nafta z lampy pachnie jak trucizna.

Może powinienem po prostu cisnąć tę książkę w ogień?

Co mi przychodzi do głowy?

Słyszę szorstkie klik-klak końskich kopyt z dworu, kiedy mężczyźni młodszy ode mnie wybierają się do klubów na wieczór rozrywki i rozpusty. Mnie jednak przyświeca szlachetniejszy cel. Och, jakże tu zimno, a zostało mi tak niewiele węgla.

Kiedy rozpocząłem tę długą, zmudną kompozycję, szukałem zemsty, sam to przyznaję. Pragnąłem, aby każdy dostąpił wiedzy, która stała się moim udziałem. Jam bowiem jest panem Y - przynajmniej duchem, jeśli nie w drobniejszych szczegółach - i ja także oddałem wszystkie pieniądze, jakie miałem na tym świecie, za kolejny łyk tego lekarstwa, które miało się niebawem stać najbardziej wymagającą z moich kochanek.

Człowiekowi, który mi je sprzedał, nic nie pozostanie, kiedy ukończę powieść. W każdym razie tak właśnie powiem wydawcy. Może nada powieści większą wagę, ja jeden wszelako będę znał prawdę.

A potem, ledwie pozbawiwszy żywota pana Y, i ja zakończę swój żywot.

Coś dobija się w mojej pamięci niczym dziecko ciągnące za rękaw, ale nie chcę o tym myśleć.

I... A cóż to za myśli? Czyżbym popadał w kryzys świadomości? Teraz, kiedy moje dzieło jest w ponad siedmiu ósmych ukończone, mam się zastanawiać, jakie będą skutki jego publikacji? Och, przekłete wieczory introspekcji. Kiedy widzę, jak fabuła nabiera kształtu na stronie przede mną, zastanawiam się: czy inni wypróbują recepturę? I ilu umrze, żebym ja mógł doczekać końca? I... Nie. To absurdalna myśl. Mimo to wciąż nasuwa się natarczywie.

Co by się stało, gdyby ci, którzy przeczytają moją książkę, nie tylko odkryli Troposferę, ale i sposób, jak ją zmienić?

Spalę tę książkę.

Nie! Nie... Tylko nie moją książkę.

Moje ręce są rękami kogoś innego; chwytają mój bezcenny manuskrypt i ze mną w roli niechętnego pomocnika ciskają go w ogień. Dwieście kart trzeszczy i strzela. Płomieniom jest obojętne, co jest tuszem, a co białą przestrzenią. Książka jest stracona.

Cóżem uczynił?

Cóżem uczynił?

Padam na kolana i zaczynam szlochać.

Zamknij.

W Troposferze znowu zaczął padać deszcz.

- Chciałam spędzić z nim znacznie więcej czasu - mówię Adamowi.

- Nie. Zobacz, co się dzieje z pogodą. Musisz iść na stację.

Nocne niebo jest całe w smugach, jakby to była szyba samochodowa, a cała ta noc i deszcz działały się gdzieś za nią. Adam wywołuje konsolę.

- Stacja jest tuż za rogiem - mówi. - Pośpiesz się.

Nie ruszam się jednak. Nie idę za nim, chociaż on tego oczekuje.

- Adam - przemawiam do jego pleców.

- Chodź.

- Adam.

Obraca się w moją stronę, deszcz ścieka mu po twarzy.

- No co?

- Ja nie wrócę.

- Ariel...

- Mów, co chcesz, ale i tak nie zmienię zdania. Nie chcę wracać.

- Masz swoje życie i musisz je przeżyć. Słyszałaś, co mówiła Laura: że masz potencjał, by stać się jednym z myślicieli, którzy mogą zmieniać świat. Mogłabyś stać się drugim Derridą albo... kim zechcesz.

- Przecież wiesz, czego chcę.

- Ja zawsze tu będę. Zawsze będę w twoich snach - mówi.

Krople deszczu odbijają się od chodnika; wyglądają jak łzy.

- To za mało - mówię. - To za mało pod tyloma względami...

Niebo rozdziera grzmot. Myślę, że to może być dla mnie koniec.

- Ariel!

Adam musi przekrzykiwać ryk ulewy. Niebo pęka rozdarte przez błyskawicę, wyrzucając z siebie nową powódź deszczu i ciemności. Ledwie widzę cokolwiek przed sobą, ale czuję dłonie Adama na ramionach. Czuję, jak przyciska mnie do ściany i całuje mocno.

- Musisz iść.

- Jeszcze - błagam. - Chcę się z tobą kochać, kiedy to się skończy.

Milczy. Nic się dzieje, jeśli nie liczyć tego deszczu.

- Adam, proszę cię - mówię. - Jeśli stąd wyjdę, już nigdy nie będę miała tego, czego pragnę, ja to wiem. I już zrozumiałam, że właśnie to jest istotą tej klątwy. Chcę wiedzy, którą mogę tutaj odnaleźć. Chcę, żebyśmy byli razem do samego końca. Chcę, żebyśmy cofnęli się najdalej, jak tylko się da, do krawędzi Troposfery. Chcę wiedzieć, jak to się wszystko zaczęło i czym jest świadomość. Zostaję.

Gromy walą po całym prowizorycznym niebie, gdy osuwamy się z Adamem na ziemię, a ubrania same z nas opadają. Czuję, jak deszcz spływa mi po twarzy i ścieka z włosów. Tym razem czuję deszcz.

I tym razem, kiedy Adam we mnie wchodzi, tracę przytomność.

Za to kiedy otwieram oczy, świeci słońce.

EPILOG

Nie sposób określić, ile trwa dotarcie na samą krawędź. Czas już dawno przestał istnieć.

Koczujemy od wielu dni w miejscu, które wygląda na obrzeże świadomości, zastanawiając się, co dalej. To jak stanie na krawędzi urwiska, tyle że ta krawędź jest węższa niż na jakimkolwiek klifie, który zdarzyło mi się oglądać.

Nie czuje się, że to skraj czegoś: jeśli już, to raczej środek.

Jednak krawędź naprawdę istnieje. Można do niej podejść i ma się wrażenie, że można za nią wyjrzeć, choć to niemożliwe. Jest także coś, co przypomina ogrodzenie pod napięciem: falista linia obejmująca całość i trzeszcząca jak od przepływu prądu.

Kochaliśmy się tutaj, na skraju świadomości; robiliśmy to tysiące razy. I opowiedzieliśmy sobie nawzajem wszystko, co wiemy. I czasami jest prawie tak, jakbyśmy byli na szczycie klifu i jakby w dole nawet mogło być morze, a ziemia pod nami jest piaszczysta i rosną na niej kępy polnych kwiatków. Za to kiedy indziej jest tak, jakbyśmy utknęli na łebku szpilki i pustka nie była tylko pod nami, lecz wszędzie wokół nas i nie sposób się odwrócić, bo niczego tam nie ma. Nie ma przodu, tyłu, góry ani dołu.

Dzisiaj postanowiliśmy (choć to miejsce jest jednym długim dniem), że dokonamy wyboru, ponieważ kiedy dotrze się na samą krawędź, pojawia się taki problem, że konsoleta zdaje się psuć; i słychać trzeszczenie i szum, gdy znajomy głos oznajmia: „Masz do wyboru nieskończenie wiele

opcji”. Kiedy to słyszymy, wycofujemy się, ponieważ nie możemy dokonać takiego wyboru.

Zupełnie jakbyśmy patrzyli na coś, co nigdy wcześniej nie było oglądane.

„Masz do wyboru nieskończenie wiele opcji”.

Zwiedziliśmy już całą Troposferę. Musieliśmy, żeby się tu dostać.

Więc patrzymy na siebie i trzymając się za ręce, podchodzimy do krawędzi.

I dzisiaj, wczoraj czy kiedykolwiek to jest, przechodzimy przez nią.

I pomyśleć, że sądziłam, że spadniemy (i miałam nadzieję na pustkę).

„Masz do wyboru nieskończenie wiele opcji”.

Jednak my wciąż idziemy dalej. Nie musimy nawet nic mówić.

I mam przed sobą wszystkie możliwości. Co do jednej.

Wchodzimy do ogrodu. Do najdoskonalszego ogrodu, jaki widziałam w życiu, do ogrodu, w którym rośnie więcej drzew, niż zobaczyłam przez całe swoje życie, a rzeka migotliwa jak lustro płynie jego skrajem. Myślę, że to ma sens, że świadomość poczęła się w ogrodzie, ponieważ bądź co bądź, wyewoluowała z roślin. I patrzę na Adama, ale już nie mogę mówić. Nie jestem pewna, czy mogę nawet myśleć. Przy rzece rośnie jedno drzewo.

Podchodzimy do niego.

I już rozumiem.

PODZIĘKOWANIA

Wyrazy podziękowań dla Jenny Johnson, cudownej redaktorki, bez której ta książka by nie powstała. Podziękowania niech także przyjmą wszyscy, którzy wierzyli w ten projekt już na wczesnym etapie: Tom Tomaszewski, dzięki któremu wszystko staje się możliwe; Simon Trewir, mój agent i przyjaciel; Sam Ashurst; Hari Ashurst-Venn; Emilie Clarke; Sarah Moss.

Chciałabym również podziękować mojemu fantastycznemu amerykańskiemu agentowi Danowi Mandelowi za jego wsparcie; oraz mojej matce, Francesce Ashrust, za to, że zawsze mogłam na nią liczyć.

Wielkie dzięki dla Jamiego Bynga, Francisca Bickmore'a i reszty osób z Canongate, którzy wyratowali mnie z piekła brytyjskiego wydawnictwa korporacyjnego i stworzyli dla *Końca pana Y* najlepszy możliwy dom.

Na podziękowania zasługują także: Rod Edmond, Jennie Batchelor, David Herd, Abdulrazak Gurnah, Jan Montefiore, Caroline Rooney, David Stirrup, Peter Brown, Donna Landry, Sarah Wood, David

Ayers, Anthony Maude, Dennis Borisov, Deborah Wright, Stuart Kelly, Sam Boyce, Tony Mann, Andrew Crumey, Mei McMahon, Jason Kennedy, Lucy Owens, Suzi Feay i reszta moich przyjaciół i współpracowników za wsparcie moralne.

Kilkoro przyjaciół, krewnych i kolegów z pracy było tak miłych, że przeczytali ukończony rękopis i udzielili mi informacji zwrotnych, i tu szczególne wyrazy wdzięczności niech przyjmą: Tom Tomaszewski, Sarah Moss, Jennie Batchelor oraz Hari Ashrust-Venn.

Osobne podziękowania chciałabym skierować do Couze'a Venna za jego wnikliwe i skłaniające do refleksji sugestie. Ian Stewart także poświęcił swój czas, by przeczytać i szczegółowo skomentować rękopis, za co jestem mu wyjątkowo wdzięczna. Ian ostrzegł

mnie, że z powodu epilogu powieść tę można by interpretować jako *shaggy-God story* -

długą, nudną i męczącą historię, w której zamiast o byle czym opowiada się o Bogu.

Ostatecznie doszłam do wniosku, że warto zaryzykować, i epilog zostawiłam. Dla mnie Ariel i Adam nigdy nie uciekną przed językiem i metaforą: nie znajdą niczego absolutnego na skraju świadomości oprócz obrazowania religijnego. Burlem, jak sędzę, zna to szczególne niebezpieczeństwo Troposfery, dlatego pozostawiamy go zmierzającego ku nicości.

Wszystkie błędy (w przedstawianych faktach i opiniach) pozostające w tekście są, rzecz jasna, moim dziełem.

Chciałabym podkreślić wpływ pewnych idei, na które się natknęłam we *Wszechświatach równoległych* pióra Michio Kaku, oraz w *Wielkim Wybuchu* Simona Singha.

Koncepcja „cząstki pierwotnej” w rozdziale 11 zrodziła się z bezpośredniej inspiracji pracami Kaku; z kolei część materiału w rozdziale 10 wraz z cytatem z Gamowa zaczerpnięta jest z Simona Singha. Posłużyłam się także cytatem z *Wykładów homeopatycznej materia medica* -

wraz z nowymi lekami J. T. Kenta. *Portrety literackie polikrestów* są fikcyjne, ale inspiracją do nich były *Portrety leków homeopatycznych* Catherine R. Coulter.